



Wurakami

HARUKI

Ślepa wierzba i śpiąca kobieta

Ja też nigdy w życiu nie widziałem perkozów, lecz nie przyszło mi do głowy żadne inne stworzenie na osiem liter zaczynające się na „p”

HARUKI MURAKAMI

Ślepa wierzba
i śpiąca kobieta

Tytuł oryginału japońskiego: めくらやなぎと、眠る女

Mekura-yanagi-to, nemuru onna

Tytuł przekładu angielskiego: ***Blind Willow, Sleeping Woman***

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Spyrka

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Elżbieta Jaroszuk, Wojciech Górnaś*

© 2006 by Haruki Murakami

MEKURAYANAGI TO, NEMURU ONNA (Blind Willow, Sleeping Woman) © by Haruki Murakami, 1996

BASUDEI GARU (Birthday Girl) © by Haruki Murakami, 2002

NYUYOKU TANKO NO HIGEKI (New York Mining Disaster) © by Haruki Murakami, 1983

HIKOKI ARUIWA KAREWA IKANISHITE SHI WO YOMUYOUNI
HITORIGOTOWO ITTAKA

(Airplane: Or, How He Talked to Himself as if Reciting Poetry) © by Haruki Murakami, 1990

KAGAMI (The Mirror) © by Haruki Murakami, 1983

WARERANO JIDAINO FOKUROA (A Folklore for My Generation: A Pre-History of Late-Stage

Capitalism) © by Haruki Murakami, 1990

HANTINGU NAIFU (Hunting Knife) © by Haruki Murakami, 1985

KANGARU BIYORI (A Perfect Day for Kangaroos) © by Haruki Murakami, 1983

KAITSUBURI (Dabchick) © by Haruki Murakami, 1983

HITOKUI NEKO (Man-Eating Cats) © by Haruki Murakami, 1991

BINBO NA OBASAN NO HANASHI (A „Poor Aunt” Story) © by Haruki Murakami, 1983

OUTO 1979 (ICHIKYUNANAKYU) (Nausea 1979) © by Haruki Murakami, 1985

NANABANME NO OTOKO (The Seventh Man) © by Haruki Murakami, 1996

SUPAGETI NO TOSHI NI (The Year of Spaghetti) © by Haruki Murakami, 1983

TONY TAKITANI (Tony Takitani) © by Haruki Murakami, 1996

TONGARIYAKI NO SEISUI (The Rise and Fall of Sharpie Cakes) © by Haruki Murakami, 1983

KORIOTOKO (The Ice Man) © by Haruki Murakami, 1996

KANI (Crabs) © by Haruki Murakami, unpublished in Japan

HOTARU (Firefly) © by Haruki Murakami, 1984

GUZEN NO TABIBITO (Chance Traveller) © by Haruki Murakami, 2005

HANAREI BEI (Hanalei Bay) © by Haruki Murakami, 2005

DOKODEARE SOREGA MITSUKARISONA BASHO DE (Where I'm Likely

to Find It) © by Haruki Murakami, 2005

HIBI IDOSURU JINZO NO KATACHI WO SHITA ISHI (The Kidney-Shaped Stone That

Moves Every Day) © by Haruki Murakami, 2005

SHINAGAWAZARU (A Shinagawa Monkey) © by Haruki Murakami, 2005

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2008, 2013

© for the Polish translation by Anna Zielińska-Elliott

ISBN 978-83-7758-560-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2013

Wydanie I



Ślepa wierzba i śpiąca kobieta

めくらやなぎと、眠る女

Mekura-yanagi-to, nemuru onna

Kiedy zamknąłem oczy, poczułem zapach wiatru. Majowego wiatru napęczniałego jak owoc. Miał chropowatą skórkę, soczysty miąższ i małe pesteczki. Kiedy skórka pękła i miąższ rozprysnął się w powietrzu, pestki zamieniły się w miękki śrut i utkwily w moich nagich ramionach. Wciąż czułem w nich leciutki ból.

– Słuchaj, która godzina? – zapytał mnie kuzyn. Różniliśmy się wzrostem o prawie dwadzieścia centymetrów, więc zawsze mówiąc do mnie, zadzierał głowę.

Spojrzałem na zegarek. – Dziesiąta dwadzieścia.

– Dobrze chodzi?

– Myślę, że tak.

Kuzyn chwycił mnie za nadgarstek i obejrzał zegarek. Palce miał długie i smukłe, silniejsze niż się z pozoru wydawały. – Drogi był?

– Nie był drogi. To tani zegarek – odpowiedziałem, ponownie spoglądając na tarczę.

Nie zareagował.

Spojrzałem na kuzyna – patrzył na mnie zakłopotany. Jego białe zęby widoczne spomiędzy warg wyglądały jak kości w stadium zaniku.

– *To tani zegarek* – powtórzyłem, patrząc na kuzyna i wyraźnie, powoli wymawiając słowa. – *Tani, ale dobrze chodzi.*

Kuzyn w milczeniu skinął głową.

Mój kuzyn źle słyszy na prawe ucho. Na początku szkoły podstawowej dostał piłką baseballową i od tego czasu ma kłopoty ze słuchem. Ale na co dzień praktycznie mu to nie przeszkadza. Dlatego chodzi do normalnej szkoły i prowadzi normalne życie. W klasie siada zawsze na samym przodzie po prawej, żeby słyszeć nauczycieli lewym uchem. Stopnie też ma niezłe. Bywają okresy,

kiedy słyszy dźwięki z zewnątrz stosunkowo dobrze, ale czasami mu się pogarsza. Te okresy przychodzą na zmianę, jak przypływ i odpływ. Poza tym bardzo rzadko, może raz na pół roku, praktycznie przestaje słyszeć na oboje uszu. Jakby cisza z prawego ucha pogłębiała się i pochłaniała także dźwięki z lewego. W takich przypadkach oczywiście nie może już normalnie żyć i musi przestać na pewien czas chodzić do szkoły. Lekarze nie potrafią wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Nieznane są inne podobne przypadki. Oczywiście nie da się też tego leczyć.

– To, że zegarek jest drogi, wcale nie znaczy, że dobrze chodzi – powiedział kuzyn, jakby przekonywał sam siebie. – Mój poprzedni zegarek był dość drogi, a bez przerwy się spóźniał. Kupili mi go, jak poszedłem do gimnazjum, ale po roku go zgubiłem i od tego czasu nie mam w ogóle zegarka. Bo nie chcieli mi kupić drugiego.

– Bez zegarka jest zawracanie głowy, nie? – powiedziałem.

– Co?

– Zawracanie głowy jest. Bez zegarka, nie? – powtórzyłem, patrząc na niego.

– Niespecjalnie – powiedział kuzyn, potrząsając głową. – Nie żyję na pustyni, więc zawsze jest się kogo zapytać o godzinę.

– Też prawda.

Zamilkliśmy na pewien czas.

Wiedziałem, że powinienem życzliwiej z nim pogadać. Muszę choć trochę go uspokoić przed wizytą w szpitalu. Ale ostatni raz widziałem się z nim pięć lat temu. Po tych pięciu latach on miał teraz czternaście, a nie dziewięć, ja zaś dwadzieścia pięć, a nie dwadzieścia. Ta wyrwa czasowa utworzyła pomiędzy nami półprzezroczystą ścianę, przez którą nie mogłem się przedostać. Nawet kiedy musiałem coś do niego powiedzieć, nie mogłem znaleźć odpowiednich słów. Kiedy tak się wahałem i urywałem w pół zdania, kuzyn zawsze rzucał mi lekko zmartwione spojrzenie. Nachylał ku mnie lewe ucho.

– A teraz ile minut po? – zapytał.

– Dziesiąta dwadzieścia dziewięć – odpowiedziałem.
Autobus przyjechał o dziesiątej trzydziści dwie.

Był bardziej nowoczesny niż w moich czasach licealnych. Z powodu wielkiej przedniej szyby wyglądał jak duży bombowiec z urwanymi skrzydłami. I był bardziej zatłoczony, niż się spodziewałem. Nikt nie stał w przejściu, ale nie znaleźliśmy dwóch wolnych miejsc obok siebie. Dlatego postanowiliśmy nie siadać, tylko stanęliśmy przy tylnych drzwiach. Niezbyt daleko jechaliśmy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego o tej porze jest pełen ludzi. Autobus robił pętlę od dworca na eleganckie osiedla na wzgórzach i z powrotem na dworzec, po drodze nie było żadnych szczególnych atrakcji turystycznych, punktów usługowych ani sklepów. Na trasie znajdowało się kilka szkół, więc w godzinach porannych był dość duży tłok, ale w dzień powinno być pusto.

Jeden z nas trzymał się uchwyty, drugi poręczy. Autobus lśnił nowością, wyglądał jak prosto z fabryki. Na metalowych częściach nie było nawet pyłku, dało się wręcz w nich przejrzeć. Siedzenia były porządnie wypchane, nawet nad najmniejszą śrubką unosiło się właściwe nowym urządzeniom optymistyczne poczucie dumy.

Speszył mnie trochę ten nowy autobus i nieoczekiwany tłok. A może zmienili trasę, a ja nic o tym nie wiem? Rozejrzałem się i popatrzyłem przez okno. Widać było tylko krajobraz podmiejskiego osiedla, taki sam jak zawsze.

– To dobry autobus, prawda? – zapytał zaniepokojony kuzyn. Pewnie się zmartwił, bo od kiedy wsiedliśmy, na mojej twarzy musiała się malować niepewność.

– Nie martw się – powiedziałem, chcąc także przekonać samego siebie. – Na pewno dobry. Tędy nie kursuje żaden inny.

– Kiedyś jeździłeś nim do liceum?

– Tak.

– Lubieś szkołę?

– Niezbyt lubiłem – odparłem szczerze. – Ale mogłem się spotykać z przyjacielem i chodzenie do szkoły aż tak bardzo mi nie przeszkadzało.

Kuzyn zastanawiał się nad moimi słowami.

– Teraz też się z nim widzisz?

– Nie, już od dawna się nie widzimy – odpowiedziałem, dobierając słowa.

– Dlaczego? Dlaczego już się nie widzicie?

– Bo się bardzo od siebie oddaliliśmy.

Nie była to prawda, ale nie dało się tego inaczej wyjaśnić.

Niedaleko mnie siedziała grupa starszych ludzi. Musiało ich być z piętnaścioro. To z ich powodu autobus był zatłoczony. Wszyscy opaleni. Nawet karki mieli brązowe. I wszyscy bez wyjątku szczupli. Większość mężczyzn miała na sobie grube flanelowe koszule, a kobiety proste, pozbawione ozdób bluzki. Wszyscy trzymali na kolanach plecaczki, chyba wybierali się na niewielką wycieczkę w góry. Wydawali się zadziwiająco podobni do siebie. Zupełnie jakby ktoś przyniósł tu całą szufladę pełną rzędów posegregowanych próbek. Ale to dziwna sprawa. Na tej trasie nie ma ani jednego szlaku górskiego. Dokąd oni mogą jechać? Zastanawiałem się nad tym, bujając się na uchwycie, lecz nie przyszło mi do głowy żadne wytłumaczenie.

– Myślisz, że ten zabieg będzie bolał? – zapytał mnie kuzyn.

– Nie wiem. Nie podali mi żadnych szczegółów.

– Byłeś kiedyś u lekarza od uszu?

Potrząsnąłem głową. Jak się zastanowić, nigdy w życiu nie byłem u lekarza od uszu. – A przedtem zabiegi były bolesne? – zapytałem.

– Nie, nie bardzo – odparł kuzyn, lekko się krzywiąc. – Oczywiście nie jest tak, że *nic* nie boli, bywa, że *dosyć* boli. Ale nie boli *strasznie*.

– No to pewnie i tym razem będzie tak samo. Z tego, co mówiła twoja mama, będą chyba robić mniej więcej to, co zwykle.

– Ale jeśli będą robić mniej więcej to samo, co zwykle, to pewnie tak samo nic nie pomoże.

– Nie wiadomo. Różnie to bywa.

– Tak samo jak przy wyciąganiu korka? Czasem łatwo się udaje?
– zapytał kuzyn. Zerknąłem na niego, ale nie wydawało się, żeby mówił z ironią.

– Przy innym lekarzu inaczej się człowiek czuje, a zdarza się, że niewielka różnica w wykonaniu zabiegu może mieć duże znaczenie. Myślę, że nie powinieneś z góry się poddawać.

– Nie poddam się.

– Ale masz już tego dość?

– No tak – powiedział kuzyn i westchnął. – Najgorsze jest to, że się boję. Od rzeczywistego bólu gorsze jest to banie się i wyobrażanie sobie możliwego bólu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Myślę, że tak – odpowiedziałem.

Tamtej wiosny wiele się wydarzyło. Z pewnych powodów odszedłem z małej firmy reklamowej w Tokio, w której pracowałem dwa lata. Mniej więcej w tym samym czasie rozstałem się też z dziewczyną, z którą chodziłem od czasów studenckich. W następnym miesiącu babcia umarła na raka jelita, więc z niewielką torbą wróciłem po pięcioletniej przerwie do rodzinnego miasta na pogrzeb. W domu mój pokój się nie zmienił. Na półce stały rzędem książki, które kiedyś czytałem, było tu łóżko, na którym kiedyś spałem, biurko, którego kiedyś używałem, i stare płyty, których kiedyś słuchałem. Wszystko wyschnięte, już dawno utraciło barwy i woń. Tylko czas nieomal magicznie stał w miejscu.

Zamierzałem odpocząć ze dwa, trzy dni po pogrzebie babci i wrócić prosto do Tokio. Znalazłem pewne kontakty dające szansę na nową pracę, więc chciałem je wykorzystać. Miałem też ochotę się przeprowadzić, bo potrzebna mi była jakaś zmiana. Jednak wraz z

upływem czasu stopniowo coraz mniej chciało mi się stąd ruszyć. A raczej, ściślej mówiąc, nawet gdybym chciał, nie potrafiłem. Przesiadywałem sam w pokoju, słuchałem starych płyt, czytałem na nowo stare książki, czasami pielilem w ogrodzie. Z nikim się nie spotykałem, nie rozmawiałem z nikim spoza rodziny.

Pewnego dnia przyszła ciotka i zapytała, czy nie pojechałbym z kuzynem na zabieg do szpitala, bo teraz będzie chodził do nowego lekarza. Miała sama go zawieźć, ale tego dnia wypadło jej coś ważnego do załatwienia. Szpital znajdował się niedaleko mojego dawnego liceum, miałem też czas, nie było powodu odmawiać. Ciotka dała mi pieniądze w kopercie, mówiąc, żebyśmy potem poszli coś zjeść.

Kuzyn miał chodzić do innego szpitala, ponieważ dotychczasowe leczenie nie dawało prawie żadnych efektów. Cykl powrotów utraty słuchu stał się wręcz krótszy niż przedtem. Kiedy niezadowolona ciotka poruszyła tę sprawę z lekarzem, powiedział jej, że przyczyny choroby nie są natury fizjologicznej i być może mają związek z sytuacją w domu. Doszło więc do kłótni. Szczerze mówiąc, nikt się nie spodziewał, że dzięki zmianie szpitala słuch kuzyna z miejsca się poprawi. Oczywiście nie mówiono tego głośno, lecz całe jego otoczenie w połowie straciło już nadzieję na poprawę. Dawniej mieszkaliśmy blisko siebie, ale z powodu dziesięcioletniej różnicy wieku nie byliśmy sobie szczególnie bliscy. Kiedy rodziny się spotykały, czasem gdzieś go zabierałem, bawiłem się z nim, to wszystko. Mimo to nie wiadomo kiedy wszyscy zaczęli nas uważać za bardzo zżytych. Uznali, że szczególnie mu przypadłem do gustu i sam bardzo go lubię. Przez długi czas nie rozumiałem z jakiej przyczyny. A teraz, kiedy patrzyłem, jak przekrzywia głowę, nachyla ku mnie lewe ucho, dziwnie ścisnęło mi się serce. Wszystkie jego nieporadności wydały mi się bliskie i znajome, jak dźwięk deszczu słyszany dawno temu. Chyba trochę rozumiałem, dlaczego krewni uważali, że łączą nas bliższe stosunki.

Po siedmiu czy ośmiu przystankach kuzyn znowu spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Daleko jeszcze?

– Jeszcze trochę dalej. To wielki szpital, nie da się przegapić.

Bezmyślnie przyglądałem się starszym ludziom i obserwowałem, jak wpadający przez okna wiatr muska ich czapki i chusteczki na szyjach. Kim oni są? I dokąd się mogą wybierać?

– Słuchaj, czy ty będziesz pracował w firmie mojego ojca? – zapytał kuzyn.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Jego ojciec, a mój wuj, prowadził w Kobe dość dużą drukarnię. Ale ja nawet się nie zastanawiałem nad taką możliwością ani nikt mi jej nie sugerował.

– Nic o tym nie słyszałem – odparłem. – Dlaczego pytasz?

Kuzyn poczerwieniał. – Tak tylko pomyślałem, że może przypadkiem. Przecież byłoby świetnie. Mógłbyś wtedy na stałe tu zostać. Wszyscy by się cieszyli.

Głos z taśmy podał nazwę następnego przystanku. Nikt nie nacisnął guzika na żądanie. Ani nikt nie czekał na autobus.

– Po powrocie do Tokio mam różne rzeczy do zrobienia – powiedziałem. Kuzyn w milczeniu kiwnął głową.

Nie mam absolutnie nic do zrobienia. Ale tu na pewno nie mogę zostać.

Autobus wjeżdżał po zboczach góry i domy stały się coraz rzadsze, a gęstwina gałęzi rzucała na drogę coraz głębszy cień. Pokazały się też pomalowane i otoczone niskimi płotami domy cudzoziemców. Wiatr stał się chłodniejszy. Na każdym zakręcie drogi ukazywało się i znikało morze. Podziwialiśmy widoki aż do samego szpitala.

Kuzyn powiedział, że zabieg trochę potrwa i sam da sobie radę, więc mam gdzieś na niego poczekać. Przywitałem się zdawkowo z lekarzem prowadzącym, wyszedłem z gabinetu i skierowałem się do stołówki. Rano prawie nie jadłem śniadania, toteż byłem głodny, ale

nie miałem ochoty na żadną potrawę z jadłospisu. W końcu zamówiłem tylko kawę.

Może dlatego, że było wczesne popołudnie w dzień powszedni, prócz mnie była tu tylko jedna rodzina. Ojciec, chyba czterdziestoparoletni, miał na sobie piżamę w granatowe paski oraz plastikowe kapcie. W odwiedziny przyszła matka z małymi bliźniaczkami. Dziewczynki w takich samych białych sukieneczkach siedziały pochylone nad stolikiem i z namaszczeniem piły sok pomarańczowy. Obrażenia czy dolegliwości ojca nie wyglądały na zbyt poważne i zarówno rodzice, jak i dzieci, wyglądali z każdą chwilą na coraz bardziej znudzonych.

Za oknem rozciągał się trawnik. Tu i tam obracały się z szumem zraszacze i rozpryskiwały na trawę kropelki białego światła. Nad trawnikiem przeleciały, krzycząc, dwa ptaki o długich ogonach, wkrótce zniknęły z pola widzenia. Za ogrodem widać było korty tenisowe, lecz siatki pozdejmowano i nie było tam żywego ducha. Po drugiej stronie kortów rósł rząd brzostownic, między ich gałęziami przezierało morze. Drobne fale tu i tam odbijały oślepiający blask słońca wczesnego lata. Wiatr nadlatujący spomiędzy drzew poruszał świeżymi liśćmi i odrobinę wyginał regularne linie rozprysku zraszaczy.

Zdawało mi się, że dawno temu widziałem gdzieś podobny widok. Rozległy ogród z trawnikiem, bliźniaczki piły sok pomarańczowy, dokądś leciały ptaki z długimi ogonami, za kortami bez siatek widać było morze... To złudzenie. Bardzo realne i silne, ale dobrze wiedziałem, że to tylko złudzenie. Byłem w tym szpitalu po raz pierwszy.

Położyłem nogi na sąsiednim krześle, odetchnąłem i zamknąłem oczy. W ciemności dostrzegłem białą bryłę. Rosła i kurczyła się, jak mikroorganizm widziany przez mikroskop. Zmieniała kształt, rozpadła się, przeobraziła się w drobne cząsteczki i znów połączyła w całość.

Do *tamtę*go szpitala pojechałem osiem lat temu. Niewielki szpital niedaleko morza. Z okna stołówki było widać jedynie oleandry. W starym budynku zawsze pachniało deszczem. Dziewczyna mojego przyjaciela przeszła operację klatki piersiowej i pojechaliśmy ją odwiedzić. Było to lato w drugiej klasie liceum.

Niezbyt poważna operacja – prawidłowo ustawili jej jedno z żeber, które było z natury za bardzo wklęsnięte. Zabieg nie był wtedy konieczny, ale skoro i tak kiedyś musieliby go przeprowadzić, to równie dobrze mogli od razu. Sama operacja trwała bardzo krótko, lecz dziewczyna musiała po niej leżeć, więc spędziła w szpitalu aż dziesięć dni. Pojechaliśmy tam we dwóch na motorze Yamaha 125 cc. W tamtą stronę prowadził przyjaciel, z powrotem ja. Prosił, żebym z nim pojechał. – Nie chcę sam jechać do szpitala – powiedział.

Wstąpił do cukierni przed dworcem i kupił pudełko czekoladek. Jedną ręką trzymałem go za pasek, a w drugiej ścisnąłem te czekoladki. Dzień był upalny, koszule robiły się nam mokre od potu, potem wiatr je suszył i tak w kółko się to powtarzało. Prowadząc motor, śpiewał okropnym głosem jakąś bezsensowną piosenkę. Jeszcze pamiętam zapach jego potu tego dnia. Ten przyjaciel wkrótce zmarł.

Miała na sobie niebieską piżamę, a na nią narzuciła coś w rodzaju cienkiego szlafroka do kolan. Siedzieliśmy we trójkę przy stoliku w stołówce, paliliśmy short hope'y, piliśmy colę i jedliśmy lody. Ona miała straszny apetyt, więc zjadła dwa pączki posypane pudrem i wypła kakaó, dodając dużo śmietanki. Ale dalej wydawała się głódna.

– Wychodząc ze szpitala, będziesz gruba jak świnia – powiedział przyjaciel zrezygnowany.

– Nie szkodzi, to okres rekonwalescencji – odparła, wycierając serwetką zatuszczone pączkami palce. Podczas gdy oni rozmawiali, ja patrzyłem na oleandry za oknem. Wielkie krzewy tworzyły nieomal zagajnik. Słyszeć też było szum fal. Klamka okna

zardzewiała od morskiego wiatru. Pod sufitem wisiał przypominający antyk wentylator, mieszający duszne powietrze. W stołówce pachniało szpitalem. Potrawy i napoje też pachniały szpitalem, jakby się zmówiły. Góra jej pizamy miała dwie kieszonki na piersi. W jednej z nich tkwił mały złoty długopis. Kiedy dziewczyna się pochylała, w wycięciu pizamy widać było nieopalone, drobne, białe piersi.

Moje myśli nagle tu się zatrzymują. Co było dalej – zastanawiam się. Piłem colę, patrzyłem na oleandry, na jej piersi, a co było potem? Poprawiam się na plastikowym krześle i z brodą podpartą na dłoni odkopuję warstwy wspomnień. Jakbym wydłubywał cienkim ostrzem korek z butelki.

... odwróciłem wzrok i spróbowałem sobie wyobrazić, jak lekarze rozcinają jej pierś, wkładają do środka palce w gumowych rękawiczkach i zmieniają położenie kości. Lecz wydawało mi się to strasznie nierzeczywiste. Przypominało jakąś alegorię.

Tak, potem rozmawialiśmy o seksie. Mówił mój przyjaciel. Co mówił? Pewnie coś o mnie. O tym, jak próbowałem bezskutecznie poderwać dziewczynę – chyba opowiedział jakąś taką historię. W rzeczywistości nie było to żadne ważne wydarzenie, ale on je rozdmuchał i dowcipnie relacjonował, więc dziewczyna śmiała się, krzywiąc z bólu. – Jak się śmieję, to mnie jeszcze boli.

– Gdzie cię boli? – zapytał przyjaciel.

Przycisnęła palcem pizamę powyżej serca, między mostkiem a lewą piersią. Przyjaciel zażartował na ten temat, a ona znowu się roześmiała.

Patrzę na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć, kuzyn jeszcze nie wrócił. Zbliżała się pora obiadu i w stołówce zaczął się robić tłok. Różne dźwięki i głosy rozmów mieszały się i wypełniły pomieszczenie jak dym. Jeszcze raz wracam na teren wspomnień. Myślę o małym złotym długopisie w kieszonce na piersi jej pizamy.

... słusznie, narysowała nim coś na odwrocie papierowej serwetki.

Narysowała obrazek. Serwetka była za miękka i czubek długopisu zaczepiał o papier. Mimo to narysowała wzgórze. Na szczycie wzgórza mały domek. W tym domku śpi samotna kobieta. Wokół rozrosły się ślepe wierzby. Ślepe wierzby ją uspiły.

- Co to u licha są ślepe wierzby? – zapytał przyjaciel.
- Są takie drzewa.
- Nigdy nie słyszałem.
- Ja je wymyśliłam – uśmiechnęła się. – Wytwarzają pyłek o dużej mocy. Pokryta tym pyłkiem mała muszka dostaje się do ucha i usypia kobietę.

Wzięła nową serwetkę i narysowała ślepą wierzbę. Była mniej więcej wielkości krzewu azalii. Kwitnie, lecz kwiaty są całkowicie ukryte w gąszczu grubych zielonych liści. Liście wyglądają jak pęki jaszczurczych ogonów. Ślepa wierzba niezbyt przypomina wierzbę.

– Masz papierosa? – zapytał mnie przyjaciel. Rzuciłem mu nad stolikiem mokre od potu pudełko short hope'ów i zapałki.

– Ślepa wierzba wygląda na małą, ale ma strasznie długie korzenie – wyjaśniła dziewczyna. – Prawdę mówiąc, po osiągnięciu pewnego wieku przestaje rosnać w górę i rośnie tylko w dół i w dół. Zupełnie jakby żywiła się ciemnością.

– I muszka z tym pyłkiem wierzby dostaje się do ucha kobiety i usypia ją, tak? – zapytał przyjaciel, z trudem zapalając papierosa wilgotnymi zapałkami. – A potem... co ta muszka robi?

- Zjada od wewnątrz ciało kobiety, oczywiście.
- Mniam, mniam.

Tak, tego lata ona napisała długi wiersz o ślepych wierzbach i opowiedziała nam, o co w nim chodzi. Była to jej jedyna praca domowa na te wakacje. Historię tę wymyśliła na podstawie snu, który miała pewnej nocy, i przez tydzień spędzony w łóżku napisała

długi wiersz. Przyjaciel powiedział, że chciałby przeczytać, ale ona odmówiła pokazania go, mówiąc, że jeszcze nie dopracowała szczegółów, i zamiast tego narysowała obrazek i wyjaśniła, o czym jest ten wiersz.

Pewien młody mężczyzna wszedł na wzgórze, chcąc uratować kobietę uśpioną pyłkiem ślepej wierzby.

– To na pewno ja – wtrącił przyjaciel.

Ona potrząsnęła głową. – Nie, to nie ty.

– A skąd wiesz? – zapytał przyjaciel.

– Wiem – odpowiedziała z poważną miną. – Nie wiem, skąd wiem. Ale wiem. Przykro ci?

– Oczywiście – powiedział przyjaciel, na wpół żartobliwie marszcząc brwi.

Młodzieniec wspinał się powoli na wzgórze, rozgarniając ślepe wierzby, których gęste gałęzie zagraadzały mu drogę. Prawdę mówiąc, od czasu gdy rozrosły się ślepe wierzby, nikt się tu nie zapuszczał. Szedł z czapką głęboko nasuniętą na oczy, odgarniając ręką rojące się muszki. Chciał znaleźć śpiącą dziewczynę. Chciał ją obudzić z długiego, głębokiego snu.

– Ale okazało się, że ciało dziewczyny na szczycie wzgórza było już całkowicie zjedzone przez muchy, tak? – zapytał przyjaciel.

– W pewnym sensie – odparła.

– Jeżeli było w pewnym sensie całkowicie zjedzone przez muchy, musi to być w pewnym sensie smutna historia.

– Właściwie tak – powiedziała ona po krótkim namyśle. – A ty jak sądzisz? – zapytała mnie.

– Brzmi jak smutna historia – odpowiedziałem.

Kuzyn wrócił o dwunastej dwadzieścia. Pojawił się w drzwiach stołówki z jakąś niewyraźną miną, niósł torebkę z lekarstwami. Dość dużo czasu upłynęło, zanim spostrzegł mój stolik i podszedł. Nieporadnie stawiał kroki, zdawało się, że nie może złapać

równowagi. Usiadł naprzeciw mnie i wziął głęboki oddech, jakby przedtem był na to zbyt zajęty.

– Jak było? – zapytałem.

– Uhm – powiedział. Czekałem przez chwilę, aż zacznie mówić, ale się nie odzywał.

– Zgłodniałeś?

W milczeniu skinął głową.

– To zjemy tutaj? Czy pojedziemy autobusem do miasta i tam zjemy? Co wolisz?

Kuzyn bez przekonania rozejrzał się po sali, ale powiedział, że może być tu. Zamówiłem dwa zestawy obiadowe i zapłaciłem. Do czasu, kiedy przyniesiono nam jedzenie, kuzyn w milczeniu wyglądał przez okno, podziwiając ten sam krajobraz, co ja przed chwilą: morze, rząd brzoźownic, zraszacze.

Przy sąsiednim stoliku schludnie ubrane małżeństwo w średnim wieku zajadało kanapki; rozmawiało o znajomym leżącym w szpitalu z rakiem płuc. Że pięć lat temu przestał palić, ale musiało już być za późno, że rano miał straszny krwotok – tego typu rozmowy. Żona zadawała pytania, a mąż odpowiadał. Rak to w pewnym sensie skondensowany tryb życia danej osoby, wyjaśniał mąż.

Na obiad zamówiliśmy kotlet mielony i smażoną białą rybę. Do tego podali sałatkę i bułki. Zjedliśmy w milczeniu, siedząc naprzeciw siebie. W tym czasie para obok dalej rozprawiała z zapalem o tym, jak rak się zaczyna, dlaczego ostatnio jest więcej przypadków, dlaczego nie ma skutecznego lekarstwa i tak dalej.

– Wszędzie jest mniej więcej tak samo – powiedział kuzyn nieco bezdźwięcznym głosem, patrząc na swoje dłonie. – Wszyscy o to samo pytają i robią takie same badania.

Czekaliśmy na autobus na ławce przed bramą szpitala. Co jakiś czas wiatr potrząsał zielonymi liśćmi nad naszymi głowami.

– Czasami całkiem przestajesz słyszeć? – zapytałem kuzyna.

– Tak. Nic nie słyszę.

– A jakie to uczucie?

Kuzyn zastanawiał się z przechyloną głową. – Nagle się orientuję, że nie słyszę żadnych dźwięków. Ale dość dużo czasu upływa, zanim się zorientuję. Kiedy się orientuję, już nic nie słyszę. Jakbym siedział na dnie głębokiego morza z korkami w uszach. I to trwa przez pewien czas. Przez ten czas rzeczywiście nic nie słyszę, ale to nie ogranicza się do uszu. Utrata słuchu to tylko część *tego*.

– Czy to jest nieprzyjemne?

Kuzyn krótko; zdecydowanie potrząsnął głową. – Nie wiem dlaczego, ale nie jest nieprzyjemne. Tylko z różnych względów niewygodne.

Zastanowiłem się, ale nie bardzo potrafiłem sobie to wyobrazić.

– Widziałeś *Masakrę Fortu Apache* Johna Forda? – zapytał kuzyn.

– Bardzo dawno temu.

– Ja niedawno widziałem, bo pokazywali w telewizji. Bardzo ciekawy film.

– Uhm – przytaknąłem.

– Na początku do fortu na Dzikim Zachodzie przyjeżdża nowo mianowany generał[1]. Tego generała wita kapitan weteran, to był John Wayne. Ten generał niewiele wie o sytuacji na Zachodzie. Wokół fortu buntują się Indianie.

Kuzyn wyjął z kieszeni białą złożoną chusteczkę i otarł nią usta.

– Po przyjeździe do fortu generał mówi do Johna Wayne’a: – Widziałem po drodze kilku Indian. – A wtedy John Wayne z kamienną twarzą odpowiada: – W porządku. Skoro pan generał widział Indian, to znaczy, że tam Indian nie ma. – Nie pamiętam dokładnie, co powiedział, ale mniej więcej coś takiego. Wiesz, o co mu chodziło?

Nie pamiętałem tego dialogu z *Masakry Fortu Apache*. Wydawało mi się to trochę zbyt skomplikowane, jak na dialog z filmu Johna

Forda. Ale widziałem ten film bardzo dawno temu.

– Chodzi o to, że jeśli każdy to widzi, to nie może być nic ważnego? Nie jestem pewien.

Kuzyn zmarszczył brwi. – Ja też nie rozumiem, ale wiesz, jak mi ktoś współczuje z powodu uszu, za każdym razem sobie to przypominam. „Skoro pan widział Indian, to znaczy, że tam Indian nie ma”.

Zaśmiałem się.

– Bawi cię to?

– Bawi – powiedziałem. Kuzyn też parsknął śmiechem. Dawno się nie śmiał.

Po krótkiej przerwie odezwał się, jakby wyznawał jakiś sekret. – Słuchaj, mógłbyś mi zajrzeć do ucha?

– Mam ci zajrzeć do ucha? – zapytałem lekko zdziwiony.

– Wystarczy, że trochę spojrzysz z zewnątrz – odparł kuzyn, czerwieniąc się. – Chciałem, żebyś zobaczył, jak tam wygląda.

– Dobra. Zobaczę.

Kuzyn usiadł do mnie tyłem i skierował ku mnie prawe ucho. Było bardzo kształtne. Raczej drobne, lecz płatek miało pulchny, jak świeżo upieczona magdalenka. Po raz pierwszy przyglądałem się uważnie czyjemuś uchu. Kiedy je tak obserwowałem, miałem wrażenie, że w porównaniu z innymi organami ciała w uchu jest coś morfologicznie niezrozumiałego. W różnych miejscach było nieomal absurdalnie powyginane, miało wklęsłości i wypukłości. Może w procesie ewolucji naturalnie przybrało taki kształt, starając się udoskonalić funkcje gromadzenia dźwięków i ochrony wnętrza. Otoczony takimi powyginanymi ściankami otwór był ciemny jak wejście do tajemniczej jaskini.

Pomyślałem o małych muszkach gniezdzących się w jej uchu. Z szczęcioma nóżkami oblepionymi słodkim pyłkiem wślizgiwały się w jej ciepłą ciemność, jadły jej jasnoróżowe ciało, siorbały soki, składały w mózgu małe jajeczka. Ale nie było ich widać. Nie było słychać szelestu.

– Już wystarczy – powiedział kuzyn.

Odwrócił się przodem i poprawił się na ławce. – No i jak? Coś było nie tak?

– Z zewnątrz wszystko wydaje się zupełnie normalne.

– Może coś specjalnego wyczułeś, albo coś w tym rodzaju?

– Zupełnie normalne ucho.

Kuzyn wyglądał na rozczarowanego. Pewnie powiedziałem nie to, co trzeba.

– Zabieg był bolesny? – zapytałem.

– Nieszczęśliwie. Tak samo jak przedtem. Zawsze gmerają w tym samym miejscu i wydaje mi się, że tam mi się już wszystko wytarło. Jakby to nie było moje ucho.

– 28 – powiedział kuzyn nieco później, zwracając się w moją stronę. – Musimy wsiąść w autobus 28, prawda?

Zamyśliłem się nad czymś, a kiedy na jego słowa podniosłem głowę, zobaczyłem, jak autobus zwalnia na zakręcie pod górę. Nie był to autobus nowego typu, lecz stary, taki, jakie pamiętałem. Z przodu miał numer „28”. Chciałem się podnieść z ławki, ale nie udało mi się. Nie mogłem poruszyć ręką ani nogą, zupełnie jakbym znalazł się w wodzie z silnym prądem.

Myślałem wtedy o pudełku czekoladek, jakie zanieśliśmy jej tego lata, idąc z wizytą do szpitala. Kiedy uradowana podniosła pokrywkę, okazało się, że tuzin czekoladek był kompletnie rozpuszczony – przywierały do pokrywki i papierowych przegródek. W drodze do szpitala zatrzymaliśmy się nad morzem. Położyliśmy się na plaży i gadali o różnych rzeczach. Zostawiliśmy wtedy pudełko czekoladek w bezlitosnych promieniach sierpniowego słońca. I tak przez naszą nieuwagę i nonszalancję zniszczyliśmy czekoladki. Rozpłynęły się i przepadły. Powinniśmy coś z tego powodu poczuć. Ktoś, wszystko jedno kto, powinien był powiedzieć coś, co miałoby jakieś znaczenie. Ale tamtego popołudnia nie czuliśmy nic, poopowiadaliśmy sobie głupie dowcipy

i rozstaliśmy się. A wzgórze porośnięte gęsto ślepyimi wierzbami pozostawiliśmy samo sobie.

Kuzyn mocno chwycił mnie za ramię.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Wróciłem do rzeczywistości i podniosłem się z ławki. Tym razem udało mi się wstać. Znowu poczułem na skórze majowy wiatr, za którym tęskniłem. Potem jeszcze przez kilka sekund byłem w dziwnym, mrocznym miejscu. W miejscu, w którym nie istnieje to, co widać, a istnieje to, czego nie widać. Lecz wkrótce stanie mi przed oczami realny autobus numer 28, otworzą się jego realne drzwi. Wsiądę do niego i pojedę gdzieś indziej.

Położyłem rękę na ramieniu kuzyna. – W porządku – powiedziałem.



Jej urodziny

バースデイ・ガール

Bāsudei-gāru

W dniu swoich dwudziestych urodzin jak zwykle pracowała jako kelnerka. W piątki zawsze na nią wypadało, ale w normalnej sytuacji w *ten* piątek nie musiałaby pracować. Inna kelnerka zgodziła się ją zastąpić. No tak, przecież roznoszenia do stolików gości *gnocchi* z nadzieniem z dyni czy *fritto misto* z owoców morza przy akompaniamencie wrzasków wściekającego się kucharza nie da się uznać za dobry sposób na spędzenie dwudziestych urodzin[2]. Ale koleżanka, która miała ją zastąpić, przeziębila się i właśnie jej się pogorszyło. Podobno miała prawie czterdzieści stopni gorączki, biegunkę i musiała zostać w łóżku, więc w ostatniej chwili okazało się, że jednak musi iść do pracy.

– Nie przejmuj się – powiedziała do telefonu, chcąc pocieszyć koleżankę, która ją przeproszała. – Prawda, że to moje dwudzieste urodziny, ale nie mam żadnych specjalnych planów.

Prawdę mówiąc, nie była bardzo rozczarowana. Między innymi dlatego, że kilka dni wcześniej poważnie pokłóciła się z chłopakiem, z którym miała spędzić urodzinowy wieczór. Chodziła z nim od szkoły średniej. Powodem sprzeczki była jakaś drobnostka, lecz nieoczekiwanie rozmowa się skomplikowała, żadne z nich nie chciało pozostać drugiemu dłużne, przez pewien czas trwała gwałtowna kłótnia, aż oboje odnieśli wrażenie, że zerwały się więzy, które ich do tej pory łączyły, i nie da się tego naprawić. Coś w niej skamieniało, umarło. Od czasu tej kłótni nie dzwonił, ona też nie miała ochoty telefonować do niego.

Pracowała w dość znanej włoskiej restauracji w Roppongi[3]. Lokal istniał od połowy lat sześćdziesiątych i choć potrawy, które w nim podawano, nie odzwierciedlały może najnowszych trendów kulinarnych, były jednak zupełnie przyzwoite i nie nudziły się klientom. Atmosfera też nie była sztywne, tylko relaksująco spokojna. Większość stałych klientów stanowili ludzie starsi, wśród nich kilku słynnych aktorów i pisarzy.

W restauracji zatrudniano dwóch etatowych kelnerów pracujących sześć dni w tygodniu. Ona i ta druga studentka dorabiały sobie na zmianę po trzy dni w tygodniu. Poza tym był kierownik sali. Przy kasie siedziała chuda kobieta w średnim wieku[4]. Podobno siedziała tam bez przerwy od chwili powstania restauracji. Nigdy się z tego miejsca nie ruszała, jak ponura staruszka w *Małej Dorrit* Dickensa. Przyjmowała od klientów pieniądze i odbierała telefony. Nie robiła nic poza tym. Odzywała się, tylko kiedy to było konieczne. Zawsze nosiła czarną sukienkę. Miała w sobie jakiś chłód, coś nieugiętego. Gdyby ją wrzucić nocą do morza, biada statkowi, który by się z nią zderzył – zatonałby.

Czterdziestoparoletni kierownik sali był wysoki, szeroki w ramionach, za młodu prawdopodobnie miał sylwetkę sportowca, ale teraz na brzuchu i pod brodą zaczęło mu przybywać niepotrzebnego ciała. Krótkie sztywne włosy nieco się przerzedziły na czubku głowy. Otaczał go zapach charakterystyczny dla starzejących się kawalerów. Jakby woń szuflady, do której ktoś włożył na pewien czas gazety i drażetki na kaszel. Tak samo pachniał jej samotny wujek.

Kierownik sali zawsze nosił czarny garnitur, białą koszulę i muszkę. Nie przypinaną, a prawdziwą, wiążaną. Potrafił ją zręcznie zawiązać bez patrzenia w lustro. Był z tego dumny. Do jego obowiązków należało orientowanie się, kto wchodzi i kto wychodzi z restauracji, pamiętanie rezerwacji i nazwisk stałych klientów, witanie ich z uśmiechem, kiedy się pojawiali, wysłuchiwanie w skupieniu zażaleń gości, udzielanie w miarę możliwości szczegółowych odpowiedzi na ewentualne pytania dotyczące win, nadzorowanie pracy kelnerów i kelnerek. Dzień za dniem zawsze taktownie wypełniał te obowiązki. I jeszcze jeden dodatkowy – zanosił kolację właścicielowi.

– Właściciel miał mieszkanie na piątym piętrze w tym samym budynku. Mieszkanie, a raczej biuro – mówi.

Jakoś zgadało nam się o dwudziestych urodzinach. O tym, jak każde z nas je spędziło. Większość ludzi dokładnie pamięta ten dzień. Od jej dwudziestych urodzin minęło już ponad dziesięć lat.

– Ale z jakiejś przyczyny właściciel nigdy nie pokazywał się w restauracji. Widywał się z nim tylko kierownik sali i do niego należało dostarczanie szefowi posiłków. Dlatego nikt z nas, niżej postawionych pracowników, nigdy go nie widział.

– To znaczy, że ten właściciel codziennie zamawiał kolację z własnej restauracji?

– Tak – odpowiada ona. – Codziennie po ósmej kierownik sali zanosił kolację właścicielowi. O tej porze w restauracji panował największy tłok i było nam bardzo nie na rękę, że kierownik właśnie wtedy zniknął, ale od dawna tak się przyjęło, więc nie było rady. Potrawy stawiano na wózku, takim jak te używane przez room service w hotelach, kierownik sali z usługną miną popychał wózek, wsiadał z nim do windy, a po piętnastu minutach wracał. Po godzinie znowu szedł na górę i przywoził wózek z pustymi talerzami i szklankami. Codziennie dokładnie tak samo, jak w zegarku. Kiedy to pierwszy raz widziałam, wydało mi się strasznie dziwne. Zupełnie jak jakaś religijna ceremonia, prawda? Ale wkrótce przywykłam i więcej o tym nie myślałam.

Właściciel zawsze jadł kurczaka. Sposób przyrządzenia i jarzyny, które do niego podawano, codziennie nieco się różniły, ale główną potrawą musiał być kurczak. Młody kucharz powiedział mi w zaufaniu, że kiedyś przez tydzień posyłał szefowi takiego samego pieczonego kurczaka, ale szef wcale nie narzekał. Każdy kucharz, jak to kucharz, chce wymyślić coś nowego, w przeszłości różni kucharze modyfikowali sposób przyrządzania, zmieniali dodawane składniki, wypróbowywali wszelkie możliwe potrawy z kurczaka. Do nich wymyślne sosy. Wypróbowywali też różnych dostawców kurczaków. Lecz te wysiłki szły na marne. Nie było absolutnie żadnej reakcji. I w końcu każdy kucharz poddawał się i zaczynał

dzień po dniu robić najzwyklejsze potrawy. Wymagano od niego jedynie tego, że *ma być kurczak*.

W dzień swoich urodzin, siedemnastego listopada, rozpoczęła jak zwykle pracę na swojej zmianie. Po dwunastej zaczął kropić deszcz, a późnym popołudniem zmienił się w straszną ulewę. O piątej zwołano pracowników i kierownik sali wyjaśnił im, jakie specjalności zakładu będą serwowane tego dnia. Kelnerzy i kelnerki musieli wszystko zapamiętać słowo w słowo. Bez ściągawek. Cielęcina *milanese*, makaron z sardynkami i kapustą, mus z kasztanów. Czasami kierownik udawał gościa i zadawał jakieś pytanie, a oni musieli odpowiadać. Potem podawano pracownikom posiłek. Tak zwany posiłek regeneracyjny. Trzeba było za wszelką cenę uniknąć sytuacji, że kelnerowi oferującemu gościom wyjaśnienia na temat menu burczy w brzuchu.

Restaurację otwierano o szóstej, lecz z powodu ulewy klienci zaczęli się pojawiać później niż zwykle. Odwołano kilka rezerwacji. Kobiety nie lubią, kiedy mokną im sukienki. Kierownik sali z niezadowoleniem zacisnął usta, kelnerzy z nudów polerowali solniczki i rozmawiali z kucharchem o gotowaniu. Ona, rozglądając się po sali z jednym zajęтым stolikiem, przysłuchiwała się dobiegającym z głośników pod sufitem tonom klawesynu. Restaurację wypełniał deszczowy zapach późnej jesieni.

Kierownik poczuł się źle po pół do siódmej. Chwiejnie opadł na krzesło i przez pewien czas przyciskał dłonie do brzucha. Zupełnie jakby ktoś go postrzelił. Czoło miał zroszone potem. Chyba lepiej jechać do szpitala, powiedział z trudem. Nigdy się nie zdarzyło, żeby kierownik niedomagał. Nie opuścił ani jednego dnia pracy, od kiedy zatrudniono go w tej restauracji ponad dziesięć lat temu. Nigdy nie chorował, nawet nigdy się nie skaleczył. Z tego też był dumny. Teraz wykrzywiona bólem twarz była dowodem na to, że sytuacja jest dość poważna.

Dziewczyna wyszła z parasolką na ulicę i złapała taksówkę. Jeden z kelnerów, podtrzymując kierownika, prowadził go to taksówki i zamierzał zawieźć do pobliskiego szpitala. Zanim wsiadł, kierownik zwrócił się do niej chrapliwym głosem: – O ósmej zanieś kolację do

604. Wystarczy, że naciśniesz dzwonek, powiesz, że przyniosłaś kolację, i zostawisz.

– Do 604 – powtórzyła.

– Punktualnie o ósmej – podkreślił kierownik. Potem znów się skrzywił. Automatyczne drzwi taksówki zamknęły się i odjechali.

Po odjeździe kierownika deszcz nie zelżał, a gości nadal nie przybywało. Zajęty był tylko jeden czy dwa stoliki. Dlatego fakt, że ubyto jednego kelnera i kierownika, nie stanowił problemu. Deszcz okazał się szczęściem w nieszczęściu. Bo przecież zdarzało się nieraz, że nawet kiedy wszyscy byli na stanowiskach, nie dawali sobie rady, jeśli panował tłok.

O ósmej kolacja dla właściciela była gotowa, więc dziewczyna wsiadła z wózkiem do windy i pojechała na piąte piętro. Częściowo odkorkowana mała butelka czerwonego wina, dzbanek kawy, potrawa z kurczaka, jarzyny na gorąco, bułeczki i masło, jak zawsze. Ciasna winda wypełniła się duszącym zapachem mięsnej potrawy. Zmieszała się z nim woń deszczu. Ktoś musiał jechać windą z mokrą parasolką, bo na podłodze była niewielka kałuża. Dziewczyna podeszła korytarzem do drzwi z napisem 604 i jeszcze raz sprawdziła w pamięci, że to dobry numer. 604. Chrząknęła i nacisnęła dzwonek.

Nie było odpowiedzi. Stała tak przed drzwiami około dwudziestu sekund. Kiedy zamierzała jeszcze raz zadzwonić, drzwi nagle się otworzyły i ukazał się w nich szczupły drobny staruszek. Musiał być z dziesięć centymetrów niższy od niej. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat. Do białej koszuli krawat w kolorze jesiennych liści. Ubranie było bardzo schludne, bez jednego zagniecenia, siwe włosy starannie ułożone, wyglądał, jakby wybierał się na jakieś wieczorne przyjęcie. Na czole wyźłobione kilka zmarszczek. Przypominały głębokie doliny na zdjęciach lotniczych.

– Przyniosłam kolację – powiedziała zachrypniętym głosem. Potem jeszcze raz lekko chrząknęła. Kiedy była zdenerwowana, zawsze dostawała chrypy.

– Kolację?

– Tak. Kierownik nagle źle się poczuł, więc dziś ja przyniosłam w jego zastępstwie.

– Aha – powiedział staruszek z dłonią na klawiszu, jakby sam siebie chciał przekonać. – Coś takiego. Źle się czuje?

– Tak. Nagle rozboleł go brzuch. Więc pojechał do szpitala. Mówił, że to może być wyrostek robaczkowy.

– To niedobrze – powiedział staruszek. Przesunął palcami po zmarszczkach na czole. – To bardzo niedobrze.

Ona znów chrząknęła. – Eee... czy mam wnieść kolację do środka?

– A, tak, oczywiście – odparł staruszek. – Oczywiście. Proszę bardzo. Jeśli sobie życzysz.

Jeśli sobie życzę? Bardzo dziwnie powiedziane, pomyślała. Niby czego ja mogę sobie życzyć?

Staruszek otworzył szeroko drzwi, a ona wepchnęła wózek do mieszkania. Podłogę wyłożono szarą, cienką wykładziną i wchodząc do środka, nie zdejmowało się butów[5]. To miejsce służyło chyba raczej za biuro niż za mieszkanie, znajdował się tu duży gabinet. Za oknem w niewielkiej odległości widać było podświetlone Tokyo Tower. Przy oknie stało duże biurko, a obok niego – niewielki zestaw wypoczynkowy. Staruszek wskazał stolik przy kanapie. Był to długi i wąski niski stolik pokryty laminatem. Ustawiła na nim potrawy, ułożyła białą serwetkę i sztucę. Dzbaneq z kawą i filiżanka, wino i kieliszek, bułki i masło oraz talerz z pieczonym kurczakiem i warzywami na gorąco.

– Pozwolę sobie przyjść za godzinę. Czy mógłby pan jak zawsze wystawić naczynia na korytarz? – zapytała.

Staruszek przez chwilę przyglądał się potrawom na stoliku, a potem, jakby sobie o niej przypomniał, odpowiedział: – A, oczywiście. Wystawię na korytarz. Postawię na wózku. Za godzinę. Jeśli tego sobie życzysz.

Tak, w tej chwili tego sobie życzę, pomyślała. – Czy mogę jeszcze czymś panu służyć?

– Nie, niczego więcej mi nie trzeba – powiedział po namyśle staruszek. Miał pięknie wypastowane czarne buty. Były to bardzo zwykowne buty w małym rozmiarze. Elegancko się ubiera, pomyślała. Jak na swój wiek bardzo prosto się trzyma.

– W takim razie pozwolę sobie już odejść.

– Nie, poczekaj chwilę – powiedział staruszek.

– Tak? Czym mogę służyć?

– Panienko, mogłabyś mi poświęcić pięć minut? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Panienko? Na to słowo mimowolnie się zaczerwieniła. – Tak, myślę, że mogę. To znaczy, na pięć minut.

Przecież to on jest moim pracodawcą, płaci mi stawkę godzinową. Nie może tu być mowy o moim poświęcaniu czasu jemu czy zabieraniu mnie czasu przez niego. A poza tym staruszek nie wyglądał na kogoś, kto ma złe zamiary.

– Nawiasem mówiąc, ile masz lat? – zapytał, stojąc obok biurka z założonymi rękami i patrząc jej prosto w oczy.

– Skończyłam dwadzieścia – odparła.

– *Skończyłaś* dwadzieścia – powtórzył. Zmrużył oczy, jakby zaglądał w jakąś szparę. – *Skończyłaś*, to znaczy, że niedawno skończyłaś, tak?

– Tak, dopiero co skończyłam – powiedziała, a po krótkim wahaniu dodała: – Właściwie dziś są moje urodziny.

– Aha – powiedział staruszek usatysfakcjonowany i pogładził brodę. – Ach tak? Aha. To znaczy, że dzisiejszy dzień jest dniem twoich dwudziestych urodzin?

W milczeniu przytaknęła.

– Dokładnie dwadzieścia lat temu przyszedł na świat.

– Tak, proszę pana.

– Aha, aha. To bardzo dobrze. Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję bardzo – odpowiedziała.

Właściwie on jako pierwszy składał jej dziś życzenia urodzinowe. Chociaż, jak wróci do domu, może na sekretarce będzie wiadomość od rodziców, którzy mieszkali w prefekturze Ōita.

– Wszystkiego najlepszego – powtórzył staruszek. – To naprawdę wspaniale. No jak, panienko, może napijemy się czerwonego wina za twoje zdrowie?

– Dziękuję bardzo. Ale jestem w pracy.

– Jeden łyeczek nie zaszkodzi. Skoro ja cię częstuję, nikt nie będzie mógł mieć do ciebie pretensji. Wystarczy tylko symbolicznie za pomyślność.

Staruszek wyciągnął korek z butelki, nalał jej trochę wina do kieliszka, z małej szafki ze szklanymi drzwiczkami wyjął zupełnie zwyczajną szklaneczkę i nalał sobie; wzniosł toast.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział. – Żeby twoje życie, panienko, było owocne i bogate. Żeby nic nie rzucało na nie cienia.

Żeby nic nie rzucało na nie cienia, powtórzyła w myślach słowa staruszka. Dlaczego on używa takich trochę niezwykłych wyrażeń?

– Tylko raz w życiu ma się dwudzieste urodziny. To jest dzień, którego niczym nie da się zastąpić, panienko.

– Tak – odpowiedziała. Potem ostrożnie wypić łyk wina.

– W taki szczególny dzień specjalnie się fatygowałaś, żeby mi przynieść kolację. Zupełnie jak dobra wróżka.

– Ja przecież tylko wykonałam polecenie przełożonego.

– Ale i tak to się liczy – oznajmił staruszek. Usiadł na pokrytym skórą krześle przy biurku, a jej wskazał kanapę. Przycupnęła więc na brzeżku z kieliszkiem wina w dłoni. Ustawiła równo stopy, obciągnęła spódnicę na kolanach. I znowu chrząknęła. Krople deszczu rysowały linie na szybie. W pokoju było zadziwiająco cicho.

– Dziś akurat są twoje dwudzieste urodziny, a do tego przyniosłaś mi ciepły, wspaniały posiłek – powiedział staruszek jeszcze raz,

jakby chcąc się upewnić. A potem z głośnym stuknięciem odstawił szklaneczkę na stół. – Los musiał tak zrządzić. Nie uważasz?

Kiwnęła głową bez przekonania.

– Więc – powiedział staruszek, dotykając węzła krawata o barwach jesiennych liści – chciałbym ci, panienko, dać prezent urodzinowy. W dwudzieste urodziny, w takim specjalnym dniu, potrzebna jest przecież specjalna pamiątka.

Potrząsnęła pośpiesznie głową. – Bardzo proszę nie brać sobie tego do serca. Przełożony mi kazał i ja po prostu dostarczyłam posiłek.

Staruszek obronnym gestem wyciągnął przed siebie obie dłonie. – Nie, nie, to ty sobie nie bierz do serca. Powiedziałem prezent, ale to nie jest nic materialnego. Nic nie kosztuje. Chodzi o to... – powiedział staruszek, kładąc dłonie na biurku. Powoli zaczerpnął powietrza. – Chodzi o to, że spełnię twoje życzenie, miła panienko, dobra wróżko. Chciałbym ci dać to, czego sobie życzysz. Wszystko jedno co. Może być dowolne życzenie. Oczywiście pod warunkiem, że masz jakieś życzenia.

– Życzenia? – powtórzyła bezdźwięcznie.

– Takie w rodzaju „chciałabym, żeby...”. To, czego sobie życzysz, panienko. Jeżeli masz jakieś życzenia, spełnię jedno. Mogę ci dać na urodziny taki prezent. Ale ponieważ możesz wyrazić tylko jedno życzenie, dobrze, dobrze się zastanów – powiedział staruszek, podnosząc palec. – Tylko jedno. Nie będziesz mogła później zmienić zdania i wycofać się.

Oniemiała. Życzenie? Deszcz niesiony wiatrem nieregularnie uderzał w okno. Milczeli, a staruszek patrzył dziewczynie w oczy. W jej uszach czas pulsował nierównomiernie.

– Mam sobie czegoś życzyć i to się spełni?

Staruszek nie odpowiedział. Dłonie położył na biurku, tylko się do niej uśmiechnął. Był to bardzo naturalny, przyjazny uśmiech.

– Masz jakieś życzenie, panienko? Czy nie masz? – zapytał łagodnie.

Spogląda na mnie. – To mi się naprawdę zdarzyło. Nie wymyśliłam sobie tego.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. Nie jest typem osoby, która wymyśla byle co. – I wypowiedziałas wtedy jakieś życzenie?

Patrzy na mnie przez pewien czas. Potem lekko wzdycha. – Przecież nie mogłam przyjąć tego, co mówi, za prawdziwe. Miałam już dwadzieścia lat, życie nie jest bajką. Ale jeśli to miał być żart, był całkiem dowcipny. Staruszek szybko się orientował, miał klasę i postanowiłam mu się nie sprzeciwiać. Przecież to moje dwudzieste urodziny. Nie wszystko musi być tak jak zawsze. Tak sobie pomyślałam. Nie chodziło o to, czy mu wierzę, czy nie.

Kiwam głową.

– Rozumiesz chyba, jak się czułam? Dzień się kończył na niczym: nic się nie działo, nikt mi nie składał życzeń, podawałam tylko tortelini z sosem z anchois. Mimo że to były moje dwudzieste urodziny.

Ponownie kiwam głową. – Rozumiem – mówię.

– Dlatego, tak jak mi kazał, wypowiedziałam jedno życzenie.

Staruszek przez pewien czas w milczeniu patrzył jej w oczy. Obie dłonie dalej trzymał na biurku. Leżało też na nim kilka grubych teczek, jakby ksiąg rachunkowych, przybory do pisania i kalendarz, stała lampa z zielonym abażurem. Jego drobne dłonie wyglądały tam jak część wyposażenia. Krople deszczu niezmiennie uderzały o szyby, za oknem widać było rozmazane światła Tokyo Tower.

Zmarszczki staruszka trochę się pogłębiły. – To znaczy, że takie jest twoje życzenie?

– Tak. Tak jest.

– Zdaje mi się, że to niezwykle życzenie jak na dziewczę w twoim wieku – powiedział staruszek. – Prawdę mówiąc, wyobrażałem sobie, że poprosisz o coś innego.

– Jeżeli to jest niedobre, wybiorę coś innego – odrzekła dziewczyna. Chrząknęła. – Może być coś innego. Coś wymyślę.

– Nie, nie – staruszek podniósł dłonie i potrząsnął nimi w powietrzu jak chorągiewkami. – Nie, wcale nie jest niedobre. Tylko po prostu się zdziwiłem, panienko, że nie życzysz sobie czegoś innego. Na przykład... że chciałabyś być ładniejsza albo mądrzejsza, albo bogata. Nie chcesz nic takiego, tak? Rzeczy, których życzą sobie zwyczajne dziewczęta.

Niespiesznie szukała właściwych słów. Przez ten czas staruszek spokojnie czekał w milczeniu. Jego dłonie znowu spoczęły spokojnie na biurku.

– Oczywiście chciałabym być piękna i mądra, i bogata też. Ale nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jaka bym się stała, gdyby coś takiego miało się sprawdzić. To mogłoby być dla mnie za dużo. Jeszcze nie bardzo uchwyciłam sens życia. Naprawdę. Nie bardzo rozumiem, na czym polega.

– Aha – splótł palce i rozplótł. – Aha.

– Czy może być takie życzenie?

– Oczywiście – odparł staruszek. – Oczywiście. Mnie to zupełnie nie przeszkadza.

Nagle wpatrzył się w jakiś punkt w przestrzeni. Jeszcze bardziej pogłębiły mu się zmarszczki na czole. Zupełnie jak zmarszczki mózgu pochłoniętego myśleniem. Zdawało się, że patrzy na coś unoszącego się w powietrzu, jakby mikroskopijne piórko niewidzialne gołym okiem. Następnie rozłożył ręce, lekko uniół się na krześle i energicznie uderzył dłońmi jedną o drugą. Rozległo się krótkie głuche klaśnięcie. Potem znów opadł na krzesło. Powiódł palcami po zmarszczkach na czole, jakby je zmiękczał, i spokojnie się uśmiechnął.

– No dobrze. Twoje życzenie zostało spełnione.

– Już zostało spełnione?

– Tak, już zostało spełnione. To była prosta sprawa. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, śliczna panienko. Wystawię wózek na

korytarz, nie martw się. Wracaj do pracy.

Wsiadła do windy i wróciła do restauracji. Może dlatego że wracała z pustymi rękami, czuła się dziwnie lekka, jakby stąpała po czymś nieznanym i miękkim jak puch.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś była trochę nieprzytomna – zawołał młodszy z kelnerów.

Uśmiechnęła się wymijająco i potrząsnęła głową. – Tak? Nic się nie stało.

– Słuchaj, jaki jest ten właściciel?

– Nie wiem. Nie bardzo zwróciłam uwagę – zbyła go.

Półtorej godziny później poszła zabrać puste naczynia. Stały na wózku na korytarzu. Podniosła pokrywę i zobaczyła, że wszystko zostało do czysta zjedzone, butelka po winie i dzbanek też były puste. Drzwi z numerem 604 stały przed nią zamknięte i obojętne. Przez pewien czas patrzyła na nie w milczeniu. Zdawało jej się, że w każdej chwili mogą się otworzyć. Lecz się nie otworzyły. Zjechała z wózkiem windą na dół i zniosła naczynia do mycia. Na widok jak zawsze opróżnionych do czysta talerzy kucharz obojętnie kiwnął głową.

– Nigdy więcej nie widziałam właściciela – mówi. – Okazało się, że kierownik miał zwykły ból brzucha i od następnego dnia znów sam dostarczał mu jedzenie, a ja od nowego roku zrezygnowałam z pracy. Odtąd tam nie byłam. Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że lepiej się do tego miejsca nie zbliżać. Miałam takie nieuzasadnione przeczucie.

Rozmyślając nad czymś, bawi się papierową podstawką pod szklankę. – Czasami zdaje mi się, że wszystko, co się zdarzyło w te dwudzieste urodziny, było tylko złudzeniem. Coś tam jakoś zadziało i zaczęłam myśleć, że zdarzyło się coś, co nigdy nie miało miejsca. Ale to niewątpliwie miało miejsce. Nawet teraz wyraźnie pamiętam ze szczegółami wszystkie meble i przedmioty z tego

mieszkania numer 604. To się w rzeczywistości stało i prawdopodobnie miało wielkie znaczenie.

Milkniemy na chwilę, każde z nas pije swojego drinka i każde z nas pewnie myśli o czymś innym.

– Czy mogę ci zadać jedno pytanie? Ściśle mówiąc, to będą dwa pytania.

– Proszę – odpowiada ona. – Wyobrażam sobie, że pewnie po pierwsze chciałbyś wiedzieć, jakie wyraziłam wtedy życzenie, prawda?

– Ale wyglądasz, jakbyś nie bardzo miała ochotę o tym mówić.

– Tak wyglądam?

Kiwam głową.

Odkłada podstawkę pod szklankę i mruży oczy, jakby wpatrywała się w coś daleko stąd. – Życzeń chyba nie wolno nikomu powtarzać.

– Nie mam zamiaru na siłę tego z ciebie wyciągać. Chciałbym po pierwsze wiedzieć, czy to życzenie naprawdę się spełniło. A poza tym, mniejsza o to, czego sobie życzyłaś, ale chcę wiedzieć, czy nie żałowałaś, że *wybrałaś właśnie to*. To znaczy, czy nie myślałaś: „Szkoda, że nie poprosiłam o coś innego”?

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi *yes* i *no*. Bo jeszcze wiele życia przede mną i nie wiem, jak wszystko w końcu się ułoży.

– Spełnienie tego życzenia zajmuje wiele czasu?

– Tak. Czas pełni w nim ważną rolę.

– Jak w przyrządzaniu pewnych potraw?

Kiwa głową.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę, lecz przychodzi mi do głowy tylko obraz olbrzymiej zapiekanki w cieście piekącej się powoli w niezbyt gorącym piekarniku.

– A jeśli chodzi o drugie pytanie?

– Jakie było drugie pytanie?

– Czy nie żałowałaś, że *wybrałaś właśnie to* życzenie?

Na chwilę zapada milczenie. Patrzy na mnie pozbawionymi głębi oczami. W kącikach jej ust majaczy cień bladego uśmiechu. Przywodzi mi na myśl coś w rodzaju cichej rezygnacji.

– Jestem żoną trzy lata starszego ode mnie księgowego, mamy dwoje dzieci. Chłopca i dziewczynkę. I setera irlandzkiego. Jeździmy audi, dwa razy w tygodniu gram z koleżankami w tenisa. Takie jest teraz moje życie.

– Wydaje się nie najgorsze – mówię.

– Nawet jeśli zderzak audi jest wgięty w dwóch miejscach?

– Przecież zderzak jest po to, żeby się wginał.

– Powinny być takie nalepki na zderzak. „Zderzaki są do wginania”.

Patrzę na jej usta.

– Chodzi mi o to – odzywa się cicho. Potem drapie się w płatek ucha. To płatek ucha o bardzo ładnym kształcie. – Że człowiek już taki jest; choćby nie wiem, czego sobie życzył, dokąd by pojechał, zostanie tylko sobą. To wszystko.

– Taka nalepka też byłaby niezła: „Człowiek już taki jest, że choćby nie wiem, dokąd pojechał, zostanie tylko sobą” – mówię.

Wybuchu wesołym śmiechem. I ten cień bladego uśmiechu, który jeszcze przed chwilą gościł na jej ustach, gdzieś znika.

Opiera łokcie o bar i patrzy na mnie. – Słuchaj, gdybyś był na moim miejscu, o co byś poprosił? Jak myślisz?

– W swoje dwudzieste urodziny?

– Uhm.

Długo się nad tym zastanawiam. Ale nie przychodzi mi do głowy żadne życzenie. – Nic mi nie przychodzi do głowy – mówię szczerze. – Poza tym za dużo czasu już minęło od moich dwudziestych urodzin.

– Naprawdę nic?

Kiwam głową.

– Nic?

– Nic – odpowiadam.

Jeszcze raz na mnie patrzy. To bardzo bezpośrednie spojrzenie prosto w oczy. – Pewnie dlatego, że już wypowiedziałeś swoje życzenie – mówi.

– Ale ponieważ możesz wyrazić tylko jedno życzenie, dobrze, dobrze się zastanów. Miła panienko, dobra wróżko. – Gdzieś w ciemności drobny staruszek w krawacie o barwach jesiennych liści unosi w powietrzu palec. – Tylko jedno. Nie będziesz mogła potem zmienić zdania i wycofać się.



Katastrofa w nowojorskiej kopalni

ニューヨーク炭鉱の悲劇

Nyūyōku-tankō-no higeki

*Maybe someone is digging underground,
or have they given up and all gone home to bed.
Może ktoś jeszcze kopie pod ziemią
Czy już poddali się i sobie poszli?*

New York Mining Disaster 1941

Słowa i muzyka: Barry Gibb, Robin Gibb

Pewien mężczyzna ma od dziesięciu lat stosunkowo dziwny zwyczaj chodzenia do ogrodu zoologicznego w czasie tajfunu albo ogromnej ulewy. To mój przyjaciel. Mieszka piętnaście minut piechotą od zoo.

Gdy do miasta zbliża się tajfun i normalni ludzie zamykają z trzaskiem okiennice, biegną kupić wodę mineralną, sprawdzają, czy dobrze działają radia tranzystorowe i latarki, on owija się w wojskową pelerynę armii amerykańskiej, którą ma z czasów największego nasilenia działań wojennych w Wietnamie, wypełnia kieszenie puszkami z piwem i idzie do zoo. Dlatego zawsze, kiedy wieje tajfun, opuszcza pracę.

Jeżeli miał pecha, brama zoo była zamknięta.

„Ogród zoologiczny będzie w dniu dzisiejszym nieczynny z powodu złych warunków pogodowych”.

No cóż, to oczywiście ma sens. Bo kto właściwie pośród wiejącego tajfunu specjalnie wybrałby popołudnie na wycieczkę do zoo, żeby sobie popatrzeć na żyrafy czy zebry?

W takich wypadkach pogodnie rezygnował, siadał na jednej z kamiennych wiewiórek stojących w rzędku przed bramą, wypijał nieco letnie już wtedy piwo i wracał do domu.

Jeżeli zaś miał szczęście, brama była otwarta.

Płacił za wstęp, wchodził, od razu z trudem zapalał zwilgotniałego papierosa i starannie oglądał wszystkie zwierzęta po kolei. Prawie nie było zwiedzających. Wszystkie zwierzęta chowały

się w swoich domkach. Z okien wpatrywały się w deszcz nieobecnyimi pustymi oczami, skakały w kółko i wściekały się zdenerwowane silnym wiatrem i przestraszone gwałtowną zmianą ciśnienia atmosferycznego. Zawsze wypijał pierwsze piwo przed klatką tygrysa bengalskiego (bo on zwykle najbardziej się wściekał z powodu tajfunu), drugie wypijał u goryla. Goryla tajfun nigdy nie obchodził. Zdawało się, że bardziej niż tajfun interesował go mój przyjaciel. Zawsze jakoś współczująco przyglądał się temu człowiekowi, który ubrany jak wodny stwór siedział na betonowej podłodze i pił piwo z puszki. – Czułem się zupełnie, jakbyśmy razem utkwili w zepsutej windzie – mówił mój przyjaciel.

Z wyjątkiem tych popołudni, kiedy wiał tajfun, był zadziwiająco zwyczajnym człowiekiem. Pracował w niewielkiej sympatycznej firmie handlowej z przeważającym udziałem kapitału zagranicznego, mieszkał w schludnym mieszkanku i co pół roku zmieniał dziewczynę. Za nic nie mogłem zrozumieć, z jakiego powodu tak pracowicie zmienia dziewczyny, ponieważ wszystkie były do siebie podobne, jakby powstały wskutek klonowania. A przynajmniej ja wcale nie potrafiłem ich odróżnić.

Wiele osób z jakiejś przyczyny uznawało go za przeciętnego i nudnego, ale zdawał się tym wcale nie przejmować. Miał niezły używany samochód, dzieła zebrane Balzaca oraz czarny garnitur, czarny krawat i czarne skórzane buty idealnie nadające się na pogrzeby.

Kiedy ktoś umarł i musiałem iść na pogrzeb, dzwoniłem do niego, żeby pożyczyć garnitur, krawat i buty. Garnitur i buty były na mnie o jeden rozmiar za duże, ale oczywiście nie mogłem wybrzydząć.

– Strasznie mi przykro – mówiłem. – Znowu pogrzeb.

– Proszę, proszę, na pewno ci się spieszy. Możesz zaraz przyjść po rzeczy – odpowiadał. Kiedy przychodziłem, na stole leżały starannie uprasowane garnitur i krawat, buty stały wypastowane, a w lodówce chłodziło się mnóstwo importowanego piwa. Wszystko gotowe do użycia w każdej chwili. To był tego typu człowiek.

Faktycznie, człowiekowi innego typu nie chciałoby się co pół roku zmieniać dziewczyny.

– Nawiasem mówiąc, niedawno widziałem w zoo kota – powiedział, zdejmując kapsel z piwa.

– Kota?

– Uhm, dwa tygodnie temu byłem w delegacji na Hokkaido. Poszedłem do miejscowego zoo i była tam niewielka klatka z tabliczką „Kot”, a w środku spał kot.

– Jaki kot?

– Zupełnie zwyczajny kot. Wszędzie takich pełno. Bury, pręgowany, z krótkim ogonem, strasznie gruby. Leżał rozwalony i spał.

– Pewnie na Hokkaido koty są rzadkością.

– Chyba żartujesz – powiedział zniecierpliwiony. – Nawet na Hokkaido są koty. Nie są wcale rzadkością.

– No ale z drugiej strony, dlaczego kot nie może być pokazywany w zoo? – zapytałem. – Przecież to też zwierzę.

– To kwestia tradycji. Psy i koty są *zbyt powszechne*. Nie chodzi się specjalnie do zoo, żeby je zobaczyć. Bo jak się człowiek rozejrzy, to wszędzie są – odpowiedział. – Tak jak ludzie.

Kiedy wypiliśmy pół tuzina piw, starannie włożył do dużej papierowej torby z domu towarowego krawat, opakowany w folię garnitur i buty.

– Przepraszam, że zawsze ci zawracam głowę – powiedziałem. – Myślę, że muszę wreszcie sobie kupić własny, ale jakoś nie mogę. Zdaje mi się, że jak kupię żałobny garnitur, to przyjmę do wiadomości, że ludzie umierają.

– Nie przejmuj się. Ja go i tak nie używam. A ubraniu też jest pewnie przyjemniej, jak się komuś przydaje, a nie tylko beczynnienie sobie wisi.

Od czasu kiedy uszył sobie ten żałobny garnitur trzy lata temu, ani razu go nie włożył.

- Nikt nie umarł, od kiedy go sobie sprawiłem – powiedział.
- Zawsze tak jest.
- Szlag człowieka trafia.

Prawdę mówiąc, w tym roku było strasznie dużo pogrzebów. Wokół mnie umierali jeden po drugim przyjaciele i dawni przyjaciele. Wyglądało to jak pole kukurydzy po letniej suszy. Miałem wtedy 28 lat.

Przyjaciele byli mniej więcej w tym samym wieku co ja. 27, 28, 29... to jakoś nieodpowiedni wiek na umieranie. Poeci umierają, mając 21 lat, a rewolucjoniści i rockandrollowcy mając 24. W większości zakładamy, że jeśli uda się przeżyć te lata, potem przez dłuższy czas jest spokój. Minęło się już przysłowiowy pechowy zakręt, wyjechało się z ciemnego, wilgotnego tunelu. Teraz wystarczy tylko pędzić do celu prostą sześciopasmową drogą (nawet jeśli nie bardzo ma się ochotę). Obcięliśmy włosy, codziennie się goliliśmy. Nie jesteśmy już poetami ani rewolucjonistami, ani rockandrollowcami. Przestaliśmy upijać się do nieprzytomności, zasypiać po pijaku w budkach telefonicznych i o czwartej nad ranem słuchać płyt Doorsów na cały regulator. Wykupiliśmy u znajomego ubezpieczenie na życie, zaczęliśmy pić w barach hotelowych i zbierać rachunki od dentysty, żeby potem odliczyć od podatku koszty leczenia. Przecież w końcu mamy już 28 lat...

Zaraz po tym rozpoczęła się nieoczekiwana masakra. Można by to nazwać „atakem przez zaskoczenie”.

Byliśmy właśnie w trakcie przebierania się w łagodnym wiosennym słońcu. Ale rozmiary nie pasowały, rękawy koszul były powywracane na drugą stronę, wpychając prawą nogę w nogawkę rzeczywistych spodni, wpychaliśmy lewą w nogawkę nierzeczywistych, no, było trochę zamieszania.

Masakrę zapowiedział dziwny odgłos wystrzału.

Wyglądało na to, że ktoś ustawił na szczycie metafizycznego wzgórza metafizyczny karabin maszynowy i strzelał do nas metafizycznymi kulami.

W sumie śmierć to tylko śmierć. Innymi słowy, królik to tylko królik, czy wyskoczy z kapelusza, czy z pola kapusty. Gorący piec to tylko gorący piec, a czarny dym unoszący się z komina to tylko czarny dym unoszący się z komina.

Jako pierwszy przekroczył tę ciemną przepaść dzielącą rzeczywistość od nierzeczywistości (a może: nierzeczywistość od rzeczywistości) mój przyjaciel ze studiów, który został nauczycielem angielskiego. Ożenił się trzy lata wcześniej, jego żona wróciła akurat pod koniec roku do rodzinnego domu na Shikoku na czas porodu.

W za ciepłe jak na styczeń niedzielne popołudnie kupił w dziale żelaznym domu towarowego niemiecką brzytwę, którą dałoby się chyba uciąć słoniowe ucho, oraz dwa pojemniki kremu do golenia, wrócił do domu i nalał wody do wanny. Wyjął z lodówki lód, wypił butelkę szkockiej whisky, a potem podciął sobie w wannie żyły i umarł. Dwa dni później matka odkryła jego zwłoki. Następnie przyjechała policja i zrobiła wiele zdjęć z miejsca zdarzenia. Z powodu krwi woda w wannie przypominała barwę sok pomidorowy. Policja oficjalnie stwierdziła samobójstwo. Drzwi i okna były pozamykane, a poza tym denat osobiście kupił brzytwę. Nikt jednak nie wiedział, w jakim celu nabył krem do golenia (i to dwa pojemniki), choć nie miał zamiaru go używać.

Może nie mógł się przyzwyczać do myśli, że już za parę godzin nie będzie żył? Albo może się bał, że sprzedawca w domu towarowym domyśli się jego samobójczych zamiarów?

Nie zostawił testamentu ani żadnego listu. Na stole były tylko szklanka, pusta butelka po whisky, miseczka na lód oraz dwa pojemniki kremu do golenia. Na pewno czekając, aż kąpiel będzie gotowa, wlewał do gardła kolejne szklaneczki whisky Haig z lodem i

przyglądał się kremowi do golenia na stole. Może myślał: *Już nigdy więcej nie będę musiał się golić.*

Śmierć młodego, dwudziestoosmioletniego, człowieka ma w sobie coś smutnego, jak zimowy deszcz.

W ciągu następnych dwunastu miesięcy zmarło czworo moich znajomych.

W marcu jeden poniósł śmierć w wypadku podczas wydobywania ropy w Arabii Saudyjskiej czy Kuwejcie, w czerwcu umarły dwie osoby. Zawał i wypadek samochodowy. Od lipca do listopada panował spokój, lecz w połowie grudnia zginęła jeszcze jedna, również w wypadku.

Z wyjątkiem tego samobójcy inni zginęli w jednej chwili, nawet nie mieli czasu uświadomić sobie, że umierają. Jakby wchodzili, o niczym nie myśląc, po dobrze znanych schodach, a tu nagle jednego stopnia brakuje. Takie to robiło wrażenie.

– Pościel mi łóżko, dobrze? – poprosił jeden z nich żonę. Ten, który zmarł na zawał. O jedenastej przed południem. Był projektantem mebli. Wstał o dziewiątej, popracował trochę w swoim pokoju, potem jakoś zachciało mu się spać, więc poszedł do kuchni, zrobił sobie kawy i wypił. Lecz mimo kawy senność nie mijała. – Prześpię się trochę – powiedział. – Coś mi jakoś stuka w tyle głowy.

To były jego ostatnie słowa. „Coś mi jakoś stuka w tyle głowy”. Położył się, usnął i więcej się nie obudził.

Dziewczyna, która zmarła w grudniu, była najmłodsza wśród zmarłych, była też jedyną dziewczyną. Miała 24 lata. To wiek, w którym umierają rewolucjoniści i rockandrollowcy. W przedświąteczny wieczór, w zimnym deszczu zginęła zgnieciona w tragicznej (a równocześnie wyjątkowo codziennej) przestrzeni powstałej między ciężarówką producenta piwa a betonowym słupem telegraficznym.

W kilka dni po ostatnim pogrzebie poszedłem do właściciela z jego świeżo odebrany z pralni garniturem i dziękczynną whisky.

– Dziękuję bardzo. Zawsze mnie ratujesz.

W lodówce jak zazwyczaj chłodziło się pełno piwa, wygodna kanapa leciutko pachniała słońcem. Na stole stała świeżo umyta popielniczka i doniczka z bożonarodzeniową poinsecją.

Przyjął ode mnie garnitur opakowany w folię i delikatnie odłożył go do komody, jakby wkładał z powrotem do jamy niedźwiadka świeżo pogrążonego w śnie zimowym.

– Mam nadzieję, że nie przesiąkł zapachem pogrzebu – powiedziałem.

– Nie szkodzi. Przecież po to jest, gorzej z tym, co go nosił.

– Uhm.

– W końcu w tym roku miałeś pogrzeb po pogrzebie – powiedział, kładąc nogi na kanapie i nalewając piwa do szklanek. – Ile osób razem?

– Pięc – odparłem, rozczapierzając palce lewej ręki. – No ale chyba jednak już na tym koniec.

– Tak sądzisz?

– Zmarło już dość ludzi.

– Brzmi to jak klątwa faraona, nie? Kiedyś czytałem o czymś takim. Klątwa będzie działała, aż umrze dość ludzi. Inaczej po niebie będzie krążyła czerwona gwiazda, cień Księżyca zasłoni Słońce.

Po wypiciu sześciu piw przerwaliśmy się na whisky. Promienie zachodzącego zimowego słońca wpadały do pokoju, tworząc lekko ukośne linie.

– Ostatnio jesteś jakiś przygnębiony – powiedział.

– Może i tak.

– Na pewno za dużo rozmyślasz nocami. Ja przestałem.

– Jak?

– Kiedy zaczynam wpadać w przygnębienie, staram się o niczym nie myśleć, zabieram się do sprzątan. Nawet jeżeli jest druga czy trzecia nad ranem, zmywam wszystkie naczynia, szoruję kuchenkę, myję podłogę, wybielam ścierki, porządkuję szuflady w biurku, prasuję wszystkie koszule wyjęte z szafy – powiedział, mieszając palcem lód w szklance. – Jak już jestem wykończony, to wypijam jednego i zasypiam. To wszystko. Kiedy rano wstaję i wkładam skarpetki, już prawie nic nie pamiętam. Zapominam nawet, o czym myślałem.

Rozejrzałem się po pokoju, jakbym go widział po raz pierwszy. Zawsze było tu czysto i panował wielki porządek.

– O trzeciej nad ranem przychodzą człowiekowi do głowy różne rzeczy. To to, to tamto. Z każdym tak jest. Dlatego człowiek musi wymyślić sobie sposób, jak się temu przeciwstawić.

– Może i tak.

– O trzeciej nad ranem nawet zwierzęta rozmyślają – powiedział, jakby nagle sobie przypomniał. – Byłeś kiedyś w zoo o trzeciej nad ranem?

– Nie – powiedziałem bez namysłu. – Oczywiście, że nie.

– Ja byłem raz. Miałem znajomego, który pracował w zoo. I uparłem się, żeby mnie wpuścił, jak będzie na nocnej zmianie. Prawdę powiedziawszy, to jest zabronione – powiedział, potrząsając szklanką. – Naprawdę dziwne doświadczenie. Nie bardzo potrafię to wyjaśnić, ale miałem wrażenie, jakby ziemia wszędzie bezgłośnie popękała i coś z niej wypełzło. I to coś niewidzialnego, co wypełzło z głębi ziemi, dumnie pręży pierś w ciemnościach nocy. To była jakby stwardniała bryła zimnego powietrza. Niewidzialna. Ale zwierzęta ją wyczuwały. A ja czułem, że one *to* czują. Grunt, po którym stąpamy, ciągnie się aż do jądra ziemi, a to jądro ziemi wchłonęło w siebie niesamowitą ilość czasu.

Milczałem.

– Nie miałem ochoty iść drugi raz. Do zoo w środku nocy.

– W czasie tajfunu jest lepiej?

– Uhm. W czasie tajfunu jest o wiele lepiej.

Zadzwoił telefon. Poszedł do sypialni odebrać. Jak zwykle była to niekończąca się powstała wskutek klonowania rozmowa z jedną z jego powstałych wskutek klonowania dziewczyn. Chciałem już się pożegnać i iść do domu, ale on długo nie wracał. W końcu poddałem się i włączyłem telewizor. Był to dwudziestosiedmioletni kolorowy telewizor, kanały zmieniały się bezszelestnie po najlżejszym dotknięciu pilota. Miał aż sześć głośników i dzięki temu dźwięk był bardzo czysty. Nigdy przedtem nie widziałem takiego wspaniałego telewizora.

Przeleciałem trzy razy przez wszystkie kanały i postanowiłem obejrzeć wiadomości. Wybuchaly konflikty graniczne, pożary budynków, ceny walut rosły i spadały. Były ograniczenia w imporcie samochodów, zawody pływackie Klubu Morsów, cała rodzina popełniła samobójstwo. Zdawało się, że wszystkie te wydarzenia gdzieś jakoś się łączą, jak ludzie na zdjęciu z zakończenia gimnazjum.

– Były jakieś ciekawe wiadomości? – zapytał mnie po powrocie.

– Nie bardzo.

– Często oglądasz telewizję?

Potrząsnąłem głową. – Nie mam telewizora.

– Telewizor ma przynajmniej jedną wspaniałą zaletę – powiedział po krótkim namyśle. – Można go wyłączyć, kiedy się chce. Nikt nie ma o to pretensji.

Wziął pilota i wyłączył odbiornik. W jednej chwili obraz zniknął. W pokoju zapanowała cisza. W budynkach za oknem zaczynały się zapalać światła.

Przez jakieś pięć minut piliśmy whisky, nie rozmawiając o niczym szczególnym. Jeszcze raz zadzwonił telefon, ale tym razem przyjaciel udał, że nie słyszy. Kiedy telefon przestał dzwonić, przyjaciel, jakby sobie przypomniał, znów włączył telewizor. W jednej chwili pojawił się obraz, a jakiś komentator mówił o

wahaniach cen ropy, pokazując coś wskazówką na wykresie przedstawiającym łamaną linię.

– Popatrz. Ten facet wcale nie zauważył, że na pięć minut wyłączyliśmy telewizor.

– To fakt.

– Dlaczego?

Nie chciało mi się zastanawiać, więc potrząsnąłem głową.

– W momencie, w którym wyłączyłem, ktoś przestał istnieć. Albo my, albo ten facet. Tak czy inaczej, dzięki lekkiemu przyciśnięciu guzika komunikacja jest wygaszona. To wygodne.

– Można i tak na to patrzeć – powiedziałem.

– Można na to patrzeć na milion sposobów. W Indiach rosną palmy, a w Wenezueli wyrzucają więźniów politycznych z helikopterów – odrzekł i znów wyłączył telewizor. – Nie chcę krytykować innych, ale na świecie są sposoby umierania bez pogrzebu, są śmierci bez zapachu.

W milczeniu skinąłem głową. Czułem, że rozumiem, o co mu chodzi. Ale czułem też, że nic nie rozumiem. Byłem zmęczony i miałem niezły zamęt w głowie. Przez pewien czas bawiłem się zielonym liściem poinsecji.

– Prawdę mówiąc, mam szampana – powiedział z poważnym wyrazem twarzy. – Byłem ostatnio w delegacji we Francji i przywiozłem. Nie bardzo się znam na zaletach szampanów, ale ten jest na pewno bardzo dobry. Nie napiłbyś się ze mną? Po serii pogrzebów szampan pewnie dobrze ci zrobi.

– A nie trzymałeś go po to, żeby się napić z jakąś dziewczyną w Boże Narodzenie? – zapytałem.

Przyniósł schłodzonego szampana, dwa czyste kieliszki i cicho postawił na stole. Uśmiechnął się bardzo chłodno. – W przypadku szampana nie może być mowy o celu. Jedynie o dobrym momencie, żeby go otworzyć.

– Aha – powiedziałem z podziwem.

Otworzył szampana i przez pewien czas rozmawialiśmy o paryskim zoo i zwierzętach. Rzeczywiście był to bardzo dobry szampan.

Pod koniec tego roku odbyła się niewielka impreza. Urządzano ją zawsze w Sylwestra, w wynajętym na ten cel lokalu w Roppongi. Występowało trio fortepianowe, podawali dość dobre jedzenie i alkohole. Jeżeli spotykałem kogoś znajomego, trochę gawędziliśmy. Z pewnego powodu (związanego z pracą) co roku tam chodzę. Nie bardzo lubię imprezy, ale ta była dość przyjemna. W wieczór sylwestrowy nie miałem nic szczególnego do roboty, więc jak zwykle mogłem siedzieć w jakimś kącie i popijać sobie, słuchając muzyki. Nikt nie był nachalny i nie znalazłem się też w żadnej przymusowej sytuacji, kiedy przedstawiony na siłę jakiemuś dziwnemu człowiekowi, zostaje uraczony przez niego półgodzinnym wykładem na temat dobroczynnego wpływu diety wegetariańskiej na raka.

Tego dnia ktoś przedstawił mi jednak pewną kobietę. Pogawędziłem z nią trochę z grzeczności, a potem jak zwykle chciałem usunąć się w kąt. Ona jednak, ze szklaneczką whisky w dłoni, poszła za mną.

– Poprosiłam, żeby mnie panu przedstawiono – powiedziała sympatycznie.

Nie była piękną przyciągającą wzrok, ale robiła strasznie miłe wrażenie. A poza tym bardzo dobrze wyglądała w kosztownej sukience z niebieskiego jedwabiu. Musiała mieć jakieś 32 lata. Gdyby chciała, mogłaby bez trudu udawać młodszą, ale chyba nie widziała takiej potrzeby. Miała na palcach trzy pierścionki, po jej ustach błąkał się uśmiech pełen ukrytych znaczeń przypominający zamglony zmierzch.

– Jest pan bardzo podobny do mojego znajomego – powiedziała.
– Z twarzy, z sylwetki, z zachowania, ze sposobu mówienia, jest pan zadziwiająco taki sam. Przyglądam się panu cały czas, od kiedy pan wszedł.

– Skoro jest ktoś taki do mnie podobny, chciałbym go poznać – odparłem. Nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć.

– Naprawdę?

– Uhm, tak. Ciekawe, jakie to uczucie poznać kogoś, kto jest tak bardzo do nas podobny.

Jej uśmiech na chwilę się pogłębił, a potem znów był taki jak przedtem. – Ale to już niemożliwe – powiedziała. – Umarł pięć lat temu. Miał akurat tyle lat, ile pan teraz.

– Ach tak?

– Ja go zabiłam.

Trio fortepianowe skończyło drugą część występu i wokoło rozległy się tu i tam niezbyt entuzjastyczne oklaski.

– Lubi pan muzykę? – zapytała.

– Dobrą muzykę na dobrym świecie.

– Na dobrym świecie nie ma dobrej muzyki – powiedziała, jakby wyjawiała jakiś sekret. – Bo na dobrym świecie nie ma drgań powietrza.

– Aha – odparłem. Co innego można na to odpowiedzieć?

– Widział pan film, w którym Warren Beatty grał na pianinie w nocnym klubie?

– Nie, nie widziałem.

– Elizabeth Taylor przychodzi do tego klubu. Gra rolę bardzo biednej, żalostnej kobiety.

– Coś takiego.

– I Warren Beatty pyta Elizabeth Taylor, czy chciałaby, żeby coś dla niej zagrał.

– No i? – zapytałem. – Czy Elizabeth Taylor miała jakieś życzenie?

– Zapomniałam. To stary film.

Gdy piła whisky, błyszczały jej pierścionki. – Ale ja nie lubię prosić o piosenki. Jakoś wprawia mnie to w żalostny nastrój. Tak jak

z książką wypożyczoną z biblioteki. Kiedy ją zaczynam, myślę już o tym, jak się skończy.

Włożyła do ust papierosa, a ja podałem jej ogień.

– No więc – powiedziała. – Mówiliśmy o tym człowieku, który był do pana podobny.

– Jak go pani zabiła?

– Wrzuciłam go do ula.

– To żart, prawda?

– Żart.

Zamiast westchnąć, wypilem łyk whisky. Lód całkiem się roztopił, prawie nie czułem jej smaku.

– Oczywiście to nie było zabójstwo z punktu widzenia prawa – powiedziała. – Ani z moralnego punktu widzenia.

– Nie było to zabójstwo ani z prawnego, ani z moralnego punktu widzenia – nie miałem specjalnej ochoty, ale podsumowałem główne punkty. – Ale zabiła pani kogoś.

– Uhm – powiedziała wesoło. – Kogoś podobnego do pana.

Ktoś roześmiał się głośno po drugiej stronie sali. Zawtórowało mu kilka osób wokoło. Słysząc było, jak ludzie stukają się kieliszkami. Ten dźwięk wydawał się bardzo daleki, a jednocześnie był nieprawdopodobnie wyraźny. Nie wiem dlaczego, zaczęło mi walić serce. Nabrzmiwało, unosiło się i opadało. Zdawało mi się, że chodzę po ziemi unoszącej się na wodzie.

– Nie zajęło to nawet pięciu sekund – powiedziała. – Zabicie go.

Jakiś czas milczeliśmy. Zdawało się, że sprawa jej to wielką przyjemność.

– Zastanawiał się pan kiedyś nad kwestią wolności? – zapytała.

– Czasami. Dlaczego pani pyta?

– Potrafiłby pan narysować stokrotkę?

– Pewnie tak... Czy to jakiś test osobowości?

– Ciepło, ciepło – powiedziała i roześmiała się.

– I zdałem?

– Tak – odparła. – W porządku, nie musi się pan martwić. Na pewno będzie pan długo żył. Tak mi mówi intuicja.

– Dziękuję bardzo.

Trio zaczęło grać *Ogniska już dogasa blask*.

– Jedenasta pięćdziesiąt pięć – powiedziała, spojrzawszy na złoty zegarek, który nosiła na szyi na łańcuszku. – Bardzo lubię tę piosenkę. A pan?

– Ja wolę *Home on the Range*, bo tam są jelenie i bawoły.

Jeszcze raz się uśmiechnęła. – Na pewno lubi pan zwierzęta.

– Lubię zwierzęta – powiedziałem i nagle przypomniałem sobie lubiącego zwierzęta przyjaciela i jego żałobny garnitur.

– Przyjemnie mi się z panem rozmawiało. Do widzenia – oznajmiła kobieta.

– Do widzenia – odpowiedziałem.

Żeby oszczędzać tlen, pogaszono lampy i wszystko pograżyło się w atramentowej ciemności. Nikt się nie odzywał. W mroku rozlegał się tylko dźwięk kropli skapujących co pięć sekund z sufitu.

– Oddychajcie wszyscy jak najmniej. Zostało nam mało powietrza – powiedział starszy górnik. Jego głos był cichy, lecz i tak lekko jęknęła skała stropu. Górnicy zbili się w grupkę, wyteżali słuch, chcąc usłyszeć ten jeden jedyny dźwięk. Dźwięk kilofa, dźwięk życia.

Czekali już tak od wielu godzin. Ciemność po trochu roztapiała rzeczywistość. Zaczęło im się wydawać, że wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu, w jakimś dalekim świecie. Albo miało się wydarzyć w bardzo dalekiej przyszłości, w jakimś dalekim świecie.

„Oddychajcie wszyscy jak najmniej. Zostało nam mało powietrza”.

Na zewnątrz oczywiście ciągle kopano. Zupełnie jak w scenie z jakiegoś filmu.



Samolot albo o tym, że mówił do siebie, jakby recytował wiersze

飛行機 -あるいは彼はいかにして詩を読むようにひとりごとを
言ったか

Hikōki – aruiwa kare-wa ika-ni-shite shi-o yomu-yō-ni hitorigoto-
o itta-ka

Tego popołudnia podniosła głowę i zapytała, jakby nagle przyszło jej to na myśl: – Czy od dawna masz zwyczaj mówić do siebie?

Było jasne, że to pytanie nie jest wynikiem jakiegoś kaprysu. Prawdopodobnie cały czas nad tym rozmyślała. W jej schrypniętym głosie jak zwykle w takich przypadkach brzmiał twardy ton. W rzeczywistości długo miała te słowa na końcu języka i wahała się wiele razy, zanim je wypowiedziała.

Siedzieli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Nie licząc pociągów przejeżdżających od czasu do czasu po niedalekich torach, wokoło panowały cisza i spokój. Czasami wydawało się nieomal zbyt cicho. Tory, po których nie jedzie pociąg, są zadziwiająco ciche. Podłoga kuchenna wyłożona była płytkami PCV. Przyjemnie chłodziły jego bose stopy. Zdjął wcześniej skarpetki i wcisnął do kieszeni spodni. Było nieco za ciepło jak na kwietniowe popołudnie. Ona podwinęła do łokci rękawy kraciastej, pastelowej koszuli. Szczupłymi białymi palcami bawiła się łyżeczką do kawy. On wpatrywał się w te palce. Kiedy tak bez przerwy im się przyglądał, jego świadomość stała się dziwnie płaska. Zdawało mu się, że kobieta uniosła krawędź świata i po trochu go rozsypuje. Robiła to coraz bardziej mechanicznie, beznamietnie, jakby myślała, że musi rozplątać, chociaż zajmie jej to dużo czasu.

On przyglądał się w milczeniu tej czynności. Milczał, ponieważ nie wiedział, co powiedzieć. Resztką kawy na dnie jego filiżanki wystygła i zaczęła mętnieć.

Właśnie skończył dwadzieścia lat. Kobieta była od niego o siedem lat starsza, była mężatką, miała nawet dziecko. Innymi słowy, stanowiła dla niego tajemnicę jak druga strona Księżyca.

Jej mąż pracował w firmie turystycznej specjalizującej się w wycieczkach zagranicznych. Z tego powodu przez prawie dwa tygodnie w miesiącu nie było go w domu. Wyjeżdżał do Londynu,

Rzymu albo Singapuru. Podobno lubił operę, w domu miał ustawione w starannych rzędach płyty kompaktowe według kompozytorów, grube zestawy po trzy albo cztery płyty Verdiego, Pucciniego, Donizettiego czy Richarda Straussa. Wyglądały nie na kolekcję płyt, tylko raczej na symbol pewnego światopoglądu. Spokojnego i zupełnie niewzruszonego. Gdy chłopakowi brakowało słów albo kiedy nie miał nic do roboty, zawsze wodził wzrokiem po literach na grzbietach tych płyt. Od prawej do lewej i od lewej do prawej. I czytał sobie w myślach kolejne tytuły. *Cyganeria, Tosca, Turandot, Norma, Fidelio...* Nigdy nie słyszał tego rodzaju muzyki. Nie wiedział, czy ją lubi, czy nie, po prostu nie miał nigdy okazji się z nią zetknąć. Ani w jego rodzinie, ani wśród przyjaciół nie było żadnego miłośnika opery. Wiedział o istnieniu muzyki operowej i ludzi, którzy jej słuchali, ale tutaj pierwszy raz zobaczył skrawek tego świata. Ona nie przepadała za operą. – Nie to, że nie lubię – mówiła. – Ale są za długie.

Obok półki z płytami znajdował się wspaniały zestaw stereofoniczny. Wielki importowany wzmacniacz stał posłusznie pochylony, jak jakiś dobrze wytresowany skorupiak, i oczekiwał rozkazów. Bardzo się wyróżniał wśród innych, raczej skromnych sprzętów. Czuło się wyraźnie jego obecność. Wzrok mimowolnie podążał w tamtą stronę. Lecz chłopak nigdy nie słyszał, jak to urządzenie naprawdę brzmi. Ona nie wiedziała nawet, gdzie się je włącza, a on też wolał go nie dotykać.

Powiedziała, że w rodzinie nie ma problemów. Powtórzyła to wielokrotnie. Mąż był miły i dobry, bardzo kochał dziecko. Myślę, że chyba jestem szczęśliwa, powiedziała łagodnym, obojętnym tonem. Nie brzmiało to jak usprawiedliwienie. Obiektywnie opowiadała o swoim życiu małżeńskim, jakby mówiła o zasadach ruchu drogowego czy międzynarodowej linii zmiany daty. Myślę, że jestem szczęśliwa, nie mam żadnych większych problemów.

No to dlaczego ze mną sypiasz, myślał. Dużo się nad tym zastanawiał, lecz nie znał odpowiedzi. Nie bardzo nawet rozumiał, co konkretnie mogą oznaczać problemy życia małżeńskiego. Czasami chciał ją o to zapytać wprost, ale nie umiał zacząć. Jak

powinien zadać pytanie? Czy dosłownie: skoro jesteś taka szczęśliwa, to dlaczego ze mną sypiasz? Ale gdybym ją o to zapytał, na pewno by się rozpląkała, pomyślał.

I tak często płakała. Bardzo cicho i długo. W większości wypadków sama nie bardzo wiedziała dlaczego. Zaczynała płakać i długo nie mogła się uspokoić. Choćby nie wiem jak ją pocieszał, nie przestawała przed upływem określonego czasu. A gdy nic nie mówił, uspokajała się, ale dopiero po upływie określonego czasu. Dlaczego ludzie się tak od siebie różnią, myślał. Był do tej pory związany z kilkoma kobietami. Wszystkie płakały i się złościły. Ale każda płakała, śmiała się i złościła inaczej. Były pewne podobieństwa, lecz przeważały różnice. Zdawało się, że nie miało to żadnego związku z ich wiekiem. Teraz po raz pierwszy związał się ze starszą kobietą, ale ta różnica wieku nie przeszkadzała mu tak, jak się obawiał. Czuł, że o wiele większe znaczenie mają różnice w skłonnościach każdej osoby. I myślał, że to one są ważnym kluczem do rozwiązania zagadki życia.

Kiedy przestawała płakać, zazwyczaj szli do łóżka. Pragnęła go tylko wtedy, gdy sobie popłakała. W innych przypadkach zawsze on pragnął jej. Czasami odmawiała. W milczeniu potrząsała przecząco głową. W takich chwilach jej oczy wyglądały jak białe księżycy unoszące się przed świtem na krańcu nieba. Płaskie, sugestywne księżycy, drżące, gdy ptak zakwili. Na widok tych oczu brakowało mu argumentów. Kiedy odmawiała mu seksu, nie odczuwał szczególnej irytacji, nie było mu nieprzyjemnie. Tak to już jest, myślał sobie. Czasami nawet czuł w głębi serca ulgę. Siadali wtedy przy kuchennym stole i trochę gawędzili cicho na różne tematy, popijając kawę. Zwykle były to urywane rozmowy. Żadne z nich nie było zbyt gadatliwe, niewiele mieli wspólnych tematów. Teraz nie mógł sobie przypomnieć, o czym właściwie rozmawiali. Wiedział tylko, że były to strzępki rozmów. Kiedy tak gawędzili, za oknem wiele, wiele razy przejeżdżały pociągi.

Zawsze kochali się spokojnie, w ciszy. Nie była to rozkosz cielesna w ścisłym tego słowa znaczeniu. Oczywiście kłamstwem byłoby stwierdzenie, że w zespoleniu mężczyzny i kobiety nie było

rozkoszy. Ale było w nim za dużo innych myśli, elementów, rytuałów. Różniło się to od seksu, którego wcześniej doświadczył. Przypominało mu mały pokój. Pięknie sprzątnięty, sympatyczny, przytulny pokój. Z sufitu zwisają kolorowe sznurki. Każdy jest innego kształtu i innej długości. Każdy go pociąga, podnieca. Ma ochotę jeden z nich pociągnąć. Sznurki czekają, żeby za nie pociągnął. A on nie wie, za który. Zdaje mu się, że po pociągnięciu jednego może się przed nim ukazać wspaniały krajobraz, ale pociągnięcie innego może w jednej chwili wszystko zepsuć. Dlatego strasznie się waha. I gdy się tak wahał, dzień dobiegał końca.

Nie mógł się pogodzić z tą przedziwną sytuacją. Do tej pory starał się żyć według własnego systemu wartości. Kiedy jednak, słuchając odgłosu pociągów, brał w tym pokoju w ramiona tę małomówną kobietę, czuł, że błądzi w jakimś obezwładniającym chaosie. Wiele razy pytał sam siebie, czy ją w ogóle kocha. Ale nie potrafił sobie z przekonaniem odpowiedzieć. Pamiętał tylko mały pokój z kolorowymi sznurkami zwisającymi z sufitu. *To było tam.*

Kiedy kończył się ten dziwny seks, ona zawsze zerknęła na zegarek. W jego ramionach lekko obracała głowę, by spojrzeć na zegarek przy łóżku. Był to czarny budzik z radiem UKF. W tamtych czasach zegarki z radiem nie były cyfrowe, tylko miały tabliczki, które odwracały się z cichym trzaskiem. Zawsze gdy spoglądała na zegarek, przejeżdżał pociąg. Naprawdę, za każdym razem, gdy kierowała wzrok na zegarek, słychać było odgłos pociągu. Jakby to był zrzadzony przez los odruch warunkowy. Ona patrzy na zegarek – przejeżdża pociąg.

Patrzyła na zegarek, żeby sprawdzić, która godzina, ponieważ jej czteroletnia córeczka miała wrócić z przedszkola. Tylko raz, przypadkiem widział dziewczynkę. Odniósł jedynie wrażenie, że jest jakaś poważna. Nigdy nie spotkał kochającego operę męża, pracownika firmy turystycznej. Na szczęście.

W kwietniu kobieta zapytała go o nawyk mówienia do siebie. Było wczesne popołudnie. Tego dnia też płakała, a potem poszli do łóżka. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego płakała. Może po prostu dlatego, że miała ochotę. A może spotyka się ze mną, bo chce

sobie popłakać w czyichś objęciach, myślał nawet czasami. Może przypadkiem sama nie umie płakać i do tego jestem jej potrzebny.

Kochali się w łóżku za drzwiami, w pokoju zamkniętym na klucz i z zasłoniętymi oknami, telefon stał obok. Jak zawsze było bardzo spokojnie. W pewnej chwili ktoś zadzwonił do drzwi, lecz ona nie otworzyła. Nie była szczególnie zdziwiona ani przestraszona. W milczeniu potrząsnęła głową, jakby mówiła: „Nie ma sprawy. To nic”. Dzwonek odezwał się kilka razy, wkrótce ten ktoś zrezygnował i poszedł sobie. Tak jak mówiła, nie było to nic ważnego. Pewnie akwizytor albo ktoś taki. Ale skąd mogła to wiedzieć? Czasami dzwonił telefon. Gdzieś z oddali dobiegał dźwięk pianina. Niejasno pamiętał tę melodię. Słyszał ją dawno temu w szkole na wychowaniu muzycznym. Ale za nic nie mógł sobie przypomnieć tytułu. Przed domem przejechała z hałasem ciężarówka sprzedawcy warzyw. Ona zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, on miał wytrysk. Bardzo spokojnie.

Poszedł do łazienki i pierwszy wziął prysznic. Wrócił, wycierając się ręcznikiem, a ona leżała na brzuchu na łóżku z zamkniętymi oczami. Usiadł obok niej. I głaskał ją lekko po plecach, jak zawsze wodząc wzrokiem po grzbietach płyt.

Potem ona wstała, ubrała się, poszła do kuchni i zrobiła kawę. A następnie powiedziała: – Słuchaj, czy ty od dawna mówisz sam do siebie?

– Mówię sam do siebie? – powtórzył zaskoczony. – Mówię do siebie, kiedy to robimy?

– Nie. Nie, nie wtedy. W normalnych sytuacjach. Na przykład kiedy bierzesz prysznic albo kiedy ja jestem w kuchni, a ty czytasz sam gazetę.

Potrząsnął głową. – Nie wiedziałem. Nie zauważyłem, że sam do siebie mówię.

– Mówisz, naprawdę – powiedziała, obracając w palcach jego zapalniczkę.

– Wierzę ci, wierzę – powiedział zakłopotany. Potem włożył do ust papierosa, wyjął jej z ręki zapalniczkę i zapalił. Od pewnego

czasu zaczął palić seven stary. Bo jej mąż palił seven stary. Przedtem zawsze palił short hope'y. To nie ona go poprosiła, żeby palił takie same jak jej mąż. Sam się zorientował i zmienił. Pomyślał, że tak będzie pod różnymi względami wygodniej. Tak jak często pokazują w melodramatach.

– Ja też w dzieciństwie często do siebie mówiłam.

– Tak?

– Ale mama zwracała mi uwagę i mówiła, że to wstyd. I surowo mnie karała za każdym razem, kiedy mi się to zdarzało. Na przykład kazała mi za karę siedzieć w szafie. Strasznie się w tej szafie bałam. Było w niej ciemno, pachniało pleśnią. Mama czasami mnie nawet biła. Biła mnie po kolanach linijką. No i wkrótce przestałam do siebie mówić. Zupełnie przestałam do siebie mówić. Nie wiadomo kiedy. Potem już nie mogłam, choćbym chciała.

Milczał, ponieważ nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Zagryzła wargi.

– Nawet teraz, kiedy czuję, że za chwilę wypnie mi się jakieś słowo, odruchowo je połykam. Dlatego że mnie w dzieciństwie karali. Ale nie rozumiem, dlaczego właściwie nie wolno do siebie mówić? Przecież słowa same naturalnie się nasuwają. Gdyby mama żyła, chciałabym ją o to zapytać. Dlaczego nie wolno?

– Umarła?

– Uhm. Ale chciałam, żeby mi wszystko wytłumaczyła. Dlaczego mnie tak traktowała?

Dalej bawiła się łyżeczką do kawy. Potem nagle spojrzała na zegar ścienny. I w tym momencie za oknem przejechał pociąg.

Poczekala, aż przejedzie. Następnie powiedziała: – Myślę, że serce przypomina głęboką studnię. Nikt nie wie, co jest na dnie. Można tylko sobie wyobrazić na podstawie tego, co czasami wypływa na powierzchnię.

Przez chwilę oboje rozmyślali o studniach.

– Co na przykład mówię do siebie? – zapytał.

– Hm – powiedziała i powoli potrząsnęła głową. Zupełnie jakby sprawdzała działanie stawów u nasady szyi. – Na przykład o samolocie.

– O samolocie?

Tak, potwierdziła. O samolocie latającym po niebie.

Roześmiał się. Dlaczego mówi do siebie o samolocie?

Ona też się roześmiała. Podniosła palce wskazujące obu rąk i zmierzyła jakiś wyimaginowany obiekt unoszący się w powietrzu. Taki miała nawyk. Czasami on też robił taki gest. Nie wiadomo kiedy zarażał się jej nawykami.

– Strasznie wyraźnie mówisz. Naprawdę nic nie pamiętasz?

– Nie pamiętam.

Podniosła ze stołu długopis, trochę się nim pobawiła, wkrótce znów spojrzała na zegar. W ciągu pięciu minut wskazówka jak należy przesunęła się o pięć minut.

– Mówisz do siebie, zupełnie jakbyś recytował wiersze.

Powiedziała to i lekko się zaczerwieniła. Dlaczego ona się czerwieni, mimo że to ja mówię do siebie, zastanowił się i rozśmieszyło go to. Na próbę powiedział:

Mówię do siebie

Zupełnie jakbym

Recytował wiersze

Ona znów wzięła długopis. Był to żółty plastikowy długopis reklamowy, wyprodukowany z okazji dziesięciolecia założenia filii jakiegoś banku.

Wskazał długopis. – Słuchaj, jeśli znowu coś do siebie powiem, czy mogłabyś to zapisać?

Zajrzała mu głęboko w oczy. – Naprawdę chcesz wiedzieć?

Wzięła bloczek do notatek i zaczęła coś pisać. Powoli, lecz płynnie, nieprzerwanie wiodła długopisem po papierze. Przez ten

czas on z brodą opartą na dłoni przyglądał się jej długim rzęsom. Co kilka sekund w nieregularnych odstępach mrugała. Kiedy patrzył na jej rzęsy, jeszcze niedawno mokre od łez, znów przestał rozumieć, co oznacza fakt, że z nią sypia. Ogarnęło go dziwne poczucie, że czegoś brakuje, jakby jakaś część skomplikowanego systemu została rozciągnięta i stała się przerażająco prosta. Może już do niczego nie dojdę, zastanawiał się. Na tę myśl ogarnął go obezwładniający strach. Zdawało mu się, że się roztopi i zniknie. Tak, był jeszcze młody jak świeże błoto. Mówił do siebie, jakby recytował wiersze.

Kiedy skończyła pisać, podała mu nad stołem kartkę. Wziął ją.

W kuchni gdzieś wstrzymywał oddech jakiś powidok. Czasami, będąc z nią, wyczuwał jego obecność. Powidok czegoś gdzieś utraconego. Powidok czegoś, czego nie pamiętał.

– Ja to wszystko zapamiętałam – powiedziała. – To mówiłeś do siebie o samolocie.

Przeczytał na głos:

Samolot

Samolot leci

Ja w samolocie

Samolot

Leci, ale

Nawet jeśli leci

Samolot

Czy niebo?

– Aż tyle? – zapytał lekko osłupiały.

– Tak, aż tyle – odrzekła.

– Trudno uwierzyć. Tak dużo do siebie mówię, a sam nic z tego nie pamiętam.

Lekko przygryzła dolną wargę, a potem się uśmiechnęła. – Ale mówiłeś to. Dziwne, nigdy nie myślałem o samolotach. Nic takiego

nie pamiętam. Skąd mi się nagle wziął samolot? – westchnął.

– Wcześniej mówiłeś dokładnie to samo w łazience. Dlatego chociaż może sam nie myślałeś o samolotach, twoje serce gdzieś w głębi lasu o nich myślało.

– Albo gdzieś w głębi lasu budowało samolot?

Z cichym stuknięciem odłożyła na stół długopis, potem podniosła wzrok i spojrzała na niego.

Milczeli przez pewien czas. Kawa na stole mętniała i stygła. Ziemia obracała się wokół osi, a Księżyc po cichu wywoływał zmiany przyciągania i pływy morskie. W ciszy płynął czas, torami przejechał pociąg.

Oboje myśleli o tym samym. O samolocie. O samolocie, który jego serce budowało w głębi lasu. O tym, jaki był duży, jaki miał kształt, na jaki kolor go pomalowano, dokąd miał polecieć. Poza tym, kto do niego wsiądzie. O tym samolocie, który nieruchomo czekał na kogoś w głębi lasu.

Trochę później znowu się rozplakała. Po raz pierwszy płakała drugi raz tego samego dnia. I po raz ostatni. Miało to dla niej szczególne znaczenie. Wyciągnął rękę nad stołem i dotknął jej włosów. Wydawały mu się jakoś bardzo realne. Zupełnie jak samo życie, były twarde, gładkie i dalekie.

Tak, pomyślał, ja wtedy mówiłem do siebie, zupełnie jakbym recytował wiersze.



Lustro

鏡

Kagami

Słucham tak, jak opowiadacie o swoich przeżyciach, i zdaje mi się, że istnieje parę typów opowieści. Pierwszy mówi o tym, że po tej stronie jest świat żywych, a po tamtej świat zmarłych i jakaś siła pozwala przejść z jednego do drugiego. Do takich należą na przykład opowieści o duchach i temu podobnych rzeczach. Kolejny typ to historie o zjawiskach i zdolnościach przekraczających rozsądne ramy trzech wymiarów. Czyli przepowiednie, przeczucia. Z grubsza można te opowieści tak podzielić.

Ogólnie mówiąc, zdaje mi się, że przeżycia wszystkich tu obecnych należą albo do pierwszego, albo do drugiego typu. To znaczy, że ludzie widujący duchy, ciągle je widują, ale najwyraźniej nigdy nie mają przeczuć, a ludzie mający często przeczucia, nie widują duchów. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale chyba istnieją takie indywidualne skłonności. Jakoś tak mi się zdaje.

Oczywiście są też ludzie nienależący do żadnej z tych kategorii. Na przykład ja. Żyję już ponad trzydzieści lat, ale nigdy nie widziałem żadnego ducha. Nigdy nie miałem też proroczych snów ani przeczuć. Kiedyś jechałem windą z dwoma przyjaciółmi. Oni widzieli ducha, a ja niczego nie zauważyłem. Obaj twierdzą, że stała obok mnie kobieta w szarym kostiumie, lecz absolutnie żadnej kobiety w tej windzie nie było. Tylko my trzej. Mówię prawdę. Ci dwaj też nie należą do ludzi, którzy specjalnie by się ze mnie naigrawali. No tak, nie było to przyjemne doświadczenie, ale nie zmienia to faktu, że nigdy nie widziałem ducha.

W każdym razie taka jest prawda. Jestem człowiekiem niewidującym duchów i niemającym paranormalnych zdolności. Prowadzę naprawdę tak zwane zwyczajne życie.

Ale raz, tylko jeden raz, zdarzyło mi się coś, co mnie do głębi przeraziło. To było ponad dziesięć lat temu i do tej pory nigdy nikomu tego nie opowiadałem. Bałem się nawet o tym wspomnieć. Zdawało mi się, że jak komuś o tym powiem, znów może mi się coś podobnego przydarzyć. Dlatego do tej pory trzymałem to w

tajemnicy. Ale dziś wszyscy po kolei podzielili się swoimi przerażającymi doświadczeniami i nie wypada, żebym ja, gospodarz, nic na zakończenie nie powiedział. Dlatego zdecydowałem się wam o tym opowiedzieć.

Nie, nie, proszę nie klaskać. To nie jest nic takiego wielkiego.

Jak wcześniej powiedziałem, nie ukazują mi się duchy, nie mam paranormalnych zdolności. Ta historia pewnie nie jest tak przerażająca, jak mi się wydaje, i być może będziecie się zastanawiali, o co robiłem tyle szumu. Ale to nie szkodzi. Tak czy inaczej, opowiem.

Kończyłem szkołę średnią pod koniec lat sześćdziesiątych, w czasach protestów, w okresie, kiedy mówiono o obaleniu systemu. Mnie też poniósł ten prąd, odmówiłem pójścia na studia i przez kilka lat pracowałem fizycznie, wędrując po całej Japonii. Uważałem, że to właściwy sposób na życie. No, taka młodzięcza popędliwość. Ale teraz przyjemnie wspominam sobie te czasy. Nieważne, czy był to dobry, czy zły wybór. Gdybym miał jeszcze jedno życie, pewnie znów zrobiłbym to samo. Tak to jest.

Jesienią w drugim roku tej włości na jakieś dwa miesiące zatrudniłem się jako nocny stróż w gimnazjum. W małym miasteczku w prefekturze Niigata. Latem dość ciężko pracowałem i miałem ochotę trochę sobie odpocząć. Nocne stróżowanie to laba. W dzień dają się przespać w komórcie dozorczy, a w nocy trzeba dwa razy zrobić obchód szkoły. Poza tym słuchałem sobie płyt w pracowni muzycznej, czytałem w bibliotece książki, grałem sam ze sobą w koszykówkę w sali gimnastycznej. Nieźle było samemu w nocy w szkole. Nie, wcale się nie bałem. Przecież mając osiemnaście czy dziewiętnaście lat, człowiek nie zna strachu.

Pewnie nie byliście nocnymi stróżami w gimnazjum, więc wyjaśnię wam po kolei, co taki ktoś robi. O dziewiątej wieczorem i o trzeciej nad ranem idzie się na obchód. Tak zostało ustalone. Budynek szkolny był dość nowy, dwupiętrowy, z betonu. Osiemnaście czy dwadzieścia klas. To nie była bardzo duża szkoła.

Do tego pracownię: muzyczna, robót ręcznych, plastyczna, pokój nauczycielski i gabinet dyrektora. Poza głównym budynkiem znajdowały się: jadalnia, basen, sala gimnastyczna i aula. To wszystko trzeba było obejść.

Musiałem sprawdzić około dwudziestu miejsc, szedłem, sprawdzałem po kolei i wpisywałem długopisem „bez zmian” w specjalny formularz. Pokój nauczycielski – bz, pracownia chemiczna – bz itd. Oczywiście można też wpisywać „bz, bz”, nie ruszając się z łóżka w komórcie dozorczy. Ale ja sobie nie odpuszczałem. Bo ten obchód nie był znowu takim wielkim zawracaniem głowy, a poza tym nie chciałem, żeby ewentualny włamywacz zaskoczył mnie podczas snu.

Więc o dziewiątej i o trzeciej obchodziłem szkołę z wielką latarką i drewnianym mieczem. W lewej ręce latarka, w prawej miecz. W szkole średniej uprawiałem kendo, więc byłem dość pewien swoich umiejętności. Gdyby przeciwnik był amatorem, nie bałbym się, nawet gdyby był uzbrojony w prawdziwy miecz. Przynajmniej wtedy tak myślałem. Teraz oczywiście od razu wziąłbym nogi za pas.

Zdarzyło się to w wietrzną noc na początku października. Nie było zimno. Raczej powiedziałbym, że duszno. Pod wieczór pojawiło się strasznie dużo komarów. Pamiętam, że zapaliłem dwie spirale przeciwkomarowe, mimo że była już jesień. Wiatr zawodził. Zepsuła się furka w ogrodzeniu basenu i hałasowała poruszana wiatrem. Chciałem ją naprawić, ale po ciemku nie miałem jak. I całą noc tak stuką.

W czasie obchodu o dziewiątej nic się nie działo. Każde z wyznaczonych dwudziestu miejsc było „bez zmian”. Wszystko w porządku i pozamykane na klucz. Żadnych zmian. Wróciłem do komórki, nastawiłem budzik na trzecią i zapadłem w głęboki sen.

Kiedy o trzeciej zadzwonił budzik, doznałem jakiegoś dziwnego uczucia. Nie bardzo potrafię to wytłumaczyć, ale to było naprawdę dziwne uczucie. Konkretnie mówiąc, nie miałem ochoty wstać. Moje

własne ciało próbowało powstrzymać wolę, która kazała mi wstać. Zwykle szybko się budzę i od razu wstaję, więc to było niezrozumiałe. Zmusiłem się do wstania i przygotowałem do obchodu. Furtka przy basenie dalej stukąła, lecz ten dźwięk wydawał mi się inny niż przedtem. Na pewno powiecie, że tylko mi się zdawało, i pewnie tak było, ale nie mogłem jakoś się do tego przyzwyczaić. Nie chcę, nie mam ochoty iść na obchód, pomyślałem. W końcu jednak się zdecydowałem. Bo w takich sprawach jak raz sobie człowiek odpuści, to potem nie wiadomo jak często zacznie sobie odpuszczać. Z latarką i mieczem wyszedłem z komórki.

To była nieprzyjemna noc. Wiatr się wzmógł, powietrze stało się wilgotniejsze. Czuję się lepki, nie mogłem się skupić. Najpierw załatwiłem salę gimnastyczną, aulę i basen. Wszędzie było bez zmian. Furtka otwierała się i zamykała jak wariat, który na zmianę przytakuje i kręci głową. Bardzo nieregularnie. Tak, tak, nie, tak, nie, nie, nie... tak to brzmiało. Trochę dziwne porównanie, ale wtedy naprawdę tak mi się to skojarzyło.

Na terenie szkoły też wszystko było normalnie. Jak zawsze. Szybko zrobiłem obchód i powpisywałem „bez zmian” we wszystkich sprawdzanych miejscach. Jednak nic niezwykłego się nie zdarzyło. Poczuję ulgę i zamierzałem wrócić do komórki. Ostatnim miejscem, jakie sprawdziłem, była kotłownia obok stołówki we wschodnim skrzydle szkoły. Komórka dozorczy znajdowała się w skrzydle zachodnim. Dlatego zawsze wracałem stamtąd długim korytarzem na parterze. Oczywiście panowała kompletna ciemność. W księżycowe noce wpadało trochę światła, ale bez księżycy nie było nic widać. Szedłem z latarką, świecąc sobie pod nogi. Tamtej nocy zbliżał się tajfun, więc księżyc oczywiście się skrył. Czasami na chwilę ukazywał się spomiędzy chmur, lecz zaraz znów zapadał mrok.

Tamtej nocy szedłem korytarzem szybciej niż zwykle. Skrzypiały moje gumowe podeszwy butów do koszykówki. Korytarz wyłożony był zielonym linoleum. Zamglona zieleń, jakby podłoga porośla mchem. Nawet teraz wyraźnie ją pamiętam.

W połowie korytarza znajdowało się główne wejście do szkoły. Kiedy je mijałem, nagle pomyślałem sobie: „A to co?”. Zdawało mi się, że w ciemności coś zamajaczyło. Poczułem zimny pot pod pachami. Ścisnąłem w dłoni miecz i zwróciłem się w tamtą stronę. Poświeciłem latarką. Na ścianę koło szafek na buty.

Byłem tam ja. To znaczy – lustro. Ach, nic takiego, to tylko moje odbicie w lustrze, pomyślałem. Poprzedniej nocy jeszcze nie było tu lustra, musieli je dopiero co powiesić. Dlatego się zdziwiłem. Duże pionowe lustro, w którym odbijała się cała postać. Poczułem ulgę, a jednocześnie zrobiło mi się głupio. Co za idiotyzm, powiedziałem sobie. Położyłem latarkę na ziemi, wyjąłem z kieszeni papierosa i zapaliłem. Zrobiłem sobie przerwę, przyglądając się swojemu odbiciu. Z okna wpadało nieco światła latarni i docierało do lustra. Za plecami słyszałem stukanie bramki przy basenie.

Zaciągnąłem się papierosem ze trzy razy, gdy nagle zauważyłem coś dziwnego. A mianowicie, że to nie ja odbijałem się w lustrze. To znaczy, odbicie wyglądało dokładnie tak samo jak ja. Niewątpliwie tak samo. Ale to na pewno nie byłem ja. Instynktownie to czułem. Nie, to też nie tak. Ściśle mówiąc, to oczywiście byłem ja. Ale jakiś inny ja. Ja w kształcie, którego nie powinienem był przybrać.

Nie potrafię tego dobrze wyrazić. Bardzo trudno to komuś innemu wyjaśnić.

Wtedy zrozumiałem tylko jedno: ten drugi z głębi serca mnie nienawidzi. Ta nienawiść była zupełnie jak twarda góra lodowa unosząca się na ciemnym morzu. Nienawiść, której nikt nie mógł wyleczyć. Tylko tyle zrozumiałem.

Stałem tam osłupiały przez pewien czas. Papieros wypadł mi spomiędzy palców na podłogę. Papieros w lustrze też upadł na podłogę. Obaj tak samo się sobie przyglądaliśmy. Nie ruszałem się, jakbym skamieniał.

Wkrótce on poruszył ręką. Palce lewej ręki powoli dotknęły brody, a potem zaczęły powoli błądzić po całej twarzy, zupełnie jak owady. Zorientowałem się, że sam robię to samo. Zupełnie jakbym ja był tym lustrzanym odbiciem. Czyli on próbował rządzić mną.

Zebrałem w sobie wszystkie siły i wrzasnąłem. „Haaaa!”, „Aaaaaa!”. Wtedy wrażenie, że zmieniłem się w kamień, troszeczkę zelżało. Zdecydowanie rzuciłem mieczem w lustro. Usłyszałem brzęk tłukącego się szkła. Nie oglądając się za siebie, pobiegłem do komórki, zamknąłem drzwi na klucz i schowałem się pod kołdrą. Martwiłem się o niezgaszonego papierosa rzuconego na podłogę przy wejściu, ale nie mogłem tam wrócić. Wiatr ciągle wiał. Stukanie bramki przy basenie ciągnęło się do rana. Tak, tak, nie, tak, nie, nie, nie...

Pewnie domyślacie się, jak ta historia się skończyła. Oczywiście nie było tam żadnego lustra.

O wschodzie słońca tajfun się przesunął. Wiatr się uspokoił, słońce rzucało ciepły, wyraźny blask. Poszedłem do wejścia. Leżał tam niedopałek papierosa. I miecz. Ale nie było lustra. Nigdy go tam nie było. Nigdy nie było lustra obok szafek z butami. To wszystko.

I dlatego nie widziałem nigdy ducha. Widziałem tylko samego siebie. Ale do dziś nie mogę zapomnieć strachu, jakiego wtedy się najadłem. I zawsze się zastanawiam, że chyba nie ma na tym świecie nic bardziej przerażającego dla człowieka niż on sam. Nie uważacie?

Nawiasem mówiąc, zauważyliście, że w tym domu nie ma ani jednego lustra? Dużo czasu potrzeba, żeby nauczyć się golić bez lustra. Naprawdę dużo.



Folklor naszych czasów – wczesne dzieje wysoko rozwinętego kapitalizmu

我らの時代のフォークロア – 高度資本主義前史

Warera-no jidai-no fōkuroa – kōdo-shihonshugi-zenshi

Urodziłem się w roku 1949. W sześćdziesiątym pierwszym poszedłem do gimnazjum, a w sześćdziesiątym siódmym na studia. I w samym środku tamtego strasznego zamieszania skończyłem dwadzieścia lat. W tym sensie jestem chyba typowym „dzieckiem lat sześćdziesiątych”. W najważniejszym okresie życia, kiedy człowiek jest najbardziej wrażliwy i najmniej dojrzały, odetchnąłem tym szalonym, niedbającym o jutro powietrzem lat sześćdziesiątych i oczywiście kompletnie się nim upiłem. Były tam drzwi, które należało wyważyć kopniakami. Tak, to naprawdę wspaniałe mieć przed sobą drzwi, które trzeba wyważyć kopniakami. I zawsze można było liczyć na to, że w tle odezwą się The Doors, Beatlesi i Bob Dylan.

Okres lat sześćdziesiątych rzeczywiście miał w sobie coś szczególnego. Teraz tak myślę z perspektywy lat, ale kiedy żyłem w tym wirze, też zasadniczo tak uważałem. Że ten okres ma w sobie coś szczególnego. Gdy jednak zadaję sobie pytanie, czy ten szczególny okres dodał nam, czyli mojemu pokoleniu, jakiegoś szczególnego splendoru, już nie jestem tego taki pewien. Albo jąkam się, próbując odpowiedzieć. Czy w końcu nie było tak, że my tylko „przeszliśmy” przez to coś szczególnego? Obejrzeliśmy to, doświadczyliśmy tego naprawdę, spoczęły nam się dłonie zupełnie jak podczas oglądania jakiegoś emocjonującego, dobrze zrobionego filmu, a gdy zapaliły się światła, wyszliśmy z kina jedynie z uczuciem nieszkodliwego podniecenia? Ten czas mógł być dla nas cenną lekcją, lecz z jakiejś przyczyny nie chciało nam się niczego nauczyć.

Nie wiem. Jestem zbyt głęboko zaplątany w samego siebie i w tamten okres, żebym mógł ściśle i obiektywnie odpowiedzieć na to pytanie.

Chciałbym tylko, żebyście zrozumieli jedno – wcale nie szczycę się tym, że dorastałem w tamtych latach. Po prostu krótko relacjonuję fakty jako fakty. Tak, ten *okres miał w sobie coś*

szczególnego. Gdyby kolejno rozważać i weryfikować jego elementy, okazałoby się, że same w sobie nie były szczególnie niezwykłe: gorączka wywołana nadejściem nowej epoki, jej wspaniałe obietnice, pewnego rodzaju ograniczony blask, jaki wydzielają pewne rzeczy w pewnym okresie i w pewnym miejscu, oraz fatalna niecierpliwość odczuwana przy patrzeniu na wszystko przez drugi koniec lunety. Bohaterowie i łajdacy, fascynacja i utrata złudzeń, męczeństwo i zmiana drogi życiowej, uogólnienia i szczegóły, milczenie i elokwencja, nieskończona nuda czekania i tak dalej, i tak dalej... W każdej epoce były takie rzeczy i teraz też są. I w przyszłości też pewnie będą. Lecz w naszej epoce (proszę mi wybaczyć to nieco górnolotne wyrażenie) takie rzeczy istniały bardzo barwnie, w rzeczywistości zdawało się, że są w zasięgu ręki. W swoim prawdziwym kształcie dosłownie leżały nam przed nosem jak na wystawie. Nie tak jak dziś, kiedy wzięcie do ręki pewnych rzeczy powoduje całą serię dodatkowego zawracania głowy: na przykład reklamy udające coś innego, podejrzane kupony zniżkowe, karty, na które zbieramy jakieś punkty i nie możemy się zdobyć na ich wyrzucenie, na wpół przymusowe opcje itp. Nikt nie wciskał nam praktycznie niezrozumiałych trzytomowych instrukcji. Właśnie w tym znaczeniu wspomniałem o „prawdziwym kształcie”. Mogliśmy po prostu wziąć do ręki daną rzecz i zabrać ją do domu. Jak kurczątko kupione na nocnym bazarze. Wszystko było strasznie proste i bezpośrednie. Przyczyna i skutek uczciwie podawały sobie ręce, a teza i rzeczywistość padały sobie w objęcia. I prawdopodobnie była to ostatnia epoka, w której obowiązywały takie zasady. Wczesne dzieje wysoko rozwiniętego kapitalizmu – sam na swoje potrzeby nadałem temu okresowi taką nazwę.

Opowiem o dziewczynach. O chaotycznych, przyjemnych, lecz zaprawionych smutkiem związkach seksualnych między nami, z naszymi praktycznie nowymi genitaliami, a dziewczynami, które były jeszcze praktycznie dziewczynkami. To jeden z tematów tego opowiadania.

Najpierw o kwestii dziewictwa (słowo „dziewictwo” kojarzy mi się z wiosenną łąką w pogodne popołudnie. Ciekawe dlaczego?).

W latach sześćdziesiątych dziewictwo miało jeszcze duże znaczenie, nie tak jak obecnie. Wydaje mi się – oczywiście nie przeprowadzałem ankiety, więc mogę się wypowiadać tylko w ogólnych zarysach – że w naszym pokoleniu pewnie około pięćdziesięciu procent dziewczyn traciło dziewictwo przed ukończeniem dwudziestu lat. Przynajmniej w moim otoczeniu mniej więcej takie były proporcje. To znaczy, że około połowy dziewczyn, nie wiem czy świadomie, czy nie, przywiązywało wagę do dziewictwa.

Kiedy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że wiele dziewczyn z naszego pokolenia (nazwijmy je centrystkami) w głębi serca borykało się z tym problemem, bez względu na to, czy były dziewicami, czy nie. Nie uważały, że w dzisiejszej rzeczywistości należy przywiązywać wagę do dziewictwa, ale nie potrafiły jednoznacznie stwierdzić, że dziewictwo nie ma znaczenia, jest głupie. To znaczy, nie owijając w bawełnę, można uznać, że była to dla nich kwestia tego, jak się rozwinie sytuacja. Wszystko zależało od okoliczności i od partnera. Moim zdaniem to właściwy sposób myślenia i życia. Po obu stronach tej raczej milczącej większości istniały frakcje liberalna i konserwatywna: dziewczyny uważające seks za sport oraz dziewczyny przekonane, że dziewictwo należy zachować do ślubu. Niektórzy chłopcy też mówili, że ożenią się tylko z dziewicą.

Jak w każdej epoce byli różni ludzie i różne systemy wartości. Lata sześćdziesiąte jednak różniło od wcześniejszych i późniejszych okresów nasze przekonanie, że z czasem uda nam się te różnice zniwelować.

Jest to opowieść o moim znajomym.

Był kolegą z liceum. Jeden z tych, co to wszystko potrafią. Świetnie się uczył, był dobry w sportach, życzliwy i miał zdolności przywódcze. Nie był szczególnie przystojny, lecz miał sympatyczną,

niewinną twarz. Zawsze wybierano go na przewodniczącego klasy, jakby to było zupełnie oczywiste. Miał dźwięczny głos, całkiem dobrze śpiewał. Był elokwentny. W czasie dyskusji klasowych to on zawsze robił podsumowanie. Oczywiście jego poglądów nie dało się nazwać odkrywczymi. Ale kto liczy na odkrywcze poglądy w czasie klasowych dyskusji? Liczyliśmy raczej na to, że dyskusja jak najszybciej dobiegnie końca. A kiedy on zabierał głos, rzeczywiście kończyła się w odpowiednim momencie. W tym sensie był dla nas cenny. Na świecie jest mnóstwo sytuacji wymagających rzeczy nieodkrywczych. A raczej jest ich znacznie więcej niż tych odkrywczych.

Z szacunkiem podchodził do kwestii dyscypliny i sumienia. Kiedy mieliśmy się uczyć, a ktoś się wygłupiał albo hałasował, łagodnie zwracał mu uwagę. Nie można było o nic się do niego przyczepić. Zupełnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, co się może kryć w głowie takiego człowieka. Czasami miałem ochotę odczepić mu tę głowę od szyi i potrząsnąć. Żeby usłyszeć, jaki dźwięk się rozlegnie. Ale bardzo podobał się dziewczynom. Kiedy w czasie lekcji zrywał się pełen gracji, chcąc coś powiedzieć, wszystkie dziewczyny wzdychały: „Ach!”, i wlepiały w niego pełen podziwu wzrok. Gdy czegoś nie rozumiały z matematyki, to właśnie jego zawsze pytały. Był ze dwadzieścia siedem razy popularniejszy ode mnie. Naprawdę taki to był facet.

Ci, którzy chodzili do państwowych liceów, pewnie wiedzą, że ten typ chłopaka rzeczywiście istnieje. W każdej klasie jest taki jeden, ale jeśli nie ma, klasa odpowiednio nie funkcjonuje. Podczas długich lat edukacji szkolnej w sposób naturalny przyswajamy sobie różne reguły życiowe; jedna z mądrości, jakie w ten sposób posiadam, była taka, że żyjąc w grupie, czy mi się to podoba, czy mi się to nie podoba, musiałem zaakceptować istnienie tego typu człowieka.

Nie muszę chyba mówić, że osobiście nie przepadam za takimi osobami. Jakoś nie możemy się dogadać. Ja wolę raczej ludzi, jak by to powiedzieć, mniej doskonałych, bardziej rzeczywistych. Dlatego choć byliśmy przez rok w tej samej klasie, nie utrzymywaliśmy

prawie żadnych stosunków. Po raz pierwszy naprawdę rozmawiałem z nim w lecie na pierwszym roku studiów. Przypadkiem chodziliśmy do tego samego ośrodka szkolenia na prawo jazdy, kilka razy się tam spotkaliśmy i sobie pogadaliśmy. Kiedy trzeba było czekać na instruktora, szliśmy razem na herbatę. Ośrodek szkolenia na prawo jazdy to doprawdy nudny przybytek i człowiek ma ochotę porozmawiać z kimś znajomym, wszystko jedno z kim. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale nie pozostało mi po tym żadne nieprzyjemne wrażenie. Ani dobre, ani złe, o dziwo, nie zostało mi żadne.

Poza tym pamiętam jeszcze, że miał dziewczynę. Chodziła do innej klasy, była jedną ze szkolnych piękności. Ładna, świetnie się uczyła, była wysportowana, miała zdolności przywódcze, w czasie dyskusji klasowych zawsze wygłaszała podsumowanie. W każdej klasie jest jedna taka dziewczyna.

Krótko mówiąc, była to para jak z obrazka. Mr. Clean i Miss Clean, zupełnie jak w reklamie pasty do zębów.

Widywałem ich w różnych miejscach. W czasie przerwy południowej często siadywali w rogu boiska i rozmawiali. Umawiali się i razem wracali do domu. Jeździli tym samym pociągiem, choć wysiadali na różnych dworcach. On należał do klubu piłki nożnej, a ona do klubu konwersacji angielskiej. Kiedy zajęcia kończyły im się o różnych porach, jedno z nich, to, które wcześniej było wolne, uczyło się w bibliotece. Zdawało się, że kiedy tylko mieli czas, spędzali go razem. I zawsze, zawsze, zawsze rozmawiali. Pamiętam, jak podziwiałem ich za to, że mają tyle wspólnych tematów.

My (to znaczy ja i ludzie, z którymi się przyjaźniłem) nie czuliśmy do nich szczególnej niechęci. Dlatego, że nie znajdowaliśmy w nich niczego, co podziałałoby na naszą wyobraźnię. Istnieli jak pogoda i żyli obok nas. No bo kto może się przyczepić do deszczu czy wiatru z południa? I dlatego nic nas z nimi nie wiązało, zajmowaliśmy się stosunkowo poważnie rzeczami, które nas interesowały – to znaczy rzeczami ważniejszymi, współczesnymi, emocjonującymi. Na przykład? Na przykład seksem, rock and rollem, filmami Jeana-Luca Godarda, ruchami

politycznymi, powieściami Kenzaburō Ōe, takimi rzeczami. *Szpeciallynie* seksem.

Oczywiście byliśmy aroganckimi ignorantami. Wcale nie rozumieliśmy, na czym polega życie. W rzeczywistym świecie nie istnieją Mr. Clean i Miss Clean. Prawdopodobnie istnieją tylko w świecie reklam telewizyjnych. To znaczy, że między naszymi ówczesnymi iluzjami a ich iluzjami nie było zbyt wielkiej różnicy.

To jest opowieść o nich. Nie jest zbyt przyjemna i patrząc z obecnego punktu widzenia, być może trudno z niej wyciągnąć jakiś morał. Ale w każdym razie jest to ich historia, a jednocześnie historia nas samych. Dlatego, krótko mówiąc, stała się częścią pewnego rodzaju folkloru. Ja ją odnalazłem i jako nieporadny bard tutaj opowiem.

Usłyszałem tę historię od niego. Zaczął ją nagle opowiadać, gdy przy winie gadaliśmy na przeróżne tematy. Dlatego ściśle mówiąc, możliwe, że nie można jej nazwać prawdziwą opowieścią. Części z tego, co usłyszałem, nie pamiętam, szczegóły oczywiście opisuję, wspomagając się gdzie trzeba wyobraźnią. Poza tym celowo zmieniłem niektóre fakty, nie chcąc postawić zainteresowanych w niezręcznej sytuacji (ale tylko w takim stopniu, by wcale nie utrudniło to biegu opowieści). W rzeczywistości zdarzyło się to prawie tak jak opisałem. A to dlatego, że choć mogłem zapomnieć pewne szczegóły, jeszcze teraz dokładnie pamiętam ton jego opowieści. Przy zapisywaniu opowieści usłyszanej od kogoś najważniejsze jest odtworzenie jej tonu. Jeżeli uda się ów ton uchwycić, historia będzie prawdziwa. Choć fakty mogą się nieco różnić, historia będzie prawdziwa. Zdarza się, że te różnice faktów sprzyjają *prawdziwości* opowieści. I wręcz przeciwnie – są na świecie zupełnie nieprawdziwe opowieści, w których zgadzają się wszystkie fakty. Takie opowieści są zwykle nudne, a w niektórych wypadkach wręcz niebezpieczne. Tak czy inaczej, można to wyczuć na kilometr.

Chciałbym jeszcze podkreślić, że on niezbyt dobrze opowiadał. Z jakiejś przyczyny Bóg, który był dla niego tak szczodry w innych

dziejzinach, poskąpił mu talentu do snucia opowieści (rzeczywiście taka sielska umiejętność do niczego się nie przydaje w prawdziwym życiu). Dlatego słuchając go, wiele razy mimowolnie miałem ochotę ziewnąć (oczywiście nie ziewnąłem). Robił też niepotrzebne dygresje. Czasami historia krążyła wokół tego samego. Poza tym przypomnienie sobie faktów zajmowało mu dużo czasu. Brał do ręki ułamki opowieści, starannie im się przyglądał, a kiedy się upewniał, że pasują, kolejno jeden po drugim układał je na stole. Ale kolejność co pewien czas się nie zgadzała. Jako powieściopisarz, czyli coś w rodzaju specjalisty, pozamieniałem te kawałki miejscami, posklejałem i ostrożnie połączyłem w całość.

Kto by się spodziewał, że spotkamy się w mieście Lukka, w centralnej części Włoch?

W centralnej części Włoch!

Mieszkałem wtedy w wynajętym mieszkaniu w Rzymie. Żona w jakiejś sprawie musiała wrócić do Japonii, a ja w tym czasie wybrałem się na wycieczkę koleją. Z Wenecji pojechałem do Werony, Mantui, Modeny i wpadłem do Lukki. Byłem tam po raz drugi. To przyjemne ciche miasto. Na przedmieściu jest restauracja, w której podają smaczne potrawy z grzybów.

On przyjechał do Lukki w interesach. Przypadkiem zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu.

Świat jest mały.

Tego wieczoru w restauracji zjedliśmy razem kolację. Obaj podróżowaliśmy samotnie, obaj się nudziliśmy. Z wiekiem samotne podróże robią się nudne. Za młodu jest inaczej. Czy człowiek jest sam, czy nie, bardzo dobrze się bawi na każdej wycieczce. Ale jak się osiągnie pewien wiek, nic z tego. Przyjemnie jest samemu podróżować tylko przez pierwsze dwa, trzy dni. Stopniowo krajobrazy stają się męczące, głosy ludzi zaczynają drażnić. Kiedy zamyka się oczy, mimowolnie przypominają się nieprzyjemne sprawy. Samotne jedzenie w restauracjach staje się irytujące. Czas oczekiwania na pociąg wydłuża się niemiłosiernie. Człowiek zaczyna

bez przerwy patrzeć na zegarek. Odechciewa się mówić w obcych językach.

Myślę, że właśnie dlatego, spotkawszy się, obaj poczuliśmy ulgę. Tak samo jak wtedy, gdy spotkaliśmy się w ośrodku nauki jazdy. Usiedliśmy przy stoliku przed kominkiem, zamówiliśmy szlachetne czerwone wino, zjedliśmy zakąskę z grzybami, makaron z grzybami i *arrosto* z grzybami.

Przyjechał do Lukki kupić meble. Prowadził firmę importową specjalizującą się w meblach europejskich. Oczywiście odnosił sukcesy. Specjalnie się nie chwalił ani nie dawał tego do zrozumienia (wręczył mi wizytówkę i powiedział tylko, że prowadzi małą firmę), ale na pierwszy rzut oka dało się poznać, że odniósł w życiu sukces. Było to wyraźnie widoczne w jego stroju, sposobie mówienia, wyrazie twarzy, zachowaniu, atmosferze, jaka go otaczała. Z tym sukcesem bardzo dobrze i swobodnie się czuł, co robiło przyjemne wrażenie.

Powiedział, że czytał wszystkie moje powieści. – Myślę, że różnimy się w naszych sposobach myślenia i dążeniach. Ale ja też uważam, że wspaniale jest, kiedy można innym coś opowiedzieć – dodał.

Słuszny pogląd. – Jeżeli uda się dobrze opowiedzieć – odparłem.

Na początku rozmawialiśmy o Włoszech. O tym, że pociągi jeżdżą jak chcą, że posiłki trwają za długo. Ale choć nie pamiętam, jak do tego doszło, kiedy podano nam drugą butelkę wina, był już przy tej opowieści. A ja słuchałem, co pewien czas potakując. Wydaje mi się, że pewnie od dawna chciał komuś o tym opowiedzieć. Ale nie mógł. I gdybyśmy nie siedzieli wtedy w miłej restauracji w niewielkim mieście w środkowej części Włoch, gdybyśmy nie pili wina Coltibuono rocznik '83 o bogatym bukiecie, gdyby w kominku nie palił się ogień, może ta opowieść nigdy nie zostałaby opowiedziana.

Ale opowiedział ją.

– Zawsze sam siebie uważałem za nudziarza – zaczął. – Od wczesnego dzieciństwa nie potrafiłem sobie pofolgować. Ciągle widziałem wokół siebie coś w rodzaju ram i żyłem, starając się nie wychylić poza nie. Miałem przed sobą jakby białe drogowskazy, jak przy szosie. Jak na dobrze utrzymanej autostradzie. Jeśli jedziesz w tym kierunku, zjedź na prawy pas, przed tobą jest zakręt, zakaz wyprzedzania itd. Jeżeli człowiek postąpi zgodnie z tymi wskazówkami, wszystko pójdzie dobrze. Kiedy tak postępowałem, wszyscy mnie chwalili. Byli pełni podziwu. Jako mały chłopiec myślałem, że wszyscy inni też widzą przed sobą takie wskazówki. Ale później zrozumiałem, że tak nie jest.

Potrzymał kieliszek na tle ognia i przyglądał mu się przez chwilę.

– Moje życie, a przynajmniej jego początek, płynęło w tym sensie bardzo gładko. Nie miałem żadnych prawdziwych problemów. Ale przez to nie bardzo udawało mi się uchwycić znaczenie własnej egzystencji. Kiedy dorastałem, takie mgliste myśli przybierały na sile. Nie wiedziałem, czego chcę. Miałem chorobę samych piątek. To znaczy, z matematyki byłem dobry, z angielskiego byłem dobry, z wuefu byłem dobry, ze wszystkiego byłem dobry. Rodzice mnie chwalały, nauczyciele mówią, że nie ma ze mną problemów, udaje mi się dostać na dobry uniwersytet. Ale nie wiem, do czego się nadaję, co chciałbym robić. Nie miałem nawet pojęcia, jakie studia wybrać. Czy powinienem iść na prawo, na inżynierię czy na medycynę? Było mi wszystko jedno. Myślę, że ze wszystkim bym sobie poradził. Ale nie miałem nic specjalnego, swojego. Dlatego za radą rodziców i nauczycieli poszedłem na prawo na Uniwersytecie Tokijskim. Twierdzili, że to będzie dla mnie najodpowiedniejsze. Nie miałem żadnych wyraźnych zainteresowań.

Wypił kolejny łyk wina. – Pamiętasz moją dziewczynę z liceum?

– Chyba nazywała się Fujisawa? – Przypomniałem sobie jakoś. Nie byłem pewien, ale się zgadzało.

Pokiwał głową. – Tak, Yoshiko Fujisawa. Z nią było tak samo. Lubiłem ją. Lubiłem spędzać z nią czas i rozmawiać o różnych rzeczach. Mogłem powiedzieć jej wszystko, co mi leżało na sercu, a

ona dobrze mnie rozumiała. Mogliśmy w nieskończoność rozmawiać. To było naprawdę wspaniałe. Bo zanim ją spotkałem, nie miałem żadnego przyjaciela, z którym mógłbym naprawdę pogadać.

On i Yoshiko Fujisawa okazali się tak zwanymi bratnimi duszami. Środowiska, w jakich się wychowali, były niesamowicie podobne do siebie. Oboje mieli regularne rysy, dobre stopnie, byli urodzonymi przywódcami, supergwiazdami w swoich klasach. Obie rodziny żyły dostatnio, lecz między rodzicami się nie układało. Obie matki były nieco starsze, ojcowie mieli na boku kobiety i nie zawsze wracali do domu. Nie rozwodzili się tylko ze względu na opinię społeczną. W rodzinach rządziły matki. Uważały, że dzieci muszą we wszystkim przodować. Żadne z nich nie miało bliższych kolegów. Oboje byli lubiani, lecz nie mieli prawdziwych przyjaciół. Nie wiem dlaczego. Prawdopodobnie zwyczajni niedoskonali ludzie wybierają na przyjaciół ludzi równie niedoskonałych. Zawsze byli samotni, zawsze bardzo spięci.

Ale jakoś się zaprzyjaźnili. Otworzyli przed sobą serca, wkrótce się pokochali. Zawsze razem jedli lunch, razem wracali ze szkoły. Kiedy mieli czas, rozmawiali. Nie brakowało im tematów. W niedzielę razem się uczyli. Sami, tylko we dwoje czuli się najswobodniej. Rozumieli instynktownie, co czuje to drugie. Nigdy im się nie nudziły rozmowy o tym, co kiedyś czuli, o samotności, poczuciu straty, niepokoju, a także o pewnego rodzaju marzeniach.

Raz w tygodniu oddawali się pieścizotom. Zazwyczaj u niej, czasem u niego. Zwykle nikogo nie było w domu (ojcowie nieobecni, a matki miały wiele spraw do załatwienia i często wychodziły), więc łatwo im było znaleźć okazję. Przyjęli zasadę, że nie zdejmą ubrania. I posługiwali się tylko palcami. W ten sposób obejmowali się gwałtownie i łapczywie przez dziesięć czy piętnaście minut, a potem siadali przy jednym biurku do nauki.

– No, chyba już dość? Może zabierzemy się do lekcji? – mówiła ona, obciągając spódnice. Oboje mieli mniej więcej takie same

stopnie, więc lekcje sprawiały im przyjemność, jak zabawa. Zadania matematyczne rozwiązywali na wyścigi, mierząc czas. Uczenie się wcale nie było dla nich uciążliwe, a raczej stało się ich drugą naturą. To było strasznie fajne, powiedział. Może myślisz, że to głupie, ale było fajnie. Pewnie tylko ludzie naszego typu mogą zrozumieć taką przyjemność.

Niestety jego nie w pełni zadowalał taki związek. Czuł, że czegoś w nim brak. Tak, chciał iść z nią do łóżka. Pragnął prawdziwego seksu. Nazwał to „cielesną jednością”. Myślał, że dzięki temu staliby się bardziej wyzwoleni, mogliby się lepiej zrozumieć. Dla niego była to całkowicie naturalna kolej rzeczy.

Ona jednak patrzyła na to zupełnie inaczej. – Bardzo cię kocham. Ale chcę do ślubu być dziewicą – powiedziała spokojnie. Zacisnęła wargi i lekko potrząsnęła głową. I choć długo i wymownie ją przekonywał, nie słuchała.

– Kocham cię, bardzo, ale to i tamto to dwie zupełnie różne sprawy. Dla mnie kwestia jest zdecydowana przesądzona. Przepraszam cię, ale musisz się powstrzymać. Proszę cię. Jeśli mnie naprawdę kochasz, chyba możesz się powstrzymać, prawda?

Skoro tak powiedziała, musiałem to uszanować, mówił mi później. To kwestia podejścia do życia i nie można nikogo zmuszać. Ja osobiście uważałem, że nie ma większego znaczenia, czy dziewczyna jest dziewicą, czy nie. Myślałem, że nie przejmowałbym się, gdyby moja żona nie była dziewicą. Nie mam szczególnie radykalnych poglądów, nie jestem też marzycielem, ale to nie znaczy też, że jestem konserwatywny. Jestem tylko realistą. To dla mnie nie jest szczególnie ważny ani realny problem. Ważne jest to, żeby kobieta i mężczyzna dobrze się nawzajem rozumieli. Tak myślałem. Ale to był jedynie mój punkt widzenia. Nie mogłem jej go narzucić. Ona miała swoje własne wizje życiowe. Dlatego to znosiłem. Przez cały czas wkładaliśmy sobie ręce pod ubranie i pieściliśmy się nawzajem. Mniej więcej wiesz, co robiliśmy, nie?

Powiedziałem, że mniej więcej wiem. Ja też miałem swoje wspomnienia.

On zaczerwienił się lekko, a potem uśmiechnął.

To samo w sobie też było wcale niezłe. Ale tak długo, jak na tym poprzestawaliśmy, moje serce nie знаło ukojenia. Dla mnie to był tylko etap pośredni. Pragnąłem stać się z nią jednym ciałem, niczego nie kryjąc. Chciałem posiadać i być posiadany. Chciałem takiego dowodu. Oczywiście pożądanie też grało rolę. Ale to nie wszystko. Mówię tu o cielesnej jedności. Nigdy w życiu takiej jedności nie czułem. Zawsze byłem sam. I zawsze tkwiłem pełen napięcia w jakichś ramach. Pragnąłem wyzwolenia. Sądziłem, że jeśli się wyzwolę, uda mi się odkryć samego siebie, tego którego widziałem do tej pory jedynie bardzo niewyraźnie. Wydawało mi się, że jeśli będziemy jednością, uda mi się przekroczyć ramy, które mnie do tej pory ograniczały.

– Ale nic z tego nie wyszło? – zapytałem.

– Nie, nic z tego nie wyszło – powiedział. Przez pewien czas obserwował polana płonące w kominku. Jego oczy były dziwnie pozbawione wyrazu. – Aż do końca nic z tego nie wyszło – powtórzył.

Poważnie zastanowił się nad małżeństwem z nią. I zdecydował się zaproponować, żeby wzięli ślub zaraz po studiach. Nie będzie żadnego problemu. Mogą się wcześniej zaręczyć. Wlepiała w niego wzrok. Potem na jej ustach pojawił się uśmiech. Był to naprawdę śliczny uśmiech. Niewątpliwie ucieszyły ją jego słowa. Ale w tym uśmiechu był też jakby smutek, pobłażliwość, z jaką doświadczeni ludzie słuchają słusznych, lecz niedojrzałych argumentów młodych. Przynajmniej on tak to odczuł. Słuchaj, to niemożliwe. My nie możemy wziąć ślubu. Ja wyjdę za kogoś o kilka lat starszego, a ty ożenisz się z kobietą o kilka lat młodszą. Tak się zazwyczaj na świecie dzieje. Kobiety dojrzewają szybciej niż mężczyźni. I szybciej się starzeją. Ty jeszcze niewiele wiesz o świecie. Gdybyśmy nawet wzięli ślub po studiach, na pewno by się między nami nie ułożyło. Na pewno nie uda nam się długo utrzymać tego związku. Oczywiście ja cię kocham. Nigdy nikogo prócz ciebie nie kochałam,

ale to i tamto to dwie zupełnie różne sprawy (miała zwyczaj mówić, że „to i tamto to dwie zupełnie różne sprawy”). Jesteśmy jeszcze w liceum, co chroni nas przed różnymi rzeczami. Ale świat zewnętrzny jest inny. Większy, bardziej realny. Musimy się przygotować na spotkanie z nim.

Zdawało mu się, że wie, o co jej chodzi. Przecież myślał o wiele bardziej realistycznie niż chłopcy w jego wieku. I gdyby przy innej okazji usłyszał taki pogląd jako ogólną teorię, być może by się z nim zgodził. Lecz to nie była ogólna teoria, tylko kwestia jego własnego życia.

Nie mogę się z tym pogodzić, powiedział. Ja cię bardzo kocham, chcę się z tobą stać jednym ciałem. Jestem o tym przekonany i jest to dla mnie strasznie ważne. I nawet jeżeli jest tu jakiś element odbiegający od tego, co ludzie zwykle robią, szczerze mówiąc, nie stanowi to dla mnie problemu. Tak bardzo cię kocham. Naprawdę cię kocham.

Znów potrząsnęła głową. Jakby chciała powiedzieć: „Nie ma rady”. Potem pogłaskała go po głowie. Co my wiemy o miłości, powiedziała. Nasza miłość jeszcze nie przeszła żadnej próby. Nie ponosimy za nic odpowiedzialności. Jeszcze jesteśmy dziećmi. I ja, i ty.

Cóż mógł na to odpowiedzieć? Było mu tylko smutno. Smutno, bo nie udało mu się zburzyć otaczającego go muru, przekroczyć ram. Do niedawna myślał, że te ramy są po to, by go strzec. Ale teraz okazały się zawalidrogą. Musiał boleśnie odczuć własną bezsilność. Niczego już nie zdziałam, myślał. Pewnie będę wiódł puste życie i starzał się otoczony tym grubym murem, nie będzie mi wolno wyjść na zewnątrz.

W rezultacie ich związek trwał niezmienny do końca szkoły średniej. Umawiali się w bibliotece, razem się uczyli, pieścili w ubraniu. Zdawało się, że jej praktycznie nie przeszkadza niekompletność ich związku. A nawet miało się wrażenie, że ta niekompletność ją cieszy. Otoczenie myślało, że przeżywają młodość

bez żadnych problemów. Mr. Clean i Miss Clean. Jednak on ciągle borykał się z tymi niedającymi mu spokoju uczuciami.

Wiosną sześćdziesiątego siódmego roku dostał się na Uniwersytet Tokijski, a ona poszła na ekskluzywną uczelnię żeńską w Kobe. Z punktu widzenia wyników w nauce był to wybór poniżej jej możliwości. Gdyby tylko chciała, też mogłaby się dostać na Uniwersytet Tokijski. Ale nawet nie podeszła do egzaminu. Uważała, że to niepotrzebne. Nie mam szczególnej ochoty studiować. Nie mam ochoty pracować w Ministerstwie Finansów. Jestem dziewczyną. Różnię się od ciebie. Ty zajdziesz wyżej. Ale ja mam teraz ochotę spędzić cztery lata na luzie. Odpocznę sobie. Przecież jak wyjdę za mąż, nic już nie będę mogła, prawda?

Był tym bardzo rozczarowany. Chciał, żeby razem wyjechali do Tokio i od początku próbowali odbudować swój związek. Tak jej powiedział. Przyjedź na studia do Tokio. Ale ona znów potrząsnęła głową.

Wrócił do Kobe na letnie wakacje na pierwszym roku[6]. Prawie codziennie chodził z nią na randki (to właśnie tego lata spotkałem go w ośrodku nauki jazdy). Jeździli sobie w różne miejsca samochodem (ona prowadziła) i jak przedtem się pieścili. Ale chcąc nie chcąc, zauważył, że coś się między nimi zmieniło. Zaczął się tam bezszelestnie pojawiać powiew rzeczywistości.

Nic konkretnego się nie zmieniło. A raczej za bardzo nic się nie zmieniało. Jej sposób mówienia, sposób ubierania się, dobór tematów i poglądy były prawie takie same jak przedtem. Ale czuł, że sam przestał się tak jak kiedyś wtapiać w ten jej świat. Miał wrażenie, że coś jest inaczej. Jak przy powtarzanej wahałowo czynności, której wahania stają się coraz mniejsze. Samo w sobie nie było to złe. Tylko nie mógł się w tym odnaleźć.

Pewnie to ja się zmieniłem, pomyślał.

Jego tokijski żywot był samotny. Na uniwersytecie też nie miał przyjaciół. Miasto było tłoczne i brudne, jedzenie niesmaczne. Ludzie mówili niezbyt eleganckim językiem. A przynajmniej jemu się tak wydawało. Dlatego będąc w Tokio, ciągle rozmyślał o niej.

Wieczorami zamykał się w pokoju i pisał do niej list za listem. Od niej przychodziły odpowiedzi (choć było ich znacznie mniej niż jego listów). Szczegółowo opisywała swoje życie. Czytał te listy wielokrotnie. Gdybym nie dostawał od niej listów, kompletnie bym zwariował, myślał. Zaczął palić i pić. Czasami nawet nie chodził na wykłady.

Ale kiedy nie mogąc się już doczekać, wrócił latem do Kobe, spotkały go tam różne rozczarowania. Mimo że nie było go zaledwie trzy miesiące, o dziwo wszystko wydawało mu się zakurzone, jakby utraciło żywotność. Rozmowy z matką były śmiertelnie nudne. Krajobraz wokół, za którym tęsknił w Tokio, wydawał się jakby postarzały. Nawet Kobe okazało się w końcu jedynie prowincjonalnym, zadufanym w sobie miastem jakich wiele. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać i zmęczyło go nawet pójście do fryzjera, do którego chodził od dzieciństwa. Nad morzem, gdzie poszedł na spacer z psem, rzucały mu się w oczy głównie śmieci i pustka.

Randki z nią też nie podnosiły go na duchu. Kiedy wracał z nich do domu, zawsze zatapiał się w samotnych rozmyślaniach. Co właściwie jest nie tak? Oczywiście nadal ją kochał. To uczucie ani trochę się nie zmieniło. Ale to nie wystarczy, muszę podjąć jakieś działanie, myślał. Namiętność w pewnym okresie rozwija się samodzielnie, lecz nie trwa wiecznie. Jeżeli nie podejmę jakiegoś działania, nasz związek zabrniesie w ślepią uliczkę, namiętność może udusić się i przepaść.

Pewnego dnia postanowił jeszcze raz poruszyć od dawna zamknięty problem seksu. Miał to być ostatni raz.

– Byłem sam w Tokio przez trzy miesiące i cały czas o tobie myślałem. Bardzo cię kocham. To się nie zmienia, choć jesteśmy od siebie oddaleni. Ale kiedy jesteśmy od siebie ciągle oddaleni, różne rzeczy zaczynają mnie strasznie niepokoić. Bywa, że całkiem pogrążam się w ponurych myślach. Będąc sam, człowiek staje się strasznie kruchy. Ty pewnie tego nie wiesz. Nigdy przedtem nie byłem taki samotny. Jest mi z tym bardzo ciężko. Dlatego chciałbym

się z tobą jednoznacznie związać. Chciałbym mieć pewność, że choć jesteśmy daleko, coś nas niewątpliwie łączy.

Ona znowu potrzęsła głową. Potem westchnęła i pocałowała go. Bardzo delikatnie.

– Przepraszam. Ale nie mogę ci ofiarować swojego dziewictwa. To i tamto to dwie różne sprawy. Zrobię dla ciebie wszystko, co będę mogła. Tego jednego nie mogę. Jeżeli mnie kochasz, nie wracaj już do tej sprawy. Proszę cię.

Lecz on jeszcze raz wrócił do kwestii małżeństwa.

– Na moim roku są dziewczyny, które się zaręczyły. Dwie – powiedziała. – Ale ich narzeczeni już mają porządne prace. Na tym polegają zaręczyny. Małżeństwo to odpowiedzialność. Człowiek się uniezależnia i przyjmuje na siebie odpowiedzialność za kogoś innego. Nie można nic dostać, jeśli nie przyjmie się za to odpowiedzialności.

– Ja mogę przyjąć odpowiedzialność – powiedział zdecydowanie. – Dostałem się na dobry uniwersytet. Mam i będę miał dobre wyniki w nauce. Dostanę się do dowolnej firmy, dowolnego urzędu państwowego. Wszystkie drzwi staną otworem. Dostanę się tam, gdzie będziesz chciała, z najlepszym wynikiem. Ze wszystkim sobie poradzę, jeżeli zechcę. W czym tu właściwie tkwi problem?

Zamknęła oczy, oparła głowę na siedzeniu samochodu. Przez pewien czas milczała. – Ja się boję – powiedziała. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. – Naprawdę się boję. Tak się boję, że nie wiem, co zrobić. Boję się życia. Boję się żyć. Boję się tego, że za kilka lat będę musiała stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Dlaczego tego nie rozumiesz? Dlaczego nic nie rozumiesz? Dlaczego tak mnie męczysz?

Objął ją. – Przy mnie nie musisz się bać – powiedział. – Ja też, prawdę mówiąc, się boję. Boję się tak samo jak ty. Ale myślę, że przy tobie poradzę sobie i nie będę się bał. Jeśli połączymy siły, nie będziemy się musieli niczego bać.

Potrzęsła głową. – Nie rozumiesz. Ja jestem kobietą. Różnię się od ciebie. Ty tego nie rozumiesz. Wcale.

Wszystko, co mówił, było na nic. Ciągle płakała. A kiedy przestała, powiedziała coś zadziwiającego: – Słuchaj, jeśli... nawet jeśli się z tobą rozstanę, nigdy, nigdy cię nie zapomnę. Naprawdę. Za nic cię nie zapomnę. Bo naprawdę cię kocham. Ciebie pierwszego pokochałam i strasznie fajnie było po prostu być z tobą. Zrozum to. Ale to i tamto to dwie różne sprawy. Jeżeli chcesz, coś ci przyrzeknę. Pójdę z tobą do łóżka. Ale nie teraz. Wyjdę za kogoś za mąż, a potem pójdę z tobą do łóżka. Nie kłamię, obiecuję ci.

– Nie miałem wtedy pojęcia, co ona próbuje mi powiedzieć – oznajmił, wpatrując się w ogień na kominku. Kelner przyniósł nam dania główne i przy okazji dołożył do ognia. Z sykiem poleciały iskry. Przy sąsiednim stoliku małżeństwo w średnim wieku w skupieniu wybierało deser. – Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Zupełnie jakby mi dała jakąś zagadkę. Po powrocie do domu przypomniałem sobie jej słowa i ponownie je starannie przemyślałem, lecz nie mogłem pojąć tego sposobu myślenia. A ty rozumiesz?

– Chodziło o to, że do ślubu zostanie dziewicą, a po ślubie już nie będzie musiała i będzie mogła mieć z tobą romans, więc poczekaj do tego czasu, tak?

– Pewnie o to jej chodziło. Nie ma innego wytłumaczenia.

– To trochę dziwny pomysł, ale w pewnym sensie logiczny.

Uśmiechnął się łagodnie. – Masz rację, w pewnym sensie nie można mu odmówić logiki.

– Wyjdę za mąż jako dziewica. Potem zdradzę męża. Jak w starej powieści francuskiej. Brak tylko balów i pokojówek.

– Ale to było jedyne realistyczne rozwiązanie, jakie jej przyszło do głowy – powiedział.

– Biedna.

Patrzył na mnie przez chwilę. Potem powoli skinął głową. – Biedna. Naprawdę biedna. Masz rację. Widzę, że rozumiesz.

Ponownie skinął głową. – Teraz ja również potrafię tak na to spojrzeć. Bo mnie też odpowiednio lat przybyło. Ale wtedy nie potrafiłem. Byłem jeszcze dzieckiem. Zupełnie nie pojmowałem wszystkich drobnych drgnień ludzkiego serca. Dlatego czułem się jedynie zaskoczony. Szczerze mówiąc, byłem kompletnie osłupiały.

– Wcale ci się nie dziwię.

Potem przez pewien czas w milczeniu jedliśmy nasze dania z grzybami.

– Pewnie się domyślasz – podjął po dłuższej chwili – że w końcu się rozstaliśmy. Żadne z nas wprost tego nie zaproponowało. Jak to mówią, samo naturalnie tak się skończyło. Bardzo spokojnie. Prawdopodobnie oboje byliśmy zmęczeni podtrzymywaniem naszego związku. Z mojego punktu widzenia jej podejście do życia było – jak by to powiedzieć – niezbyt uczciwe. Nie, nie o to chodzi, ściśle mówiąc, czułem, że mogłaby żyć jak należy. I dlatego byłem trochę rozczarowany. Powinna zrezygnować z myślenia wyłącznie w kategoriach dziewictwa czy ślubu, a zacząć żyć bardziej naturalnie, pełną piersią.

– Ja myślę, że inaczej nie potrafiła – powiedziałem.

Skinął głową. – Pewnie nie. Zgadzam się z tobą.

Ukroił kawałek mięsistego grzyba i włożył do ust. – Straciła elastyczność. Ja to dobrze rozumiem. Jeśli człowiek się za bardzo rozciąga, traci elastyczność. Mnie się to też mogło przydarzyć. Od dzieciństwa jesteśmy poganiani. Idź naprzód, dalej, dalej. Więc idzie człowiek przed siebie ze wszystkich sił, tak jak mu każą. Ale nie nadąża za tym rozwój własnego ego. I pewnego dnia za daleko się rozciąga. W takich sprawach jak moralność.

– Ale w twoim przypadku tak się nie stało? – zapytałem.

– Myślę, że udało mi się jakoś to przezwyciężyć – powiedział po krótkim namyśle. Potem odłożył nóż i widelec, wytarł usta serwetką. – Po rozstaniu z nią znalazłem sobie dziewczynę w Tokio. To była dobra dziewczyna. Przez pewien czas mieszkaliśmy razem. Szczerze

mówiąc, przy niej serce nie waliło mi tak jak przy Yoshiko Fujisawie, ale i tak bardzo ją kochałem. Rozumieliśmy się, nasz związek był uczciwy. Nauczyłem się od niej, czym jest człowiek, jakie ma w sobie piękno, jakie słabości. Znalazłem też przyjaciół. Zainteresowałem się polityką. To nie znaczy, że kompletnie się zmieniłem. Zawsze byłem realistą, teraz pewnie też jestem. Nie piszę powieści, a ty nie importujesz mebli. Tak już jest. Ale na studiach nauczyłem się, że na świecie istnieją różne rodzaje rzeczywistości. Że świat jest wielki, istnieją na nim równoległe różne systemy wartości, że nie ma potrzeby być najlepszym studentem. A potem wszedłem w świat.

– I odniosłeś sukces.

– Może i tak – powiedział i westchnął zakłopotany. A potem rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie. – Rzeczywiście w porównaniu z naszymi rówieśnikami mam znacznie wyższe dochody. Więc praktycznie mówiąc, masz rację – dodał i znów zamilkł na pewien czas.

Ale wiedziałem, że to jeszcze nie koniec opowieści, więc nie odzywając się, czekałem spokojnie na dalszy ciąg.

– Potem długo nie widziałem się z Yoshiko Fujisawą – podjął. – Bardzo długo. Skończyłem studia, zacząłem pracę w firmie handlowej. Pracowałem tam pięć lat. Wysłali mnie też za granicę. Byłem bardzo zajęty. W dwa lata po studiach usłyszałem, że wyszła za mąż. Matka mnie powiadomiła. Nie zapytałem za kogo. Kiedy się dowiedziałem, najpierw zadałem sobie pytanie, czy naprawdę do dnia ślubu była dziewicą. Przede wszystkim o tym pomyślałem. Potem trochę się zasmuciłem. Następnego dnia zasmuciłem się bardziej. Zdawało mi się jakoś, że różne rzeczy się skończyły. Miałem wrażenie, że jakieś drzwi zamknęły się za mną na zawsze. No, to rozumiałe. Przecież naprawdę ją kochałem. Przez cztery lata była moją dziewczyną. Ja, przynajmniej ja, myślałem nawet o ślubie. Stanowiła strasznie ważną część mojej wczesnej młodości. To rozumiałe, że mi było smutno. Ale pomyślałem: Niech sobie będzie szczęśliwa. Naprawdę tak pomyślałem. Bo, jak by to powiedzieć, trochę się o nią martwiłem. Miała w sobie coś kruchego.

Kelner sprzątnął nasze talerze. Potem nadjechał wózek wypełniony deserami. Podziękowaliśmy i zamówiliśmy tylko kawę.

– Późno się ożeniłem. W wieku trzydziestu dwóch lat. Dlatego kiedy Yoshiko Fujisawa do mnie zadzwoniła, byłem jeszcze kawalerem. Miałem chyba dwadzieścia osiem lat. Patrz, to już ponad dziesięć lat temu. Odszedłem z firmy i właśnie się uniezależniłem. Wziąłem pożyczkę od ojca i stworzyłem niewielką własną firmę. Zakładałem, że rynek importu mebli na pewno się rozwinie. Ale zawsze tak jest, że na początku nie wszystko idzie pomyślnie. Dostawy się opóźniały, nie wszystko się sprzedawało, rosły koszty magazynowania, trzeba było spłacać długi – wtedy, szczerze mówiąc, byłem zmęczony i zaczynałem tracić pewność siebie. Być może w całym moim życiu był to okres największej niepewności. Akurat w takim momencie do mnie zadzwoniła. Nie wiem, skąd miała mój numer. W każdym razie o ósmej wieczorem zadzwonił telefon. Od razu poznałem ją po głosie. Takich rzeczy się nie zapomina. Bardzo za nią tęskniłem. Byłem wtedy podłamany, a bardzo przyjemnie w takich chwilach usłyszeć dawny ukochany głos.

Wpatrywał się w drwa na kominku, jakby sobie coś przypominał. Nagle się zorientowałem, że wszystkie stoliki są zajęte. Restaurację wypełniały odgłosy rozmów, śmiechy, brzęk naczyń. Prawie wszyscy klienci wyglądali na miejscowych. Wiele osób wołało kelnerów po imieniu. Giuseppe! Paolo!

– Wszystkiego się o mnie dowiedziała, nie wiem od kogo. Że jeszcze jestem kawalerem, że długo pracowałem za granicą. Także tego, że rok wcześniej rzuciłem pracę i założyłem własną firmę. Wszystko wiedziała. Nie martw się, poradysz sobie. Nie upadaj na duchu, powtarzała. Na pewno odniesiesz sukces. Nie może być inaczej. Bardzo się ucieszyłem, że to powiedziała. Miała taki łagodny głos. Poradzę sobie, pomyślałem znów. Jej głos przypominał mi dawną pewność siebie. Tak długo, jak ta rzeczywistość jest prawdziwa, na pewno przetrwam, pomyślałem. Ten świat jest moim światem – powiedział i roześmiał się. – Potem zapytałem o nią. Za kogo wyszła za męża, czy ma dzieci, gdzie

mieszka, tego typu pytania. Nie miała dzieci. Dodała, że mąż jest o cztery lata starszy i pracuje w stacji telewizyjnej. Jest reżyserem. Powiedziałem, że musi być zajęty. Jest zajęty, taki zajęty, że nawet nie ma czasu dziecka zrobić, wyjaśniła. Roześmiała się. Mieszkała w Tokio. W apartamentowcu w Shinagawie. Ja wtedy mieszkałem w Shioganedai. Może nie zaraz w sąsiedztwie, ale niedaleko. Co za zdumiewający zbieg okoliczności, powiedziałem. Tak sobie rozmawialiśmy. O wszystkim, o czym mogłaby rozmawiać w takiej sytuacji para ludzi, którzy chodzili ze sobą w liceum. Czułem się trochę niezręcznie, ale było przyjemnie. W końcu zaczęliśmy rozmawiać jak para przyjaciół, którzy dawno temu się rozstali, ich drogi się rozeszły, ale stęsknili się za sobą. Dawno z nikim z taką bezpośredniością nie rozmawiałem. Bardzo długo gadaliśmy. A kiedy już powiedzieliśmy sobie wszystko co trzeba, zapadło milczenie. Jak by to ująć...? Bardzo wymowne milczenie. Takie milczenie, w którym, gdy zamknąć oczy, pojawiają się przed nimi wyraźnie przeróżne obrazy – powiedział i patrzył przez chwilę na swoje leżące na stole dłonie. Potem podniósł głowę i spojrzał na mnie. – Gdyby to było możliwe, chciałem na tym skończyć rozmowę. Że dziękuję za telefon i fajnie się z tobą rozmawiało. Wiesz, o co mi chodzi?

– Z praktycznego punktu widzenia byłoby to najlepsze rozwiązanie – zgodziłem się.

– Ale ona się nie rozłączała. Zaprosiła mnie do siebie. Nie wpadłbyś do mnie? Mąż w delegacji, jestem sama i się nudzę. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem. Ona też milczała. Ta cisza trwała przez chwilę. A potem ona powiedziała: Jeszcze dobrze pamiętam, co ci dawno temu przyrzekłam.

Jeszcze dobrze pamiętam, co ci dawno temu przyrzekłam, powiedziała. Na początku nie wiedział, o co jej chodzi. A potem nagle sobie przypomniał, że kiedyś przyrzekła się z nim przespać po wyjściu za mąż. Rzeczywiście to pamiętał. Lecz nigdy nie myślał o tym w kategoriach przyrzeczenia. Myślał, że powiedziała to, bo

miała wtedy zamęt w głowie. Mając zamęt w głowie, nie wiedziała, co mówi, i niechcący powiedziała właśnie to.

Ale ona nie miała zamętu w głowie. Dla niej to było przyrzeczenie. Jednoznaczna przysięga.

Przez chwilę czuł się zdezorientowany. Nie wiedział, jak należy postąpić. Zgubił się i rozglądał bezradnie dookoła. Lecz nigdzie nie widział ram ani muru. Nic mu też nie wskazywało drogi. Oczywiście chciał iść z nią do łóżka. To się rozumiało samo przez się. Nawet po rozstaniu z nią wiele razy wyobrażał sobie, że z nią sypia. Wyobrażał to sobie w ciemności, kochając się z innymi dziewczynami. Uświadomił sobie, że nigdy nawet nie widział jej nagiej. O jej ciele wiedział tylko to, co wyczuły wsunięte pod ubranie palce. Nie zdejmowała bielizny. Pozwalała mu jedynie wsunąć pod spód palce.

Zdawał sobie jednak sprawę, jak niebezpieczne byłoby teraz przespanie się z nią. Mogło się to skończyć utratą różnych rzeczy. A poza tym nie chciał wywlekać i budzić na nowo tego, co zostawił za sobą w mrokach przeszłości. Czuł, że takie postępowanie byłoby niewłaściwe. Było w tym coś wyraźnie nierealistycznego, co do niego nie pasowało.

Ale oczywiście nie mógł odmówić. Jak miałby odmówić? To była odwieczna bajka. Cudowna bajka, która zdarza się pewnie tylko raz w życiu. Piękna dziewczyna, z którą spędził lata, kiedy najłatwiej zostać zranionym, mówi mu, żeby do niej przyszedł, bo chce się z nim przespać. Mieszka zaraz obok. A poza tym było to legendarne sekretne przyrzeczenie złożone bardzo dawno temu w głębi lasu.

Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu bez ruchu i z zamkniętymi oczami. Czuł, że zabrakło mu słów.

– Halo? – powiedziała. – Jesteś tam...?

– Jestem – odparł. – Dobra. Zaraz wychodzę. Będę u ciebie za niecałe pół godziny. Daj mi adres.

Zapisał nazwę bloku, numer mieszkania i telefonu. Pospieszenie się ogolił, przebrał, złapał taksówkę i pojechał.

– Co byś zrobił na moim miejscu? – zapytał mnie.

Potrząsnąłem głową. Nie umiałem odpowiedzieć na takie trudne pytanie.

Roześmiał się i utkwiał wzrok w filiżance kawy na stoliku. – Ja też wolałbym nie odpowiadać, gdybym mógł. Ale to nie było możliwe. Musiałem się wtedy zdecydować. Jadę albo nie jadę. Tak albo nie. Nie było nic pośredniego. I pojechałem do niej. Zapukałem. Myślałem, jak by było świetnie, gdybym jej nie zastał. Ale była w domu. Piękna jak dawniej. Czarująca jak dawniej. I jak dawniej ślicznie pachniała. Piliśmy alkohol i rozmawialiśmy o dawnych czasach. Słuchaliśmy nawet starych płyt. I jak myślisz, co było potem?

Nie miałem pojęcia. Nie mam pojęcia, powiedziałem.

– Bardzo dawno temu, w dzieciństwie, czytałem pewną bajkę – rzekł, patrząc na ścianę po drugiej stronie sali. – Nie pamiętam, o czym była. Pamiętam tylko ostatnie zdanie, bo nigdy przedtem nie czytałem bajki, która by się tak dziwnie kończyła. Kończyła się tak: „Gdy wszystko dobiegło końca, król i dworzanie śmieli się do rozpuku”. Nie uważasz, że to dziwne zakończenie?

– Uważam.

– Żałuję, że nie pamiętam, o co chodziło. Za nic nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam tylko to przedziwne ostatnie zdanie. „Gdy wszystko dobiegło końca, król i dworzanie śmieli się do rozpuku”. O co tam mogło chodzić?

Dopiliśmy już kawę.

– Objęliśmy się – powiedział. – Ale nie poszliśmy do łóżka. Nie pozwoliłem jej się rozebrać. Tak jak dawniej robiliśmy to palcami. To wydawało mi się najlepsze. Jej chyba też wydawało się najlepsze. W milczeniu długo się pieściliśmy. Tylko tak mogliśmy zrozumieć to, co musieliśmy zrozumieć. Oczywiście dawniej by tak nie było. Zupełnie naturalnie lepiej byśmy się zrozumieli poprzez zwykły seks. Może dzięki temu stalibyśmy się szczęśliwsi. Ale czas na to już minął. Został zapieczętowany, zamrożony. Nikt już nie może zerwać tej pieczęci.

Obracał pustą filiżankę na spodeczku. Bardzo długo to robił. Aż kelner przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Odstawił filiżankę. Zawołał kelnera i zamówił jeszcze jedno espresso.

– Myślę, że w sumie byłem tam około godziny. Nie pamiętam dokładnie. Ale zdaje mi się, że coś koło tego. Nie dłużej. Sądzę, że gdybym został dłużej, mógłbym zwariować – powiedział z uśmiechem. – Pożegnałem się z nią i wyszedłem. Ona też się ze mną pożegnała. I to było naprawdę nasze ostatnie pożegnanie. Ja to wiedziałem, ona też wiedziała. Kiedy ostatni raz ją widziałem, stała w drzwiach z założonymi rękami. Chciała coś powiedzieć. Ale nie powiedziała. Wiedziałem, co chce powiedzieć, nie musiałem pytać. Czułem się strasznie... strasznie pusty. Jakbym miał w sobie próżnię. Wszystkie dźwięki brzmiały dziwnie. Różne rzeczy były zniekształcone. Błądziłem bez celu po okolicy. Całe dotychczasowe życie wydawało mi się pozbawioną znaczenia stratą czasu. Chciałem natychmiast wrócić do niej i chwycić ją w objęcia. Ale nie mogłem. To było niemożliwe.

Zamknął oczy i potrząsnął głową. Napił się świeżej kawy, którą mu podano.

– Wstyd mi się do tego przyznać, ale pojechałem prosto do centrum i znalazłem prostytutkę. Po raz pierwszy w życiu. I myślę, że prawdopodobnie po raz ostatni.

Przyglądałem się przez chwilę swojej filiżance. I zastanawiałem się nad tym, jaki kiedyś byłem arogancki. Chciałem mu to jakoś przekazać, ale przypuszczałem, że mi się nie uda.

– Kiedy tak o tym opowiadam, zdaje mi się, że to się zdarzyło komuś innemu – powiedział ze śmiechem. Potem zamilkł, jakby się nad czymś zamyślił. Ja też milczałem.

– Gdy wszystko dobiegło końca, król i dworzanie śmieli się do rozpuku – powiedział wkrótce. – Za każdym razem, gdy o tym myślę, przypominam sobie to zdanie. Jak odruch warunkowy. Myślę, że w każdym głębokim smutku kryje się odrobina komizmu.

Jak wcześniej powiedziałem, sędzę, że ta opowieść nie ma morału. Ale to się zdarzyło jemu, zdarzyło się nam wszystkim. Dlatego kiedy ją usłyszałem, nie mogłem się śmiać do rozpuku. Teraz też nie mogę.



Nóż myśliwski

ハンティング・ナイフ

Hantingu-naifu

Dwie duże platformy na pontonach unosiły się na morzu jak płaskie wysepki. Od brzegu do pierwszej platformy było pięćdziesiąt zamachów cawlem, a od pierwszej do drugiej kolejne trzydzieści. Bardzo dobry dystans do pływania.

Każda z nich miała powierzchnię około dziesięciu metrów i unosiły się obok siebie jak bliźniacze kawały kry. Woda była bardzo, wręcz nienaturalnie, czysta i kiedy spojrzano się w dół, widziało się wyraźnie gruby łańcuch mocujący platformę, a nawet betonowy ciężarek pod nim. Głębokość wynosiła pięć, może sześć metrów. Nie tworzyły się tu fale z prawdziwego zdarzenia, więc platformy prawie się nie poruszały, ale tkwiły, jakby ktoś mocno przybił je do dna bardzo długimi gwoździami. Z boku przymocowano do nich drabinki, a ich powierzchnię gęsto pokrywała sztuczna trawa. Kiedy stanęło się na platformie i omiotło wzrokiem brzeg, było widać biały pas piasku, pomalowaną na czerwono budkę ratownika i zielone liście stojących w rzędzie palm. Niezły widok, ale jakoś za bardzo przypominał widokówkę. Ponieważ jednak był prawdziwy, nie wypadało mieć pretensji. Powiodłem wzrokiem w prawo wzdłuż brzegu – na końcu plaży i tam, gdzie zaczęły się pojawiać postrzępione czarne skały, widać było domki hotelu, w którym mieszkałem: piętrowe, białe, dachy w nieco ciemniejszym niż liście palm kolorze zieleni. Był koniec czerwca, sezon jeszcze się nie zaczął i na plażę przyszło zaledwie kilka osób.

Nad platformą wiodła trasa lotu wojskowych helikopterów lecących do amerykańskiej bazy. Pojawiały się od strony morza, przelatywały niemal dokładnie między platformami, nad rzędem palm i znikwały w głębi lądu. Leciały tak nisko, że gdyby wyteńczyć wzrok, być może udałoby się dostrzec twarz pilota. Kadłuby miały pomalowane ponurym odcieniem oliwkowej zieleni, a znad kabiny jak czułki owada sterczały anteny. Lecz gdyby nie liczyć tych przelatujących helikopterów, było to jakby uśpione, ciche, spokojne wybrzeże.

Nasz pokój znajdował się na parterze jednego z domków, okna wychodziły na morze. Zaraz pod oknem kwitły jak szalone czerwone kwiaty przypominające azalie, za nimi były palmy. Trawę starannie przycinano, a spryskiwacze, kręcąc się wachlarzowym ruchem i wydając usypiające odgłosy, zraszały ją przez cały dzień. Zielone ramy okienne spłówiały w słońcu i miały spokojny odcień, a żaluzje były białe z leciutką domieszką zieleni. Na ścianach pokoju wisiały dwie reprodukcje tahitańskich obrazów Gauguina.

Każdy domek składał się z czterech pokoiów, dwóch na parterze i dwóch na piętrze. W pokoju obok nas mieszkała matka z synem. Chyba przyjechali długo przed nami. Kiedy tu dotarliśmy i załatwialiśmy w recepcji formalności związane z odbiorem kluczy i dostarczeniem bagażu, ta spokojna para siedziała naprzeciw siebie na przepastnych kanapach w holu, pogrążona w lekturze gazet. Oboje, każde z własną gazetą w dłoniach, czytali je od deski do deski, jakby próbowali sztucznie wydłużyć jakiś ustalony czas. Matka musiała dobiegać sześćdziesiątki, syn był chyba w naszym wieku, miał jakieś 28, 29 lat. Oboje mieli pociągłe twarze, szerokie czoła i zawsze zaciśnięte usta. Nigdy przedtem nie widziałem takiego podobieństwa między matką a synem. Ona była zadziwiająco wysoka jak na kobietę tego pokolenia, bardzo prosto się trzymała, energicznie się poruszała. Oboje sprawiali wrażenie dobrze uszytych na miarę garniturów. Sądząc po budowie ciała, syn też był pewnie wysoki jak matka, lecz nie wiedziałem, ile miał wzrostu, ponieważ zawsze siedział na wózku inwalidzkim i nigdy się nie podnosił. Matka chodziła za nim i popychała wózek.

Wyglądało na to, że wieczorami przenosił się z krzesła na kanapę, zjadał tam zamówioną do pokoju kolację, a potem spędzał czas na przykład na lekturze.

Pokoje wyposażono oczywiście w klimatyzatory, lecz matka z synem nigdy ich nie włączali. Zawsze otwierali drzwi i wpuszczali do pokoju chłodny powiew znad morza. Przypuszczaliśmy, że powietrze z klimatyzatora może być dla syna niezdrowe. Wchodząc i wychodząc z pokoju, musieliśmy minąć ich drzwi, dlatego często ich widywaliśmy. W drzwiach wisiało coś w rodzaju maty, co

stanowiło pewną osłonę, lecz i tak choćbyśmy nie chcieli, dostrzegaliśmy przynajmniej ich sylwetki. Zawsze siedzieli naprzeciwko siebie: jedno na kanapie, drugie na fotelu, z książką, gazetą czy czasopismem w dłoniach.

Byli naprawdę małomówni. W ich pokoju zawsze panowała cisza jak w muzeum, nie było nawet słycać telewizora. Zdawało się nieomal, że w tej ciszy można dosłyszeć lodówkę. Dwukrotnie dobiegły nas dźwięki muzyki z radia. Raz był to utwór kameralny Mozarta na klarnet, a drugi raz jakiś nieznany mi utwór na orkiestrę. Pewnie Richarda Straussa albo kogoś z tej epoki, ale nie jestem pewien. Poza tym zawsze panowała tam idealna cisza. Pokój przypominał raczej mieszkanie pary staruszków, a nie matki z synem.

Często spotykaliśmy ich w jadalni, holu albo w alejkach ogrodu. Był to mały hotel, a do tego sezon jeszcze się nie zaczął, więc gości było niewiele i spotykało się ich, czy człowiek chciał, czy nie. Kiedy na siebie wpadaliśmy, wymienialiśmy ukłony. Matka kłaniała się nieco inaczej niż syn. Ukłon syna polegał jedynie na lekkim poruszeniu brodą i powiekami, natomiast matka naprawdę się kłaniała. Ale tak czy inaczej, oba te ukłony robiły podobne wrażenie. Były to wyłącznie ukłony, nic się za nimi nie kryło.

Nawet kiedy siedzieliśmy obok nich w jadalni, nie zamieniliśmy ani słowa. My rozmawialiśmy ze sobą, a matka rozmawiała z synem. My o tym, czy zdecydować się na dziecko, czy nie, o przeprowadzce, długach, przyszłej pracy. To było nasze ostatnie lato przed trzydziestką. Nie wiem, o czym rozmawiała matka z synem. Byli dość małomówni, a nawet kiedy się odzywali, mówili strasznie cicho – zupełnie jakby czytali z ruchu warg – i nie mogłem dosłyszeć treści rozmowy.

Jedli doprawdy cicho, jakby obchodzili się z czymś, co się łatwo tłucze. Prawie nie było słycać szcękę noży, widelców czy łyżek. Czasami zdawało mi się, że ci dwoje są tylko iluzją i że zniknęliby bez śladu, gdybym się odwrócił do tyłu.

Po śniadaniu codziennie szliśmy z lodówką turystyczną na plażę. Wysmarowani olejkami do opalania kładliśmy się na plażowych matach i się smażyliśmy. Ja słuchałem kaset z nagraniami Rolling Stonesów czy Marvin'a Gaye'a, a ona czytała kieszonkowe wydanie *Przeminęło z wiatrem*. Słońce pojawiało się nad lądem i po przebyciu trasy odwrotnej niż helikoptery znikowało za horyzontem.

Zawsze koło drugiej na plażę przychodziła matka z synem na wózku. Matka miała na sobie prostą sukienkę bez rękawów w stonowanych kolorach i skórzane sandały. Syn był ubrany w hawajską koszulę albo koszulkę polo i bawełniane spodnie. Matka nosiła słomkowy kapelusz z dużym rondem, a syn był bez czapki, miał za to ciemnozielone okulary przeciwsłoneczne Ray Ban. Siadali w cieniu palmy i nie robiąc nic szczególnego, patrzyli na morze. Kiedy cień się przesuwał, oni też się przesuwali wraz z nim. Mieli ze sobą srebrny termos, czasem coś z niego wlewali do papierowych kubeczków i pili. Nie wiedziałem, co piją. Zdarzało się też, że jedli coś w rodzaju krakersów.

Bywało, że odchodzili po trzydziestu minutach, ale czasami siedzieli tak nieruchomo przez trzy godziny. Pływając, czułem na sobie ich wzrok. Odległość od rzędu palm do platform była dość duża, więc pewnie tylko mi się zdawało, ale kiedy tam dopływałem i wdrapawszy się na górę, spoglądałem w stronę palm, miałem wrażenie, że na mnie patrzą. Czasami widziałem błysk ich srebrnego termosu; wyglądał jak błysk noża. Patrzyłem na nich, leżąc na brzuchu na platformie, i miałem wrażenie, że stopniowo tracę poczucie odległości. Zdawało mi się, że gdyby tylko trochę wyciągnęli ręce, mogliby mnie dosięgnąć. Miewałem uczucie, że ta zimna woda, której przepłynięcie wymagało pięćdziesięciu zamachów czałem, staje się bytem bez znaczenia. Sam nie wiedziałem, dlaczego tak czuję.

Dni płynęły powoli jak chmury wysoko na niebie. Nie miały wyraźnych cech charakterystycznych, które pozwoliłyby odróżnić jeden od drugiego. Słońce wschodziło, zachodziło, helikoptery latały po niebie, ja piłem piwo i pływałem.

Po południu w przeddzień naszego wyjazdu z hotelu poszedłem popływać ostatni raz. Zona drzemała, więc kąpałem się sam. Z powodu soboty na plażę przyszło nieco więcej ludzi niż zwykle, było jednak pustawo. Kilka par leżało na piasku i opalało się, rodziny z dziećmi bawiły się w wodzie, parę osób ćwiczyło pływanie niedaleko brzegu. Grupa Amerykanów, która pewnie przyjechała z bazy wojskowej, rozciągnęła linę między palmami i grała w siatkówkę. Wszyscy byli opaleni, wysocy, mieli krótko ostrzyżone włosy. Żołnierze bez względu na czasy mają takie same twarze.

Rozejrzałem się. Na platformach nie dostrzegłem nikogo. Słońce było wysoko, na niebie ani śladu chmurki. Zegarek wskazywał, że jest po drugiej, lecz nie zauważyłem matki z synem na wózku.

Zanurzyłem się w morzu i szedłem, aż woda dosięgła mi piersi. Następnie ruszyłem czałem do platformy po lewej. Płynąłem powoli, rozluźniłem ramiona, pozwoliłem, żeby woda mnie unosiła. Nie miałem żadnego powodu się spieszyć. Najpierw zamach prawym ramieniem, wyciągnięcie go prosto przed siebie, potem lewym i przed siebie. Kiedy z wody wynurzało się lewe, jednocześnie odwracałem twarz i nabierałem do płuc świeżego powietrza. Słońce barwiło białą pryskającą wodę. Wszystko wokół mnie lśniło. Płynąłem jak zawsze, licząc zamachy. Kiedy po czterdziestu spojrziałem przed siebie, platforma była tuż-tuż. Dokładnie po dziesięciu kolejnych moja lewa dłoń dotknęła deski z przodu platformy. Tak samo jak zawsze. Unosiłem się przez pewien czas na wodzie, uspokajając oddech, potem chwyciłem drabinkę i wdrapałem się na górę.

Ku memu zdziwieniu ktoś już tu był. Niesamowicie gruba Amerykanka z blond włosami. Kiedy patrzyłem z plaży, zdawało mi się, że nikogo nie ma, ale to pewnie dlatego, że leżała po drugiej stronie i trudno było ją dostrzec. A może kiedy sprawdzałem, ona jeszcze płynęła ukryta w cieniu platformy? Ale tak czy inaczej, leżała tu sobie na brzuchu. Miała skąpy czerwony dwuczęściowy kostium z falbanką, przypominający chorągiewki ostrzegawcze, jakie rolnicy rozstawiają często na polach po rozrzuceniu nawozów chemicznych. Była naprawdę gruba, więc kostium wyglądał na

jeszcze mniejszy. Musiała niedawno przyjechać, bo skórę miała białą jak papier listowy. Kiedy, ociekając wodą, wszedłem na platformę, otworzyła leciutko oczy, spojrzała na mnie i znów je zamknęła. Usiadłem po przeciwnej stronie platformy z nogami w wodzie i patrzyłem na brzeg.

Pod palmami jeszcze nie było matki z synem. Ani pod palmami, ani nigdzie indziej. Ich lśniący nieskalanym srebrem wózek rzucał się wszędzie w oczy. Nie można go było przegapić. Zawsze punktualnie o drugiej jak na zamówienie pojawiali się na plaży, więc nie widząc ich, miałem jakieś wrażenie, że czegoś brak. Przyzwyczajenie to zadziwiająca rzecz. Wystarczy, żeby zabrakło jednego elementu, i człowiek się czuje, jakby kawałek świata go porzucił.

A może już wyjechali z hotelu i wrócili gdzieś – wszystko jedno gdzie, do jakiegoś miejsca, w którym przedtem egzystowali. Ale niedawno widziałem ich w jadalni podczas lunchu i wcale nie sprawiali wrażenia, jakby zbierali się do wyjazdu. Bez pośpiechu jedli „zestaw dnia”. Na koniec syn wypił herbatę z lodem, a matka zjadła budyń. Nie wyglądało na to, że za chwilę mają się zabrać za pakowanie.

Leżąc na brzuchu, jak tamta kobieta, opalałem się przez dziesięć minut i słuchałem, jak drobne fale uderzają o krawędź platformy. Po niebie leciał w stronę lądu biały ptak, tak prosto, jakby wymierzył trasę linijką. Czułem, że krople wody, która dostała mi się do uszu, stają się coraz gorętsze. Silny blask zmienił się w deszcz niezliczonych igiełek i siekł ląd oraz morze. Kiedy woda wyparowała z mojej skóry, od razu wystąpił na niej pot i pokrył mnie całego.

Nie mogąc znieść gorąca, podniosłem głowę. Kobieta już siedziała. Z rękami na kolanach patrzyła na niebo. Ona też, podobnie jak ja, oblała się potem. Skąpy czerwony kostium wcinał się w napęczniałe białe ciało i otaczały go okrągłe kropelki potu jak drobniotkie owady rojące się nad zdobyczą. W pasie miała wał tłuszczu otaczający ją jak pierścień Saturna, kostki i nadgarstki

wyglądały, jakby miały za chwilę w nim zatonać. Wyglądała na kilka lat starszą ode mnie. Niewiele, może dwa lata, najwyżej trzy.

Jej otyłość nie robiła wrażenia wywołanej chorobą. Twarz też była niebrzydka. Kobieta po prostu miała na sobie za dużo ciała. Tłuszcz przywierał do niej jak opiłki żelaza do magnesu. Zaczynał się zaraz pod uszami, łagodnymi zboczami zjeżdżał ku ramionom i bezpośrednio przechodził w spasionę rękę. Zupełnie jak u Michelin Mana z reklam opon firmy Michelin. Ta jej otyłość przywiodła mi na myśl przeznaczenie. Wszystkie skłonności istniejące na świecie to bez wyjątku wyroki losu.

– Straszny upał, prawda? – zagadnęła mnie po angielsku z drugiej strony platformy. Jak większość otyłych kobiet miała wysoki, przesłodzony głos. Chyba nie spotkałem grubej kobiety o niskim głosie. Nie wiem dlaczego.

– Nie da się ukryć – odpowiedziałem.

– Wie pan może, która godzina? – zapytała.

Nie wiem po co, spojrzałem na plażę i odparłem: – Myślę, że jakaś druga trzydzieści, może czterdzieści.

– Aha – powiedziała jakby zniechęcona. Otarła dłonią pot po obu stronach nosa. Zdawało się, że nie robi jej większej różnicy, która jest godzina. Chciała tylko o coś zapytać. Czas jest po prostu niezależnym bytem i można go tak traktować.

Miałem już ochotę wskoczyć do zimnej wody i popłynąć do drugiej platformy, ale nie chciałem, żeby pomyślała, że unikam rozmowy, więc postanowiłem jeszcze chwilę poczekać. Na brzegu platformy czekałem, aż kobieta się odezwie. Kiedy siedziałem bez ruchu, pot spłynął mi do oczu i zaczęły mnie one piec. Słońce tak paliło, że jeszcze chwila, a moja napięta skóra zaczęłaby pękać.

– Czy codziennie jest tak gorąco? – zapytała kobieta.

– Tak. Ciągłe tak jest. Dziś nie ma ani jednej chmurki, więc jest jeszcze goręcej.

– Pan tu od dawna, prawda? Bo już pan zdążył się opalić na czarno.

– Od jakichś dziewięciu dni.

– Naprawdę ładnie się pan opalił – powiedziała z podziwem. – Ja przyjechałam dopiero wczoraj późnym popołudniem. Akurat zachodziło słońce, było chłodno, nie spodziewałam się, że będzie tak gorąco.

– Jak się pani za szybko spieczę, będzie panią bolało. Lepiej czasem się schować w cieniu.

– Mieszkam w domku zarezerwowanym dla rodzin wojskowych – powiedziała, ignorując moje ostrzeżenie. – Mój starszy brat jest oficerem marynarki i mnie tu zaprosił. Marynarka jest niezła. Zapewniony dochód, dobre świadczenia socjalne. Byłam na studiach w kulminacyjnym okresie wojny w Wietnamie i wtedy człowiek się wstydził, jak miał w rodzinie zawodowego wojskowego. Świat się naprawdę zmienia, prawda?

Niezobowiązująco skinąłem głową.

– Skoro mowa o marynarce, to mój były mąż też był w marynarce. W oddziale lotniczym. Był pilotem odrzutowców. Zna pan linię lotniczą United?

– Znam.

– Po odejściu z marynarki pracował tam jako pilot. Ja byłam wtedy stewardesą, tak się zaprzyjaźniliśmy i pobraliśmy. W siedemdziesiątym... który to był rok... w każdym razie około sześciu lat temu. Takie rzeczy się często zdarzają.

– Ach tak?

– Tak. Załogi samolotów pracują w nietypowych godzinach, więc siłą rzeczy się zaprzyjaźniają. W takiej pracy ma człowiek trochę inne stresy niż normalni ludzie. Dlatego jak po ślubie przestałam pracować, on znalazł sobie inną stewardesę, zrobił jej dziecko. To też się często zdarza. Wędrują sobie od jednej stewardesy do drugiej.

– A gdzie pani teraz mieszka? – zmieniłem temat.

– W Los Angeles. Był pan tam?

– No.

– Ja się urodziłam w Los Angeles. I z powodu pracy ojca przenieśliśmy się do Salt Lake City. A w Salt Lake City pan był?

– *No.*

– Nie ma po co jeździć. Skończyłam tam liceum, na studia pojechałam na Florydę, po studiach do Nowego Jorku, po ślubie do San Francisco, a potem się rozwiodłam i znowu do Los Angeles. W końcu wróciłam do punktu wyjścia – powiedziała i potrząsnęła głową.

Nigdy przedtem nie spotkałem takiej grubej stewardesy, więc byłem bardzo zaskoczony. Kilka razy widziałem stewardesy o gabarytach zapaśniczek albo o grubych ramionach i z wąsikiem, ale taka gruba stewardesa to zupełnie inna sprawa. A może linie United nie przejmują się takimi rzeczami? Albo ona była wtedy znacznie szczuplejsza? Przypuszczałem, że kiedy była chudsza, mogła być czarującą kobietą. Prawdopodobnie po ślubie i zejściu na ziemię zaczęła się robić coraz grubsza, aż w końcu wyglądała jak sterowiec. Ramiona miała białe i tłuste niczym karykaturalna rzeźba prymitywna.

Byłem ciekaw, jakie to musi być uczucie tak utyć. Lecz z powodu gorąca prawie nad niczym nie potrafiłem się zastanowić. Na świecie są klimaty sprzyjające wyobraźni i jej niesprzyjające.

– Gdzie się pan zatrzymał? – zapytała kobieta.

Wskazałem kompleks domków swojego hotelu.

– Jest pan tu sam?

– Nie – odparłem, potrząsając głową. – Z żoną.

Kobieta uśmiechnęła się, przechylając głowę.

– W podróży poślubnej?

– Jesteśmy sześć lat po ślubie.

– Tak? Nie wygląda pan na to.

Poczułem się niezręcznie, zmieniłem pozycję i znów spojrzałem na brzeg. W budce ratownika nadal nikogo nie było. Jest mało kąpiących się, więc młody ratownik się nudzi i od razu gdzieś

przepada. Po jego zniknięciu pojawia się tabliczka: „Plaża niestrzeżona. Kąpiel na własną odpowiedzialność”. Ratownik był opalonym na czarno, małomównym młodzieńcem. Kiedy po raz pierwszy przyszliśmy na plażę, zapytałem go: „Czy tu są rekiny?”. Przypatrywał mi się przez chwilę w milczeniu, a potem rozsunął ręce na jakieś osiemdziesiąt centymetrów. Chyba chcąc dać do zrozumienia, że „nawet jeśli są, to tylko takie”. To mnie uspokoiło i pływałem sobie swobodnie.

Nadal nigdzie nie było matki z synem na wózku. Na ławce, na której zwykle siadali, siedział teraz, czytając gazetę, starszy pan w koszuli z krótkimi rękawami. Amerykanie dalej grali w siatkówkę. Na brzegu małe dzieci budowały zamki z piasku i pryskały na siebie wodą. Wokół nich rozbijały się fale, tworząc drobną pianę.

Wkrótce od strony morza pojawiły się dwa oliwkowozielone helikoptery i zupełnie jak specjaliści posłańcy przynoszący ważną wiadomość w tragedii greckiej dostojnie i z warkotem przepłynęły nad nami, aż zniknęły nad lądem. W milczeniu odprowadzaliśmy wzrokiem te wielkie latające obiekty.

– Wie pan co? Widziani tak z góry wyglądamy pewnie na bardzo szczęśliwych – powiedziała kobieta. – Spokojnych, zadowolonych, nad niczym nierozmyślających. Zupełnie jak... tak, jak na zdjęciu rodzinnym. Nie uważa pan?

– Może i tak.

Potem wybrałem odpowiedni moment, pożegnałem się z nią, wskoczyłem do morza i popłynąłem do brzegu. Płynąc, cały czas myślałem o zimnym piwie z lodówki turystycznej. Zatrzymałem się po drodze i odwróciłem, by spojrzeć na platformę. Kobieta mi pomachała. Ja też lekko uniosłem dłoń. Z daleka wyglądała jak prawdziwy delfin. Zdawało się nieomal, że za chwilę wyrosną jej płetwy i popłynie na dno morza.

Wróciłem do pokoju, uciąłem sobie popołudniową drzemkę i o szóstej zjedliśmy w jadalni kolację, lecz matki z synem ciągle nie było. Gdy wracaliśmy do pokoju, ich drzwi były jak nigdy szczelnie zamknięte. Z niewielkiego okienka z mlecznym szkłem sączyło się

światło, lecz nie potrafiłem ocenić, czy matka z synem jeszcze tam są.

– Czy już wyjechali? – zapytałem żonę.

– Hm, nie wiem. Nie zauważyłam. Zawsze byli tacy cisi i nie zwróciłam uwagi, nie wiem – powiedziała bez większego zainteresowania, składając sukienkę i pakując ją do walizki. – A dlaczego pytasz?

– Nie, nic takiego. Po prostu nie pokazali się jak zwykle na plaży i to mnie zastanowiło.

– No to pewnie wyjechali. Chyba bardzo długo tu byli.

– Chyba tak.

– Wszyscy prędzej czy później wyjeżdżają. Nie można w nieskończoność tak żyć.

– Pewnie nie.

Zamknęła walizkę i postawiła przy drzwiach. Walizka przyczała się tam cicho jak jakiś cień. Nasz urlop dobiegał końca.

Obudziłem się i od razu spojrzałem na podróźny zegarek przy łóżku. Pomalowane świecącą w ciemności zielenią wskazówki pokazywały dwadzieścia po pierwszej. Obudziłem się z powodu dziwnie gwałtownego bicia serca. Zupełnie jakby coś wstrząsało całym moim ciałem. Spojrzałem na swoją pierś. Nawet w półmroku widać było wyraźnie, że skóra lekko pulsuje. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Od dawna mam wyjątkowo zdrowe serce, puls też mam wolniejszy niż inni ludzie. Raczej lubię sport, nigdy nie chorowałem. Dlatego niemożliwe, żebym czuł w piersi takie wzburzenie, jak podczas jakiegoś ataku.

Wstałem z łóżka, stanąłem na dywanie, przykucnąłem, wyprostowałem plecy i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Potem je wypuściłem. Rozluźniłem mięśnie klatki piersiowej, skoncentrowałem się na brzuchu. Rozciągałem mięśnie, żeby uelastyczyć ciało. Po kilku razach palpacje po trochu osłabły, wkrótce wróciły do zwykłego lekkiego niejasnego falowania,

którego się nie zauważa, jeżeli nie zwróci się na nie szczególnej uwagi.

Pewnie przesadziłem z pływaniem, pomyślałem. Do tego doszło kilka innych rzeczy, jak silne słońce i akumulacja zmęczenia, co wywołało chwilowy wstrząs organizmu. Oparty o ścianę wyprostowałem nogi, poruszałem trochę kończynami. Wszystko było normalnie. Rytm serca też wrócił do normy.

Jednak siedząc tak na dywanie w tym domku hotelowym, musiałem zdać sobie sprawę z faktu, że młodość już minęła i że wkroczyłem w etap degeneracji fizycznej. Niewątpliwie byłem jeszcze młody, ale nie była to już młodość bez śladu cienia. Zaledwie kilka tygodni wcześniej zwrócił mi na to uwagę mój dentysta. Jeśli chodzi o zęby, to teraz zacznie się proces ścierania, chwieiania i wypadania, powiedział. Proszę to sobie zapamiętać. Pan może tylko próbować trochę to opóźnić. Nie może pan temu zapobiec. Tylko opóźnić.

W blasku księżyca wpadającego przez okno moja żona smacznie spała. Nie było słyhać, jak oddycha, zupełnie jakby umarła. Zazwyczaj tak śpi. Zdjąłem mokrą od potu piżamę, przebrałem się w świeży podkoszulek i szorty. Potem wziąłem ze stołu piersiówkę whisky Wild Turkey, wsunąłem do kieszeni, następnie cicho, żeby nie obudzić żony, otworzyłem drzwi i wyszedłem. Nocne powietrze było chłodne, nad ziemią jak mgiełka unosił się zapach trawy. Czułem się zupełnie, jakbym stał na dnie olbrzymiej jaskini. Blask księżyca barwił płatki kwiatów, duże liście i trawnik w ogrodzie na zupełnie inne kolory niż w dzień. Jak w świetle widzianym przez jakiś filtr, niektóre rzeczy lśniły jaskrawiej niż w rzeczywistości, a inne tonęły w szarości, tracąc żywotność.

Nie chciało mi się spać. Moja świadomość przypominała chłodną porcelanę, była w pełni trzeźwa, jakby senność w ogóle nie istniała. Powoli i bez żadnego celu obszedłem domek dookoła. Wokół panowała cisza, do uszu docierał jedynie szum fal. Ale żeby go w ogóle dosłyszeć, trzeba było się zatrzymać i wyteńczyć słuch. Stałem, wyjąłem z kieszeni piersiówkę i napiłem się whisky.

Po obejściu domku przeciąłem ogród, który w blasku księżyca wyglądał jak ścięty lodem okrągły staw. Potem ruszyłem wzdłuż sięgających mi do ramion krzewów, wszedłem po niewielkich schodach i dotarłem do baru tropikalnego na świeżym powietrzu. Codziennie wypijałem tu dwie wódki z tonikiem. Bar był już oczywiście nieczynny. Miał kształt altanki z opuszczonymi żaluzjami, w ogrodzie stało tu i tam z tuzin stolików. Poskładane proste parasole na stolikach wyglądały jak jakieś odpoczywające wielkie nocne ptaszyska.

Siedzący na wózku inwalidzkim młody człowiek oparł łokcie na stoliku i wpatrywał się w morze. Metal wózka wchłonał mnóstwo księżycowego blasku i lśnił bielą lodu. Z daleka wyglądał zupełnie jak jakaś precyzyjna metalowa maszyna o specjalnym nocnym przeznaczeniu. Szprychy wydzielały złowieszcze światło jak zęby jakiegoś stworzenia, które dziwnie wyewoluowało.

Pierwszy raz widziałem go samego. Zacząłem automatycznie uważać jego i matkę za jedno ciało i zobaczenie go samego wprawiło mnie w szczególny nastrój. Wydawało mi się wręcz, że nie wypada nawet być świadkiem takiej sceny. Miał na sobie tę samą co zwykle pomarańczową hawajską koszulę i jak zwykle bawełniane spodnie. I nieruchomo, nie zmieniając pozycji, patrzył w morze.

Zawahałem się lekko, bo nie wiedziałem, co zrobić, ale zdecydowałem się i podszedłem powoli, tak by go nie przestraszyć, gdy znajdę się w jego polu widzenia. Kiedy byłem dwa albo trzy metry od niego, odwrócił się w moją stronę i jak zawsze się uklonił.

– Dobry wieczór – powiedziałem cicho, dopasowując się do ciszy nocy.

– Dobry wieczór – odwzajemnił cichym głosem moje pozdrowienie.

Odsunąłem krzesło przy sąsiednim stoliku i usiadłem. Spojrzałem mniej więcej w tę samą stronę, w którą on patrzył. Niedaleko brzegu rozciągały się niskie ostro zakończone skałki, wyglądające jak rozerwane na pół kajzerki. Zbliżały się niewielkie fale. Rozbijały się między nimi, tworząc delikatną falbankę, a potem się cofały.

Czasami kształt tej falbanki troszeczkę się zmieniał, lecz wysokość fal zawsze była taka sama, jakby ktoś je wymierzał. Były to monotonne, leniwe, pozbawione cech charakterystycznych fale.

– Dzisiaj nie spotkaliśmy się na plaży – zwróciłem się do niego.

Splótł ręce na piersi i odwrócił się do mnie.

– Nie, ma pan rację.

Spokojnie oddychając, przez pewien czas milczał. Zupełnie jakby oddychał we śnie. – Dzisiaj cały dzień odpoczywaliśmy w pokoju. Prawdę mówiąc, matka niezbyt dobrze się czuła. Właściwie źle się czuła, ale nic konkretnego jej nie dolega. Krótko mówiąc, to sprawa psychiczna. A raczej nerwowa. Nerwy jej wysiadają – powiedział i potarł kilkakrotnie policzek opuszką środkowego palca prawej ręki. Mimo że był środek nocy, na policzkach nie miał śladu zarostu, były gładkie jak porcelana.

– Ale już wszystko dobrze. Teraz smacznie śpi. Jak się prześpi, na drugi dzień jej przechodzi. Nie to co moje nogi. Oczywiście nie jest od razu zupełnie zdrowa, ale symptomy mijają. Rano już będzie w porządku.

Zamilkł na dwadzieścia, trzydzieści sekund, może na minutę. Wyprostowałem nogi założone przedtem jedna na drugą i czekałem na odpowiednią chwilę, żeby się ulotnić. Mam wrażenie, że całe życie spędzam, wyczekując odpowiedniej chwili, żeby się ulotnić. Pewnie już mam taki charakter. Ale zanim zdążyłem otworzyć usta, on znów zaczął mówić.

– Chyba nudzi pana taka rozmowa? To chamstwo opowiadać zdrowemu człowiekowi o chorobach.

Powiedziałem, że nic podobnego. Przecież nie ma człowieka, który jest od początku do końca całkowicie zdrowy. W odpowiedzi skinął głową.

– Choroby nerwów objawiają się na nieprzeliczoną ilość sposobów. Ta sama przyczyna, ale skutki niezliczone. Tak samo jak trzęsienia ziemi. Wyzwala się ta sama energia, ale w zależności od tego, gdzie się pojawi, w każdym miejscu zjawiska mogą być

całkowicie odmienne. Zdarza się, że powstanie nowa wyspa, ale zdarza się też, że jakaś zatonie.

Ziewnął. Kiedy skończył, powiedział: – Przepraszam.

Był zmęczony, wyglądał, jakby mógł w każdej chwili zasnąć, więc zapytałem, czy nie powinien wrócić do pokoju i odpocząć.

– Nie, proszę się nie przejmować – odparł. – Może i wyglądam na śpiącego, ale wcale nie jestem śpiący. Wystarczają mi cztery godziny snu, a poza tym mogę spać tylko przed świtem. Dlatego o tej porze zwykle jestem tutaj i tak sobie siedzę. Proszę się nie przejmować.

Powiedziawszy to, podniósł ze stolika popielniczkę z nadrukiem Cinzano i przyglądał się jej, jakby była jakimś cennym przedmiotem.

– W przypadku matki, jakby to powiedzieć, jak jej nerwy wysiadają, drętwieje jej lewa połowa twarzy. Robi się zimna, nie może prawie poruszać ustami ani okiem. To rzeczywiście dość dziwny stan. Ale proszę nie brać sobie tego nadmiernie do serca. Nie prowadzi to do żadnych fatalnych skutków. To tylko objaw choroby. Jak się prześpi, przechodzi jej.

Skinąłem głową.

– I proszę matce nie mówić, że panu o tym wspomniałem. Bardzo nie lubi, kiedy się mówi o jej zdrowiu.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – A poza tym jutro rano wyjeżdżamy, więc sądzę, że nie będę miał okazji z nią rozmawiać.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, wytarł nos, lecz kiedy wsadzał ją z powrotem do kieszeni, zamknął na chwilę oczy, jakby się nad czymś zamyślił. Przez chwilę trwało milczenie, zupełnie jakby dokądś poszedł i miał za chwilę wrócić. Wyobrażałem sobie, że jego nastrój prawdopodobnie cyklicznie się poprawiał i pogarszał.

– Smutno nam będzie bez państwa – powiedział.

– Żal nam wyjeżdżać, ale praca czeka.

– Dobrze mieć dokąd wrócić.

– Zależy, dokąd się wraca – powiedziałem ze śmiechem. – A pan tu jest od dawna?

– Jakieś dwa tygodnie. Nie pamiętam dokładnie, ale coś koło tego.

Zapytałem, czy jeszcze długo zostanie.

– Hm... – powiedział i lekko pokręcił głową. – Może miesiąc, może dwa, zależy, jak się sytuacja rozwine. Ja nie wiem. To znaczy, to nie ja decyduję. Mąż mojej starszej siostry ma dużo akcji tego hotelu, więc możemy się tu bardzo tanio zatrzymać. Ojciec prowadzi firmę produkującą kafelki i szwagier faktycznie ją przejął. Szczerze mówiąc, nie przepadam za nim, ale rodziny się nie wybiera. Zresztą to, że go nie lubię, wcale nie oznacza, że jest złym facetem. Chorzy ludzie czasami stają się strasznie nietolerancyjni.

Umilkł i znów zamknął oczy. – W każdym razie produkuje dużo kafelków. Wysokiej klasy, takich jakich używa się w holach apartamentowców. I ma też mnóstwo akcji różnych firm. Można powiedzieć, że to zaradny człowiek. Mój ojciec też jest zaradny. Innymi słowy, my, to znaczy moja rodzina, dzielimy się wyraźnie na ludzi zdrowych i chorych, efektywnych i nieefektywnych. I w rezultacie inne mierniki stają się nieco niejasne. Ci zdrowi produkują kafelki, sprytnie inwestują majątek, unikają podatków i opiekują się niezdrowymi. Sam system, jeśli chodzi o jego funkcjonalność, jest bardzo dobrze pomyślany.

Roześmiał się i odstawił popielniczkę na stolik.

– Wszyscy decydują. Tam bądź miesiąc, tu bądź dwa miesiące. I dlatego przenoszę się to tu, to tam, jak opady deszczu. Ściśle mówiąc, nie ja, tylko ja z matką.

Znowu ziewnął i spojrzał na brzeg. Fale niezmiennie mechanicznie zbliżały się do skał. Biały księżyc unosił się wysoko nad morzem. Spojrzałem na zegarek, chcąc sprawdzić, która godzina, lecz został w pokoju na szafce nocnej.

– Rodzina to dość dziwna rzecz. Bez względu na to, czy dobrze się w niej układa, czy nie – powiedział, patrząc na morze zmrużonymi oczami. – Pan pewnie też ma rodzinę?

Można powiedzieć, że mam albo nie mam, odparłem. Nie byłem pewien, czy bezdzietne małżeństwo można nazwać rodziną.

Sprowadza się do pewnej umowy z pewnym założeniem. Tak powiedziałem.

– Tak, ma pan rację – odrzekł. – Rodzina musi z natury sama w sobie być założeniem. Jeśli tak nie jest, system nie funkcjonuje prawidłowo. W tym sensie ja jestem czymś w rodzaju symbolu. Można powiedzieć, że wiele rzeczy koncentruje się i funkcjonuje wokół moich bezwładnych nóg... Rozumie pan, o co mi chodzi?

Powiedziałem, że rozumiem.

– Brak prowadzi do większego braku, nadmiar ku większemu nadmiarowi; to moja teza na temat tego systemu. Kiedy Debussy spóźniał się z pisaniem opery, to mówił: „Spędzam dni i noce, goniąc za *rien*, które ona wytwarza”. I moja rola polega na wytwarzaniu tego *rien*.

Urwał i znów zatopił się w milczeniu człowieka cierpiącego na bezsenność. Czego jak czego, ale czasu miał mnóstwo. Jego świadomość błądziła po dalekich bezdrożach, potem wróciła, lecz wyglądało na to, że wróciła do nieco innego punktu niż punkt wyjścia.

Wyciągnąłem z kieszeni piersiówkę whisky i postawiłem na stole.

– Może się pan trochę napije? – zaproponowałem. – Co prawda nie mam szklaneczki.

– Nie, dziękuję – powiedział z lekkim uśmiechem. – Nie piję alkoholu. Prawie nic nie piję. Ale proszę się nie krępować i samemu wypić. Nie przeszkadza mi, jak inni piją.

Wlałem whisky do gardła. Poczułem ciepło w żołądku. Zamknąłem oczy i przez pewien czas się nim rozkoszowałem. On siedząc przy sąsiednim stoliku, cały czas mi się przyglądał.

– Nawiasem mówiąc, chciałbym pana zapytać o coś dziwnego. Zna się pan na nożach? – zapytał nagle.

– Na nożach? – powtórzyłem zdziwiony.

– Tak, na nożach. Nożach do cięcia. Nożach myśliwskich.

Nie wiem nic o myśliwskich, używałem tylko noży do celów biwakowych albo szwajcarskich scyzoryków, odparłem. Ale to

oczywiście nie znaczy, że znam się dobrze na nożach.

Kiedy to usłyszał, przesuwał rękami koła wózka, podjechał do mojego stolika i zatrzymał się po przeciwnej stronie.

– Prawdę mówiąc, chciałbym, żeby pan rzucił okiem na pewien nóż. Dostałem go dwa miesiące temu, ale ja nie mam o takich rzeczach pojęcia, więc chciałbym, żeby ktoś go obejrzał i powiedział mi, czy to dobra rzecz. Oczywiście, jeżeli to nie sprawi panu kłopotu.

Powiedziałem, że nie sprawi mi kłopotu.

Wyciągnął z kieszeni około dziesięciocentymetrowy kawałek drewna i położył na stole. Był jasnobrązowy i tworzył bardzo ładny łuk. Kiedy go kładł na stoliku, rozległo się głucho ciężkie stuknięcie. Był to nieduży składany nóż myśliwski. Nieduży, lecz świetny nóż, o sporej szerokości i grubości. Skoro to nóż myśliwski, to być może nadawał się nawet to zdzierania skóry z niedźwiedzia.

– Proszę sobie nic dziwnego nie wyobrazać – powiedział młody człowiek. – Wcale nie mam zamiaru zadawać nim komuś ani sobie ran. Po prostu pewnego dnia nagle strasznie zachciało mi się noża. Nie wiem dlaczego. Może widziałem w telewizji albo przeczytałem w powieści coś o jakimś nożu, nie pamiętam dokładnie. Tak czy inaczej zachciało mi się noża. Poprosiłem znajomego i on mi go kupił. W sklepie sportowym. Oczywiście w tajemnicy przed matką i nikt po za tym znajomym nie wie, że noszę w kieszeni nóż. To moja tajemnica.

Podniósł nóż ze stołu, potrzymał go przez chwilę na dłoni, zupełnie jakby go dokładnie ważył, ale wkrótce podał go mnie. Nóż był ciężki jak z ołowiu. Wyglądał jak kawałek drewna, ponieważ mosiężną powierzchnię rękojeści wyżłobiono i wypełniono drewnianą okładziną, żeby nie była śliska, lecz w znacznej części składał się z mosiądzu i stali. Dlatego był znacznie cięższy, niż na to wyglądał.

– Niech pan go otworzy – powiedział.

Wcisnąłem wgłębienie na górze rękojeści i wyciągnąłem ciężkie ostrze. Rozległ się suchy trzask i ostrze się solidnie unieruchomiło.

Miało jakieś osiem lub dziewięć centymetrów. Kiedy trzymałem nóż z unieruchomionym ostrzem, znów zdziwił mnie jego solidny ciężar. Nie był po prostu ciężki. Miał dziwny ciężar, który zdawał się ściśle przywierać do wnętrza dłoni. Dość energicznie poruszyłem ręką z góry na dół i z lewa w prawo, a wtedy wyraźnie poczułem, że z powodu tego ciężaru chwyt jest bardzo pewny, ręka świetnie się z nożem porusza. Kąt wygięcia rękojeści też można by nazwać idealnym, dokładnie wpasował się w dłoń. Nawet ściskając rękojeść, nie czuło się zupełnie nic nienaturalnego. Po rozwarciu palców nóż leżał na dłoni spokojnie i pewnie.

Kształt głowni był wspaniały. Gruba stal zwężała się ku ostrzu pięknym szlifem, krawędź tnąca tworzyła gładką linię, po drugiej stronie znajdowały się poszarpane ząbki mające ułatwić wbicie noża. Było nawet nieprzyjemnie się kojarzące zbrocze.

Obejrzałem nóż starannie w świetle księżyca, kilka razy na próbę lekko nim machnąłem. Był to wysokiej klasy nóż, doskonale zaprojektowany i świetnie leżał w dłoni. Na pewno też dobrze ciął.

– Bardzo dobry nóż – powiedziałem. – Nie znam się na tym za dobrze, ale świetnie leży w dłoni, ostrze też wygląda na porządne, to doskonale wyważony, wspaniały nóż. Jak będzie go pan porządnie oliwił, starczy na całe życie.

– Nie jest za mały jak na nóż myśliwski?

– Taki wystarczy. Jak jest za duży, to ciężko się nim posługiwać.

Złożyłem nóż z trzaskiem i zwróciłem mu. On ponownie wyjął ostrze i zręcznie obrócił nóż w dłoni. Wyglądało to na sztuczkę magiczną z powodu ciężaru noża. Potem przymknąwszy jedno oko, wycelował nóż jak rewolwer prosto w księżyc. Blask księżyca oświetlał nóż oraz wózek inwalidzki jak wydobyte spośród miękkiego ciała kości.

– Czy mógłby pan coś przeciąć? – zapytał.

Nie miałem powodu odmówić, więc wziąłem od niego nóż, wbiłem go kilka razy w pień pobliskiej palmy, odciąłem na ukos trochę kory. Następnie przeciąłem równo na połowę tanią styropianową deskę leżącą koło basenu. Nóż ciął wspaniale.

Tnąc po kolei wszystko, co mi wpadło w oko, nagle przypomniałem sobie grubą białą kobietę, którą spotkałem w dzień na platformie. Miałem wrażenie, że jej białe obrzmiałe ciało unosi się w powietrzu jak wyczerpana chmura. Platformy, morze, niebo, helikoptery otoczyły mnie, tworząc chaos, w którym straciłem poczucie odległości. Uważając, by nie stracić równowagi, spokojnie, powoli przesunąłem nóż w przestrzeni. Wieczorne powietrze było gładkie jak olej. Nic nie krępowało moich ruchów. Noc była głęboka, czas przypominał miękkie, soczyste ciało.

– Czasami mam sny – powiedział młody człowiek. Jego głos brzmiał, jakby dochodził z dna jakiegoś głębokiego otworu. – Śni mi się, że w głowie mam nóż wbity ukośnie w miękką tkanę, w której są wspomnienia. To mnie wcale nie boli. Tylko nóż tam tkwi. Potem stopniowo znikają różne rzeczy i zostaje jedynie nóż jak biała kość. Taki to sen.



Idealny dzień na kangury

カンガルー日和

Kangarū-biyori

Na wybiegu były cztery kangury. Jeden samiec, dwie samice i jedno niedawno urodzone kangurzątko.

Przy tym wybiegu staliśmy tylko ja i ona. Nie było to specjalnie popularne zoo, do tego poniedziałek rano. Liczba zwierząt znacznie przewyższała liczbę zwiedzających. To nie przesada. Naprawdę tak było.

Oczywiście przyszliśmy z powodu kangurzątko. Co innego warto tu było zobaczyć?

Dowiedzieliśmy się o jego narodzinach z lokalnego wydania gazety miesiąc temu. I przez miesiąc spokojnie i cierpliwie oczekiwaliśmy na nadejście poranka odpowiedniego na obejrzenie kangurzątko. Ale taki poranek nie nadchodził. Jednego dnia padał deszcz. Następnego też padało. Kolejnego grunt był rozmokły, dwa po nim wiał nieprzyjemny wiatr. Pewnego ranka ją bolał ząb, innego ja musiałem iść do urzędu dzielnicowego. Gdybym miał się górnolotnie wyrażać, powiedziałbym: takie jest życie.

I tak minął miesiąc.

Miesiąc naprawdę mija, zanim człowiek się obejrzy. W ogóle nie mogę sobie przypomnieć, co właściwie przez ten czas robiłem. Mam wrażenie, że robiłem różne rzeczy, ale równocześnie, że nic nie zrobiłem. Dopiero kiedy pod koniec miesiąca przyszedł facet po pieniądze za prenumeratę gazety, zorientowałem się, że minęło trzydzieści dni. Tak, takie jest życie.

Tak czy inaczej w końcu nadszedł ranek na obejrzenie kangurzątko. Obudziliśmy się o szóstej, odsunęliśmy zasłony i z miejsca stwierdziliśmy, że to idealny dzień na kangury. W pośpiechu się umyliśmy, zjedliśmy śniadanie, nakarmiliśmy kota, zrobiliśmy przepierkę i w kapeluszach od słońca wyszliśmy z domu.

– Słuchaj, czy to kangurzątko na pewno jeszcze żyje? – zapytała mnie w pociągu.

– Myślę, że żyje. Przecież nie pisali w gazecie, że zdechło. Jakby zdechło, napisaliby pewnie, że zdechło.

– Może nie zdechło, ale mogło zachorować i iść do jakiegoś szpitala.

– I tak by napisali.

– A może ma nerwicę i chowa się w domku?

– Kangurzątko?

– Żartujesz! Matka. Mogła doznać jakiegoś strasznego szoku i chowa się z dzieckiem gdzieś w głębi domku.

Jestem pełen podziwu, że kobiety naprawdę potrafią rozważać przeróżne możliwości. Szoku doznała. Jakiego szoku mogła doznać kangurzyca?

– Jakoś mi się zdaje, że jeśli przegapimy tę okazję, nigdy już nie zobaczą kangurzątko.

– Ciekawe, czy masz rację.

– A ty widziałeś kiedyś kangurzątko?

– Nie, nie widziałem.

– Jesteś przekonany, że w przyszłości zobaczysz?

– Hmm, sam nie wiem.

– Dlatego właśnie się martwię.

– Ale – zaprotestowałem – chociaż przyznaję, że możesz mieć rację, nie widziałem też nigdy porodu żyrafy ani pływającego wieloryba. Więc dlaczego tak się uczepiłaś kwestii kangurzątko?

– Nie pytaj o takie rzeczy. Dlatego, że to kangurzątko. To wszystko.

Zrezygnowany wpatruję się w gazetę. Nigdy jeszcze nie wygrałem w dyskusji z dziewczyną.

Kangurzątko oczywiście żyje. Jest (on albo ona) znacznie większe niż na zdjęciu w gazecie i dziarsko skacze po otoczonym ogrodzeniem wybiegu. Nie jest to już kangurzątko, a mały kangurek. Ten fakt nieco ją rozczarowuje.

– To nie jest już małe kangurzątko.

Jest jeszcze małe, pocieszam ją.

– Trzeba było przyjechać wcześniej.

Otaczam ją w pasie ramieniem i lekko poklepuję. Ona potrząsa głową. Chciałbym jakoś ją pocieszyć w związku z tym, że kangurzątko już tak wyrosło. Ale bez względu na to, jak bym ją pocieszał, fakt, że dorosło, się nie zmieni. Dlatego nic nie mówię.

Kiedy wróciłem z budki z dwoma porcjami lodów czekoladowych, ciągle stała oparta o ogrodzenie, przyglądając się kangurom.

– To już nie jest małe kangurzątko – powtórzyła.

– Nie? – powiedziałem, podając jej loda.

– Przecież małe siedziałyby u matki w torbie.

Kiwam głową, liżąc loda.

– A nie siedzi.

Poszukaliśmy matki. Od razu rozpoznaliśmy ojca. Największy, najspokojniejszy kangur musiał być ojcem. Wpatrywał się nieruchomo w zielone listki w korycie i wyglądał jak kompozytor, któremu zabrakło talentu. Dwie samice były tej samej wielkości, tego samego koloru, miały te same wyrazy pyszczków. Każda z nich mogła być matką kangurzątką.

– Jedna jest matką, druga nie – powiedziałem.

– Uhm.

– W takim razie kim jest ta druga?

Powiedziała, że nie wie.

Niezrażone takimi rzeczami, kangurzątko biegało sobie, czasami bez żadnego powodu tu i tam kopało przednimi łapami dziury. On/ona wyglądało na stworzonko, które nigdy się nie nudzi. Biegało dookoła ojca, skubało trochę trawę, kopało dziury, przymilało się do obu samic, turlało się po ziemi, znowu wstawało i zaczynało biegać.

– Dlaczego kangury tak szybko skaczą i biegają? – zapytała.

- Żeby uciec wrogom.
 - Wrogom? Jakim wrogom?
 - Ludziom – powiedziałem. – Ludzie zabijają kangury bumerangami i zjadają ich mięso.
 - A dlaczego kangurzątko wchodzi do torby matki?
 - Żeby mogły razem z nimi uciec. Bo dziecko nie umie tak szybko biegać.
 - Ona je chroni.
 - Tak. Wszystkie dzieci są chronione.
 - I jak długo jest chronione?
- Powinienem był przeczytać w atlasie zwierząt wszystko o kangurach, bo wiedziałem, że tak się to skończy.
- Miesiąc czy dwa. Coś koło tego.
 - No, ono ma dopiero miesiąc – powiedziała, wskazując kangurzątko. – Więc wchodzi do torby matki, tak?
 - Uhm. Pewnie tak.
 - Nie uważasz, że musi być wspaniale wejść do takiej torby?
 - Może i tak.

Słońce wzniosło się już bardzo wysoko. Z pobliskiego basenu dobiegały krzyki dzieci. Na niebie unosiły się wyraźnie zarysowane letnie chmurki.

- Zjadłabyś coś? – pytam.
- Hot doga – odpowiada. – I do tego colę.

Hot dogi sprzedawał tu dorabiający sobie student, a na straganie w kształcie wózka woził wielkie radio z głośnikami. W czasie kiedy piekły się hot dogi, zaśpiewali nam Stevie Wonder i Billy Joel.

Wróciłem do wybiegu kangurów, a ona wskazała jedną z samic: – Popatrz, popatrz! Weszło do torby.

Rzeczywiście, kangurzątko wślizgnęło się do torby matki (chyba to była matka). Torba się wybrzuszyła, wystawały z niej tylko

szpiczaste uszka i koniuszek ogona. Wspaniale to wyglądało. Warto było tu przyjść, żeby to zobaczyć.

- Ciekawe, czy nie jest jej z nim ciężko?
- Nie, nie martw się. Kangury są silne.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Dlatego przetrwały do dziś.

Matka w ogóle się nie pociła w silnych promieniach słońca. Zdawało się, że odpoczywa sobie wczesnym popołudniem w kawiarni po zakupach w supermarkecie przy ulicy Aoyama.

- Jest chronione, prawda?
- Uhm.
- Ciekawe czy usnęło?
- Pewnie tak.

Zjedliśmy hot dogi, wypiliśmy colę i oddaliliśmy się od wybiegu kangurów.

Kiedy odchodziliśmy, ojciec kangur nadal szukał w korycie zagubionych nut. Matka z dzieckiem stały się jednym ciałem i odpoczywały na fali czasu, a tajemnicza kangurzyca skakała po wybiegu, jakby chciała sprawdzić działanie ogona.

Zapowiadał się pierwszy gorący dzień po długiej przerwie.

- Słuchaj, nie poszlibyśmy gdzieś na piwo? – zapytała.
- Dobry pomysł – odparłem.



Perkozek

かいつぶり

Kaitsuburi

Kiedy zszedłem po wąskich betonowych schodach, zobaczyłem przed sobą prosty, ciągnący się w nieskończoność korytarz. Ponieważ sufit był bardzo wysoko, korytarz przypominał raczej wyschnięty kanał odpływowy. Nie było tu żadnych ozdób. Absolutnie praktyczny korytarz. Przymocowane gdzieś jarzeniówki pokrywała gruba warstwa kurzu, a ich światło zdawało się nieregularne i wyczerpane, jakby mówiły, że dotarły tu w końcu po wielu strasznych przejściach. Do tego co trzecia była przepalona. Nie widziałem nawet wyraźnie własnej ręki. Wokół panowała cisza. W półmroku korytarza rozlegał się jedynie głuchy dźwięk gumowych podeszew adidasów na betonowej podłodze.

Przeszedłem dwieście, trzysta metrów, może nawet kilometr. O niczym nie myślałem, po prostu szedłem. Nie liczyły się tam czas ani odległość. Wkrótce przestałem zdawać sobie sprawę, że posuwam się naprzód. No, ale prawdopodobnie się posuwałem. W końcu doszedłem do miejsca, gdzie korytarz rozwidłał się w kształt litery T.

Rozwidłał się?

Wyciągnąłem z kieszeni marynarki wymiętą kartkę pocztową i powoli jeszcze raz przeczytałem. „Proszę iść prosto korytarzem. Na końcu będą drzwi”. Tak było napisane. Dokładnie przyjrzałem się ścianie przed sobą, ale żadnych drzwi nie znalazłem. Nie było śladów po starych drzwiach ani nic nie zapowiadało, że zainstalują tu nowe. Tylko naprawdę zwyczajna betonowa ściana, niemająca w sobie nic poza cechami zwyczajnej betonowej ściany. Nie było w niej metafizycznych, symbolicznych, metaforycznych – żadnych drzwi. Powiodłem dłońmi po ścianie. Jedynie gładka powierzchnia.

To musi być jakaś pomyłka.

Oparłem się o betonową ścianę i zapaliłem papierosa. No to co mam teraz zrobić? Iść dalej? Czy się cofnąć?

Lecz szczerze mówiąc, nie bardzo się wahałem. Prawdę powiedziawszy, nie miałem wyboru, musiałem iść dalej. Obrzydło mi życie w biedzie. Obrzydło mi płacenie rat i alimentów byłej żonie, małe mieszkanie z karaluchami w łazience, metro w godzinach szczytu. I w końcu znalazłem tę świetną pracę. Miała być łatwa, a pensja tak wysoka, że oczy wyłaziły z orbit. Dwie premie rocznie i długi urlop latem. Nie mogłem tak po prostu zrezygnować tylko dlatego, że nie udało mi się znaleźć jakichś drzwi. Jeżeli się nie znalazły, trzeba iść naprzód, aż się znajdą.

Wyjąłem z kieszeni dziesięciojenówkę, podrzuciłem i złapałem na grzbiet dłoni. Reszka. Poszedłem korytarzem w prawo.

Dwukrotnie skręciłem w prawo, raz w lewo, zszedłem po dziesięciu stopniach, znów skręciłem w prawo. Powietrze było chłodne i dziwnie gęste, jak galaretka kawowa. Myślałem o pensji, o przyjemnym, klimatyzowanym biurze. Dobrze jest mieć pracę. Przyśpieszyłem kroku i szedłem dalej, dalej naprzód. Wkrótce zobaczyłem przed sobą drzwi. Z daleka przypominały zniszczony znaczek pocztowy, lecz gdy się do nich zbliżałem, nabierały wyglądu drzwi, aż wreszcie stały się drzwiami.

Odchrząknąłem, zapukałem lekko, cofnąłem się o krok i czekałem. Po piętnastu sekundach nadal nie było odpowiedzi. Zapukałem jeszcze raz, tym razem mocniej i cofnąłem się. Nie było odpowiedzi.

Powietrze wokół mnie ciągle gęstniało.

Kiedy ogarnięty niepokojem zrobiłem krok, chcąc zapukać po raz trzeci, drzwi bezszelestnie się otworzyły. Otworzyły się bardzo naturalnie, zupełnie jakby popchnięte jakimś podmuchem wiatru, ale oczywiście same tego nie zrobiły. Usłyszałem pstryknięcie zapalanego światła i ukazał się przede mną mężczyzna.

Miał dwadzieścia parę lat i był ode mnie z pięć centymetrów niższy. Ze świeżo umytych włosów skapywały krople wody. Nagie ciało spowijał rdzawoczerwony szlafrok. Nogi miał nienaturalnie białe, rozmiar butów może 22. Jego twarz była nijaka jak zeszyt do

ćwiczenia kaligrafii, lecz w kącikach ust błąkał się przepaszający uśmiech. Wyglądał na porządnego człowieka.

– Przepraszam, brałem akurat kąpiel – powiedział.

– Kąpiel? – powtórzyłem i odruchowo spojrzałem na zegarek.

– Taki jest regulamin. Po obiedzie musimy koniecznie wziąć kąpiel.

– Aha.

– A pan w jakiej sprawie?

Wyciągnąłem z kieszeni marynarki tę kartkę pocztową i podałem mu. Chwycił ją czubkami palców, żeby nie zmoczyć, i przeczytał kilka razy.

– Chyba spóźniłem się pięć minut – wyjaśniłem.

– Aha, aha – powiedział, kiwając głową i zwrócił mi kartkę. – Rozumiem, ma pan tu pracować.

– Tak.

– Nic nie wiem o tym, że ma być przyjęty ktoś nowy, ale tak czy inaczej powiadomię przełożonego. Moja praca polega na otwieraniu drzwi i powiadamianiu przełożonego.

– Bardzo proszę.

– A zna pan hasło?

– Hasło?

– Nie powiedzieli panu o hasle?

Zaskoczony pokręciłem głową. – Nie przypominam sobie.

– No to nic panu nie poradzę. Przełożony surowo mi zabronił wpuszczać ludzi nieznanających hasła.

Nikt mi nawet słowem nie wspomniał o hasle. Jeszcze raz wyciągnąłem z kieszeni kartkę, jednak nic tam nie było na temat hasła.

– Na pewno zapomnieli napisać. Wskazówki, jak tu dojść, też były trochę niedokładne. Nie mógłby pan jednak zawiadomić przełożonego? On panu powie. Zostałem zatrudniony i od dziś mam

tu pracować. Jeśli pan go zapyta, myślę, że dowie się pan o tej decyzji.

– Właśnie do tego potrzebne mi hasło – powiedział i chciał poszukać w kieszeni papierosów, lecz szlafrok, niestety, nie miał kieszeni. Poczęstowałem go papierosem i podałem mu ogień.

– Dziękuję bardzo. No to tego... hasła pan sobie nie przypomina?

Beznadziejna sprawa. Jak miałem sobie nagle przypomnieć hasło, którego w życiu ani nie widziałem, ani nie słyszałem? Potrząsnąłem głową.

– Ja sam nie lubię takiego zawracania głowy, ale przełożony to przełożony, ma swoje metody. Rozumie pan, prawda? Nie wiem, co to za człowiek, nigdy go nie spotkałem. Wie pan, tacy ludzie kierują się w różnych sprawach impulsami. Proszę tego nie brać do siebie.

– Nie, nie biorę.

– Przede mną pracował tu pewien facet. Zaanonsował jednego człowieka, który zapomniał hasła. I wyrzucili go. Z miejsca wyrzucili. Proszę od jutra nie pokazywać się w firmie, powiedzieli mu. Jak pan wie, w dzisiejszych czasach bardzo trudno znaleźć pracę.

Kiwnąłem głową. – No to jak? Może mi pan da jakąś drobną wskazówkę?

Oparty o drzwi, wypuścił w powietrze dym. – Regulamin tego zabrania.

– Wystarczy naprawdę niewielka.

– Ale gdyby się wydało, miałbym kłopoty.

– Ja nic nie powiem. Pan też nie powie. Skąd mieliby się dowiedzieć? – zapytałem. Bardzo mi zależało. Nie mogłem się tak po prostu wycofać.

Mężczyzna wahał się przez pewien czas, a potem cicho szepnął mi do ucha: – Niech pan słucha. To bardzo proste słowo, ma związek z wodą. Mieści się w dłoni, ale nie można tego zjeść.

Teraz na mnie przysła kolej się zastanowić.

- A na jaką literę się zaczyna?
- Na „p” – odpowiedział.
- Piskorz – strzeliłem.
- Nie. Jeszcze dwie próby.
- Dwie?
- Może się pan jeszcze dwa razy pomylić i na tym koniec. Przykro mi, ale dla pana narażam się na niebezpieczeństwo, łamiąc przepisy. Nie mogę panu pozwolić zgadywać w nieskończoność.
- Jestem bardzo wdzięczny za tę szansę – powiedziałem. – Ale byłoby świetnie, gdyby dał mi pan jeszcze jakąś wskazówkę. Na przykład ile to słowo ma liter albo...
- Skrzywił się. – Jak tak dalej pójdzie, zaraz pan zaproponuje, żebym powiedział panu całe słowo?
- Ależ skąd! – udałem niewinność. – Wystarczy, że mi pan powie, ile ma liter.
- Osiem – powiedział, wzdychając z rezygnacją. – Mój ojciec naprawdę miał rację. Dasz człowiekowi palec, a zaraz złapie całą rękę.
- Przepraszam.
- W każdym razie osiem liter.
- Ma związek z wodą, mieści się w dłoni, ale nie nadaje się do jedzenia?
- Zgadza się.
- Ma osiem liter i zaczyna się na „p”?
- Tak.
- Zamyśliłem się nad tym.
- Perkozek – powiedziałem.
- Przecież perkozka chyba można zjeść?
- Naprawdę?
- Pewnie. Ale może być niesmaczny – powiedział bez przekonania. – A poza tym nie zmieści się w dłoni.

– A widział pan kiedyś perkozka?

– Nie. Wcale się nie znam na ptakach. Wychowałem się w samym sercu Tokio. Potrafię wymienić wszystkie stacje linii Yamanote. Ale nigdy nie widziałem perkozka. Nie wiem nawet, jak wygląda.

Ja też nigdy w życiu nie widziałem perkozka, lecz nie przyszło mi do głowy żadne inne stworzenie na osiem liter, zaczynające się na „p”. Słowo „perkozek” jakoś samo nasunęło mi się na myśl.

– Perkozek – obstawałem przy swoim. Zdecydowanym tonem powiedziałem: – Perkozki mieszczące się w dłoni są straszliwie niesmaczne. Nawet pies ich nie ruszy.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę. Niech pan sobie mówi co chce, ale hasło to nie „perkozek”. To nie to słowo, choćby nie wiem ile się pan wykłócał.

– Perkozek ma związek z wodą, mieści się w dłoni i nie nadaje się do jedzenia. Do tego ma osiem liter. Wszystko pasuje.

– Ale pan się myli.

– Dlaczego?

– Bo hasło to nie „perkozek”.

– No to jakie jest hasło?

Zaniemówił. – Tego nie mogę powiedzieć.

– Bo nic takiego nie istnieje – rzuciłem najchłodniej, jak umiałem.

– Nie ma nic innego na osiem liter, co ma związek z wodą, mieści się w dłoni i nie nadaje się do jedzenia. Tylko „perkozek”.

– Jest. Na pewno jest – powiedział płaczliwie.

– Nie ma.

– Jest.

– Nie ma pan żadnego dowodu. A do tego perkozek spełnia wszystkie warunki – oznajmiłem.

– Ale... ale może jest gdzieś pies, który lubi jeść mieszczące się w dłoni perkozki?

– To niech mi pan konkretnie udowodni, gdzie jest taki pies i co to za jeden.

– Ojej... – jęknął.

– Wiem o psach wszystko, ale nigdy nie widziałem takiego, który lubiłby mieszczące się w dłoni perkozki.

– Są aż tak niesmaczne? – zapytał słabym głosem.

– Strasznie niesmaczne.

– A jadł je pan kiedyś?

– Nie. Po co miałbym specjalnie jeść coś tak niesmacznego?

– To też racja.

– W każdym razie może jednak powiadomi pan przełożonego? – poprosił stanowczo. – Perkozek.

– Poddaję się – powiedział i ponownie wytarł włosy ręcznikiem. – No dobra, pójdę i powiem. Pewnie na nic się to nie zda.

– Dziękuję. Będę pana dłużnikiem.

– Ale czy naprawdę istnieją mieszczące się w dłoni perkozki?

– Na pewno gdzieś są – oznajmiłem. Ciekawe skąd mi nagle przyszedł do głowy *perkozek*?

Perkozek, który mieści się w dłoni, przetarł okulary kawałkiem aksamitu i ponownie westchnął. Poczuł dotkliwy ból trzonowego zęba po prawej stronie na dole. Znowu do dentysty, pomyślał. Mam już tego dość. Na świecie jest pełno beznadziejnych rzeczy. Dentyści, zeznania podatkowe, raty za samochód, zepsute klimatyzatory... Odchylił głowę na oparcie skórzanego fotela, przymknął oczy i pograżył się w rozmyślaniach o śmierci. Śmierć była cicha jak dno morza, słodka jak majowa róża. Perkozek ostatnio często myślał o śmierci. Rysował sobie w wyobraźni obraz tego, jak umiera, jak zasypia snem wiecznym.

Tu spoczywa perkozek mieszczący się w dłoni. To wyryto na nagrobku.

Wtedy odezwał się brzęczyk interkomu.

– Co jest? – mieszczący się w dłoni perkozek krzyknął z niezadowoleniem w stronę mikrofonu.

– Gość – rozległ się głos strażnika. – Podobno od dziś tu pracuje. Zna hasło.

Perkozek mieszczący się w dłoni zmarszczył brwi. – Piętnaście minut spóźnienia.



Koty ludojady

人喰い猫

Hitokui-neko

Kupiłem w porcie gazetę. Był w niej artykuł o tym, że trzy koty zjadły staruszkę. Stało się to w niewielkim miasteczku pod Atenami. Kobieta miała siedemdziesiąt lat, mieszkała sama. Żyła sobie spokojnie w jednym pokoju z trzema kotami. Ale nagle, pewnego dnia, w wyniku wylewu czy czegoś takiego, upadła twarzą na kanapę i zmarła. Nie było dokładnie wiadomo, ile czasu minęło od chwili, kiedy się przewróciła, do jej śmierci. W każdym razie więcej się nie podniosła. Nie miała żadnych krewnych, którzy by ją regularnie odwiedzali, ani bliskich przyjaciół, więc ciało odkryto dopiero po tygodniu.

Okna i drzwi były zamknięte, więc po śmierci właścicielki koty nie mogły się wydostać. W mieszkaniu zabrakło jedzenia. Oczywiście w lodówce pewnie jakieś było, ale niestety koty nie potrafią sobie otworzyć lodówki. Toteż wyголоđniałe zwierzęta nie mogły wytrzymać i zaczęły zjadać zmarłą właścicielkę.

Przeczytałem ten artykuł Izumi, która siedziała ze mną przy stoliku w kawiarni. W czasie pobytu na tej wyspie częścią naszego programu był spacer do portu w pogodne dni, kupowaliśmy też codziennie wydawaną w Atenach anglojęzyczną gazetę. Zamawialiśmy kawę w kawiarni obok Urzędu Celnego i jeżeli w gazecie były jakieś ciekawe artykuły, tłumaczyłem Izumi, co mniej więcej w nich napisano. A jeśli zdarzyło się, że artykuł był bardzo interesujący, dyskutowaliśmy o nim. Izumi dość płynnie mówiła po angielsku i gdyby tylko chciała, mogła sama przeczytać gazetę. Ale nigdy nawet nie wzięła jej do ręki. – Lubię, jak ktoś mi coś czyta – powiedziała. – Od dzieciństwa o tym marzyłam. Chciałam usiąść sobie gdzieś w słonecznym miejscu i żeby mi ktoś coś czytał. Było mi wszystko jedno co; mogła to być gazeta, podręcznik, powieść. Chciałam sobie siedzieć, patrząc na niebo czy na morze, i słuchać. Ale do tej pory nikt nigdy mi nie czytał. I teraz ty jakby to naprawiasz. W dodatku masz bardzo ładny głos.

Tu było i niebo, i morze. A poza tym dobrze się złożyło (chyba należy tak powiedzieć), że wcale nie męczyło mnie czytanie komuś na głos. Będąc w Japonii, często czytałem swojemu dziecku książeczki z obrazkami. Czasami, czytając głośno, miałem wrażenie, że w mojej głowie coś się wyłania, co nie zdarzało się przy zwykłym wodzeniu wzrokiem po tekście. Głośne czytanie wywoływało jakiś szczególny rezonans, nasilenie emocji i to wydawało mi się wspaniałe.

Popijając od czasu do czasu gorzką kawę z małej filiżanki, powoli czytałem artykuł. Niespiesznie przeżuwałem w myślach po kilka linijek, tłumaczyłem je w głowie na japoński i mówiłem Izumi. Skądś przyleciało kilka os i zaczęło pracownicy zlizywać dżem, rozmazany na stoliku przez poprzednich klientów. Lizwały tak przez pewien czas, aż nagle, jakby sobie coś przypomniały, uniosły się w powietrze, polatały w kółko z ceremonialnym brzęczeniem skrzydełek, żeby wkrótce znów wrócić do stolika, jakby jeszcze coś sobie przypomniały. Kiedy skończyłem czytać artykuł, Izumi siedziała z łokciami opartymi na stoliku i czekała, co będzie dalej. Pięć czubków palców prawej dłoni zetknęło się dokładnie z pięcioma czubkami palców lewej. Odłożyłem gazetę na kolana i przez chwilę przyglądałem się tym dziesięciu długim palcom. Spojrzała na mnie spomiędzy nich. – I co dalej? – zapytała.

– To wszystko – powiedziałem, podniosłem brukowiec i złożyłem na czworo. Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę do nosa, żeby zetrzeć z ust resztki kawy. – Przynajmniej tutaj nic więcej nie napisali.

– Ale co się potem mogło stać z tymi kotami?

Spojrzałem na nią, następnie schowałem chusteczkę do kieszeni. – Nie wiem. Nic o tym nie napisali.

Izumi lekko wykrzywiła wargi. Taki miała nawyk. Kiedy zamierzała wyrazić jakąś opinię (zazwyczaj przyjmującą formę krótkiego oświadczenia), zawsze ściągała wargi w jedną stronę, jakby chciała wygładzić zmarszczkę na prześcieradle, silnie je pociągając. Kiedy ją poznałem, ten nawyk wydał mi się czarujący. –

Gazety są pewnie takie same na całym świecie. Z zasady nigdy nie piszą tego, czego człowiek naprawdę chce się dowiedzieć.

Wyjęła papierosa z nowej paczki salemów, wsadziła do ust i przypaliła zapalką. Wypalała dokładnie paczkę dziennie. Rano otwierała nową i do wieczora ją kończyła. Ja nawet nie dotykałem papierosów. Kiedy żona pięć lat temu zaszła w ciążę, rzuciłem palenie na jej prośbę.

– Chciałabym wiedzieć – powiedziała Izumi, spokojnie wydmuchując w powietrze dym – co właściwie zrobili z tymi kotami? Czy zostały zabite, bo zjadły ludzkie mięso? Czy pogłaskano je po łebkach, uniewinniono i wypuszczono, mówiąc: „Nie miałyście lekko”? Jak sądzisz?

Rozmyślałem o tym przez chwilę, przyglądając się osom na stoliku. Porównałem w myślach pracowite osy ze wszystkich sił liżące dżem i trzy koty pożerające zwłoki staruszki. Dobiegający z oddali krzyk mewy nałożył się na brzęczenie os. Załedwie przez kilka sekund moja świadomość błędziła po granicy rzeczywistości i nierzeczywistości. Miałem trudności z uchwyceniem tego, gdzie teraz jestem, co robię. Wzięłem głęboki oddech, spojrzałem na niebo, a później na Izumi.

– Nie mam pojęcia.

– To się zastanów. Gdybyś był burmistrzem tego miasteczka albo szefem policji, co zrobiłbyś z tymi kotami?

– A gdyby je umieścić w jakimś ośrodku i zresocjalizować? Zmusić do przejścia na wegetarianizm.

Izumi się nie roześmiała. Wciągnęła dym papierosowy i powoli wypuściła. – Ta historia przypomniła mi katolicką przypowieść, którą słyszałam zaraz na początku gimnazjum. Opowiadałam ci o tym? Przez sześć lat chodziłam do strasznie rygorystycznej szkoły prowadzonej przez zakonnice. Do końca podstawówki byłam w normalnej, rejonowej, ale do gimnazjum poszłam do tamtej. Po zakończeniu uroczystości przyjęcia do szkoły nowych uczennic odbyło się spotkanie z siostrą przełożoną. Zebrała wszystkie nowe uczennice, stanęła na mównicy i opowiadała o katolickich

dogmatach. Mówiła o różnych rzeczach, ale najlepiej pamiętam – chociaż prawdę mówiąc, nic innego nie pamiętam – historię o kimś, kto się znalazł na bezludnej wyspie wraz z kotem.

– Zapowiada się bardzo ciekawie – zauważyłem.

– Statek się rozbija i woda unosi cię na bezludną wyspę. Do szalupy dostałeś się tylko ty i kot. Udaje ci się dotrzeć na jakąś wyspę, ale nie ma tam niczego do jedzenia. W szalupie masz dość sucharów i wody, żeby jeden człowiek mógł jakoś przetrwać dziesięć dni. To taka historia. I wtedy zakonnica powiedziała: „Wyobraźcie sobie, że znalazłyście się w takiej sytuacji. Przymknijcie oczy i wyobraźcie to sobie. Jesteście na bezludnej wyspie z kotem. Prawie nie macie pożywienia. Gdy go zabraknie, będziecie musiały umrzeć. Rozumiecie? Umrzecie z głodu i z pragnienia. Co zrobiłybyście w takiej sytuacji? Podzieliłybyście się tą niewielką ilością pożywienia z kotem? Nie, tego nie wolno zrobić. To byłby błąd. Nie wolno wam się podzielić z kotem. A to dlatego, że jesteście istotami wyższymi, wybranymi przez Boga, a kot nie. Dlatego te suchary powinnyście zjeść same”. Powiedziała to bardzo poważnie. Te słowa ogromnie mnie zdziwiły. Po co specjalnie opowiadać nowo przyjętym do szkoły dzieciom takie rzeczy? Byłam poruszona – co to za straszna szkoła!

Mieszkaliśmy z Izumi w niewielkim wynajętym mieszkaniu na małej greckiej wyspie. Sezon już się skończył, poza tym turystyka była tu niezbyt rozwinięta, więc płaciliśmy niewiele. Przed przyjazdem do Grecji żadne z nas nigdy nie słyszało nawet nazwy tej wyspy. Leżała niedaleko Turcji i w pogodne dni widać było niebieskawe góry należące już do tego kraju. Grecy żartowali, że kiedy wieje silny wiatr, nawet dochodzi stamtąd zapach kebabu. Lecz niekoniecznie musiał to być żart – zdawało się, że Azję Mniejszą mamy dosłownie pod nosem. W końcu do wybrzeża Turcji było stąd bliżej niż do najbliższej greckiej wyspy.

Na placu przy porcie stał pomnik bohatera wojny o niepodległość. Gdy wybuchło powstanie w centralnej części kraju, z

determinacją zorganizował rewoltę przeciwko wojskom tureckim okupującym tę wyspę, został schwytany i skazany na wbicie na pal. Turcy ustawili na placu dobrze zaostrzony pal, rozebrali biednego bohatera do naga i umieścili na czubku. Pod ciężarem ciała pal wbijał się powoli coraz głębiej, poczynając od odbytnicy, aż w końcu doszedł do ust. Podobno bohater bardzo długo się męczył. Pomnik stoi ponoć na miejscu dawnego pala. Prawdopodobnie, kiedy go wzniesiono, był imponującym, pełnym patosu pomnikiem z brązu, lecz pod wpływem morskiego wiatru, kurzu, odchodów mew i innych nieuniknionych zniszczeń, jakie wywołuje upływ czasu, rysy twarzy bohatera stały się nieomal niewidoczne. Mieszkańcy wyspy nie zwracali uwagi na ten przybrudzony, podupadły pomnik, a bohater także wyglądał, jakby było mu już zupełnie obojętne, co się stanie z wyspą, krajem czy światem. Siedząc w ulicznej kawiarence przed pomnikiem, spędzaliśmy beczynn timer, pijąc kawę czy piwo i patrząc na łodzie w porcie, mewy i widoczny w oddali łańcuch tureckich gór. Tutaj był dosłowny kraniec Europy, koniec świata. Wiał wiatr końca świata, tworzyły się fale końca świata i unosił się zapach końca świata. Czy nam się to podoba, czy nie, koniec świata to właśnie takie miejsce. Ma w sobie jakiś nieunikniony odcień konserwatyzmu. Dawało mi to poczucie, że jestem cicho pochłaniany przez terytorium należące do czegoś obcego, niewyraźnego i życzliwego, znajdującego się za tym końcem świata. Na twarzach, w oczach, w kolorze skóry ludzi zbierających się na placu czuło się cień tej obcości.

Czasami nie całkiem do mnie docierało, że jestem częścią takiego miejsca. Choć rozglądałem się po otoczeniu, wciągałem w płuca tutejsze powietrze, nie potrafiłem sensownie odnieść ich do siebie samego. Zastanawiałem się, jak właściwie się tu znalazłem.

Jeszcze dwa miesiące temu mieszkałem z żoną i prawie czterolatkiem w czteropokojowym mieszkaniu w Unoki. Było to nieduże, ale niezłe, całkiem przyjemne mieszkanie. Mieliśmy salon z jadalnią, sypialnię, pokój gościnny i pokój, który służył mi za gabinet. Widok był ładny, mieszkanie ciche. W weekendy chodziliśmy we trójkę na spacer y nad rzekę Tamę. Wiosną wzdłuż

brzegu kwitły wiśnie. Sadzałem dziecko na rowerze i chodziliśmy oglądać treningi drugoligowej drużyny baseballowej Giants.

Pracowałem w średniej wielkości firmie specjalizującej się w robieniu projektów i layoutów książek i czasopism. Choć nazywało się to projektowaniem, praca była dość konkretna. Nie miała w sobie nic olśniewającego ani twórczego, ale mnie całkiem się podobała. Nie mówię, że każdy dzień upływał przyjemnie, bez żadnych powodów do niezadowolenia. Zazwyczaj miałem zbyt dużo pracy, kilka razy w miesiącu musiałem harować nocami, żeby zdążyć z projektem na czas, a niektóre zlecenia bywały straszliwie nudne. Ale w firmie panowała stosunkowo miła swobodna atmosfera. Pracowałem tam już bardzo długo, więc w pewnym stopniu mogłem wybierać sobie zlecenia i swobodnie wyrażać swoje opinie. Nie miałem znienawidzonego szefa ani nieprzyjemnych kolegów. Pensja też była niezła. I dlatego myślę, że gdyby nic się nie zdarzyło, pewnie ciągle bym tam pracował. I moje życie płynęłoby jak Wełtawa (a raczej ściślej mówiąc, jak bezimienne wody Wełtawy), jak trzeba, ku morzu. Lecz gdzieś pod drodze spotkałem Izumi.

Izumi była o dziesięć lat młodsza ode mnie. Poznałem ją na zebraniu w pracy. Od pierwszego spotkania przypadliśmy sobie do gustu. W życiu – co prawda bardzo rzadko – zdarzają się takie rzeczy. W związku z pewnym zleceniem spotkaliśmy się potem dwa czy trzy razy. Ja poszedłem do jej firmy, ona przyszła do mojej. Ale choć się widywaliśmy, nie były to długie spotkania i nigdy nie byliśmy sami. Nie rozmawialiśmy też o żadnych osobistych sprawach. Kiedy jednak zlecenie dobiegło końca, zrobiło mi się jakoś strasznie smutno. Miałem poczucie niesprawiedliwości, wrażenie, że odebrano mi coś, co było mi potrzebne. Od dawna nie doznawałem takiego uczucia. Myślę, że Izumi czuła to samo, co ja. W tydzień później zadzwoniła do mojej firmy w jakiejś drobnej sprawie. Pogawędziliśmy niezobowiązująco. Ja zażartowałem, ona się roześmiała. I wtedy zapytałem, czy nie miałyby ochoty na drinka. Poszliśmy do małego baru i przy drinkach rozmawialiśmy.

Prawie nie pamiętam o czym. Ale zadziwiająco dobrze nam się rozmawiało. Każdy temat sprawiał nam przyjemność i nigdy nam ich nie brakowało. Doskonale rozumiałem, co ma na myśli, potrafiłem zaskakująco dokładnie wyjaśnić jej to, czego nie umiałem wyjaśnić innym ludziom. Ja byłem żonaty, ona była mężatką, nie mieliśmy specjalnych powodów do niezadowolenia. Oboje kochaliśmy i szanowaliśmy swoich współmałżonków. Ale wiem z doświadczenia, że w życiu jest zadziwiająco mało okazji poznania kogoś, komu udaje się w pełni, całkowicie przekazać swoje uczucia. To prawie cud albo zrządzenie losu. Na pewno mnóstwo ludzi przeżyje całe życie i nigdy nie spotka takiej osoby. I myślę, że prawdopodobnie nie ma to aż tak wiele wspólnego z miłością w ogólnie rozumianym znaczeniu. Sądzę, że to raczej coś w rodzaju współodczuwania.

Potem spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, znowu poszliśmy na drinka, rozmawialiśmy. Jej mąż często późno wracał z pracy, więc dość swobodnie dysponowała swoim czasem. Na takich rozmowach czas mijał nie wiadomo kiedy. Spoglądaliśmy na zegarek i często okazywało się, że zbliża się pora odjazdu ostatniego pociągu. Zawsze ciężko mi było się z nią rozstawać. Zwykle jeszcze nie czułem się nasycony rozmową, ona zresztą też nie.

W końcu poszliśmy do łóżka. Chociaż żadne z nas tego nie zaproponowało, jakoś bardzo naturalnie do tego doszło. Oboje po raz pierwszy zdradziliśmy naszych współmałżonków. Ale prawie wcale nie mieliśmy z tego powodu poczucia winy. A to dlatego, że było to nam obojgu naprawdę potrzebne. To, że ją rozbierałem, głaskałem jej skórę, trzymałem ją w ramionach, wchodziłem w nią i miałem wytrysk, stawało się zupełnie naturalną częścią naszych rozmów. Było tak naturalne, że choć nie wywoływało żadnego poczucia winy, nie dawało też radości ze spełnienia rozdzierającego serce pragnienia – pogodne, przyjemne, pozbawione ozdobników działanie samo w sobie. Najcudowniejsze były spokojne rozmowy w łóżku, po seksie. Przeżywaliśmy naprawdę wspaniałe chwile. Obejmowałem ją nagą, a ona zwijała się w kłębek w moich

ramionach i rozmawialiśmy o różnych rzeczach, które rozumieliśmy tylko my, tak cicho, że nikt inny nie mógł nas usłyszeć.

Spotykaliśmy się, gdy tylko nadarzyła się okazja. Umawialiśmy się, szliśmy na drinka, rozmawialiśmy; jeśli czas pozwalał, szliśmy do łóżka, a jeśli nie, spotkanie kończyło się na rozmowie. Jedno i drugie nam odpowiadało. O dziwo (a może to wcale nie jest zadziwiające), wierzyliśmy, że taki związek będzie trwał wiecznie. Innymi słowy, byliśmy przekonani, że nasze małżeństwa będą sobie trwały, obok nich jednocześnie będzie trwał nasz związek i nie powstaną żadne problemy, ponieważ byliśmy przekonani, że ten związek nie będzie miał nic wspólnego z życiem naszych rodzin. Niewątpliwie sypialiśmy ze sobą. Ale komu konkretnie sprawialiśmy tym kłopot? Niewątpliwie, kiedy wracałem późno z powodu spotkań z Izumi, musiałem okłamywać żonę i miałem z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. W rzeczywistości nikogo nie zdradzaliśmy. Mój związek z Izumi można było nazwać całkowitym porozumieniem międzyludzkim w zakresie, jaki umożliwiało życie.

Gdyby dalej trwał bez przeszkód, nie wiem, w jakim kierunku by się rozwinął. Być może dalej chodzilibyśmy wiecznie na wódkę z tonikiem, rozmawialibyśmy, szlibyśmy do łóżka w pokoju hotelowym i dobrze by się między nami układało? A może po upływie pewnego czasu zmęczyłoby nas oszukiwanie rodzin, naturalnie zakończylibyśmy nasz związek i wrócilibyśmy do udanego życia rodzinnego? Tak czy inaczej, sądzę, że nie rozwinąłby się w złym kierunku. Nie mam pewności, ale jakoś tak mi się wydaje. Jednak dzięki przypadkowemu zrządzeniu losu (i prawdopodobnie musiało dojść do takiego przypadkowego zrządzenia losu) mąż Izumi dowiedział się o nas. Przesłuchał Izumi, a potem od razu ruszył do mnie do domu. Ta sprawa wyprowadziła go z równowagi, czuł się strasznie skołowany. Do tego niestety zastał tylko moją żonę. Przez to sytuacja zrobiła się makabryczna. Żona poprosiła, żebym jej wyjaśnił, co się dzieje. Ponieważ Izumi już wszystko wyznała, nie miałem po co oszukiwać żony, więc wytłumaczyłem jej wszystko zgodnie z prawdą. Wyjaśniłem, że nie miało to nic wspólnego z miłością. Był to strasznie ograniczony

związek. Zupełnie innej jakości niż mój związek z nią. Zupełnie innego rodzaju. Dowodem jest to, że przecież wcale się nie zorientowała, kiedy zacząłem się z Izumi spotykać. Ale żona mnie nie słuchała. Doznała strasznego szoku, była dosłownie jak skamieniała. Nie odezwała się do mnie ani słowem. Następnego dnia zapakowała swoje rzeczy do samochodu i wróciła z dzieckiem do domu rodzinnego w Chigasaki. Dzwoniłem tam kilka razy, ale nigdy nie podeszła do telefonu. Raz odebrał jej ojciec i powiedział, że nie będzie słuchał moich głupich wymówek i nie odeśle córki do takiego łajdaka. Od początku ostro sprzeciwiał się naszemu małżeństwu i w jego głosie pobrzmiwało echo „a nie mówiłem”.

Nie wiedziałem, co począć, więc wziąłem kilka dni urlopu i właśnie siedziałem sam w domu, gdy zadzwoniła Izumi. Ona też była sama. Jej mąż odszedł (choć w odróżnieniu od mojej żony nie odszedł spokojnie – pobił ją dotkliwie i pociął nożyczkami na strzępy wszystkie jej ubrania, od jesionki po bieliznę). Nie wiedziała, dokąd poszedł. Już nic z tego, mówiła. Już nic z tego nie będzie. On nie wróci, powiedziała, i rozplakała się do telefonu. Kochali się od liceum. Chciałem ją pocieszyć, ale nie miałem jak.

Słuchaj, chodźmy się gdzieś napić, zaproponowała Izumi. Pojechaliśmy do Shibuya i piliśmy w barze czynnym całą noc. Ja piłem gimlety z wódką, a ona daiquiri. Wypiliśmy morze alkoholu. Ale tej nocy niewiele rozmawialiśmy. O świcie poszliśmy spacerem do Harajuku, żeby wytrzeźwieć. Wypiliśmy kawę w Royal Host, zjedliśmy śniadanie. Wtedy Izumi zaproponowała, żebyśmy pojechali do Grecji.

– Do Grecji?

– Przecież nie ma sensu siedzieć w Japonii – powiedziała, przypatrując mi się uważnie.

Zastanowiłem się nad tym, ale głowę miałem nieco zamroczoną alkoholem i nie bardzo udawało mi się nadażyć za tokiem rozmowy. Do Grecji?

– Od dawna chcę jechać do Grecji. To zawsze było moje marzenie. Chciałam tam pojechać w podróż poślubną, ale wtedy nie

mieliśmy pieniędzy. Słuchaj, pojedźmy we dwoje do Grecji. I pożyczmy sobie tam przez pewien czas swobodnie, nad niczym się nie zastanawiając. Jak zostaniemy w Japonii, będziemy tylko przygnębieni, poza tym i tak nic dobrego nas tu nie czeka.

Grecja mnie nieszczęśliwie interesowała, ale całkowicie zgadzałem się z tym, że jeśli zostaniemy w Japonii, nic dobrego nas tu nie czeka. Podliczyliśmy, ile każde z nas ma pieniędzy. Ona miała dwa i pół miliona oszczędności. Ja miałem półtora. Razem cztery miliony.

– Ile lat można przeżyć za cztery miliony na prowincji w Grecji? – zapytała Izumi. – Dwa zniżkowe bilety lotnicze to jakieś czterysta tysięcy. Zostanie trzy miliony sześćset. Żyjąc za sto tysięcy miesięcznie, będziemy mieli pieniądze na prawie trzy lata. Licząc z nadwyżką, powiedzmy dwa i pół. Nieźle co? Jedźmy. Później się zastanowimy, co dalej.

Rozejrzałem się dookoła. W Royal Host było pełno młodzieży. My byliśmy jedynymi ludźmi po trzydziestce. I niewątpliwie jedynymi, którzy rozmawiali o ucieczce do Grecji, z całą gotówką, po tym jak się wydał ich romans i jak rozbili swoje małżeństwa. O rany, pomyślałem. Długo wpatrywałem się w swoją dłoń. Czy ta dziwna namiastka to naprawdę moje życie?

– Dobra – powiedziałem. – Jedźmy.

Następnego dnia złożyłem w pracy wymówienie. Szef nieco orientował się w sytuacji, więc zamiast przyjąć wymówienie, zgodził się dać mi długoterminowy urlop bezpłatny. Wszystkich w firmie najwyraźniej to zdziwiło, ale nikt mnie specjalnie nie zatrzymywał. Jeśli się spróbuje, to całkiem proste, pomyślałem. Jak człowiek chce się czegoś pozbyć, to w życiu da się pozbyć prawie wszystkiego. Nie prawie, dosłownie *wszystkiego*. A jak się zacznie pozbywać kolejnych rzeczy, nabiera się ochoty, żeby się pozbyć absolutnie wszystkiego. Tak samo jak hazardzista, który stracił połowę pieniędzy, w desperacji wyrzuca resztę. Odechciewa się człowiekowi robić coś połowicznie i czegoś się trzymać.

W końcu udało mi się zmieścić wszystkie potrzebne rzeczy w średniej wielkości walizce firmy Samsonite. Wsiadliśmy z Izumi do samolotu lecącego trasą południową. Ona miała mniej więcej tyle samo bagażu co ja. Lecąc nad Egiptem, nagle poczułem strach, że zamienią mi bagaż i ktoś zabierze moją walizkę. Nie było to wykluczone. Na świecie musiało być kilkadziesiąt tysięcy niebieskich walizek Samsonite takich jak moja. Może się zdarzyć, że człowiek dociera do miejsca przeznaczenia, otwiera walizkę i widzi, że są tam tylko rzeczy jakiejś innej osoby. Na myśl o tym ogarnął mnie nieprawdopodobny strach. Jeżeli zgubię tę walizkę, nic prócz Izumi nie będzie mnie łączyło z moim własnym życiem. Gdy o tym pomyślałem, miałem wrażenie, że tracę z oczu samego siebie. Pierwszy raz doświadczyłem takiego przedziwnego uczucia. Sam sobie nie wydawałem się sobą. Ten ja nie jest prawdziwym ja, ale kimś innym, kto doraźnie przybrał moją postać, lecz moja świadomość tego nie zauważyła i przyczepiła się do tego drugiego mnie. Była strasznie zagubiona. Muszę wrócić do Japonii i dostać się do tego oryginalnego ciała, myślała. Ale teraz siedziałem w samolocie i leciałem nad Egiptem. Nie było odwrotu. Czułem, że moje własne, doraźne ciało zostało zrobione z gipsu. Gdyby poskrobać je paznokciem, skruszyłoby się na kawałki. Niebawem to ciało zaczęło się trząść. Nie mogłem tego powstrzymać. Pomyślałem, że jak się będę dalej tak trząść, rozpadnę się w proch. Klimatyzacja działała dobrze, ale ja byłem zlany potem, koszulę miałem dosłownie przemoczoną. Poczułem nieprzyjemny zapach. Przez ten cały czas Izumi ścisnęła mnie za rękę. Czasami obejmowała mnie ramieniem. Milczała, ale zdawało się, że rozumie, jak się czuję. Trwało to około trzydziestu minut. Chciałem umrzeć. Chciałem wsadzić do ucha lufę wielkiego rewolweru i pociągnąć za spust. I chciałem zmieść w proch świadomość razem z duszą. Była to wtedy moja jedyna nadzieja.

Ale kiedy minęło drzenie, nagle poczułem się lżejszy. Rozluźniłem ramiona, zdałem się na upływ czasu. I głęboko zasnąłem. Gdy się obudziłem, w dole rozciągało się lazuruwe Morze Egejskie.

Największym naszym problemem na tej wyspie było to, że nie mieliśmy prawie nic do roboty. Nie było pracy, nie było kontaktów z ludźmi. Nie było tu kina ani kortu tenisowego. Nie było książek do czytania. Wyjechaliśmy z Japonii w wielkim pośpiechu i nie przyszło nam do głowy, żeby zabrać ze sobą książki. Po dwukrotnym przeczytaniu obu powieści, które kupiłem na lotnisku, i zbioru tragedii Ajschylosa przywiezionych przez Izumi, nie było już co czytać. W kiosku przy porcie leżało tylko kilka angielskich kieszonkowych wydań dla turystów, ale prawie nic, na co miałbym ochotę. Lubię książki, więc było mi z tym dość ciężko. Zawsze myślałem, że jak będę miał czas, zatopię się bez reszty w lekturze. Lecz jak na ironię, mimo że tu miałem tyle czasu, ile dusza zapragnie, brakowało książek.

Izumi przywiozła podręcznik współczesnej greki i uczyła się. Zrobiła tabelę koniugacji czasowników, zawsze ją przy sobie nosiła i w każdej wolnej chwili recytowała, jakby wypowiadała jakieś zaklęcia. Kiedy chodziliśmy po zakupy, rozmawiała ze sprzedawcami łamaną greką. W kawiarni rozmawiała z kelnerem. Dzięki temu udało nam się poznać kilka osób. W czasie kiedy ona uczyła się greckiego, ja odkurzałem swój francuski. Zacząłem myśleć, że skoro jesteśmy w Europie, francuski może się kiedyś przydać, lecz na tej podupadłej wyspie nie było nikogo, kto by mówił w tym języku. W miasteczku udawało się jakoś dogadać po angielsku. Niektórzy starsi ludzie rozumieli po włosku i po niemiecku. Tylko francuski do niczego się nie przydawał.

Mieliśmy za dużo czasu, więc ciągle chodziliśmy na spacer. Próbowaliśmy też łowić w porcie ryby, ale mimo wielu prób nic nie udało nam się złapać. Ryby były. Tylko woda okazała się zbyt przezroczysta. Dlatego ryby wszystko wyraźnie widziały, od żyłki aż po twarz łowiącego. Na coś takiego mogła się nabrać tylko wyjątkowo mało roztargniona ryba. Chodziłem po wyspie z nabytym w sklepiku podręcznym blokiem rysunkowym i malowałem widoki wyspy oraz jej mieszkańców. Izumi przyglądała się z boku albo ćwiczyła grecką gramatykę. Kiedy szkicowałem, Grecy często podchodzili popatrzeć. Bardzo się cieszyli, gdy dla zabicia czasu

malowałem ich portrety. W zamian stawiali nam piwo. A pewien rybak dał nam ośmiornicę.

– Mógłbyś zawodowo malować portrety – powiedziała Izumi. – Jesteś w tym bardzo dobry, a rzadko się zdarza Japończyk portrecista, może mógłbyś nieźle zarobić.

Roześmiałem się, ale z miny Izumi było widać, że wcale nie żartuje. Spróbowałem sobie wyobrazić, jak wędruję po greckich wyspach, malując portrety, dostaję parę groszy, ludzie zapraszają mnie na piwo. Ta wizja nie wzbudziła we mnie wielkiej niechęci. Pomyślałem nawet, że byłoby to wcale nieźle rozwiązanie. Przecież kiedyś poszedłem na Akademię Sztuk Pięknych, bo lubiłem rysować.

– Ja mogłabym być w tym kraju organizatorem wycieczek japońskich. Na pewno będzie przybywało japońskich turystów, udałoby nam się z tego utrzymać. Tylko do tego muszę najpierw opanować język grecki – powiedziała.

– Ale tak czy inaczej możemy przeżyć dwa i pół roku, nic nie robiąc?

– Jeśli coś się nie zdarzy. Jeżeli nikt nas nie okradnie ani nie zachorujemy. Myślę, że uda nam się jakoś przeżyć dwa i pół roku. Jednak trzeba się na wszelki wypadek już teraz przygotować na różne ewentualności.

Nigdy jeszcze nie byłem u lekarza. Powiedziałem o tym Izumi.

Przez pewien czas nieruchomo mi się przyglądała. Potem zacisnęła usta i lekko się skrzywiła. – A gdybym – zaczęła – gdybym zaszła w ciążę, co masz zamiar zrobić? Choć człowiek się zabezpiecza, zdarzają się wpadki. Gdyby tak się stało, pieniądze by się natychmiast rozeszły.

– W takim wypadku moglibyśmy wrócić do Japonii – powiedziałem.

– Ty chyba nie rozumiesz, że my już nie wrócimy do Japonii – odparła spokojnie.

I tak Izumi dalej uczyła się greki, a ja dalej szkicowałem. Był to prawdopodobnie najspokojniejszy okres w moim życiu. Jedliśmy proste posiłki, piliśmy oszczędnie tanie wino. Codziennie wchodziliśmy na pobliskie wzgórze. Na szczycie była niewielka osada, stamtąd rozciągał się widok na dalekie wyspy. Gdy wyteńczyło się wzrok, było też widać port w Turcji. Dzięki temu czystemu powietrzu i regularnemu zażywaniu ruchu bardzo dobrze się czuliśmy. Gdy zachodziło słońce, zapadała cisza. W takiej ciszy sekretnie się kochaliśmy. I przyciszonymi głosami rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Nie musieliśmy się martwić, kiedy odjeżdża ostatni pociąg, nie było potrzeby kłamać mężowi ani żonie. I to samo w sobie było wspaniałe. W ten sposób minęła jesień, rozpoczęła się zima. Przybyło bardzo wietrznych dni, na morzu zaczęły się pojawiać białe grzywy fal.

To w tym okresie przeczytaliśmy w gazecie o kotach ludojadach. W tej samej gazecie był artykuł o tym, że pogorszył się stan zdrowia japońskiego cesarza. Jednak my kupowaliśmy gazetę, żeby się dowiedzieć, jaki jest kurs wymiany jena. W stosunku do drahmy jen nadal był drogi. Kiedy szedł w górę, przybywało pieniędzy, które mieliśmy ze sobą, a to była dla nas najważniejsza kwestia.

– Skoro mowa o kotach – powiedziałem do Izumi kilka dni po ukazaniu się artykułu o kotach ludojadach – kiedy byłem dzieckiem, pewnego dnia zniknął mój kot.

Izumi wydawała się zainteresowana. Podniosła głowę znad tabeli koniugacji i spojrzała na mnie. – W jaki sposób?

– Byłem wtedy w drugiej albo trzeciej klasie podstawówki. Mieszkaliśmy w domu z dość dużym ogrodem. W ogrodzie rosła stara sosna. Taka wysoka, że nie było widać górnych gałęzi, nawet kiedy się zadarło głowę. Kiedyś siedziałem na werandzie, czytając książkę, a nasz trójkolorowy kot bawił się w ogrodzie. Podskakiwał sobie, tak jak to koty często robią. Był strasznie podniecony, chyba wcale nie zauważył, że na niego patrzę. Przerwałem czytanie i zacząłem mu się przyglądać. Kot bardzo długo skakał. Bez przerwy, jakby go coś opętało. Podskakiwał, jeżył sierść, odskakiwał w tył. Kiedy mu się tak przyglądałem, stopniowo ogarniał mnie strach. Kot

zachowywał się, zupełnie jakby widział coś, czego ja nie dostrzegalem, i z tego powodu był podniecony. Wkrótce zaczął biegać naokoło sosny ze straszną prędkością jak tygrys w *The Little Black Sambo*. A po pewnym czasie jednym susem wskoczył na pień sosny i zaczął się wspinać na górę. Podniosłem głowę i dostrzegłem go na bardzo wysokiej gałęzi. Wyglądał, jakby jeszcze ciągle był strasznie spięty. Przyczajony, wpatrywał się w coś nienawistnie. Zawołałem go po imieniu. Ale zdawało się, że mnie nie słyszał.

– A jak się nazywał? – zapytała Izumi.

Nie mogłem sobie przypomnieć. – Zapomniałem – powiedziałem jej. – Wkrótce nadszedł zmierzch i wokół zapanował mrok. Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Czekałem, aż kot zejdzie. Ale on nie schodził. Niedługo zrobiło się zupełnie ciemno. I to był ostatni raz, kiedy go widziałem. Zniknął.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – powiedziała Izumi. – Koty często tak znikają. Szczególnie kiedy są w okresie godowym. Podniecają się i zapominają drogi do domu. Na pewno nie zauważyłeś, kiedy zszedł z sosny i gdzieś sobie poszedł.

– Musiało tak być. Ale ja byłem wtedy jeszcze mały i myślałem, że kot zamieszkał na tej sośnie. I z jakiegoś powodu nie mógł zejść na dół. Codziennie, gdy tylko miałem czas, siadałem na werandzie i patrzyłem na czubek sosny. Myślałem, że może pomiędzy gałęzi ukaze się pyszczek kota.

Izumi nie wydawała się szczególnie zainteresowana tą historią. Jakby znudzona, zapaliła drugiego salema. Potem nagle podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Myślisz o swoim dziecku? – zapytała.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. – Czasami – odrzekłem szczerze. – Ale nie bez przerwy. Czasami coś mi o nim przypomina.

– Nie masz ochoty się z nim zobaczyć?

– Zdarza się, że mam – powiedziałem, ale to było kłamstwo. Staralem się tak myśleć, bo uważałem, że powinienem. Kiedy mieszkałem z synkiem, był mi bardzo bliski. Gdy wracałem późno

do domu, najpierw szedłem do jego pokoju, żeby na niego popatrzeć. Czasami miałem ochotę uściskać go z całych sił. Ale od kiedy przestałem go widywać, nie potrafiłem go sobie dobrze przypomnieć. Czułem, że jego minki, głos, gesty są gdzieś bardzo daleko. Z rzeczy związanych z dzieckiem wyraźnie potrafiłem sobie przypomnieć tylko zapach mydła. Często go myłem i kąpałem. Ponieważ miał wrażliwą skórę, żona zawsze kupowała dla niego specjalne mydło. Pamiętałem tylko zapach tego mydła.

– Kiedy twoje dziecko dorośnie, na pewno tak o tobie pomyśli: pewnego dnia zniknął jak kot, który wszedł na sosnę i już się nie pokazał.

Roześmiałem się. – No tak, było mniej więcej tak samo – powiedziałem.

Izumi zgasła papierosa w popielniczce. Westchnęła. – Może wrócimy do domu i przytulimy się w łóżku? – zaproponowała.

– Dopiero jest rano.

– A masz rano jakieś inne zajęcia?

– Nie, niespecjalnie – powiedziałem.

Kiedy obudziłem się w środku nocy, Izumi przy mnie nie było. Spojrzałem na zegarek przy łóżku. Wskazywał dwunastą trzydzieści. Po omacku znalazłem lampkę na szafce nocnej, zapaliłem i rozejrzałem się. Pokój był nienaturalnie cichy. Jakby podczas mojego snu ktoś tu wszedł i rozsypał mnóstwo proszku ciszy. W popielniczce leżały dwa zgniecione niedopałki salemów. Obok zmięta paczka papierosów. Wstałem i poszedłem do salonu. Izumi tam nie było. Nie było jej też w kuchni ani w łazience. Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na patio. Zobaczyłem tylko dwa białe plastikowe krzesła lśniące w blasku księżyca. Wspaniałego księżyca w pełni. – Izumi! – zawołałem cicho. Nie było odpowiedzi. Zawołałem ponownie, tym razem głośniej. Serce zabiło mi na donośny dźwięk mego głosu. Brzmiał jakoś obco. Był zbyt hałaśliwy, miał jakiś nienaturalny ton. Mimo to nie było odpowiedzi. Widziałem, jak na

lekkim wiatorku znad morza drżą kłosa traw. Zamknąłem drzwi, wróciłem do kuchni i chcąc się uspokoić, nalałem sobie pół szklanki wina i wypłem.

Jasne światło księżycy wpadało przez okno kuchenne i tworzyło na podłodze i ścianach dziwne kształty. Wyglądały jak symboliczna scenografia awangardowego teatru. Wtedy nagle sobie przypomniałem. Tej nocy, kiedy kot zniknął na szczycie sosny, też była taka bezchmurna pełnia księżycy. Po kolacji usiadłem sam na werandzie i wpatrywałem się w czubek sosny. Wraz z nadejściem nocy światło księżycy stawało się coraz jaśniejsze, nieomal niesamowite. Nie wiem dlaczego, nie mogłem oderwać oczu od tej sosny. Zdawało mi się, że czasami pośród gałęzi błyskają w świetle księżycy kocie oczy. Ale to mogło być jedynie złudzenie. Blask księżycy ukazuje nam niekiedy rzeczy, które nie powinny być widoczne.

Włożyłem gruby sweter i dżinsy. Wepchnąłem do kieszeni drobne ze stołu, wyszedłem. Prawdopodobnie Izumi nie mogła zasnąć i poszła sobie na nocny spacer. Wokół panowała dziwna cisza, nic się nie poruszało. Wiatr też całkowicie ustał. Słyszeć było tylko dźwięk drobnego żwiru pod gumowymi podeszwami moich tenisówek. Ten dźwięk brzmiał przesadnie wyraźnie, jak ścieżka dźwiękowa filmu. Domyślałem się, że Izumi poszła do portu. Poza tym nie było dokąd iść. Prowadziła tam tylko jedna droga, więc nie było obawy, że się minimy. Jeżeli zeszło się z drogi, człowiek od razu znajdował się na zboczu góry. W domach pogasły już wszystkie światła, blask księżycy pokrył ziemię warstwą srebra. Krajobraz zupełnie jak na dnie morza, pomyślałem. Kiedy byłem w połowie drogi do portu, wydało mi się, że do moich uszu dociera wątły dźwięk muzyki. Zatrzymałem się. Najpierw myślałem, że to złudzenie. Jakby szum w uszach wywoływany czasem zmianami ciśnienia atmosferycznego. Ale kiedy wyteżyłem słuch, nabrałem pewności, że ten dźwięk ma melodię. Wstrzymałem oddech i skupiłem się na uszach. Jakbym zatapiał serce we własnej wewnętrznej ciemności ciała. Nie ma wątpliwości, to muzyka, pomyślałem. Ktoś naprawdę gra na instrumencie. To prawdziwy, żywy dźwięk, nie dochodzi przez

głośniki ani wzmacniacze. Wprawia w drgania przezroczyste powietrze nocy i dociera do moich uszu. Jak się nazywa ten instrument? Podobny do gitary, grał na nim Anthony Quinn w *Greku Zorbie*. Buzuki. Ale kto i gdzie może o tej porze grać?

Zdawało się, że dźwięk dociera ze szczytu wzgórza, od strony osady, do której chodziliśmy codziennie, żeby utrzymać kondycję. Zatrzymałem się na skrzyżowaniu i przez chwilę rozważałem, co robić. W którą stronę powinienem iść? Pomyślałem, że na pewno Izumi tak samo usłyszała tu tę muzykę. Jeśli ją usłyszała, niewątpliwie poszła w jej stronę. W świetle księżyca było widno jak w dzień, a ta muzyka miała w sobie jakiś ton, który poruszał serce.

Zdecydowałem się i skręciłem na skrzyżowaniu w prawo. Zacząłem się wspinać łagodnym zboczem dobrze znaną drogą. Nie było tu wysokich drzew, tylko w cieniu skał rosły jakieś sięgające kolan rośliny z suchymi kolcami. Gdy tak szedłem, muzyka stawała się coraz wyraźniejsza, coraz głośniejsza. Mogłem też dokładniej uchwycić melodię. Miała w sobie jakby odświętną wesołość. Wyobraziłem sobie, że w tej osadzie na wzgórzu musi się odbywać jakieś przyjęcie. I wtedy nagle sobie przypomniałem. Słusznie, to tamto wesele. Tego dnia widzieliśmy niedaleko portu gwarny orszak ślubny. Pewnie przyjęcie ciągnie się jeszcze w środku nocy.

I wtedy nagle straciłem siebie z oczu.

Może było to wywołane blaskiem księżyca. A może muzyką o północy. Z każdym krokiem naprzód wchodziłem głębiej w ruchome piaski oznaczające głęboką stratę samego siebie, tak samo jak czułem się w samolocie lecącym nad Egiptem. Ja idący w blasku księżyca nie byłem mną. Nie byłem prawdziwym mną, tylko doraźnym, zrobionym z gipsu. Przesunąłem lekko dłońią po twarzy. Ale to nie była moja twarz. Ta dłoń nie była moją dłońią. Serce mi waliło. Z szaloną prędkością pompowało krew i rozprowadzało ją po całym ciele. Moje ciało było jedynie gipsową figurą. Ktoś za pomocą jakiegoś zaklęcia tchnął w nią na krótko życie, tak jak często robią to czarownicy na wyspach Indii Zachodnich. Nie było w niej

płomienia życia. A jedynie przypadkowe ruchy ciała wykonywane na pokaz. To w końcu tylko była jaka gipsowa figura, jakich używa się przy składaniu ofiar ze zwierząt.

Gdzie jestem teraz prawdziwy ja, myślałem. *Prawdziwy ty zostałeś już zjedzony przez koty* – dobiegł skądś głos Izumi. – *Podczas gdy sobie tak szedłeś, prawdziwy ty zostałeś pożarty przez wygłodniałe koty. Zjadły cię całego, zostały tylko kości.* Rozejrzałem się. Ale oczywiście to było złudzenie. Wokół dostrzegłem jedynie kamienistą ziemię porośniętą niskimi roślinami rzucającymi krótkie cienie. Moja głowa samowolnie wymyśliła sobie ten głos. Znów pomyślałem o wielkim rewolwerze. O jego zimnej lufie. Wyobraziłem sobie, jak wsuwam lufę do ust i naciskam cyngiel. Wyobraziłem sobie, jak rozpryskuje się mózg, kości, gałki oczne. I wyobraziłem sobie spokojną ciemność, która prawdopodobnie nadchodzi w jednej chwili.

Przestań myśleć na ponure tematy, pomyślałem. Zanurkuj na dno oceanu, chwyć się skały i wstrzymaj oddech, tak jak wtedy, kiedy próbujesz się schować przed wielką falą. Wtedy fala w końcu się cofnie. Jesteś po prostu zmęczony i nerwy ci wysiadają. Uczep się rzeczywistości. Wszystko jedno czego, uczep się czegoś rzeczywistego. Włożyłem dłoń do kieszeni, ścisnąłem w niej drobne. W jednej chwili zrobiły się wilgotne od potu.

Starąłem się myśleć o czymś innym. Pomyślałem o słonecznym mieszkaniu w Unoki. Pomyślałem o kolekcji płyt, którą tam zostawiłem. Miałem wspaniałą kolekcję płyt jazzowych. Specjalizowałem się w płytach białych pianistów jazzowych z lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych. Od Lenniego Tristano po Ala Haiga, Clauda Williamsona, Lou Levy'ego, Russa Freemana, Andre Previna – systematycznie zbierałem albumy, na których ci pianiści byli liderami. Wielu z tych płyt już nie tłoczono i zebranie ich wszystkich kosztowało mnie dużo czasu i pieniędzy. Pracowicie chodziłem po sklepach płytowych, wymieniałem się z innymi kolekcjonerami i mój zbiór się powiększał. Wielu nagrań nie dałoby się uznać za nagrania pierwszej klasy. Ale kochałem tę szczególną intymną atmosferę, jaką tworzyły stare, pachnące stęchlizną płyty. Moje skromne zdanie jest takie, że gdyby świat składał się z samych

rzeczy pierwszej klasy, byłby nijaki. Pamiętałem szczegóły okładek każdej płyty. Potrafiłem sobie dokładnie przypomnieć, jaką miały wagę, jak się czułem, trzymając je w dłoni.

Teraz wszystkie te rzeczy już zniknęły. Zaprzepaściłem je własnymi rękami. I pewnie nigdy już nie będę słuchał takich płyt.

Przypomniałem sobie zapach papierosów, kiedy całowałem Izumi. Przypomniałem sobie dotyk jej warg i języka. Zamknąłem oczy. Chciałem mieć ją przy sobie. Tak jak w tym samolocie lecącym nad Egiptem chciałem, żeby nie puszczała mojej ręki.

Kiedy ta ogromna fala w końcu się nade mną przewaliła, muzyka ucichła. Nagle się zorientowałem, że już jej nie słychać. Wokół zapanowała cisza tak głęboka, że aż bolały bębniaki w uszach. Pozbawiony wyrazu blask księżycy oblewał ziemię. Stałem sam na wzgórzu. Widziałem morze, port, pociemniałe miasteczko i księżyc. Na niebie nadal nie było ani jednej chmurki. Krajobraz w ogóle się nie zmienił. Tylko muzyka ucichła.

Czyżby nagle zakończyli przyjęcie? Nie było to wykluczone. Dochodziła już chyba pierwsza. A może tej muzyki w ogóle nigdy nie było? Tego też nie można całkowicie wykluczyć. Nie miałem już zaufania do własnego zmysłu słuchu. Zamknąłem oczy i jeszcze raz zanurzyłem w sobie świadomość. W jej ciemności zawiesiłem na próbę na cienkiej nitce ciężarek. Jednak nic nie było słychać. Nawet echa. Panowała tam jedynie cisza, której niczym nie dało się zakłócić.

Chciałem spojrzeć na zegarek, lecz nie miałem go przy sobie. Z westchnieniem włożyłem ręce do kieszeni. Nie zależało mi specjalnie, żeby się dowiedzieć, która godzina. Podniosłem wzrok na niebo. Księżyc był zimną skalną kulą, z której gwałtowne lata i miesiące zdarły skórę. Cienie na jej powierzchni wyglądały jak ogniska nowotworowe wyciągające swe złowieszcze czułki w stronę dna świadomości. Jak dziadek Sen rozsypywały na ziemię drobny piasek zemsty. Blask księżycy zniekształcał dźwięki, wywoływał zamęt w ludzkich sercach. I doprowadzał do zniknięcia kotów.

Prawdopodobnie wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane tamtej nocy, pomyślałem.

Nie potrafiłem ocenić, czy powinienem iść dalej, czy wrócić tą samą drogą. Zmęczyło mnie myślenie, więc usiadłem. Gdzie się mogła podziać Izumi? Strasznie dokuczała mi jej nieobecność. Jeżeli zniknęła, jeżeli więcej się nie pojawi, jak ja będę żył samotnie na tej nie wiadomo jakiej wyspie? Przecież tu jestem jedynie doraźny ja, któremu udawało się jakoś utrzymać przy życiu tylko dzięki obecności Izumi. Gdyby teraz zniknęła, moja świadomość nie ma już ciała, do którego mogłaby wrócić.

Pomyślałem o wygłodniałych kotach. Wyobraziłem sobie, jak zjadają mój mózg, kłusają serce, ssą krew, pożerają penis. Słyszałem, jak gdzieś daleko, siorbiąc, wysysają mój mózg. Trzy gibkie koty otaczają moją głowę jak czarownice z *Makbeta* i siorbią tę zawieszoną zupę. Ich szorstkie języczki liżą miękkie fałdy mojej świadomości, która od tego lizania drży jak rozgrzane powietrze, rzędnie.

Izumi nigdzie nie było. Muzyka też umilkła.

Prawdopodobnie już skończył się występ.



Opowieść o ubogiej krewnej

貧乏な叔母さんの話

Binbō-na obasan-no hanashi

Wszystko zaczęło się w niedzielne lipcowe popołudnie, cudownie pogodny dzień, któremu nic nie dało się zarzucić. Była to pierwsza niedziela lipca. Dwa albo trzy skupiska białych chmurek unosiły się wysoko na niebie jak starannie postawione, dobrze wykonane znaki interpunkcyjne. Niczym nieograniczone światło słoneczne oblewało świat, ile chciało. Nawet sreberko od czekoladki, zmięte i rzucone na trawnik, w tym lipcowym królestwie lśniło dumnie zupełnie jak legendarny kryształ na dnie jeziora. Przyglądając mu się, dostrzegłem, że w blasku kryje się następny blask, jak w tych pudełkach, wkładanych jedno w drugie. Ten blask wewnątrz blasku wyglądał jak niezliczone drobniutkie cząsteczki pyłku kwiatowego. Nieprzezroczystego, miękkiego pyłku. Unosił się bez celu w powietrzu, a wkrótce powoli, niespiesznie opadł, tańcząc, na ziemię.

Kiedy wracałem ze spaceru, wstąpiłem na skwer przed Galerią Obrazów Meiji. Wraz z moją towarzyszką, siedząc na murku otaczającym staw, przyglądaliśmy się bezmyślnie rzeźbom jednorożców po drugiej stronie. Dopiero co dobiegła końca długa pora deszczowa. Świeży letni wiatr leciutko poruszał liśćmi dębów, czasami tworzył drobniutkie fale na powierzchni stawu. Czas zatrzymywał się i ruszał wraz z wiatrem. W czystej wodzie było widać na dnie kilka puszek coli. Przywiodły mi na myśl ruiny zatopionego starożytnego miasta. Przed naszymi oczami przesunęły się: drużyna baseballowa w identycznych strojach, dziecko na rowerze, staruszek z psem, młody cudzoziemiec w spodenkach do joggingu. Z dużego radia tranzystorowego na trawniku dobiegała niesiona wiatrem cicha przesłodzona melodia jakiejś popularnej piosenki. Mówiła o utraconej czy nieomal utraconej miłości. Chyba gdzieś ją przedtem słyszałem, ale nie miałem pewności. Może po prostu była podobna do czegoś innego. Bezmyślnie wsłuchałem się w tę muzykę. Czułem, jak blask słońca wtapia się w moje ramiona.

Bezgłośnie, bardzo łagodnie, spokojnie. Czasami podnosiłem przed sobą ręce, wyciągałem je prosto w górę. Przyszło lato.

Nie mam pojęcia, dlaczego akurat w to niedzielne popołudnie zaabsorbowała moje myśli uboga krewna. Nigdzie w okolicy nie było ubogiej krewnej ani niczego, co by się z nią kojarzyło. Mimo to przyszła i zniknęła. Zagościła w moim sercu, choć zaledwie przez setną część sekundy. I zostawiła po sobie przedziwną pustkę w kształcie człowieka. Zupełnie jakby ktoś przeszedł za oknem i zniknął. Podbiegamy szybko do okna i wystawiamy głowę. Ale już nikogo nie ma.

Uboga krewna?

Jeszcze raz rozejrzałem się dookoła i podniosłem wzrok ku niebu. Te słowa przyszły i od razu zniknęły. Jak przezroczysty tor pocisku zostały wchłonięte w niedzielne popołudnie. Początki są zawsze takie. W jednej chwili wszystko istnieje, w następnej zostaje utracone.

– Chciałbym napisać coś o ubogiej krewnej – powiedziałem, odwracając się do swojej towarzyszki. Próbuję napisać powieść.

– O ubogiej krewnej? – odparła nieco zdziwiona. Patrzyła na mnie chwilę, jakby coś mierzyła wzrokiem. – Ale dlaczego? Dlaczego o ubogiej krewnej?

Sam nie wiedziałem przecież dlaczego. Z jakiejś przyczyny zawsze przemawiają do mnie rzeczy, o których nic *nie wiem*.

Milczeliśmy przez chwilę. Ja w tym czasie wodziłem palcami po konturach pustki w kształcie człowieka, która we mnie została.

– Możliwe, że nikt nie będzie chciał czegoś takiego przeczytać – powiedziała.

– Rzeczywiście to niezbyt kuszący temat – przyznałem.

– To dlaczego chcesz pisać o *czymś* takim?

– Nie bardzo potrafię to wyrazić. Żeby wyjaśnić, dlaczego chcę napisać historię o ubogiej krewnej, muszę ją najpierw napisać, a jak napiszę, to nie będzie już chyba powodu wyjaśniać, z jakiego powodu chcę.

Uśmiechnęła się w milczeniu, wyciągnęła z kieszeni paczkę wymiętych papierosów i zapaliła. Zawsze ma zmięte papierosy. Czasami tak, że nie dają się zapalić. Ale ten się zapalił jak trzeba.

– Nawiasem mówiąc – odezwała się – masz w rodzinie jakąś ubogą krewną?

– Nie mam.

– Ja mam jedną. Najprawdziwszą. Najprawdziwszą ubogą krewną. Kilka lat u nas mieszkała.

Spojrzałem jej w oczy. Były jak zawsze bardzo spokojne. – Ale ja nie chcę nic o niej pisać. Ani słowa nie chcę o niej napisać – powiedziała.

Z tranzystora zaczęła dobiegać inna piosenka. Podobna do poprzedniej, ale tej chyba nigdy wcześniej nie słyszałem.

– Ty nie masz ani jednej – ciągnęła. – A chcesz coś napisać o ubogiej krewnej. Ja mam prawdziwą. Ale nie chcę nic o niej pisać. Nie uważasz, że to dość dziwne?

Kiwnąłem głową. – Ciekawe dlaczego?

Pochyliła głowę lekko w bok, lecz nie odpowiedziała. Odwrócona tyłem zanurzyła w wodzie szczupłe palce. Zdawało się, że moje pytanie spływa po jej palcach i zostaje wessane w podwodne ruiny. Na pewno jeszcze ciągle lśni tam, jak wypolerowany metal, mój zatopiony znak zapytania. I pewnie zasypuje tymi samymi pytaniami puszki coli wokół siebie.

Ciekawe dlaczego? Ciekawe dlaczego? Ciekawe dlaczego?

Strząsnęła na ziemię wymięty popiół z wymiętego papierosa. – Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że mam do powiedzenia różne rzeczy o tej ubogiej krewnej. Lecz nie przychodzą mi do głowy właściwe słowa. Nie poradzę sobie z tym. To dlatego, że naprawdę znam kogoś takiego – powiedziała i lekko przygryzła wargi. – To ma pewnie znacznie głębsze korzenie, niż myślisz.

Ponownie spojrzałem na posągi jednoroźców. Oba wzniosły przednie nogi zirytowane biegiem czasu, który zostawił je gdzieś za sobą. Starannie wytarła mokre palce o brzeg koszuli i odwróciła się

do mnie przodem. – Chcesz napisać o ubogiej krewnej. Chcesz to na siebie wziąć. A mnie się wydaje, że wzięcie na siebie oznacza jednocześnie uratowanie. Ale nie wiem, czy potrafisz to teraz zrobić. Nie masz nawet prawdziwej ubogiej krewnej.

Westchnąłem głęboko.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Pewnie masz rację – odparłem.

To fakt.

Nie mam nawet prawdziwej ubogiej krewnej...

Brzmiało to zupełnie jak tekst piosenki.

2

Może ty też nie masz ubogiej krewnej? Jeśli nie, to znaczy, że mamy ze sobą coś wspólnego – fakt „nieposiadania ubogiej krewnej”. Dziwny punkt wspólny. Jakby łączyła nas spokojna poranna kałuża.

Ale widziałeś przynajmniej czyjaś na jakimś weselu. Tak samo jak na każdym regale jest jedna nieprzeczytana książka, w każdej szafie jedna prawie nienoszona koszula, na każdym weselu jest jedna uboga krewna.

Prawie nikomu nie zostaje przedstawiona, prawie nikt się do niej nie odzywa. Nikt jej nie prosi o wygłoszenie toastu. Siedzi wyprostowana przy stole jak stara butelka mleka. Cicho i niepewnie siorbie bulion, je sałatkę widelcem do ryby, fasolka spada jej z widelca, a na koniec nie ma łyżeczki do zjedzenia lodów. Jak dobrze pójdzie, przysłany przez nią prezent zostanie wepchnięty na tył szafy, a jeśli źle pójdzie, będzie w czasie przeprowadzki wyrzucony razem z jakimiś zakurzonymi nagrodami nie wiadomo za co.

Znalazła się na zdjęciach w weselnym albumie wyciąganym co pewien czas, ale jej twarz jest równie mało pocieszająca jak widok dobrze zachowanego topielca.

Kim jest ta kobieta na zdjęciu? Patrz, ta w drugim rzędzie w okularach...

A, ona. Nieważne, to tylko uboga krewna, odpowiada młody mąż. Nie ma imienia. Tylko uboga krewna. To wszystko.

Oczywiście wszystkie imiona i nazwy kiedyś znikają. Tyle da się powiedzieć.

Ale są różne sposoby znikania. Przede wszystkim imię, nazwa znika w momencie śmierci. To prosta sprawa. „Rzeka wyschła, ryby wyzdychały”, albo „Płomienie spowiły las, ptaki spłonęły”... Żałujemy, że zginęły. Po drugie, imiona znikają, jak obraz w starym telewizorze: giną, ale na ekranie przez pewien czas migają jeszcze białe światełka, aż pewnego dnia wszystko gaśnie. To też jest niezły sposób. Przypomina ślady indyjskiego słonia, który zgubił drogę, ale sposób jest niezły. I ostatni sposób to taki, że imię znika jeszcze przed śmiercią, czyli przypadek ubogich krewnych.

Ale nawet mnie samego czasami dotyka ten stan amnezji nazw czy imion w stylu ubogiej krewniej. W tłumie na lotnisku z mojej pamięci znika miejsce przeznaczenia, moje własne nazwisko i adres. Oczywiście na bardzo krótko – może pięć, sześć sekund.

I zdarza się też rzecz następująca:

– Za nic nie mogę sobie przypomnieć pana nazwiska – mówi ktoś.

– Nie szkodzi, proszę się nie przejmować. Nie warto go pamiętać.

On stuka się palcem w grdykę. – Nie, nie, mam je tu, prawie na końcu języka.

W takich chwilach mam uczucie, że zostałem pogrzebany i wystaje mi z ziemi tylko kawałek lewej nogi. Czasami ktoś się o nią potyka i przeprasza. Och, przepraszam, ale jest tuż-tuż, prawie na końcu języka...

A więc gdzie znikają stracone imiona? Prawdopodobieństwo, że przetrwają w tym przypominającym labirynt mieście, jest bardzo

małe. Niektóre zostaną rozjechane przez ciężarówki, inne zginą w rowie tylko dlatego, że nie starczy im drobnych na pociąg, jeszcze inne utoną na dnie głębokiej rzeki z kieszeniami obciążonymi dumą.

Lecz mimo to kilka z nich przetrwało, dotarło do miasteczka straconych imion i może stworzyło tam cichą wspólnotę. To naprawdę nieduże miasteczko. I przy bramie pewnie stoi taka tablica:

NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY

Nieupoważnieni, którzy wchodzą, oczywiście podlegają odpowiednim niewielkim karom.

Być może była to niewielka kara pomyślana dla mnie. Do pleców przylgnęła mi mała uboga krewna. Po raz pierwszy zorientowałem się, że ją tam mam, w połowie sierpnia. Nie przy żadnej szczególnej okazji, po prostu nagle poczułem, że mam ją na plecach.

Nie było to wcale nieprzyjemne uczucie. Niezbyt mi ciążyła, nie miała nieświeżego oddechu. Jak wybielony cień przylgnęła ciasno do moich pleców. Trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby ją zauważyć. Przez pierwsze dwa, trzy dni koty, które ze mną mieszkały, patrzyły na nią z ukosa, ale kiedy zrozumiały, że nie zamierza wkraczać na ich terytorium, szybko do niej przywykły.

Denerwowała jednak niektórych przyjaciół. Bo kiedy piliśmy, siedząc naprzeciw siebie, czasami nagle wychylała się z za moich pleców.

- Jakoś mnie denerwuje – powiedział jeden.
- Nie ma się czym przejmować – mówiłem. – Jest grzeczna i właściwie nieszkodliwa.
- Wiem, wiem. Ale i tak jakoś mnie przygnębia.
- Staraj się w miarę możliwości na nią nie patrzeć.
- No tak – westchnął. – Ale właściwie skąd ci się to wzięło na plecach?

– Nie wiem konkretnie *skąd*. Myślałem tylko ciągle o różnych rzeczach. To wszystko.

Skinął głową i westchnął. – Mam wrażenie, że cię rozumiem. Zawsze miałeś taki charakter.

– Uhm.

Bez większego entuzjazmu popijaliśmy przez godzinę whisky.

– Słuchaj, dlaczego właściwie tak cię przygnębia? – zapytałem.

– No bo zdaje mi się, że matka ciągle na mnie zerka.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego... – powiedział zakłopotany. – No bo to chyba moja matka przyczepiła ci się do pleców.

Kiedy podsumowałem odczucia kilku osób (sam nie mogłem jej zobaczyć), wychodziło na to, że mam przyczepioną do pleców nie ubogą krewną w określonej postaci, ale coś w rodzaju eteru przybierającego różne kształty w zależności od obrazu, jaki powstaje w myślach każdego patrzącego.

Dla jednego z moich przyjaciół była to suka rasy akita, która zdechła poprzedniej jesieni na raka przełyku.

– Miała piętnaście lat, była trzęsącą się staruszką. Ale i tak rak przełyku to jednak straszna sprawa. Biedaczka.

– Rak przełyku?

– Tak, miała raka w przełyku. Strasznie się męczyła. Na to jedno za nic nie chciałbym zachorować. Całymi dniami skamlała. Nawet nie mogła porządnie zaszczekać. Chciałem ją uśpić, ale matka się nie zgodziła.

– Dlaczego?

– A kto to może wiedzieć? Pewnie nie chciała mieć tego na sumieniu – powiedział z niechęcią. – W każdym razie suka żyła dwa miesiące pod kroplówką. Na podłodze w składziku. Straszliwie śmierdziała.

Umilkł na pewien czas.

– To nie był żaden wspaniały pies. Była do niczego: tchórzliwa, jak widziała człowieka, zaraz szczekała, ciągle tylko hałasowała i dostawała parchów.

Skinąłem głową.

– Może byłaby szczęśliwsza, gdyby urodziła się cykadą. Mogłaby sobie hałasować, ile dusza zapragnie, nikt by jej nie miał za złe i nie dostałaby raka przełyku.

Ale była psem i z plastikową rurką wystającą z pyska, siedziała mi na plecach.

Dla pewnego agenta handlu nieruchomościami była jego dawną nauczycielką z podstawówki.

– To chyba był rok pięćdziesiąty, wtedy zaczęła się wojna w Korei – powiedział, ocierając pot z twarzy grubym ręcznikiem. – Dwa lata uczyła naszą klasę. Chyba się za nią stęskniłem. A właściwie czy stęskniłem? Szczerze mówiąc, prawie o niej zapomniałem.

Najwyraźniej uważał, że jestem jakoś spokrewniony z tą nauczycielką, czy coś w tym rodzaju, bo zaproponował mi zimną herbatę z jęczmienia.

– Jak się zastanowić, to żal jej człowiekowi. W tym samym roku, w którym wyszła za mąż, jej męża wzięli do wojska, był na statku transportowym i po drodze bum! To się zdarzyło chyba w czterdziestym trzecim. Ona dalej uczyła w szkole, ale podobno rok później została poparzona w bombardowaniu. Od lewego policzka do ramienia. – Narysował palcem długą linię od lewego policzka do ramienia i napił się herbaty z jęczmienia, znów otarł pot ręcznikiem. – Podobno przedtem była ładna, biedaczka... Mówili, że nawet charakter jej się zmienił. Jeśli jeszcze żyje, ma już prawie sześćdziesiątkę. To był pięćdziesiąty rok...

I tak nabiera kształtu plan miasta, rozkład miejsc przy weselnym stole. Wokół moich pleców rozszerza się krąg ubogich krewnych.

Jednocześnie jeden po drugim, jak zęby wyłamujące się z grzebienia, wykruszają się przyjaciele.

– Facet jest w porządku – mówili. – Ale nie mam ochoty przy każdym spotkaniu patrzeć na swoją denerwującą matkę (albo psa, który zdechł na raka przełyku, nauczycielkę ze śladami poparzeń).

Miałem wrażenie, jakbym zmienił się w fotel dentystyczny. Nikt nie ma do mnie pretensji i nikt mnie nie nienawidzi, ale mimo to wszyscy mnie unikają i jeżeli gdzieś na mnie trafią, znikają od razu pod jakimś wiarygodnym pretekstem. Jakoś niezręcznie się przy tobie czuję, powiedziała z trudem, ale szczerze, pewna dziewczyna. Gdybyś miał na plecach na przykład stojak na parasole, jeszcze dałoby się wytrzymać...

Stojak na parasole.

Trudno, myślę. Nigdy nie byłem szczególnie towarzyski. A poza tym nie mam ochoty żyć ze stojakiem na parasole na plecach.

I tak przyjaciele mnie unikali, ale za to nie mogłem się opędzić od dziennikarzy. W większości z tygodników. Co drugi dzień przychodzili, fotografowali mnie z ubogą krewną, wściekali się, że nie wychodzi na zdjęciach, zasypywali mnie bezsensownymi pytaniami i odchodzili. Miałem nadzieję, że rezultatem tych artykułów w czasopismach będą jakieś odkrycia czy postęp w kwestii ubogiej krewniej. Lecz nie było ani odkryć, ani postępu. Czułem się tylko coraz bardziej zmęczony.

Wystąpiłem nawet w porannym programie telewizyjnym. Wyrwali mnie ze snu przed szóstą rano, zawieźli samochodem do studia, napoili jakąś podejrzaną kawą. Wokół mnie jacyś dziwni ludzie robili jakieś dziwne rzeczy. Miałem ochotę wstać, otworzyć drzwi i wyjść ze studia. Ale kiedy próbowałem zebrać się na odwagę, przyszła moja kolej. Prowadzący program, kiedy nie pokazywała go kamera, był strasznie niezadowolony, arogancki i powierzchowny. Przy każdej okazji dawał się we znaki otoczeniu. Znieubiłem go od pierwszego wejrzenia. Przeobraził się, gdy tylko

zamrugła czerwona lampka kamery. Był teraz inteligentnym, sympatycznym facetem w średnim wieku, całym w uśmiechach.

– A teraz nasz kącik „Dziwny jest ten świat” – powiedział, zwracając się do kamery. – Pan, który jest tu dziś z nami, pewnego dnia nagle zaczął nosić na plecach ubogą krewną. W końcu nie ma zbyt wielu ludzi z ubogą krewną na plecach. Dziś chcielibyśmy go prosić, by opowiedział nam, jak do tego doszło, i o trudnościach, jakich to nastrecza – ciągnął. Następnie zwrócił się do mnie. – Jak to jest, proszę pana? Czy to dla pana niewygodne?

– Nie jest szczególnie niewygodne – odparłem. – Nie jest ciężka, nie je ani nie pije.

– A nie sztywnieje panu od tego kark?

– Nie sztywnieje.

– Kiedy się do pana przyczepiła?

Postarałem się krótko opowiedzieć o skwerze z rzeźbami jednorozców, lecz zdawało się, że prowadzący nie bardzo pojmuje, o co mi chodzi.

– To znaczy – odchrząknął – siedział pan nad stawem, w tym stawie ukrywała się uboga krewna i ona pana opętała.

– Nie – powiedziałem i pokręciłem głową. O rany, pomyślałem. Jednak nie powinienem był tu przychodzić. Wszyscy chcą tylko nieprzyzwoitych dowcipów albo jakichś nie najlepszych makabrycznych historii. – Uboga krewna nie jest duchem. Nie ukrywa się i nikogo nie opętuje. Jest tylko słowami – wyjaśniłem, mając już tego dość. – To tylko słowa.

Wszyscy milczeli.

– Słowami, czyli jakby elektrodą połączoną ze świadomością – ciągnąłem. Jeżeli za jej pośrednictwem wysyła się ciągle takie same bodźce, na pewno wywołają jakąś reakcję. Oczywiście w zależności od osoby ta reakcja może być całkowicie różna, lecz w moim wypadku jest to jakby niezależne poczucie bytu. Zupełnie jakby w ustach coraz bardziej puchł nam język. Czyli do pleców przywarły

mi słowa „uboga krewna”. Nie mają ani znaczenia, ani kształtu. Jeśli musiałbym je jakoś nazwać, powiedziałbym, że to znak pojęciowy.

Prowadzący wyglądał na zakłopotanego. – Mówi pan, że nie ma znaczenia ani kształtu, lecz my w rzeczywistości widzimy coś na pana plecach. To w każdym z nas rodzi inne znaczenie?

Wzruszyłem ramionami. – Znak to chyba właśnie coś takiego.

– W takim razie – odezwała się z boku młoda asystentka, chcąc przerwać tę rozmowę prowadzącą donikąd – gdyby pan chciał się jej pozbyć, czy mógłby pan z własnej woli łatwo pozbyć się tego obrazu czy bytu?

– Nie, to niemożliwe. Coś, co już powstało, istnieje dalej niezależnie od mojej woli. Tak samo jak wspomnienia. Na przykład są wspomnienia, których nie możemy zapomnieć, choć tego chcemy. Z tym jest tak samo.

Młoda asystentka pytała dalej, jakby nie była przekonana:

– To na przykład czy i ja mogłabym przeprowadzić tę operację, o której pan mówił, tę zamianę słów na pojęciowy znak?

– Nie wiem, czyby się pani udało, ale przynajmniej teoretycznie jest to możliwe – odpowiedziałem.

– A założmy, że ja – wtrącił się prowadzący – codziennie wiele razy powtarzałbym słowo „pojęciowy”. Czy kiedyś na moich plecach pojawiłaby się pojęciowość?

– Prawdopodobnie teoretycznie jest to możliwe – powtórzyłem automatycznie.

– Czyli odbyłaby się „pojęciowa zamiana w znak” słowa „pojęciowy”?

– Tak jest.

Od silnych świateł w studiu i nieprzyjemnie dusznego powietrza zaczęła mnie boleć głowa. Wysokie głosy mówiących wzmagaly ten ból.

– Nawiasem mówiąc, ciekawe jak wyglądałaby „pojęciowość”? – zapytał prowadzący. Kilkoro gości się roześmiało.

Powiedziałem, że nie wiem. Nie miałem nawet ochoty się nad tym zastanawiać. Wystarczała mi jedna uboga krewna na utrzymaniu. Przede wszystkim dla nich nie był to żaden palący problem. Muszą tylko o czymś mówić, żeby wypełnić czas do następnej reklamy.

Oczywiście cały świat jest farsą. Nikomu się nie uda przed tym uciec. Wszystko ma te same korzenie, od oświetlonego silnymi lampami studia telewizyjnego do ciemnej pustelni w głębi lasu. Żyłem w takim świecie z ubogą krewną na plecach. Oczywiście w tym świecie farsy ja też jestem doskonałym błaznem. Przecież mam na plecach ubogą krewną. Może rzeczywiście, tak jak mówiła ta dziewczyna, powinienem nosić na plecach stojak na parasole? Może wtedy ludzie chcieliby się ze mną zadawać. Co tydzień przemalowywałbym ten stojak na inny kolor i chodził na wszystkie imprezy.

– Hej, w tym tygodniu stojak jest różowy – mówiłby ktoś.

– Uhm – odpowiadałbym. – W przyszłym będzie ciemna zieleń.

Być może są na świecie dziewczyny, które będą zainteresowane wskoczeniem do łóżka facetowi mającemu na plecach różowy stojak na parasole.

Lecz niestety miałem na plecach nie stojak, a ubogą krewną. Z czasem świat tracił zainteresowanie mną i ubogą krewną na moich plecach. W sumie (jak powiedziała moja towarzyszka) nikogo nie interesują ubogie krewnie. Kiedy wyczerpała się początkowa fascynacja niezwykłością, pozostała tylko cisza morskiego dna. Była tak głęboka, jakbym stał się z ubogą krewną jednym ciałem.

3

– Widziałam cię w programie telewizyjnym – powiedziała moja towarzyszka.

Tak jak przedtem siedzieliśmy na murku nad stawem. Widziałem się z nią po raz pierwszy od trzech miesięcy. Zanim się obejrzałem, był początek jesieni. Czas leci. Pierwszy raz tak długo się z nią nie widziałem.

- Wyglądałeś na trochę zmęczonego.
- Byłem *bardzo* zmęczony – powiedziałem.
- Wydawałeś się niepodobny do siebie.

Skinąłem głową. Rzeczywiście byłem niepodobny do siebie.

Składała i rozkładała na kolanach bluzę od dresu. Składała i rozkładała, rozkładała i składała. Zupełnie jakby zawracała i popędzała czas.

– Wygląda na to, że w końcu udało ci się jakoś zdobyć swoją własną ubogą krewną – powiedziała.

- Jakoś się udało.
- No i jak? Jak się z tym czujesz?
- Czuję się jak arbuz, który spadł na dno studni.

Roześmiała się, głaszcząc starannie złożoną na kolanach miękką bluzę, jakby to był kot.

– Dowiedziałeś się o niej czegoś?

– Myślę, że trochę się dowiedziałem. A przynajmniej trochę zacząłem rozumieć.

– I udało ci się co nieco napisać?

– Nie – powiedziałem i lekko potrząsnąłem głową. – Wcale nie mogę pisać. Nie nabieram ochoty do pisania. Może przez długi czas nie będę mógł pisać.

– Straciłeś odwagę.

– To ty kiedyś powiedziałaś, że jeśli nie uda mi się nic uratować, nie ma sensu, żebym pisał o ubogiej krewnej.

Zagryzła wargi i milczała przez chwilę.

– Słuchaj, zapytaj mnie o coś. Może ci się do czegoś przydam.

– Jako autorytet na temat ubogich krewnych?

– Uhm. No, pytaj. Może już nigdy więcej nie będę miała ochoty mówić o ubogich krewnych.

– Czasami się zastanawiam, jakie osoby właściwie zostają ubogimi krewnymi – powiedziałem. – Czy człowiek rodzi się ubogą krewną, czy też jakaś sytuacja w stylu ubogiej krewniej czyha na człowieka na ulicy i jak jakiś owad z otwartą paszczą połyka przechodzących i zmienia ich w ubogie krewnie?

Pokiwała głową. Jakby mówiła, że to dobre pytanie.

– Myślę, że to pewnie na to samo wychodzi – odpowiedziała.

– Na to samo wychodzi?

– Uhm. To znaczy, być może uboga krewna miała dzieciństwo i dorastanie w stylu ubogiej krewniej. A może nie. Ale to nie ma znaczenia. Na świecie są miliony skutków wywołane przez miliony przyczyn. Miliony przyczyn, żeby żyć, miliony przyczyn, żeby umrzeć, miliony przyczyn, żeby znaleźć przyczynę. Można łatwo znaleźć górę takich przyczyn, wykręcając jeden numer telefoniczny. Ale ty nie tego szukasz, prawda?

– Masz rację – powiedziałem. – Chodzi mi o coś innego.

– Ona istnieje, to wszystko. Musisz to przyznać i zaakceptować. Powody, przyczyny, takie rzeczy nie mają znaczenia. Uboga krewna po prostu istnieje. Jej istnienie jest jej przyczyną. Tak samo jak my istniejemy sobie bez specjalnych przyczyn czy powodów.

Długo siedzieliśmy nieruchomo i w milczeniu na murku nad stawem. Przezroczyste światło jesieni tworzyło na jej twarzy niewielkie cienie.

– Słuchaj, zapytaj mnie, co widzę na twoich plecach, dobrze? – poprosiła.

– Co widzisz na moich plecach?

– Nic nie widzę – uśmiechnęła się. – Widzę tylko ciebie.

– Dziękuję.

Oczywiście czas nikogo nie oszczędza, każdemu daje cięgi. Zupełnie jak ten woźnica, który chłostał na drodze starego konia, aż go zabił. Ale to straszliwie cicha chłosta i mało kto się orientuje, że jest bity. W ubogiej krewnej możemy dostrzec tę tyranie czasu jak przez szybę akwarium. W ciasnej szklanej klatce akwarium czas wyciskał ubogą krewną jak pomarańczę. Nie została już ani kropla soku.

Mnie pociąga w niej właśnie ta wewnętrzna perfekcja.

Naprawdę nie została już ani kropla soku!

Tak, perfekcja spoczęła na istocie bytu ubogiej krewnej jak bryła lodu, która uwięziła zwłoki. Wspaniała góra lodowa, jakby wykonana ze stali nierdzewnej. Prawdopodobnie tylko dziesięć tysięcy lat nasłonecznienia mogłoby ją stopić. Ale oczywiście uboga krewna nie będzie żyła dziesięć tysięcy lat. Dlatego będzie musiała żyć z tą perfekcją, umrzeć z nią i z nią zostać pogrzebana.

Perfekcja i uboga krewna pod ziemią.

Być może w ciągu tych dziesięciu tysięcy lat w ciemności stopnieje lodowiec, a perfekcja wynurzy się spod niego, jakby wyważyła wrota grobowca. Na pewno powierzchnia ziemi całkowicie się zmieni. Ale jeżeli założyć, że będzie jeszcze istniał rytuał wesel, perfekcja pozostała po ubogiej krewnej zostanie zaproszona na wesele, z nienagannymi manierami zje wszystkie dania, wstanie i być może złoży nowożeńcom bardzo serdeczne życzenia.

Ale dajmy spokój tym rozmyślaniom. W końcu będzie się to działo dopiero w 11980 roku.

4

Uboga krewna opuściła moje plecy pod koniec jesieni.

Przypomniałem sobie sprawę, którą musiałem załatwić przed nadejściem zimy, i wraz z ubogą krewną wsiadłem do

podmiejskiego pociągu. Po południu było w nim zaledwie kilka osób. Dawno nie byłem na wycieczce za miastem, więc nie nużyło mnie patrzenie przez okno na mijane krajobrazy. Powietrze było tak przezroczyście, że góry wydawały się nienaturalnie niebieskie, a na drzewach przy torach jaśniały tu i tam czerwone owoce.

W drodze powrotnej naprzeciwko mnie usiadła trzydziestoparoletnia szczupła kobieta, matka z dwojgiem dzieci. Starsza dziewczynka siedząca po jej lewej stronie miała na sobie granatową sukienkę z samodziału – chyba mundurek jakiegoś przedszkola – i nowiuteńki szary filcowy kapelusik z czerwoną wstążeczką. Był to sympatyczny okrągły kapelusik z wąskim rondkiem. Po prawej stronie siedział może trzyletni chłopiec. Nie było w nich nic charakterystycznego, co przyciągałoby uwagę. Ich rysy, ich ubrania były zupełnie zwyczajne. Matka miała dużą torbę i wyglądała na zmęczoną. Ale większość matek ma zmęczone twarze. Dlatego prawie nie zwróciłem na nich uwagi. Tylko raz zerknąłem, kiedy wsiedli do pociągu i usiedli naprzeciwko mnie po drugiej stronie przejścia. Potem cały czas z opuszczoną głową czytałem książkę.

Wkrótce zaczął do mnie docierać stłumiony głos dziewczynki. Czulo się w nim rosnącą irytację, jakby czegoś się domagała.

– Cicho bądź! Mówiłam ci, że w pociągu masz się zachowywać cicho – usłyszałem słowa matki. Miała torbę na kolanach i w skupieniu czytała czasopismo.

– Ale mamusiu, mój kapelusik.... – powiedziała dziewczynka.

– Cicho bądź – odparła ostro kobieta.

Dziewczynka chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się i niezadowolona milczała. Siedzący obok matki chłopiec miętosił w dłoniach kapelusik, który jeszcze przed chwilą był na główce siostry. Dziewczynka wyciągnęła rękę i próbowała mu go odebrać. Ale chłopiec odsuwał się i za nic nie chciał oddać.

– Zepsuje mi kapelusik – powiedziała dziewczynka jakby miała się rozpłakać.

Matka zniecierpliwiona zerknęła na chłopca, bez przekonania wyciągnęła rękę i próbowała mu zabrać kapelusik, lecz chłopiec z uporem ścisnął go mocno w dłoniach i nie chciał wypuścić. Matka od razu się poddała. Powiedziała córeczce coś w rodzaju: „Daj mi się pobawić i tak zaraz się znudzi”. Dziewczynka nie wyglądała na przekonaną słowami matki, lecz zamilkła. Wiedziała, że jeśli odpowie, matka tylko ją skarci. Zaciśnęła usta i wlepiła wzrok w kapelusik w dłoniach brata. Matka wciąż czytała czasopismo. Po chwili chłopiec zaczął ciągnąć czerwoną kokardkę. Zdawało się, że brak zainteresowania matki dodał mu odwagi. Wiedział, że siostrę denerwuje ruszanie wstążeczki. Wiedział i dlatego specjalnie za nią ciągnął. Było to naprawdę złośliwe. Nawet ja się trochę zezłościłem. Miałem ochotę wstać i wyrwać mu ten kapelusik.

Dziewczynka w milczeniu patrzyła na brata. Zdawało się, że nad czymś rozmyśla. Szybko wstała, wymierzyła mu policzek, wykorzystując jego zaskoczenie, zabrała kapelusik i wróciła na swoje miejsce. Zrobiła to błyskawicznie. Wszystko dokonało się w jednej chwili i matka z bratem dopiero po chwili zdali sobie sprawę, co się stało. Brat nagle głośno się rozplakał, jednocześnie matka mocno uderzyła dziewczynkę po gołych kolankach. Potem odwróciła się do chłopca, pogłaskała go po policzku i próbowała uspokoić, lecz on nie przestawał płakać.

– Ale mamusiu, przecież mój kapelusik... – powiedziała dziewczynka.

– Nie chcę mieć dziecka, które wywołuje awantury w pociągu.

Dziewczynka przygryzła wargi, opuściła głowę i wpatrywała się w swój kapelusik.

– Idź tam – matka wskazała puste siedzenie obok mnie. Odwracając wzrok, dziewczynka próbowała ignorować wyciągnięty palec matki, lecz on jakby zamarzył w powietrzu i nieustępliwie wskazywał siedzenie po mojej lewej stronie. – No idź! Już nie jesteś moim dzieckiem.

Dziewczynka wstała zrezygnowana z kapelusikiem i tornistrem w ręku, powoli przeszła na drugą stronę wagonu, usiadła obok mnie i

opuściła głowę. Głaskała rondko kapelusika, który położyła na kolanach. Ale przecież to jego wina, myślała sobie. Przecież chciał oderwać wstążeczkę od mojego kapelusika. Widziałem, jak po policzku spływają jej łzy.

Był już prawie wieczór. W wagonie tańczyły drobinki ciemnego żółtego światła, które wyglądały jak pyłek ze skrzydełek smutnej ćmy. Unosiły się w przestrzeni, ludzie bezszelestnie wciągali je nosami i ustami. Zamknąłem książkę, położyłem dłonie na kolanach i długo się im przyglądałem. Właściwie bardzo dawno tak dokładnie nie przyglądałem się wnętrzu własnych dłoni. W tym przymglonym świetle były nieprzyjemnie ciemne i brudne. Wydawały się obce. Napęliło mnie to smutkiem. Wcale nie wyglądały na ręce, które mogłyby kogoś w przyszłości uszczęśliwić. Nie wyglądały też, jakby mogły kogoś uratować. Miałem ochotę położyć rękę na ramieniu tej łkającej obok dziewczynki i pocieszyć ją. Nie zrobiłaś nic złego, naprawdę sprytnie mu ten kapelusik zabrałaś, chciałem jej powiedzieć. Ale oczywiście nie dotknąłem jej i nic nie powiedziałem. Gdybym to zrobił, byłaby jeszcze bardziej skołowana i przestraszona. A przede wszystkim moja ręka wydawała się taka czarna, taka brudna.

Wysiadłem z pociągu, na dworze wiał już zimowy wiatr. Kończyła się pora swetrów, do miasta zbliżał się czas grubych płaszczy. Rozmyślałem przez chwilę nad zimowymi płaszciami. O tym, czy powinienem sobie kupić nowy. Potem zszedłem po schodach, minąłem bramkę i wtedy nagle się zorientowałem, że uboga krewna zniknęła z moich pleców.

Nie wiedziałem, kiedy się to stało. Zniknęła tak samo niezauważalnie, jak się pojawiła. Wróciła do jakiegoś pierwotnego miejsca, w którym dawniej istniała – nie wiem jakiego – a ja wróciłem do dawnego samego siebie.

Lecz nie byłem pewien, kim był ów dawny ja. Czułem, jakby to był ktoś inny, tylko podobny do dawnego mnie. Nie wiedziałem, co dalej począć. Byłem zupełnie samotny jak drogowskaz z wyblakłymi literami pośrodku pustyni. Nie potrafiłem ustalić kierunku. Przeszukałem kieszenie, wyjąłem wszystkie drobne, podszedłem do

telefonu, wrzuciłem do niego monety i wykręciłem jej numer. Telefon zadzwonił osiem razy, odebrała przy dziewiątym dzwonku.

– Spałam – powiedziała niewyraźnym głosem.

– O szóstej po południu? – zapytałem zdziwiony.

– Od wczorajszego wieczora byłam zawałona pracą i w końcu się z tym uporałam dwie godziny temu.

– Przepraszam, że cię obudziłem. Może to trochę dziwnie zabrzmie, ale prawdę mówiąc, chciałem sprawdzić, czy naprawdę żyjesz.

Czułem, jak się cicho uśmiecha po drugiej stronie.

– Dziękuję, że zadałeś sobie trud, żeby specjalnie mnie o to zapytać – powiedziała. – W porządku, żyję. Żeby się utrzymać przy życiu, wkładam wszystkie siły w pracę i przez to jestem strasznie śpiąca. Dobrze? Uspokoił się?

– Uspokoilem.

– Słuchaj – powiedziała, jakby mi się z czegoś zwierzała. – Życie jest ciężkie.

– Słusznie – odparłem. Rzeczywiście miała rację. Życie jest ciężkie. – Może byśmy coś razem zjedli, jeśli masz ochotę?

– Przepraszam cię, ale nie mam ochoty na jedzenie. Teraz chcę tylko zasnąć i o niczym nie myśleć. Nic więcej.

– Ja też nie jestem właściwie głodny. Tylko chciałem z tobą porozmawiać. Bo mam ci różne rzeczy do powiedzenia.

Milczała przez chwilę po drugiej stronie. Przygryzła wargi i przytknęła mały palec do brwi. Mogłem to wyczuć.

– Później – powiedziała, wyraźnie wymawiając słowa. – Teraz daj mi się przespać. Wystarczy mi tylko trochę. Myślę, że jeśli się prześpię, jak wstanę, wszystko będzie dobrze. Kiedy się obudzę, zadzwonię do ciebie. Dobrze?

– Dobrze. Dobranoc.

– Dobranoc.

Przez chwilę się zawahała. – Słuchaj, to coś pilnego?

– Nic pilnego. Nie, nic pilnego. Może być później.

Tak, czasu miałem mnóstwo. Dziesięć, dwadzieścia tysięcy lat. Mogę czekać w nieskończoność.

Jeszcze raz powiedziała: „Dobranoc” i się rozłączyła. Przez pewien czas wpatrywałem się w żółtą słuchawkę w swojej dłoni, a potem cicho ją odwiesiłem. Po tej rozmowie, nagle poczułem straszny głód. Byłem tak głodny, że mało nie zwariowałem. Chciałem coś zjeść, obojętne co. Wszystko mi jedno co, żeby tylko coś włożyć do ust. Jeśli mi coś dadzą, będę się czołgał po ziemi, wyliżę im nawet palce do czysta.

Dobrze, wyliżę wam palce. A potem usnę jak zniszczony na deszczu i słońcu podkład kolejowy. Nie wstanę, nawet jeśli ktoś mnie kopnie. Będę smacznie spał dziesięć tysięcy lat.

Oparłem się o telefon, opróżniłem głowę z myśli i zamknąłem oczy. Kroki kilkudziesięciu tysięcy ludzi obmywały mnie jak fale. Ludzie szli w nieskończoność. Szur, szur, szur, szur, stawiali kroki. Dokąd wróciła uboga krewna, zastanawiałem się. I dokąd ja wróciłem?

Gdyby – myślę – gdyby za dziesięć tysięcy lat powstało społeczeństwo składające się wyłącznie z ubogich krewnych, czy otworzyłyby dla mnie bramy miasta? Byłby tam rząd ubogich krewnych wybrany przez ubogie krewnie, urząd miejski, pociągi dla ubogich krewnych prowadzone przez ubogie krewnie, istniałyby powieści napisane przez ubogie krewnie dla ubogich krewnych.

Nie, takie rzeczy wcale nie byłyby im potrzebne. Ani rząd, ani pociągi, ani powieści.

Raczej zrobiłyby gigantyczne butelki jak na ocet, bo wołałyby żyć cicho i spokojnie w ich wnętrzu. Z lotu ptaka jak okiem sięgnąć wszędzie ciągnęłyby się rzędy dziesiątek, setek, tysięcy butelek. Zapewne byłyby to piękny, zapierający dech w piersiach widok.

I gdyby na tym świecie było miejsce na jeden wiersz, ja mógłbym go napisać. I stałbym się pierwszym uhonorowanym piewcą świata ubogich krewnych.

Nieźle, pomyślałem.

Opiewałbym słońce odbijające się w zielonym szkle butelek, opiewałbym morze traw lśniące w porannej rosie i rozciągające się u stóp.

Ale w końcu mówimy o tym, co będzie w 11980 roku. Dziesięć tysięcy lat to za długi czas na czekanie. Muszę do tej pory przeżyć wiele zim.



Wymioty 1979

嘔吐 1979

Ōto 1979

Należał do niewielkiej grupy osób obdarzonych rzadką umiejętnością systematycznego prowadzenia dziennika przez długie okresy, toteż potrafił dokładnie podać daty rozpoczęcia i zakończenia napadów mdłości. Zaczęły się 4 czerwca 1979 roku (dzień pogodny), a zakończyły 14 lipca tego samego roku (zachmurzenie). Był młodym ilustratorem i tylko raz kiedyś pracował ze mną dla jakiegoś czasopisma.

Tak samo jak ja kolekcjonował stare płyty, poza tym lubił sypiać z dziewczynami i żonami kolegów. Był o jakieś dwa, trzy lata młodszy ode mnie. Naprawdę przespał się z dziewczynami i żonami wielu kolegów. Zdarzyło się nawet, że odwiedzał kolegę i kiedy ten wychodził po piwo do pobliskiego monopolowego albo brał prysznic, on zdążał odbyć stosunek z jego żoną. Często mi opowiadał o takich rzeczach.

– Seks uprawiany w pośpiechu jest całkiem niezły – powiedział. – Robi się to praktycznie w ubraniu, żeby jak najszybciej było po wszystkim. Ogólnie panuje teraz tendencja, żeby seks przedłużać, prawda? Dlatego czasami robię coś całkiem przeciwnego. Bardzo przyjemnie jest tak zmienić punkt widzenia.

Oczywiście nie oddawał się wyłącznie takiemu wyczynowemu seksowi, bywało, że bez pośpiechu, powoli napawał się przyjemnością. W każdym razie lubił sam fakt sypiania z dziewczynami i żonami kolegów.

– Nie mam żadnych skrzywionych idei w rodzaju „przyprawiania kolegom rogów”, ale kiedy śpię z ich kobietami, czuję się im strasznie bliski. Wpadam w taki rodzinny nastrój. Przecież to tylko seks. Jak się nie wyda, nikogo nie zrani.

– A do tej pory nigdy się nie wydało?

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział nieco urażony. – Tego rodzaju rzeczy raczej nie zostają wykryte, chyba że człowiek ma jakieś podświadome pragnienie, żeby tak się stało. Trzeba tylko

uważać, nie mówić i nie robić rzeczy, które mogą komuś taki pomysł podsunąć. A poza tym ważne jest, żeby na samym początku wyraźnie określić podstawowe założenia. To znaczy, że jest to tylko rodzaj przyjemnej gry, nikt nie ma zamiaru się angażować i nikt nikogo nie chce zranić. Oczywiście rozumie się samo przez się, że tłumaczysz im wszystko, specjalnie dobierając słowa, i nie robisz tego wprost.

Nie mogłem uwierzyć, że to funkcjonowało tak dobrze, jak on opisywał, ale nie wyglądał też na człowieka, który by się uciekał do przechwałek, więc możliwe, że było tak, jak mówił.

– W sumie większość z nich tego chce. Wielu mężów czy chłopaków, czyli moi koledzy, to dużo wspanialszy faceci ode mnie. Przystojniejsi ode mnie, mądrzejsi ode mnie, może mają też większe od mojego penisy. Ale tym kobietom to nie robi różnicy. Wystarczy im, że partner jest stosunkowo normalny, życzliwy i że go znają. Pragną, żeby komuś na nich zależało, ale nie w statycznych ramach układu chłopak–dziewczyna czy mąż–żona. To jest podstawowa zasada. Oczywiście, powierzchownie rzecz ujmując, mają różne motywy.

– Na przykład?

– Na przykład chcą się zemścić za zdradę męża albo zabić nudę, albo po prostu czerpią satysfakcję z tego, że zainteresował się nimi inny mężczyzna. Tego typu motywy. Zwykle potrafię to poznać po ich twarzach. To nie jest żadna przyswojona technika, ale wrodzona umiejętność. Albo się ją ma, albo nie.

Nie miał stałej dziewczyny.

Jak wcześniej wspomniałem, obaj kolekcjonowaliśmy płyty i czasami się spotykaliśmy, żeby się nimi wymieniać. Obaj zbieraliśmy płyty jazzowe z lat pięćdziesiątych i pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, ale sfery naszych zainteresowań nieco się różniły, więc zawsze było coś do wymiany. Ja się koncentrowałem na białych muzykach z Zachodniego Wybrzeża, a on zbierał późniejsze nagrania takich muzyków jak Coleman Hawkins czy Lionel Hampton. Dlatego kiedy on miał *Pete Jolly Trio* firmy Victor,

a ja *Mainstream* Vica Dickensona, chętnie uznawaliśmy, że wymiana będzie sprawiedliwa. Popijając piwo, przez cały dzień słuchaliśmy różnych wykonania, sprawdzaliśmy stan płyt i ubijaliśmy kilka interesów.

O mdłościach opowiedział mi właśnie na takim spotkaniu, kiedy wymienialiśmy się płytami. Popijając w jego mieszkaniu whisky, rozmawialiśmy o muzyce, potem o alkoholach, a z alkoholu przeszliśmy na pijaństwo.

– Dawno temu przez czterdzieści dni z rzędu miałem mdłości. Dzień w dzień. Bez wyjątku. Ale nie chodziło o to, że wymiotowałem po wypiciu alkoholu. Nie byłem też chory. Po prostu wymiotowałem bez żadnego powodu. To ciągnęło się aż przez czterdzieści dni. Czterdzieści dni! To nie byle co.

Po raz pierwszy zwymiotował czwartego czerwca, ale o te mdłości nie mógł mieć pretensji, ponieważ poprzedniego wieczoru wlał do żołądka pokaźne ilości whisky i piwa. Poza tym jak zwykle przespał się z żoną kolegi. Było to wieczorem trzeciego czerwca.

Dlatego choć o ósmej rano czwartego zwymiotował całą treść żołądka, na zdrowy rozsądek nie było w tym wydarzeniu nic dziwnego. Po raz pierwszy od skończenia studiów wymiotował po alkoholu, ale to samo w sobie nie było zaskakujące. Pociągnął za rączkę, spuścił wodę po obrzydliwych wymiocinach, usiadł przy biurku i zabrał się do pracy. Czuł się nie najgorzej. Ten dzień należał raczej do przyjemnych, radosnych, praca nie najgorzej mu szła i przed dwunastą poczuł normalny głód.

Na drugie śniadanie zrobił sobie kanapkę z szynką i ogórkiem, do tego wypił puszkę piwa. Po trzydziestu minutach powtórnie zebrało mu się na wymioty. Zwrócił zjedzoną kanapkę. Na wodzie unosił się przezuty chleb i szynka. Mimo to nie czuł się źle. Nie miał mdłości. Tylko wymiotował. Miał wrażenie, że coś mu utkwilo w gardle i wystarczało się pochylić na próbę nad miską klozetową, a cała zawartość żołądka gładko wydobywała się na zewnątrz, jakby

czarodziej wyjmował z kapelusza gołębia, królika czy flagi różnych krajów. To wszystko.

– Na studiach piłem na umór, więc często wymiotowałem. Czasami miewałem też chorobę lokomocyjną. Ale te wymioty były zupełnie inne. Nie miałem tego charakterystycznego uczucia, że żołądek mi się skręca. On tylko bez większego zainteresowania wypychał wszystko do góry. Prawie bez żadnego oporu. Nie było tego nieprzyjemnego uczucia ani mdłącego zapachu. Poczułem się przez to bardzo dziwnie. Bo to był już drugi raz. Ponieważ mnie to zmartwiło, postanowiłem przez pewien czas nie brać do ust alkoholu.

Następnego ranka znów zwymiotowałem, po raz trzeci. Zwrócił resztki węgorka zjedzonego poprzedniego wieczora i prawie wcale niestrawioną bułkę z marmoladą ze śniadania.

Kiedy później myłem w łazience zęby, zadzwonił telefon. Odebrałem, w słuchawce rozległ się męski głos. Powiedział jego nazwisko, a potem nagle rozmowa została przerwana. To wszystko.

– Może to był złośliwy telefon od męża albo chłopaka kobiety, z którą się przespałeś? – zapytałem.

– Niemożliwe – odparł. – Znam głosy ich wszystkich. Tego głosu na pewno nigdy wcześniej nie słyszałem. Ale zrobił na mnie nieprzyjemne wrażenie. Potem miałem takie telefony codziennie. Od piątego czerwca do czternastego lipca. No i co? Prawie dokładnie pokrywa się to z okresem moich wymiotów, prawda?

– Ale nie mam pojęcia, jak te złośliwe telefony mogą się łączyć z mdłościami.

– Ja też nie mam pojęcia. Dlatego ciągle jeszcze nie daje mi to spokoju. W każdym razie były zawsze takie same. Dzwonił telefon, ktoś mówił moje nazwisko i potem nagle odkładał słuchawkę. Codziennie miałem taki jeden. O różnych porach dnia. Zdarzało się, że rano, zdarzało się, że późnym popołudniem, a bywało też, że w środku nocy. Pewnie nie trzeba było odbierać, ale charakter pracy mi na to nie pozwalał, a poza tym czasem dzwoniły dziewczyny...

– No tak.

– Równocześnie codziennie bez wyjątku zbierało mi się na wymioty. Zwracałem prawie całe jedzenie. Potem czułem się strasznie głodny, jadłem i znowu wszystko zwracałem. Błędne koło. Ale udawało mi się utrzymać w żołądku i strawić przeciętnie co trzeci posiłek i dzięki temu utrzymywałem się przy życiu. Gdybym zwymiotował wszystkie trzy, musieliby mi dać kroplówkę.

– Nie byłeś u lekarza?

– U lekarza? Oczywiście poszedłem do pobliskiej przychodni. To dość porządna przychodnia. Zrobili mi prześwietlenia, badanie moczu. Podejrzewali raka, więc sprawdzali. Ale nigdzie niczego nie znaleźli. Byłem okazem zdrowia. W końcu stanęło na tym, że to pewnie przewlekły nieżyt żołądka albo stres, i dali mi lekarstwo na żołądek. Powiedzieli, że mam wcześniej się kłaść, wcześniej wstawać, ograniczyć alkohol i nie martwić się drobiazgami. Ale niech nie opowiadają głupot. Nawet ja wiem, co to przewlekły nieżyt żołądka. Człowiek musiałby być idiotą, żeby się nie zorientować, gdyby miał przewlekły nieżyt żołądka. Przy tej chorobie żołądek robi się ciężki, dostaje się zgagi, traci się apetyt. A jeśli występują wymioty, to dopiero po tych innych objawach. Nie zdarza się, że mdłości pojawiają się znienacka. Mnie przecież tylko mdliło, nie miałem żadnych innych objawów. Nie licząc tego, że ciągle byłem głodny, doskonale się czułem. Bardzo trzeźwo myślałem.

A jeśli chodzi o stresy – ja po prostu nie mam stresów. Oczywiście miałem mnóstwo pracy, ale nie do tego stopnia, żebym padał na pysk, z dziewczynami też dobrze mi się układało, nie mogłem narzekać. Raz na trzy dni chodziłem na basen i dużo pływałem... Nie ma się do czego przyczepić, prawda?

– Nie ma.

– Tylko wciąż wymiotowałem – powiedział.

Przez dwa tygodnie codziennie wymiotował i codziennie dzwonił telefon. Piętnastego dnia miał dosyć jednego i drugiego, zostawił pracę i zdecydował się uciec jeśli nie od wymiotów, to przynajmniej od telefonu. Wynajął więc pokój w hotelu i postanowił spędzić tam jeden dzień na czytaniu i oglądaniu telewizji. Z początku wyglądało

na to, że dobrze poszło. Udało mu się skutecznie zjeść na lunch kanapkę z rosbehem i sałatkę ze szparagów. Być może pomogła zmiana otoczenia, w każdym razie jedzenie zostało w żołądku i wkrótce strawiło się. O pół do czwartej umówił się w hotelowej kawiarni z dziewczyną przyjaciela i napełnił żołądek ciastem z czereśniami i czarną kawą. Z tym też dobrze poszło. Potem przespał się z tą dziewczyną przyjaciela. Z seksem nie było żadnych problemów. Po odesłaniu jej do domu poszedł sam na kolację. W restauracji niedaleko hotelu najadł się do syta pieczoną makrelą z tofu w stylu Kioto, jarzynami w sosie octowym i zupą sojową. Nadal nie wypił ani kropli alkoholu. Było to o pół do siódmej.

Następnie wrócił do pokoju, obejrzał wiadomości telewizyjne, a kiedy się skończyły, zaczął czytać nową powieść Eda McBaina z serii *Opowieści z 87 komisariatu*. O dziewiątej ciągle jeszcze nie nadeszły wymioty i wreszcie odetchnął z ulgą. Po dwóch tygodniach mógł się spokojnie nacieszyć uczuciem sytości. Miał nadzieję, że w ten sposób wszystko rozwinie się dalej w pozytywnym kierunku i sytuacja wróci do normy. Zamknął książkę, włączył telewizor, przez pewien czas zmieniał pilotem kanały, aż zdecydował się obejrzeć stary western. Film skończył się o jedenastej, potem były ostatnie wiadomości. Gdy dobiegły końca, wyłączył telewizor. Miał straszną ochotę na whisky i zbierał się, żeby pójść przed snem na drinka do baru na ostatnim piętrze, lecz zmienił zdanie i zrezygnował. Nie chciał „zanieczyszczać” takiego czystego dnia alkoholem. Zgasił lampkę nocną i wsunął się pod kołdrę.

Telefon zadzwonił w środku nocy. Przetarł oczy i spojrzał na zegarek. Było pięć po drugiej. Na początku był rozespany i nie mógł zrozumieć, co to dzwoni. Potrząsnął głową, prawie nieświadomie podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha.

– Halo? – powiedział.

Ten głos co zawsze wymienił jego nazwisko i w następnej chwili się rozłączył. Potem w słuchawce rozległ się sygnał.

– Ale przecież nikomu nie mówiłeś, że zatrzymasz się w tym hotelu? – zapytał.

– Nie, oczywiście, że nie. Nikomu nie mówiłem. Nie licząc tej dziewczyny, z którą się przespałem.

– A ona nie mogła się przed kimś wygadać?

– A po co miałyby to robić?

Rzeczywiście, miał rację.

– Potem zwymiotowałem w łazience wszystko do ostatka. Rybę, ryż, wszystko. Zupełnie jakby ten telefon otworzył jakieś drzwi, utorował drogę wymiotom.

Później przysiadłem na wannie i spróbowałem trochę uporządkować myśli. Pierwsza możliwość jest taka, że te telefony to sprytnie przez kogoś pomyślany kawał czy złośliwość. Nie wiem, jak ten ktoś się dowiedział, że zatrzymałem się w tym hotelu, ale na razie mniejsza o to, w każdym razie mógł to być taki trik. Druga możliwość była taka, że mi się to przywidziało. Sama myśl o tym, że mógłbym mieć przywidzenia, wydawała mi się idiotyczna, ale kiedy to na zimno analizowałem, nie mogłem jej wykluczyć. Innymi słowy „wydawało mi się”, że zadzwonił telefon i „wydawało mi się”, że głos wypowiada moje nazwisko. A naprawdę nic się nie zdarzyło. Teoretycznie jest to możliwe, prawda?

– Niby tak – powiedziałem.

– Zadzwoniłem więc do recepcji i poprosiłem, żeby sprawdzili, czy przed chwilą był do mnie telefon, ale nic z tego nie wyszło. System telefoniczny hotelu rejestruje wszystkie numery wybierane z pokoju, ale nie ma żadnego rejestru telefonów do gości. Więc niczego się nie dowiedziałem.

Ta noc w hotelu stała się punktem zwrotnym i zacząłem się poważnie zastanawiać na różnymi rzeczami. Nad mdłościami i telefonami. Nad tym, że przede wszystkim te dwie rzeczy jakoś się ze sobą łączą. Nie wiedziałem tylko, czy od początku do końca, czy częściowo. Bo jakoś wyraźnie sobie uświadomiłem, że nie mogę traktować żadnej z nich tak lekko, jak mi się na początku wydawało.

Spędziłem w hotelu dwie noce, wróciłem do siebie i zarówno mdłości, jak i telefony nie ustawały. Kilka razy na próbę

zatrzymałem się u znajomych, lecz i tam do mnie dzwonił. Zawsze wtedy, kiedy znajomi wyszli i byłem sam w domu. Z tego powodu zacząłem się trochę bać. Wydawało mi się, że może mam za plecami coś niewidzialnego, co obserwuje każdy mój ruch, wybiera odpowiedni moment i dzwoni do mnie, wpycha mi palce głęboko do żołądka. To były wyraźne pierwsze objawy schizofrenii. Prawda?

– Ale chyba niewielu schizofreników zastanawia się nad tym, czy przypadkiem nie mają schizofrenii?

– Tak, masz rację. Poza tym nie ma przypadków, żeby schizofrenii towarzyszyły mdłości. Tak mi powiedzieli na oddziale chorób psychicznych kliniki uniwersyteckiej. Lekarz wcale nie potraktował mnie poważnie. Ich interesują tylko pacjenci o bardziej jednoznacznych objawach. W każdym wagonie zatłoczonego pociągu linii Yamanote jest 2,5 do 3 pacjentów z objawami tego typu co moje i szpital nie ma czasu, żeby się wszystkimi tymi ludźmi zajmować. Powiedzieli mi, żebym z wymiotami poszedł do internisty, a z telefonami na policję.

Ale, jak być może wiesz, są na świecie dwa rodzaje przestępstw, którymi policja się nie zajmuje. Jedne z nich to złośliwe telefony, a drugie to kradzieże rowerów. Jednych i drugich jest zbyt wiele, a jako przestępstwa nie mają znaczenia. Gdyby policja się każdym zajmowała, jej praca zostałaby sparaliżowana. Dlatego nawet mnie porządnie nie wysłuchali. Złośliwe telefony? I co ten facet mówi? Tylko pana nazwisko? Nie mówi nic innego? To proszę w tym zgłoszeniu napisać nazwisko. I niech pan da znać, gdyby zdarzyło się coś poważniejszego. To wszystko. Zapytałem, skąd tamten zawsze wie, gdzie jestem, ale nie bardzo mnie słuchali, a gdy nie ustępowałem, zaczęli podejrzewać, że mam świra.

I dlatego w końcu zrozumiałem, że nie mogę na nikogo liczyć, ani na lekarzy, ani na policję. Innymi słowy, pozostaje mi tylko rozwiązać to jakoś własnymi siłami. Pomyślałem tak około dwudziestego dnia od rozpoczęcia się tych „wymiotnych telefonów”. Myślę, że jestem dość odporny fizycznie i psychicznie, ale wtedy jednak zacząłem trochę wysiadać.

- Ale z tą dziewczyną kolegi dobrze się układało?
- Tak, nieźle. Ten kolega akurat wyjechał służbowo na dwa tygodnie na Filipiny, a my przez ten czas mogliśmy się sobą nacieszyć do woli.
- A telefon nigdy nie dzwonił, kiedy się nią cieszyłeś do woli?
- Nie, nie dzwonił. Mogę się upewnić, sprawdzając w dzienniku. Myślę, że nic takiego się nie działo. Zawsze dzwonił, jak byłem sam. Mdłości też ogarniały mnie, kiedy byłem sam. I wtedy sobie pomyślałem: dlaczego ja tak często jestem sam? Właściwie z każdych 24 godzin spędzam samotnie średnio ponad 23. Mieszkam sam, prawie nie widuję się z ludźmi z pracy, rozmowy zawodowe odbywam w większości przez telefon, moje dziewczyny są dziewczynami innych facetów, dziewięćdziesiąt procent posiłków jem poza domem, ze sportów uprawiam w nieskończoność tylko samotne pływanie, moje hobby to słuchanie płyt, które są nieomal antykami, moja praca wymaga skupienia w samotności, mam przyjaciół, ale w naszym wieku każdy jest zajęty i nie mamy czasu się ciągle spotykać... rozumiesz, na czym polega takie życie?
- Uhm, mniej więcej.
- Nalał whisky do szklanek z lodem, zamieszał palcem i wypił łyk.
- Wtedy spokojnie usiadłem i zastanowiłem się: co ja teraz zrobię? Czy będę dalej cierpieć przez te telefony i wymioty?
- Mogłeś sobie znaleźć normalną dziewczynę. Na własny rachunek.
- Oczywiście, to też rozważałem. Miałem wtedy 27 lat, właściwie nieźle byłoby się ustatkować. Ale w końcu nic z tego nie wyszło. Nie jestem tego typu człowiekiem. Nie mogłem znieść takiej przegranej. Poddać się takim bezsensownym rzeczom, wymiotom i złośliwym telefonom, i tak po prostu zmieniać własny styl życia? I zdecydowałem, że będę walczył do ostatka, póki mi starczy sił fizycznych i psychicznych.
- Aha...
- A co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Hm, nie wiem, co bym zrobił, nie mam pojęcia – powiedziałem. Naprawdę nie miałem pojęcia.

– Mdłości i telefony nie ustawały. Bardzo straciłem na wadze. Poczekaj... zaraz, tak... 4 czerwca ważyłem 64 kilo. 21 czerwca 61 kilo, a 10 lipca zaledwie 58 kilo. 58 kilo! Trudno w to uwierzyć przy moim wzroście. Przez to żadne ubranie na mnie nie pasowało. Musiałem podtrzymywać spodnie przy chodzeniu.

– Mam pytanie. Dlaczego nie założyłeś automatycznej sekretarki albo czegoś w tym guście?

– Oczywiście dlatego, że nie chciałem uciekać. Gdybym to zrobił, dałbym tamtemu do zrozumienia, że mi dopiekł. Chodziło o to, kto kogo przetrzyma. Albo jemu się znudzi, albo ja wysiądę. Tak samo było z mdłościami. Starłem się myśleć, że to idealna dieta. Na szczęście nie opadałem kompletnie z sił, udawało mi się normalnie dawać sobie radę z codziennym życiem i pracą. Dlatego znów zacząłem pić alkohol. Od rana piłem piwo, kiedy nadchodził zmierzch, piłem mnóstwo whisky. Czy piłem, czy nie, i tak wymiotowałem, więc to nie miało znaczenia. Lepiej się czułem, pijąc, wszystko było bardziej zrozumiałe.

Poszedłem do banku, podjąłem część oszczędności, kupiłem garnitur pasujący na moją nową sylwetkę i dwie pary spodni. Przejrzałem się w lustrze w sklepie i uznałem, że bycie szczupłym jest wcale niezłe. Właściwie, jak się zastanowić, wymioty nie są takie straszne. Wywołują mniej cierpienia niż hemoroidy czy dziury w zębach, są bardziej wyrafinowane niż biegunka. Oczywiście to kwestia względna. Jeżeli rozwiąże się problem odżywiania i nie ma podejrzenia raka, mdłości są zasadniczo nieszkodliwe. Przecież w Ameryce sprzedają nawet środki wywołujące wymioty, które mają ułatwić schudnięcie.

– No i... – zacząłem – w końcu te mdłości i telefony nie ustawały do 14 lipca, tak?

– Dokładnie mówiąc, poczekaj, dokładnie mówiąc, ostatni raz wymiotowałem o pół do dziesiątej rano 14 lipca. Zwymiotowałem grzanki, sałatkę z pomidora i mleko. A ostatni telefon był tego dnia

wieczorem o 22.25. Piłem właśnie whisky VO Seagram, którą od kogoś dostałem i słuchałem *Concert by the Sea* Errolla Garnera. No, nie uważasz, że pisanie dziennika się przydaje?

– Nie da się ukryć – przytknąłem. – I od tego czasu jedno i drugie nagle się urwało?

– Urwało się. Jak w *Ptakach* Hitchcocka. Rano otwiera się drzwi i okazuje się, że wszystko minęło. Ani mdłości, ani złośliwe telefony więcej się nie powtórzyły. Znow wróciłem do wagi 63 kilogramów, nowy garnitur i spodnie wiszą nieużywane w szafie. Jako swego rodzaju pamiątki.

– A ten facet, który dzwonił, do końca mówił to samo, tak samo?

Lekko pokręcił głową. Spojrzał na mnie nieco roztargnionym wzrokiem. – Nie – powiedział. – Ostatni telefon był inny niż zwykle. Najpierw powiedział moje nazwisko. Jak zawsze. Ale potem mówił dalej: – Wiesz, kim jestem? – zapytał i umilkł na chwilę. Ja też milczałem. Myślę, że przez jakieś dziesięć, piętnaście sekund obaj się nie odzywaliśmy. A potem się rozłączył. Odezwał się sygnał.

– Naprawdę tak powiedział? „Wiesz, kim jestem?”.

– Dokładnie tak, słowo w słowo. Mówił powoli i wyraźnie. „Wiesz, kim jestem?”. Ale ja zupełnie nie znam jego głosu. W każdym razie ten głos nie należy do żadnej z osób, z którymi miałem do czynienia w ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat. Mógł to być ktoś z mojego dzieciństwa albo ktoś, z kim prawie nigdy nie rozmawiałem, ale nie przychodzi mi do głowy, kto taki i o co mógłby mieć do mnie pretensję. Nie pamiętam, żebym komuś zrobił jakieś świństwo, i nie jestem taki popularny, żeby wzbudzać zazdrość jakiegoś innego ilustratora. No, a jeśli chodzi o kontakty z kobietami, to jak wcześniej ci mówiłem, nie mam zupełnie czystego sumienia. Przyznaję to. Ale mając 27 lat, człowiek nie może być niewinny jak dziecko. Lecz tak jak wspominałem, znam głosy tych innych facetów. Poznałbym ich od razu.

– Ale wiesz, normalni ludzie nie specjalizują się w sypianiu z żonami przyjaciół.

– Myślisz, że jakieś poczucie winy, z którego istnienia nie zdawałem sobie nawet sprawy, że to poczucie winy skryształizowało się w formie wymiotów czy przywidzeń?

– Ja tego nie powiedziałem. To ty to mówisz – poprawiłem.

– Aha – mruknął, wziął do ust łyk whisky i spojrzał na sufit.

– Można też sobie wyobrazić coś takiego: jeden z facetów, któremu przyprawiłeś rogi, wynajął prywatnego detektywa, który cię śledzi i chcąc cię ukarać albo ostrzec, kazał mu dzwonić. Wymioty były zwykłą niedyspozycją i przypadkiem te dwie rzeczy nałożyły się na siebie w czasie.

– Jedno i drugie trzyma się kupy – powiedział jakby z podziwem.

– Jednak powieściopisarz to ma łeb. Ale jeśli chodzi o drugą hipotezę, ja nie przestałem sypiać z kobietami. Więc dlaczego mimo to ustały telefony? To nie ma sensu.

– Pewnie mu się odechciało. A może mu zabrakło pieniędzy na wynajmowanie prywatnego detektywa. Tak czy inaczej to tylko hipoteza. Jeśli chcesz hipotez, wymyślę ci sto albo dwieście. Problem w tym, którą z nich przyjmiesz. I czego się z niej nauczysz?

– Nauczę? – zapytał zaskoczony. Przez pewien czas przyciskał denko szklanki do czoła. – Czego miałbym się nauczyć?

– Oczywiście tego, co zrobisz, jak ci się to znowu przydarzy. Następnym razem może się nie skończyć na czterdziestu dniach. Coś się bez powodu zaczyna i bez powodu kończy. Może też być wręcz przeciwnie.

– Mówisz takie nieprzyjemne rzeczy – zachichotał. Potem spoważniał. – Ale to dziwne. Nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy, dopiero jak powiedziałeś. Że... to się może znowu zdarzyć. Naprawdę tak myślisz?

– Kto to może wiedzieć?

Obracając od czasu do czasu szklankę w dłoniach, popijał whisky. Odstawił pustą na stół, kilka razy wydmuchał nos w chusteczkę.

– A może – powiedział – a może tym razem to się zdarzy zupełnie innej osobie. Na przykład tobie. Przecież ty chyba też nie jesteś

zupełnie niewinny?

Później kilka razy się z nim widziałem i piliśmy, wymieniając się płytami, których nie dałoby się nazwać awangardowymi. Jakies dwa, trzy razy w roku. Nie należę do ludzi prowadzących dziennik, więc nie wiem dokładnie, ile razy. Na szczęście dotychczas ani jego, ani mnie nie męczą ani wymioty, ani telefony.



Siódmy mężczyzna

七番目の男

Nanabanme-no otoko

– **Ta fala** próbowała mnie porwać we wrześniowe popołudnie, kiedy miałem dziesięć lat – powiedział cichym głosem siódmy mężczyzna.

Był ostatnią osobą, która miała mówić tego wieczoru. Wskazówki zegara minęły już dziesiątą. Do uszu siedzących w kręgu ludzi z głębokiej ciemności panującej na dworze dobiegał szum dmącego na zachód wiatru. Potrząsał liśćmi na drzewach, dzwonił szybami w oknach i znikał z cienkim świstem, jakby ktoś dmuchał w gwizdek.

– Była to ogromna fala, szczególnego rodzaju, nigdy przedtem takiej nie widziałem – ciągnął mężczyzna. – Mało brakowało, żeby i mnie porwała. Lecz zamiast mnie pochłoneła wszystko, co było dla mnie ważne, i poniosła do innego świata. Ponowne odkrycie i odzyskanie tego zabrało mi wiele lat. Cennych, nieodwracalnie straconych.

Siódmy mężczyzna wyglądał na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Był szczupły. Wysoki, z wąsami, obok prawego oka niewielka, lecz głęboka blizna, jakby ktoś wbił mu tam nóż. Włosy krótkie, tu i tam jaśniały w nich sztywne białe nitki. Miał wyraz twarzy kogoś, komu nie bardzo udaje się wyrazić to, co by chciał, ale zdawało się, że ma ten wyraz od dawna, bo bardzo dobrze się do tej twarzy dopasował. Pod szarą tweedową marynarką siódmy mężczyzna miał zwykłą niebieską koszulę. Czasami sięgał dłonią do kołnierzyka. Nikt nie wiedział, jak się nazywa. Nikt nie wiedział też, czym się zajmuje.

Następnie siódmy mężczyzna chrząknął. Jego słowa zatoneły w krótkim milczeniu. Ludzie siedzieli, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– *W moim przypadku* to była fala. Oczywiście nie wiem, czym stanie się to w państwa przypadku. Mnie akurat trafiła się fala. Bez żadnego uprzedzenia nagle pojawiło się przede mną pod postacią wielkiej fatalnej fali.

Wychowałem się w nadmorskiej miejscowości w prefekturze S. Była niewielka i gdybym teraz wymienił jej nazwę, pewnie okazałoby się, że nikt z państwa nigdy o niej nie słyszał. Ojciec był tam lekarzem, miał prywatny gabinet i w dzieciństwie niczego mi nie brakowało. Od kiedy sięgnę pamięcią, zawsze miałem bliskiego kolegę. Nazwę go K. Mieszkał zaraz obok, był o klasę niżej ode mnie. Razem chodziliśmy do szkoły, a po powrocie do domu razem się bawiliśmy. Można powiedzieć, że byliśmy zupełnie jak bracia. Długo się przyjaźniliśmy i przez ten cały czas ani razu nie doszło do kłótni. Miałem co prawda prawdziwego brata, ale był o sześć lat starszy i nie bardzo się rozumieliśmy, a poza tym, szczerze mówiąc, mało mieliśmy ze sobą wspólnego. Dlatego ten kolega był mi bliższy niż własny brat.

K. był szczupły, miał jasną cerę, ładną, nieomal dziewczęcą twarz. Lecz miał też wadę wymowy i trudności z mówieniem. Ktoś nieznający go mógłby pomyśleć, że jest niedorozwinięty. W dodatku był słabowity i z tego powodu w szkole i później w czasie zabaw w domu to ja przyjmowałem na siebie rolę opiekuna. Byłem raczej wyrośnięty, dobry w sportach, inne dzieciaki patrzyły na mnie z szacunkiem. Lubiałem spędzać czas z K., ponieważ był wyjątkowo życzliwy i miał czyste serce. Nie był ani trochę opóźniony w rozwoju, ale z powodu wady wymowy nie mógł się chwalić dobrymi stopniami i z trudem dawał sobie radę z nauką. Za to miał niezwykle zdolności plastyczne i kiedy dało mu się ołówki czy farby, robił wspaniałe, pełne życia obrazki, tak że nauczycielom odbierało mowę z zachwyty. Zdobył wiele nagród i dyplomów na konkursach. Myślę, że gdyby normalnie dorósł, na pewno zostałby znanym artystą. Lubiał malować pejzaże i nigdy nie nużyło go chodzenie na pobliską plażę i szkicowanie widoków morza. Ja często siadałem obok niego i obserwowałem szybkie, trafne ruchy jego ręki. Byłem pełen podziwu i niedowierzania, że potrafił w jednej chwili stworzyć na białej kartce takie żywe kolory i kształty. Teraz wydaje mi się, że miał po prostu prawdziwy talent.

Pewnego roku we wrześniu w nasze okolice nadciągnął wielki tajfun. Według prognozy radiowej był to największy tajfun od

dziesięciu lat. Lekcje zakończyły się wcześniej, we wszystkich sklepach w miasteczku pospuszczano żaluzje i przygotowywano się na atak żywiołów. Ojciec z bratem od rana chodzili z młotkami i pudełkiem gwoździ, przybijając wszystkie okiennice, a matka krzątała się w kuchni, robiąc na zapas kulki ryżowe. Napełniliśmy wodą butelki i manierki, przygotowaliśmy plecaczki, w których każdy z nas miał swoje najcenniejsze rzeczy na wypadek ewakuacji. Dla dorosłych te coroczne tajfuny stanowiły jedynie kłopot i niebezpieczeństwo, ale dla nas, dzieci odsuniętych daleko od rzeczywistości, była to emocjonująca rozrywka na wielką skalę.

Po dwunastej niebo zaczęło błyskawicznie zmieniać kolor. Zdawało się, że ma jakiś nierealny odcień. Siedziałem na werandzie i obserwowałem je, aż wiatr zaczął wyć, a deszcz uderzać w ściany domu z dziwnym suchym dźwiękiem, jakby ktoś rzucał o ścianę piaskiem. W środku cała rodzina zebrała się w jednym ciemnym pokoju z zamkniętymi okiennicami i wsłuchiwała się w wiadomości radiowe. Mówili, że opady nie są zbyt obfite, ale powstają wielkie straty wywołane siłą wiatru, który zrywa liczne dachy i przewraca łodzie. Wiele osób zginęło lub odniosło poważne obrażenia wskutek uderzenia ciężkimi przedmiotami porwanymi przez wiatr. Spiker wielokrotnie ostrzegał, żeby pod żadnym pozorem nie wychodzić na dwór. Dom skrzypiał poruszany czasami silnym podmuchem, zupełnie jakby potrząsała nim jakaś wielka dłoń. Czasami dobiegało stukanie, kiedy coś ciężkiego uderzało w okiennice. Ojciec powiedział, że to pewnie zerwane skądś dachówki. Zjedliśmy na obiad kulki ryżowe i omlety na zimno, przygotowane przez matkę, i wsłuchując się w wiadomości radiowe, czekaliśmy, aż tajfun minie naszą okolicę i przesunie się gdzieś dalej.

Ale nie odchodził. W radiu mówili, że po zaatakowaniu wschodniej części prefektury S. tajfun gwałtownie zwolnił i teraz przesuwa się niespiesznie na północ w tempie biegnącego człowieka. Niemordowany wiatr wydawał groźne dźwięki, porywał wszystko z powierzchni ziemi i unosił na koniec świata.

Myślę, że wiało tak może z godzinę, gdy nagle się zorientowałem, że wokół zapanowała cisza. Nie było słychać żadnych odgłosów.

Skądś dobiegł nawet śpiew ptaków. Ojciec uchylił połowę okiennicy i wyjrzał przez szparę na dwór. Wiatr się uspokoił, deszcz też przestał padać. Wysoko po niebie płynęły powoli szare chmury. Między nimi zaczynało tu i tam przeświecać błękitne niebo. Drzewa w ogrodzie były kompletnie mokre od deszczu, z gałązek skapywały krople wody.

– Jesteśmy teraz w oku cyklonu – powiedział mi ojciec. – Niedługo, pewnie z piętnaście czy dwadzieścia minut potrwa ta cisza, jest jakby przerwa. A potem znowu będzie taka sama zawierucha jak wcześniej.

Zapytałem ojca, czy mogę wyjść na dwór.

– Możesz się przejść, tylko nie idź za daleko, powiedział. – Ale kiedy tylko zaczniesz wiać nawet lekki wiatr, od razu wracaj do domu.

Wyszedłem i rozejrzałem się dookoła. Trudno było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą szalała tu wichura. Spojrzałem na niebo. Zdawało mi się, że będzie się na nim unosiło oko cyklonu, mierzące nas zimnym wzrokiem. Ale oczywiście nigdzie go nie było. Chwilowo znajdowaliśmy się w strefie ciszy, jaka powstaje w centrum wiru ciśnienia atmosferycznego.

Podczas gdy dorośli sprawdzali, czy dom nie został gdzieś uszkodzony, ja poszedłem sam w stronę morza. Drogę pokrywały połamane gałęzie drzew, które wiatr przyniósł tu z ogrodów. Jeden konar sosny był tak gruby, że nawet dorosłemu trudno byłoby go podnieść. Wszędzie leżały pokruszone dachówki. Na uderzonej kamieniem szybie samochodu widniały wyraźne pęknięcia. Na drodze leżała nawet przywiana nie wiadomo skąd psia buda. Zupełnie jakby z nieba wychyliła się olbrzymia ręka i zmiotła wszystko z powierzchni ziemi. Gdy szedłem tak ulicą, K. zauważył mnie i wyszedł z domu. Zapytał, dokąd idę. Odparłem, że idę popatrzeć na morze, a on bez słowa ruszył za mną. Dołączył do nas mały biały piesek, należący do jego rodziny. – Jak tylko zaczniesz choć trochę wiać, od razu wracamy – powiedziałem, a K. w milczeniu przytaknął.

Od domu do morza było około dwustu metrów. Przy plaży znajdował się sięgający mi do czubka głowy falochron. Wspięliśmy się po schodach i wyszliśmy na brzeg. Prawie codziennie przychodziliśmy się bawić nad morze i bardzo dobrze znaliśmy tę plażę. Ale w oku cyklonu wszystko było inne niż zwykle. Kolor nieba, dźwięk fal, zapach morza, rozległość horyzontu – wszystko, co związane z morzem, było inne. Siedzieliśmy przez pewien czas na falochronie i w milczeniu wpatrywaliśmy się w ten widok. W samym oku cyklonu morze zdawało się przerażająco spokojne. Linia wody też cofnęła się znacznie dalej niż zwykle. Przed nami jak okiem sięgnąć rozciągała się biała plaża. Nawet w czasie odpływu morze aż tak daleko się nie odsuwało. Plaża wyglądała na nieprzyjemnie dużą i pustą, jak wielki pokój, z którego wyniesiono wszystkie meble. Morze wyrzuciło na brzeg różne rzeczy, które utworzyły tam jakby pas.

Zeszliśmy z falochronu, rozejrzeliśmy się dookoła i ruszyliśmy odsłoniętą plażą, dokładnie przyglądając się temu, co wyrzuciło morze. Jak okiem sięgnąć widać było rozrzucone jak cukierki w sklepie ze słodyczami plastikowe zabawki, klapki, kawałki drewna wyglądające na fragmenty mebli, nietypowe butelki, drewniane pudełka z napisami w obcych językach oraz inne bliżej nieokreślone przedmioty. Wysokie fale wywołane tajfunem musiały to przynieść z daleka aż tutaj. Kiedy dostrzegaliśmy coś niezwykłego, podnosiliśmy to i dokładnie oglądaliśmy. Piesek K. podbiegał do nas, machając ogonem, i obwąchiwał wszystko, co braliśmy do ręki.

Byliśmy tam najwyżej pięć minut, myślę, że nie więcej. Nagle się zorientowałem, że fale zbliżyły się i są tuż-tuż. Bezszelestnie, bez uprzedzenia wyciągały sekretnie swoje gładkie języki ku naszym stopom. Wcale się nie spodziewałem, że fale mogą tak błyskawicznie do nas podejść. Wychowałem się nad morzem i na swój dziecinny sposób rozumiałem jego grozę. Zdawałem sobie sprawę, jakie może być czasami nieprzewidywalne i groźnie zażarte. Dlatego chodziliśmy po części plaży znacznie oddalonej od miejsca, do którego dochodziły fale, myśląc, że „tu nic nam się nie stanie”. Lecz jęzor fali nie wiadomo kiedy zbliżył się tak, że dzieliło nas od niego

zaledwie dziesięć centymetrów, po czym znów bezszelestnie się cofnął. Później fale więcej już się do nas nie zbliżyły. Nie należały wcale do gatunku groźnych. Były to łagodne fale, lekko obmywające brzeg. A jednak kryło się w nich coś strasznie złowieszczonego, śliskiego jak dotyk gada, od czego przeszedł mnie zimny dreszcz. Był to nieuzasadniony, ale prawdziwy strach. Instynktownie poczułem, że fale żyją. Nie było wątpliwości. *Te fale niewątpliwie żyły.* Dobrze wiedziały, że tu jestem, i zamierzały mnie pochwycić w swoje szpony. Zupełnie jak jakiś polujący na mnie drapieżnik, który wstrzymując oddech, przyczajony w trawie marzy o tym, by mnie rozerwać na strzępy ostrymi zębami i pożreć. *Muszę uciekać,* pomyślałem.

– Wracamy! – zawołałem do K. Przyglądał się czemuś, przykucnięty plecami do mnie jakieś dziesięć metrów dalej. Starłem się zawołać jak najgłośniej, ale K. chyba mnie nie usłyszał. Może tak się skupił na tym, co znalazł, że mój głos do niego nie docierał. Czasami mu się to zdarzało. Coś go fascynowało i w jednej chwili zapominał o całym świecie. A może nie zawołałem tak głośno, jak mi się wydawało. Dobrze pamiętam, że mój własny głos brzmiał jakoś obco. Jak głos kogoś innego.

Wtedy usłyszałem dudnienie. Głośne dudnienie, od którego trzęsła się ziemia. Nie, przed dudnieniem usłyszałem inny dźwięk. Jakby chlupot wielkiej ilości wody wylewającej się z jakiegoś otworu, przedziwny dźwięk. Rozlegał się przez pewien czas, a potem ustał, i dobiegło to groźne dudnienie podobne do grzmotu – bum, bum. Ale K. nie podnosił głowy. Przykucnięty nieruchomo wpatrywał się w coś na ziemi. Na tym skupiał uwagę. Chyba nie słyszał tego dudnienia. Nie wiem, dlaczego taki głośny łomot, od którego ziemia się trzęsła, nie dotarł do jego uszu. A może tylko ja go słyszałem? To dziwnie zabrzmiało, ale może ten dźwięk miał szczególny charakter i docierał tylko do moich uszu? Bo wyglądało na to, że piesek obok K. też nie zwrócił na to uwagi. Jak państwu wiadomo, psy to zwierzęta niesłychanie wyczulone na dźwięki.

Chciałem podbiec do K., złapać go i uciec stamtąd. Nie było już innego sposobu. Ja *wiedziałem*, że fala znów zaraz tu nadejdzie, K.

tego nie wiedział. Ale zorientowałem się, że nogi niosą mnie w zupełnie przeciwnym kierunku niż zamierzałem. Uciekałem sam w stronę falochronu. Myślę, że prawdopodobnie zmusił mnie do tego przemożny strach. Odebrał mi głos, samowolnie wprawił nogi w ruch. Potykając się na miękkim piasku, dobiegłem do falochronu i stamtąd wrzasnąłem do K.

– Uważaj! Idzie fala!

Tym razem z moich ust wydobył się donośny głos. Zauważyłem, że nie wiadomo kiedy ucichło dudnienie. K. też w końcu dosłyszał mój krzyk i podniósł głowę. Ale było już za późno. Wielka fala z grzywą wzniesioną wysoko jak głowa węża zbliżała się do plaży gotowa do ataku. Pierwszy raz w życiu widziałem taką przemożną falę. Była wysokości dwupiętrowego budynku. Bezszelestnie (a przynajmniej nie pamiętam żadnego dźwięku – w moich wspomnieniach nadeszła bezszelestnie) wzniosła się za plecami K., zasłaniając niebo. K. patrzył na mnie przez chwilę, jakby nie wiedział, o co mi chodzi. A potem chyba coś zauważył, bo się odwrócił. Próbował uciec. Ale nie miał jak. W następnym momencie fala go pochłoneła. Jakby uderzyła go rozpędzona bezlitosna lokomotywa.

Rozbiła się z głośnym grzmotem, gwałtownie uderzyła o brzeg, rozprysnęła się, jakby wybuchła, i nieomal lecąc w powietrzu, przypuściła atak na mój falochron. Ale ja się za nim skryłem i udało mi się przetrwać, tylko rozpryskująca się w górze woda zmoczyła mi ubranie. Pospiesznie wspiąłem się na falochron, spojrzałem na brzeg. Fala zawróciła i z dzikim rykiem gwałtownie cofała się ku morzu. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś na drugim końcu ziemi zdecydowanym ruchem pociągnął ogromny dywan. Wytężałem wzrok, ale nigdzie nie dostrzegłem K. Nie dostrzegłem też psa. Fala cofnęła się za jednym zamachem tak daleko jak podczas odpływu, odsłaniając całe dno. Stałem sam na falochronie jak skamieniały.

Wróciła cisza. Cisza rozpaczy, jakby wszystkie dźwięki zostały jej wydarte. Fala pochłoneła K. i gdzieś zniknęła. Nie miałem pojęcia, co robić. Pomyślałem, żeby zejść na plażę. Może K. leży gdzieś

przypadkiem zakopany w piasku... Ale zmieniłem zdanie i nie ruszyłem się z falochronu. Wiedziałem z doświadczenia, że wielkie fale przychodzą seriami, po dwie, po trzy.

Nie mogę sobie przypomnieć, ile czasu minęło. Myślę, że niezbyt dużo. Dziesięć sekund, może dwadzieścia, nie więcej. Tak czy inaczej, po tej złowieszczej przerwie zgodnie z moimi przewidywaniami fala jeszcze raz podeszła do brzegu. Tak jak przedtem ziemią gwałtownie zatrzęsł grzmot, ucichł, wkrótce pojawiła się fala z uniesioną wysoko grzywą. Dokładnie tak samo jak przedtem. Przysłoniła niebo, wyrosła przede mną jak śmiertcionośna skalna ściana. Tym razem nigdzie nie uciekałem. Stałem skamieniały, zupełnie jak zaczarowany, na falochronie i wpatrywałem się, jak fala prze do ataku. Chyba czułem wtedy, że teraz, kiedy K. został przez nią porwany, nie ma sensu uciekać. A może po prostu sparaliżował mnie obezwładniający strach. Nie pamiętam już dokładnie, jak to było.

Druga fala nie ustępowała rozmiarem pierwszej. A raczej była jeszcze większa. Zaczęła się powoli załamywać nad moją głową, jak kruszący się ceglany mur. Była tak wielka, że wydawała się nierzeczywista. Wyglądała jak coś zupełnie innego w kształcie fali. Nadeszła z dalekiego innego świata. *Było to coś innego o kształcie fali.* Przygotowany na najgorsze, czekałem, aż pochłonie mnie ciemność. Nie zamknąłem oczu. Pamiętam, że słyszałem w uszach walenie własnego serca. Kiedy była tuż przede mną, straciła impet, jakby nagle zabrakło jej sił, *zatrzymała się* zawieszona w przestrzeni. I wtedy w tej grzywie fali, w tym okrutnym, przezroczyście języku wyraźnie zobaczyłem K.

Być może mi państwo nie uwierzą. Ale nic na to nie poradzę. Szczerze mówiąc, do dziś nie mogę pojąć, dlaczego coś takiego się zdarzyło. Oczywiście nie potrafię też tego wytłumaczyć. Ale nie był to wytwór mojej wyobraźni ani złudzenie. Mówię całą prawdę o tym, co się rzeczywiście stało. W grzywie tej fali unosiło się leżące na boku ciało K., zupełnie jakby zostało zamknięte w przezroczyściej kapsule. Ale to nie wszystko. K. zwrócony był ku mnie i stamtąd się do mnie uśmiechał. Przed samym nosem, na wyciągnięcie ręki

miałem przyjaciela, którego przed chwilą pochłonęła fala. Nie było wątpliwości. On się do mnie uśmiechał. I nie swoim zwykłym uśmiechem. Jego usta były szeroko otwarte, dosłownie od ucha do ucha. Para jego zimnych, znieruchomiłych oczu była wlepiona we mnie. Wyciągał ku mnie prawą rękę. Zupełnie jakby chciał chwycić moją dłoń i wciągnąć mnie do *tamtego świata*. Jego ręka nieomal mnie dosięgła. Zabrakło odrobinę. Wtedy K. uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Zdaje się, że w tamtej chwili straciłem przytomność. Kiedy doszedłem do siebie, leżałem na łóżku w gabinecie ojca. Otworzyłem oczy, pielęgniarka poszła go zawołać, a on od razu przybiegł. Wziął mnie za rękę, zmierzył puls, zbadał źrenice i przyłożył mi rękę do czoła, sprawdzając, czy mam gorączkę. Chciałem poruszyć ręką, ale za nic nie mogłem jej podnieść. Całe ciało mi płonęło, w głowie miałem zamęt, nie mogłem o niczym myśleć. Podobno bardzo długo miałem wysoką gorączkę. Spałeś bez przerwy przez trzy dni, powiedział ojciec. Sąsiad, który widział z oddali wszystko, co zaszło, wziął mnie zemdłego na ręce i przyniósł do domu. K. porwała fala i jak do tej pory ślad po nim zaginął, mówił ojciec. Chciałem mu powiedzieć. Musiałem mu coś powiedzieć, lecz język miałem spuchnięty i sparaliżowany. Nie mogłem wydobyć słowa. Czułem się zupełnie, jakby w ustach zamieszkało mi jakieś inne stworzenie. Ojciec zapytał, jak mi na imię. Próbowałem sobie przypomnieć własne imię, ale zanim sobie przypomniałem, znów straciłem świadomość i zatonąłem w ciemności.

W rezultacie przeleżałem tak tydzień, odżywiany kroplówką. Wiele razy wymiotowałem, majaczyłem. Ojciec podobno bardzo się martwił, że z powodu gwałtownego szoku i wysokiej gorączki mogę już nigdy nie odzyskać przytomności. Rzeczywiście przy tak ciężkim stanie było to całkiem możliwe. Udało mi się jakoś wrócić do zdrowia pod względem fizycznym. Po kilku tygodniach wróciłem do poprzedniego trybu życia. Jadłem normalne posiłki, mogłem już

chodzić do szkoły. Ale oczywiście to nie znaczy, że wszystko wróciło do stanu poprzedniego.

Nigdy nie znaleziono ciała K. Nigdzie nie było też zwłok pieska, razem z nim pochłoniętego przez fale. W tamtej okolicy topielców zwykle unosił prąd i morze wyrzucało ich ciała na brzeg w zatoczce położonej na wschód, tylko zwłoki K. zaginęły bez wieści. Prawdopodobnie podczas tajfunu fale były tak wielkie, że wyniosły go na pełne morze, na tyle daleko, że ciało nie mogło wrócić do brzegu. Może zatoneło gdzieś głęboko na dnie oceanu i stało się pożywieniem dla ryb? Bardzo długo szukano go z pomocą miejscowych rybaków, stopniowo z coraz mniejszym zapałem, aż zaprzestano poszukiwań. Ponieważ nie było ciała, nie odbył się też pogrzeb. Rodzice K. oszaleli z rozpaczy, codziennie błądzili bez celu po plaży albo zamykali się w domu i recytowali sutry.

Choć spadł na nich tak wielki cios, nigdy mi nie wyrzucali, że zabrałem go nad morze w czasie tajfunu. Dobrze wiedzieli, że zawsze naprawdę go kochałem i dbałem o niego jak o młodszego brata. Moi rodzice też starali się nie wspominać przy mnie o tym wypadku. Ale ja wiedziałem, że gdybym tylko chciał, mogłem uratować K. Może udałoby mi się podbiec do niego, pociągnąć go i uciec do miejsca, do którego nie docierały fale. Czasu było niewiele, ale kiedy we wspomnieniach rozważam wszystko po kolei, zdaje mi się, że by mi go starczyło. Jednak jak wcześniej wspomniałem, pod wpływem obezwładniającego strachu porzuciłem K. i sam uciekłem. Jeszcze bardziej cierpiałem przez to, że rodzice K. nie mieli do mnie pretensji i wszyscy unikali tego tematu, jakby nie chcieli rozdrapywać ran. Bardzo długo nie mogłem się otrząsnąć po tym szoku. Nie chodziłem do szkoły, nie chciałem porządnie jeść, tylko leżałem i dzień po dniu wpatrywałem się w sufit.

Za nic nie mogłem zapomnieć wyrazu twarzy K. leżącego w grzywie fali i uśmiechającego się. Nie mogłem wymazać z pamięci palców ręki wyciągniętej ku mnie, jakby przyzywającej. Kiedy zasypiałem, twarz i ręka pojawiały się we śnie, jakby tylko na to czekały. We śnie K. wyskakiwał z kapsuły powietrznej w grzywie fali, mocno chwycił mnie za nadgarstek i wciągał do wnętrza.

Miewałem też często inny sen. We śnie pływałem w morzu. Było pogodnie letnie popołudnie. Pływałem sobie spokojnie żabką daleko od brzegu. Słońce przypiekało mnie w plecy, woda przyjemnie obmywała. Ale wtedy ktoś mnie chwycił w wodzie za prawą nogę. Czuję wokół kostki jakby dotyk zimnych palców. Jest silny, tak silny, że nie mogę się wyrwać. I zostaję wciągnięty pod wodę. Widzę tam twarz K. Tak samo jak wtedy uśmiecha się szeroko, od ucha do ucha, i nieruchomo się we mnie wpatruje. Chcę krzyknąć, lecz nie mogę wydobyć głosu. Tylko opijam się wody. Woda wypełnia mi płuca.

Z głośnym krzykiem, zlany potem, wstrzymując oddech, budzę się w ciemności.

Pod koniec tamtego roku powiedziałem rodzicom, że chciałbym jak najszybciej opuścić miasteczko, pojechać gdzieś indziej. Nie mogę dalej żyć nad brzegiem, gdzie fala porwała K, a poza tym, jak wiedzą, co noc męczą mnie koszmary. Chciałbym choć na trochę stąd wyjechać. Inaczej chyba zwariuję. Ojciec zrozumiał i zorganizował mi wyjazd. W styczniu przeniosłem się do prefektury Nagano i zacząłem chodzić do miejscowej szkoły podstawowej. Niedaleko miasta Komoro był dom rodzinny ojca – tam zamieszkałem. Skończyłem gimnazjum, poszedłem do liceum. W czasie wakacji też nie wracałem do domu. Tylko rodzice czasami przyjeżdżali mnie odwiedzić.

Do dziś mieszkam w tej prefekturze. Skończyłem politechnikę w mieście Nagano, zacząłem pracować w miejscowej firmie mechaniki precyzyjnej i tam zostałem. Pracuję i żyję jak zupełnie normalny człowiek. Jak państwo widzą, nie ma we mnie nic szczególnie niezwykłego. Nie jestem bynajmniej nadmiernie towarzyski, ale lubię chodzić po górach i mam kilkoro przyjaciół, których dzięki temu zdobyłem. Niedługo po wyjeździe z tego miasteczka przestałem miewać koszmary z taką częstotliwością jak przedtem. Ale to nie znaczy, że ten sen zniknął z mojego życia. Czasami pukał do moich drzwi, jak facet przychodzący po pieniądze za

prenumeratę gazety. Przychodził jak na zamówienie, kiedy zaczynałem zapominać. Zawsze, zawsze dokładnie ten sam sen. Identyczny we wszystkich szczegółach. Za każdym razem budziłem się z krzykiem. Pościel była mokra od potu.

Prawdopodobnie z tego powodu się nie ożeniłem. Nie chciałem budzić kogoś śpiącego obok krzykiem o drugiej czy trzeciej nad ranem. Pokochałem kilka kobiet, ale z żadną nie spędziłem nocy. Przesiąkłem strachem do szpiku kości i dzielenie go z kimś było absolutnie niemożliwe.

W końcu przez ponad czterdzieści lat nie wróciłem do rodzinnego miasteczka, trzymałem się z daleka od tamtej plaży. Nie tylko od tamtej plaży, w ogóle nie zbliżałem się do morza. Bałem się, że gdybym pojechał nad morze, naprawdę zdarzyłoby się to, co widywałem w snach. Poza tym chociaż zawsze lubiłem pływać, od tamtej pory nie wszedłem nawet do basenu. Omijałem też głębsze rzeki i jeziora. Unikałem pływania statkami, nigdy nie poleciałem samolotem za granicę. Mimo to nie mogłem wymazać z myśli wizji, że kiedyś się utopię. To ponure przeczucie, jak zimna dłoń K., chwyciło w szpony moją świadomość i nie puszczało.

Po raz pierwszy odwiedziłem plażę, z której morze porwało K., wiosną zeszłego roku.

Rok wcześniej ojciec zmarł na raka i brat sprzedał dom, żeby doprowadzić do ładu sprawy majątkowe. Kiedy robił porządek w składziku, znalazł kartonowe pudło pełne moich zabawek z dzieciństwa i wysłał je do mnie. W większości były to niepotrzebne śmieci, ale między nimi znajdował się plik obrazków, które namalował dla mnie K. Przypadkiem na nie trafiłem. Prawdopodobnie rodzice zachowali je dla mnie na pamiątkę. Od nagłego strachu zaparło mi dech. Zdawało mi się, że dusza K. wyłoni się z nich i wróci do życia. Chciałem się ich od razu pozbyć, zawinałem je z powrotem w cienki papier i włożyłem do pudła. Ale za nic nie potrafiłem ich wyrzucić. Po kilku dniach pełnych wahania znów odwinąłem papier i postanowiłem je obejrzeć.

W większości były to pejzaże: wybrzeże, plaża, sosnowy las, miasteczko – miejsca, które pamiętałem, namalowane charakterystycznymi dla K. żywymi barwami. O dziwo, kolory ani trochę nie wyblakły, dawne wrażenie pozostało świeże. Kiedy tak przerzucałem obrazki, ogarnęła mnie gwałtowna tęsknota. Były znacznie lepsze, doskonalsze pod względem artystycznym, niż pamiętałem. Wyraźnie czułem bijące z nich głębokie uczucia chłopca, jakim był K. Bolesnie rozumiałem, jak widział świat, zupełnie jakbym patrzył jego oczami. Oglądając kolejno obrazki, wyraźnie przypominałem sobie, co robiliśmy z K, jakie miejsca razem odwiedzaliśmy. Tak, to było też moje *własne* dzieciinne widzenie. W tamtym okresie patrzyliśmy obaj na świat takimi samymi beztroskimi, pełnymi życia oczami.

Codziennie po powrocie z pracy siadałem przy biurku, brałem jeden z obrazków K. i przyglądałem mu się. Mogłem na nie patrzeć w nieskończoność. Były w nich łagodne sceny z mojego dzieciństwa, które do tej pory zdecydowanie wyrzucałem ze świadomości. Patrząc na nie, czułem, że wypełnia mnie jakiś spokój.

I pewnego dnia, może to było z tydzień później, nagle pomyślałem: *a może ja przez ten cały czas bardzo się myliłem?* A może leżący w tej fali K. wcale mnie nie nienawidził, nie miał do mnie pretensji? A ten jego uśmiech – może po prostu *przypadkiem* tak to tylko wyglądało – pewnie stracił już wtedy przytomność. Albo może na koniec łagodnie się uśmiechał, żegnając się ze mną na zawsze? Może ta gwałtowna nienawiść, którą dostrzegłem w jego twarzy, była jedynie cieniem głębokiego strachu, który mnie wtedy ogarnął, który mną rządził... Gdy tak wnikliwie przyglądałem się tym starym akwarelom, takie myśli stawały się coraz silniejsze. Patrzyłem i patrzyłem, i jedyne co mogłem dostrzec w obrazkach K, to łagodna nieskalana dusza.

Długo siedziałem nieruchomo. Nie mogłem się podnieść. Słońce zaszło, pokój powoli spowiła blada ciemność zmierzchu. Wkrótce nadeszła głęboka cisza nocy. Ciągnęła się w nieskończoność, i kiedy w końcu na szalce ciemności spoczął niedający się udźwignąć ciężar,

nadszedł świt. Nowe słońce zabarwiło niebo bladym szkarłatem, ptaki obudziły się i zaczęły śpiewać.

Wtedy pomyślałem, że muszę wrócić do tego miasteczka. I to zaraz.

Spakowałem się, wrzucając do torby potrzebne rzeczy, zadzwoniłem do firmy, że nie będzie mnie w pracy z powodu ważnej sprawy, wsiadłem do pociągu i ruszyłem do rodzinnego miasta.

Nie było już spokojnym, nadmorskim miasteczkiem z moich wspomnień. W okresie szybkiego rozwoju gospodarczego w latach sześćdziesiątych na przedmieściach powstało przemysłowe miasto i krajobraz okolicy bardzo się zmienił. Przed dworcem, gdzie kiedyś były kramiki z pamiątkami, wyrosły rzędy sklepów. Jedyne wówczas kino w mieście stało się dużym supermarketem. Nie było już naszego domu. Kilka miesięcy wcześniej zburzono go i teraz została tylko pusta posesja. Ścięto wszystkie drzewa w ogrodzie, na czarnej ziemi tu i tam rosły chwasty. Zniknął też stary dom, w którym mieszkał K. Na jego miejscu powstał wybetonowany parking, za który płacono się z góry za miesiąc. Stały na nim rzędy samochodów i vanów. Ale nie mogę powiedzieć, że mnie to zraniło. Od dawna nie było to już moje miasteczko.

Ruszyłem w stronę morza, wszedłem na falochron. Tak jak dawniej rozpościerało się tu bezkresne morze. Było wielkie. W oddali rysowała się linia horyzontu. Krajobraz wybrzeża też był taki jak dawniej. Tak samo rozciągała się plaża, tak samo uderzały o nią fale, tak samo brzegiem spacerowali ludzie. Było po czwartej, miękkie światło późnego popołudnia spowijało okolicę, słońce powoli chyliło się ku zachodowi, jakby nad czymś zamyślane. Usiadłem na piasku, postawiłem torbę obok siebie i w milczeniu patrzyłem na ten widok, doprawdy kojący i spokojny. Trudno było uwierzyć, że niegdyś przyszedł tu wielki tajfun i wysoka fala pochłonęła mojego najlepszego przyjaciela. Pewnie niewielu ludzi jeszcze pamięta, że ponad czterdzieści lat temu miało miejsce takie wydarzenie. Zaczęło mi się nieomal wydawać, że to wszystko mogło być bardzo szczegółową iluzją, którą stworzyłem sobie w myślach.

Nagle się zorientowałem, że zniknęła gdzieś głęboka ciemność, która do tej pory mnie wypełniała. Rozpłynęła się równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Powoli się podniosłem. Podszedłem do linii wody i nie podwijając nawet spodni, zanurzyłem stopy. Stojąc w butach, czekałem, aż uderzą mnie fale. Takie same jak w dzieciństwie, zupełnie jakby stęsknione chciały się ze mną pogodzić, uderzyły w moje nogi, zmoczyły mi ubranie i buty. Leniwie podpływały i cofały się. Przechodzący zerkali na mnie ze zdziwieniem. Ale to w ogóle mi nie przeszkadzało. W końcu dotarłem tu po wielu długich latach.

Podniosłem wzrok na niebo. Unosiło się na nim kilka szarych chmur, podobnych do kawałków waty. Prawie nie było wiatru i te chmurki wyglądały, jakby tkwiły ciągle w tych samych miejscach. Przypomniałem sobie, jak kiedyś w dzieciństwie tak samo podniosłem wzrok na niebo, szukając wielkiego oka cyklonu. Oś czasu głośno we mnie zgrzytnęła. Czterdzieści lat rozpadło się jak spróchniały dom, stary i nowy czas połączyły się w jeden wir. Zniknęły dźwięki wokoło, światło zadrzało. Straciłem równowagę i przewróciłem się w nadpływającą falę. Serce waliło mi w gardło, ręce i nogi zdawały się puste. Długo leżałem z twarzą w wodzie. Nie mogłem wstać. Ale nie bałem się. Tak. Już niczego się nie boję. Bo tamto minęło.

Od tego czasu nie miewam już tego przerażającego snu. Nie budzę się też w nocy z krzykiem. Próbuję teraz zacząć życie od nowa. Nie, już pewnie za późno na zaczynanie od nowa. Być może już bardzo niewiele życia mi pozostało. Ale nawet jeśli jest już za późno, jestem wdzięczny za to, że na koniec zostałem uratowany, wyzdrowiałem. Tak. Bo przecież było bardzo prawdopodobne, że dokonam żywota, krzycząc w ciemności ze strachu, i nigdy nie dostąpię zbawienia.

Siódmy mężczyzna przez pewien czas w milczeniu patrzył na krąg siedzących. Nikt nie odezwał się ani słowem. Nie było nawet słychać oddechów. Nikt się nie poruszył na krześle. Czekali na

dalszy ciąg jego opowieści. Wiatr całkiem się chyba uspokoił, z zewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki. Szukając odpowiednich słów, siódmy mężczyzna znów sięgnął ręką do kołnierzyka koszuli.

– Moim zdaniem naprawdę boimy się w życiu nie samego strachu – powiedział po chwili. – Strach oczywiście jest obecny... Pojawia się pod różnymi postaciami i czasami potrafi nas obezwładnić. Najbardziej przerażające jest odwrócenie się do tego strachu plecami i zamknięcie oczu. Wtedy oddajemy czemuś to, co w nas najważniejsze. W moim wypadku... tym czymś była fala.



W roku spaghetti

スパゲティの年に

Supagetī-no toshi-ni

Rok 1971 był rokiem spaghetti.

W roku 1971 przyrządzałem spaghetti, żeby żyć, i żyłem, żeby przyrządzać spaghetti. Unosząca się znad aluminiowego garnka para była moją dumą, a perkoczący w rondelku sos pomidorowy moją nadzieją.

Poszedłem do specjalistycznego sklepu z artykułami kuchennymi i kupiłem wielki aluminiowy garnek, w którym dałoby się wykapać wilczura, oraz minutnik kuchenny, obszedłem supermarkety dla cudzoziemców i nabyłem przyprawy o dziwnie brzmiących nazwach, w księgarni z obcojęzycznymi książkami znalazłem specjalistyczną książkę o spaghetti i zacząłem kilogramami kupować pomidory.

Kupowałem także wszystkie możliwe rodzaje makaronu i robiłem wszystkie możliwe rodzaje sosów. Zapach czosnku, cebuli, oliwy z oliwek i innych produktów zmienił się w drobne cząsteczki, rozprysnął w powietrzu i zlewając się w harmonijną całość, wcisnął się w każdy zakątek mojego niewielkiego mieszkania. Przywarł do podłogi, sufitu, ścian, ubrań, książek, okładek płyt, kurtki, rakiety tenisowej, pęku starych listów. Zapach przywodził jakoś na myśl ściek starożytnego Rzymu.

Zdarzyło się to w roku 1971 naszej ery, w roku spaghetti.

Zasadniczo sam gotowałem spaghetti i sam je jadłem. Czasami zdarzało się, że przy jakiejś okazji kogoś częstowałem, ale wolałem jeść sam. Wtedy wydawało mi się, że spaghetti jest ze swej natury potrawą, którą należy spożywać samotnie. Nie bardzo wiem, dlaczego mi się tak wydawało.

Kiedy jadłem spaghetti, zawsze piłem herbatę. Robiłem też sałatkę. Zazwyczaj prostą surówkę z sałaty wymieszanej z ogórkami. Przyrządzałem dużo jednego i drugiego. Ustawiałem ładnie na stole i niespiesznie spożywałem spaghetti, zerkając jednym okiem na

gazetę. Od niedzieli do soboty ciągnęły się dni jedzenia spaghetti, a kiedy się kończyły, w następną niedzielę rozpoczynały się nowe dni jedzenia spaghetti.

Jedząc samotnie spaghetti, często miałem wrażenie, że za chwilę ktoś może zapukać do drzwi. Szczególnie w deszczowe popołudnia.

Różni ludzi mieli mnie w ten sposób odwiedzić. Raz był to ktoś nieznany, innym razem ktoś znany z widzenia. Jednego dnia wpadła dziewczyna o chudych nogach, z którą byłem na randce w liceum, a kiedy indziej ja sam sprzed paru lat, a jeszcze innym razem William Holden, który przyprowadził ze sobą Jennifer Jones.

William Holden?

Lecz żadne z nich nie weszło do pokoju. Wyglądali na urywki wspomnień i kręcili się tylko pod moimi drzwiami, ale w końcu nie pukali i dokądś odchodzili.

Przez wiosnę, lato i jesień gotowałem spaghetti. Zupełnie jakby to była jakaś zemsta. Jak samotna kobieta wrzucająca do ognia plik starych listów miłosnych od niewiernego ukochanego, ja w milczeniu, w nieskończoność gotowałem spaghetti.

W misce ugniatałem zdeptane cienie przeszłości w kształt wilczura, wrzucałem do wrzącej wody, soliłem. A potem z długimi pałeczkami w ręku stałem przed aluminiowym garnkiem i nie oddalałem się nawet na chwilę, dopóki minutnik nie pisnął swym bolesnym piknięciem.

Nitki makaronu były straszliwie chytre, więc nie mogłem spuścić ich z oka. Mogły w każdej chwili wyślizgnąć się z garnka i zginąć w ciemnościach nocy. Jak dżungla tropikalna bezszelestnie pochłaniająca w niekończący się czas barwne motyle, noc, wstrzymując oddech, nieruchomo czekała na nadejście spaghetti.

Spaghetti alla parmigiana

Spaghetti alla napoletana

Spaghetti alla primavera

Spaghetti al cartoccio

Spaghetti aglio e olio

Spaghetti alla carbonara

Spaghetti al pesto

I inne biedne bezimienne spaghetti, do których dodawałem jak popadło wszystkie resztki z lodówki.

Spaghetti rodziło się w parze, spływało jak nurt rzeki po równi pochyłej czasu zwanego rokiem 1971 i znikало.

Ja po nim płaczę.

Po tym spaghetti roku 1971.

Kiedy telefon zadzwonił dwadzieścia po trzeciej, leżałem na pokrytej matą podłodze i wpatrywałem się nieruchomo w sufit. Zimowe słońce utworzyło wokół mnie kałużę światła. Leżałem tak beczynnie kilka godzin, jak martwa cykada, w tym grudniowym świetle 1971 roku.

Na początku nie przypominało to dzwonka telefonu. Raczej jakiś ułamek nieznanego wspomnienia, który niepewnie wślizgnął się między warstwy czasu. Lecz z każdym kolejnym dźwiękiem przybierało kształt dzwonka telefonu, aż na koniec stało się stuprocentowym dzwonkiem. Stuprocentowym dzwonkiem telefonu wywołującym wibracje stuprocentowo realnego powietrza. Nie wstając z podłogi, wyciągnąłem rękę i podniosłem słuchawkę.

Dzwoniła dziewczyna. Robiła tak nikłe wrażenie, że o pół do piątej mogło już nie być po nim śladu. Była dawną dziewczyną znajomego. Przy jakiejś okazji ten znajomy związał się z tą robiącą nikłe wrażenie dziewczyną i przy jakiejś okazji się rozstali. A ja odegrałem (choć niechętnie) niewielką rolę przy ich poznaniu się.

– Słuchaj, przepraszam cię, ale mógłbyś mi powiedzieć, gdzie on teraz jest? – zapytała.

Przyjrzałem się słuchawce, powiodłem wzrokiem wzdłuż kabla. Był jak trzeba podłączony do słuchawki. Udzieliłem wymijającej

odpowiedzi. W jej głosie było coś złowieszczonego, a ja w miarę możliwości chciałem uniknąć kłopotów.

– Nikt mi nie chce powiedzieć – oznajmiła zimno. – Wszyscy udają, że nie wiedzą. Ale ja mam do niego ważną sprawę. Słuchaj, proszę cię, powiedz mi. Nie zrobię ci żadnego kłopotu. Gdzie on teraz jest?

– Naprawdę nie wiem. Już bardzo dawno go nie widziałem – odparłem, lecz mój głos brzmiał zupełnie obco. Naprawdę dawno się z tym znajomym nie widziałem. Ale znałem jego adres i telefon. Kiedy kłamię, głos strasznie dziwnie mi się zmienia.

Ona milczała.

Słuchawka stała się zimna jak sopel lodu.

Potem wszystko wokół mnie zmieniło się w sople lodu. Zupełnie jak w scenie z książki science fiction J.G. Ballarda.

– Naprawdę nie wiem – powtórzyłem. – Już dawno zniknął gdzieś bez słowa.

Dziewczyna roześmiała się po drugiej stronie.

– Nie wygłupiaj się. On nie jest taki mądry. Nawet ja to wiem. Nic nie potrafi zrobić bez wielkiego hałasu.

Rzeczywiście miała rację. Nie był taki mądry.

Nie mogłem jej powiedzieć, gdzie jest. Gdyby się dowiedział, że jej powiedziałem, to by do mnie zadzwonił. A ja nie chciałem zostać wplątany w jakieś idiotyczne sprawy. Pewnego dnia zdecydowałem się, wykopałem w ogrodzie głęboki dół i wszystko w nim pogrzebałem. Nikt już nigdy tego nie wykopie.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Słuchaj, ty mnie nie lubisz, prawda? – zapytała nagle.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie to, żebym jej nie lubił. Od początku nie wywierała na nikim prawie żadnego wrażenia. Ludzie, którzy nie wywierają żadnego wrażenia, nie mogą wyrzucić złego.

– Przepraszam – powtórzyłem. – Właśnie gotuję spaghetti.

– Co?

– Gotuję spaghetti – skłamałem. Nie wiem, dlaczego skłamałem. Ale to kłamstwo bardzo dobrze wpasowało się w moje myśli. W tamtej chwili wcale nie wydawało mi się kłamstwem.

Wlałem do garnka wyimaginowaną wodę, wyimaginowaną zapalką zapaliłem wyimaginowany ogień.

– I co z tego? – zapytała.

Wsypałem do wyimaginowanej wrzącej wody wyimaginowanej soli, lekko wsunąłem wiązki wyimaginowanego spaghetti, nastawiłem wyimaginowany minutnik na dwanaście minut.

– Dlatego teraz jestem trochę zajęty. Boję się, że spaghetti mi się poskleja.

Milczała.

– Przepraszam cię, ale gotowanie spaghetti wymaga dużego skupienia.

Ciągle milczała. Temperatura słuchawki w mojej dłoni znów zaczęła spadać poniżej zera.

W pośpiechu dodałem: – Więc mogłabyś później do mnie zadzwonić?

– Bo właśnie gotujesz spaghetti?

– Hm, tak.

– Gotujesz to spaghetti dla kogoś czy sam je będziesz jadł?

– Sam będę jadł.

Wstrzymała na dłuższą chwilę oddech. Potem powoli nabrała powietrza. – Ty pewnie nie wiesz, że ja naprawdę mam duży problem. Nie mam wyjścia.

– Bardzo mi przykro, że nie mogę ci pomóc – powiedziałem.

– I jest też kwestia pieniędzy.

– Aha.

– Chcę, żeby mi zwrócił. Pożyczyłam mu niewielką sumę. Nie powinnam była mu pożyczać. Ale musiałam.

Milczałem przez chwilę i rozmyślałem o spaghetti. – Przepraszam – powiedziałem.

– Bo gotujesz spaghetti.

– Uhm.

Roześmiała się bezsilnie. – Do widzenia – powiedziała. – Pozdrowienia dla tego twojego spaghetti. Mam nadzieję, że będzie dobre.

– Do widzenia.

Kiedy się rozłączyłem, kałuża słońca na podłodze przesunęła się o kilka centymetrów. Znów się w niej położyłem i spojrzałem na sufit.

Zdaje mi się, że smutne jest rozmyślanie o wiązce spaghetti, które nigdy nie zostało ugotowane.

Teraz trochę żałuję, powinienem był jej wtedy wszystko powiedzieć. Bo ten facet wcale nie był wiele wart. Pozbawiony treści, pusty facet przekonany, że jest artystą. Tylko w gębie był mocny, ale nikt mu nie ufał. A ona pewnie naprawdę miała problemy finansowe. A poza tym pożyczone pieniądze powinny być bez względu na wszystko zwrócone.

Czasami zastanawiam się, co się stało z tą dziewczyną. Zazwyczaj jedząc spaghetti. Czy po odłożeniu słuchawki została pochłonięta przez cienie o pół do piątej? Jeśli tak, czy jestem za to w części odpowiedzialny? Ale chciałbym, żebyście zrozumieli. Nie chciałem się z nikim zadawać. Dlatego ciągle samotnie gotowałem spaghetti. W tym wielkim garnku, w którym zmieściłby się wilczur.

Semolina, mąka z pszenicy durum.

Złote ziarno rodzące się na polach Włoch.

Włosi byliby pewnie zaskoczeni, gdyby wiedzieli, że w roku 1971 roku eksportowali „samotność”.



Tony Takitani

トニー滝谷

Toni Takitani

Tony Takitani naprawdę nazywał się Tony Takitani.

Z powodu tego imienia (które figurowało też oczywiście w akcie urodzenia), wydatnych rysów i kręconych włosów w dzieciństwie często był mylnie brany za dziecko cudzoziemca. Wojna dopiero co się skończyła i w żyłach wielu dzieci płynęła krew amerykańskich żołnierzy. W rzeczywistości oboje rodzice Tony'ego Takitaniego byli rodowitymi Japończykami. Ojciec, Shōzaburō Takitani, w latach trzydziestych zdobył niewielką sławę jako puzonista jazzowy. Cztery lata przed rozpoczęciem wojny na Pacyfiku zaplątał się w jakiś romans i musiał wyjechać z Tokio. Uznał, że jak już wyjeżdżać, to wyjeżdżać, i z puzonem pod pachą ruszył do Chin. W tamtych czasach w ciągu jednego dnia można było dopłynąć statkiem z Nagasaki do Szanghaju. Shōzaburō Takitani niczego w Tokio ani w Japonii nie zostawiał, toteż rozstanie z krajem przyszło mu bez trudu. Sztuczny splendor ówczesnego Szanghaju zdawał się bardziej pasować do jego charakteru. W jednej chwili przypadły mu do gustu lśniące w blasku poranka wytworne ulice, które ujrzał z pokładu statku płynącego w górę rzeki Jangcy. Ten poranny blask zdawał się nieść w sobie obietnicę wyjątkowo świetlanej przyszłości. Shōzaburō Takitani miał wtedy dwadzieścia jeden lat.

I tak grając na puzonie w nocnych klubach Szanghaju, przetrwał sobie spokojnie czasy zawieruchy: wojnę japońsko-chińską, atak na Pearl Harbor i zrzućenie bomb atomowych. Wojny rozgrywały się gdzieś indziej, w miejscu, które nie miało z nim nic wspólnego. Innymi słowy, Shōzaburō Takitani prawie w ogóle nie odczuwał potrzeby wzięcia udziału w historycznych wydarzeniach czy choćby oddania się refleksjom na ich temat. Jeżeli mógł sobie swobodnie grać na puzonie, dostawał trzy razy dziennie coś niezłego do jedzenia i miał wokół siebie kilka kobiet, niczego więcej nie pragnął. Był skromny, a jednocześnie arogancki. Z natury przerażająco samolubny, zwykle bywał także niezwykle życzliwy i sympatyczny. Dlatego prawie wszyscy go lubili. Młody, przystojny, a do tego

dobrze grał na instrumencie – wszędzie rzucał się w oczy jak wrona na śniegu. Spał z bardzo wieloma kobietami. Od Japonki przez Chinki po Rosjanki arystokratycznego pochodzenia, od prostytutek po mężatki, od piękności po brzydule – spał z każdą, jaka się nawinęła. Dzięki doprawdy słodkim tonom puzonu i ogromnemu, aktywnemu członkowi zasłynął w tamtych czasach na cały Szanghaj.

Los obdarzył go także talentem do nawiązywania „przydatnych” znajomości, choć sam nie w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Był w bliskich stosunkach z wysokimi rangą oficerami armii japońskiej, bogatymi Chińczykami i licznymi wpływowymi ludźmi, którzy niejasnymi sposobami ciągnęli z wojny ogromne zyski. Niejeden z nich ukrywał pod marynarką pistolet i wychodząc z domu, najpierw omiatał starannie wzrokiem ulicę. Ale o dziwo Shōzaburō Takitani znajdował z nimi wspólny język, a oni otaczali go szczególną opieką. Gdy miał jakiś kłopot, zawsze życzliwie załatwiali wszystko po jego myśli. W tamtych czasach Shōzaburō Takitanemu naprawdę dobrze się żyło.

Ale takie wyjątkowe zdolności czasami potrafią się obrócić przeciwko nam. Po zakończeniu wojny jego bliskie kontakty z różnymi podejrzanymi typami sprawiły, że zainteresowały się nim chińskie władze wojskowe i wtrącono go na dłuższy czas do więzienia. Więźniów mordowano jednego po drugim bez należytego sądu i wyroku. Pewnego dnia wyprowadzano człowieka na więzienny dziedziniec i rozstrzelivano z pistoletu automatycznego strzałem w głowę. Egzekucje zawsze odbywały się o drugiej po południu. Na dziedzińcu więzienia rozlegał się twardy zdławiony odgłos strzału.

Był to największy kryzys w życiu Shōzaburō Takitaniego. Życie ze śmiercią mijało się o włos. Pewnie przyjdzie mi tu umrzeć, myślał. Sama śmierć niezbyt mnie przeraża. Strzelą mi w łeb i na tym koniec. Cierpienie potrwa tylko sekundę. Żyłem do tej pory jak chciałem, spałem z mnóstwem kobiet. Zjadłem tonę dobrego żarcia, miałem dużo szczęścia. Specjalnie niczego w życiu nie żałuję. Nawet jeśli mnie tu zabiją, nie mam prawa narzekać. No, takie jest życie. Nie można mieć wszystkiego. Na tej wojnie zginęło kilka milionów

Japończyków. Wielu miało przecież dużo gorszą śmierć. Shōzaburō Takitani poddał się więc losowi i spędzał dni w jednoosobowej celi, beztrąsko pogwizdując. Dzień po dniu wpatrywał się w chmury przepływające za zakratowanym okienkiem, na tle poplamionej ściany rysował w myślach po kolei twarze i ciała kobiet, z którymi spał. Jednak w końcu Shōzaburō Takitani stał się jednym z dwóch Japończyków, którym udało się ująć z życiem z tego więzienia i wrócić do kraju. Ten drugi, wysoki rangą oficer, praktycznie zwariował. Shōzaburō Takitani stojąc na pokładzie statku i przyglądając się tym razem oddalającemu się stopniowo i malejącemu Szanghajowi, rozmyślał nad życiem, które naprawdę trudno zrozumieć.

Wiosną 1946 roku Shōzaburō Takitani wrócił do Japonii tak jak stał. Zostały z niego skóra i kości. Po powrocie odkrył, że jego dom rodzinny spłonął w bombardowaniu w marcu poprzedniego roku. Zginęli też wtedy jego rodzice. Jedyne starszy brat zaginął na froncie w Birmie. Innymi słowy, Shōzaburō Takitani był na świecie sam jak palec. Lecz nie czuł z tego powodu ani wielkiego smutku czy bólu, ani nie był tym specjalnie zaszokowany. Oczywiście odczuwał jakiś brak, ale pomyślał, że z grubsza biorąc, na tym właśnie polega życie. Prędzej czy później każdy zostaje sam. Miał wtedy trzydzieści lat. Nie był to wiek pozwalający uważać się nad sobą i narzekać, że zostało się samemu na świecie. Wydawało mu się, że postarzał się przez to o kilka lat. Ale to było wszystko. Nie doznawał specjalnie żadnych innych uczuć.

Tak czy inaczej przecież w końcu przeżył, a skoro przeżył, będzie musiał się pogłowić, jak żyć dalej.

Nie nadawał się do żadnej innej pracy, więc skontaktował się z kilkoma znajomymi z dawnych czasów, stworzył niewielki zespół jazzowy i zaczęli objeżdżać z występami bazy amerykańskie. Dzięki łatwości w nawiązywaniu kontaktów zaprzyjaźnił się z amerykańskim majorem z New Jersey pochodzącym z włoskiej rodziny. Był on miłośnikiem jazzu i zupełnie nieźle grał na klarncie. Zajmował się zaopatrzeniem dla wojska, więc mógł sprowadzać ze Stanów dowolną ilość potrzebnych płyt. Kiedy mieli

czas, często grali razem. Szli do kwatery majora, popijali piwo, słuchali pogodnych płyt jazzowych Bobby'ego Hacketta, Jacka Teagardena czy Benny'ego Goodmana i bardzo się starali naśladować ich grę. Major dostarczał przyjacielowi trudnych wówczas do zdobycia produktów spożywczych, mleka i alkoholu. Zupełnie niezłe czasy, myślał Shōzaburō Takitani.

W 1947 roku ożenił się. Jego żona była daleką kuzynką ze strony matki. Kiedyś spotkał ją przypadkiem na ulicy. Przy herbacie podzielili się wiadomościami o rodzinie i pogadali o dawnych czasach. Zaczęli się widywać i wkrótce jakoś – przypuszczalnie dlatego, że ona zaszła w ciążę – razem zamieszkali.

A przynajmniej tak mówił Tony'emu Takitaniemu ojciec. Tony Takitani nie wiedział, czy ojciec kochał żonę. Shōzaburō Takitani powiedział mu, że była ładną, cichą kobietą, lecz dość słabego zdrowia.

W następnym roku po ślubie urodził im się syn. Matka zmarła trzy dni później. Odeszła w okamgnieniu i w okamgnieniu została skremowana. Rozstała się z życiem bardzo spokojnie. Bez walki, bez dojmujących cierpień, umarła cicho, jakby zniknęła. Jakby ktoś w tle delikatnie wyłączył jakiś przycisk.

Shōzaburō Takitani nie bardzo wiedział, co powinien czuć. Takie emocje były mu nieznane. Nie w pełni udawało mu się uchwycić sedno śmierci. Nie umiał oszacować, ocenić, co dla niego znaczy. Potrafił ją jedynie przyjąć jako fakt dokonany. W rezultacie miał wrażenie, że coś mu utkwiło w piersi, jakby połknął jakiś płaski, okrągły przedmiot. Ale nie miał pojęcia, co to jest i dlaczego nie znika. Po prostu to coś tkwiło w środku, nie pozwalając mu się nad niczym głębiej zastanowić. Z tego powodu Shōzaburō Takitani spędził tydzień, prawie nad niczym się nie zastanawiając. Nie pamiętał nawet o dziecku pozostawionym w szpitalu.

Major zaopiekował się nim jak własnym krewnym, dodawał mu otuchy. Prawie codziennie pili w barze na terenie bazy. Słuchaj, musisz się wziąć w garść, przede wszystkim musisz porządnie wychować dziecko, powtarzał stanowczo major. Shōzaburō Takitani

nie rozumiał, o czym major mówi, ale w milczeniu kiwał głową. Jakoś docierała do niego przynajmniej życzliwość tamtego. Potem, jakby nagle mu to przyszło do głowy, major oznajmił, że jeżeli przyjaciel się zgodzi, chciałby nadać niemowlęciu imię. Rzeczywiście dziecko Shōzaburō Takitaniego nie miało jeszcze imienia.

Major zaproponował, żeby je nazwać po nim – Tony. Imię Tony w żadnym razie nie nadawało się na imię japońskiego chłopca, lecz taka wątpliwość nawet na chwilę nie pojawiła się w głowie majora. Po powrocie do domu Shōzaburō Takitani napisał na kartce „Tony Takitani”, powiesił ją na ścianie i przez kilka dni się w nią wpatrywał. Tony Takitani, wcale niezłe brzmi, pomyślał. Okupacja amerykańska pewnie jeszcze trochę potrwa i takie imię w amerykańskim stylu może się chłopcu kiedyś przydać. Ale życie dziecka, któremu nadano takie imię, bynajmniej nie było usłane różami. W szkole mu dokuczano, myśląc, że jest synem cudzoziemca. Kiedy się przedstawiał, ludzie robili dziwne albo wręcz niechętnie miny. Dla wielu osób kontakt z dzieckiem o takim imieniu był jak rozdrapywanie starych ran.

Między innymi z tego powodu Tony Takitani stał się odludkiem. Nie miał prawdziwych przyjaciół, lecz nie uznawał tego za nieszczęście. Uważał samotność za bardzo naturalną, można wręcz powiedzieć, że okazała się jego sposobem na życie. Jak sięgnął pamięcią, ojciec zawsze był w rozjazdach ze swoim zespołem. Kiedy Tony Takitani był mały, opiekowała się nim dochodząca gosposia, ale pod koniec szkoły podstawowej sam zaczął się wszystkim zajmować. Sam gotował, sam zamykał na noc dom, sam sypiał. Samotność szczególnie mu nie doskwierała. Swobodniej się czuł, robiąc wszystko sam, wolał, żeby nikt mu się do niczego nie wtrącał. Z jakiejś przyczyny Shōzaburō Takitani po śmierci żony ponownie się nie ożenił. Oczywiście nadal miał mnóstwo kobiet, lecz nigdy żadnej z nich nie przyprowadził do domu. Wyglądało na to, że tak jak syn, przyzwyczaił się radzić sobie sam. Stosunki ojca z synem nie były tak chłodne, jak mógłby sugerować ich tryb życia. Ponieważ obaj równie głęboko przywykli do samotności, żaden z

nich nie palił się do otwierania serca przed drugim. Nie czuli specjalnie takiej potrzeby. Shōzaburō Takitani nie nadawał się na ojca, a Tony Takitani nie nadawał się na syna.

Tony Takitani lubił rysować, każdy dzień spędzał sam w swoim pokoju wyłącznie na rysowaniu. Szczególnie interesowały go maszyny. Zaostrzonym jak igła ołówkiem świetnie potrafił odtwarzać wszystkie detale rowerów, radioodbiorników, silników i podobnych rzeczy. Nawet rysując kwiat, skrupulatnie odwzorowywał kolejno wszystkie żyłki liści. Inaczej nie potrafił rysować i nie przejmował się zdaniem innych. Stopnie z innych przedmiotów miał takie sobie, lecz z rysunków i wychowania plastycznego były wyjątkowo dobre. Zazwyczaj zdobywał pierwsze nagrody we wszystkich konkursach.

Dlatego naturalne było, że po skończeniu szkoły średniej wstąpił na Akademię Sztuk Pięknych (od tej chwili ojciec z synem zamieszkali osobno – żaden z nich tego nie zaproponował, jakoś samo tak się ułożyło), a później został ilustratorem. W rzeczywistości nie potrzebował zastanawiać się nad innymi możliwościami. Kiedy inni łamali sobie głowy, poszukiwali, cierpieli, on, nad niczym się nie zastanawiając, w milczeniu rysował dalej szczegółowe obrazki mechanizmów. Był to okres, kiedy młodzi z zapalem i gwałtownie przeciwstawiali się władzy, systemowi, nie miał więc przy sobie nikogo, kto doceniłby te wyjątkowo realistyczne rysunki. Profesorowie akademii na widok jego prac krzywo się uśmiechali. Koledzy z roku krytykowali ich brak zaangażowania ideologicznego. Tony Takitani natomiast nie mógł pojąć, co dobrego mają w sobie „zaangażowane” prace kolegów. W jego oczach były po prostu niedojrzałe, brzydkie i niedokładne.

Po skończeniu studiów sytuacja diametralnie się zmieniła. Tony’emu Takitaniemu od samego początku nigdy nie brakowało zamówień dzięki wyjątkowo praktycznej technice i faktycznej użyteczności jego prac. Nikt prócz niego nie potrafił tak precyzyjnie odwzorowywać skomplikowanych maszyn i struktur. Są bardziej realistyczne od pierwowzorów, zgadzali się wszyscy. Jego rysunki były dokładniejsze niż fotografie i łatwiej było coś na nich pokazać,

zamiast tracić czas na długie objaśnienia słowne. W jednej chwili stał się niezwykle poszukiwanym ilustratorem. Przyjmował wszystkie zamówienia dotyczące mechanizmów, od okładek magazynów motoryzacyjnych po ilustracje do reklam. Praca sprawiała mu przyjemność i dobrze zarabiał.

W tym czasie Shōzaburō Takitani spokojnie grał sobie na puzonie. Przyszły czas jazzu nowoczesnego, potem free jazz, a po nim jazz elektryczny, lecz on dalej niezmiennie grał w dawnym stylu. Nie został może gwiazdą, ale był dość popularnym jazzmanem i nigdy nie brakowało mu pracy. Zawsze mógł dobrze zjeść i pozwolić sobie na kobiety. Był całkiem zadowolony ze swojego życia.

Tony'emu Takitaniemu każdą wolną chwilę wypełniała praca, nie miał żadnego kosztownego hobby, więc w wieku trzydziestu pięciu lat stał się całkiem zamożnym człowiekiem. Za czyjąś radą kupił duży dom w eleganckiej dzielnicy Setagaya i stał się właścicielem kilku mieszkań do wynajęcia. Wszystkimi tego typu sprawami zajmował się jego księgowy.

Tony Takitani miał za sobą kilka związków z kobietami. Kiedy był młody, z jedną z nich nawet na krótki okres zamieszkał. Lecz nigdy nie myślał o małżeństwie. Nie czuł szczególnej potrzeby posiadania żony. Sam sobie gotował, sprzątał i prał, a kiedy był bardzo zajęty pracą, mógł na pewien czas zatrudnić gosposię. Nigdy nie pragnął mieć dzieci. Nie miał też bliskiego przyjaciela, przed którym mógłby otworzyć serce. Nie miał nawet z kim się napić. Co wcale nie znaczy, że był dziwakiem. Może nie wydawał się aż tak sympatyczny jak jego ojciec, ale na co dzień utrzymywał z ludźmi zupełnie normalne stosunki. Nie był arogancki ani zadufany w sobie. Nigdy nie szukał wymówek, nikogo nie obgadywał. Zamiast opowiadać o sobie, wolał słuchać innych. Przez to powszechnie go lubiano. Ale za nic nie potrafił nawiązać z nikim stosunków wykraczających poza te konieczne z praktycznego punktu widzenia. Z ojcem widywał się raz na dwa lub trzy lata, gdy miał do niego jakąś sprawę. Spotykali się i kiedy już załatwili, co należało załatwić, nie mieli sobie nic szczególnego do powiedzenia. I tak

cicho i spokojnie mijało jego życie. Tony Takitani myślał, że prawdopodobnie nigdy się nie ożeni.

Ale pewnego dnia niespodziewanie się zakochał. Stało się to naprawdę absurdalnie nagle. Do jego pracowni przyszła po ilustracje dziewczyna pracująca na zlecenie w wydawnictwie. Miała dwadzieścia dwa lata, sympatyczną twarz. Przez cały czas po jej wargach błąkał się spokojny uśmiech. Choć obiektywnie mówiąc, nie była piękną, miała w sobie coś, co gwałtownie chwyciło go za serce. Gdy tylko ją ujrzał, zrobiło mu się duszno i zabrakło mu tchu. Sam nie wiedział, co w niej go urzekło. A nawet gdyby wiedział, nie dawało się tego wyrazić słowami.

Dodatkowo zwróciło jego uwagę to, jak jest ubrana. Nie interesował się szczególnie strojami i nigdy nie zauważał, co kobiety miały na sobie, lecz zachwyciło go, że dziewczyna z tak ogromną przyjemnością nosi ubranie. Można wręcz powiedzieć, że go to wzruszyło. Wiele kobiet po prostu dobrze się ubierało. A jeszcze więcej ostentacyjnie się stroiło. Lecz ona zupełnie się od nich różniła. Nosiła ubranie bardzo naturalnie, z wielką gracją, zupełnie jak ptak zrywający się do lotu ku innemu światu nosi na skrzydłach szczególny wiatr. Nigdy wcześniej nie widział kobiety czerpiącej tyle radości ze stroju. Jej ubranie także wyglądało, jakby zdobyło własne, nowe życie dzięki temu, że ona je włożyła.

Przyjęła od niego ilustracje, podziękowała i wyszła, a on przez pewien czas nie mógł wydobyć słowa. Osłupiały siedział beczynn timer przy biurku, aż nadszedł wieczór i w pokoju zapanowała pełna ciemność.

Następnego dnia zadzwonił do wydawnictwa i wymyślił jakiś powód, żeby dziewczyna musiała znów przyjść do pracowni. Po załatwieniu sprawy zaprosił ją na obiad. Choć dzieliło ich aż piętnaście lat, o dziwo bardzo dobrze im się rozmawiało. Dogadywali się na każdy temat. Żadnemu z nich nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Ona była na początku spięta, lecz stopniowo się rozluźniła, zaczęła się dużo śmiać i dużo mówić. Żegnając się, Tony Takitani pochwalił ją, że zawsze jest świetnie ubrana. Lubię się

dobrze ubierać, uśmiechnęła się zawstydzona. Dlatego prawie całą pensję wydaję na ciuchy.

Potem umówili się kilka razy na randkę. Nigdzie specjalnie nie chodzili. Siadali w jakimś spokojnym miejscu i gawędzili. Mówili o sobie, o pracy, o tym, co czują i myślą na różne tematy. Mogli tak rozmawiać w nieskończoność, nigdy im się to nie przykrzyło. Mówili, jakby wypełniali jakąś pustkę. Przy piątym spotkaniu on się oświadczył. Lecz ona miała chłopaka od czasów szkoły średniej. Wraz z upływem lat ich związek zaczął się psuć i teraz przy każdym spotkaniu kłócili się o drobiazgi. Szczerze mówiąc, nie czuła się przy nim tak swobodnie i przyjemnie jak w czasie spotkań z Tonym Takitanim, ale nie mogła z tym chłopakiem tak po prostu zerwać. Miała swoje powody. Poza tym Tony Takitani był od niej piętnaście lat starszy. Ona jeszcze młoda, nie miała prawie doświadczenia życiowego. Nie dawało się przewidzieć, jakie znaczenie ta różnica wieku będzie miała w przyszłości. Poprosiła go więc o czas do namysłu.

Podczas gdy ona się namyślała, Tony Takitani przechodził piekło. Nie szła mu praca. Codziennie pił. W samotności, która nagle stała się ciężarem, zaczęła go przygniatać, męczyła. Samotność jest jak więzienie, pomyślał. Po prostu do tej pory tego nie zauważyłem. Oczami pełnymi rozpaczony wpatrywał się w otaczające go grube, zimne ściany. Jeżeli ona powie, że nie chce za niego wyjść, być może on po prostu tu umrze.

Spotkał się z nią i wszystko jej wyjaśnił. Powiedział, jak samotne było dotąd jego życie, jak wiele w nim utracił. I że dzięki niej to sobie uświadomił.

Dziewczyna była mądra. Polubiła tego człowieka, tego Tony'ego Takitaniego. Od początku poczuła do niego sympatię, a przy każdym spotkaniu coraz bardziej go lubiła. Nie wiedziała, czy można to nazwać miłością, lecz wyczuwała, że ten mężczyzna ma w sobie coś wspaniałego. Pomyślała, że jeżeli się z nim zwiąże, będzie szczęśliwa. Wzięli więc ślub.

Dzięki małżeństwu okres samotności w życiu Tony'ego Takitaniego dobiegł końca. Kiedy budził się rano, od razu chciał na nią spojrzeć. Widząc ją uśpioną obok, oddychał z ulgą. Gdy jej nie było, ogarniał go niepokój i zaczynał jej szukać po całym domu. Brak samotności zdawał mu się nieco dziwnym stanem. A to dlatego, że choć nie był już samotny, to teraz ogarniał go strach na myśl, co by się stało, gdyby znów został sam. Czasami tak się tego bał, że oblewał się zimnym potem. Ten strach trwał przez trzy miesiące po ślubie. Potem gdy Tony Takitani zaczął przywykać do nowego życia, gdy malało prawdopodobieństwo, że dziewczyna nagle zniknie, strach zaczął stopniowo słabnąć. W końcu Tony Takitani się opanował i mógł spokojnie zasmakować szczęścia.

Raz poszli posłuchać gry Shōzaburō Takitaniego. Ona chciała się dowiedzieć, jaką muzykę gra teść. Czy twój ojciec będzie miał coś przeciwko temu, jeśli pójdziemy go posłuchać? zapytała. Myślę, że nie, odpowiedział on. Wyruszyli więc do klubu w Ginzie, w którym występował Shōzaburō Takitani. Nie licząc dzieciństwa, Tony Takitani po raz pierwszy słyszał grę ojca. Shōzaburō Takitani grał dokładnie tak samo jak dawniej. Wyłącznie utwory z płyt, które puszczał w nieskończoność w domu, gdy Tony Takitani dorastał. Ojciec grał bardzo lekko, elegancko, słodko. Nie była to sztuka, a wykonywana przez profesjonalistę muzyka wprawiająca słuchaczy w dobry nastrój. Tony Takitani przysłuchiwał się, pijąc jak nigdy jedną whisky po drugiej.

Gdy tak się wsłuchiwał, coś w tej muzyce sprawiło, że zrobiło mu się duszno, nieswojo, zupełnie jakby jakiś osad po cichu lecz nieodwołalnie zapychał wąską rurkę. Tony Takitani czuł, że teraz ta muzyka różni się nieco od muzyki ojca zapamiętanej z dawnych czasów. Oczywiście minęło wiele lat, a poza tym był wtedy dzieckiem. Lecz zdawało mu się, że ta różnica jest bardzo ważna. Może prawie niezauważalna, ale i tak bardzo ważna. Wyraźnie to wyczuwał. Miał ochotę wejść na scenę, złapać ojca za ramię i zapytać: Tato, na czym polega ta różnica? Jednak oczywiście nie zrobił nic takiego. Przecież nie będzie umiał wytłumaczyć, dlaczego mu się tak wydaje. W milczeniu popijał whisky z wodą sodową i do

końca wysłuchał gry ojca. Potem razem z żoną nagrodzili występ brawami i wrócili do domu.

Nic nie rzucało cienia na ich życie małżeńskie. Jemu dalej bardzo dobrze szła praca, nigdy się nie kłócili. Często chodzili razem na spacer, do kina, jeździli na wycieczki. Ona, jak na swój wiek, była bardzo dobrą gospodynią, znała we wszystkim umiar. Energicznie i szybko radziła sobie z pracami domowymi i nigdy nie przysparzała mężowi niepotrzebnych kłopotów. Tylko jedno nie dawało Tony'emu Takitanemu spokoju. A mianowicie kupowała za dużo ubrań. Na widok ciuchów niemal całkowicie traciła panowanie nad sobą. W jednej chwili zmieniał się wyraz jej twarzy, a nawet głos. Za pierwszym razem pomyślał, że nagle zachorowała. Dostrzegł to u niej już przed ślubem, lecz w czasie podróży poślubnej po Europie było jeszcze gorzej. Żona kupowała wtedy szokującą ilość ubrań. W Mediolanie i Paryżu od rana do wieczora jak opętana biegała po butikach. Niczego nie zwiedzili. Nie widzieli ani Duomo, ani Luwru. Z tej podróży pamiętał wyłącznie sklepy z ubraniami. Valentino, Missoni, Yves Saint Laurent, Givenchy, Ferragamo, Armani, Cerruti, Gianfranco Ferré... Jak zaklęta, z nieprzytomnym wzrokiem kupowała wszystko po kolei, a on szedł za nią i płacił. Zaczął się martwić, czy od nadmiernego używania nie zetrze się numer karty kredytowej.

Po powrocie do Japonii ta gorączka nie minęła. Żona prawie codziennie kupowała ubrania. Ich liczba rosła błyskawicznie. Musiał przez to zamówić kilka wielkich szaf. Kazał też zbudować specjalne półki na buty. Ale to nie wystarczyło, musiał przerobić jeden pokój na garderobę. Dom był duży i pokoiów mieli aż nadto. Nie brakowało mu też pieniędzy. A poza tym żona tak dobrze we wszystkim wyglądała. Jeżeli tylko miała nowe ubrania, zdawała się być szczęśliwa. Dlatego Tony Takitani uważał, że nie może mieć do niej pretensji. To nie szkodzi, myślał. Nie ma ludzi idealnych.

Jednak kiedy ubrania przestały się mieścić w pokoju, lekko się zaniepokoił. Kiedyś pod nieobecność żony spróbował je policzyć. Według jego rachunku, nawet gdyby przebrała się codziennie dwukrotnie, włożenie wszystkich zajęłoby jej prawie dwa lata. To

jednak mimo wszystko za dużo, pomyślał. Nie mógł pojąć, dlaczego żona musi kupować ubrania jedno po drugim. Była tak zajęta zakupami, że prawie nie miała czasu ich nosić. To może być choroba psychiczna, myślał. Jeżeli tak, trzeba ją jakoś powstrzymać.

Pewnego dnia po kolacji zdecydował się poruszyć ten temat. Może przestałabyś trochę kupować ubrania, powiedział. Nie chodzi mi tylko o pieniądze. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś kupowała, co potrzebujesz, i cieszę się, kiedy ładnie wyglądasz, ale czy naprawdę potrzeba ci tak wiele kosztownych strojów?

Żona spuściła głowę i przez chwilę się zastanawiała. A potem powiedziała: Rzeczywiście, chyba masz rację. Pewnie nie potrzebuję tylu ubrań. Ja też to rozumiem, ale choć rozumiem, nic nie mogę na to poradzić. Kiedy widzę coś pięknego, muszę to koniecznie kupić. To, czy mi jest potrzebne, czy nie, czy mam dużo ubrań, czy mało, nie gra żadnej roli. Po prostu nie mogę się powstrzymać od kupowania.

Ale postaram się jakoś z tego wyleczyć (powiedziała, że to przypomina uzależnienie od narkotyków). Jak tak dalej pójdzie, niedługo cały dom wypełni się ubraniami. Przez tydzień nie chodziła do sklepów, nie ruszyła się na krok z domu. Były to dla niej strasznie ciężkie dni. Miała wrażenie, że znalazła się na planecie, gdzie brakuje powietrza. Spędzała dzień po dniu, chodząc do garderoby i przyglądając się kolejno swoim ubraniom. Wkładała je, głaskała materiały, wachała i przeglądała się w lustrze. Nigdy jej to nie nużyło. Im dłużej patrzyła, tym bardziej pragnęła nowych. A kiedy zapragnęła, nie mogła się powstrzymać.

Po prostu najzwyczajniej nie mogła się powstrzymać.

Kochała i szanowała męża. Uważała, że ma rację. Nie potrzebuje tylu strojów. Ma przecież tylko jedno ciało do ubrania. Zadzwoiła do butiku, w którym była stałą klientką, i zapytała, czy mogłaby zwrócić płaszcz i sukienkę kupione dziesięć dni wcześniej i wcale nienoszone. Dobrze, proszę przynieść, przyjmujemy je z powrotem, odpowiedziała właścicielka. Jest pani wyjątkowo dobrą klientką, więc pójde pani na rękę. Dziewczyna zabrała płaszcz wraz z

sukienką, wsiadła do samochodu i pojechała do Aoyamy. Oddała ubrania, zwrócono jej pieniądze na konto karty kredytowej, podziękowała, wyszła ze sklepu, starając się nie rozglądać dookoła, w pośpiechu wsiadła do samochodu i ruszyła prosto do domu. Dzięki temu, że zwróciła ubrania, zrobiło jej się nieco lżej na sercu. Tak, nie były mi potrzebne, powiedziała sobie. Mam tyle płaszców i sukienek, że nie zabraknie mi do końca życia. Lecz stojąc na czerwonym świetle jako pierwsza w rzędzie samochodów na skrzyżowaniu, przez cały czas myślała o tym płaszczu i sukience. Dokładnie pamiętała ich kolor, fason, fakturę materiału. Wyraźnie przypominała sobie wszystkie szczegóły, jakby miała je przed oczami. Poczowała, że na czoło występuje jej pot. Oparłszy łokcie na kierownicy, wzięła głęboki oddech. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że światło zmienia się na zielone. Nieomal odruchowo zdecydowanie nacisnęła pedał gazu.

Wtedy wielka ciężarówka, próbująca w ostatniej chwili przejechać skrzyżowanie na żółtym świetle, uderzyła z boku z pełnym rozpędem w przód jej renault 5. Stało się to tak szybko, że dziewczyna nic nie poczuła.

Tony'emu Takitanemu został tylko pokój wypełniony górą ubrań w rozmiarze 34. Samych butów było sto dwanaście par. Nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Nie chciał w nieskończoność przechowywać rzeczy żony, więc pozbył się najpierw wyrobów galanteryjnych. Wezwał handlarza i przyjął pierwszą cenę, jaką tamten zaoferował. Pończochy, bieliznę i podobne rzeczy wrzucił do pieca do spalania odpadów w ogrodzie. Ale ubrań i butów było jednak za dużo, toteż ich nie ruszył. Po pogrzebie zamknął się w garderobie i od rana do wieczora wpatrywał się w wypełniające ją ciasno ubrania.

W dziesięć dni po pogrzebie zamieścił w gazecie ogłoszenie, że poszukuje asystentki. Musi nosić rozmiar 34, mieć około 161 cm wzrostu, rozmiar buta 22. Wysokie wynagrodzenie, dobre warunki. Pensja, którą proponował, była doprawdy wyjątkowo atrakcyjna,

więc do jego pracowni w Minami Aoyama zgłosiło się na rozmowę kwalifikacyjną aż trzysta kobiet. Oczywiście było, że pięć z nich kłamało na temat rozmiaru. Spośród pozostałych ośmiu wybrał tę, która z figury najbardziej przypominała jego żonę. Była to dwudziestoparoletnia dziewczyna o niczym niewyróżniającej się twarzy. Miała na sobie białą bluzkę bez ozdób i obcisłą niebieską spódnicę. I strój, i buty były schludne, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się okazały się znoszone.

Tony Takitani powiedział jej: W samej pracy nie ma nic trudnego. Prosiłbym panią tylko o przychodzenie do biura codziennie od dziewiątej do piątej, odbieranie telefonów, dostarczanie w moim imieniu ilustracji i odbieranie zamówień oraz robienie kopii. Ale jest jeden warunek. Prawdę mówiąc, właśnie straciłem żonę i w domu zostało niezwykle dużo jej ubrań. Większość to rzeczy zupełnie nowe albo prawie nowe. Chciałbym, żeby podczas pracy nosiła je pani jako strój służbowy. Dlatego umieściłem rozmiar ubrania, obuwia oraz wzrost wśród wymagań w ogłoszeniu. Przypuszczam, że dziwi pani moje słowa. Na pewno myśli pani, że to jakaś podejrzana historia. Sam zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie mam żadnych ukrytych zamiarów. Tylko muszę przywyknąć do tego, że żona odeszła, i zajmie mi to trochę. Innymi słowy, muszę powoli przystosować się do zmiany ciśnienia w powietrzu. Potrzebny mi taki czas. Chciałbym, żeby pani nosiła rzeczy żony i była w pobliżu. Powinno mi się w ten sposób udać w pełni sobie uświadomić, że żona umarła i już jej nie ma.

Dziewczyna przygryzła wargi i szybko zastanowiła się nad tym niezwykłym warunkiem. Rzeczywiście była to dziwna historia. Szczerze mówiąc, niezupełnie do niej dotarło, o czym mówił Tony Takitani. Zrozumiała, że ostatnio zmarła mu żona. Zrozumiała też, że zostało po niej dużo ubrań. Ale nie całkiem mogła pojąć, dlaczego miałyby w pracy nosić w jego obecności rzeczy żony. Normalnie założyłaby, że mężczyzna coś ukrywa. Lecz nie wygląda na złego człowieka, pomyślała. Można to poznać po sposobie mówienia. Może coś jest z nim trochę nie tak po śmierci żony, ale nie wygląda na typa, który chciałby kogoś skrzywdzić. A poza tym przede

wszystkim potrzebowała pracy. Szukała jakiegokolwiek od dłuższego czasu. W przyszłym miesiącu kończy jej się zasiłek dla bezrobotnych. A wtedy trudno będzie zapłacić nawet za wynajem mieszkania. Pewnie nigdy więcej nie uda jej się znaleźć pracy z tak dobrym wynagrodzeniem.

Dobrze, powiedziała. Niezbyt dokładnie rozumiem całą sytuację, ale myślę, że mogę zrobić to, co pan sobie życzy. Tylko czy mógłby mi pan przedtem pokazać te ubrania? Myślę, że lepiej sprawdzić, czy naprawdę są w moim rozmiarze. Oczywiście, odpowiedział Tony Takitani. Zabrał ją do siebie do domu i pokazał garderobę wypełnioną strojami. Dziewczyna nigdy przedtem poza domem towarowym nie widziała tylu ubrań zgromadzonych w jednym miejscu. Przy tym wszystkie co do jednego były kosztowne, wysokiej jakości i w doskonałym guście. Był to oszałamiający widok. Zaparło jej dech. Nie wiadomo dlaczego, zaczęło jej walić serce. Miała wrażenie, że to uczucie przypomina seksualne podniecenie.

Tony Takitani poprosił, żeby sprawdziła, czy rozmiar pasuje, i wyszedł, zostawiając ją samą w garderobie. Dziewczyna wzięła się w garść i przymierzyła kilka ubrań z brzegu. Przymierzyła też buty. I ubrania, i buty pasowały jak ulał, jakby zostały dla niej zrobione. Brała do rąk kolejne i przyglądała się im. Głaskała opuszkami palców, wachała. Wisiało tam w rzędach kilkaset strojów. Wkrótce jej oczy wypełniły się łzami. Nie mogła się powstrzymać od płaczu. Łzy płynęły nieprzerwanie. Nie dały się pohamować. Stała nieruchoma wśród ubrań zmarłej kobiety, łkając bezgłośnie. Wkrótce Tony Takitani przyszedł zobaczyć, co się dzieje, i zapytał, dlaczego płacze. Nie wiem, odpowiedziała, potrząsając głową. Nigdy przedtem nie widziałam tylu pięknych strojów i pewnie od tego zrobił mi się zamęt w głowie. Przepraszam, powiedziała. Otarła łzy chusteczką.

Jeżeli to pani odpowiada, chciałbym, żeby zaczęła pani pracę od jutra, powiedział Tony Takitani urzędowym tonem. Proszę na razie wybrać ubrania oraz buty na pierwszy tydzień i wziąć je ze sobą.

Dziewczyna poświęciła dużo czasu na wybranie zestawów na sześć dni. Dopasowała do nich buty. Włożyła wszystko do walizki.

Niech pani lepiej weźmie płaszcz, bo może się zrobić zimno, powiedział Tony Takitani. Dołożyła więc szary kaszmirowy płaszcz wyglądający na ciepły. Był lekki jak piórko. Pierwszy raz w życiu widziała taki lekki płaszcz.

Po jej odejściu Tony Takitani wszedł do garderoby, zamknął drzwi i przez pewien czas nieobecny wzrokiem wodził po ubraniach. Nie bardzo rozumiał, dlaczego kobieta rozplakała się na ich widok. Dla niego wyglądały jak cienie pozostawione przez żonę. Wiszące w rzędach na wieszakach cienie w rozmiarze 34 nakładały się jeden na drugi. Wyglądały, jakby ktoś zgromadził tu i porozwieszał próbki nieograniczonych (a przynajmniej teoretycznie nieograniczonych) możliwości, jakie niesie w sobie ludzka egzystencja.

Niegdyś oblekały ciało żony, które dawało im ciepłe tchnienie życia, poruszały się razem z nią. Lecz teraz miał przed oczami jedynie stado nędznych cieni, wysychających z minuty na minutę, bo zostały odcięte od korzeni życia. Były tylko pozbawionymi znaczenia, postarzałymi ubraniami. Patrząc na nie, czuł, że stopniowo robi mu się duszno. W powietrzu jak pyłek kwiatowy unosiły się różne kolory, wlatywały mu do oczu, uszu, nozdrzy. Falbanki, guziki, pagony, ozdobne kieszonki, koronki, paski chciwie wysysały powietrze z pokoju, dziwnie je rozrzedzając. Zapach suto rozłożonej naftaliny wydawał bezgłośnie dźwięki jak skrzydełka niezliczonych drobnych owadów. Nagle się zorientował, że nienawidzi tych ubrań. Oparł się o ścianę, założył ręce i zamknął oczy. Znowu pochłonęła go samotność, jak ciepława zupa ciemności. To wszystko już się skończyło, pomyślał. Nic na to nie poradzę, wszystko się skończyło.

Zadzwoił do dziewczyny i poprosił, żeby zapomniała o całej sprawie. Najmocniej przepraszam, ale pracy nie będzie, powiedział. Dlaczego, zapytała zdziwiona. Przepraszam, lecz sytuacja się zmieniła, odparł. Proszę zatrzymać ubrania i buty, które pani wzięła, walizki też, i proszę o tym wszystkim zapomnieć, nikomu o tym nie mówić, prosił Tony Takitani. Dziewczyna nie bardzo

rozumiała, o co chodzi, ale w trakcie rozmowy odechciało jej się dopytywać. Dobrze, powiedziała i rozłączyła się.

Potem przez pewien czas była zła na Tony'ego Takitaniego. Lecz niedługo zaczęło jej się wydawać, że może i dobrze się stało. Od samego początku dostrzegła w tym wszystkim coś nienaturalnego. Szkoda, że nie ma pracy, ale jakoś to będzie.

Wyjęła ubrania przyniesione od Tony'ego Takitaniego, starannie je rozłożyła, po kolei powiesiła w szafie, buty schowała do szafki w przedpokoju. W porównaniu z nowymi przybyszami jej własne ubrania i buty wyglądały zadziwiająco nędznie. Czuła, jakby były przedmiotami innego rodzaju, sporządzonymi z innych składników w całkowicie innym wymiarze. Zdjęła bluzkę i spódnicę, które miała na sobie w czasie rozmowy o pracę, powiesiła na wieszaku, przebrała się w dżinsy i bluzę od dresu, usiadła na podłodze, wyjęła z lodówki piwo i napiła się. Westchnęła, przypomniawszy sobie górę ubrań w domu Tony'ego Takitaniego. Tyle pięknych ubrań, pomyślała. O rany, ta garderoba była większa od całego mojego mieszkania. Zgromadzenie tylu ubrań na pewno wymagało mnóstwo pieniędzy i czasu. Ale ta kobieta już nie żyje. Zostawiła po sobie pokój pełen ubrań w rozmiarze 34. Co czuje się, umierając i zostawiając po sobie tyle wspaniałych ubrań? myślała.

Przyjaciółki dobrze wiedziały, że jest biedna, więc strasznie się dziwiły, kiedy zaczęła przychodzić na każde spotkanie w nowym stroju. Nosiła teraz same wyszukane, kosztowne, markowe rzeczy. Wszystkie koleżanki pytały, skąd wzięła takie ciuchy. Nie mogę wam powiedzieć, bo obiecałam, że nie powiem, odparła, potrząsając głową. A poza tym nawet gdybym wam wytłumaczyła, i tak byście nie uwierzyły.

W końcu Tony Takitani sprowadził kogoś ze sklepu z używaną odzieżą i pozbył się wszystkich rzeczy pozostałych po żonie. Dostał niezbyt wiele pieniędzy. Prawdopodobnie nie zapłacono mu nawet jednej dwudziestej tego, ile ubrania kosztowały. Ale było mu już wszystko jedno. Po prostu chciał, żeby je wszystkie co do jednego

zabrano, choćby za darmo. Gdzieś daleko, gdzie już nigdy ich nie zobaczy.

Potem przez parę lat opuszczona garderoba stała pusta.

Tony Takitani czasami tam wchodził. Nic nie robił, po prostu siedział przez godzinę czy dwie na podłodze i wpatrywał się nieruchomo w puste ściany. Znajdowały się tam cienie cieni zmarłej. Lecz wraz z upływem lat nie mógł już sobie przypomnieć, co było wcześniej. Wspomnienia kolorów i zapachów nie wiadomo kiedy zniknęły. Nawet jego niegdyś żywe uczucia cofnęły się już poza obszar pamięci. Wspomnienia jak mgła poruszana wiatrem powoli zmieniały kształt, a przy każdej zmianie kształtu bladły. Stały się cieniami cieni dawnych cieni. Namacalne było tu jedynie poczucie braku pozostawione przez rzeczy, które kiedyś istniały. Po pewnym czasie nie mógł nawet dokładnie przywołać w myślach twarzy żony. Ale czasami przypominał sobie nieznaną dziewczynę, która rozplakała się na widok pozostałych po żonie ubrań. Pamiętał jej niczym niewyróżniającą się twarz, zniszczone lakierowane buty. W pamięci ożywał jej cichy szloch. Nie chciał tego pamiętać, lecz wspomnienie wracało do niego nie wiadomo kiedy. Choć zupełnie zapomniał już tak wiele rzeczy, o dziwo nie mógł zapomnieć tej kobiety, mimo że nie pamiętał nawet jej imienia.

W dwa lata po śmierci żony zmarł na raka wątroby jego ojciec. Jak na chorobę nowotworową Shōzaburō Takitani cierpiał niewiele i niedługo leżał w szpitalu. Umarł, nieomal jakby zasnął. W tym sensie do końca miał szczęście. Nie zostawił po sobie pokaźnego majątku, jedynie pewną ilość gotówki i akcje. Został też pamiątkowy instrument i ogromna kolekcja płyt z jazzem tradycyjnym. Tony Takitani nie wyjął ich nawet z kartonów firmy przewozowej. Ustawił pudła jedno na drugim na podłodze w garderobie. Unosił się znad nich zapach pleśni, więc musiał regularnie otwierać okno i wietrzyć. Prócz tych okazji nigdy nie wchodził do tego pokoju.

Tak minął rok. Stopniowo zaczęła go męczyć świadomość, że ma w domu górę płyt. Czasami na samą myśl o nich robiło mu się strasznie duszno. Zdarzało się też, że budził się w środku nocy i nie

mógł zasnąć. Jego wspomnienia nie były już żywe, ale czuł, że dalej je w sobie nosi, że mają swój ciężar.

Wezwał handlarza używanymi płytami i poprosił o wycenę kolekcji. Ponieważ wiele z tych płyt bardzo dawno temu zniknęło z rynku, facet zaproponował mu niezłą sumę. Wystarczyłoby nieomal na niewielki samochód, ale to też mu było obojętne.

Kiedy zniknęła góra płyt, Tony Takitani został tym razem naprawdę sam jak palec.



Rozkwit i upadek pieczonych rozków

とんがり焼の盛衰

Tongariyaki-no seisui

Przeglądałem bezmyślnie poranną gazetę, gdy zauważyłem w rogu ogłoszenie: „Konkurs na nową wersję pieczonych rożków – słynnego wyrobu cukierniczego. Wielkie spotkanie informacyjne”. Nie wiedziałem, co to pieczone rożki. Ale skoro piszą, że słynny wyrób cukierniczy, to pewnie jakieś ciastka. Jestem dość wybredny w kwestii ciastek. Do tego miałem czas, więc postanowiłem iść na owo „wielkie spotkanie informacyjne”.

„Wielkie spotkanie informacyjne” odbywało się w przestronnej sali hotelowej, podawali herbatę, a nawet ciastka. Oczywiście pieczone rożki. Spróbowałem jednego, ale smak nie powalił mnie na kolana. Słodycz miała w sobie coś lepkiego, skórka była zbyt gumista. Nie sądzę, by dzisiejsze młode pokolenie mogło w nich gustować.

Mimo to na spotkaniu informacyjnym stawili się wyłącznie młodzi ludzie, w moim wieku albo młodszy. Dostałem tabliczkę z numerem 952, ale po mnie przyszło jeszcze ze sto osób, co znaczyło, że na spotkaniu było nas ponad tysiąc. To nie było co.

Obok mnie siedziała dziewczyna około dwudziestki w grubych okularach. Nie była piękna, ale zdawała się stosunkowo sympatyczna.

– Słuchaj, jadłaś kiedyś przedtem pieczone rożki? – zapytałem.

– Oczywiście! – odparła. – Przecież są słynne.

– Ale są niezbyt sma... – zacząłem, lecz ona mocno mnie kopnęła w nogę. Ludzie dookoła się na mnie gapili. Nieprzyjemna atmosfera. Zrobiłem niewinną minę w stylu Kubusia Puchatka i jakoś to zniosłem.

– Głupi jesteś – wyszeptała mi później do ucha. – Jak będziesz tutaj krytykował pieczone rożki, dopadną cię rogate kruki i nie ujdiesz stąd z życiem.

– Rogate kruki?! – zawołałem zaskoczony. – Co za rogate kruki...?

– Ciiiiiiii... – powiedziała dziewczyna. Zaczynało się spotkanie informacyjne.

Najpierw prezes firmy cukierniczej Pieczone Rożki przedstawił zarys historii tych ciastek. Opowiadał o tym, że pierwsze pieczone rożki wywodzą się z okresu Heian[7], kiedy ktoś tam coś zrobił – nie byłem pewien, czy to prawda. Podobno w słynnej antologii *Zbiór pieśni dawnych i nowych* z początków dziesiątego wieku znajduje się wiersz na temat pieczonych rożków. Rozbawiło mnie to i miałem ochotę się roześmiać, ale wszyscy wokół słuchali w nabożnym skupieniu, bałem się też rogatych kruków, więc w końcu się nie roześmiałem.

Wyjaśnienia prezesa ciągnęły się przez okrągłą godzinę. Były strasznie nudne. Chodziło mu o to, że „pieczone rożki mają długą tradycję”. Dałoby się to ująć w jednym zdaniu.

Potem zabrał głos dyrektor generalny. Mówił o konkursie na nową wersję pieczonych rożków, o tym, że jako ciastka narodowe dumne ze swej tradycji muszą się dialektycznie rozwijać, potrzebują świeżej krwi w każdej mijającej epoce. To dobrze brzmiało, ale w sumie chodziło o to, że pieczone rożki zrobiły się staroświeckie, sprzedaż spada i dlatego firma potrzebuje pomysłów młodych ludzi. Skoro tak, to przecież mogą wprost to powiedzieć.

Na koniec dostałem regulamin konkursu. Należało w ciągu miesiąca wymyślić, sporządzić i dostarczyć ciastka inspirowane pieczonymi rożkami, nagroda wynosiła 2 miliony jenów. Gdybym miał 2 miliony jenów, mógłbym się ożenić ze swoją dziewczyną i przenieść do innego mieszkania. Dlatego postanowiłem wymyślić nową wersję pieczonych rożków.

Jak wcześniej wspomniałem, jestem trochę wybredny jeśli chodzi o ciastka. Potrafię zrobić różne rodzaje słodkiej pasty z fasoli, kremów i kruchych ciast. Wymyślenie w ciągu miesiąca nowoczesnych pieczonych rożków to dla mnie prosta sprawa. W dniu, w którym upływał termin, upiekłem dwa tuziny i zaniósłem do recepcji firmy cukierniczej Pieczone Rożki.

– Bardzo smacznie wyglądają – powiedziała dziewczyna w recepcji.

– Są smaczne – odparłem.

W miesiąc później zadzwonili do mnie z firmy cukierniczej Pieczone Rożki, prosząc, żebym się do nich zgłosił następnego dnia. Włożyłem krawat i poszedłem. W pokoju recepcyjnym odbyłem rozmowę z dyrektorem generalnym.

– Zgłoszone przez pana do konkursu nowe pieczone rożki cieszą się w firmie dużą popularnością – powiedział dyrektor. – A szczególnie... spotkały się z uznaniem młodszych pracowników.

– Bardzo mi przyjemnie.

– Ale z drugiej strony, hm... wśród starszych pracowników są osoby, które mówią, że to już nie są pieczone rożki. To znaczy... jedni są za, drudzy przeciw.

– Aha – powiedziałem. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

– I na spotkaniu dyrekcji postanowiliśmy zapytać, jakie jest zdanie Ich Wysokości Rogatych Kruków.

– Rogatych kruków! – zawołałem. – Co to właściwie są te rogate kruki?

Dyrektor Generalny patrzył na mnie kompletnie zaskoczony. – Czy pan przystąpił do tego konkursu, nie wiedząc, kim są Ich Wysokości Rogate Kruki?

– Najmocniej przepraszam. Niewiele wiem o świecie.

– To dopiero kłopot – powiedział dyrektor, kręcąc głową. – Że też pan nie wiedział o Ich Wysokościach Rogatych Krukach... No ale, nie ma rady, dobrze. Proszę za mną.

Wyszedłem za nim z pokoju, poszliśmy korytarzem, wjechaliśmy windą na piąte piętro, potem znów przemierzaliśmy korytarz. Na końcu znajdowały się duże żelazne drzwi. Dyrektor nacisnął dzwonek i pojawił się krzepko zbudowany strażnik. Na widok dyrektora otworzył drzwi. Bardzo solidne zabezpieczenia.

– Tutaj znajdują się Ich Wysokości Rogate Kruki – powiedział dyrektor. – Rogate kruki to szczególny gatunek kruków, który od dawna odżywia się wyłącznie pieczonymi rożkami...

Dalsze wyjaśnienia nie były konieczne. W pokoju znajdowało się ponad sto kruków. Przypominający magazyn pokój pięciometrowej wysokości przecinały liczne grzędy, na których siedziały rzędami rogate kruki. Były znacznie większe od zwykłych kruków, największe miały około metra. Małe dochodziły do sześćdziesięciu centymetrów. Kiedy się im przyjrzałem, zauważyłem, że nie mają oczu. W miejscu, gdzie powinny być oczy, znajdowały się tylko białe kulki, chyba tłuszczu. Do tego ich ciała były tak nabrzmięte, jakby lada chwila miały pęknąć.

Gdy usłyszały, że wchodzimy, zaczęły wszystkie naraz coś krakać, machając skrzydłami. Najpierw brzmiało to jak zwykły jazgot, ale kiedy moje uszy do niego przywykły, zdałem sobie sprawę, że wszystkie krzyczą: „Pieczone rożki! Pieczone rożki”. Wyglądały odrażająco.

Dyrektor wyjął z niesionego pudełka pieczone rożki i rozsypał je na podłodze, a ponad sto rogatych kruków jednocześnie się na nie rzuciło. W poszukiwaniu pieczonych rożków dziobały się nawzajem gdzie popadło. O rany, nie ma się co dziwić, że w tej sytuacji potraciły oczy.

Następnie dyrektor wyjął z innego pudełka ciastka podobne do pieczonych rożków i rozsypał po podłodze. – Proszę popatrzeć. To ciastka, które odpadły w konkursie.

Kruki jak przedtem rzuciły się na nie całym stadem, ale kiedy zdały sobie sprawę, że to nie pieczone rożki, zaczęły je wypluwać i jednocześnie krakać ze złością.

– Pieczone rożki!

– Pieczone rożki!

– Pieczone rożki! – wrzeszczały. To krakanie odbijało się echem od sufitu, aż uszy bolały.

– No widzi pan, jedzą tylko prawdziwe pieczone rożki – powiedział z dumą dyrektor. – Fałszywych nawet nie biorą do dzioba.

– Pieczone rożki!

– Pieczone rożki!

– Pieczone rożki!

– Teraz rozsypię im nowe pieczone rożki, zrobione przez pana. Jeżeli zjedzą, wygra pan, jeżeli nie, odpadnie pan z konkursu.

Co się stanie, jak im nie będą smakować? zaniepokoiłem się. Miałem jakieś strasznie złe przeczucie. Nie powinni pozwolić decydować o wygranej takiemu stadu głupków. Nie przejmując się moimi wątpliwościami, dyrektor energicznie sypnął krukom „nowe pieczone rożki” zgłoszone przeze mnie do konkursu. Kruki znów się wokół nich zgromadziły. I zaczął się zamęt. Niektóre jadły ciastka z zadowoleniem, niektórzy wypluwały je i domagały się innych, krzycząc: – Pieczone rożki! – Następnie kruki, którym nie udało się dorwać do ciastek, zdenerwowały się i zaczęły wbijać dzioby w szyje tych, które je zjadły. Trysnęła krew. Jeden rzucił się na ciastko wyplute przez innego, lecz złapał go olbrzym krzyczący: „Pieczone rożki!”, i rozpruł mu dziobem brzuch. Tak zaczęła się bijatyka. Krew domagała się krwi, nienawiść budziła nienawiść. Poszło tylko o ciastka, ale dla kruków te ciastka były wszystkim. Kwestia czy to pieczone rożki, czy nie, stała się dla nich sprawą życia i śmierci.

– No, proszę spojrzeć – powiedział dyrektor. – Tak bez uprzedzenia im je rozsypałem, bodziec był zbyt silny.

Wyszedłem sam na korytarz, zjechałem windą na dół i opuściłem budynek firmy cukierniczej Pieczone Rożki. Żał mi było dwóch milionów nagrody, ale za nic w świecie nie chciałem spędzić reszty życia z tymi krukami.

Będę sobie gotował i jadł to, na co mi przyjdzie ochota. A te kruki mogą się zadziobać na śmierć.



Lodowaty mężczyzna

氷男

Kōri-otoko

Wysłałam za mąż za lodowatego mężczyznę.

Poznałam go w hotelu w pewnym kurorcie narciarskim. Być może to najodpowiedniejsze miejsce, by poznać lodowatego mężczyznę.

W gwarnym, tłoczonym, pełnym młodych ludzi lobby hotelowym, w kącie najbardziej oddalonym od kominka, siedział na krześle lodowaty mężczyzna i spokojnie czytał książkę. Zbliżało się już południe, ale miałam wrażenie, że tylko jego otacza jasne światło zimowego poranka. – Wiesz, to jest lodowaty mężczyzna – powiedziała mi cicho przyjaciółka. Ale ja wtedy nie miałam pojęcia, co to znaczy. Moja koleżanka też nie bardzo wiedziała. Wiedziała jedynie, że ten człowiek jest nazywany lodowatym mężczyzną. – Na pewno jest cały z lodu. Dlatego tak go nazywają – powiedziała z poważną miną. Zupełnie jakby mówiła o duchu albo o kimś chorym na chorobę zakaźną.

Lodowaty mężczyzna był wysoki, jego włosy wydawały się sztywne. Twarz miał jeszcze młodą, ale w tych przypominających druty włosach tu i tam przebłyskiwało coś srebrnego, jakby topniejący śnieg. Kości policzkowe sterczały jak zamarzniete skały, na palcach miał ślady nigdy nietopniejącego szronu, ale poza tym jego wygląd zewnętrzny nie różnił się od wyglądu zwykłego człowieka. Być może trudno go nazwać przystojnym, ale w zależności od punktu widzenia mógł się wydawać niezmiernie czarujący. Miał w sobie coś, co przeszywało serce jak strzała. Szczególnie wzrok sprawiał takie wrażenie. Miał milczące przezroczyście oczy, lśniące niczym sople w zimowy poranek. W całym prowizorycznie wykonanym cieple tylko one miały w sobie blask prawdziwego życia. Stałam tam przez pewien czas, przyglądając się z daleka lodowatemu mężczyźnie. Ale on ani razu nie podniósł głowy. Nieruchomo czytał dalej książkę. Zupełnie jakby chciał sam siebie przekonać, że nikogo wokół nie ma.

Następnego popołudnia lodowaty mężczyzna znów siedział z książką w tym samym miejscu. Kiedy po obiedzie wracałam z

jadalni i kiedy późnym popołudniem przyszliśmy całą grupą z nart, siedział na tym samym krześle co poprzedniego dnia i patrzył tym samym wzrokiem na kartki tej samej książki. Kolejnego dnia było to samo. Choć zapadł zmierzch, choć było coraz później, ze spokojem panującej za oknem zimy czytał w samotności książkę.

Czwartego popołudnia wymyśliłam jakiś pretekst i nie poszłam na stok. Zostałam sama w hotelu, pochodziłam trochę po holu. Wszyscy byli na nartach i panowała tu pustka jak w jakimś dawno opuszczonym miasteczku. Było trochę za ciepło, za wilgotno, w powietrzu unosił się dziwnie ponury zapach. To była woń śniegu wniesionego na butach gości, a teraz niechętnie i wolno topniejącego przed kominkiem. Powyglądałam przez różne okna, przerzuciłam gazetę. Potem zdecydowałam się podejść do lodowatego mężczyzny i odezwać się do niego. Należę raczej do nieśmiałych i jeśli absolutnie nie muszę, nie odzywam się do obcych. Ale wtedy koniecznie chciałam z nim porozmawiać. Był to nasz ostatni dzień w tym hotelu i gdybym przegapiła tę okazję, druga szansa na rozmowę mogła się nie trafić.

Nie jeździ pan na nartach? zapytałam, starając się mówić nonszalancko. Powoli podniósł głowę. Chyba gdzieś w oddali zaszumił wiatr, mówiło jego spojrzenie. Z takim wyrazem w oczach patrzył na mnie nieruchomo. Potem w milczeniu potrząsnął głową. Nie jeżdżę na nartach. Wystarczy mi patrzeć na śnieg i czytanie książki. Jego słowa stały się białymi chmurkami unoszącymi się w powietrzu, jak w komiksie. Mogłam dosłownie je zobaczyć. Lekko strzepnął z palców szron.

Nie wiedziałam, co mam dalej mówić. Zarumieniłam się i stałam nieruchomo. Lodowaty mężczyzna spojrzał mi w oczy. Wyglądał, jakby się leciutko uśmiechnął. Ale nie byłam pewna. Czy lodowaty mężczyzna naprawdę się uśmiechał? Może tylko tak mi się wydawało. Może pani usiądzie, zaproponował. Porozmawiajmy trochę. Interesuję panią, prawda? Chce pani wiedzieć, co to takiego lodowaty mężczyzna. Zaśmiał się krótko. Wszystko w porządku, niech się pani nie martwi. Nie zaziębi się pani, rozmawiając ze mną.

I tak zaczęłam pogawędkę z lodowatym mężczyzną. Siedzieliśmy obok siebie na kanapie w lobby i patrząc na płatki śniegu tańczące za oknem, rozmawialiśmy pełni rezerwy. Zamówiłam sobie ciepłe kakao. Lodowaty mężczyzna nic nie pił. W prowadzeniu rozmowy wcale nie był lepszy ode mnie. A w dodatku nie mieliśmy wspólnych tematów. Najpierw mówiliśmy o pogodzie. Potem o komforcie hotelu. Jest pan tu sam? zapytałam lodowatego mężczyznę. Odparł, że tak, i zapytał mnie, czy lubię jeździć na nartach. Powiedziałam, że nie bardzo. Przyjechałam tu, bo koleżanki mnie zmusiły, ale prawie nie jeżdżę. Bardzo chciałam się dowiedzieć, czym jest lodowaty mężczyzna. Czy naprawdę ma ciało z lodu, co zwykle je, gdzie mieszka latem, czy ma rodzinę – tego typu rzeczy. Ale sam z siebie nic o sobie nie mówił. Ja też nie miałam odwagi pytać. Pomyślałam, że pewnie nie bardzo lubi mówić o sobie.

Zamiast tego mówił o mnie. Trudno w to uwierzyć, ale z jakiejś przyczyny wszystko na mój temat wiedział. Znał członków mojej rodziny, wiedział, ile mam lat, jakie hobby, jaki jest stan mojego zdrowia, wiedział, do której szkoły chodziłam, kim są moi przyjaciele, wszystko od początku do końca.

Wiedział nawet o wydarzeniach z dalekiej przeszłości, o których ja kompletnie zapomniałam.

Nie rozumiem, powiedziałam, czerwieniąc się. Czułam się, jakbym stała przed nim naga. Skąd pan tyle o mnie wie, zapytałam. Umie pan czytać w myślach?

Nie, nie umiem czytać w myślach. Ale wiem. Po prostu wiem, odpowiedział lodowaty mężczyzna. Zupełnie jakbym patrzył w głąb lodu. Kiedy tak się w panią wpatruję, widzę to wszystko wyraźnie.

Czy widzi pan moją przyszłość, zapytałam.

Przyszłości nie widzę, odpowiedział obojętnie. I powoli potrząsnął głową. Przyszłość wcale mnie nie interesuje. Ściśle mówiąc, nie mam w sobie pojęcia przyszłości. Bo lód nie ma przyszłości. Jest w nim tylko mocno zapieczętowana przeszłość. Wszystko jest klarownie zapieczętowane, jakby jeszcze żyło. Lód potrafi w ten sposób przechować różne rzeczy. Bardzo czysto i

klarownie. Niczego nie zmieniając. Taka jest podstawowa cecha lodu.

To dobrze, powiedziałam i uśmiechnęłam się. Odetchnęłam z ulgą, słysząc te słowa. Przecież nie chciałam znać własnej przyszłości.

Spotkaliśmy się kilka razy po powrocie do Tokio. Wkrótce zaczęliśmy się umawiać w weekendy na randki. Ale nie chodziliśmy do kina ani do kawiarni. Nie chodziliśmy nawet do restauracji. Lodowaty mężczyzna prawie nic nie jadł. Zawsze siadaliśmy na ławce w parku i rozmawialiśmy na różne tematy. Naprawdę przeróżne. Ale lodowaty mężczyzna nigdy nie mówił o sobie. Zapytałam dlaczego. Dlaczego nie mówisz o sobie? Chciałabym więcej o tobie wiedzieć. Gdzie się urodziłeś, kim są twoi rodzice, jak doszło to tego, że stałeś się lodowatym mężczyzną. Patrzył na mnie przez chwilę. Potem powoli potrząsnął głową. Nie wiem, powiedział cicho i dobitnie. Wypuścił w powietrze twardy biały oddech. Sam nie mam przeszłości. Ale znam całą przeszłość. Zachowuję ją w całości. Chociaż *sam* jej nie posiadam. Nie wiem, gdzie się urodziłem. Nie wiem, jak wyglądali rodzice. Nie wiem nawet, czy w ogóle miałem rodziców. Nie wiem, ile mam lat. Nie wiem, czy mam w ogóle jakiś wiek.

Lodowaty mężczyzna był samotny jak góra lodowa w ciemności.

Pokochałam go prawdziwą miłością. A on pokochał *teraźniejszą* mnie, niemającą przeszłości ani przyszłości. Ja kochałam *teraźniejszego* jego, bez przeszłości czy przyszłości. Wydawało mi się to naprawdę wspaniałe. Zaczęliśmy nawet rozmawiać o ślubie. Dopiero skończyłam dwadzieścia lat. I był pierwszym mężczyzną, którego w życiu pokochałam. Wtedy nie potrafiłam sobie wyobrazić, co oznacza pokochanie lodowatego mężczyzny. Ale myślę, że gdybym pokochała kogoś innego, tak samo nic bym nie wiedziała o miłości.

Matka i starsza siostra stanowczo sprzeciwiły się naszemu małżeństwu. Jesteś jeszcze za młoda na wychodzenie za mąż,

mówiły. Nic nie wiesz o jego pochodzeniu. Nie wiesz nawet, gdzie i kiedy się urodził. Jak powiemy krewnym, że wychodzisz za kogoś takiego? Poza tym to przecież lodowaty mężczyzna. Co zrobisz, jak ci się kiedyś rozpuści, mówiły. Ty chyba nie rozumiesz, że małżeństwo oznacza odpowiedzialność. Czy lodowaty mężczyzna potrafi wziąć na siebie odpowiedzialną rolę męża?

Jednak ten niepokój był niepotrzebny. Lodowaty mężczyzna nie był zrobiony z lodu, tylko zimny jak lód. Dlatego nawet gdy wokół robiło się ciepło, nie roztopiał się. Jego zimno rzeczywiście przypominało lód, lecz ciało nie było lodem. Nie da się ukryć, że było strasznie zimne, ale nie chłodem, który odbierał innym ciepło.

Zostaliśmy małżeństwem. Małżeństwem, którego nikt nie pobłogosławił. Nie cieszyli się z niego ani przyjaciele, ani rodzice, ani siostry. Nie było wesela. Nie udało nam się nawet wziąć ślubu cywilnego, bo lodowaty mężczyzna nie miał aktu urodzenia. Po prostu zdecydowaliśmy, że będziemy małżeństwem. Kupiliśmy niewielki tort i zjedliśmy go tylko we dwoje. To było nasze maleńkie wesele. Wynajęliśmy małe mieszkanie, lodowaty mężczyzna zaczął zarabiać na życie w chłodni przechowującej wołowinę. Był wyjątkowo odporny na zimno, praca nigdy go nie męczyła. Prawie nic nie jadł. Dlatego bardzo się spodobał pracodawcy, który płacił mu pensję znacznie wyższą niż innym. Żyliśmy sobie spokojnie i szczęśliwie. Nikt nam nie przeszkadzał i my nikomu nie przeszkadzaliśmy.

Kiedy brał mnie w ramiona, myślałam o bryle lodu, która musiała istnieć gdzieś w ciszy. Wydawało mi się, że lodowaty mężczyzna wie, gdzie ona jest. Twarda, tak twardo zamarznęta, że chyba nie ma na świecie nic twardszego. To największa bryła lodu na świecie. Ale jest gdzieś bardzo daleko. On przekazuje naszemu światu wspomnienia tamtego lodu. Na początku, gdy mnie obejmował, czułam wahanie. Ale wkrótce przywykłam. A wręcz kochałam, kiedy mnie brał w ramiona. Niezmiennie nie mówił nic o sobie. Ani o tym, dlaczego został lodowatym mężczyzną. Ja też nie pytałam. Objęci w ciemności w milczeniu posiadaliśmy tę bryłę lodu. Były w niej

niezmienione, czysto zapieczętowane wszelkie wspomnienia świata z setek milionów lat.

W naszym życiu małżeńskim nie było żadnych prawdziwych problemów. Mocno się kochaliśmy, nikt nam nie przeszkadzał. Otoczenie nie bardzo umiało przywyknąć do lodowatego mężczyzny, ale z upływem czasu ludzie zaczęli się do niego po trochu odzywać. Niby lodowaty mężczyzna, ale prawie się nie różni od normalnych ludzi, mówili. Lecz oczywiście w głębi serca naprawdę go nie akceptowali i nie akceptowali też mnie, która za niego wyszłam. Byliśmy inni niż *oni* i ta przepaść nigdy nie miała zniknąć.

Mimo starań nie mieliśmy dzieci. Może związek zwykłej kobiety z lodowatym mężczyzną jest skomplikowany pod względem genetycznym? Tak czy inaczej, między innymi z tego powodu wkrótce poczułam, że mam za dużo czasu. Rano szybko kończyłam prace domowe, a później nie miałam nic do roboty. Nie miałam przyjaciółki, z którą mogłabym pogadać albo gdzieś się wybrać, nie utrzymywałam stosunków z sąsiadami. Matka i siostry ciągle jeszcze miały pretensję o to, że wyszłam za lodowatego mężczyznę, i nie odzywały się do mnie. Uważały, że przyniosłam wstyd całej rodzinie. Nie miałam nawet do kogo zadzwonić. Gdy lodowaty mężczyzna pracował w chłodni, byłam przez cały czas sama w domu, czytałam książki i słuchałam muzyki. Z natury wolę siedzieć w domu, niż gdzieś wychodzić, i wcale nie cierpię, kiedy jestem sama. Ale mimo to byłam jeszcze młoda i wkrótce zaczęły mnie męczyć kolejne dni, które nie przynosiły żadnej zmiany. To nie nuda mnie męczyła. Męczyła mnie powtarzalność. W tej powtarzalności zaczęło mi się wydawać, że ja sama jestem tylko powtórzonym cieniem.

I pewnego dnia coś mężowi zaproponowałam. Zapytałam, czy dla zmiany nastroju nie pojechalibyśmy gdzieś na wycieczkę. – Na wycieczkę? – powtórzył lodowaty mężczyzna. Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek. – Po co mielibyśmy jechać na wycieczkę? Nie jesteś tu ze mną szczęśliwa?

Nie o to chodzi, powiedziałam. Jestem szczęśliwa. Nie mamy żadnych problemów. Ale nudzę się. Chciałabym pojechać gdzieś daleko, gdzieś, gdzie jeszcze nie byłam, i zobaczyć coś, czego jeszcze nie widziałam. Odetchnąć świeżym powietrzem. Rozumiesz? Poza tym nie byliśmy przecież w podróży poślubnej. Mamy oszczędności, masz dużo zaległego urlopu. Możemy sobie chyba pozwolić na wycieczkę?

Lodowaty mężczyzna wydał z siebie głębokie, mroźne westchnienie. To unoszące się w powietrzu westchnienie przerodziło się z trzaskiem w kryształ lodu. Objął kolana długimi pokrytymi szronem palcami. Dobrze, skoro tak chcesz jechać na wycieczkę, zasadniczo nie mam nic przeciwko temu. Nie mam zbyt dobrego zdania o wycieczkach, ale jeśli to ma cię uszczęśliwić, zrobię, co będziesz chciała, i pojedę, dokąd będziesz chciała. Myślę, że pewnie w chłodni dadzą mi urlop. Bo do tej pory bardzo ciężko pracowałem. Sądzę, że nie będzie żadnego problemu. Ale dokąd na przykład chciałabyś pojechać?

Co powiesz na biegun południowy? zapytałam. Wybrałam biegun południowy, bo pomyślałam, że takie zimne miejsce na pewno zainteresuje lodowatego mężczyznę. A poza tym naprawdę od dawna myślałam, że chciałabym kiedyś pojechać na biegun południowy. Chciałam zobaczyć zorzę polarną i pingwiny. Wyobrażałam sobie, jak w futrze z kapturem pod zorzą polarną bawię się ze stadkiem pingwinów.

Kiedy to powiedziałam, lodowaty mężczyzna spojrzał mi prosto w oczy. Nawet nie mrugnął. To spojrzenie przeszło mnie na wskroś jak ostry soplek, dotarło do najdalszej części mojego mózgu. Rozmyślał nad tym w milczeniu przez pewien czas, a potem powiedział iskrzącym się jak śnieg głosem, że się zgadza. Dobrze, jeżeli chcesz, pojedziemy na biegun południowy. Naprawdę chcesz tam jechać?

Skinęłam głową.

Myślę, że za dwa tygodnie będę mógł wziąć dłuższy urlop. Przez ten czas zdążysz chyba wszystko przygotować, prawda? Naprawdę

może być biegun południowy?

Ale ja nie mogłam od razu odpowiedzieć. Przeszyty soplami spojrzenia lodowatego mężczyzny mój mózg ochłodził się, zamarł.

Wraz z upływem czasu zaczęłam żałować, że zaproponowałam wyjazd na biegun południowy. Nie wiem dlaczego. Od kiedy wspomniałam o biegunie południowym, miałam wrażenie, że coś się w moim mężu zmieniło. Jego oczy stały się jak sople, spojrzenie ostrzejsze niż dawniej, oddech bielszy niż dawniej, na palcach pojawiało się znacznie więcej szronu niż dawniej. On sam zrobił się bardziej małomówny i chyba bardziej uparty. Wtedy nic już nie jadł. To mnie strasznie zaniepokoiło. Pięć dni przed planowanym wyjazdem zdecydowałam się coś mu zaproponować. Jednak zrezygnujmy z wyjazdu na biegun południowy, powiedziałam. Po namyśle doszłam do wniosku, że tam będzie strasznie zimno i to może być niezdrowe. Zaczęło mi się wydawać, że lepiej pojechać w jakieś bardziej zwyczajne miejsce. Może do Europy? Odpocznijmy sobie gdzieś w Hiszpanii. Będziemy pić wino, jeść paellę i oglądać walkę byków. Ale mąż mnie nie słuchał. Przez pewien czas siedział wpatrzony w dal. Potem spojrzał na mnie. Zajrzał mi głęboko w oczy. Miałam wrażenie, że moje ciało po prostu zniknie – tak głęboko przeszywało mnie jego spojrzenie. Nie mam specjalnej ochoty jechać do Hiszpanii, powiedział zdecydowanie lodowaty mężczyzna. Przepraszam cię, ale w Hiszpanii jest za gorąco i za dużo kurzu. Jedzenie zbyt ostre. A poza tym przecież kupiliśmy już bilety na biegun południowy. Kupiłem ci futro i futrzane botki. Nie można przecież wszystkiego zmarnować. Za późno już, by mówić, że nie chcesz jechać.

Mówiąc szczerze, bałam się. Miałam przeczucie, że jeśli pojedziemy na biegun południowy, stanie się z nami coś nieodwracalnego. Często miewałam koszmary nocne. To zawsze był taki sam sen. Jestem na spacerze, wpadam w głęboką dziurę w ziemi, nikt mnie tam nie znajduje i zamarzam. Zamknięta w lodzie patrzę w niebo. Jestem świadoma. Chociaż nie mogę poruszyć nawet palcem. To strasznie dziwne uczucie. Uświadamiam sobie, że sekunda po sekundzie zamieniam się w przeszłość. Nie mam

przyszłości. Tylko kolejne warstwy przeszłości. I wszyscy na mnie patrzą. Patrzą w przeszłość. Patrzą, jak znikam odwrócona tyłem.

Wtedy się budzę. Obok śpi lodowaty mężczyzna. Nie oddycha. Zupełnie jakby umarł i zamarł. Ale ja kocham lodowatego mężczyznę. Płaczę. Moje łzy spadają na jego policzek. Budzi się i bierze mnie w ramiona. Miałam zły sen, mówię. W ciemności powoli kręci głową. To był tylko sen, uspokaja. Sny przychodzą z przeszłości. Nie z przyszłości. Nie mogą cię zniewolić. To ty musisz je zniewolić. Rozumiesz?

Tak, mówię. Choć nie mam pewności.

W końcu wsiedliśmy do samolotu lecącego na biegun południowy. Nie mogłam znaleźć pretekstu, żeby zrezygnować z wycieczki. Pilot i stewardesy w samolocie byli strasznie małomówni. Chciałam oglądać krajobrazy z okna, niestety, uniemożliwiały to gęste chmury, nic nie było widać. Wkrótce okno pokryło się szczelnie lodem. Przez ten czas mąż ciągle w milczeniu czytał książkę. Nie czułam w sobie zwykłej radości ani podniecenia, że jadę na wycieczkę. Wykonywałam tylko to, co postanowiłam wykonać.

Gdy zesliśmy po schodkach i stanęliśmy na biegunie południowym, poczułam, że ciało męża mocno zadrżało. Trwało to zaledwie chwilę, pół chwili, krócej niż mrugnięcie okiem i nikt prócz mnie się nie zorientował, on też absolutnie nic po sobie nie pokazał, lecz nie umknęło to mojej uwagi. Coś w jego ciele przeszło gwałtowny, cichy wstrząs. Utkwiłam wzrok w profilu męża. Zatrzymał się, spojrzał na niebo, na swoją rękę, potem głęboko odetchnął. Następnie spojrzał na mnie i wesoło się uśmiechnął. To tu chciałaś przyjechać? – zapytał. Tak, odrzekłam.

Do pewnego stopnia spodziewałam się tego, ale samotność bieguna południowego przeszła moje wszelkie oczekiwania. Prawie nikt tam nie mieszkał. Było tam tylko jedno nijakie miasteczko. A w nim równie nijaki hotel. Biegun południowy nie był atrakcją turystyczną. Ani śladu pingwinów. Ani śladu zorzy polarnej. Pytałam przechodniów, dokąd mam iść, żeby zobaczyć pingwiny.

Ale tylko w milczeniu potrząsali głowami. Nie rozumieli mnie. Wtedy rysowałam na karteczce pingwina. Mimo to dalej w milczeniu potrząsali głowami. Czułam się samotna. Jeden krok za miasto i nie było tam nic prócz lodu. Nie było drzew, nie było kwiatów, rzek ani jezior. Wszędzie tylko lód i lód. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się jedynie puste połacie lodu.

Ale mój mąż wypuszczał białe chmurki oddechu, wpatrywał się w dal przeszywającym wzrokiem, palce miał pokryte szronem, niestrudzenie i energicznie chodził tu i tam. Bardzo szybko nauczył się miejscowego języka i rozmawiał z mieszkańcami miasteczka głosem o twardym, lodowatym brzmieniu. Prowadzili poważne, wielogodzinne rozmowy. A ja w ogóle nie rozumiałam, o czym z takim zapalem konferują. Mąż kompletnie oszalał na punkcie tego miejsca. Było tu coś, co go pociągało. Najpierw bardzo się irytowałam. Czułam, że zostawił mnie zupełnie samą. Że mnie zdradził i porzucił.

Wkrótce w tym otoczonym grubą warstwą lodu milczącym świecie zaczęły mnie opuszczać wszystkie siły. Po trochu, po troszeczkę. Potem zniknęły nawet siły na irytację. Zupełnie jakbym straciła gdzieś coś w rodzaju kompasu odczuć. Straciłam z oczu kierunek, straciłam z oczu czas, straciłam z oczu ciężar samej siebie. Nie wiem, kiedy to się zaczęło i kiedy skończyło. Gdy się zorientowałam, byłam już zupełnie sama, zamknięta w nieczułości w pozbawionym barw świecie wiecznej zimy. Utraciłam już prawie wszystkie doznania, wiedziałam tylko jedno: *mój mąż na biegunie południowym to nie jest mój dawny mąż*. Nie potrafię powiedzieć, jak się zmienił. Troszczył się o mnie, mówił do mnie czule, tak samo jak przedtem. I dobrze wiedziałam, że te słowa płyną prosto z serca. Ale wiedziałam też, że ten lodowaty mężczyzna jest inny od tamtego, poznanego w hotelu podczas wyjazdu na narty. Jednak nie miałam się nawet komu poskarżyć. Wszyscy na biegunie południowym go lubili, a poza tym nie rozumieli ani słowa z tego, co mówię. Wypuszczali białe chmurki oddechu, mieli twarze pokryte szronem i skrzącym się jak śnieg językiem bieguna południowego żartowali, prowadzili dyskusje i śpiewali piosenki. Ja siedziałam sama w

pokoju hotelowym, patrzyłam na szare niebo, które nie miało się roz pogodzić przez wiele miesięcy i uczyłam się strasznie skomplikowanej (i jak dla mnie – niemożliwej do zapamiętania) gramatyki języka bieguna południowego.

Na lotnisku nie było już samolotów. Po odlocie tego, który nas tu przywiózł, ani jeden nie wylądował. Wkrótce pas startowy został pogrzebany pod grubą warstwą lodu.

Tak jak moje serce.

Nadeszła zima, powiedział mąż. Bardzo długa zima. Nie będzie samolotów ani statków. Wszystko zamarzło. Wygląda na to, że musimy czekać do wiosny.

Mniej więcej w trzy miesiące po przyjeździe na biegun południowy zorientowałam się, że jestem w ciąży. Wiedziałam, że dziecko, które urodzę, będzie małym lodowatym mężczyzną. Moja macica zamarzła, w wodach płodowych pływały kawałki lodu. Czułam w sobie ich zimny dotyk. Wiedziałam, że to dziecko, jak jego ojciec, będzie miało oczy niczym soople lodu i paluszki pokryte szronem. I wiedziałam, że nasza rodzina nigdy już nie wyjedzie z bieguna południowego. Wieczna przeszłość, ten niezmierny ciężar spętał nam nogi. I nie uda nam się go zrzucić.

Prawie nic nie zostało już z mojego serca. Moje ciepło też odeszło gdzieś bardzo daleko. Czasami nawet nie pamiętam, że je miałam. Ale jeszcze jakoś mogę płakać. Jestem naprawdę samotna. Jestem w najbardziej samotnym, najzimniejszym miejscu na świecie. Kiedy płaczę, lodowaty mężczyzna całuje mnie w policzek. Wtedy moje łyzy zmieniają się w lód. On zbiera je na dłoń i wkłada do ust. Wiesz, kocham cię, mówi. To prawda. Wiem o tym. Lodowaty mężczyzna mnie kocha. Ale wiatr, który skądś się pojawił, unosi jego zamarzniete na biało słowa gdzieś w daleką, daleką przeszłość. Płaczę. Dalej wylewam lodowate łyzy. W dalekim zamarznietym domu z lodu na biegunie południowym.



Boisko baseballowe

野球場

Yakyūjō

– **Minęło już** od tego czasu z pięć lat, mieszkałem wtedy obok boiska baseballowego. Byłem na trzecim roku studiów. Choć powiedziałem „boisko baseballowe”, nie było to prawdziwe boisko, niewiele więcej niż zwykłe puste pole. Miało jednak siatkę zabezpieczającą z tyłu, wzgórek pitchera, a koło ławki przy pierwszej bazie stało coś w rodzaju prostej tablicy wyników. Całość była ogrodzona metalową siatką. Na zapolu nie było trawy, tu i tam rosły mizerne kępki chwastów. Jedna mała ubikacja, ale ani szatni, ani przebieralni. Boisko należało do firmy przemysłu metalowego mającej w pobliżu dużą fabrykę, przy wejściu wisiał napis zabraniający wstępu osobom nieupoważnionym. W soboty i niedziele odbywały się mecze między urzędnikami a robotnikami. Istniała też oficjalna drużyna firmy grająca w odmianę baseballu, rozgrywanego piłką gumową, i oni ćwiczyli w dni powszednie. Był również kobiecy klub softballu. Tak czy inaczej firma ta najwyraźniej kochała baseball. Całkiem nieźle jest mieszkać przy boisku baseballowym. Moje mieszkanie znajdowało się zaraz za ławką trzeciej bazy, na pierwszym piętrze. Gdy otwierałem okno, przed nosem miałem siatkę. Kiedy się nudziłem – w ciągu dnia właściwie codziennie się nudziłem – spędzałem czas na oglądaniu meczów albo treningów drużyn baseballowych. Ale nie zamieszkałem tam z powodu baseballu. Kierowały mną zupełnie inne pobudki.

Tu chłopak przerwał, wyjął z kieszeni marynarki papierosa i zapalił.

Tego dnia spotkaliśmy się po raz pierwszy. Miał czarujący charakter pisma. Nabrałem ochoty, żeby go poznać właśnie z powodu tego czarującego pisma. Nazwałem je czarującym, lecz jego piękno nie miało nic wspólnego z często spotykaną elegancją liter pisanych piórem. Było raczej charakterystyczne, lecz skromne, bezpretensjonalne. Pojedyncze litery chwiejne, nagryzmołone, źle wyważone, niektóre linie za długie, inne za krótkie. Ale mimo to

miały w sobie jakiś rozmach, jakby pisząc, śpiewał. Nigdy w życiu nie widziałem równie pięknych i pełnych gracji liter napisanych piórem.

Napisał tymi literami siedemdziesięciostronicową powieść, którą zapakował w kopertę i przysłał do mnie.

Czasami ludzie przysyłają mi teksty w ten sposób. Zdarza się, że przychodzą kopie, innym razem oryginały[8]. Prawdę mówiąc, powinienem je przeglądać i wysyłać autorom listy ze swoimi opiniami, ale nie przepadam za tym i nie bardzo się na tym znam – innymi słowy jestem człowiekiem o wyjątkowo indywidualnym sposobie myślenia – więc zawsze piszę krótki liścik odmowny i odsyłam tekst autorowi. Bardzo mi przykro, ale nie należy czerpać wody z niewłaściwej studni.

Czułem jednak, że muszę przeczytać tych siedemdziesiąt stron przysłanych przez tego chłopaka. Po pierwsze dlatego, że jak wcześniej wspomniałem, nie mogłem się oprzeć urokowi jego pisma, a poza tym ogromnie byłem ciekawy, jaką powieść napisał ktoś, kto pisze takimi wspaniałymi literami. Poza tym do rękopisu dołączony był list – niezwykle grzeczny, prosty i szczery. Najmocniej przepraszam, że sprawiam Panu kłopot. Po raz pierwszy w życiu napisałem powieść, nie mogę się zdecydować, co z nią zrobić, i waham się. Między materiałem, na podstawie którego pisałem, a tym, co napisałem, jest wielka różnica i sam nie wiem, co to oznacza dla pisarza. Byłbym niewypowiedzianie wdzięczny, gdyby zgodził się Pan zaszczyścić mnie choćby krótką opinią – pisał. Papier i koperta w dobrym guście. Nie było błędów w pisowni. I dlatego przeczytałem tę powieść.

Akcja rozgrywała się na wybrzeżu w Singapurze. Bohater, dwudziestopięcioletni pracownik jakiejś firmy, przyjechał z dziewczyną na urlop. Była tam restauracja specjalizująca się w potrawach z krabów. Oboje bardzo lubili kraby. Do restauracji przychodzili miejscowi, nie turyści, więc ceny były bardzo niskie. Bohater i dziewczyna chodzili tam co wieczór i, popijając singapurskie piwo, objadali się krabami. W Singapurze znajdują ponad dwadzieścia gatunków krabów i prawie sto różnych potraw z nich.

Pewnego wieczoru, kiedy po wyjściu z restauracji wrócili do pokoju hotelowego, dostał strasznych mdłości i zwymiotował w toalecie. Żołądek miał wypełniony białym mięsem krabów. Kiedy wpatrywał się w pływające w toalecie wymiociny, zaczęło mu się wydawać, że leciutko się poruszają. W pierwszej chwili pomyślał, że wzrok go myli. Ale mięso niewątpliwie się ruszało. Jego warstwy drżały, jakby marszczyły się i prostowały. Były w nim białe robaki. Po powierzchni wymiocin pełzało kilkadziesiąt małych robaków w kolorze białego mięsa z kraba.

Zwymiotował wszystko, co miał w żołądku, aż ten skurczył się do rozmiarów pięści, aż zwrócił ostatnią kropelkę żółci w kolorze świeżej zieleni. Ale tego mu było mało, więc napił się wielkimi haustami płynu do płukania ust i znów wszystko zwymiotował. Dziewczynie nic nie powiedział o robakach. Zapytał ją, czy nie ma mdłości. Odpowiedziała, że nie. Pewnie wypiełeś za dużo piwa, dodała. Pewnie tak, zgodził się. Ale przecież tego dnia jedli te same potrawy z tych samych półmisek.

W nocy w świetle księżyca, przyglądał się smacznie śpiącej dziewczynie. I myślał o niezliczonych drobniutkich robakach wijących się w jej ciele.

Taka to była historia.

Temat ciekawy, powieść dobrze napisana. Jak na debiut, bardzo dobra. No i przede wszystkim to wspaniałe pismo. Szczerze mówiąc, styl powieści znacznie ustępował urokowi pisma. Rzeczywiście była nieźle skonstruowana, lecz czegoś jej brakowało, wszystko wydawało się jednostajne i monotonne.

Oczywiście nie mam prawa wyrażać swoich arbitralnych sądów o utworach innych. Ale nawet ja wiedziałem, że wady tej powieści dyskwalifikują ją. Innymi słowy, nie dało się jej poprawić. Gdyby zawierała choć jeden wybitny, wyróżniający się fragment, to byłoby (przynajmniej teoretycznie) możliwe podniesienie jej poziomu. Ale w tej powieści niczego takiego nie było. Wszystko przeciętne, bez wyrazu, nic nie przemawiało do uczuć czytelnika. Jednak nie można wysłać tego rodzaju szczerých opinii komuś, kogo się nigdy nie

widziało. Napisałem więc krótki list w stylu: „To bardzo ciekawa rzecz, jeśli pan usunie niepotrzebne wyjaśnienia i starannie ją wygładzi, będzie się nadawała do wysłania do jakiegoś czasopisma literackiego na konkurs debiutów. Dokładniejsza krytyka przekracza moje możliwości”, i wysłałem do niego razem z powieścią.

Po tygodniu zadzwonił do mnie. Wie, że to będzie dla mnie kłopot, ale czy nie zgodziłbym się z nim spotkać. Ma dwadzieścia pięć lat, pracuje w banku, w pobliżu jego pracy jest bardzo dobra restauracja, w której podają potrawy z węgorza, i chciałby mnie tam zaprosić z wdzięczności za moją krytykę. Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”, a poza tym zadziwiająco, że ktoś chce mnie zaprosić na węgorza za przeczytanie powieści – postanowiłem iść.

Na podstawie pisma i stylu podświadomie spodziewałem się zobaczyć kogoś chudego, ale okazało się, że jest grubszy niż przeciętny chłopak. To nie znaczy, że był otyły, tylko miał na sobie jakby więcej ciała. Do tego pełne policzki, szeroka twarz, miękkie włosy rozdzielone przedziałkiem pośrodku, na nosie okrągłe okulary w cienkich oprawkach. Ogólnie robił wrażenie schludnego, z dobrej rodziny, ubranie też miał gustowne. W tym sensie moje przewidywania się sprawdziły.

Przywitaliśmy się, usiedliśmy na matach przy niewielkim stoliku i popijając piwo, jedliśmy węgorza. W czasie posiłku prawie nie rozmawialiśmy o powieści. Pochwaliłem jego pismo. Wyglądał na bardzo zadowolonego. Potem opowiedział mi o nieznanym ludziom z zewnątrz aspektach pracy w banku. Mówił bardzo ciekawie. A przynajmniej znacznie ciekawiej niż pisał.

– O powieści nie musimy więcej rozmawiać – powiedział jakby przepraszająco. – Prawdę mówiąc, kiedy mi ją pan odesłał, jeszcze raz ją porządnie przeczytałem i sam uznałem, że jest niedobra. Gdyby nad nią popracować, być może niektóre fragmenty byłyby lepsze, ale i tak bardzo różni się od tego, co chciałem napisać. Nie tak było naprawdę.

– To się naprawdę zdarzyło? – zapytałem zdziwiony.

– Tak, oczywiście, że się naprawdę zdarzyło. Zeszłego lata – powiedział, jakby to było oczywiste. – Nie umiem pisać o rzeczach, które nie miały miejsca. Dlatego piszę tylko o tym, co się zdarzyło. To wszystko od początku do końca naprawdę się stało. A mimo to w tym, co napisałem, nie ma poczucia rzeczywistości. To jest właśnie sedno problemu.

Dałem jakąś wymijającą odpowiedź.

– Mam wrażenie, że lepiej będzie trzymać się pracy w banku – powiedział ze śmiechem.

– Ale ta historia jest wyjątkowa, nie sądziłem, że prawdziwa. Byłem pewien, że to wszystko jest wytworem pana wyobraźni – oznajmiłem.

Odłożył pałeczki, na chwilę utkwiał we mnie nieruchome spojrzenie. – Nie bardzo potrafię to wytłumaczyć, ale bez przerwy spotykają mnie dziwne historie. Dziwne, ale nie niespotykane, i ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma w nich nic dziwnego. Właściwie może i nie ma. Ale dla mnie to są jednak nieco niezwykłe wydarzenia. Takie odrobinę odbiegające od rzeczywistości. Na przykład jem kraby w singapurskiej restauracji nad morzem, wymiotuję i w wymiocinach pojawiają się robaki, a moja dziewczyna śpi sobie spokojnie jak gdyby nigdy nic. Niby dziwne, ale w sumie nie bardzo. Prawda?

Skinąłem głową.

– Mam mnóstwo takich wspomnień. Dlatego postanowiłem spróbować pisania. Nie mogłem narzekać na brak materiału, więc sądziłem, że będę mógł pisać, ile będę chciał. Ale kiedy rzeczywiście zabrałem się do tego, pomyślałem, że powieści nie na tym polegają. Gdyby każdy, kto ma mnóstwo ciekawych tematów, mógł pisać mnóstwo dobrych powieści, zniknęłaby różnica między powieściopisarstwem a przemysłem finansowym.

Roześmiałem się.

– Ale cieszę się, że mogłem pana poznać – powiedział. – Dzięki temu ulżyło mi pod wieloma względami.

– Nie musi mi pan dziękować, zamiast tego niech mi pan opowie o jednej z tych *dziwnych rzeczy*, które pana spotykają.

Zdawało się, że ta prośba nieco go zaskoczyła. Wypił ostatni łyk piwa ze szklanki, otarł usta serwetką. – Mam mówić o *sobie*?

– Uhm. Oczywiście jeżeli chce pan to zachować do swoich przyszłych powieści, to co innego – dodałem.

– Nie, powieści mam już dość – powiedział, machając ręką. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby panu opowiedzieć. Lubię mówić. Tylko zrobiło mi się głupio, bo tak ciągle gadam.

Powiedziałem, że lubię słuchać opowieści innych, więc nie musi się tym przejmować.

I tak zaczął opowiadanie o boisku baseballowym:

– Zapole leżało nad rzeką, po drugiej stronie między drzewami stało kilka bloków mieszkalnych. Były to przedmieścia znacznie oddalone od centrum miasta, wokół zostało jeszcze dużo pól. Wiosną skowronki zataczały koła na niebie. Ale nie zamieszkałem tam z takich sielskich powodów. Przyczyna była o wiele bardziej przyziemna. Zakochałem się wtedy po uszy w pewnej dziewczynie, która w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Była bardzo ładna, mądra i miała w sobie coś nieprzystępnego. Studiowaliśmy na tej samej uczelni, w tej samej grupie, ale sądząc z tego, co mówiła, miała stałego chłopaka. Nie wiedziałem jednak, czy naprawdę go ma. Postanowiłem więc dowiedzieć się jak najwięcej o jej życiu. Jeżeli dowiem się o niej różnych rzeczy, być może znajdę jakąś wskazówkę, a jeżeli nawet mi się to nie uda, przynajmniej zaspokoję ciekawość.

Kierując się pod adres znaleziony w spisie członków klubu sportowego, pojechałem linią Chūō do dalekiej stacji, przesiadłem się w autobus, aż w końcu znalazłem jej blok. Był to dwupiętrowy betonowy budynek, bardzo elegancki. Balkony wychodziły na południe na rzekę, nic nie zasłaniało widoku. Po drugiej stronie rzeki znajdowało się duże boisko baseballowe. Zobaczyłem na nim grających. Słysząc było odgłos piłki uderzanej kijem, okrzyki. Za boiskiem dostrzegłem kilka domów. Po upewnieniu się, że okna jej

mieszkania są na końcu po lewej na ostatnim piętrze, przeszedłem przez most na drugi brzeg rzeki. Był dość daleko, więc musiałem do niego dojść i dostanie się na drugi brzeg zajęło mi sporo czasu. Cofnąłem się, idąc wzdłuż rzeki, aż znalazłem się naprzeciw jej bloku. Spojrzałem na jej balkon. Stało na nim kilka doniczek. W kącie pralka. W oknie wisiały firanki. Następnie przeszedłem wzdłuż ogrodzenia boiska po lewej stronie do wysokości trzeciej bazy. I akurat obok trzeciej bazy natknąłem się na podniszczony blok mieszkalny.

Poszedłem do dozorczy i zapytałem, czy na pierwszym piętrze nie ma wolnych mieszkań. Akurat tak się złożyło, że był początek marca i miał kilka wolnych[9]. Obszedłem je wszystkie po kolei, wybrałem to, które najlepiej nadawało się do moich celów, i postanowiłem je wynająć. Oczywiście było z niego doskonale widać mieszkanie dziewczyny. W ciągu tygodnia spakowałem się i przeprowadziłem. Budynek był stary, okna wychodziły na północny wschód, więc czynsz był zadziwiająco niski. Następnie pojechałem do domu rodziców – ponieważ mieszkają w Odawarze, zawsze na weekendy wracałem do domu – i poprosiłem ojca, żeby mi pożyczył aparat fotograficzny z bardzo dobrym teleobiektywem. Przymocowałem go do statywu, umieściłem przy oknie i ustawiłem tak, żeby było widać jej pokój. Na początku nie chciałem jej podglądać. Tylko przyszło mi do głowy, żeby na próbę spojrzeć przez teleobiektyw. Ale kiedy spróbowałem, okazało się, że doskonale widać wewnątrz jej mieszkania. Zupełnie jak na dłoni. Mogłem nieomal przeczytać tytuły książek na półce.

Przerwał na chwilę, zdusił papierosa w popielniczce. – No i co? Mówić dalej?

– Oczywiście – odparłem.

– Kiedy zaczął się nowy semestr, wróciła do mieszkania. Dzięki temu miałem mnóstwo możliwości obserwowania jej codziennego życia. Przed blokiem była rzeka, dalej boisko, do tego mieszkała na drugim piętrze, więc nawet nie przyszło jej do głowy, że ktoś ją może podglądać. Było dokładnie tak, jak sobie życzyłem. Z nadejściem wieczoru zasłaniała firanki, ale kiedy w środku pali się

światło, na nic się nie zdają. Dlatego mogłem do woli obserwować, jak żyje, patrzeć na jej ciało.

– Robił pan zdjęcia?

– Nie. Zdjęć nie robiłem. Miałem wrażenie, że to już byłoby naprawdę nieprzyzwoite. Oczywiście samo podglądanie też nie jest przyzwoite, ale zdawało mi się, że gdzieś muszę sobie wyznaczyć granicę. Dlatego nie robiłem zdjęć. Tylko się przyglądałem. Bardzo dziwne było takie dokładne obserwowanie życia kobiety. Nie miałem sióstr i nigdy nie byłem bliżej związany z żadną konkretną dziewczyną, więc nic nie wiedziałem o tym, co robią kobiety w codziennym życiu. Różne rzeczy mnie zdziwiły, niektóre nawet trochę zaszokowały. Trudno mi mówić o szczegółach, więc nie będę, ale to było bardzo dziwne. Rozumie pan?

Powiedziałem, że rozumiem.

– Być może kiedy się na co dzień żyje razem, człowiek się do tego przyzwyczaja. Ale gdy nieoczekiwanie ukazuje się to przed oczami w powiększeniu, wydaje się dość groteskowe. Oczywiście wiem, że na świecie jest pewnie немало ludzi, którzy lubią taką groteskowość, ale ja do nich nie należę. Kiedy na nią patrzyłem, robiło mi się smutno, brakowało mi tchu, więc po tygodniu takiej obserwacji postanowiłem, że dalej nie będę tego robił. Zdjąłem obiektyw z aparatu i wraz ze statywem wrzuciłem do szafy. Potem stanąłem w oknie i spojrzałem w stronę jej mieszkania. Zobaczyłem jego światła dokładnie pomiędzy prawą stroną a środkiem boiska nad siatką zapola. I kiedy tak patrzyłem, poczułem pewną wyrozumiałość w stosunku do codziennych poczynań wielu ludzi. I pomyślałem, że na tym koniec. Po tygodniu obserwacji dowiedziałem się, że nie ma chyba stałego chłopaka, a poza tym teraz jeszcze mogłem o wszystkim zapomnieć i wrócić do punktu wyjścia. Postanowiłem, że jutro zaproszę ją na randkę, a jak dobrze pójdzie, może zostaniemy parą. Ale oczywiście to nie było takie proste. A to dlatego, że nie mogłem przestać obserwować jej życia. Kiedy patrzyłem na niewyraźne światła mieszkania po drugiej stronie boiska, czułem, jak coraz bardziej rośnie we mnie pragnienie, by je powiększyć w teleobiektywie, podzielić na

fragmenty. I moja wola nie była w stanie powstrzymać tego pragnienia. Takie samo uczucie, jak kiedy w ustach puchnie język i na koniec nas dusi. Było to – jak by to powiedzieć – doznanie seksualne, a jednocześnie asekualne. Zupełnie jakby znajdująca się we mnie gwałtowność sączyła się porami mojej skóry. Myślę, że prawdopodobnie nikt nie potrafi powstrzymać czegoś takiego. Do tamtego czasu nie uświadamiałem sobie, że mam w sobie taką gwałtowność.

Dlatego wyciągnąłem z szafy teleobiektyw oraz statyw, ustawiłem je tak jak przedtem i dalej obserwowałem jej mieszkanie. Musiałem to robić. Podglądanie jej życia stało się już jakby jedną z funkcji mojego organizmu. Dlatego, jak człowiek noszący okulary i niemogący ich zdjąć, jak filmowy morderca niewypuszczający z ręki pistoletu, ja nie mogłem już żyć bez tej przestrzeni wyciętej przez obiektyw aparatu.

Naturalnie zacząłem po trochu tracić zainteresowanie wszystkimi innymi rzeczami na świecie. Prawie przestałem się pokazywać na zajęciach i w klubie. Tenis, motocykl, muzyka, rzeczy na punkcie których miałem do tej pory świra, stopniowo stawały mi się obojętne, prawie nie utrzymywałem kontaktów z przyjaciółmi. Przestałem chodzić do klubu, bo było mi coraz trudniej się z nią widywać. A poza tym bałem się, że wskaże na mnie przy wszystkich i powie: „Wiem, co ty robisz”. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to w rzeczywistości niemożliwe. No bo przecież, gdyby się zorientowała, co robię, to zanim by coś powiedziała, przede wszystkim powiesiłaby w oknach grube zasłony. Mimo to nie mogłem się uwolnić od koszmarnych wizji, że moje niemoralne czyny – bo to były niewątpliwie niemoralne czyny, prawda? – wyjdą na jaw, zostanę oskarżony, wzgardzony i wyrzucony poza nawias społeczeństwa. Wiele razy miałem takie sny, budziłem się złany zimnym potem. Przez to też prawie zrezygnowałem z chodzenia na uczelnię.

Zupełnie przestałem zwracać uwagę na strój. Z natury przywiązuję wagę do schludnego wyglądu, ale to się kompletnie zmieniło, zacząłem nosić ciągle te same ubrania, aż stały się

brudnymi szmatami. Prawie się nie goliłem, nie chodziłem do fryzjera. Przez to w moim pokoju śmierdziało jak w rynsztoku. Puszki po piwie, puste torebki po zupach, zgaszone byle gdzie niedopałki, wypełniały pokój jak zasypany śnieżne, a pośród nich ja dalej ją śledziłem. W ten sposób minęły trzy miesiące i nastąpiły wakacje. Zaraz na początku, jakby już nie mogła się doczekać, pojechała do rodziców na Hokkaido. Przez teleobiektyw obserwowałem, jak wkłada do walizki książki, zeszyty, ubrania. Wyłączyła lodówkę, zakreśliła gaz, sprawdziła, czy okna są zamknięte, zadzwoniła do kilku osób, a potem wyszła z mieszkania. Wtedy cały świat stał się pusty. Po jej odejściu nic nie zostało. Zabrała ze sobą wszystko, co było światu potrzebne. A ja poczułem w środku próżnię. Nigdy przedtem nie miałem równie pustych myśli. Jakby ktoś mocno chwycił i z całej siły pociągnął, wyrwijąc mi z serca kilka przewodów. Takie to było uczucie. W żołądku czułem mdłości, nie mogłem o niczym myśleć. Byłem samotny, miałem wrażenie, że każda chwila popycha mnie ku czemuś jeszcze bardziej żalosemu.

Ale jednocześnie czułem głęboką ulgę. W końcu zostałem wyzwolony. Dzięki jej zniknięciu udało mi się wydostać z błota, z którego nie mogłem wyjść o własnych siłach. Te dwie myśli, to znaczy pierwsza taka, że chciałbym w nieskończoność obserwować jej życie w powiększeniu, i ta druga – owo uczucie ulgi, rozdzierały mi serce, ciągnąc je w przeciwnych kierunkach, i przez kilka dni po jej wyjeździe miałem straszny zamęt w głowie. Ale po następnych kilku dniach trochę znormalniałem. Wykąpałem się, poszedłem do fryzjera, sprzątnąłem pokój, zrobiłem pranie. Potem stopniowo znów stałem się dawnym sobą. Ale zbyt łatwo wróciłem do dawnego życia, więc przestałem nieomal sobie ufać. *Kim właściwie byłem naprawdę?*

Roześmiał się i splótł dłonie na kolanach.

– Uczyłem się przez całe lato. Ponieważ prawie nie chodziłem na uczelnię, zaliczenie roku stało pod wielkim znakiem zapytania. Problem polegał na tym, że aby odrobić liczne nieobecności, musiałem uzyskać bardzo dobre stopnie na egzaminach na początku

jesieni. Wróciłem do domu rodziców i kułem do egzaminów, prawie nie wychodząc z domu. Tak zacząłem stopniowo o niej zapominać. I kiedy wakacje dobiegały końca, zorientowałem się, że nie szaleję już za nią tak jak przedtem.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale myślę, że przez takie podglądanie popada się chyba w skłonność do dzielenia obrazu na fragmenty. A może należałoby powiedzieć, że było to wywołane *powiększaniem*. Innymi słowy chodzi o to, że w moim teleobiektywie dziewczyna dzieliła się na dwie części: na ciało i na działanie. Oczywiście w normalnym świecie działanie jest wynikiem ruchów ciała. Prawda? Ale tak nie jest w świecie powiększonym. Jej ciało jest jej ciałem, a działanie działaniem. Kiedy tak ją obserwowałem, jej ciało stało się jedynie ciałem i zdawało mi się, że działanie nadchodziło z zewnątrz, spoza kadru. Wtedy zaczynałem się zastanawiać, czym ona właściwie jest. Czy działanie jest nią, czy też ciało jest nią? I całkowicie brak czegoś pośrodku. A poza tym, szczerze mówiąc, egzystencja ludzka widziana w taki fragmentaryczny sposób, czy to z punktu widzenia ciała, czy z punktu widzenia działania, wcale nie ma w sobie uroku.

Przerwał na chwilę i zamówił więcej piwa. Potem dolał mnie i sobie. Wypił łyk albo dwa i zamyślił się na chwilę. Z założonymi rękami czekałem na dalszy ciąg.

– Przyszedł wrzesień i przypadkiem spotkałem ją w uczelnianej bibliotece. Była mocno opalona i wyglądała bardzo zdrowo. To ona się do mnie odezwała. Nie wiedziałem, co począć. Jej piersi, jej włosy łonowe, gimnastyka, którą robiła codziennie przed snem, jej ubrania ułożone w komodzie, takie różne fragmenty połączyły się w jedną chaotyczną całość i zaatakowały mój umysł. Zupełnie jakbym został siłą przewrócony na rozmokłą ziemię i ktoś wciskał mi twarz w błoto. Tak się czułem. Spociłem się pod pachami. To było strasznie nieprzyjemne uczucie. Dobrze wiedziałem, że to niesprawiedliwe w stosunku do niej, ale nie mogłem nic na to poradzić. – Dawno cię nie widziałam – powiedziała. – Wszyscy się o ciebie martwili. Bo bardzo długo się nie pokazywałeś. – Na to ja: – Trochę chorowałem. Ale już w porządku. – Rzeczywiście schudłeś. –

Odruchowo dotknąłem policzka. Faktycznie byłem wtedy jakieś trzy czy cztery kilo chudszy niż zwykle. Potem trochę pogadaliśmy, tak na stojąco. Takie niewinne gadki o tym, kto co porabia. Przez ten czas rozmyślałem o znamieniu, jakie ma na prawym boku. I o tym, że kiedy zamierza nałożyć coś obcisłego, najpierw krępuje biodra i brzuch gorsetem. Zapytała, czy jadłem już lunch. Wprawdzie nie jadłem, ale odpowiedziałem, że już jestem po. Poza tym zupełnie straciłem apetyt. To może pójdziemy na kawę, zaproponowała. Spojrzałem na zegarek i powiedziałem, że niestety umówiłem się z kolegą w sprawie pożyczania notatek. I tak się rozstaliśmy. Byłem zlany potem. Ubranie miałem tak mokre, że gdybym je wyżał, zrobiłaby się kałuża. Był to lepki pot o nieprzyjemnym zapachu. Musiałem wziąć prysznic przy sali gimnastycznej i przebrać się w czystą bieliznę kupioną w sklepie na kampusie. Zaraz po tym wydarzeniu odszedłem z klubu i prawie nigdy jej nie widywałem.

Zapalił nowego papierosa i ze smakiem wypuścił dym. – Taka to historia. Nie jest to coś, o czym mogę publicznie opowiadać.

– A później mieszkał pan jeszcze w tym mieszkaniu? – zapytałem.

– Hm... mieszkałem do końca tego roku. Ale już nie podglądałem. Zwróciłem ojcu aparat z teleobiektywem. Zupełnie jakby przeszło mi opętanie, nie czułem więcej takiej potrzeby. Czasami wieczorami siadałem przy oknie, patrzyłem na niewielkie światełko jej mieszkania widoczne po drugiej stronie boiska i bezmyślnie spędzałem czas. Małe światełko to bardzo dobra rzecz. Zawsze tak myślę, kiedy spoglądam w nocy na ziemię z okien samolotu. Jakie piękne i ciepłe są małe światełka.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie. W kącikach jego ust czał się uśmiech.

– Ciągle jeszcze wyraźnie pamiętam zapach i lepkość tego potu, który mnie oblewał, gdy z nią ostatni raz rozmawiałem. I myślę, że już nigdy więcej nie chciałbym się tak spocić. O ile to możliwe, oczywiście – powiedział.



Robaczek świętojański

螢

Hotaru

Dawno, dawno temu, a właściwie jakieś czternaście czy piętnaście lat temu, mieszkałem w akademiku. Miałem wtedy osiemnaście lat i dopiero dostałem się na studia. Praktycznie w ogóle nie znałem Tokio, a do tego nigdy przedtem nie mieszkałem sam, więc pełni niepokoju rodzice znaleźli mi ten akademik. Oczywiście kwestia pieniędzy też była ważna. Koszty samodzielnego mieszkania znacznie przewyższały opłatę za akademik. Jeśli o mnie chodzi, wolałbym wynająć pokój i żyć sobie swobodnie w pojedynkę, ale kiedy pomyślałem o wpisowym, czesnym i pieniądzach na życie, które rodzice mieli mi co miesiąc przysyłać, nie mogłem być samolubny.

Akademik znajdował się w dzielnicy Bunkyō na wzgórzu z pięknym widokiem. Teren był rozległy, otoczony wysokim betonowym murem. Za bramą zaraz na wprost rosła wielka brzostownica. Miała chyba ze sto pięćdziesiąt lat, może nawet więcej. Kiedy się stanęło pod nią i spojrzano w górę przez zielone gałęzie, niebo było kompletnie niewidoczne.

Betonowy chodnik skręcał, okrążając drzewo, a potem znowu ciągnął się długą prostą linią i przecinał dziedziniec. Po obu stronach dziedzińca stały równoległe do siebie dwa dwupiętrowe betonowe budynki. Były duże. Z okien otwartych na oścież dobiegał głos radiowego discjockeya. We wszystkich pokojach takie same kremowe firanki; ten kolor najmniej płowieje.

Na końcu chodnika stał piętrowy budynek główny. Na parterze były stołówka i duża łaźnia, na piętrze aula i pokoje, w których można było urządzać zebrania, oraz pokoje gościnne. Obok głównego budynku znajdował się trzeci akademik, również dwupiętrowy. Dziedziniec był szeroki, na zielonym trawniku kręciły się zraszacze, odbijając światło słoneczne. Za głównym budynkiem mieściło się boisko do gry w baseball i piłkę nożną oraz sześć kortów tenisowych. Wszystko, czego dusza zapagnie.

Jedyną wadą tego akademika (choć, czy uzna się to za wadę, zależy od punktu widzenia) był fakt, że prowadziła go bliżej nieokreślona fundacja kierowana przez człowieka o skrajnie prawicowych poglądach. Można się było w tym mniej więcej zorientować po przeczytaniu broszury informacyjnej dla nowych mieszkańców oraz regulaminu akademika. Myślą przewodnią przyświecającą założycielom było: „zglobianie podstaw edukacji i kształcenie uzdolnionej młodzieży dla dobra państwa”. Wielu finansistów popierających tę ideę zainwestowało swoje prywatne kapitały... – to była wersja oficjalna, lecz pod podszewką jak zwykle kryły się niejasności. Nikt nie znał szczegółów. Niektórzy mówili, że chodzi o unikanie podatków, inni, że pod pozorem budowy akademika popełniono szwindel mający na celu zdobycie tej parceli. A byli i tacy, którzy upierali się, że to po prostu posunięcie obliczone na efekt medialny. Ale to w sumie nie robiło mi różnicy. W każdym razie mieszkałem tam od wiosny 1967 do jesieni następnego roku. I z punktu widzenia codziennego życia nie miało większego znaczenia, czy stała za tym prawica, czy lewica, czy udawali dobrych, czy złych.

Dzień w akademiku rozpoczynał się od uroczystej ceremonii wciągania flagi narodowej na maszt. Oczywiście rozlegał się też hymn. Nie można przecież wciągać flagi bez hymnu. Tak samo jak nie ma wiadomości sportowych bez meczu. Maszt stał na środku dziedzińca i był widoczny z okien wszystkich budynków.

Wciąganie flagi narodowej na maszt celebrował kierownik wschodniego – czyli mojego – akademika. Był to wysoki mężczyzna około sześćdziesiątki, o przenikliwym spojrzeniu. W jego szczeciniastych włosach połyskiwały srebrne nitki, na opalonej szyi widniała długa blizna. Podobno był absolwentem Akademii Wojskowej Nakano[10]. Asystował mu student, który pełnił rolę pomocnika przy wciąganiu flagi. Nikt go dobrze nie znał. Był krótko ostrzyżony, zawsze w studenckim mundurze. Nie wiem, jak się nazywał ani w którym pokoju mieszkał. Nigdy go nie spotkałem w stołówce ani w łaźni. Nie wiem nawet, czy był studentem. Ale ponieważ chodził w studenckim mundurze, pewnie był. Nie ma

innego wytłumaczenia. W odróżnieniu od Akademii Nakano, Mundur był niski, pulchny i blady. Ta para codziennie o szóstej rano na dziedzińcu akademika wciągała na maszt flagę Japonii.

Na początku często obserwowałem tę scenę z okna. O szóstej rano równocześnie z sygnałem radiowym pojawiali się na dziedzińcu. Mundur niósł z szacunkiem płaskie pudełko z drewna paulowni, Akademia Nakano – przenośny magnetofon Sony. Stawiał go pod masztem. Mundur otwierał pudełko. Była w nim porządnie złożona flaga. Akademia Nakano przymocowywał ją do liny. Mundur włączał magnetofon.

„Niech nam cesarz panuje...”

Flaga gładko zaczynała wjeżdżać na maszt.

Przy „dopóki małe kamyczki nie staną się potężnymi skałaaami...” docierała do połowy, a kiedy rozlegało się „pokrytymi mcheeeeem”, osiągała wierzchołek. Potem obaj prostowali się, stawali na baczność i podnosili wzrok na flagę. Kiedy była pogoda i akurat wiał wiatr, był to wcale niezły widok.

Wieczorny rytuał przebiegał mniej więcej tak samo jak poranny. Tylko porządek był odwrócony. Flaga gładko jechała w dół i znikła w drewnianym pudełku. Flaga państwowa nie powiewa w nocy.

Nie bardzo wiedziałem, dlaczego musiała być na noc chowana. Przecież w nocy państwo nadal istniało, wielu ludzi pracowało. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że są pozbawieni ochrony flagi. Ale może to nie było ważne. Pewnie nikt prócz mnie się takimi rzeczami nie przejmował. A nawet mnie tylko raz przyszło to do głowy i nie miało większego znaczenia.

Studenci pierwszego i drugiego roku z zasady mieszkali w pokojach dwuosobowych, a trzeciego i czwartego w jednoosobowych. Pokoje dwuosobowe były długie i wąskie, miały około dziesięciu metrów kwadratowych. Na ścianie naprzeciw wejścia znajdowało się duże okno w aluminiowej ramie. Meble były wyjątkowo skromne i solidne. Dwa biurka i dwa krzesła, piętrowe łóżko, dwie szafki i wbudowana w ścianę półka. W większości

pokojów na półce stało radio tranzystorowe, obok suszarka do włosów, czajnik elektryczny, kawa rozpuszczalna i cukier, garnek do robienia błyskawicznych zup z makaronem i kilka naczyń. Na gipsowych ścianach przyklejano rozkładówki z *Playboya*. Na półkach nad biurkami stało zwykle kilka podręczników i modnych powieści.

Ponieważ były to wyłącznie męskie pokoje, w większości panował przerażający brud i bałagan: pleśniejące skórki od mandarynek przyklejone do dna koszy na śmieci, w pustych puszkach używanych zamiast popielniczek dziesięciocentymetrowa warstwa petów. Wyschnięte resztki kawy na dnie kubków. Po podłodze walały się celofanowe opakowania po zupkach błyskawicznych i puste puszki po piwie. Kiedy wiał wiatr, z podłogi unosiły się tumany kurzu. Strasznie śmierdziało, bo wszyscy wrzucali brudne ciuchy pod łóżka. Nikt nie wietrzył regularnie kołder, więc wszystkie były przesiąknięte potem i zapachem ciała.

Na tym tle mój pokój był oazą czystości. Na podłodze ani pyłku, popielniczki zawsze umyte, kołdry wietrzone raz w tygodniu, ołówki ułożone porządnie w specjalnym kubku. Na ścianie zamiast zdjęcia nagiej dziewczyny wisiała fotografia kanału w Amsterdamie. Mój współlokator był patologicznie schludny. To on zajmował się sprzątaniami. Robił pranie. Ja nawet nie kiwnąłem palcem. Kiedy na przykład wypijałem piwo i zostawiałem na stole pustą puszkę, w następnej chwili znikła w koszu na śmieci.

Mój współlokator studiował geografię.

- Studiuję mmmapy – powiedział mi, kiedy się poznaliśmy.
- Lubisz mapy? – zapytałem.
- Uhm. W przyszłości będę pracował w Instytucie Geodezji i Kartografii i robił mmmapy.

Na świecie są naprawdę różne rodzaje marzeń, pomyślałem. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się, kto robi mapy i jaki cel mu w tym przyświeca. Poza tym wydawało mi się dziwne, że ktoś, kto jąka się zawsze, gdy próbuje powiedzieć słowo „mapa”, chce pracować w Instytucie Geodezji i Kartografii. W zależności od

sytuacji bywało, że się jąkał albo nie, ale było stuprocentowo pewne, że zatnie się przy słowie „mapa”.

– A ty co studiujesz? – zapytał.

– Dramat – powiedziałem.

– Dramat to znaczy, że będziecie wystawiać sztuki?

– Nie, nie będziemy wystawiać sztuk. Będziemy tylko czytać i analizować. Racine’a, Ionesco, Szekspira.

Powiedział, że słyszał wyłącznie o Szekspirze, o tych innych nie. Ja też prawie nie znałem tych innych. Po prostu zostali wymienieni wśród tematów wykładów.

– No ale w każdym razie lubisz takie rzeczy? – zapytał.

– Niespecjalnie.

Moja odpowiedź go zmieszała, a kiedy był zmieszany, jąkanie znacznie się nasilało. Poczujęm, że bardzo źle postąpiłem.

– Nie robiło mi to różnicy – wyjaśniłem. – Mogła być filozofia hinduska, historia Azji Wschodniej, było mi obojętne. Przypadkiem wybrałem dramat, to wszystko.

– Nie rozumiem cię – powiedział. – Jjja lubię mmmapy, więc studiuję mmmapy. Po to specjalnie przyjechałem na studia do Tokio. Wymusiłem to na rodzicach i muszą płacić. Ale w twoim wypadku tak nie jest...

Mówił sensowniej ode mnie, więc zrezygnowałem z dalszego wyjaśniania. Potem, ciągnąc zapałki, zdecydowaliśmy, kto będzie spał na górnym, a kto na dolnym łóżku. Jemu przypadło górne.

Zawsze nosił białą koszulę do czarnych spodni. Był króciutko ostrzyżony, wysoki, miał wystające kości policzkowe. Idąc na uczelnię, wkładał mundur studencki. Do tego czarne buty i torba. Wyglądał na prawicowca i większość ludzi z otoczenia uważała go za takiego, ale prawdę mówiąc, polityka ani trochę go nie interesowała. Po prostu nigdy nie chciało mu się dobierać ubrań i dlatego tak się nosił. To, co go naprawdę interesowało, ograniczało się do takich wydarzeń, jak zmiana linii brzegowej czy ukończenie nowego tunelu kolejowego. Kiedy zaczynał o tym mówić, potrafił,

jąkając się, gadać przez godzinę czy dwie, aż zaczynałem wariować albo zapadałem w sen.

Codziennie rano wstawał z wybiciem szóstej. „Niech nam cesarz panuje” pełniło rolę budzika. Czyli jednak wciąganie flagi na maszt nie było kompletnie bezużyteczne. Potem się ubierał, i szedł do łazienki się myć. Zajmowało mu to strasznie dużo czasu. Zastanawiałem się, czy wyjmuje i szoruje każdy ząb. Kiedy wracał do pokoju, porządnie strzepywał ręcznik, wieszał na wieszaku, odkładał na półkę mydło i szczoteczkę do zębów. Potem włączał radio i zaczynał poranną gimnastykę.

Chodziłem późno spać i mam dość mocny sen, więc zdarzało się, że na początku gimnastyki jeszcze smacznie spałem. Ale kiedy zaczynały się podskoki, zawsze wyrывały mnie ze snu. Przy każdym jego podskoku – a podskakiwał naprawdę wysoko – podrzucało mi głowę z pięć centymetrów nad poduszkę. Nie dało się spać.

– Przepraszam cię – powiedziałem po trzech dniach – ale czy nie mógłbyś się gimnastykować na przykład na dachu? Budzisz mnie.

– Nie mogę – odrzekł. – Jak będę to robił na dachu, zaczną narzekać ludzie z drugiego piętra. Tu jest parter, pod nami nic nie ma.

– To może na dziedzińcu?

– Też nie mogę. Nie słyszałbym muzyki, bo nie mam tranzystora. A bez muzyki mi nie wychodzi.

Rzeczywiście miał radio podłączane do prądu. A mój tranzystor odbierał tylko stacje UKF.

– To może mógłbyś ściszyć i nie robić tych podskoków? Strasznie się niesie po całym pokoju. Przepraszam cię.

– Podskoków? – zapytał jakby zdziwiony.

– Przecież skaczesz, hop, hop.

– Nie, nic takiego nie robię.

Zaczynała mnie boleć głowa. Było mi już wszystko jedno, ale skoro zacząłem, nie mogłem się teraz wycofać. Więc nucąc melodyjkę gimnastyki porannej stacji NHK, zacząłem podskakiwać.

- No, o to mi chodzi. Robisz podskoki, prawda?
 - Tttak, rzeczywiście robię. Nie zauważyłem.
 - Więc chciałbym, żebyś pominął ten kawałek. Resztę jakoś zniosę.
 - Nie mogę – oświadczył bez namysłu. – Nie mogę ani jednego opuścić. Robię to od dziesięciu lat i jak zaczynam, to automatycznie robię cały zzzzestaw. Jeżeli coś opuszczę, nnnnie będę mógł zrobić reszty.
 - To zrezygnuj ze wszystkiego.
 - Nie powinienes tak mówić. Nie można innym rozkazywać.
 - Słuchaj no, ja ci nie rozkazuję. Tylko chciałbym pospać przynajmniej do ósmej, a jeśli mam wcześniej wstać, wołałbym się sam obudzić. Nie chcę być wyrywany ze snu, jakby to były jakieś zawody. To wszystko. Rozumiesz?
 - No niby rozumiem – powiedział.
 - I co twoim zdaniem powinienem zrobić?
 - Może powinienes ze mną wstać i robić gimnastykę?
- Poddałem się. On dalej co rano się gimnastykował, nie opuszczając ani jednego ćwiczenia.

Chichotała, kiedy opowiedziałem jej o swoim współlokatorze i jego porannej gimnastyce. Nie uważałem tego za zabawne, ale sam też się roześmiałem. Naprawdę dawno nie widziałem jej roześmianej twarzy – choć ten uśmiech zniknął w jednej chwili.

Wysiedliśmy z pociągu w Yotsuya i szliśmy groblą wzdłuż torów w stronę Ichigaya. Było niedzielne majowe popołudnie. Padający od rana deszcz ustał i zniknęły gdzieś przewiane południowym wiatrem nisko wiszące przygnębiające szare chmury. Lśniły poruszone wiatrem wyraźnie zarysowane zielone listki wiśni. Promienie słoneczne miały świeży zapach wczesnego lata. Ludzie pozdejmowali swetry i marynarki i pozarzucali je na ramiona. Na korcie tenisowym jakiś młody człowiek w samych szortach

wymachiwał rakieta. Jej metalowa rama rzucała błyski odbitego słońca.

Tylko siedzące na ławce dwie zakonnice nadal odziane były w grube zimowe habity. Wyglądały na zatopione w przyjemnej rozmowie i na ich widok pomyślałem, że do lata jeszcze daleko.

Po piętnastu minutach spaceru spocilem się na plecach. Zdjąłem grubą bawełnianą koszulę i zostałem w podkoszulku. Ona podwinęła do łokcia rękawy jasnoszarej bluzy od dresu – starej, spłowiałej od prania. Miałem wrażenie, że widziałem ją w tej bluzie dawno temu. Ale może tylko tak mi się wydawało. Wielu rzeczy nie mogłem sobie przypomnieć. Czułem, że wszystko zdarzyło się w zamierzchłej przeszłości.

– Fajnie jest mieszkać z innymi ludźmi? – zapytała.

– Nie wiem. Dopiero od niedawna tak mieszkam.

Zatrzymała się przy ulicznym zdroju, wypila łyk wody, wyjęła z kieszeni spodni chusteczkę i wytarła usta. Potem poprawiała sznurowadło tenisówki.

– Ciekawe, czy ja bym się do tego nadawała?

– Do życia w grupie?

– Uhm – powiedziała.

– Hm, nie wiem. To większe zawracanie głowy, niż myślisz. Jest szczegółowy regulamin i gimnastyka radiowa.

– Niby tak – zgodziła się i przez pewien czas nad czymś rozmyślała. Potem spojrzała mi prosto w oczy. Jej oczy były nienaturalnie przejrzyste. Nigdy przedtem nie zauważyłem, że są takie przejrzyste. Ta przezroczystość sprawiała dość przedziwne wrażenie. Zupełnie jakby człowiek wpatrywał się w niebo.

– Ale czasami myślę, że może powinnam była się na to zdecydować... To znaczy – urwała, przygryzła wargi i zajrzała mi w oczy. Potem odwróciła wzrok. – Sama nie wiem. Nieważne.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Ona znów ruszyła przed siebie.

Myślałem o tym, że nie widziałem jej od pół roku, że schudła nie do poznania. Prawie zniknęły jej charakterystyczne pulchne policzki, szyja bardzo wysmukłała. Mimo to wcale nie wyglądała na kościstą. Była dużo ładniejsza, niż pamiętałem. Chciałem jej o tym powiedzieć, ale nie wiedziałem jak.

Nie przyjechaliśmy do Yotsuya w żadnym konkretnym celu. Wpadliśmy na siebie w pociągu linii Chuō. Oboje nie mieliśmy żadnych planów. Ona zaproponowała, żebyśmy wysiedli, więc wysiedliśmy. I przypadkiem znaleźliśmy się w Yotsuya. Nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać. Nie wiedziałem, dlaczego kazała mi wysiąść. Nigdy nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

Wysiedliśmy i ona bez słowa poszła przed siebie. Ja podążałem za nią. Zawsze dzieliło nas około metra. Szedłem, cały czas wpatrzony w jej plecy. Niekiedy odwracała się i coś do mnie mówiła. Zdarzało się, że w ogóle nie mogłem jej dosłyszeć. Ale wydawało się, że nie robi jej to różnicy. Mówiła, co miała do powiedzenia, znów się odwracała i szła dalej.

W Iidabashi skręciliśmy w prawo, dotarliśmy nad fosę, przeszliśmy skrzyżowanie w Jimbōchō, wspięliśmy się w górę do Ocha-no-mizu i znaleźliśmy się w Hongō. A potem wzdłuż linii tramwajowej poszliśmy do Komagome. Niezły spacer. Kiedy dotarliśmy do Komagome, słońce już całkiem zaszło.

- Gdzie jesteśmy? – zapytała.
- W Komagome. Zrobiliśmy kółko.
- Dlaczego tu przyszliśmy?
- To ty przysłaś. Ja tylko szedłem za tobą.

Weszliśmy do restauracji przy dworcu specjalizującej się w potrawach z makaronem gryczanym i zjedliśmy skromny posiłek. Od złożenia zamówienia do czasu, kiedy skończyliśmy jeść, nie zamieniliśmy ani słowa. Ja byłem zmęczony i rozbity spacerem, ona cały czas nad czymś rozmyślała.

- Masz świetną kondycję – powiedziałem po zjedzeniu.
- Dziwi cię to?

– Uhm.

– W gimnazjum biegałam na długie dystanse. Poza tym ojciec lubił góry, więc od dzieciństwa w niedziele chodziłam z nim po górach. Dlatego ciągle jeszcze mam silne nogi.

– Nie widać tego po tobie.

Roześmiała się.

– Odprowadzę cię do domu – powiedziałam.

– Nie musisz. Sama wrócę, nie ma sprawy. Nie przejmuj się.

– Bardzo chętnie to zrobię.

– Naprawdę nie musisz. Jestem przyzwyczajona, zawsze wracam sama.

Prawdę mówiąc, poczułem ulgę. Droga pociągiem do jej mieszkania zajmowała ponad godzinę, a nie bardzo miałem ochotę milczeć z nią tyle czasu, tkwiąc w wagonie. W końcu wróciła sama. Za to ja postawiłem jej kolację.

– Słuchaj, jeśli masz ochotę, jeśli to nie będzie dla ciebie kłopot, może znowu byśmy się spotkali? Oczywiście wiem, że nie mam prawa cię o to prosić – powiedziała, kiedy się żegnaliśmy.

– Nie potrzebujesz żadnego prawa – odparłem zdziwiony.

Lekko się zaczerwieniła. Prawdopodobnie zauważyła moje zdziwienie.

– Nie bardzo umiem to wyrazić – tłumaczyła się. Podwinęła do łokci rękawy bluzy, a potem znowu je opuściła. W świetle lampy puszek na jej rękach pięknie zalśnił złotem. – Nie chciałam powiedzieć „prawa”. Chciałam powiedzieć coś innego.

Oparła łokcie na stole, zamknęła oczy i szukała odpowiednich słów. Ale nie znajdowała.

– Nie ma sprawy.

– Nie bardzo umiem wyrazić to, co bym chciała. Ostatnio ciągle tak jest. Naprawdę nie umiem się wyrazić. Próbuję coś powiedzieć, ale przychodzą mi do głowy same nieodpowiednie słowa. Czasami nieodpowiednie, czasem zupełnie przeciwne od tych, które mam na

myśli. A kiedy próbuję je poprawić, robi mi się w głowie jeszcze większy zamęt i jest coraz gorzej. I nie wiem już, co chciałam na początku powiedzieć. Zupełnie jakby moje ciało rozszczepiło się na dwoje i te dwie części się goniły; tak się czuję. Pośrodku stoi strasznie gruby słup i one gonią się, biegając wokół niego. Zawsze tamta druga ja ma właściwe słowa, a ta ja za nic nie może jej dogonić.

Położyła dłonie na stole i spojrzała mi w oczy.

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Każdy w mniejszym lub większym stopniu to odczuwa – powiedziałem. – Nikt nie może się precyzyjnie wyrazić, każdy się irytuje.

Zdawała się trochę rozczarowana moimi słowami.

– Nie, nie o to mi chodziło – odrzekła. Nic więcej nie dodała.

– Chętnie się z tobą znowu spotkam – powiedziałem. – Zawsze mam czas, a zdrowiej jest pospacerować niż się lenić samemu w domu.

Rozstaliśmy się na dworcu. Powiedziałem do widzenia, ona odpowiedziała.

Poznałem ją wiosną w drugiej klasie liceum. Była w tym samym wieku, chodziła do ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt prowadzonej przez zakonnice. Przedstawił mi ją mój dobry kolega, była jego dziewczyną. Znali się od dzieciństwa, z podstawówki, mieszkali dwieście metrów od siebie.

Jak wiele par znających się od dzieciństwa nie pragnęli cały czas być tylko we dwoje. Ciągłe się nawzajem odwiedzali, każde z nich jadało czasem posiłki z rodziną drugiego. Kilka razy byłem z nimi i z jakąś dziewczyną na randce we czworo. Ale ponieważ moje niewielkie miłości nie przynosiły żadnych imponujących rezultatów, zaczęliśmy wychodzić we trójkę. W sumie tak czuliśmy się najswobodniej. Każdemu z nas przypadła inna rola: ja byłem

gościem, przyjaciel utalentowanym gospodarzem, a ona jego asystentką jednocześnie grającą główną rolę.

Przyjaciel był bardzo dobry jako gospodarz. Miał skłonności do sardonicznych wyrażeń, ale był z natury życzliwy i sprawiedliwy. Tak samo dowcipkował i żartował sobie z nas obojga. Kiedy jedno z nas milczało, od razu zagadywał i zręcznie wciągał do rozmowy. Miał umiejętność natychmiastowego oceniania sytuacji i adaptowania się do niej. Posiadał też rzadki talent wyszukiwania czegoś interesującego w mało interesujących wypowiedziach innych. Dlatego gdy z nim rozmawiałem, czasami miałem wrażenie, że prowadzę bardzo ciekawe życie.

Ale kiedy wychodził z pokoju, ona i ja nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Nie wiedzieliśmy o czym. W rzeczywistości nie mieliśmy żadnych wspólnych tematów. Przez większość czasu siedzieliśmy sobie, bawiąc się popielniczką, popijając wodę, i czekaliśmy na jego powrót.

Spotkaliśmy się tylko raz po jego pogrzebie. Umówiliśmy się w kawiarni w pewnej drobnej sprawie, a po jej załatwieniu nie mieliśmy o czym rozmawiać. Ja parę razy coś powiedziałem, lecz rozmowa się urywała. Poza tym w jej tonie była jakaś niesprecyzowana opryskliwość. Wyglądało na to, że ma do mnie pretensję, lecz nie wiedziałem o co.

Może miała do mnie pretensję o to, że to ja, a nie ona, byłem ostatnim człowiekiem, który go widział przed śmiercią. Pewnie nie powinienem tak mówić, ale mam wrażenie, że ją rozumiem. Gdyby to było możliwe, chętnie bym się z nią zamienił. Ale nic się nie dało na to poradzić. Co się stało, to się nie odstanie, choćby człowiek się bardzo starał.

Tego majowego popołudnia wracaliśmy ze szkoły (a ściślej mówiąc, urwaliśmy się ze szkoły), zaszliśmy do salonu bilardowego i rozegraliśmy cztery partyjki. Pierwszą wygrałem ja, a on pozostałe trzy. Zgodnie z obietnicą przegrany, czyli ja, zapłacił za gry.

Tego dnia umarł w swoim garażu. Podłączył gumowy wąż do rury wydechowej hondy N360, włożył go przez szybę, zakleił szpary gumowaną taśmą i włączył silnik. Nie wiem, czy szybko umarł. Kiedy rodzice, którzy pojechali odwiedzić chorego krewnego, wrócili do domu, już nie żył. Radio samochodowe było włączone. Za wycieraczką tkwił kwit ze stacji benzynowej.

Nie zostawił żadnego listu, nikomu nie przychodził do głowy żaden motyw. Ponieważ ja ostatni go widziałem, zostałem wezwany na policję i przesłuchany. Powiedziałem, że nic tego nie zapowiadało, zachowywał się jak zwykle. Człowiek, który zamierza popełnić samobójstwo, nie powinien wygrać trzech kolejnych partii w bilard. Żaden z nas, ani on, ani ja, nie zrobił na policji najlepszego wrażenia. W końcu nie ma się co dziwić, że ktoś, kto zwiewa z lekcji, żeby grać w bilard, popełnia samobójstwo. W gazecie pojawiła się krótka wzmianka i na tym się skończyło. Pozbyto się czerwonej hondy N360. W szkole na jego ławce przez pewien czas leżały białe kwiaty.

Kiedy skończyłem liceum i przyjechałem do Tokio, pozostało mi tylko jedno. Nie zastanawiać się nad wszystkim zbyt poważnie. Postanowiłem zapomnieć o pokrytym zielonym filcem stole bilardowym, o czerwonej hondzie N360, o białych kwiatach na ławce. O dymie unoszącym się z wysokiego komina krematorium, masywnym przycisku do papieru z policyjnego pokoju przesłuchań, o wszystkich takich rzeczach. Na początku miałem wrażenie, że się uda. Ale czułem w sobie coś w rodzaju zamglonego powietrza, które wraz z upływem czasu zaczęło przybierać wyraźny jednoznaczny kształt. Ten kształt potrafiłem ubrać w słowa. A były one następujące:

**Śmierć nie jest przeciwieństwem życia,
lecz jego częścią.**

Brzmi to jak komunał. Klasyczny banał. Lecz ja wówczas czułem to w sobie jako powietrze, nie jako słowa. Śmierć istniała w przycisku

do papieru, w czterech kulach na stole bilardowym. A my żyliśmy, wciągając ją w płuca jak odrobiny kurzu.

Do tego czasu traktowałem śmierć jako całkowicie niezależny, odrębny od innych byt. To znaczy: „Śmierć kiedyś niewątpliwie po nas przyjdzie. Ale z drugiej strony, aż do tego dnia nas nie zabierze”. Zdawało mi się, że to wyjątkowo normalny, logiczny sposób myślenia. Życie jest po tej stronie, a śmierć po tamtej.

Ale poczynając od dnia straty przyjaciela, nie mogłem już tak naiwnie traktować śmierci. Śmierć nie jest przeciwieństwem życia. Jest już w nas. I wcale nie mogę o niej zapomnieć. Dlatego że śmierć, która tamtego majowego wieczoru zabrała mojego siedemnastoletniego przyjaciela, tego samo wieczoru zabrała także mnie.

Wyraźnie to sobie uświadamiałem. Jednocześnie starałem się poważnie nad tym nie zastanawiać. To było niełatwe. Miałem dopiero osiemnaście lat i byłem za młody, żeby znaleźć pośrednie rozwiązanie.

Potem umawiałem się z nią na randki raz albo dwa w miesiącu. Myślę, że chyba można to nazwać randkami. Nie przychodzi mi do głowy inne odpowiednie słowo.

Studiowała na żeńskim uniwersytecie pod Tokio. Była to niewielka uczelnia cieszącą się dobrą opinią. Z jej mieszkania do uniwersytetu szło się spacerem niecałe dziesięć minut. Wzdłuż ulicy ciągnął się malowniczy kanał irygacyjny i czasami tam chodziliśmy. Wydaje mi się, że prawie nie miała przyjaciół. Była małomówna jak zwykle. Ja też nie bardzo miałem o czym mówić, więc milczałem. Kiedy się spotykaliśmy, cały czas chodziliśmy.

Ale to nie znaczy, że nasza znajomość się nie rozwijała. Pod koniec letnich wakacji bardzo naturalnie zaczęła chodzić obok mnie zamiast z przodu. Schodziliśmy po skarpach w dół, wspinaliśmy się pod górę, przechodziliśmy mostami i ulicami, cały czas szliśmy. Chodziliśmy bez celu, bez żadnych planów. Po pewnym czasie wstępowaliśmy do kawiarni, a po wypiciu kawy szliśmy dalej. Jak

na pokazie slajdów, zmieniało się tło. Przyszła jesień, dziedziniec akademika pokryły suche liście brzoźtownic. Włożyłem sweter i zapachniało nową porą roku. Kupiłem sobie nowe zamszowe buty.

Gdy jesień dobiegła końca i zaczęły wiać zimne wiatry, czasami przytulała się do mojego ramienia. Przez gruby materiał budrysówki czułem, jak oddycha. Ale to było wszystko. Szedłem dalej, jak zwykle z rękami w kieszeniach kurtki. Oboje nosiliśmy buty na gumowych podeszwach, nie było słychać naszych kroków. Tylko kiedy stąpaliśmy po zeschniętych liściach platanów, słychać było szelest. Pragnęła nie mojego ramienia, a *czyjegoś* ramienia. Nie mojego ciepła, a *czyjegoś* ciepła. A przynajmniej takie odnosiłem wtedy wrażenie.

Jej oczy wydawały mi się bardziej przejrzyste niż przedtem. Bezdennie przejrzyste. Czasami bez żadnego powodu patrzyła mi prosto w oczy. Zawsze w takich chwilach ogarniał mnie smutek.

Faceci w akademiku wyśmiewali się ze mnie, gdy dzwoniła, a ja wychodziłem w niedzielne poranki. Myśleli, że mam dziewczynę, i trudno im się dziwić. Nie miałem jak im tego wyjaśnić, nie było powodu się tłumaczyć, więc dałem sobie spokój. Kiedy wracałem z randki, zawsze ktoś mnie pytał, jak poszło w łóżku. Niezmiennie odpowiadałem, że nie najgorzej.

I tak minął osiemnasty rok mojego życia. Słońce wschodziło i zachodziło, flaga wjeżdżała na maszt i zjeżdżała, a w niedziele chodziłem na randki z dziewczyną zmarłego przyjaciela. Nie miałem pojęcia, co właściwie robię i jakie mam zamiary. Na zajęciach uniwersyteckich czytałem Claudela, Racine'a, Eisensteina. Wszyscy dobrze pisali, ale na tym koniec. Prawie z nikim się na studiach nie zaprzyjaźniłem. To samo było w akademiku. Ciągle czytałem, więc wszyscy myśleli, że chcę zostać powieściopisarzem, choć wcale nie zamierzałem zostawać żadnym pisarzem. Nikim nie chciałem zostać.

Kilka razy próbowałem jej o tym powiedzieć. Zdawało mi się, że mogłaby mnie naprawdę zrozumieć. Ale nie byłem w stanie. Było tak, jak z nią: kiedy chciałem znaleźć właściwe słowa, tonęły na dnie ciemności, gdzie nie mogłem ich osiągnąć.

W sobotnie wieczory siadałem na krześle w holu i czekałem przy telefonie, aż ona zadzwoni. Zdarzało się, że nie dzwoniła przez trzy tygodnie, ale bywało, że dzwoniła dwa tygodnie z rzędu. Dlatego co tydzień czekałem. W sobotni wieczór większość studentów szła się zabawić, więc w holu zazwyczaj panowała cisza. Zawsze kiedy wpatrywałem się w cząsteczki światła unoszące się w tej milczącej przestrzeni, starałem się zdefiniować swoje uczucia. Każdy pragnął czegoś od innych. To było pewne. Ale nie wiedziałem nic więcej. Trochę dalej niż na wyciągnięcie ręki znajdowała się przede mną ściana mglistego powietrza.

Zimą pracowałem w małym sklepie płytowym w Shinjuku. Na Gwiazdkę dałem jej płytę Henry'ego Manciniego z jej ulubionym *Dear Heart*. Zapakowałem prezent w gwiazdkowy papier z motywem jodeł i dodałem różową wstążeczkę. Ona zrobiła mi na drutach rękawiczki. Palce na kciuki miały trochę za krótkie, ale i tak były ciepłe.

Nie wróciła na ferie do domu, więc w Nowy Rok zaprosiła mnie do siebie na obiad.

Tej zimy wiele się wydarzyło.

Pod koniec stycznia mój współlokator dostał prawie czterdziestostopniowej gorączki i dwa dni leżał chory. Przez to musiałem odwołać randkę z nią. Cierpiał tak strasznie – zdawało się wręcz, że może w każdej chwili umrzeć, więc nie mogłem wyjść. Nie było nikogo, kto by się nim zajął. Kupiłem lód, włożyłem do torebek plastikowych i robiłem mu zimne kompresy, ocierałem chłodnym ręcznikiem pot, co godzinę mierzyłem gorączkę. Nie spadała przez całą dobę. Następnego dnia usiadł nagle na łóżku jak gdyby nigdy nic. Temperatura obniżyła mu się do 36 stopni i dwóch kresek.

– Dziwna sprawa – oznajmił. – Nigdy przedtem nie miałem gorączki.

– Ale teraz miałeś – odparłem i pokazałem mu dwa zmarnowane przez to bilety na koncert.

– Dobrze przynajmniej, że to były darmowe zaproszenia – powiedział.

W lutym kilka razy padał śnieg.

Pod koniec miesiąca pokłóciłem się o głupstwo ze starszym studentem z tego samego piętra i dołożyłem mu. Uderzył głową w betonową ścianę. Na szczęście nie zrobił sobie większej krzywdy, ale zostałem wezwany do gabinetu kierownika, który udzielił mi nagany. Przez to zacząłem się źle czuć w akademiku.

Skończyłem dziewiętnaście lat, wkrótce przeszedłem na drugi rok studiów. Zrezygnowałem z zaliczenia kilku przedmiotów. Miałem prawie same trójki i trójki z minusem, ledwie parę czwórek. Ona przeszła na drugi rok, zaliczając wszystko. Zamknął się cykl pór roku.

W czerwcu skończyła dwadzieścia lat. Jakoś trudno było mi w to uwierzyć. Zdawało mi się, że dla nas obojga byłoby lepiej kursować tam i z powrotem między osiemnastym a dziewiętnastym rokiem życia. Po osiemnastu dziewiętnaście, po dziewiętnastu osiemnaście – to miałyby dla mnie sens. Ale ona skończyła dwadzieścia lat. Ja miałem skończyć dwadzieścia następnej zimy. Tylko zmarli mają wiecznie siedemnaście lat.

W dzień jej urodzin padał deszcz. Kupiłem w Shinjuku tort, wsiadłem do pociągu i pojechałem do niej. W pociągu był tłok, do tego trzęsło. Przez to, kiedy dotarłem późnym popołudniem do jej mieszkania, tort zawalił się jak rzymskie ruiny. Ale i tak wetknęliśmy w niego dwadzieścia świeczek i zapaliliśmy je. Zasłoniliśmy okna, zgasiliśmy światło, a wtedy zrobiło się jakoś urodzinowo. Otworzyłem wino. Potem zjedliśmy trochę tortu i skromną kolację.

– Jakoś głupio kończyć dwadzieścia lat – powiedziała. Po jedzeniu sprzątnęliśmy naczynia, usiedliśmy na podłodze i dopijaliśmy wino. W czasie kiedy ja piłem jeden kieliszek, ona wypijała dwa.

Tego dnia była zadziwiająco rozmowna. Opowiadała o dzieciństwie, o szkole, o rodzinie. Wszystkie historie były długie. A prócz tego, zdawały się nienormalnie szczegółowe. Opowieść A nie wiadomo kiedy przeradzała się w ukrytą w niej opowieść B, ta wkrótce stawała się zawartą w niej opowieścią C i tak to się ciągnęło i ciągnęło. W nieskończoność. Na początku przytakiwałem w odpowiednich miejscach, ale niedługo przestałem. Nastawiłem płytę. Gdy się skończyła, zmieniłem na kolejną. W końcu wszystkie przesłuchaliśmy, więc nastawiłem znowu pierwszą. Za oknem nadal padało. Czas płynął powoli, ona dalej mówiła. Kiedy na zegarze dochodziła jedenasta, trochę się jednak zaniepokoiłem. Mówiła już od czterech godzin. Zbliżał się czas odjazdu ostatniego pociągu. Nie wiedziałem, co robić. Zdawało mi się, że lepiej pozwolić jej mówić, ile chce, ale równocześnie, że lepiej będzie znaleźć odpowiedni moment i przerwać. Długo się wahałem, w końcu postanowiłem wtrącić się w tę opowieść. Jednak naprawdę za dużo mówiła.

– Pójdę już, bo robi się bardzo późno i nie chcę ci przeszkadzać – powiedziałem. – Spotkajmy się znów niedługo.

Nie wiedziałem, czy moje słowa do niej dotarły. Umilkła zaledwie na chwilę i znów zaczęła mówić. Zrezygnowany zapaliłem papierosa. Skoro tak, to lepiej jej pozwolić mówić, ile chce. A potem jakoś to będzie.

Ale jej opowieść nie trwała zbyt długo. Nagle się zorientowałem, że dobiegła końca. Oderwane fragmenty słów unosiły się w powietrzu. Ścisłe mówiąc, nie skończyła się, tylko nagle gdzieś zniknęła. Ona starała się jeszcze jakoś mówić, ale już nic w niej nie zostało. Coś zostało zniszczone. Z leciutko otwartymi ustami patrzyła mi trochę nieprzytomnie w oczy. Zupełnie jakby patrzyła przez jakąś matową błonę. Miałem wrażenie, że bardzo źle postąpiłem.

– Nie chciałem ci przeszkadzać – powiedziałem powoli, ważąc każde słowo. – Ale jest już późno i...

Jej oczy wypełniły się łzami, które zaczęły płynąć jej po policzkach i przed upływem sekundy skapywały już głośno na okładkę płyty. Po tych pierwszych inne popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. Oparła dłonie na podłodze i płakała w takiej pozycji, jakby miała zwymiotować. Wyciągnąłem rękę i oparłem lekko na jej ramieniu. Drżała. Potem prawie mimowolnie przygarnąłem ją do siebie. Płakała bezgłośnie w moich ramionach. Koszulę miałem mokrą od gorącego oddechu i łez. Jej palce błędziły po moich plecach, jakby czegoś szukały. Podtrzymywałem ją lewą ręką, a prawą gładziłem po delikatnych włosach. Długo tak siedziałem, czekając, aż przestanie płakać. Nie przestała.

Tej nocy spałem z nią. Nie wiem, czy było to słuszne, czy nie. Ale co innego mogłem zrobić?

Naprawdę od dawna nie spałem z dziewczyną. Dla niej był to pierwszy raz. Zapytałem ją, dlaczego nie spała z nim. Ale nie powinienem był o to pytać. Nie odpowiedziała. Odsunęła się ode mnie, odwróciła plecami i patrzyła na deszcz za oknem. Ja gapiłem się w sufit i paliłem papierosa.

Rano deszcz ustał. Ona spała odwrócona do mnie tyłem. A może wcale nie spała? Ale dla mnie wychodziło na to samo. Otaczało ją takie samo milczenie jak rok wcześniej. Przez pewien czas wpatrywałem się w jej białe plecy, lecz wkrótce poddałem się i wstałem.

Na podłodze leżały rozrzucone poprzedniego wieczoru płyty. Na stole została połowa rozpadającego się tortu. Miałem wrażenie, że czas się tu zatrzymał. Na biurku leżał słownik i tabela koniugacji francuskiej. Na ścianie powyżej wisiał kalendarz. Prosty kalendarz z

samymi datami, bez zdjęć czy obrazków. Był zupełnie czysty. Brak zapisków, znaczków.

Podniosłem z podłogi koło łóżka ubranie i włożyłem je. Koszula była jeszcze wilgotna na piersi, zimna. Kiedy zbliżyłem ją do twarzy, poczułem zapach jej włosów.

Na bloczku do notatek leżącym na biurku napisałem, żeby wkrótce do mnie zadzwoniła. Potem wyszedłem i cicho zamknąłem drzwi.

Minął tydzień, ale nie zadzwoniła. Ponieważ w jej bloku nie proszono lokatorów do telefonu, napisałem do niej długi list. Napisałem tak szczerze, jak umiałem, o tym, co czuję. Nie rozumiem wielu rzeczy i choć staram się je zrozumieć, pewnie trochę to potrwa. Nie mam pojęcia, do czego dojdę po uływie tego czasu, ale staram się w miarę możliwości nie traktować wszystkiego nadmiernie poważnie. Świat jest zbyt niepewny, żeby się poważnie nad wszystkim zastanawiać, i myślę, że w rezultacie można zmusić ludzi do różnych rzeczy. Ja jednak nie chcę nikogo do niczego zmuszać. Bardzo chciałbym się z tobą zobaczyć. Ale jak wcześniej mówiłem, nie wiem, czy to będzie słuszne – mniej więcej taka była treść listu.

Odpowiedź przyszła na początku lipca. List był krótki.

Postanowiłam na razie przerwać na rok studia. Napisałam „na razie”, ale sądzę, że już tam nie wrócę. Tylko dla formalności biorę urlop dziekański. Jutro wyprowadzę się z mieszkania. Może pomyślisz, że to nagła decyzja, ale ja od bardzo dawna to rozważałam. Ciebie też wielokrotnie chciałam się poradzić, ale za nic nie mogłam się na to zdobyć. Bardzo się bałam głośno o tym mówić.

Nie przejmuj się różnymi rzeczami. Mam wrażenie, że i tak by się na tym skończyło, bez względu na to, co się stało, czy gdyby się nie stało. Może te słowa Cię zranią. Jeżeli tak,

przepraszam. Próbuję tylko powiedzieć, że nie chcę, żebyś robił sobie albo komuś wyrzuty z mojego powodu. To naprawdę ja powinnam wszystko wziąć na siebie. Przez ponad rok to odsuwałam i odsuwałam, i zdaje mi się, że Tobie też narobiłam przez to kłopotu. Ale chyba już dłużej nie mogę.

Podobno w górach niedaleko Kioto jest dobre sanatorium i na razie pojedę tam odpocząć. To nie jest szpital, tylko miejsce, gdzie ma się o wiele większą swobodę. O szczegółach napiszę Ci przy innej okazji. Teraz nie potrafię. Piszę ten list już chyba po raz dziesiąty. Jestem Ci bardzo wdzięczna za to, że byłeś przy mnie przez ten rok, choć nie umiem tego wyrazić słowami. Proszę Cię, uwierz mi. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Zawsze z wdzięcznością słucham płyty, którą mi podarowałeś.

Myślę, że jeżeli uda nam się jeszcze gdzieś kiedyś spotkać na tym niepewnym świecie, może będę mogła porozmawiać z Tobą normalnie o różnych rzeczach.

Do widzenia.

Czytałem ten list setki razy. Za każdym razem ogarniał mnie bezbrzeżny smutek. Był to taki sam nieopanowany smutek, jakiego doznawałem, gdy zaglądała mi w oczy. Nie mogłem się z niego otrząsnąć, pozbyć się go. Jak wiatr, nie miał konturów ani wagi. Nie mogłem się nawet w niego spowić. Sceny powoli przesuwały się przed moimi oczami. Ich słowa nie docierały do moich uszu.

W sobotnie wieczory niezmiennie siadywałem na krześle w holu i spędzałem tam czas. Nie miałem nadziei na telefon, ale nie wiedziałem, co innego mógłbym robić. Zawsze włączałem transmisję meczu baseballowego i udawałem, że go oglądam. Wpatrywałem się w mglistą przestrzeń między sobą a telewizorem. Dzieliłem ją na połowy, te połowy znów na połowy. Powtarzałem to wiele razy, aż w końcu uzyskiwałem niewielką przestrzeń, mieszczącą się na dłoni.

O dziesiątej wyłączałem telewizor, wracałem do pokoju i szedłem spać.

Pod koniec miesiąca współlokator dał mi robaczka świętojańskiego w słoiku po kawie rozpuszczalnej. W środku prócz robaczka były źdźbła trawy i trochę wody, w pokrywce kilka dziurek, żeby dochodziło powietrze. Było jeszcze widno, więc robaczek wyglądał jak zwykły czarny owad schwytyany gdzieś nad wodą. Ale kiedy dobrze mu się przyjrzałem, widać było, że to robaczek świętojański. Próbowałem wpełznąć na śliską szklaną ścianę, lecz za każdym razem się ześlizgiwałem. Dawno nie widziałem robaczka świętojańskiego z tak bliska.

– Był w ogrodzie. W hotelu niedaleko wypuszczają je, żeby przyciągnąć gości, i ten się aż tu zaplątał – powiedział mój współlokator, wpychając do torby ubrania i zeszyty. Minęło już kilka tygodni od początku wakacji. Prócz nas nie było w akademiku prawie nikogo. Ja nie chciałem wracać do domu, a on miał praktyki. Ale praktyki się skończyły i zbierał się do powrotu.

– Daj dziewczynie. Na pewno się ucieszy – dodał.

– Dzięki.

Po zmierzchu w akademiku zapadała cisza. Flagę zdejmowano z masztu, w oknach stołówki zapalało się światło. Ponieważ studentów było niewielu, zapalano tylko połowę świateł. Zgaszona była połowa po prawej, a paliła się lewa. Mimo to w powietrzu unosił się lekki zapach kolacji. Woń gulaszu w sosie śmietanowym.

Poszedłem na dach ze słoikiem po kawie rozpuszczalnej, w którym siedział robaczek świętojański. Nie było tu żywego ducha. Na sznurze do suszenia bielizny wisiała biała koszula, którą ktoś zapomniał zdjąć, i bujała się na wieczornym wietrze jak jakaś pusta skorupa. Wszedłem po zardzewiałej drabince w rogu na zbiornik wody. Walcowaty zbiornik był jeszcze nagrany od ciepła, które wchłonał w ciągu upalnego dnia. Usiadłem na wąskim obramowaniu i oparłem się o poręcz, gdy wyłonił się przede mną biały księżyc – od pełni ubyła go zaledwie odrobina. Po prawej stronie widać było Shinjuku, po lewej Ikebukuro. Światła samochodów zlały się, tworząc jasne rzeki, i płynęły z jednej dzielnicy do drugiej. Rozmaite

dźwięki zlały się w cichy szum, który jak chmura unosił się nad miastem.

Na dnie słoika delikatnie świecił robaczek świętojański, lecz światełko było bardzo słabe, barwa blada. Pamiętałem, że robaczki świętojańskie wydzielały w letniej ciemności jaśniejsze, wyraźniejsze światło. Przynajmniej powinny.

Może robaczek osłabł i umiera? Kilkakrotnie potrząsnąłem słoikiem. Robaczek uderzył o szklaną ściankę i trochę podleciał. Lecz światełko nadal było zamglone.

Pewnie pamięć mnie myli. Może światełko robaczków świętojańskich nie było w rzeczywistości takie jasne. Pewnie tylko tak sobie wmówiłem. A może wtedy otaczała mnie bardzo głęboka ciemność? Nie mogłem sobie przypomnieć. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio widziałem robaczka świętojańskiego.

Pamiętałem tylko szum wody w mroku. Stara śluza z cegły. Można ją było otworzyć i zamknąć, kręcąc korbą. Śluza na niewielkim strumieniu, rosnące na brzegu zarośla pokrywały większość powierzchni wody. Wokół panowała zupełna ciemność, nad wezbraną wodą przed śluzą latały setki robaczków świętojańskich. Ich żółte światełka odbijały się w wodzie jak płonący ognisty pył.

Kiedy to mogło być? I gdzie?

Nie mogłem sobie przypomnieć.

Teraz wszystko mi się pomieszało i poplątało.

Zamknąłem oczy i odetchnąłem głęboko kilka razy, chcąc się uspokoić. Z zamkniętymi oczami miałem wrażenie, że lada chwila zostanę wchłonięty w letnią noc. Właściwie dziś po raz pierwszy wszedłem na zbiornik wody po zmroku. Szum wiatru słyszeć było wyraźniej niż zwykle. Wiatr nie był silny, lecz owiewając mnie, o dziwo zostawiał po sobie wyraźne smugi. Powoli, nieśpiesznie noc spowijała ziemię. Choć światła miasta bardzo nie chciały się poddać, noc niewątpliwie odbierała im, co było jej należne.

Zdjąłem pokrywkę, wyciągnąłem robaczka świętojańskiego i położyłem na trzycentymetrowym obramowaniu zbiornika. Zdawało się, że nie wie, co się z nim stało. Niepewnie okrążył śrubę, potykając się o odstające strupy farby. Chwilę szedł w prawo, a kiedy zobaczył, że droga się kończy, ruszył z powrotem w lewo. Następnie powoli wdrapał się na główkę śruby i przycupnąwszy na niej, znieruchomiał. Nawet nie drgnął, jakby już nie żył.

Przyglądałem mu się, oparty o barierkę. Długo trwaliśmy w bezruchu. Tylko czas płynął wokół nas jak rzeka. W ciemności szumiały niezliczone liście brzoźownic.

Czekałem w nieskończoność.

Robaczek odleciał znacznie później. Jakby nagle sobie o czymś przypomniał, rozpostarł skrzydełka, a w następnej chwili przeleciał nad barierką i uniósł się w bladej ciemności. Zatoczył łuk obok zbiornika. Zdawało się, że chce odrobić stracony czas. Zatrzymał się tam na chwilę, jakby chciał się upewnić, że linie światła zlały się z wiatrem, lecz wkrótce odleciał, kierując się na wschód.

Po jego zniknięciu na długo pozostały we mnie jasne smugi jego światełka. W gęstej ciemności zamkniętych powiek to drobne światełko błąkało się w nieskończoność, jak zagubiona dusza.

Kilka razy wyciągałem w tej ciemności ręce. Ale moje palce niczego nie dosięgały. To małe światełko zawsze było odrobinę za daleko.



Przypadkowy podróżny

偶然の旅人

Gūzen-no tabibito

To ja, Haruki Murakami, jestem autorem tego opowiadania. Ta historia w większej części opowiedziana jest w trzeciej osobie, a narrator ukazuje się na początku. Jak w tradycyjnych przedstawieniach, stanę przed kurtyną, a po wygłoszeniu prologu uklonę się i wycofam. To potrwa zaledwie chwilę, więc chciałbym prosić o odrobinę cierpliwości.

Pojawiam się tu dlatego, że wolałem bezpośrednio opowiedzieć o kilku niezwykłych przypadkach, które spotkały mnie w przeszłości. Prawdę mówiąc, bardzo często trafiałem w życiu na tego typu przypadki. Niektóre z nich były znaczące i wywołały pewne zmiany. A inne okazały się drobnymi, całkiem błahymi zdarzeniami, niemającymi szczególnego wpływu na moje życie. Prawdopodobnie niemającymi.

Kiedy mówię o takich doświadczeniach w jakiejś rozmowie, słuchacze reagują bez większego entuzjazmu. Najczęściej słyszę w odpowiedzi obojętne komentarze w rodzaju: „No, no, jednak takie rzeczy się zdarzają”, i na tym koniec. Moje opowiadanie nigdy nie bywa bodźcem do ożywionej dyskusji. Rozmowa nie rozwija się, ludzie nie mówią: „Mnie też przydarzyło się coś podobnego”. Poruszony przeze mnie temat znika wessany w bezimienny piaszczysty grunt zupełnie jak woda poprowadzona nieodpowiednim kanałem. Zapada krótkie milczenie. I ktoś zaczyna mówić o czymś innym.

Pomyślałem, że może nie umiem tych historii opowiedzieć, więc zapisałem je w formie esejów dla pewnego czasopisma. Miałem nadzieję, że jeżeli przedstawię je w formie pisanej, ludzie bardziej się nimi zainteresują. Ale zdaje się, że nikt nie uwierzył w to, co napisałem. Kilka razy usłyszałem: „To wymyślone historie, prawda?”. Wygląda na to, że ponieważ jestem powieściopisarzem, ludzie postrzegają wszystko, co mówię (czy piszę), jako historie wymyślone. Rzeczywiście, pisząc powieści, śmiało wymyślałem różne rzeczy (na tym przecież polega powieść). Ale kiedy nie zajmuję się

pisaniem powieści, nie wymyślam specjalnie bezsensownych historii.

Dlatego właśnie chciałem z tego miejsca, w formie wstępu do tego opowiadania, krótko wspomnieć o niezwykłych wydarzeniach, których byłem świadkiem. Postanowiłem nadmienić jedynie o drobnych, całkiem błahych doświadczeniach, bo gdybym zaczął opowiadać o tych naprawdę niezwykłych, zmieniających życie, zużyłbym większość miejsca, które przeznaczył dla mnie wydawca.

W latach 1993–1995 mieszkałem w Cambridge, w stanie Massachusetts. Byłem oficjalnie związany z uniwersytetem jako *writer in residence* i pisałem długą powieść zatytułowaną *Kronika ptaka nakręcacza*. Na Charles Square w Cambridge mieści się klub jazzowy o nazwie Regatta Bar, gdzie widziałem występy wielu muzyków. To średniej wielkości klub z miłą relaksującą atmosferą. Często grają w nim znani jazzmani, wstęp jest niezbyt drogi.

Kiedyś występowało tam trio, którego leaderem był pianista Tommy Flanagan. Moja żona była tego wieczoru zajęta, więc sam poszedłem go posłuchać. Tommy Flanagan to jeden z moich ulubionych pianistów jazzowych. Często jest akompaniatorem, jego gra jest ciepła, pełna głębi i jednocześnie nieprawdopodobnie wyważona. A solówki nie mają sobie równych.

Zająłem strategiczną pozycję blisko sceny i z kieliszkiem kalifornijskiego wina wsłuchiwałem się z przyjemnością w grę Tommy'ego Flanagan. Choć jeśli mam być szczerzy, jego występ tego wieczoru nie należał do najlepszych. Może niezbyt dobrze się czuł. A może dlatego, że było jeszcze wcześnie, nie zdążył się jeszcze wprawić w odpowiedni nastrój. Występ nie był zły, ale brakowało w nim tego czegoś, co przenosi nas w jakiś inny wymiar. Można powiedzieć, że brakowało w nim magicznego blasku. Nie tak powinien grać. Na pewno niedługo znajdzie właściwy ton, wmawiałem sobie, słuchając.

Niestety, mimo upływu czasu jego gra się nie poprawiała. Koncert zbliżał się do końca, a ja czułem, że jeszcze trochę i zacznę się

naprawdę niecierpliwić. Nie chcę, żeby tak skończył, myślałem. Pragnąłem czegoś, co pozwoliłoby mi zachować ten występ w pamięci. Nie chciałem, żeby zostało mi po nim tylko to nijakie, albo prawie żadne, wrażenie. Może już nigdy więcej nie będę miał okazji usłyszeć Tommy'ego Flanagana na żywo (rzeczywiście nigdy więcej nie miałem). I wtedy nagle zadałem sobie pytanie: Gdyby pozwolono mi poprosić Tommy'ego Flanagana o zagranie dwóch utworów, które bym wybrał? Po krótkim zastanowieniu zdecydowałem się na *Barbados* i *Star-Crossed Lovers*.

Pierwszy to kompozycja Charliego Parkera, a drugi Duke'a Ellingtona. Chciałbym wyjaśnić osobom nieznającym się na jazzie, że żaden z tych utworów nie jest szczególnie popularny. Wykonywane są rzadko. Pierwszy czasami zdarza się gdzieś usłyszeć, ale wśród utworów Charliego Parkera należy raczej do mniej popisowych, a drugi pewnie mało kto na świecie słyszał. Innymi słowy, chodzi mi o to, że był to dość wyrafinowany wybór.

Oczywiście miałem swoje powody, żeby do tego wyimaginowanego koncertu życzeń wybrać dwa takie wyrafinowane utwory. Tommy Flanagan nagrał je kiedyś i są to niezapomniane wykonania. Pierwszy z nich znalazł się na płycie *Dial J.J. Five* (nagranej w 1957 roku) zespołu J.J. Johnsona, w którym Flanagan był pianistą, a drugi jest na płycie *Encounter* (nagranie z 1986 roku), gdzie Flanagan grał w kwintecie Peppera Adamsa i Zoota Simsa. W ciągu swej długiej kariery Flanagan jako akompaniator wykonał i nagrał niezliczone utwory, ale ja szczególnie lubiłem jego krótkie, lecz inteligentne, czyste solówki w tych dwóch i przez wiele lat z przyjemnością ich słuchałem. Dlatego pomyślałem, że byłoby cudownie, gdyby teraz naprawdę je tu w mojej obecności zagrał. Wpatrywałem się w niego i myślałem, że może zejdzie ze sceny, zbliży się prosto do mojego stolika i powie: „Słuchaj, przyglądam ci się od pewnego czasu i zdaje mi się, że chciałbyś coś usłyszeć. Jak chcesz, podaj mi dwa tytuły”. Oczywiście wiedziałem, że to tylko mrzonki bez żadnych perspektyw na spełnienie.

Pod koniec występu Flanagan bez uprzedzenia zagrał kolejno te dwa utwory, choć nawet na mnie nie zerknął! Najpierw balladę *Star-*

Crossed Lovers, a po niej *Barbados* w wersji up-tempo. Z kieliszkiem w ręku siedziałem jak oniemiały. Czytelnicy będący wielbicielami jazzu, zapewne rozumieją, że prawdopodobieństwo wybrania kolejno tych dwóch spośród utworów jazzowych, których na świecie istnieje więcej niż gwiazd na niebie, jest naprawdę astronomicznie małe. A do tego – i w tym tkwi sedno tej całej historii – były to naprawdę czarujące, wspaniałe wykonania.

Drugie wydarzenie miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie. Ono też wiązało się z jazzem. Pewnego popołudnia szperałem w albumach w sklepie z używanymi płytami niedaleko Berklee School of Music. Polowanie na stare albumy na półkach z rzędami płyt jest moim zdaniem jedną z niewielu rzeczy, dla których warto żyć. Tego dnia znalazłem stary album Peppera Adamsa, *10 to 4 at the 5 Spot* nagrany dla wytwórni Riverside. To nagranie z koncertu świetnego kwintetu Peppera Adamsa z Donaldem Byrdem grającym na trąbce w nowojorskim klubie jazzowym Five Spot. *10 to 4* oznacza za dziesięć czwarta nad ranem. Chodzi o to, że muzycy bardzo się rozkręcili i grali w tym klubie do świtu. Płyta była oryginalna, w doskonałym stanie, jak nowa. Kosztowała chyba siedem czy osiem dolarów. Miałem jej japońskie wydanie, ale porysowało się od wielokrotnego słuchania, więc fakt, że mogłem za taką cenę kupić oryginalną płytę w dobrym stanie, mówiąc może trochę przesadnie, graniczył z cudem. Kiedy szczęśliwy dokonałem już zakupu i właśnie wychodziłem ze sklepu, wchodzący do niego młody mężczyzna zwrócił się do mnie:

– *Hey, you have the time?* (Wiesz, która godzina?).

Spojrzałem na zegarek i bez namysłu odparłem:

– *Yeah, it's 10 to 4.*

Nagle spostrzegłem ten niezwykły zbieg okoliczności i aż mnie zatkało. O rany, co się ze mną dzieje? Czyżby bóg jazzu – zakładając, że był ktoś taki w niebie nad Bostonem – uśmiechał się i puszczał do mnie oko, mówiąc: – Hej! Dobrze się bawisz? (*Yo, you dig it?*).

Oba te przypadki to wydarzenia całkiem błahe. Nie wywołały żadnych zmian w moim życiu. Uderzyła mnie tylko niezwykłość tego, że takie rzeczy naprawdę się zdarzają!

W rzeczywistości prawie wcale nie interesują mnie zjawiska nadprzyrodzone. Nigdy nie pociągały mnie wróżby. Zamiast zawracać sobie głowę chodzeniem do wróżki po to, żeby mi czytała z ręki, wolę ruszyć głową i w ten sposób jakoś rozwiązać swoje problemy. Oczywiście nie znaczy to, że jestem taki mądry, ale mam wrażenie, że tak będzie szybciej. Nie interesują mnie również zdolności paranormalne. Szczerze mówiąc, nie fascynują mnie też reinkarnacja, duchy zmarłych, przeczucia, telepatia. Co nie oznacza, że zupełnie w nie nie wierzę. Myślę nawet, że wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby istniało coś takiego. Tylko po prostu osobiście mnie to nie interesuje. Lecz mimo to niemała liczba tajemniczych wydarzeń ubarwiła moje skromne życie.

Czy próbuję aktywnie jakoś je analizować? Nie próbuję. Po prostu przyjmuję te wydarzenia takimi, jakie są, a poza tym żyję zupełnie normalnie. I tylko myślę sobie: To takie rzeczy się zdarzają? albo: Być może istnieje jakiś bóg jazzu.

To, co dalej opiszę, opowiedział mi znajomy. Kiedy przy jakiejś okazji wspomniałem mu o tamtych epizodach, zamyślił się z poważną miną, a potem powiedział: „Prawdę mówiąc, ja też miałem dość podobne doświadczenie. Stało się to przez przypadek. Nie było może wyjątkowo niezwykle, ale nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak mogło do czegoś takiego dojść. Na to doświadczenie złożyło się kilka zbiegów okoliczności, co w rezultacie dało zupełnie niespodziewane efekty”.

Aby niemożliwe było rozpoznanie kogokolwiek, zmieniłem kilka faktów, ale wszystko poza tym opisuję tak, jak on opowiedział.

Jest stroicielem fortepianów. Mieszka na zachód od centrum Tokio, niedaleko Okutamy. Ma czterdzieści jeden lat, jest gejem. Nie

ukrywa specjalnie tego faktu. Ma o trzy lata młodszego chłopaka, ale tamten pracuje w nieruchomościach i z powodów zawodowych nie może ujawnić się jako gej. Choć znajomy jest stroicielem, uczył się w klasie fortepianu w akademii muzycznej i zupełnie nieźle gra. Bardzo dobrze i z wielkim wyczuciem wykonuje zwłaszcza muzykę francuską: Debussy'ego, Ravela, Erica Satiego. Najbardziej lubi utwory Francisa Poulenca.

– Poulenc był gejem. I nie próbował tego ukryć przed światem – powiedział mi kiedyś. – W tamtych czasach to było bardzo odważne. „Moja muzyka nie powstałaby bez homoseksualizmu” – mówił Poulenc. Dobrze rozumiem, co miał na myśli. Chodzi o to, że jeśli miał być uczciwy w stosunku do swojej muzyki, musiał być tak samo uczciwy w stosunku do swego homoseksualizmu. Muzyka opiera się na uczciwości – życie tak samo.

Ja też od dawna lubię muzykę Poulenca. Dlatego kiedy ten znajomy przychodzi nastroić moje stare pianino, zawsze proszę go o zagranie kilku krótkich utworów. *Suity francuskiej* albo *Pastorale*.

Odkrył, że jest gejem, kiedy poszedł na akademię muzyczną. Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad taką możliwością. Był przystojny, dobrze wychowany, miły, w szkole średniej miał powodzenie. Nie chodził z żadną dziewczyną, ale był na kilku randkach. Przyjemnie mu się spacerowało z dziewczynami po mieście. Lubił przyglądać się z bliska ich fryzutom, wdychać ich zapach na szyi pod włosami, ścisnąć drobne dłonie. Ale nie miał żadnych doświadczeń seksualnych. Kiedyś na randce uświadomił sobie, że dziewczyna chyba czegoś od niego oczekuje, ale nie mógł się odważyć na pierwszy krok. Poza tym nie czuł w sobie żadnej potrzeby, żeby to zrobić. Wokoło wszyscy koledzy bez wyjątku walczyli z trudnymi do opanowania demonami seksualnych impulsów, bywały one ponad ich siły, czasem aktywnie dawali im ujście. A on nie znajdował w sobie takich silnych impulsów. Pewnie wolniej się rozwijam, myślał. I jeszcze nie spotkałem odpowiedniej osoby.

Po wstąpieniu na uczelnię zaczął chodzić z będącą na tym samym roku dziewczyną z klasy instrumentów perkusyjnych. Dobrze się

rozumieli, czuli się sobie bliscy. Wkrótce po tym, jak się poznali, poszli kochać się do jej pokoju. Ona zresztą to zaproponowała. Byli też trochę pijani. Udało im się odbyć stosunek bez szczególnych przeszkód, ale nie było to ani tak przyjemne, ani tak podniecające, jak wszyscy twierdzili. Jemu wydawało się raczej wulgarne i groteskowe. Nie mógł polubić tego szczególnego zapachu, jaki wydzielało ciało podnieconej kobiety. Od seksu znacznie przyjemniejsze wydawały mu się poufale rozmowy, wspólne granie i posiłki. A wraz z upływem czasu seks z nią stał się dla niego ciężarem.

Mimo to myślał jedynie, że jest zapewne seksualnie oziębły. Lecz pewnego razu... Nie, nie będę o tym pisał. To zbyt długa historia, a poza tym nie ma związku z tą opowieścią. W każdym razie coś się stało i odkrył, że niewątpliwie jest homoseksualistą. Nie chciało mu się wymyślać żadnych usprawiedliwień, więc po prostu wyznał dziewczynie: – Sądzę, że jestem homoseksualistą. – I po tygodniu wszyscy wokół wiedzieli już, że jest gejem. Ta historia dotarła nawet do jego rodziny. Przez to stracił przyjaźń kilku bliskich osób, bardzo popsuły się jego stosunki z rodzicami, ale w sumie może nawet dobrze, że tak się skończyło. Życie opierające się na ukrywaniu przed ludźmi oczywistych faktów nie pasowało do jego charakteru.

Najtrudniejsze do zniesienia było to, że zmieniły się stosunki między nim a starszą o dwa lata siostrą, która była mu najbliższa z całej rodziny. Rodzina jej narzeczonego dowiedziała się, że przyszły szwagier jest gejem, i przez to niedalekie plany małżeńskie jakby utkwily na mieliźnie. W końcu udało się jakoś przekonać teściów i doprowadzić od ślubu, ale przez to zamieszanie siostra prawie dostała nerwicy i była na niego wściekła. – Dlaczego musiałeś wybrać akurat taki delikatny moment, żeby z tym wyjeżdżać i robić taką aferę?! – On oczywiście też miał swoje argumenty. Ale nigdy już nie byli w tak bliskich stosunkach jak wcześniej. Nie poszedł nawet na jej ślub.

Jako samotny gej prowadził dość satysfakcjonujące życie. Był dobrze ubrany, życzliwy, grzeczny, miał poczucie humoru, na ustach prawie zawsze miły uśmiech, toteż wiele osób – z wyjątkiem

tych, które mają fizjologiczny wstręt do gejów – czuło do niego naturalną sympatię. Był bardzo dobry w swoim zawodzie, miał wielu klientów i stałe dochody. Zdarzało się, że zamawiali go słynni pianiści. Kupił trzypokojowe mieszkanie w okolicy jednego z uniwersytetów i spłacił już większość kredytu. Miał wysokiej klasy sprzęt stereofoniczny, nieźle gotował z naturalnych produktów, pięć razy w tygodniu chodził na siłownię, żeby zrzucić zbędne kilogramy. Po kilku związkach z różnymi mężczyznami poznał obecnego partnera i już od prawie dziesięciu lat utrzymywał z nim harmonijne, satysfakcjonujące stosunki seksualne.

We wtorki wsiadał do dwuosobowej hondy kabrioletu (zielonej, z tradycyjną skrzynią biegów), przejeżdżał rzekę Tamę i docierał do centrum handlowego, outletu w prefekturze Kanagawa. Były tam sklepy wielkich sieci, jak Gap, Toys'Я'Us i Body Shop. W weekendy panował tłok i trudno było znaleźć miejsce na parkingu, ale w dni powszednie zwykle były pustki. Wchodził do wielkiej księgarni, znajdował jakąś ciekawie zapowiadającą się książkę i popijając kawę w kawiarence w rogu księgarni, czytał. Tak zawsze spędzał wtorki.

– To centrum handlowe jest okropne. Oczywiście. Ale kawiarnia zadziwiająco sympatyczna – powiedział. – Przypadkiem ją znalazłem. Nie puszczają żadnej muzyki, palenie jest wszędzie zabronione, poduszki krzesel wprost idealne do siedzenia, kiedy czytasz. Nie za twarde, nie za miękkie. I zawsze są tam pustki. Niewiele osób chodzi do kawiarni we wtorek rano, a jeśli ktoś idzie, to raczej do pobliskiego Starbucksa.

We wtorki od dziesiątej rano do pierwszej zatapiał się w lekturze w tej mało popularnej kawiarni. O pierwszej zjadał w pobliskiej restauracji sałatkę z tuńczyka, wypijał butelkę perriera, potem szedł pocić się na siłowni. Tak spędzał wtorki.

W tamten wtorek jak zwykle siedział w owej kawiarence z *Samotnią* Dickensa. Czytał ją dawno temu, ale kiedy zobaczył na półce księgarni, nabrał ochoty, by znowu przeczytać. Wyraźnie

pamiętał, że to ciekawa historia, choć za nic nie mógł sobie przypomnieć treści. Dickens był jednym z jego ulubionych pisarzy, bo kiedy czytał jego powieści, zazwyczaj zapominał o całym świecie. Jak zawsze od pierwszej strony powieść całkowicie go wciągnęła.

Czytał w skupieniu przez godzinę i poczuł się zmęczony. Zamknął książkę, odłożył na stolik, przywołał kelnerkę i zamówił jeszcze jedną kawę, wyszedł z kawiarni do toalety. Gdy wrócił, siedząca przy sąsiednim stoliku i zatopiona dotąd w lekturze kobieta odezwała się do niego.

– Przepraszam. Czy mogę pana o coś zapytać?

Spojrzał na nią z wymuszonym uśmiechem. Musiała być mniej więcej w jego wieku. – Proszę bardzo.

– Wiem, że to niegrzecznie z mojej strony tak się do pana zwracać, ale coś mi od pewnego czasu nie daje spokoju – powiedziała i zarumieniła się lekko.

– Nie szkodzi. Mam czas, proszę się nie krępować.

– Ta książka, którą pan czyta, czy to przypadkiem nie jest Dickens?

– Owszem – odrzekł i pokazał jej książkę. – *Samotnia* Dickensa.

– A jednak – powiedziała kobieta z ulgą. – Zauważyłam okładkę i tak mi się wydawało.

– Pani też lubi *Samotnię*?

– Tak. To znaczy, przypadkiem ja też cały czas czytałam tę książkę, siedząc obok pana – powiedziała, zdejmując z książki księgarską okładkę i pokazując mu obwolucję.

Rzeczywiście był to zadziwiający zbieg okoliczności. W pustawym centrum handlowym, w pustawej kawiarni w powszedni dzień rano dwie osoby siedzące przy sąsiednich stolikach czytają dokładnie tę samą książkę. I do tego nie jakiś bestseller, a raczej mało znaną powieść Dickensa. Oboje byli zaskoczeni tym zadziwiającym zrzędzeniem losu i przez to łatwo przełamali pierwsze lody.

Ona mieszkała na nowym osiedlu w pobliżu tego centrum handlowego. *Samotnię* kupiła pięć dni wcześniej w tej księgarni.

Potem usiadła w kawiarni, zamówiła herbatę i bez przekonania otworzyła książkę, ale kiedy zaczęła czytać, nie mogła się od niej oderwać. Zanim się zorientowała, minęły dwie godziny. Od czasu studiów żadna książka jej tak nie wciągnęła. A poza tym na tyle przyjemnie spędziła czas, że znowu tu przyszła, żeby poczytać *Samotnię*.

Była drobna, może jeszcze nie pulchna, ale w niektórych miejscach zaczynała tyć. Miała duże piersi, sympatyczną twarz. Jej garderoba w wyrafinowanym guście musiała ją kosztować dość dużo. Trochę porozmawiali. Należała do klubu czytelniczego, w którym wybrano *Samotnię* na „książkę miesiąca”. Wśród członków była zagorzała wielbicielka Dickensa i to ona zaproponowała, żeby przeczytać *Samotnię*.

Miała dwoje dzieci (dziewczynki, jedną w trzeciej, drugą w pierwszej klasie) i trudno jej było znaleźć czas na lekturę. Ale czasami wychodziła gdzieś z domu, na przykład tu, i oddawała się czytaniu. Utrzymywała kontakty głównie z matkami koleżanek swoich córek. Rozmowy dotyczyły programów telewizyjnych albo narzekania na nauczycieli, nie bardzo umiała znaleźć z nimi wspólny język. Dlatego zapisała się do miejscowego klubu czytelniczego. Mąż też dawniej z zapałem czytał powieści, ale ostatnio jest tak zajęty pracą w firmie handlowej, że z trudem znajduje czas nawet na specjalistyczne książki ekonomiczne.

On też pokrótce opowiedział jej o sobie. Że jest stroicielem fortepianów. Że mieszka po drugiej stronie Tamy. Że jest kawalerem. Że lubi tę kawiarnię i dlatego przyjeżdża tu specjalnie co tydzień, żeby poczytać. Nie powiedział jej jednak, że jest gejem. Nigdy nie starał się tego ukrywać, ale nie jest to coś, o czym mówi się każdej spotkanej osobie.

Zjedli razem lunch w restauracji w centrum handlowym. Kobieta była szczerą i bezpretensjonalną. Kiedy poczuła się pewniej, dużo się śmiała. Naturalnym, niezbyt głośnym śmiechem. Potrafił sobie mniej więcej wyobrazić jej dotychczasowe życie, nie musiała mu opowiadać. Na pewno została starannie wychowana w dość zamożnej rodzinie w dzielnicy Setagaya, poszła na niezłą uczelnię,

zawsze doskonale się uczyła, była lubiana (choć możliwe, że miała więcej koleżanek niż kolegów), wyszła za starszego o trzy lata, dobrze zarabiającego mężczyznę i urodziła dwie dziewczynki. Dzieci chodziły do prywatnej szkoły. W jej dwunastoletnim małżeństwie nie było może fajerwerków, ale nie było też większych problemów. Przy lekkim posiłku rozmawiali o ostatnio przeczytanych powieściach, o muzyce, którą lubili. Zagadali się tak przez godzinę.

– Bardzo przyjemnie się z panem rozmawiało – powiedziała, rumieniąc się, gdy skończyli posiłek. – Nie mam nikogo, z kim mogłabym tak swobodnie pogadać.

– Ja też przyjemnie spędziłem czas – powiedział. Mówił prawdę.

W następny wtorek pojawiła się ponownie, gdy czytał książkę w tej samej kawiarni. Uśmiechnęli się do siebie i lekko uklonili. Usiadła przy oddalonym stoliku i niezależnie czytali *Samotnię*. Przed południem podeszła do niego i zaczęła rozmowę. Potem tak samo jak w poprzednim tygodniu zjedli razem lunch. Tu niedaleko jest niezła, przytulna francuska restauracja, może tam pójdziemy, zaproponowała. Bo w tym centrum handlowym nie ma żadnej porządnej. Dobrze, chodźmy, zgodził się. Pojechali tam we dwoje jej samochodem (niebieskim peugeotem 304 z automatyczną skrzynią biegów), zamówili sałatkę z rukwi i pieczonego sandacza. A także po kieliszku białego wina. Potem przedzieleni stolikiem rozmawiali o powieściach Dickensa.

Po posiłku w drodze powrotnej do centrum handlowego kobieta zatrzymała samochód na parkingu przy parku i wzięła go za rękę. Powiedziała, że chce z nim pojechać w jakieś „spokojne miejsce”. Był zaskoczony tempem rozwoju wypadków.

– Od wyjścia za mąż nigdy nie zrobiłam nic takiego. Ani razu – powiedziała, jakby się usprawiedliwiała. – Naprawdę nigdy. Ale przez cały ten tydzień o panu myślałam. Nie będę się od pana niczego domagać. Nie zrobię panu kłopotu. Oczywiście to wszystko pod warunkiem, że się panu w miarę podobam.

Delikatnie odwzajemnił jej uścisk dłoni i cicho wyjaśnił sytuację. Gdybym był zwykłym mężczyzną, bardzo chętnie pojechałbym z panią w jakieś „spokojne miejsce”. Jest pani czarującą kobietą i myślę, że cudownie byłoby spędzić z panią intymne chwile. Ale powiem pani prawdę: jestem homoseksualistą. Dlatego nie mogę uprawiać seksu z kobietą. Niektórzy geje mogą spać z kobietami, ale ja do nich nie należę. Proszę mnie zrozumieć. Mogę zostać pani przyjacielem. Ale kochankiem niestety nie.

Dopiero po pewnym czasie dotarło do niej, co mówi (w końcu po raz pierwszy w życiu spotkała homoseksualistę), a kiedy pojęła jego słowa, rozplakała się. Przycisnęła twarz do ramienia stroiciela fortepianów i długo płakała. Pewnie doznała szoku. Biedactwo, pomyślał. Objął ją ramieniem i delikatnie głaskał po włosach.

– Przepraszam – powiedziała. – Przeze mnie musiał pan powiedzieć coś, o czym nie chciał pan mówić.

– Nie ma za co. Ja się z tym specjalnie nie ukrywam. Być może powinienem był wcześniej dać to pani do zrozumienia. Żeby uniknąć niezręcznej sytuacji. Mam raczej wrażenie, że to ja sprawiłem pani przykrość.

Powoli i delikatnie głaskał ją po głowie swoimi długimi palcami.

To ją powoli uspokoiło. Zauważył, że na płatku prawego ucha ma pieprzyk, i poczuł tęsknotę, od której zrobiło mu się duszno. Jego dwa lata starsza siostra miała podobnej wielkości pieprzyk w tym samym miejscu. Kiedy był mały, często udawał, że próbuje go zdrapać, kiedy siostra spała. Wtedy zawsze się budziła i złościła.

– Ale dzięki temu, że pana poznałam, przeżyłam ten tydzień w podnieceniu – powiedziała. – Dawno się tak nie czułam. Było mi bardzo przyjemnie, jakbym znowu była nastolatką. Więc nie szkodzi. Poszłam do fryzjera, zaczęłam błyskawiczną dietę, kupiłam nową włoską bieliznę...

– Zdaje się, że z mojego powodu wpędziła się pani w koszty – roześmiał się.

– Pewnie coś takiego było mi teraz potrzebne.

- Coś takiego?
- Próba nadania kształtu temu, co czuję.
- Albo kupno seksownej włoskiej bielizny?

Zaczerwieniła się aż po uszy. – Wcale nie jest seksowna. Tylko bardzo ładna.

Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy. Chciał w ten sposób pokazać, że tylko nieszkodliwie zażartował, chcąc rozładować sytuację. Zrozumiała i też się uśmiechnęła. Przez pewien czas patrzyli sobie w oczy.

Potem wyjął chusteczkę i otarł jej łzy. Ona podniosła się i poprawiła makijaż w lusterku przymocowanym do osłonki przeciwsłonecznej.

– Pojutrze mam iść do szpitala w śródmieściu i zrobią mi powtórne badanie – powiedziała, gdy zatrzymała się na parkingu centrum handlowego i zaciągnęła ręczny hamulec. – Okresowa mammografia wykazała jakiś podejrzany cień i skontaktowali się ze mną, że chcą zrobić jeszcze jedno dokładne badanie. Jeżeli okaże się, że to naprawdę rak, niewykluczone, że będę musiała iść od razu do szpitala na operację. Może to z tego powodu dziś tak postąpiłam. To znaczy...

Na chwilę zapadło milczenie. Potem kilkakrotnie potrząsnęła głową. Powoli, lecz zdecydowanie. – Sama nie wiem.

Stroiciel fortepianów przez pewien czas mierzył głębię jej milczenia. Wyteżając słuch, chciał w ciszy dosłyszeć echo pewnego delikatnego dźwięku.

– Zwykle jestem tu we wtorki przed południem – powiedział. – Nie mogę wiele pomóc, ale zawsze gotów jestem posłuchać i porozmawiać. Jeżeli uważa pani, że się do tego nadaję.

– Nikomu o tym nie mówiłam. Nawet mężowi.

Przykrył dłonią jej rękę spoczywającą na hamulcu ręcznym.

– Bardzo się boję – powiedziała. – Czasami nie mogę nawet na niczym się skupić.

Obok zaparkował niebieski minivan i wysiadła z niego para w średnim wieku, oboje zdawali się być w złym humorze. Słysząc było rozmowę. Chyba mieli do siebie nawzajem jakieś pretensje. O jakąś błahostkę. Kiedy odeszli, znów zapadło milczenie. Kobieta zamknęła oczy.

– Nie chcę się mądrzyć – powiedział – ale kiedy nie wiem, co począć, zawsze trzymam się pewnej zasady.

– Zasady?

– Jeżeli musisz wybrać między czymś mającym kształt i czymś pozbawionym kształtu, wybierz to, co pozbawione kształtu. To moja zasada. Kiedy znalazłem się w ślepej uliczce, zawsze się kierowałem tą zasadą i patrząc z perspektywy, myślę, że to dało dobre rezultaty. Nawet jeśli na początku było mi ciężko.

– Sam pan wymyślił tę zasadę?

– Uhm – powiedział do deski rozdzielczej peugeota. – Nauczony doświadczeniem.

– Jeżeli musisz wybrać między czymś mającym kształt i czymś pozbawionym kształtu, wybierz to, co pozbawione kształtu – powtórzyła.

– Zgadza się.

Zamyśliła się na chwilę. – Hm, nie wiem, o co chodzi. Co właściwie ma kształt, a co go nie ma?

– Pewnie pani nie wie. Ale prawdopodobnie i tak będzie pani musiała coś wybrać.

– A pan wie?

W milczeniu skinął głową. – Gej doświadczony przez życie jak ja posiadał różne specjalne umiejętności.

Roześmiała się. – Dziękuję.

Potem znowu zapadło długie milczenie. Lecz nie miało w sobie takiego napięcia i ciężaru jak przedtem.

– Do widzenia – powiedziała. – Naprawdę dziękuję panu za wszystko. Cieszę się, że pana poznałam i mogliśmy porozmawiać. Mam wrażenie, że nabrałam trochę odwagi.

Uśmiechnął się i uścisnął jej rękę. – Niech się pani trzyma.

Stojąc, odprowadzał wzrokiem jej niebieskiego peugeota. Na koniec pomachał w stronę wstecznego lusterka. Następnie ruszył powoli w kierunku, gdzie zaparkował swoją hondę.

W następny wtorek padał deszcz. Kobieta nie pojawiła się w kawiarni. Posiedział, czytając w ciszy książkę, o pierwszej wyszedł.

Tego dnia stroiciel postanowił nie iść na siłownię. Nie miał ochoty na wysiłek fizyczny. Nie zjadł lunchu i wrócił prosto do domu. Siedząc na kanapie, bezmyślnie słuchał ballad Chopina w wykonaniu Artura Rubinsteina. Kiedy zamykał oczy, widział przed sobą twarz drobnej kobiety jeżdżącej peugeotem, pod palcami jak żywe czuł jej włosy. Wyraźnie pamiętał pieprzyk na płatku ucha. Po upływie pewnego czasu obraz jej twarzy i obraz peugeota zniknęły, ale pieprzyk ciągle pozostał wyraźny. Choć stroiciel otwierał i zamykał oczy, drobny czarny punkcik unosił się przed nim jak jakaś kropka, którą zapomniał postawić, cicho, lecz nieustannie wprowadzał zamęt w jego sercu.

Gdy minęło pół do trzeciej, postanowił zadzwonić do siostry. Minęło wiele lat od czasu, kiedy ostatni raz rozmawiali. Ile to już lat? Dziesięć? Aż tak się od siebie oddalili. Jednym z powodów było to, że kiedy sprawa jej małżeństwa się powikłała, oboje w zdenerwowaniu powiedzieli sobie rzeczy, których nie należało mówić. Inna przyczyna była taka, że nie podobał mu się chłopak, za którego wyszła. Był aroganckim prostakiem i traktował preferencje seksualne szwagra zupełnie jak jakąś zakaźną chorobę. Jeżeli tylko mógł, starał się od niego trzymać na kilometr.

Wahał się dłuższy czas, trzymając słuchawkę w dłoni, lecz w końcu wybrał numer. Odczekał dziesięć sygnałów, a kiedy prawie z uczuciem ulgi zrezygnował i właśnie miał odłożyć słuchawkę, siostra odebrała. Stęsknił się za jej głosem. Kiedy zorientowała się,

że dzwoni brat, po drugiej stronie słuchawki zapadła na chwilę głęboka cisza.

– Dlaczego nagle do mnie dzwonisz? – zapytała głosem pozbawionym wyrazu.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Po prostu zdawało mi się, że powinienem zadzwonić. Jakoś się o ciebie martwiłem.

Znów zapadła cisza. Długa cisza. Pomyślał, że pewnie jeszcze jest na niego wściekła.

– Nie mam żadnej sprawy. Chciałem tylko się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku.

– Czekaj – powiedziała. Po głosie poznał, że chyba płacze. – Przepraszam cię, poczekaj chwilę.

Ponownie zapadło milczenie. Przez cały ten czas przyciskał słuchawkę do ucha. Nie było słyhać żadnych dźwięków. Nie czuł tam jej obecności. Potem siostra się odezwała:

– Masz teraz czas?

– Mam. Nie jestem zajęty.

– Mogę do ciebie zaraz przyjechać?

– Możesz. Wyjadę po ciebie samochodem na stację.

Po godzinie odebrał siostrę ze stacji i zabrał do swojego mieszkania. Po dziesięciu latach niewidzenia brat z siostrą musieli przed sobą przyznać, że oboje się o dziesięć lat postarzeni. Czas ma swoje prawa i korzysta z nich. Każde z nich odbijało się w tym drugim jak w zwierciadle. Siostra niezmiennie była szczupła, miała dobrą figurę, wyglądała na pięć lat młodszą. Lecz w jej zapadniętych policzkach pojawiła się jakaś surowość. Wyraziste czarne oczy też straciły dawny blask. On również nie wyglądał na swoje lata, ale od razu było widać, że zaczyna z przodu łysieć. W samochodzie czuli się skrępowani i rozmawiali na typowe tematy. Jak idzie praca? Dzieci zdrowe? Wymieniali informacje o wspólnych znajomych, mówili o stanie zdrowia rodziców.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, poszedł do kuchni i nastawił wodę.

– Jeszcze grasz na pianinie? – zapytała na widok instrumentu w salonie.

– Tylko dla przyjemności. Jedyne proste utwory. Przy trudniejszych palce mi się odpowiednio nie układają.

Podniosła pokrywę pianina i położyła dłonie na zużytych, pociemniałych klawiszach. – Myślałam, że kiedyś zostaniesz słynnym pianistą.

– Świat muzyki to cmentarz młodocianych geniuszy – powiedział, mieląc kawę. – Oczywiście mnie też było strasznie żal zrezygnować z kariery pianisty. Przeżyłem wielkie rozczarowanie. Wydawało mi się, że wszystko, co do tamtej pory zbudowałem, jest bezwartościowe. Miałem wręcz ochotę zniknąć. Ale jednak okazało się, że uszy mam znacznie bardziej uzdolnione niż palce. Wielu ludzi grało lepiej ode mnie, ale nikt nie miał lepszego słuchu. Odkryłem to niedługo po rozpoczęciu studiów. I pomyślałem sobie, że lepiej będzie zostać pierwszorzędnym stroicielem niż drugorzędnym pianistą.

Wyjął z lodówki śmietankę do kawy i wlał do małego ceramicznego dzbanuszka.

– To dziwna historia, ale jak zacząłem się specjalizować w strojeniu, gra na fortepianie zaczęła mi sprawiać przyjemność. Od dzieciństwa intensywnie ćwiczyłem. Robienie postępów dzięki ćwiczeniom też było na swój sposób interesujące. Ale nigdy nie pomyślałem, że gra jest *przyjemnością*. Grałem tylko po to, by poprawić te miejsca, które sprawiały mi trudności. Żeby nie uderzyć w zły klawisz, żeby palce mi się nie poplątały. Żeby ludzie mnie podziwiali. Dopiero kiedy zrezygnowałem z kariery pianistycznej, w końcu udało mi się zrozumieć radość grania. Pomyślałem, że muzyka to wspaniała rzecz. Czułem się, jakby spadł mi z barków wielki ciężar. Choć kiedy go dźwigałem, nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Nie mówiłem?

Siostra w milczeniu potrząsnęła głową.

Może i nie, pomyślał. Może i nie mówiłem. Przynajmniej nie w ten sposób.

– Tak samo było, kiedy zorientowałem się, że jestem gejem – ciągnął. – Wyjaśniło się z miejsca kilka wątpliwości od dawna niedających mi spokoju. Aha, to o to chodziło, pomyślałem. Dzięki temu zrobiło mi się o wiele lżej na duszy. Jakby w jednej chwili rozwiały się chmury i ukazał spoza nich krajobraz. Rezygnacja z kariery pianistycznej i oficjalne przyznanie, że jestem gejem, na pewno rozczarowały wiele osób z mojego otoczenia. Ale musisz zrozumieć, że dzięki temu udało mi się wrócić do swojego prawdziwego ja. Do siebie w naturalnej postaci.

Postawił filiżankę kawy przed siedzącą na kanapie siostrą. Sam usiadł obok z kubkiem w dłoni.

– Powinniśmy wtedy bardziej starać się ciebie zrozumieć – powiedziała siostra. – Ale chyba ty powinieś być dokładniej nam różne rzeczy wytłumaczyć. Otworzyć przed nami serce czy, jak by to powiedzieć, mówić o tym, co wtedy myślałeś...

– A ja nie chciałem nic tłumaczyć – przerwał jej. – Chyba chciałem, żebyście zrozumieli wszystko bez tłumaczenia. *Szczególnie* ty.

Siostra milczała.

Mówił dalej: – Nie byłem wtedy zdolny do myślenia o uczuciach innych. Nie starczało mi na to sił.

Gdy wspominał tamte czasy, głos zaczął mu lekko drżeć. Miał ochotę się rozplakać, ale jakoś się opanował. I mówił dalej: – W krótkim czasie moje życie stanęło na głowie. Z trudem udawało mi się kurczowo go trzymać, żeby nie ześlizgnąć się z krawędzi świata. Byłem okropnie przestraszony, strach wręcz odbierał mi rozum. W takiej chwili nie da się innym nic tłumaczyć. Zdawało mi się, że zaraz spadnę. Dlatego chciałem, żebyście po prostu zrozumieli. I mocno mnie przytulili. Nie pytając o logikę, o wyjaśnienia. Ale nikt...

Siostra ukryła twarz w dłoniach. Jej ramionami wstrząsał bezgłośny szloch. Lekko położył dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma sprawy – odparł. Potem dolał śmietanki do kawy, zamieszał łyżeczką i powoli wypił trochę, chcąc uspokoić wzburzone nerwy. – Nie ma sensu płakać. Ja też wcale nie jestem bez winy.

– Słuchaj, dlaczego właśnie dziś do mnie zadzwoniłeś? – zapytała, podnosząc głowę i patrząc mu prosto w oczy.

– Dlaczego dziś?

– Dlaczego akurat dziś po ponad dziesięciu latach milczenia?

– Zaszło pewne niewielkie wydarzenie i pomyślałem o tobie. Zastanawiałem się, co porabiasz. Chciałem usłyszeć twój głos. To wszystko.

– Nikt ci *nic* nie mówił?

W głosie siostry był szczególny ton i poczuł, że ogarnia go napięcie. – Nie, nikt mi *nic* nie mówił. Coś się stało?

Siostra milczała chwilę, jakby chciała uporządkować myśli. Cierpliwie czekał, aż się odezwie.

– Prawdę mówiąc, jutro idę do szpitala – powiedziała.

– Do szpitala?

– Pojutrze mam mieć operację raka piersi. Amputują mi prawą. W całości. Ale nikt nie wie, czy to powstrzyma rozwój choroby. Żeby się dowiedzieć, *muszą ją obciąć*.

Na chwilę odebrało mu mowę. Z ręką na ramieniu siostry bez żadnej myśli przyglądał się kolejno różnym przedmiotom w pokoju. Zegar, statuetka, kalendarz, pilot do zestawu stereofonicznego. Powinny to być dobrze mu znane przedmioty w dobrze mu znanym pokoju, lecz jakoś zatarło się poczucie odległości pomiędzy nimi.

– Długo się wahałam, czy cię zawiadomić, czy nie – powiedziała siostra. – Ale zdawało mi się, że lepiej nie, więc nie zawiadamiałam. Bardzo chciałam się z tobą zobaczyć, choć raz spokojnie pogadać. Chciałam cię przeprosić za różne rzeczy. Ale... wolałam nie spotykać się z tobą z takiego powodu. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem – powiedział brat.

– Chciałam, żebyśmy się spotkali w weselszych okolicznościach, w bardziej optymistycznym nastroju. Dlatego postanowiłam się z tobą teraz nie kontaktować. Ale akurat wtedy ty zadzwoniłeś...

Bez słowa mocno ją do siebie przytulił. Czuł kształt obydwu jej piersi. Położyła mu głowę na ramieniu i rozplakała się. Długo tak siedzieli.

Wkrótce siostra zapytała: – Powiedziałeś, że coś się stało i przypomniałeś sobie o mnie. Co to było? Powiedz mi, jeśli możesz.

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie da się tego krótko wyjaśnić. To było niewielkie wydarzenie. Kilka rzeczy przypadkowo się na to złożyło. Taki zbieg okoliczności i ja...

Potrząsnął głową. Prawidłowe poczucie odległości jeszcze nie wróciło. Statuetkę dzieliło od pilota wiele lat świetlnych.

– Nie bardzo umiem to wyjaśnić.

– Nie szkodzi – powiedziała siostra. – Ale dobrze się stało. Naprawdę dobrze.

Podniósł rękę i lekko potarł pieprzyk na płatku jej prawego ucha. Potem lekko pocałował ją w to ucho, jakby wysyłał jakiś pozbawiony słów szept do bardzo ważnego miejsca.

– Siostrze amputowano prawą pierś, ale na szczęście nie było przerzutów i chemioterapię miała stosunkowo lekką. Nie wypadły jej włosy ani nic w tym rodzaju. Teraz już zupełnie doszła do siebie. Prawie codziennie chodziłem do niej do szpitala. Przecież dla dziewczyny strata piersi to bardzo poważna sprawa. Kiedy wróciła do domu, zacząłem ją często odwiedzać. Bardzo zaprzyjaźniłem się z siostrzeńcem i siostrzenicą. Siostrzenicę uczę gry na pianinie. Może jako wuj nie powinienem tak mówić, ale jest całkiem utalentowana. Szwagier też, kiedy go bliżej poznałem, nie okazał się taki zły, jak myślałem. Oczywiście nadal jest arogancki i trochę chamowaty, ale nie da się ukryć, że ciężko pracuje i jest strasznie dobry dla mojej siostry. W końcu zrozumiał, że bycie gejem to nie choroba zakaźna i jego dzieci się ode mnie nie zarażą. To niewielki, ale bardzo ważny

krok – powiedział i roześmiał się. – Mam wrażenie, że dzięki pogodzeniu się z siostrą moje życie poszło naprzód. Jakbym teraz żył bardziej naturalnie niż przedtem... To było prawdopodobnie coś, czemu musiałem stawić czoło. Sądzę, że od dawna pragnąłem pogodzić się i odnowić stosunki z siostrą.

– Ale potrzebna była panu do tego jakaś okazja?

– Właśnie – odpowiedział. Potem kilkakrotnie skinął potakująco głową. – Tak, okazja była *najważniejsza*. Wtedy nagle sobie pomyślałem: Być może zbieg okoliczności to bardzo powszechne zjawisko? To znaczy, że tego typu rzeczy bez przerwy, codziennie się wokół nas zdarzają. Lecz większości z nich nie zauważamy, przegapiamy je. Zupełnie jak fajerwerki w biały dzień – słychać cichy odgłos, ale kiedy podniesie się wzrok ku niebu, nic nie widać. Jednak jeśli mamy w sobie silne pragnienie, prawdopodobnie zbiegi okoliczności pojawiają się w naszym polu widzenia jak jakaś wiadomość. I udaje się wyraźnie odczytać ich kształt i znaczenie. A my na ich widok myślimy: O! To takie rzeczy się zdarzają! To niezwykle! I dziwimy się. Mimo że wcale nie jest to takie niezwykle. Nie mogę się oprzeć takiemu przekonaniu. No jak? Uważa pan, że ta teoria jest zbyt naciągana?

Zastanowiłem się nad jego słowami. – Nie, może i ma pan rację – odparłem bez większego przekonania, bo oczywiście nie byłem pewien, czy można było z tego tak po prostu wyciągnąć taki wniosek. – Ale ja ze swej strony wolałbym raczej po prostu dalej wierzyć w teorię czegoś w rodzaju boga jazzu – dodałem.

Roześmiał się. – To też jest wcale niezłe. Dobrze byłoby, gdyby istniał też na przykład bóg gejów.

Nie wiem, jakie były dalsze losy drobnej kobiety, którą spotkał w kawiarence w księgarni. Już od pół roku nie stroiłem pianina i nie miałem okazji z nim rozmawiać. Prawdopodobnie nadal w każdy wtorek przejeżdża rzekę i chodzi do tej kawiarenki w księgarni, więc może kiedyś się z nią widział. Ale jeszcze mi o tym nie mówił. Dlatego też ta opowieść na razie na tym się kończy.

W głębi serca mam nadzieję, że jakiś bóg jazzu, gejów czy jakikolwiek inny bóg gdzieś po cichu strzeże tej kobiety, podszywając się pod przypadkowy zbieg okoliczności. Po prostu.



Zatoka Hanalei

ハナレイ・ベイ

Hanarei bei

Syn Sachi zginął w wieku lat dziewiętnastu zaatakowany w zatoce Hanalei przez wielkiego rekina. Ściśle mówiąc, nie został przez niego zabity ani pożarty. Wypłynął sam na pełne morze na desce surfingowej, rekin odgryzł mu prawą nogę i od tego szoku chłopak utonął. Dlatego oficjalną przyczyną śmierci było utonięcie. Deska też została przegryziona prawie na dwie części. Rekiny niechętnie jedzą ludzi. Raczej nie przepadają za ludzkim mięsem. Zwykle po ugryzieniu jednego kęsa odpływają rozczarowane. Dlatego ludziom zaatakowanym przez rekina w wielu przypadkach udaje się ujść z życiem, zwykle kończy się na utracie ręki albo nogi. Jednak syn Sachi tak bardzo się przestraszył, że prawdopodobnie dostał zawału serca albo czegoś w tym rodzaju, zachłysnął się wodą i utonął.

Kiedy przyszła wiadomość z japońskiego konsulatu w Honolulu, pod Sachi dosłownie ugięły się nogi. W głowie miała pustkę, nie mogła o niczym myśleć. Osunęła się tylko na podłogę i wpatrywała w jakiś punkt na ścianie. Nie wiedziała, jak długo tak siedzi. Kiedy w końcu doszła do siebie, znalazła numer telefonu do linii lotniczych i zarezerwowała lot do Honolulu. Zgodnie z zaleceniami pracownika konsulatu musiała jak najszybciej dotrzeć na miejsce wypadku i potwierdzić, że to naprawdę jej syn. Może przypadkiem okaże się, że to ktoś inny.

Akurat był świąteczny tydzień i powiedziano jej, że nie ma biletów ani na ten dzień, ani na następny. We wszystkich liniach było to samo. Kiedy jednak wyjaśniła sytuację, pracownik United powiedział: „Niech pani od razu jak najszybciej przyjedzie na lotnisko. Jakoś znajdziemy pani miejsce”. Spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, pojechała na lotnisko Narita, gdzie pracowniczka United czekała już na nią z gotowym biletem klasy biznesowej. „Tylko tam były miejsca. Ale policzyliśmy pani za klasę turystyczną” – powiedziała. „Bardzo dziękuję. Jestem państwu naprawdę wdzięczna” – odparła Sachi.

Kiedy wylądowała na lotnisku w Honolulu, zorientowała się, że z nadmiernego pośpiechu zapomniała zawiadomić konsulat o dniu i godzinie swojego przybycia. Ktoś z konsulatu miał jej towarzyszyć na wyspę Kauai, ale gdyby teraz zaczęła się z nimi kontaktować i umawiać, zrobiłoby się zawracanie głowy, więc postanowiła na Kauai pojechać sama. Jak dotrze na miejsce, jakoś sobie poradzi. Wsiadła w kolejny samolot i dotarła tam przed południem. Wynajęła samochód na lotnisku w firmie Avis i najpierw pojechała do pobliskiego urzędu policji. Powiedziała, że dostała wiadomość, jakoby jej syn został zaatakowany przez rekina i utonął w zatoce Hanalei, więc przyjechała od razu z Tokio. Siwiejący policjant w okularach zabrał ją do przypominającej chłodnię kostnicy i pokazał jej zwłoki syna z odgryzioną nogą. Prawa noga kończyła się nieco powyżej kolana. Z kikuta wystawały żałośnie białe kości. Nie było wątpliwości, że to jej syn. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu, wyglądał jakby po prostu głęboko spał. Nie wydawał się nieżywy. Prawdopodobnie ktoś wygładził mu rysy. Zdawało się, że gdyby go mocno potrząsnąć za ramię, obudziłby się, mamrocząc coś niechętnie. Tak samo jak dawniej każdego ranka.

W innym pomieszczeniu podpisała dokument stwierdzający, że zidentyfikowała zwłoki. Co pani zamierza zrobić z ciałem syna? zapytał policjant. Nie wiem. Co się zwykle robi? zapytała. Odpowiedział, że w takich wypadkach większość ludzi poddaje zwłoki kremacji i zabiera ze sobą prochy. Można zabrać ciało do Japonii, ale formalności są czasochłonne i kosztowne. Można też go pochować na cmentarzu na wyspie Kauai, wyjaśnił.

Proszę poddać kremacji, zabiorę prochy do Tokio. Syn już nie żyje. Nie ma możliwości przywrócenia go do życia. Nie ma znaczenia, czy będą to prochy, kości czy zwłoki, powiedziała Sachi. Podpisała zgodę na kremację. Uściła odpowiednie opłaty.

– Mam tylko kartę American Express – powiedziała.

– Może być American Express – odparł policjant.

Płacę kartą American Express za kremację syna, pomyślała Sachi. Wydawało jej się to nierealne. Tak samo nierzeczywiste jak to, że jej

syn zginął zaatakowany przez rekina. Kremacja miała się odbyć następnego dnia przed południem.

– Dobrze pani mówi po angielsku – powiedział policjant, porządkując dokumenty. Był z pochodzenia Japończykiem, nazywał się Sakata.

– W młodości mieszkałam trochę w Ameryce – wyjaśniła Sachi.

– Aha – odparł policjant. Potem przekazał jej bagaż syna. Ubrania, paszport, bilet powrotny, portfel, walkmana, czasopisma, okulary przeciwsłoneczne, kosmetyczkę. Wszystko mieściło się w niewielkiej torbie podróżnej. Sachi musiała też podpisać potwierdzenie odbioru ze szczegółową listą tych rzeczy.

– Ma pani więcej dzieci? – zapytał policjant.

– Nie, tylko jedno – odparła Sachi.

– Mąż z panią nie przyjechał?

– Mąż od dawna nie żyje.

Policjant westchnął głęboko. – Przykro mi. Proszę powiedzieć, jeżeli możemy w czymś pani pomóc.

– Niech mi pan powie, gdzie syn zginął. I gdzie się zatrzymał. Pewnie muszę zapłacić za noclegi. Poza tym chciałabym się skontaktować z konsulatem japońskim w Honolulu. Czy mogę skorzystać z telefonu?

Policjant przyniósł mapę i zaznaczył flamastrem miejsce, gdzie jej syn uprawiał surfing oraz położenie hotelu, w którym mieszkał. Tego dnia Sachi postanowiła zatrzymać się w poleconym przez policjanta niewielkim hotelu w mieście.

– Mam do pani jedną prywatną prośbę – powiedział ten niemłody policjant, gdy się żegnali. – Tu, na wyspie Kauai, natura bardzo często odbiera ludziom życie. Jak pani widzi, jest naprawdę piękna, ale bywa dzika i śmiertelnie niebezpieczna. My tu żyjemy z tą świadomością. Bardzo mi przykro z powodu pani syna. Współczuję pani z całego serca. Ale nie chciałbym, żeby przez to znienawidziła pani naszą wyspę. Być może z pani punktu widzenia brzmi to bardzo egoistycznie. Ale o to chciałem panią prosić.

Sachi skinęła głową.

– Wie pani, starszy brat mojej matki zginął w 1944 roku na wojnie w Europie. We Francji, w pobliżu granicy niemieckiej. Był członkiem oddziału złożonego z Amerykanów japońskiego pochodzenia. Poszli na pomoc batalionowi z Teksasu osaczonemu przez hitlerowców i zginął trafiony bezpośrednio przez Niemców. Został z niego tylko nieśmiertelnik i rozerwane fragmenty ciała. Podobno były rozrzucone na śniegu. Matka bardzo kochała brata i po tym doświadczeniu stała się innym człowiekiem. Ja oczywiście znam ją już tylko po tej zmianie. To bardzo bolesne – powiedział i pokręcił głową. – Bez względu na to, kto walczy o słuszną sprawę, śmierć na wojnie jest wywołana gniewem i nienawiścią obu stron. Ale w przypadku natury tak nie jest. W naturze nie ma stron. Myślę, że to dla pani naprawdę straszne przeżycie, lecz w miarę możliwości proszę tak myśleć: mój syn wrócił do naturalnego cyklu przyrody, nie miało to nic wspólnego z żadną słuszną sprawą, gniewem czy nienawiścią.

Następnego dnia odbyła się kremacja. Sachi otrzymała niewielką aluminiową urnę z prochami i pojechała samochodem do zatoki Hanalei na północnym brzegu. Z miasta Lihue, gdzie znajdował się urząd policji, droga zajęła jej aż godzinę. Potężny tajfun, który zaatakował wyspę kilka lat wcześniej, był tak silny, że połamał drzewa. Zauważyła też kilka drewnianych domów z zerwanymi dachami. W niektórych miejscach nawet wzgórza zmieniły kształt. Tu przyroda naprawdę bywa gwałtowna.

Nieco za na wpół uśpionym miasteczkiem Hanalei znajdowało się ulubione miejsce surferów, to samo, w którym rekin zaatakował jej syna. Zatrzymała się na pobliskim parkingu, usiadła na plaży i przyglądała się pięciu surferom ślizgającym się na falach. Najpierw trzymając się desek, unosili się na pełnym morzu. Kiedy zbliżała się silniejsza fala, z rozbiegu wskakiwali na deski, „wsiadali” na falę i dopływali prawie do brzegu. Kiedy fala traciła rozpęd, oni tracili równowagę i wpadali do wody. Przyciągali do siebie deski i znów,

wiosłując ramionami, przepływali przez fale, by wydostać się na pełne morze. I tak się to powtarzało. Sachi nie bardzo mogła to zrozumieć. Czy oni nie boją się rekinów? Czy też nie słyszeli, że kilka dni temu rekin zabił tu mojego syna?

Siedząc na plaży, przyglądała się im przez jakąś godzinę. Nie mogła myśleć o niczym, co miało kontury. Kładąca się ciężarem przeszłość gdzieś za szybko się rozplynęła, a przyszłość była w jakimś dalekim, mrocznym miejscu. Ani jeden, ani drugi czas nie miał z nią teraz prawie żadnego związku. Siedziała w wiecznie zmieniającej się terażniejszości i tylko mechanicznie wodziła oczami po monotonie powtarzającej się scenie z falami i surferami. Teraz najbardziej potrzebny mi jest czas, przyszło jej do głowy w pewnym momencie.

Potem pojechała do hotelu, w którym zatrzymał się syn. Był to niewielki brudny hotel dla surferów, z zaniedbanym ogrodem. Siedziało tu na płóciennych krzesłach dwóch młodych długowłosych facetów. Popijali piwo. Wśród chwastów na ziemi walało się kilka pustych zielonych butelek po piwie Rolling Rock. Jeden był blondynem, drugi brunetem, ale poza tym mieli taki sam wyraz twarzy i podobną posturę, a na przedramionach wyzywające tatuaże. W powietrzu unosił się lekki zapach marihuany, zmieszany z wonią psiego gówna. Kiedy Sachi do nich podeszła, zmierzyl ją podejrzliwym wzrokiem.

– Mój syn, który tu mieszkał, został trzy dni temu zaatakowany przez rekina i zginął – wyjaśniła.

Spojrzeli na siebie. – Chodzi o Takashiego?

– Tak, o Takashiego.

– On był cool – powiedział blondyn. – Szkoda.

– Tamtego rana...yyy... do zatoki przypląnęło dużo żółwi – wytłumaczył brunet leniwie. – I rekiny przypląnęły za nimi. One... zwykle nie atakują surferów. Dość dobrze się z rekinami dogadujemy. No ale... hm, są różne rekiny.

Sachi powiedziała, że przyjechała uregulować rachunek za hotel, bo pewnie niecały został zapłacony.

Blondyn zmarszczył brwi i potrząsnął butelką. – Pani chyba się nie orientuje, tu trzeba płacić z góry. To tani hotelik dla biednych surferów, zawsze wszystko jest zapłacone.

– Zabierze pani... yyy... deskę Takashiego? – zapytał brunet. – Ten cholerny rekin ją przegryzł, cała poszarpana... złamała się na pół. To stary Dick Brewer. Policja jej nie wzięła... yyy... chyba gdzieś tam leży.

Sachi potrząsnęła głową. Nie chciała jej oglądać.

– Szkoda – powiedział jeszcze raz blondyn. Chyba nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– On był cool – dodał brunet. – Był okay. I bardzo dobry w surfing. Yyy... zaraz... tak, poprzedniego wieczora razem... piliśmy tu tequilę. Uhm.

W końcu Sachi spędziła w Hanalei tydzień. Wynajęła najporządniej wyglądający bungalow, przyrządziła sobie proste posiłki. Musiała jakoś dojść do siebie przed powrotem do Japonii. Kupiła plastikowe krzesło, okulary przeciwsłoneczne, kapelusz i krem z filtrem do opalania, siadała codziennie na plaży i obserwowała surferów. Kilka razy dziennie padał gwałtowny deszcz, właściwie lało jak z cebra. Jesienią na północnym brzegu wyspy Kauai pogoda jest zmienna. Kiedy zaczynało padać, kryła się w samochodzie i patrzyła na deszcz. Gdy ustawał, znów szła na plażę i patrzyła na surferów.

Od tamtego czasu zaczęła co rok odwiedzać Hanalei o tej porze. Przyjeżdżała trochę przed rocznicą śmierci syna i zostawała około trzech tygodni. Codziennie brała plastikowe krzesło, szła na brzeg i przyglądała się surferom. Nie robiła właściwie nic poza tym. Tylko cały dzień siedziała na plaży. Trwało to już od ponad dziesięciu lat. Zatrzymywała się w tym samym domku w tym samym hotelu, jadła sama w tej samej restauracji, zawsze czytając książkę. Ponieważ tak rok po roku robiła dokładnie to samo, poznała kilka osób stąd i zaprzyjaźniła się z nimi. Było to niewielkie miasteczko, więc teraz

znało ją już wielu ludzi. Mówili o niej, to ta japońska mama, której rekin zabił syna.

Tego dnia w drodze powrotnej z lotniska w Lihue, dokąd pojechała zamienić wynajęty samochód, w którym coś szwankowało, zauważyła w miasteczku Kapaa dwóch młodych japońskich autostopowiczów. Z wielkimi sportowymi plecakami na ramionach stali przed Ono Family Restaurant i bez przekonania wyciągnęli kciuki ku nadjeżdżającemu samochodowi. Jeden był wysoki, tyczkowaty, drugi krępy. Obaj mieli farbowane na brązowo włosy do ramion, zniszczone podkoszulki, niechlujne szorty i klapki. Sachi minęła ich, lecz po chwili namysłu zawróciła.

- Dokąd jedziecie? – zapytała po japońsku, otworzywszy okno.
- O! Pani mówi po japońsku – powiedział wysoki.
- Bo jestem Japonką – odparła Sachi. – Dokąd jedziecie?
- Do miasteczka, które się nazywa Hanalei – powiedział wysoki.
- Zabrać was? Właśnie tam wracam.
- Bardzo dziękujemy – odrzekł ten krępy.

Włożyli plecaki do bagażnika i zaczęli obaj wsiadać na tylne siedzenie neona.

– Nie chcę, żebyście obaj siedzieli z tyłu – powiedziała Sachi. – To nie taksówka, niech jeden usiądzie z przodu. Tego wymaga dobre wychowanie.

W końcu wyższy niepewnie usiadł na siedzeniu pasażera.

- Co to za samochód? – zapytał, z trudem wpychając swoje tyczkowate ciało i nogi do środka.
- Dodge neon. Produkuje go Chrysler.
- No, no, w Ameryce też mają takie małe samochody. Moja starsza siostra ma corollę; większa jest od tego.
- Nie wszyscy Amerykanie jeżdżą wielkimi cadillacami.
- Ale ten jest jednak strasznie mały.

- Jak ci się nie podoba, możesz wysiąść.
- O kurczę, ja nie w tym sensie mówię. Tylko dziwię się, bo taki mały. Myślałem, że wszystkie amerykańskie samochody są wielkie.
- A po co jedziecie do Hanalei? – zapytała Sachi.
- Na surfing i tak dalej – powiedział Długi.
- A deski?
- Chcemy załatwić na miejscu – wyjaśnił Krępy.
- Nie chciało nam się zawracać głowy i ciągnąć aż z Japonii, a słyszeliśmy, że tanio można kupić używane – dodał Długi.
- Aaa... a pani tu na wycieczce? – zapytał Krępy.
- Uhm.
- Sama?
- Owszem – odpowiedziała lekko.
- Nie jest pani przypadkiem jednym z tych legendarnych surferów?
- Nic podobnego – powiedziała Sachi trochę już zniecierpliwiona.
- A macie się gdzie zatrzymać w Hanalei?
- Nie, myśleliśmy, że pojedziemy tam i jakoś to będzie – odparł Długi.
- A jak się nie uda, to myśleliśmy, że się prześpiemy na plaży – dodał Krępy. – Nie mamy za wiele forsy.
- Sachi potrząsnęła głową. – O tej porze roku na północnym brzegu noce są strasznie zimne, nawet w domu trzeba chodzić w swetrze. Jak będziecie spali na dworze, pochorujecie się.
- To na Hawajach nie jest ciągle lato? – zapytał Długi.
- Hawaje są zdecydowanie na północnej półkuli i mają prawdziwe cztery pory roku. Latem jest gorąco, a zimą stosunkowo zimno.
- No to musimy sobie znaleźć dach nad głową – powiedział Krępy.

– A może pani może nam coś polecić? – zapytał Długi. – Prawie nie znamy angielskiego.

– Słyszeliśmy, że wszędzie na Hawajach można się dogadać po japońsku, ale okazuje się, że wcale nie można – dodał Krępy.

– To chyba oczywiste – powiedziała Sachiko zirytowana. – Po japońsku można się porozumieć na Oahu i to też tylko w części Waikiki. Japończycy przyjeżdżają i kupują torebki od Louis Vuittona czy Chanel, same drogie rzeczy, więc sklepy specjalnie szukają sprzedawców znających japoński. Albo w Hyacie czy Sheratonie. Ale jak się stamtąd oddalić na krok, działa już tylko angielski. Przecież to w końcu Ameryka. Przyjechaliście na Kauai, nie wiedząc o tym?

– Nie wiedzieliśmy. Matka mówiła, że wszędzie na Hawajach można się dogadać po japońsku.

– O rany – westchnęła Sachiko.

– Może być najtańszy hotel – powiedział Krępy. – No bo my nie mamy forsy.

– Lepiej, żeby początkujący nie próbowali tego najtańszego hotelu w Hanalei. To trochę ryzykowne.

– Jak to ryzykowne?

– Głównie z powodu narkotyków. Bo wśród surferów niektórzy są wykolejeni. Marihuana to nic wielkiego, ale jak się pojawia *ice*, mogą być problemy.

– A co to takiego *ice*?

– Nigdy nie słyszałem – dodał Długi.

– Tacy rozkojarzeni, nic niewiedzący będziecie dla nich świetnymi ofiarami. *Ice* to twardy narkotyk bardzo rozpowszechniony na Hawajach, ja też nie wiem dokładnie, ale to jakiś stymulant w formie krystalicznej. Jest tani, prosty, wprawia w dobry nastrój, a jak się człowiek uzależni, to potem może już tylko umrzeć.

– To niebezpieczne – powiedział Długi.

- Aaa... marihuanę można palić? – zapytał Krępy.
 - Nie wiem, czy można, ale od marihuany się nie umiera. Od papierosów na pewno ludzie umierają, ale od marihuany nie tak od razu. Tylko trochę się miesza w głowie. Tyle że w waszym przypadku to nie zrobi większej różnicy.
 - Ale nam pani przysrała! – powiedział Krępy.
 - A pani może jest z tych *babyboomers*? – zapytał Długi.
 - Co to *babyboomers*?
 - Pokolenie *babyboomers*.
 - Nie jestem z żadnego pokolenia. Ja to po prostu ja. Nie próbuj mnie koniecznie zaszufładować.
 - No proszę, jednak jest pani z *babyboomers* – powiedział Krępy. – Od razu się pani gotuje. Zupełnie jak moja matka.
 - Uprzedzam cię, nie życzę sobie też, żebyś mnie porównywał ze swoją nieodpowiedzialną matką. W każdym razie lepiej, żebyście w Hanalei zatrzymali się w możliwie porządnym miejscu. Dla waszego dobra. Bywają przypadki morderstw.
 - Czyli to nie jest spokojny *paradise* – powiedział Krępy.
 - Tak, to już nie czasy Elvisa – odparła Sachi.
 - Nie bardzo wiem, ale zdaje mi się, że Elvis Costello to już całkiem podstarzały dziadek – dodał Długi.
- Po tych słowach Sachi prowadziła przez pewien czas w milczeniu.

Sachi porozmawiała z kierownikiem bungalowów i hotelu, w którym sama mieszkała, i on znalazł dla chłopaków pokój. Dzięki temu, że ich poleciła, znacznie obniżył im tygodniową stawkę. Ale i tak o wiele przekraczała ich budżet.

- Nic z tego. Nie mamy tyle forsy – powiedział Długi.
- Ledwo nam starczyło na przyjazd – dodał Krępy.
- Ale macie pewnie jakieś pieniądze na czarną godzinę?

Długi w zakłopotaniu podrapał się w ucho. – Uhm, mam rodzinną kartę Diners Club. Ojciec pozwolił mi używać jej tylko w naprawdę podbramkowych sytuacjach. Że niby jak zacznę, to nie będzie końca. Jeśli nią zapłacę, a to nie będzie wyjątkowa sytuacja, strasznie mi da po głowie, jak wrócę do Japonii.

– Idiota – powiedziała Sachi. – Teraz właśnie jesteś w podbramkowej sytuacji. Jeżeli wam życie miłe, wyciągaj kartę i płać za hotel. Nie chcecie chyba, żeby policja wsadziła was w środku nocy do aresztu, gdzie przeleciałby was Hawajczyk wielki jak zawodnik sumo. Oczywiście jeżeli lubicie takie rzeczy, to nie ma o czym mówić, ale to dość bolesne.

Długi od razu wyciągnął z głębi portfela kartę Diners Club i podał kierownikowi. Sachi zapytała, czy gdzieś sprzedają tanie używane deski surfingowe. Kierownik powiedział im, dokąd iść. Dodał, że jak będą wyjeżdżać, sklep odkupi je od nich z powrotem za odpowiednią cenę. Zanieśli bagaż do pokoju i od razu wyruszyli kupić deski.

Następnego dnia rano, kiedy Sachi jak zwykle siedziała na plaży, patrząc na morze, młodzi Japończycy przyszli popływać na deskach. Ich wygląd nie budził zaufania, a mimo to okazali się całkiem niezłymi surferami. Szukali potężnych fal, błyskawicznie je łapali, zrećnie panując nad deskami, lekko dopływali prawie do brzegu. Robili to przez wiele godzin, nie czując znużenia. Płynąc na falach, z błyszczącymi oczami, pewni siebie, byli pełni życia. Nie było w nich widać żadnej słabości. Na pewno się nie uczą, tylko od świtu do nocy szaleją na falach. Tak samo jak kiedyś jej zmarły syn.

Sachi zaczęła grać na pianinie w liceum. To bardzo późny start jak na pianistkę. Nigdy przedtem nawet nie dotknęła instrumentu. Kiedyś po lekcjach zaczęła dla zabawy brzdąkać w pracowni muzycznej i sama bardzo łatwo nauczyła się grać. Miała słuch absolutny i niezwykłą pamięć do melodii. Każdą potrafiła od razu przenieść na klawiaturę nawet po jednokrotnym wysłuchaniu.

Umiała też znaleźć pasujące do niej akordy. Mimo braku nauczyciela jej dziesięć palców bardzo gładko poruszało się po klawiaturze. Miała naturalny, wrodzony talent do gry na pianinie.

Jeden z młodych nauczycieli muzyki usłyszał kiedyś, jak sobie brzdąka w pracowni muzycznej, zachwycił się i od razu postanowił poprawić podstawowe błędy w układzie jej palców. – Tak też możesz grać, ale w ten sposób zagrasz szybciej – powiedział i pokazał jej jak. W jednej chwili wszystko pojęła. Ten nauczyciel był wielbicielem jazzu i po lekcjach zaczął ją uczyć podstawowej teorii jazzowej gry na pianinie: tworzenia akordów i progresji, używania pedałów, tłumaczył, na czym polega improwizacja. Ona to wszystko chłonęła jak gąbka. Nauczyciel pożyczył jej też kilka płyt. Reda Garlanda, Billa Evansa, Wyntona Kelly’ego. Słuchała wielokrotnie ich wykonania i dokładnie je kopiowała. Kiedy się wprawiała, nie było to wcale trudne. Potrafiła odtworzyć brzmienie i linię melodyczną, nie zapisując nut. – Masz talent. Jak się będziesz uczyć, możesz zostać zawodową pianistką – powiedział nauczyciel z podziwem.

Sachi nie mogła jednak zostać zawodową pianistką. Potrafiła jedynie wiernie odtworzyć oryginał. Łatwo było zagrać dokładnie tak samo jak ktoś inny. Ale nie umiała stworzyć własnego brzmienia. Kiedy jej mówiono, że może grać, co i jak chce, nie wiedziała, co i jak zagrać. Zaczynała grać po swojemu, lecz i tak kończyło się na kopiowaniu kogoś innego. Poza tym niezbyt dobrze umiała czytać nuty. Gdy widziała przed sobą te drobne gęste znaczki, zaczynało jej brakować tchu. O wiele łatwiej było usłyszeć jakąś muzykę i przenieść ją wiernie na klawiaturę. Nie poradzę sobie w roli pianistki, myślała.

Po skończeniu liceum Sachi chciała studiować gastronomię. Gotowanie niespecjalnie ją bawiło, ale ojciec prowadził restaurację, więc postanowiła, że przejmie po nim lokal, tym bardziej że nic innego nie wydawało się jej szczególnie interesujące. Pojechała do Chicago na uczelnię kształcąca specjalistów w dziedzinie gastronomii. Chicago nie słynie ze szczególnie wyrafinowanej kuchni, ale akurat mieszkali tam krewni, którzy zgodzili się ją sponsorować.

Uczyła się więc gastronomii, a na prośbę jednego z kolegów z roku zaczęła grać w niewielkim barze w centrum. Na początku chciała tylko podreperować swój budżet. Ledwo jej starczało pieniędzy przysyłanych przez rodziców, więc cieszyła się z każdego dodatkowego grosza. Poza tym to, że umiała od razu wszystko zagrać, bardzo przypadło do gustu właścicielowi. Nigdy nie zapomniała raz usłyszanej melodii, a do tego potrafiła odtworzyć nawet te piosenki, które ktoś jej tylko zanucił. Nie była piękna, ale miała dużo wdzięku, więc zdobyła popularność i coraz więcej gości zaczęło przychodzić ze względu na nią. Dostawała coraz więcej napiwków. Wkrótce przestała chodzić na uczelnię. Zamiast rozbierać pokrwawioną wieprzowinę, ucierać twarde jak kamień ser i szorować ciężkie brudne patelnie, o wiele przyjemniej i lżej było siedzieć przy pianinie.

Dlatego kiedy jej syn praktycznie przestał chodzić do szkoły i od rana do nocy uprawiał surfing, pomyślała, że pewnie nie ma na to rady. Ja przecież za młodu postępowałam podobnie. Nie mogę mieć do niego pretensji. Pewnie odziedziczył to po mnie.

Grała w tym barze przez półtora roku. Nauczyła się angielskiego, zaoszczędziła pokaźną sumę. Miała też amerykańskiego chłopaka. Był to czarnoskóry przystojniak z ambicjami aktorskimi (później widziała go w epizodycznej roli w *Szklanej pułapce 2*). Niestety pewnego dnia do baru przyszedł pracownik Urzędu Imigracyjnego z odznaką na piersi. Trochę zbyt śmiało sobie poczyniała. Poprosił, żeby mu pokazała paszport, i z miejsca aresztował ją za nielegalną pracę. W kilka dni później wsadzono ją do jumbo-jeta lecącego do Tokio. Oczywiście musiała zapłacić za bilet ze swoich oszczędności. I tak zakończyło się życie Sachi w Ameryce.

Po powrocie do Japonii zastanawiała się nad różnymi sposobami na życie, ale prócz gry na pianinie nie przyszedł jej do głowy żaden pomysł. Ponieważ była słaba w czytaniu nut, ograniczyło to liczbę potencjalnych miejsc zatrudnienia, ale wielu szefów wysoko ceniło jej szczególną umiejętność odtworzenia każdej raz usłyszanej melodii. Grała w hotelach, nocnych klubach, barach z muzyką. Umiała grać, dostosowując się w każdym z tych miejsc do

atmosfery, typu gości i ich życzeń. Była prawdziwym „muzycznym kameleonem” i pracy jej nie brakowało.

W wieku dwudziestu czterech lat wyszła za mąż, dwa lata później urodziła syna. Jej mąż był gitarzystą jazzowym, o rok młodszym od niej. Prawie nie zarabiał, brał narkotyki i był kobieciarzem. Bywało, że nie wracał do domu, a gdy się w końcu zjawiał, często ją bił. Wszyscy sprzeciwiali się temu małżeństwu, a potem zachęcali ją do rozwodu. Mąż miał nieoszlifowany, ale oryginalny talent muzyczny i w kręgach muzycznych uważano go za prekursora. Prawdopodobnie to ją w nim zafascynowało. Ich małżeństwo trwało zaledwie pięć lat. W środku nocy dostał zawału, kiedy był u innej kobiety, i zmarł w drodze do szpitala, kompletnie nagi. Podobno przedawkował narkotyki.

Niedługo po śmierci męża otworzyła własny bar muzyczny w Roppongi. Miała trochę oszczędności, dostała też wykupione w tajemnicy przed nim ubezpieczenie na wypadek śmierci współmałżonka. Udało jej się również wziąć kredyt z banku. Dyrektor oddziału był stałym gościem baru, w którym kiedyś pracowała. Wstawiła do swojego lokalu używany fortepian, zamówiła ladę pasującą do niego kształtem. Wysoką pensją skusiła i ściągnęła do siebie zdolnego barmana i menadżera w jednej osobie. Co wieczór grała, a goście mówili, jakie utwory chcą usłyszeć, i śpiewali przy jej akompaniamencie. Na fortepianie stał flakon na napiwki. Czasami wpadali jazzmani występujący w pobliskich klubach i też trochę grali. Zdobyła stałych klientów i interes prosperował znacznie lepiej, niż oczekiwała. Udało jej się też bez kłopotu spłacić kredyt. Miała serdecznie dość małżeństwa, więc nie wyszła powtórnie za mąż, tylko czasami się z kimś spotykała. Najczęściej z żonatymi mężczyznami, bo z jej punktu widzenia to było łatwiejsze. I tak, nie wiadomo kiedy, syn dorósł, został surferem i powiedział, że wybiera się do zatoki Hanalei na wyspie Kauai, żeby popływać na desce. Nie była tym zachwycona, ale męczyły ją kłótnie, więc niechętnie dała mu w końcu pieniądze na wycieczkę. Długie spory nie były jej mocnym punktem. W zatoce jej syn, czekając na silną falę, został zaatakowany przez rekina, który

wpłynął tam śladem żółwi, i tak dobiegło końca zaledwie dziewiętnastoletnie życie chłopaka.

Po śmierci syna Sachi całkowicie oddała się pracy. W kolejnych latach prawie nigdy nie brała wolnego, codziennie przychodziła do baru i grała. A gdy jesień zbliżała się do końca, brała trzy tygodnie urlopu, wsiadała do klasy biznesowej linii United i leciała na Kauai. W czasie jej nieobecności zastępował ją inny pianista.

W Hanalei też czasem występowała. W jednej z restauracji stał niewielki fortepian, w weekendy grywał na nim pięćdziesięcioparoletni chudy jak patyk pianista. Wykonywał głównie niewadzące nikomu utwory typu *Bali Hai* i *Blue Hawaii*. Nie był szczególnie zdolnym pianistą, ale miał w sobie ciepło, które czuło się w jego wykonaniach. Sachi się z nim zaprzyjaźniła i czasami pozwalał jej pograć. Oczywiście ponieważ to było nieoficjalne, nie dostawała zapłaty, ale właściciel dawał jej za darmo wino i różne makarony z sosami. Lubiła samą grę na fortepianie. Kiedy kładła palce na klawiaturze, czuła, że radość wypełnia jej serce. To nie miało związku z talentem czy jego brakiem. Nieważne, czy był z tego jakiś pożytek. Pewnie mój syn czuł się tak samo, gdy śmigał po falach, wyobrażała sobie Sachi.

Szczerze mówiąc, Sachi nie bardzo lubiła swojego syna. Oczywiście kochała go. Był dla niej najważniejszy na świecie. Jednak jako człowiek nie budził jej sympatii, choć dużo czasu minęło, zanim się sama przed sobą do tego przyznała. Gdyby nie łączyły mnie z nim więzy krwi, pewnie trzymałabym się od niego z daleka, myślała Sachi. Był samolubny, nie potrafił się na niczym skupić, nigdy nie mógł doprowadzić do końca tego, co zaczął. Unikał poważnych rozmów, kłamał jak z nut. Prawie się nie uczył, stopnie miał fatalne. Jediną rzeczą, w którą wkładał nieco serca, był surfing, ale nie wiadomo, jak długo by i to potrwało. Miał słodką buzię, nigdy nie brakowało mu dziewczyn. Bawił się nimi, jak długo chciał, a gdy mu się znudziły, po prostu się ich pozbywał jak starych zabawek. Pewnie go rozpieściłam, myślała. Może dawałam mu za

duże kieszonkowe. Może powinnam go była surowiej wychowywać. Nie wiedziała jednak, w czym konkretnie miałyby być bardziej surowa. Zbyt zajęta pracą, nie miała pojęcia o procesie dorastania chłopców.

Grała na fortepianie w restauracji, gdy tamta para surferów przyszła coś zjeść. Byli w Hanalei już od sześciu dni. Bardzo się opalili i zdawali się jakby silniejsi niż przy pierwszym spotkaniu.

- O, to pani gra na pianinie! – wykrzyknął Krępy.
- Super pani gra. Jak zawodowiec – dodał Długi.
- To tylko dla zabawy – wyjaśniła Sachi.
- Zna pani jakieś piosenki B'z?
- Nie znam tego typu rzeczy – powiedziała Sachi. – Ale przecież wy nie macie pieniędzy! Stać was na jedzenie w takiej restauracji?
- Mam kartę Diners' Club – odparł z dumą Długi.
- Ale miała być tylko na sytuacje podbramkowe.
- No, jakoś to będzie. Jak raz człowiek nią zapłaci, to wpada w nawyk. Dokładnie tak jak ojciec mówił.
- Ach tak? Fajnie tak się niczym nie przejmować – powiedziała Sachi z podziwem.
- Uważamy, że powinniśmy panią zaprosić na kolację – dodał Krępy. – Przecież bardzo nam pani pomogła, a pojutrze rano już wracamy do Japonii, więc chcieliśmy przedtem jakoś pani podziękować.
- Jeśli ma pani ochotę, może zje pani z nami kolację? Zamówimy nawet wino. My zapraszamy – powiedział Długi.
- Przed chwilą jadłam – odparła Sachi. Podniosła kieliszek czerwonego wina. – Wino też mi restauracja postawiła. Ale dziękuję wam bardzo, doceniam wasze chęci.

Do ich stolika podszedł potężnie zbudowany biały Amerykanin ze szklaneczką whisky w dłoni i stanął obok Sachi. Musiał mieć około czterdziestki. Krótkie włosy, ramiona jak słupy telegraficzne, na

jednym tatuaż wielkiego smoka. Pod nim widniały litery USMC (United States Marine Corps). Tatuaż był stary, bo kolor wyblakł.

– Nieźle grasz – powiedział.

– Dzięki – odparła Sachi, zerkając na niego.

– Japonka?

– Owszem.

– Byłem w Japonii. Co prawda dawno temu. Dwa lata w Iwakuni.

– Tak? Ja byłem dwa lata w Chicago. Co prawda dawno temu. Czyli remis.

Mężczyzna zamyślił się na chwilę. Potem doszedł do wniosku, że to było coś w rodzaju żartu i roześmiał się. – Zagraj coś. Coś wesołego. Znasz *Beyond the Sea* Bobby’ego Darrina? Zaśpiewałbym.

– Ja tu nie pracuję i teraz rozmawiam z tymi chłopakami. Ten szczupły łysiejący dżentelmen siedzący przy fortepianie to pianista, którego tu zatrudniają. Jak masz jakieś życzenie, jego poproś. I nie zapomnij o napiwku.

Mężczyzna potrząsnął głową. – Ten palant umie grać tylko jakieś mdłe pedalskie kawałki. Chcę, żebyś ty coś z życiem zagrała. Dam ci dychę.

– Nawet za pięćset nie zagram.

– Niiieee?

– Nie.

– Słuchaj no, dlaczego Japończycy nie chcą walczyć w obronie swojego kraju? Dlaczego my musimy jeździć na koniec świata do jakiegoś Iwakuni, żeby was bronić?

– Więc mam się zamknąć i grać, tak?

– Właśnie – powiedział, przysiadł się do stolika i spojrzał na chłopaków. – Hej, wy, lenie patentowane, zakute pały, tylko surfing wam w głowie. Po co wy, Japońce, przyjeżdżacie aż na Hawaje, żeby surfować? W Iraku...

– Mam do ciebie pytanie – wtrąciła się Sachi – bo pewna rzecz nie daje mi od paru minut spokoju.

– Wal.

Sachi odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy. – Cały czas się zastanawiam, skąd się biorą tacy ludzie jak ty. Czy od urodzenia masz taki charakter, czy też spotkało cię w życiu coś strasznie nieprzyjemnego i od tego się taki zrobiłeś? Jak myślisz?

Mężczyzna znów się na chwilę zamyślił. Potem głośno postawił szklankę na stoliku. – Słuchaj no, kochana...

Na dźwięk podniesionego głosu pojawił się właściciel. Był drobny, ale wziął marine za grube ramię i dokądś go zabrał. Najwyraźniej się znali i mężczyzna nie protestował. Na koniec rzucił tylko parę nieprzyjemnych słów.

– Strasznie mi przykro – przeprosił właściciel parę chwil później.
– To porządny facet, ale jak się upije, to się zmienia. Potem go zdrowo ochrzanię. Niech pani zapomni o tej nieprzyjemności, proszę mi pozwolić coś sobie postawić.

– Nie szkodzi, przywykłam do takich zachowań – odparła Sachi.

– A co on powiedział? – zapytał Krępy.

– Nic nie mogłem zrozumieć – dodał Długi. – Usłyszałem tylko, że mówił o Japońcach.

– Nie musicie rozumieć. To nie było nic ważnego. Dobrze się bawiliście w Hanalei, napływaliście się za wszystkie czasy?

– Super się bawiliśmy – powiedział Krępy.

– Było rewelacyjnie – dodał Długi. – Zdaje mi się, że moje życie kompletnie się zmieniło. Wcale nie żartuję.

– To świetnie. Kiedy człowiek może się dobrze bawić, powinien się bawić za wszystkie czasy. Bo niedługo przyjdzie za to zapłacić.

– Nie ma sprawy. Mam kartę – powiedział Długi.

– Dobrze macie, nic was nie rusza – powiedziała Sachi, kręcąc głową.

– Czy mogę panią o coś zapytać? – zapytał Krępy.

– O co?

– Widziała pani tu jednonogiego surfera, Japończyka?

– Jednonogiego surfera, Japończyka? – Sachi zmrużyła oczy i spojrzała prosto na Krępego. – Nie, nie widziałam.

– My widzieliśmy dwa razy. Przyglądał nam się z plaży. Miał czerwoną deskę Dicka Brewera i odtąd nie miał nogi – Krępy dziesięć centymetrów nad kolaniem narysował dłonią linię. – Jakby mu obcięli. Ale kiedy wróciliśmy na plażę, już go nigdzie nie było. Zniknął. Chcieliśmy z nim pogadać, więc szukaliśmy go, ale nie mogliśmy znaleźć. Myślę, że musiał być mniej więcej w naszym wieku.

– Której nogi nie miał? Prawej czy lewej?

Krępy zastanowił się. – Chyba... prawej. No nie?

– Tak, prawej. Na pewno – dodał Długi.

– No, no – powiedziała Sachi. Zwilżyła wargi winem. Serce waliło jej głucho w piersi. – Naprawdę był Japończykiem? Nie tubylcem japońskiego pochodzenia?

– Na pewno. To od razu widać. Ten surfer jest z Japonii. Jak my – powiedział Długi.

Sachi zagryzła wargi. Potem powiedziała twardo: – Ale to dziwne, prawda? To takie małe miasteczko. Gdyby tu był jednonogi japoński surfer, zauważyłby go człowiek, choćby nie chciał.

– To fakt – zgodził się Krępy. – Coś takiego strasznie rzuca się w oczy. Wiem, że to dziwne. Ale naprawdę tam był. Na pewno. Obaj go widzieliśmy.

Długi dodał: – Pani też ciągle siedzi na plaży. Zawsze w tym samym miejscu. Ten jednonogi stał tam zaraz niedaleko. I patrzył na nas. Opierał się o pień drzewa. Tam gdzie są drewniane stoły, przy tych kilku kazuarynach.

Sachi w milczeniu wypła łyk wina.

– Ale jak on może na jednej nodze pływać na desce? Nie wiem. Nawet na dwóch nogach jest trudno – powiedział Krępy.

Po tej rozmowie Sachi zaczęła codziennie, od rana do wieczora, chodzić tam i z powrotem po długiej plaży, ale nigdzie nie dostrzegła takiego chłopaka. Pytała miejscowych, czy nie widzieli

jednonogiego japońskiego surfera, ale wszyscy potrząsali przecząco głowami z dziwnym wyrazem twarzy. Jednonogiego japońskiego surfera? Nie, takiego nie widziałem. Oczywiście gdybym widział, zapamiętałbym. To by się rzucało w oczy. Ale jak on właściwie na tej jednej nodze pływa na desce?

Wieczorem dnia poprzedzającego jej powrót do Japonii Sachi spakowała się i położyła do łóżka. W szum fal wtapiały się odgłosy gekonów. Nagle się zorientowała, że z oczu płyną jej łzy. Zauważyła, że płacze, ponieważ miała mokrą poduszkę. Dlaczego nie mogę zobaczyć syna, myślała, płacząc. Dlaczego widzieli go ci surferzy nicponie, a ja nie? To przecież niesprawiedliwe. Przypomniała sobie ciało syna widziane w kostnicy. Gdyby mogła, chciałaby go potrząsnąć za ramię, obudzić i głośno zapytać: Słuchaj no, dlaczego nie? To już chyba przesada, nie uważasz? Długo wciskała twarz w poduszkę, tłumiąc płacz. Czy ja nie mam do tego prawa? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że musi mimo wszystko zaakceptować tę wyspę. Tak jak sugerował jej cichym głosem policjant japońskiego pochodzenia, muszę wszystko tu przyjąć takim, jakie jest. Czy to sprawiedliwe czy nie, czy mam do tego prawo, czy nie – muszę wszystko przyjąć takim, jakie jest. Kiedy Sachi obudziła się następnego ranka, była zdrową kobietą w średnim wieku. Wepchnęła walizkę na tylne siedzenie dodge'a neona i opuściła Hanalei Bay.

W osiem miesięcy po powrocie do Japonii spotkała w Tokio Krępego. Skryła się przed deszczem w Starbucksie niedaleko stacji Roppongi i piła tam kawę, a przy sąsiednim stoliku siedział Krępy. Był schludnie ubrany w wyprasowaną koszulę Ralphi Laurena i nowe bawełniane spodnie. Towarzyszyła mu ładna drobna dziewczyna.

– O, to pani! – zawołał mile zdziwiony, wstał i podszedł do jej stolika. – Co za przypadek! Żeby się spotkać w takim miejscu.

– Cześć, co słychać? – odparła. – Masz znacznie krótsze włosy, co?

- Za chwilę kończę studia – powiedział Krępy.
- No, no, to nawet tobie uda się skończyć studia?
- No tak... może na to nie wyglądam, ale panuję nad sytuacją – powiedział i usiadł naprzeciw niej.
- Przestałeś uprawiać surfing?
- Czasami jeszcze jeżdżę w weekendy, ale muszę znaleźć pracę i już niedługo czas się z tego wycofać.
- A ten twój tyczkowaty przyjaciel?
- On ma pełny luz. Nie musi się martwić o pracę. Jego ojciec jest właścicielem dużej cukierni w Akasaka. Mówi, że jak syn ją po nim przejmie, to mu kupi BMW. W moim przypadku tak się nie da.

Sachi spojrzała za okno. Letni deszcz zabarwił asfalt na czarno. Na ulicy był korek, taksówki niecierpliwie trąbiły.

- To twoja dziewczyna?
- Tak, to znaczy posuwam się w tym kierunku – powiedział Krępy, drapiąc się z zakłopotaniem w głowę.
- Bardzo ładna. Trochę szkoda jej dla ciebie. Pewnie ci nie daje.

Krępy wzniósł oczy do nieba. – A pani jak zawsze się nie krępuje i mówi prosto z mostu okropne rzeczy. Ale rzeczywiście ma pani rację. Nie ma pani jakiejś dobrej rady? Żeby mi się udało dalej z nią zająć.

– Są tylko trzy sposoby na zdobycie dziewczyny. Po pierwsze, w milczeniu słuchać tego, co ma do powiedzenia. Po drugie, chwalić to, co ma na sobie. Po trzecie, karmić ją jak najlepiej. Proste, prawda? Jeżeli to zrobisz i niczego nie uzyskasz, lepiej zrezygnować.

- Strasznie praktyczne i zrozumiałe. Mogę sobie zapisać w notesie?
- Możesz, ale chyba tyle uda ci się zapamiętać?
- Nie, ja mam ptasi mózdzek. Przechodzę trzy kroki i wszystko zapominam. Dlatego sobie zapisuję. Einstein podobno też tak robił.
- Aha, Einstein.

– Problemem nie jest to, że się jest zapominalskim, tylko, że się zapomina.

– Jak wolisz.

Krępy wyjął z kieszeni notes i starannie zapisał, co mu powiedziała.

– Dziękuję pani za wszystkie mądre rady. Zawsze pani człowiekowi pomoże – powiedział.

– Mam nadzieję, że się uda.

– Nie dam się tak łatwo – odparł Krępy. Potem wstał, zamierzając wrócić do swego stolika, po chwili namysłu wyciągnął do niej rękę.

– Pani też niech się nie daje.

Sachi uścisnęła mu dłoń. – Wiesz co? Całe szczęście, że was w Hanalei Bay nie zjadły rekiny.

– A... to tam są rekiny? Poważnie?

– Są – odparła Sachi. – Poważnie.

Co wieczór Sachi siada przed klawiaturą złożoną z osiemdziesięciu ośmiu klawiszy, czarnych i w kolorze kości słoniowej, i nieomal automatycznie porusza palcami. Przez ten czas nie myśli o niczym. Tylko echo dźwięków przenika jej świadomość. Wchodzi drzwiami z tej strony, wychodzi drzwiami z tamtej. Kiedy nie gra na fortepianie, myśli o trzytygodniowym pobycie w zatoce Hanalei pod koniec jesieni. Myśli o szumie nadpływających fal i szumie kazuaryn. O chmurach unoszonych lekkim wiatrem, albatrosach tańczących na niebie z szeroko rozpostartymi skrzydłami. O rzeczach, które tam na nią czekają. W tej chwili nie ma nic innego, o czym powinna myśleć. Zatoka Hanalei.



Gdzieś, gdzie może uda się to znaleźć

どこであれそれが見つかりそうな場所で

Doko-de are sore-ga mitsukarisō-na basho-de

– **Ojciec męża** zginął trzy lata temu potrącony przez tramwaj – powiedziała kobieta. Potem przerwała na chwilę.

Nie dzieliłem się z nią wrażeniami. Patrząc jej prosto w oczy, dwukrotnie tylko lekko kiwnąłem głową. A kiedy przerwała, sprawdziłem stan zatemperowania sześciu ołówków na tacce. Jak gracz w golfa dobierający kij do odległości, starannie wybrałem ołówek. Taki, który nie był zbyt ostry ani zbyt tępy.

– To trochę wstydliva sprawa – powiedziała.

Nie wyraziłem swojej opinii. Przysunąłem do siebie bloczek do notatek i chcąc wypróbować ołówek, napisałem na górze dzisiejszą datę i jej nazwisko.

– W Tokio już prawie wszystkie pociągi jeżdżą pod ziemią. Ulicami jeżdżą autobusy. Ale jeszcze zostało parę tramwajów. Jakby w roli zabytków. Teścia właśnie taki przejechał – powiedziała i bezgłośnie westchnęła. – Trzy lata temu, wieczorem, pierwszego października. Padał straszny deszcz.

Zapisałem skrótowo informacje ołówkiem w bloczku. Ojciec, trzy lata temu, tramwaj, ulewa, 1 X wieczór. Potrafię pisać wyłącznie starannie, więc szczegółowe opisy zajmują mi dużo czasu.

– Teść był wtedy bardzo pijany. Gdyby nie był, myślę, że nie leżałby podczas ulewy w nocy na torach tramwajowych. To niby oczywiste.

Powiedziawszy to, znów na chwilę zamilkła. Zacisnęła wargi i patrzyła na mnie. Pewnie oczekiwała potwierdzenia.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Musiał być nieźle pijany.

– Zdaje się, że do nieprzytomności.

– Czy często doprowadzał się do takiego stanu?

– Chodzi panu o to, czy często zalewał się do nieprzytomności?

Skinałem głową.

– Rzeczywiście czasami się zdrowo upijał – przyznała. – Ale nie ciągle i nie do tego stopnia, żeby usypiać na torach tramwajowych.

Nie potrafiłem ocenić, jak bardzo trzeba się upić, żeby usnąć na torach tramwajowych. Czy była to kwestia stopnia upojenia, czy jego rodzaju, a może kwestia kierunku, w którym się upadało.

– Innymi słowy, chodzi pani o to, że choć czasem nadużywał alkoholu, zwykle nie bywał pijany jak bela? – zapytałem.

– Tak to rozumiem – powiedziała.

– Przepraszam bardzo, czy mogę spytać o wiek?

– Pyta pan o mój wiek?

– Owszem. Oczywiście nie musi pani odpowiadać, jeżeli nie ma pani ochoty.

Uniosła rękę i potarła palcem wskazującym nasadę nosa. Był to kształtny ładny nos. Może w niezbyt dalekiej przeszłości poddała się operacji plastycznej. Chodziłem kiedyś z dziewczyną, która miała taki sam nawyk. Jakby sprawdzała, że nowy nos ciągle jest na miejscu. Dlatego, kiedy zauważyłem ten jej gest, doznałem *déjà vu*. Miało ono niemały związek z seksem oralnym.

– Nie mam potrzeby ukrywać swojego wieku – powiedziała. – Mam 35 lat.

– A ile miał teść, kiedy zmarł?

– 68 lat.

– Czym się zajmował?

– Był kapłanem.

– Kapłanem to znaczy... mnichem buddyjskim?

– Tak. Kapłanem buddyjskim. Sekty Czystej Ziemi. Był opatem świątyni w dzielnicy Toshima.

– To musiał być dla wszystkich wielki szok? – zapytałem.

– Że teść został po pijaku przejechany przez tramwaj?

– Tak.

– Oczywiście, że to był szok. Szczególnie dla mojego męża.

Zapisałem: 68 lat, kapłan, sekta Czystej Ziemi.

Kobieta siedziała na krawędzi dwuosobowej kanapy. Ja na obrotowym krześle przy biurku. Dzielilo nas około dwóch metrów. Miała na sobie bardzo dobrze skrojony kostium w kolorze jasnej zieleni. Zgrabne nogi w pończochach, czarne buty na obcasach dobrze do nich pasowały. Obcasy były zaostrome jak śmiercionośna broń.

– No i... – powiedziałem. – I pani prośba dotyczy czegoś w związku ze zmarłym teściem?

– Nie. Myli się pan – odparła. A potem, jakby chcąc podkreślić to przeczenie, lekko, lecz zdecydowanie pokręciła głową. – Dotyczy mojego męża.

– Pani mąż też jest mnichem?

– Nie. Mąż pracuje w firmie Merrill Lynch.

– W tej firmie inwestycyjnej?

– Tak – odpowiedziała. W jej głosie slychać było domieszkę irytacji. Jakby myślała: A jest jakiś inny Merrill Lynch?! – Jest tak zwanym maklerem.

Sprawdziłem, czy ołówek się nie stępił, i w milczeniu czekałem na dalszy ciąg.

– Mąż był jedynym synem, ale transakcje giełdowe interesowały go bardziej niż buddyzm, więc nie przejął funkcji opata po ojcu.

Patrzyła na mnie, jakby mówiła: To chyba naturalne, prawda? Ale mnie szczególnie nie interesowały ani buddyzm, ani transakcje giełdowe, więc się nie wypowiadałem. Moja twarz wyrażała tylko, że uważnie jej słucham.

– Po śmierci teścia teściowa wprowadziła się do naszego bloku w Shinagawie. Do innego mieszkania w tym samym bloku. Ja z mężem mieszkamy na 26 piętrze, a teściowa mieszka na 24. Sama. Przedtem mieszkała z teściem w świątyni, ale z głównej świątyni sekty przysłali kogoś jako następcę na stanowisko opata, więc przeprowadziła się tutaj. Teściowa ma obecnie 63 lata. Przy okazji

wspomnę, że mąż ma 40. W normalnej sytuacji w przyszłym miesiącu skończyłby 41.

Teściowa 24 piętro, 63 lata, Merrill Lynch, 26 piętro, Shinagawa – zapisałem. Kobieta cierpliwie czekała, aż skończę.

– Po śmierci teścia teściowa zaczęła miewać stany lękowe. Szczególnie wzmagają się, gdy pada deszcz. Prawdopodobnie dlatego, że teść zmarł w deszczową noc. Takie rzeczy często się zdarzają.

Lekko skinąłem głową.

– Kiedy się wzmagają, jest w takim stanie, jakby gdzieś w głowie oblużowała jej się nieco jakaś śrubka. Wtedy chwytą za telefon. Kiedy zadzwoni, ja albo mąż schodzimy dwa piętra niżej i zajmujemy się nią. Uspokajamy ją, czy raczej perswadujemy... Jeśli mąż jest w domu, on idzie, a gdy go nie ma, idę ja.

Przerwała i czekała na moją reakcję. Milczałem.

– Teściowa to dobra kobieta. Nie mogę o niej powiedzieć jednego złego słowa. Tylko jest znerwicowana i przyzwyczała się od dawna polegać na innych. Rozumie pan mniej więcej sytuację, prawda?

– Sądzę, że zrozumiałem.

Szybko założyła nogę na nogę i czekała, aż coś zapiszę na kartce. Ale tym razem niczego nie zanotowałem.

– Telefon zadzwonił w niedzielę o dziesiątej rano. Tego dnia też dość mocno padało. W tę przedostatnią niedzielę. Dzisiaj jest środa, to znaczy, że... to było dziesięć dni temu.

Spojrzałem na kalendarz na biurku. – W niedzielę trzeciego września, tak?

– Tak. Rzeczywiście, to było chyba trzeciego. Tego dnia o dziesiątej zadzwoniła teściowa – powiedziała kobieta i zamknęła oczy, jakby sobie przypominała. Gdyby to był film Hitchcocka, teraz zmieniałaby się scena i rozpoczęłaby się retrospekcja. Ale ponieważ to nie był film, retrospekcja się oczywiście nie zaczęła, a kobieta wkrótce otworzyła oczy i mówiła dalej. – Odebrał mąż. Na ten dzień zaplanował grę w golfa, ale przed świtem mocno się rozpadało, więc

grę odwołano i był w domu. Gdyby tego dnia było pogodnie, nie doszłoby do takiej sytuacji. Oczywiście teraz łatwo mi to mówić.

3 IX golf, deszcz, odwołany, matka? telefon – zapisałem.

– Teściowa powiedziała mu, że ma trudności z oddychaniem. Kręci jej się w głowie, nie może nawet wstać z krzesła. Więc mąż nawet się nie golił, tylko coś na siebie włożył i poszedł do matki dwa piętra niżej. Wychodząc, powiedział, że to pewnie nie potrwa długo, więc żeby zrobić śniadanie.

– W co mąż był ubrany? – zapytałem.

Znów lekko potarła nos. – W koszulkę polo z krótkimi rękawami, bawełniane spodnie. Koszulka była ciemnoszara, spodnie kremowe. Zdaje mi się, że jedno i drugie kupiłam z katalogu J. Crew. Mąż był krótkowidzem i zawsze nosił okulary. Od Armaniego, w metalowych oprawkach. Na nogach miał szare buty New Balance. Nie włożył skarpetek.

Dokładnie zapisałem te informacje na kartce.

– Chce pan wiedzieć, ile ma wzrostu i ile waży?

– Jeżeli pani wie, to by się przydało.

– Ma 173 centymetry wzrostu i waży pewnie około 72 kilo. Przed ślubem ważył tylko 62, ale przez dziesięć lat trochę mu przybyło.

Zapisałem te informacje. Sprawdziłem, czy ołówek się nie stępił, i wymieniłem go na nowy. Trzymałem przez chwilę w dłoni, chcąc się do niego przyzwyczaić.

– Czy mogę mówić dalej? – zapytała kobieta.

– Proszę, niech pani mówi.

Kobieta znów wyprostowała nogi, a potem założyła jedną na drugą. – Kiedy zadzwonił telefon, właśnie miałam smażyć racuszki. W niedzielę rano zawsze staram się robić racuszki. Kiedy mąż nie idzie na golfa, zawsze dużo ich zjada. Lubi racuszki. Zawsze dodaję dużo smażonego bekonu.

Nic dziwnego, że mu przybyło dziesięć kilo, pomyślałem, ale oczywiście tego nie powiedziałem.

– 25 minut później mąż zadzwonił. Matka się w miarę uspokoiła, więc zaraz przyjdzie. Mam stawiać śniadanie na stole, żeby od razu mógł zjeść. Jestem głodny, powiedział. Zaraz rozgrzałam patelnię i zaczęłam smażyć racuszki. Usmażyłam też bekon. Podgrzałam również syrop klonowy do odpowiedniej temperatury. Przyrządzenie racuszków nie jest zbyt skomplikowane, ale ważna jest odpowiednia kolejność i wyliczenie czasu. Ale choć czekałam i czekałam, mąż nie wrócił. Racuszki powoli stygły i twardniały na talerzu. Więc zadzwoniłam do teściowej, żeby zapytać, czy mąż jeszcze tam jest. Teściowa powiedziała, że wyszedł dawno temu.

Spojrzała na mnie. W milczeniu czekałam na dalszy ciąg. Kobieta strząsnęła ze spódnicy wymaginowany pyłek o metafizycznym kształcie.

– I tak mąż zniknął. Rozwiął się jak dym. Od tego czasu nie dał znaku życia. Ślad po nim zaginął na schodach między 24 a 26 piętrem, zniknął.

– Oczywiście zawiadomiła pani policję?

– Naturalnie – odparła i lekko skrzywiła usta. – O pierwszej po południu jeszcze go nie było, więc zadzwoniłam na policję. Ale szczerze mówiąc, nie włożyli w te poszukiwania wiele wysiłku. Przyszedł policjant z pobliskiego posterunku, ale kiedy stwierdził, że nie ma żadnych śladów walki, od razu stracił zainteresowanie sprawą. Powiedział, że mam poczekać dwa dni i jeżeli mąż się nie pojawi, mam iść na komendę i zgłosić, że zaginął. Zdaje się, że zdaniem policji mąż gdzieś sobie poszedł pod wpływem jakiegoś impulsu. Kiedy życie człowiekowi dopiecze, zachciewa mu się czasem gdzieś ulotnić. Ale proszę pomyśleć. Przecież to w ogóle nie ma sensu. Mąż wyszedł do matki, nie mając zupełnie nic przy sobie. Nie wziął portfela, prawa jazdy, kart kredytowych, zegarka. Nawet się nie ogolił. I zadzwonił, że zaraz będzie, więc mam smażyć racuszki. Czy ktoś, kto zamierza odejść z domu, dzwoni z taką prośbą? Zgadza się pan?

– Ma pani absolutną rację – zgodziłem się. – À propos, kiedy mąż szedł na 24 piętro, zawsze schodził po schodach?

– Mąż w ogóle nie korzysta z windy. Nie lubi wind. Mówił, że nie może znieść zamknięcia w takim ciasnym pomieszczeniu.

– A mimo to postanowili państwo zamieszkać na 26 piętrze, to bardzo wysoko.

– Tak. Mąż na 26 piętro też zawsze wchodzi po schodach. Zdaje się, że wchodzenie i schodzenie po schodach nie jest dla niego szczególnie uciążliwe. Nogi się od tego wzmacniają i łatwiej można zrzucić nadwagę. Oczywiście zajmuje mu to dość dużo czasu.

Racuszki, 10 kilo, schody, winda – zapisałem. Wyobraziłem sobie świeżo usmażone racuszki i mężczyznę idącego po schodach.

– Moje informacje mniej więcej do tego się sprowadzają. Czy zgodzi się pan przyjąć tę sprawę?

Nie było się co zastanawiać. To właśnie przypadek, którego poszukiwałem. Rzuciłem okiem na swój rozkład zajęć i udawałem, że coś w nim zmieniam. Gdybym zbyt chętnie się na to rzucił, mogłaby mnie podejrzewać o jakieś ukryte motywy.

– Tak się dobrze składa, że dziś po południu mam czas – powiedziałem. Potem spojrzałem na zegarek. 11.35. – Czy mogłaby mi pani pokazać, gdzie państwo mieszkają? Chciałbym zobaczyć miejsce, w którym męża widziano po raz ostatni.

– Oczywiście, pokażę panu – odparła. Lekko zmarszczyła brwi. – Czy to znaczy, że przyjmuje pan tę sprawę?

– Chciałbym przyjąć.

– Ale zdaje mi się, że jeszcze nie rozmawialiśmy o wynagrodzeniu.

– Wynagrodzenia nie trzeba.

– Ależ co pan mówi?! – Wpatrywała się we mnie.

– Mówię, że nie oczekuję zapłaty – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Ale przecież pan się z tego utrzymuje?

– Nie. Nie utrzymuję się z tego. Robię to tylko społecznie. Dlatego nie biorę wynagrodzenia.

– Społecznie?

- Zgadza się.
- Ale i tak jeśli poniesie pan jakieś konieczne koszty...
- Nie biorę też za poniesione koszty. To całkowicie społeczna praca, więc nie może być mowy o tym, żeby jakieś pieniądze przechodziły z rąk do rąk.

Kobieta wyglądała, jakby jeszcze nie do końca mnie zrozumiała.

Wyjaśniałem dalej: – Na szczęście tak się składa, że mam dochody pochodzące z innego źródła, które wystarczają mi na utrzymanie. Zarabianie pieniędzy nie jest moim celem. Osobiście najbardziej interesuje mnie szukanie zaginionych ludzi.

Szczerze mówiąc, chodzi o ludzi, którzy zaginęli w określony sposób. Ale gdybym to powiedział, rozmowa by się skomplikowała. – I mam ku temu niewielkie zdolności.

– Czy ma to związek z jakąś religią? Coś w stylu New Age? – zapytała.

– Nie, nie mam żadnego z związku ani z religią, ani z żadnym New Age.

Kobieta zerknęła na obcasy swoich szpilek. Może miała zamiar mnie za ich pomocą zaatakować, gdybym zrobił coś nierozsądnego.

– Mój mąż zawsze mówi, żeby nigdy nie ufać niczemu, co jest za darmo – powiedziała. – Może to niegrzecznie z mojej strony tak mówić, ale zazwyczaj gdzieś jest jakiś niewidoczny haczyk i nic dobrego z tego nie wychodzi.

– Ogólnie rzecz biorąc, pani mąż ma rację – powiedziałem. – W tym świecie wysoko rozwiniętego kapitalizmu po prostu nie wolno ufać rzeczom, które są za darmo. Rzeczywiście ma rację. Ale mimo to chciałbym, żeby mi pani zaufała. Inaczej do niczego nie dojdziemy.

Wzięła leżącą obok torebkę firmy Louis Vuitton, z eleganckim dźwiękiem odsunęła zamek błyskawiczny i wyciągnęła grubą kopertę. Nie wiem, jaka suma w niej była, ale koperta wyglądała na dość ciężką.

– Przyniosłam na wszelki wypadek na koszty dochodzenia.

Zdecydowanie pokręciłem głową. – Absolutnie nie przyjmuję pieniędzy, prezentów ani przysług w ramach wynagrodzenia. To moja zasada. Gdybym przyjął zapłatę czy wynagrodzenie, działania, które zamierzam podjąć, straciłyby znaczenie. Jeżeli ma pani nadmiar pieniędzy, jeżeli nie daje pani spokoju, że moje usługi są bezpłatne, proszę te pieniądze przeznaczyć na jakiś cel charytatywny. Jakies Towarzystwo Dobroci dla Zwierząt czy Fundację dla Sierot Ofiar Wypadków Drogowych, wszystko jedno. Jeżeli od tego zrobi się pani lżej na sercu.

Kobieta zmarszczyła brwi, wzięła głęboki oddech i bez słowa wsadziła kopertę z powrotem do torebki. Następnie odstawiła znów wypchaną i zadowoloną torebkę od Louisa Vuittona na poprzednie miejsce. Potem znów dotknęła nasady nosa i spojrzała na mnie jak na psa, który nie biegnie, choć rzucono mu patyk.

– Działania, które zamierza pan podjąć... – powiedziała jakoś sucho.

Skinąłem głową i odłożyłem na tackę stępiony ołówek.

Kobieta w szpilkach pokazała mi schody łączące piętro 24 z 26.

Wskazała drzwi swojego mieszkania (numer 2609) oraz drzwi mieszkania teściowej (numer 2417). Piętra połączone były szerokimi schodami. Przejście z mieszkania do mieszkania nawet wolnym krokiem zajmowało poniżej pięciu minut.

– Mąż zdecydował się kupić to mieszkanie między innymi dlatego, że schody są widne i szerokie. W wielu wysokich apartamentowcach robią byle jakie schody. Szerokie schody zajmują miejsce, większość mieszkańców nie korzysta ze schodów, używa tylko windy. Dlatego wielu deweloperów koncentruje wysiłki na miejscach bardziej rzucających się w oczy. Na przykład wykładają hol kosztownym marmurem, a nawet robią bibliotekę. Ale mój mąż uważał, że schody są najważniejsze. Że schody to jakby kręgosłup budynku.

Rzeczywiście te schody miały prezencję. Na podeście między 25 a 26 piętrem stała trzyosobowa kanapa, na ścianie wisiało duże lustro. Była też stojąca popielniczka, doniczki z roślinami dekoracyjnymi. Przez okazałe okna widać było pogodne niebo i kilka chmur. Okien nie dawało się otworzyć.

– Czy na każdym piętrze jest takie miejsce? – zapytałem.

– Nie. Co pięć pięter. Nie na każdym. Chce pan zajrzeć do naszego mieszkania i mieszkania teściowej?

– Nie, myślę, że w tej chwili nie ma takiej potrzeby.

– Od czasu kiedy mąż zniknął w ten niewyjaśniony sposób, psychiczny stan teściowej jeszcze się pogorszył – powiedziała kobieta i lekko potrząsnęła dłonią. – To był dla niej wielki szok. Nie ma się czemu dziwić.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Myślę, że prawdopodobnie to dochodzenie w żadnym razie nie obciąży pani teściowej.

– Byłabym bardzo wdzięczna. Proszę też utrzymać wszystko w tajemnicy przed sąsiadami. Nikomu nie mówiłam, że mąż zniknął.

– Rozumiem. A czy pani korzysta z tych schodów?

– Nie – odparła i lekko podniosła brwi, jakby myślała, że ją niezasłużenie krytykuję. – Zwykle jeżdżę windą. Kiedy wychodzimy gdzieś z mężem, wysyłam go pierwszego po schodach, a sama zjeżdżam windą. I spotykamy się w holu na dole. Gdy wracamy, ja wsiadam do windy i pierwsza jestem w domu, a mąż wchodzi po schodach. Wchodzenie i schodzenie po schodach na wysokie piętra w butach na obcasach jest niebezpieczne i niezdrowe.

– Pewnie tak.

Powiedziałem, że chciałbym sam przeprowadzić dochodzenie, i poprosiłem, żeby wspomniała o tym dozorczy i uprzedziła go, że człowiek chodzący między 24 a 26 piętrem sprawdza coś w związku z ubezpieczeniem. Miałbym niewielki kłopot, gdyby wezwał policję, podejrzewając, że kręcę się tam, bo szukam mieszkań, których właściciele są nieobecni. No, bo w sumie nie mam oficjalnie prawa się tam kręcić. Obiecała, że powie dozorczy. A potem weszła po

schodach, agresywnie postukując obcasami, i zniknęła. Po jej odejściu przez pewien czas słychać było jeszcze stukanie obcasów, brzmiące jak odgłos przybijania gwoźdźcia, którym przymocowuje się jakąś złowróżbną proklamację. Lecz wkrótce i to ucichło i zapanowała cisza. Zostałem sam.

Trzy razy przeszedłem schody tam i z powrotem między 24 a 26 piętrem. Pierwszy raz normalnym krokiem w zwykłym tempie. Pozostałe dwa razy powoli, uważnie wszystko obserwując. Skupiłem się, nie chciałem przegapić nawet najdrobniejszego szczegółu. Prawie nie mrugałem. Wszelkie wydarzenia pozostawiają po sobie ślad. Znajdowanie tych śladów stanowiło na razie moje zadanie. Lecz schody doprawdy starannie sprzątnięto, nie było na nich żadnych śmieci. Nie znalazłem żadnej plamki ani rysy. W popielniczce nie było petów.

Zmęczyło mnie chodzenie tam i z powrotem po schodach, zwłaszcza że cały czas starałem się nie mrugać, więc wróciłem na podest i usiadłem na kanapie. Była pokryta skajem, nie można jej nazwać specjalnie elegancką. Ale sam fakt, że postawiono coś takiego na podeście schodów, których (jak się zdawało) prawie nikt nie używał, zasługiwało na pochwałę. Do ściany naprzeciwko kanapy przymocowano duże lustro. Jego tafla była wypolerowana, bez żadnej plamki. Światło też padało z okna pod idealnym kątem. Przez chwilę przyglądałem się sobie w lustrze. Być może ten zaginiony makler też usiadł tu w tamten niedzielny ranek i spoglądał na siebie w lustrze. Siebie, jeszcze nieogolonego.

Ja byłem co prawda ogolony, ale włosy trochę za bardzo mi odrosły. Sterczały za uszami i przypominałem nieco długowłosego psa myśliwskiego, który dopiero co przeprowił się przez rzekę. Muszę wkrótce iść do fryzjera. Poza tym skarpetki nie pasowały kolorem do spodni. Za nic nie mogłem znaleźć takich w odpowiednim kolorze. Nikt nie miałby pretensji, gdybym niebawem zrobił większe pranie. Poza tym wyglądałem jak zazwyczaj. Wiek 45

lat, kawaler. Brak zainteresowania transakcjami giełdowymi i buddyzmem.

Teraz sobie przypominam, że Paul Gauguin też był maklerem. Ale zachciało mu się poważnie zająć malarstwem, zostawił żonę z dziećmi i pojechał sam na Tahiti. A może przypadkiem... pomyślałem sobie, ale przecież Gauguin nie pojechał chyba bez portfela, a gdyby były wtedy karty American Express, pewnie też nie zapomnieliby ich zabrać. Przecież w końcu jechał aż na Tahiti. A poza tym nie znikaliby, mówiąc żonie: „Zaraz wracam, więc usmaż racuszki”. Nawet w znikaniu powinien być jakiś porządek i jakaś logika.

Wstałem z kanapy i jeszcze raz wszedłem po schodach, tym razem myśląc o świeżo usmażonych racuszkach. Staralem się jak najbardziej skupić i wyobrazić sobie, jak to się mogło stać. Jestem czterdziestoletnim pracownikiem firmy maklerskiej, jest niedzielny poranek, na dworze leje i wracam do domu na racuszki. Stopniowo nabierałem coraz większej ochoty na racuszki. Właściwie od rana nie jadłem nic prócz małego jabłka.

Pomyślałem nawet, że pójde prosto stąd do restauracji Denny's na racuszki. Przypomniałem sobie, że jadąc tutaj, widziałem po drodze jej szyld. Niedaleko, mógłbym stąd dojść piechotą. Racuszki w Denny's nie są zbyt smaczne (jakość masła i smak syropu klonowego nie są na odpowiednim poziomie), ale zdawało mi się, że jakoś bym to przecierpiał. Szczerze mówiąc, lubię racuszki. Czułem, że w ustach zbiera mi się ślina. Mocno potrząsnąłem głową i odegnałem obraz racuszków. Otworzyłem w myślach okno i wypuściłem chmury fantazji. Potem będzie czas na racuszki, przykazałem sobie. Przedtem masz coś do zrobienia.

– Powinienem był ją zapytać – powiedziałem sam do siebie – czy jej mąż miał jakieś hobby? Może przypadkiem malował.

Ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że mężczyzna, który kochałby malowanie obrazów do tego stopnia, żeby odejść z domu i zostawić żonę, nie jeździłby w każdą niedzielę grać w golfa. Czy można sobie wyobrazić Gauguina, van Gogha czy Picassa jak w

butach do golfa klęczą przy dołku numer dziesięć i badają trawę? Ja nie potrafiłem. Jej mąż po prostu zniknął. Między 24 a 26 piętrem, prawdopodobnie w jakichś nieprzewidzianych okolicznościach (bo wtedy przewidywałem, że będzie jadł racuszki). Uznam tę hipotezę za punkt wyjściowy swoich działań.

Jeszcze raz usiadłem na kanapie i spojrzałem na zegarek. 1.32. Zamknąłem oczy, wyostrzyłem świadomość w określonym miejscu mózgu. O niczym nie myśląc, zdałem się na ruchome piaski czasu. Nieporuszony, pozwalałem, by ten nurt mnie dokądś poniosł. Potem otworzyłem oczy i spojrzałem na zegarek. Wskazywał 1.57. Gdzieś przepadło 25 minut. Nieźle, pomyślałem. Bezcelowe zużycie. Wcale nieźle.

Ponownie spojrzałem w lustro. Odbijałem się w nim zwyczajny ja. Kiedy podniosłem prawą rękę, moje odbicie podniosło lewą. Gdy podniosłem lewą, odbicie podniosło prawą. Udając, że zamierzam opuścić prawą rękę, szybko opuściłem lewą, ono udało, że opuści lewą, lecz opuściło prawą. Nie ma sprawy. Wstałem z kanapy i zszedłem po schodach 25 pięter do holu na parterze.

Potem codziennie koło jedenastej odwiedzałem te schody. Znałem już z widzenia dozorcę (zaniósłem mu w prezencie ciastka) i miałem wolny wstęp do budynku.

Przeszedłem tam i z powrotem między 24 a 26 piętrem około dwustu razy. Kiedy zmęczyło mnie chodzenie, odpoczywałem na kanapie na podeście, patrzyłem przez okno na niebo, sprawdzałem swoje odbicie w lustrze. Poszedłem do fryzjera ostrzyć się na krótko, zrobiłem większe pranie i zacząłem nosić skarpetki pasujące do spodni. Dzięki temu nieco zmniejszyło się prawdopodobieństwo, że ludzie mnie będą wytykać palcami.

Choć bardzo uważnie szukałem, nie odkryłem żadnego śladu, ale nie byłem tym specjalnie rozczarowany. Szukanie ważnego śladu przypomina osvajanie nieufnego zwierzęcia. Nie jest takie proste. W takiej pracy najważniejsze cechy to wytrwałość i uwaga. No i oczywiście intuicja.

Chodząc tam codziennie, dowiedziałem się, że są jednak ludzie używający tych schodów. Nie było ich wielu, ale zdawało się, że codziennie kilka osób korzysta z tego podestu albo nim przechodzi. Domyślałem się tego, bo przy kanapie wałały się papierki od cukierków, w popielniczce zostały niedopałki marlboro, gdzieś leżała przeczytana gazeta.

W niedzielne popołudnie minąłem faceta wbiegającego po schodach. Był to drobny mężczyzna po trzydziestce, na jego twarzy malowało się napięcie. Miał na sobie zielony strój do biegania i buty firmy Asics. Do tego duży zegarek Casio.

– Dzień dobry – zwróciłem się do niego. – Przepraszam pana...

– Słucham? – odparł i nacisnął guzik na zegarku. Wziął kilka głębokich oddechów. Podkoszulek bez rękawów ze znaczkiem Nike przesiąkł na piersi potem.

– Czy pan zawsze wbiega i zbiega po tych schodach? – zapytałem.

– Wbiegam. Na 32 piętro. Ale na dół zjeżdżam windą. Niebezpiecznie jest zbiegać po schodach.

– Czy biega pan codziennie?

– Nie, chodzę do pracy, więc nie mam tyle czasu. W weekend wbiegam kilka razy. W dni powszednie też, jak mi się uda wcześniej wyjść z pracy.

– Mieszka pan w tym bloku?

– Oczywiście – odpowiedział biegacz. – Mieszkam na 17 piętrze.

– Czy może przypadkiem zna pan pana Kurumizawę z 26 piętra?

– Pana Kurumizawę?

– Nosi okulary od Armaniego w metalowych oprawkach, jest maklerem giełdowym i zawsze wchodzi i schodzi po tych schodach. Ma 173 centymetry wzrostu. Czterdziestoletni.

Biegacz przypomniał sobie po chwili namysłu. – A, tak, ten facet. Znam go. Raz z nim rozmawiałem. Kiedy biegam, czasem go mijam. Bywa, że siedzi na tej kanapie. To ten, co nie lubi wind i korzysta tylko ze schodów, tak?

– Tak. To on. À propos, czy prócz pana Kurumizawy inni ludzie też korzystają na co dzień z tych schodów?

– Tak, korzystają. Niezbyt wielu, ale są tacy jakby stali bywalcy schodów. Niektórzy nie lubią jeździć windą. Prócz mnie jeszcze dwie osoby często biegają. Tu w pobliżu nie ma dobrej trasy do joggingu, więc biegają tam i z powrotem po schodach. Jest też kilka osób, które co prawda nie biegają, ale chodzą po schodach dla zdrowia. Te schody są szerokie, widne, czyste, więc pewnie są stosunkowo częściej używane niż w innych wielopiętrowych blokach.

– Czy przypadkiem zna pan nazwiska tych osób?

– Nie – odpowiedział biegacz. – Większość znam z widzenia i kłaniamy się sobie, kiedy się mijamy. Ale nie wiem, jak się nazywają i gdzie mieszkają. W końcu to wielki miejski blok.

– Rozumiem. Dziękuję panu bardzo – powiedziałem. – Przepraszam, że pana zatrzymałem. Życzę wytrwałości.

Mężczyzna włączył stoper i ruszył biegiem w górę po schodach.

Kiedy siedziałem we wtorek na owej kanapie, po schodach zszedł pewien staruszek. Był siwy, w okularach, wyglądał na siedemdziesiąt parę lat. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, szare spodnie i klapki – wszystko czyste, bez jednego zagniecenia. Był wysoki i prosto się trzymał. Wyglądał na dyrektora szkoły podstawowej, który niedawno przeszedł na emeryturę.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparłem.

– Mogę tu zapalić?

– Proszę, proszę się nie krępować.

Usiadł obok mnie, wyjął z kieszeni spodni papierosy Seven Star i przypalił jednego zapalką. Zgasił ją i wrzucił do popielniczki.

– Mieszkam na 26 piętrze – powiedział, powoli wypuszczając dym. – Z synem i synową. Ale mówią, że jak palę, mieszkanie

zaczyna śmierdzieć, więc kiedy mam ochotę zapalić, przychodzę tutaj. A pan pali?

Powiedziałem, że przestałem 12 lat temu.

– Ja też powinienem przestać. Palę tylko kilka dziennie, więc gdybym chciał, pewnie łatwo mógłbym rzucić – powiedział staruszek. – Ale dzięki temu, że chodzę po papierosy, że wpadam tu sobie zapalić, czas codziennie jakoś mi upływa. Mam trochę ruchu i nie myślę o tym, co nie trzeba.

– Można powiedzieć, że pali pan dla zdrowia.

– Rzeczywiście ma pan rację – odparł z poważną miną.

– Mieszka pan na 26 piętrze, tak?

– Owszem.

– W takim razie zna pan pana Kurumizawę spod 2609?

– Tak, znam. Nosi okulary, prawda? Chyba pracuje w Solomon Brothers?

– W Merrill Lynch – sprostowałem.

– A tak, w Merrill Lynch. Kilka razy tu rozmawialiśmy. On też czasem odpoczywa na tym siedzeniu.

– A co pan Kurumizawa robił na tym siedzeniu?

– Hm, tego nie wiem. Może tylko tak sobie siedział. Bo chyba nie palił.

– Może rozmyślał albo coś w tym rodzaju?

– Nie bardzo wiem, jak to poznać. Czy tylko sobie siedzi, czy rozmyśla. Na co dzień rozmyślamy o różnych rzeczach. Bynajmniej nie żyjemy po to, żeby rozmyślać, ale chyba też nie rozmyślamy po to, żeby być. To się nie zgadza z teorią Kartezjusza, ale być może czasem myślimy po to, żeby nie być. Myślimy, więc nie jesteśmy. Być może takie sobie bezmyślne siedzenie to nieświadome wywoływanie takiej reakcji. Tak czy inaczej, to trudny problem – powiedział staruszek i głęboko się zaciągnął.

Zapytałem: – Czy pan Kurumizawa przypadkiem nie wspominał, że ma trudności w pracy albo kłopoty rodzinne?

Staruszek pokręcił głową, strząsnął popiół do popielniczki. – Jak pan wie, woda zawsze płynie najkrótszym możliwym torem. Ale czasami to właśnie woda tworzy ten najkrótszy tor. Ludzkie myślenie ma taką samą tendencję jak woda. Ja zawsze odnoszę takie wrażenie. Ale muszę odpowiedzieć na pana pytanie. Nigdy nie rozmawiałem z panem Kurumizawą na takie osobiste tematy. Tylko tak gawędziliśmy ogólnie. O pogodzie, o regulaminie budynku, to wszystko.

– Rozumiem. Przepraszam, że zawracałem panu głowę – powiedziałem.

– Czasami słowa nie są potrzebne – mówił dalej staruszek. Jakby mnie nie dosłyszał. – Ale z drugiej strony słowa zawsze potrzebują nas jako pośrednika. Gdyby nas nie było, straciłyby rację bytu. Nie uważa pan? Stałyby się słowami nigdy niewypowiedzianymi, a niewypowiedzane słowa nie byłyby już słowami.

– Ma pan rację – powiedziałem.

– To założenie warte wielokrotnego rozważenia.

– Jak *kōan* w zen.

– Właśnie – przytaknął staruszek.

Gdy dokończył papierosa, wstał i zbierał się do odejścia.

– Wszystkiego dobrego – powiedział.

– Do widzenia – odparłem.

Kiedy w piątek po drugiej wszedłem na podest między 25 a 26 piętrem, na kanapie siedziała mała dziewczynka i przeglądając się w lustrze, śpiewała piosenkę. Wyglądała, jakby właśnie zaczęła chodzić do szkoły podstawowej. Miała na sobie różowy podkoszulek i krótkie dzinsowe spodenki, na plecach mały zielony plecak, a na kolanach czapeczkę.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry – odparła, przerywając śpiewanie.

Prawdę mówiąc, miałem ochotę usiąść obok niej, ale nie chciałem, żeby ktoś przechodzący powziął jakieś dziwne podejrzenia, więc oparłem się o ścianę przy oknie i rozmawiałem z nią na odległość.

– Lekcje już się skończyły? – zapytałem.

– Nie chcę rozmawiać o szkole – odpowiedziała. Był to ton nieznoszący sprzeciwu.

– No to postaramy się nie rozmawiać o szkole. Mieszkasz w tym bloku?

– Mieszkam. Na 27 piętrze.

– A może przypadkiem wchodzisz i schodzisz po schodach?

– W windzie śmierdzi.

– W windzie śmierdzi, więc wchodzisz po schodach na 27 piętro?

Dziewczynka zdecydowanie kiwnęła głową do swojego odbicia w lustrze. – Nie zawsze. Czasem.

– Nie bolą cię nóżki?

Dziewczynka nie odpowiedziała. – Wie pan co? Ze wszystkich luster w tym bloku, w tym najładniej się wygląda. I wyglądam w nim zupełnie inaczej niż w lustrze w domu.

– Jak to zupełnie inaczej?

– Niech pan sam zobaczy – powiedziała.

Zrobiłem krok do przodu w stronę lustra i przyjrzałem się przez chwilę swojemu odbiciu. Rzeczywiście miałem wrażenie, że moje odbicie różni się nieco od zwykłego odbicia w innych lustrach. Facet po tamtej stronie lustra był ode mnie nieco pulchniejszy, zdawał się bardziej optymistyczny od tego mnie. Zupełnie jakby dopiero co zjadł mnóstwo ciepłych racuszków.

– Ma pan pieska?

– Nie, nie mam pieska. Ale mam złote rybki.

– Aha – powiedziała dziewczynka. Ale zdawało się, że rybki mało ją interesują.

– Lubisz pieski? – zapytałem.

Nie odpowiedziała, za to zadała mi inne pytanie: – Ma pan dzieci?

– Nie mam dzieci – odpowiedziałem.

Dziewczynka patrzyła na mnie bardzo podejrzliwie. – Mamusia mówiła, że nie wolno mi rozmawiać z panami, którzy nie mają dzieci. Jest wśród nich duży *procent* trochę zбочzonych.

– Niekoniecznie, ale faktycznie lepiej uważać na nieznanym mężczyzn. Twoja mama ma rację.

– Ale pan chyba nie jest zбочzony.

– Myślisz, że nie?

– Nie wyciągnie pan nagle siusiaczka i nie będzie mi pan pokazywał, prawda?

– Nie będę.

– Nie zbiera pan też majteczek małych dziewczynek, prawda?

– Nie zbieram.

– A coś pan zbiera?

Zastanowiłem się chwilę. Zbierałem pierwsze wydania poezji współczesnej, ale zdawało mi się, nie ma sensu teraz o tym wspominać. – Nie, nie zbieram nic szczególnego. A ty?

Ona też się chwilę zastanowiła. Kilka razy potrząsnęła głową. – Ja też chyba nie zbieram nic szczególnego.

Potem milczeliśmy przez pewien czas.

– Jakie pączki pan najbardziej lubi w Mr. Donut?

– *Old fashioned* – odparłem bez namysłu.

– Nie wiem, jakie to są. Dziwnie się nazywają. Moje ulubione to *full moon* prosto z pieca i zajaczek z bitą śmietaną.

– Nigdy o takich nie słyszałem.

– W środku mają dżem albo słodką pastę z fasoli. Są bardzo dobre. Mamusia mówi, że jak się je tylko słodczy, to się głupieje, więc rzadko mi kupuje.

- Na pewno są smaczne – powiedziałem.
- A co pan tu robi? Wczoraj też chyba pan tu był? Zauważyłam pana – dopytywała się.
- Czegoś tu szukam.
- Czego?
- Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – Prawdopodobnie czegoś w rodzaju drzwi.
- Drzwi? – powtórzyła dziewczynka. – Jakich drzwi? Drzwi mogą mieć różne kolory i kształty.
- Zastanowiłem się. Jakiego kształtu i koloru? Właściwie nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad kształtami i kolorami drzwi. Przedziwna sprawa. – Nie wiem. Jaki mogą mieć kształt i kolor? Może to nawet nie są drzwi.
- Może na przykład parasol?
- Parasol? – powtórzyłem. – Tak, mam wrażenie, że nie ma żadnego powodu, żeby wykluczyć parasol.
- Ale parasol i drzwi bardzo różnią się kształtem, wielkością i tym, do czego służą.
- Rzeczywiście, różnią się. Ale jeśli to zobaczę, pewnie od razu poznam, że to to. Tak, to tego właśnie szukałem, pomyślę sobie. Czy to będzie parasol, drzwi czy pączek.
- Aha. I od dawna pan tego szuka?
- Od bardzo dawna. Zacząłem jeszcze przed twoim urodzeniem.
- Ach tak? – powiedziała i przez chwilę myślała o czymś, przyglądając się wnętrzem swoich dłoni. – Może ja panu pomogę? W tym szukaniu.
- Strasznie się ucieszę, jak mi pomożesz.
- Mam szukać drzwi albo parasola, albo pączka, albo słonia, albo nie bardzo wiadomo czego, tak?
- Tak, o to chodzi. Ale jak to zobaczysz, od razu będziesz wiedziała, że to to.

- Fajnie będzie. Tylko dzisiaj muszę już iść. Bo mam balet.
- To na razie. Dziękuję, że ze mną porozmawiałaś.
- Może mi pan jeszcze raz powiedzieć, jak się nazywa ten pana ulubiony pączek?
- *Old fashioned.*

Dziewczynka skrzywiła się i kilka razy powtórzyła cicho sama do siebie: *old fashioned.* – Do widzenia – powiedziała.

- Do widzenia.

Podniosła się i śpiewając piosenkę, ruszyła po schodach, po czym zniknęła. Zamknąłem oczy i jeszcze raz zdałem się na nurt czasu, bezcelowo zużywałem czas.

W sobotę zadzwoniła moja klientka.

- Mąż się znalazł – powiedziała od razu. Bez wstępów, bez powitania.

- Znalazł się? – powtórzyłem.

– Tak, wczoraj koło południa miałam telefon z policji. Zatrzymano go, bo spał na ławce w poczekalni na dworcu w mieście Sendai. Nie miał ani grosza, żadnego dowodu tożsamości, ale stopniowo przypomniał sobie swoje nazwisko, adres i telefon. Od razu pojechałam do Sendai. To niewątpliwie mój mąż.

- Ale skąd się wziął w Sendai? – zapytałem.

– Sam nie wie. Kiedy doszedł do siebie, leżał na ławce na dworcu w Sendai, a kolejarz potrząsał go za ramię. Nie pamięta, jak bez grosza dostał się do Sendai, gdzie i co robił przez dwadzieścia dni, co jadł.

- W co był ubrany?

– W to, co miał na sobie, kiedy wyszedł z domu. Miał dwudziestodniowy zarost i ubyło mu z dziesięć kilo. Musiał gdzieś zgubić okulary. Teraz dzwonię ze szpitala w Sendai. Mężowi robią tu badania. Tomografia, prześwietlenia, opinia psychiatry i tak dalej. Ale w tej chwili funkcje mózgu wróciły do normy i wygląda

na to, że pod względem fizycznym nie ma problemu. Tylko zanik pamięci. Pamięta, jak wyszedł od matki i zaczął wchodzić po schodach, ale nic później. No, w każdym razie myślę, że jutro będziemy mogli razem wrócić do Tokio.

– Bardzo się cieszę.

– Jestem panu bardzo wdzięczna za dotychczasowe poszukiwania. Ale wygląda na to, że skoro sytuacja tak się rozwinęła, nie ma już potrzeby, żeby pan się dalej fatygował.

– Rzeczywiście na to wygląda.

– Ten incydent od początku do końca jest niejasny, ma wiele aspektów, z którymi trudno się pogodzić, no, ale w każdym razie mąż wrócił cały i zdrowy, a oczywiście dla mnie to ma największe znaczenie.

– Oczywiście, ma pani rację. To najważniejsze.

– I jeszcze jeśli chodzi o wynagrodzenie, czy naprawdę nie zgodzi się pan nic przyjąć?

– Tak jak pani powiedziałem podczas naszego spotkania, nie przyjmuję żadnych honorariów. Dlatego bardzo proszę się tym nie kłopotać. Doceniam pani dobrą wolę.

Zapadło milczenie. Orzeźwiający milczenie oznaczający, że wzajemnie się zrozumieliśmy. Pozwoliłem sobie wziąć udział w tym milczeniu, rozsmakowując się krótko w jego orzeźwiający chłodzie.

– No to wszystkiego dobrego – powiedziała wkrótce ona i rozłączyła się. Była w tym jakaś nuta bliska współczucia.

Odłożyłem słuchawkę. A potem przez pewien czas powoli obracałem w palcach nowy ołówek i wpatrywałem się w śnieżnobiały bloczek do notatek. Ten śnieżnobiały notatnik przywodził mi na myśl świeżo odebrane z pralni nowe prześcieradło. A nowe prześcieradło przywodziło mi na myśl sympatycznego trójkolorowego kota ucinającego sobie na nim przyjemną popołudniową drzemkę. A obraz sympatycznego trójkolorowego kota drzemiącego na nowym prześcieradle nieco

mnie uspokoił. Potem przypominając sobie, co powiedziała kobieta, starannie zapisałem to w śnieżnobiałym bloczku. „Dworzec w Sendai, piątek koło południa, telefon, spadek wagi 10 kilo, to samo ubranie, zgubione okulary, zanik pamięci z dwudziestu dni”.

Zanik pamięci z dwudziestu dni.

Odłożyłem ołówek na biurko, odchyliłem się na krześle i spojrzałem na sufit. Na deskach sufitu tu i tam były nieregularne wzory. Kiedy patrzyłem na nie zmrużonymi oczami, wyglądały trochę jak mapa gwiazdozbiorów. Patrząc na to wyimaginowane gwiazdziste niebo, myślałem, że może warto znowu zacząć dla zdrowia palić. W uszach miałem jeszcze cichy dźwięk obcasów wchodzących i schodzących po schodach.

– Panie Kurumizawa – zwróciłem się do pewnego miejsca na suficie. – Witamy z powrotem w rzeczywistym świecie. W trójkątnym świecie, którego wierzchołki stanowią matka cierpiąca na stany lękowe, żona w butach na obcasach przypominających szpikulce do lodu i Merrill Lynch.

Prawdopodobnie będę dalej gdzieś szukał czegoś w kształcie drzwi, parasola, pączka czy słonia. Gdzieś, gdzie może uda się to znaleźć.



Kamień w kształcie nerki, który co dzień jest gdzie indziej

日々移動する腎臓のかたちをした石

Hibi idō-suru jinzō-no katachi-o shita ishi

Ojciec powiedział mu to, kiedy Jumpey miał szesnaście lat. Choć łączyły ich więzy krwi, nie byli w wystarczająco bliskich stosunkach, żeby prowadzić szczere rozmowy, ojciec zaś bardzo rzadko wyrażał filozoficzne (jeśli można je tak nazwać) opinie na temat życia, więc ta rozmowa pozostała Jumpeyowi wyraźnie w pamięci. Choć zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, jak do niej doszło.

– Mężczyzna spotyka w ciągu całego życia tylko trzy naprawdę ważne kobiety. Ani więcej, ani mniej – powiedział ojciec. A właściwie należało powiedzieć: oświadczył. Mówił tonem obojętnym, lecz zdecydowanym. Zupełnie jakby oznajmiał, że okrążenie Słońca zajmuje Ziemi rok. Jumpey słuchał w milczeniu. Był zdziwiony tym nagłym oświadczeniem, a poza tym przynajmniej wtedy nie przychodziło mu do głowy nic wartego powiedzenia.

– W przyszłości poznasz różne kobiety, będziesz się z nimi kolejno wiązał – ciągnął ojciec – ale jeżeli kobieta nie będzie jedną z tych ważnych kobiet, każda taka próba okaże się bezcelowa. Lepiej to sobie zapamiętaj.

Później w głowie dorastającego syna pojawiło się kilka wątpliwości. – Czy ojciec już spotkał swoje trzy kobiety? Czy matka jest jedną z nich? Jeśli tak, to co go łączyło z pozostałymi dwiema? – Ale nie mógł zadać ojcu takich pytań. Bo jak wspomniałem wcześniej, nie byli w bliskich stosunkach pozwalających na takie szczere rozmowy.

W wieku osiemnastu lat wyprowadził się z domu, pojechał na studia do Tokio, od tego czasu poznał wiele kobiet, z kilkoma się związał. Jedna z nich była dla Jumpeya „naprawdę ważna”. Wówczas był o tym przekonany, teraz też był tego równie pewien. Lecz zanim zdążył przedstawić jej te przemyślenia po nadaniu im konkretnego kształtu (miał taki charakter, że nadawanie rzeczom konkretnego kształtu zajmowało mu więcej czasu niż innym ludziom), wyszła za mąż za jego najbliższego przyjaciela. Teraz

została już matką. Dlatego musiał ją skreślić z listy swoich potencjalnych wyborów życiowych. Musiał być twardy i wyrzucić ją z pamięci. W rezultacie liczba „naprawdę ważnych” kobiet w jego życiu (jeżeli przyjąć, że teoria ojca była słuszna) ograniczyła się do dwóch.

Przy poznaniu każdej nowej kobiety zadawał sobie pytanie, czy jest dla niego naprawdę ważna, czy powinien ją odliczyć. I to pytanie zawsze wywoływało pewien dylemat. Z jednej strony miał nadzieję, że spotkana kobieta okaże się „naprawdę ważna” (przecież chyba każdy żywi takie nadzieje), a jednocześnie obawiał się, że wykorzysta za wcześnie jedną z ograniczonej liczby kart, jakie mu rozdało życie. Ponieważ nie udało mu się związać z pierwszą ważną dla niego kobietą, stracił pewność, czy posiada umiejętność – mającą wielkie znaczenie umiejętność – właściwego skonkretyzowania we właściwym momencie uczucia miłości. Często myślał, że być może należy do ludzi, którzy w życiu przywiązują wagę do wielu niepotrzebnych rzeczy, a ciągle przegapiają te naprawdę ważne. I za każdym razem na tę myśl serce tonęło mu w jakimś chłodnym mroku.

Dlatego po kilku miesiącach związku z nową kobietą, gdy zauważał w jej charakterze czy zachowaniu coś, co mu się nie podobało albo go denerwowało – choćby była to najdrobniejsza rzecz – gdzieś w głębi serca czuł rodzaj ulgi. W rezultacie jego modelem życiowym stały się płytkie, ani bliskie, ani dalekie, związki z wieloma partnerkami. Wiązał się z kimś na pewien czas, obserwował sytuację, a kiedy dochodziła do pewnego punktu, naturalnie rozwiązywał układ. Podczas rozstania nie było żadnej niezgody ani kłótni. A raczej od samego początku unikał związywania się z kobietami, z którymi prawdopodobnie trudno byłoby się bezkonfliktowo rozstać. Nie wiadomo kiedy wyrobił sobie wdech pozwalający wyczuć takie wygodne partnerki.

Jumpey nie potrafił ocenić, czy ta umiejętność jest wrodzoną cechą jego charakteru, czy też wyrobił ją sobie później. Ale jeżeli wyrobił ją sobie później, chyba można by ją nazwać klątwą rzuconą przez ojca. Kiedy kończył studia, strasznie się z nim pokłócił i

całkowicie zerwali stosunki, ale teoria „trzech kobiet”, choć jej podstawy nigdy nie zostały wyjaśnione, zawładnęła jego życiem jak rodzaj obsesji. Myślał nawet półzartem, że może powinien zostać homoseksualistą. Gdyby to zrobił, uwolniłby się od tego idiotycznego odliczania. Ale na szczęście czy na nieszczęście pod względem seksualnym pociągały Jumpeya jedynie kobiety.

Później się dowiedział, że poznana tego dnia kobieta była od niego starsza. Miała trzydzieści sześć lat. Jumpey – trzydzieści jeden. Znajomy otworzył niewielką francuską restaurację przy ulicy prowadzącej z Ebisu do Daikanyamy i Jumpey został zaproszony na otwarcie. Miał na sobie ciemnogrnatową jedwabną koszulę firmy Perry Ellis, a na niej letnią marynarkę w tym samym kolorze. Nagle okazało się, że przyjaciel, z którym miał się tam spotkać, nie może przyjść i Jumpey nie miał co ze sobą zrobić. Usiadł sam przy barze i powoli pił bordeaux z dużego kieliszka. Postanowił niedługo wyjść i rozglądał się za właścicielem, chcąc się z nim pożegnać, gdy podeszła do niego wysoka kobieta z jakimś nieznanym mu fioletowym drinkiem w dłoni. Bardzo prosto się trzyma – takie było jego pierwsze wrażenie.

– Tam ktoś mówił, że jest pan powieściopisarzem. To prawda? – zapytała, opierając łokcie na barze.

– Wygląda na to, że niby tak.

– Jest pan *niby*-powieściopisarzem?

Jumpey skinął głową.

– Ile książek pan wydał?

– Dwa zbiory opowiadań, jedno tłumaczenie. Wszystkie niezbyt dobrze się sprzedawały.

Kobieta otaksowała go wzrokiem. I uśmiechnęła się, jakby usatysfakcjonowana. – Tak czy inaczej pierwszy raz w życiu spotykam prawdziwego pisarza.

– Bardzo mi miło.

– Mnie również.

– Ale spotkanie pisarza to nic ciekawego – powiedział Jumpey, jakby się tłumaczył. – Bo pisarze nie mogą się pochwalić żadnymi specjalnymi umiejętnościami. Pianista mógłby zagrać, malarz coś naszkicować, prestidigitator pokazałby prostą sztuczkę... a powieściopisarz nic nie umie.

– Ale chyba można się przy nim nacieszyć taką jakby artystyczną aurą?

– Artystyczną aurą? – powtórzył Jumpey.

– Czymś w rodzaju blasku, który trudno znaleźć u zwykłego człowieka.

– Codziennie rano przy goleniu patrzę na siebie w lustrze i nigdy nic takiego nie dostrzegłem.

Roześmiała się przyjaźnie. – Jakiego rodzaju rzeczy pan pisze?

– Ludzie często mnie o to pytają, ale trudno wytłumaczyć, jakiego są rodzaju. Bo nie mogę się wpasować w żaden określony gatunek...

Przesunęła palcem po krawędzi szklanki. – To znaczy, że... pisze pan tak zwaną literaturę piękną?

– Pewnie tak. Choć w pani ustach brzmi to trochę jak „łańcuszek świętego Antoniego”.

Roześmiała się. – Ciekawe, czy kiedyś o panu słyszałam?

– A czyta pani czasopisma literackie?

Lekko, lecz zdecydowanie potrząsnęła głową.

– To pewnie nie. Nie jestem znany w szerszych kręgach.

– Kandydował pan do nagrody imienia Akutagawy[11]?

– Cztery razy w ciągu pięciu lat.

– Ale pan nie dostał?

Uśmiechnął się tylko w milczeniu. Nie pytając o pozwolenie, usiadła na sąsiednim stołku. Dopijała resztę swojego drinka.

– To przecież nie ma znaczenia. Nagrody to jedynie dowód uznania krytyków – powiedziała.

– Zabrzmiałoby to bardziej przekonująco, gdyby powiedział to ktoś, komu przyznano nagrodę.

Powiedziała mu jak ma na imię. Kirie.

– Brzmi to jak „Kyrie” z mszy – odparł Jumpey.

Wydawało się, że jest o jakieś dwa, trzy centymetry wyższa od Jumpeya. Włosy miała krótko ostrzyżone, była równo opalona, miała bardzo kształtną głowę. Ubrana była w bladozielony płócienny żakiet i rozszerzaną spódnicę do kolan. Rękawy żakietu podwinęła do łokci. Pod nim miała prostą bawełnianą bluzkę, do kołnierzyka przypięła niewielką turkusową broszkę. Jej piersi nie były ani duże, ani małe. Nosiła się elegancko i swobodnie, ale jednocześnie była w niej silna indywidualność. Wargi miała pełne, gdy kończyła coś mówić, rozciągały się lub tuliły. Dzięki temu wszystko, co jej dotyczyło, wydawało się zadziwiająco żywotne i świeże. Kiedy się zamyślała, na jej szerokim czole pojawiały się trzy poziome zmarszczki. Znikały, gdy kończyła rozmyślanie.

Jumpey zdał sobie sprawę, że ta kobieta go pociąga. Coś w niej niejasno, ale uparcie go podniecało. Pobudzone adrenaliną serce biło tak, jakby wysyłało jakieś ciche, sekretne sygnały. Nagle poczuł suchość w ustach i zamówił Perrier u przechodzącego kelnera. Jak zawsze zaczął się zastanawiać, czy ta kobieta jest dla niego ważna. Czy to jedna z tych dwóch, które mu zostały. Czy to drugi prawidłowy rzut[12]? Czy mam ją zignorować, czy też zrobić zamach kijem i próbować ją trafić?

– Od dawna chciał pan być pisarzem? – zapytała Kirie.

– Chyba tak. To znaczy, nigdy nie chciałem zostać nikim innym. Nie przychodziła mi do głowy żadna alternatywa.

– Innymi słowy, spełniło się pana marzenie.

– Hm, nie wiem. Chciałem zostać wybitnym pisarzem – powiedział Jumpey, rozkładając ręce i tworząc między nimi około trzydziestocentymetrową przestrzeń. – Zdaje mi się, że rzeczywistość i marzenie znacznie od siebie odbiegają.

– Każdy musi od czegoś zacząć. Jeszcze wiele lat przed panem. Nie można od początku osiągnąć perfekcji – odrzekła. – Ile pan ma lat?

Wtedy powiedzieli sobie, ile mają lat. Chyba wcale nie przejmowała się tym, że jest starsza. Jumpey też się nie przejmował. Od młodych dziewczyn wolał raczej dojrzałe kobiety. I w wielu przypadkach ze starszą od siebie kobietą łatwiej się było rozstać.

– A czym pani się zajmuje? – zapytał.

Kirie zacięła usta i po raz pierwszy przybrała poważny wyraz twarzy. – A na kogo wyglądam?

Jumpey potrząsnął kieliszkiem i czerwone wino zawiroowało. – Może mi pani da jakąś wskazówkę?

– Nie dam wskazówki. Trudno zgadnąć? Przecież pana praca polega na obserwowaniu i ocenianiu.

– Nie, nie ma pani racji. Pisarz powinien obserwować, obserwować i obserwować, a ocenę odłożyć na jak najpóźniej.

– Aha. To proszę obserwować, obserwować i obserwować, i spróbować sobie wyobrazić. To chyba nie będzie się kłóciło z pana etyką zawodową?

Jumpey podniósł głowę i jeszcze raz uważnie przyjrzał się kobiecie. Starał się wyczytać w niej jakiś ukryty znak. Patrzyła mu prosto w oczy, on odwzajemnił się tym samym.

– To tylko bezpodstawne fantazje, ale chyba zajmuje się pani czymś szczególnym? – powiedział po chwili. – To znaczy, nie jest to praca, którą każdy mógłby wykonywać i potrzebne są do niej szczególne umiejętności.

– Strzał w dziesiątkę! Rzeczywiście nie każdy mógłby to robić. Ma pan rację. Ale może by pan to trochę zawęził?

– Coś związanego z muzyką?

– No.

– Projektowanie ubrań.

– No.

– Gra w tenisa?

– No – odpowiedziała.

Jumpey potrząsnął głową. – Jest pani dość opalona, wysportowana, ma pani wyrobione mięśnie ramion. Może uprawia pani sporty. Ale nie wygląda pani na kogoś, kto pracuje fizycznie na dworze. Nie robi pani takiego wrażenia.

Kirie podwinęła rękawy żakietu, położyła nagie ręce na barze, i przyjrzała się im badawczo ze wszystkich stron.

– Bardzo dobrze panu idzie.

– Ale nie umiem podać prawidłowej odpowiedzi.

– Dobrze jest mieć małe sekrety – powiedziała Kirie. – Nie chcę panu odbierać zawodowej przyjemności obserwowania i wyobrażania sobie... Ale dam panu jedną wskazówkę. Ze mną jest tak samo jak z panem.

– Tak samo jak ze mną?

– To znaczy, zajmuję się zawodowo czymś, co chciałam robić od bardzo dawna, od dziecka. Tak samo jak pan. Choć wcale nie było mi łatwo osiągnąć to, co osiągnęłam.

– To świetnie – powiedział Jumpey. – To strasznie ważne. Praca powinna być aktem miłości. A nie czymś w rodzaju małżeństwa z rozsądku.

– Aktem miłości – powtórzyła Kirie z podziwem. – To śliczna metafora.

– A czy pani myśli, że ja o pani słyszałem? – zapytał Jumpey.

Potrząsnęła głową. – Myślę, że nie. Nie jestem znana w szerszych kręgach.

– Każdy musi od czegoś zacząć.

– Właśnie – odpowiedziała z uśmiechem. Potem spoważniała. – Ale w moim przypadku, w odróżnieniu od pana, od początku potrzebna była perfekcja. Nie można sobie pozwolić na porażkę. Perfekcja albo nic. Nie ma nic pośredniego. Nie da się nic poprawić.

– To też wskazówka.

– Pewnie tak.

Podszedł kelner z kieliszkami szampana na tacy. Kirie wzięła dwa, podała jeden Jumpeyowi i powiedziała: – Na zdrowie.

– Za nasze wyspecjalizowane zawody – dodał Jumpey.

Stuknęli się kieliszkami. Był to lekki, pełen tajemnic dźwięk.

– A propos, czy jest pan żonaty?

Jumpej potrząsnął głową.

– Ja też nie jestem zameżna – powiedziała Kirie.

Tę noc spędziła w mieszkaniu Jumpeya. Wypili wino, które dostali w prezencie od właściciela restauracji, kochali się, potem usnęli. Kiedy Jumpey obudził się następnego ranka po dziesiątej, jej już nie było. Tylko na poduszce obok pozostał ślad po jej głowie, jak utracone wspomnienie. Przy łóżku leżała kartka: „Muszę iść do pracy. Jeśli będziesz miał ochotę, czekam na kontakt”. Dalej był numer komórki.

Zadzwoił i spotkali się w sobotni wieczór. Zjedli kolację w restauracji, wypili trochę wina, kochali się w mieszkaniu Jumpeya i razem usnęli. Rano znów zniknęła. Choć była niedziela, zostawiła kartkę ze zwiędłą notatką: „Muszę iść do pracy, więc się ulatniam”. Nadal nie wiedział, czym się zajmuje. Nie było wątpliwości, że pracuje od wczesnego rana. Poza tym – przynajmniej czasami – pracowała w niedzielę.

Nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy. Kirie była bystra i dobrze opowiadała. Zawsze miała o czym mówić. Od powieści wolała raczej inne lektury. Z przyjemnością czytała biografie, książki historyczne, psychologiczne, popularnonaukowe. I miała zadziwiająco dużą wiedzę z tych dziedzin. Kiedyś zaskoczyło go, jak dokładnie orientowała się w historii budownictwa mieszkaniowego z prefabrykatów. Budownictwo z prefabrykatów? A może ty przypadkiem masz pracę związaną z architekturą? No, odpowiedziała. Pociągają mnie niezwykle praktyczne rzeczy. To wszystko.

Przeczytała dwa wydane zbiory opowiadań Jumpeya i powiedziała, że są wspaniałe. O wiele ciekawsze niż się spodziewała.

– Szczerze mówiąc, w głębi duszy trochę się martwiłam – wyznała – o to, co zrobię, jeśli twoje książki wcale mnie nie zainteresują. Co ja ci powiem. Ale nie musiałam się martwić. Przeczytałam z wielką przyjemnością.

– Bardzo się cieszę – powiedział Jumpey z ulgą. On także się o to martwił, gdy poprosiła, by dał jej swoje książki do przeczytania.

– To nie jest pusty komplement – dodała Kirie. – Uważam, że masz w sobie coś szczególnego. Coś, bez czego nie można zostać wybitnym pisarzem. Twoje utwory przepelnione są spokojem, ale kilka jest napisanych szczególnie żywo i pięknym językiem. A przede wszystkim są bardzo wyważone. Ja najbardziej cenię równowagę. I w muzyce, i w powieściach, i w obrazach. Kiedy trafiam na źle wyważony utwór albo wykonanie – to znaczy, kiedy trafiam na coś niezbyt dobrej jakości, niekompletnego – zaczynam się źle czuć. Jakbym miała chorobę morską. Pewnie dlatego nie chodzę na koncerty, prawie nie czytam powieści.

– Bo nie chcesz się natknąć na coś źle wyważonego?

– Uhm.

– I chcąc uniknąć tego ryzyka, nie czytasz powieści i nie chodzisz na koncerty.

– Zgadza się.

– Zdaje mi się, że to dość ekstremalne podejście.

– Ja jestem spod znaku Wagi. Nie mogę znieść rzeczy źle wyważonych. To znaczy, nie chodzi o to, że nie mogę znieść... – zacięła usta i szukała odpowiednich słów. Nie znalazła jednak, więc westchnęła niejako zastępczo. – Mniejsza o to. Mam wrażenie, że kiedyś napiszesz coś na większą skalę, długą powieść. I wydaje mi się, że dzięki temu staniesz się wybitnym pisarzem. Może ci to zająć trochę czasu.

– Jestem z natury pisarzem opowiadań. Nie nadaję się do długich powieści – powiedział Jumpey sucho.

– Mimo to napiszesz – odparła.

Jumpey nie wyrażał więcej swojego zdania. W milczeniu przysłuchiwał się tylko szumowi klimatyzatora. Prawdę mówiąc, do tej pory kilkakrotnie już przymierzał się do napisania długiej powieści. Ale za każdym razem rezygnował w trakcie. Za nic nie potrafił być dostatecznie skoncentrowany przez długi czas, co było konieczne do napisania powieści. Kiedy zaczynał, myślał, że uda mu się napisać coś wspaniałego. Styl był żywy, przyszłość stała przed nim otworem. Opowieść sama się rozwijała. Lecz kiedy posuwał się naprzód, jej energia i blask po trochu, lecz widocznie, słabły, wątały, aż wkrótce kompletnie zniknęły, jakby lokomotywa straciła szybkość i się zatrzymała.

Leżeli w łóżku. Była jesień. Przed chwilą długo się kochali – czuli się sobie bardzo bliscy, oboje byli nadzy. Ramię Kirie przyciskało się do piersi Jumpeya, który ją obejmował. Na szafce nocnej stały dwa kieliszki białego wina.

– Słuchaj? – powiedziała Kirie.

– Co?

– Bardzo kochasz jakąś inną kobietę, prawda? Za nic nie możesz jej zapomnieć.

– Tak – przyznał Jumpey. – Wiesz o tym?

– Oczywiście. Kobiety są bardzo przenikliwe w takich sprawach.

– Myślę, że nie wszystkie są przenikliwe.

– Ja nie mówię o *wszystkich* kobietach.

– Aha.

– Ale nie możesz się z nią związać, tak?

– Bo okoliczności na to nie pozwalają.

– A nie ma możliwości, że te okoliczności znikną?

Jumpey zdecydowanie potrząsnął głową. – Nie ma.

– To dość zawiłe okoliczności, tak?

– Nie wiem, czy zawiłe. W każdym razie są takie okoliczności.

Kirie wypła łyk wina.

– Ja nie mam nikogo takiego – powiedziała prawie szeptem. – I bardzo cię lubię. Bardzo mnie do ciebie ciągnie, i kiedy tak jesteśmy we dwoje, czuję się strasznie szczęśliwa i spokojna. Ale nie chcę się z tobą związać. No jak? Uspokoileś się?

Jumpey wplótł palce w jej włosy. Nie odpowiedział na jej pytanie, zadał inne: – Dlaczego?

– Dlaczego nie mam zamiaru się z tobą związać?

– Uhm.

– Przeszkadza ci to?

– Trochę.

– Nie mogę być z kimś na co dzień mocniej związana. Nie tylko z tobą, z nikim – powiedziała. – Chcę się całkowicie skupić na tym, co teraz robię. Gdybym z kimś na co dzień żyła, głęboko zaangażowała się uczuciowo, być może nie mogłabym już się tak skupić. Dlatego dobrze jest tak jak teraz.

Jumpey zastanowił się nad tym przez chwilę. – Czyli nie chcesz, żeby ktoś burzył twój wewnętrzny spokój.

– Uhm.

– Bo jeśli ktoś zburzy twój wewnętrzny spokój, stracisz równowagę i to może się stać ważną przeszkodą w twojej karierze.

– Właśnie.

– I żeby uniknąć takiego ryzyka, nie dzielisz z nikim życia.

Kiwnęła głową. – Przynajmniej tak długo, jak zajmuję się obecną pracą.

– Ale nie powiesz mi, co to za praca?

– Zgadnij.

– Jesteś złodziejką.

– No – odpowiedziała z poważną miną, która zaraz zmieniła się w wesoły uśmiech. – To czarujące przypuszczenie, ale złodzieje nie

pracują od rana.

– Płatny morderca.

– Płatna morderczyni – poprawiła. – Ale tak czy inaczej, *no*. Dlaczego przychodzą ci do głowy tylko takie straszne rzeczy?

– Ta praca jest legalna, tak?

– Zgadza się. Jak najbardziej legalna.

– Tajna agentka.

– *No*. Dziś już o tym nie mówmy. Wolałabym posłuchać o twojej pracy. Opowiesz mi o tym, co teraz piszesz? Coś piszesz, prawda?

– Piszę właśnie opowiadanie.

– Jakie opowiadanie?

– Jeszcze nie skończyłem. Zrobiłem sobie w środku przerwę.

– Jeśli możesz, opowiedz mi, co się do tej pory wydarzyło.

Na te słowa Jumpey zamilkł. Z zasady z nikim nie rozmawiał o treści utworów, nad którymi pracował. Żeby nie zapeszyć. Jeżeli ubierze to w słowa, głośno powie, coś zniknie jak poranna mgła. Subtelne znaczenia zmieniają się w płaskie tło. Tajemnice przestaną być tajemnicami. Ale leżąc w łóżku i głaszcząc krótkie włosy Kirie, pomyślał, że jej mógłby opowiedzieć. I tak coś go zablokowało i od paru dni nie posunął się ani o krok.

– Jest napisane w trzeciej osobie, bohaterką jest kobieta. Ma trzydzieści parę lat – zaczął opowiadać. – Dobra internistka, pracuje w dużym szpitalu. Niezameżna, ale ma sekretny romans z dobiegającym pięćdziesiątki chirurgiem z tego samego szpitala. On jest żonaty.

Kirie wyobraziła sobie tę osobę. – Czy jest czarująca?

– Myślę, że dość czarująca. Ale nie aż tak jak ty.

Kirie roześmiała się i pocałowała Jumpeya w szyję. – Prawidłowa odpowiedź.

– Staram się dostarczać prawidłowych odpowiedzi, kiedy takie są wymagane.

– Szczególnie w łóżku.

– Szczególnie w łóżku. Ona bierze urlop i jedzie sama na wycieczkę. Pora roku jest mniej więcej taka jak teraz. Zatrzymuje się w niewielkim pensjonacie w uzdrowisku w górach, gdzie biją gorące źródła, i chodzi na spacer w dolinę. Jej hobby to obserwowanie ptaków. Szczególnie lubi obserwować zimorodki. Idąc wzdłuż rzeki, znajduje dziwny kamień. Czarny z czerwonym połyskiem, gładki, kształtem coś jej przypomina. Szybko uświadamia sobie, że kamień ma kształt nerki. W końcu jest specjalistką. Rozmiarem, barwą, masą do złudzenia przypomina nerkę.

– Więc podnosi go i zabiera ze sobą.

– Uhm. Znosi do swojego gabinetu w szpitalu i postanawia używać go jako przycisku do papierów. Ma do tego odpowiednią wielkość i ciężar.

– I nastrojem pasuje do szpitala.

– Właśnie. Ale po kilku dniach zauważa dziwne zjawisko.

Kirie w milczeniu czeka na dalszy ciąg opowiadania. Jumpey przerywa, jakby chciał zirytować swoją słuchaczkę. Ale nie robi tego celowo. Prawdę mówiąc, dalszy ciąg jeszcze nie jest gotowy. W tym miejscu jego opowiadanie się zatrzymało. Stał na nieoznakowanym skrzyżowaniu, rozglądał się dookoła i ze wszystkich sił łamał sobie głowę. Myślał o tym, w którą stronę powinno pójść opowiadanie.

– Rano kamień leży gdzie indziej. Przed wyjściem wieczorem z gabinetu kładzie go na biurku. Jest bardzo pedantyczna, więc zawsze kładzie go w tym samym miejscu. A mimo to pewnego ranka kamień leży na obrotowym krześle, innego obok wazonu, a jeszcze innego poniewiera się gdzieś na podłodze. Lekarka najpierw myśli, że musiała się pomylić. Potem podejrzewa, że coś jest nie tak z jej pamięcią. Drzwi były zamknięte na klucz, nikt nie mógł się dostać do gabinetu. Oczywiście dozorca ma klucz. Ale on pracuje tu od dawna i nie wchodziłby sobie tak po prostu do gabinetów. A poza tym dlaczego miałby co wieczór włamywać się do niej i przekładać

kamień, który służy jako przycisk do papierów? Wszystko inne leży na swoim miejscu. Zmienia się jedynie położenie kamienia. Kobieta nie ma pojęcia, co począć. Jak uważasz? Dlaczego ten kamień w nocy się przesuwa?

– Ten kamień w kształcie nerki ma jakieś zamiary – powiedziała Kirie po prostu.

– Jakie są jego zamiary?

– Kamień chce nią wstrząsnąć. Po trochu, nieśpiesznie nią wstrząsnąć. Taki jest jego zamiar.

– A dlaczego kamień chce nią wstrząsnąć?

– Hm... – powiedziała. Potem zachichotała. – Może nie chce, żeby lekarka skamieniała.

– To nie żarty – powiedział Jumpey ze zniecierpliwieniem.

– O tym chyba sam musisz zdecydować. Przecież to ty jesteś pisarzem. Ja nie. Ja jestem tylko słuchaczem.

Jumpey zmarszczył brwi. Przez to, że tak intensywnie myślał, głęboko w skroniach czuł lekki ból. Może wypił za dużo wina. – Nie mogę nadać myślom kształtu. Jak nie siedzę przy biurku i nie próbuję naprawdę pisać, fabuła się nie posuwa. Mogłabyś jeszcze trochę poczekać? Kiedy tak o tym opowiadałem, nagle mi się wydało, że będę mógł dalej pisać.

– Dobrze – powiedziała Kirie. Wyciągnęła rękę, podniosła kieliszek białego wina i wypła łyk. – Poczekać. Ale to bardzo ciekawa historia. Bardzo chcę się dowiedzieć, co się stanie z tym kamieniem w kształcie nerki.

Potem odwróciła się, przycisnęła do boku Jumpeya kształtną pierś. – Wiesz co, Jumpey, wszystko na tym świecie ma jakieś zamiary – powiedziała cicho, jakby wyznawała jakiś sekret. Jumpey zasypia. Nie może odpowiedzieć. Jej słowa w nocnym powietrzu tracą strukturę zdań, mieszają się z lekką wonią wina i sekretnie docierają do głębi jego świadomości. – Na przykład wiatr ma zamiary. Zwykle żyjemy, wcale tego nie zauważając. Ale kiedyś w końcu coś nam na to zwróci uwagę. Wiatr ma pewne zamiary,

spowija nas, potrząsa nami. Wie, co jest w nas. Nie tylko wiatr wie. Przedmioty też wiedzą. Między innymi kamienie. Bardzo dobrze nas znają. Na wylot. Bywa, że sobie to uświadamiamy. Ale nie mamy wyboru, musimy z tym żyć. Akceptując to, potrafimy przetrwać i stajemy się głębsi.

Przez pięć kolejnych dni Jumpey prawie nie wychodził z domu i pisał dalszy ciąg opowiadania o kamieniu w kształcie nerki. Tak jak przepowiedziała Kirie, kamień dalej cicho szokuje lekarkę. Po trochu, nieśpiesznie, lecz niezaprzeczalnie. Kiedy lekarka kocha się namiętnie ze swoim kochankiem w anonimowym pokoju miejskiego hotelu, wodzi sekretnie palcami po jego plecach, szukając nerki. Wie, że kryje się tam jej kamień. Jest tajnym informatorem, którego umieściła w ciele kochanka. Pod jej palcami nerka wije się jak robak. I wysyła jej nercze wiadomości. Lekarka rozmawia z nerką, wymienia z nią informacje, czuje na dłoni jej oślizgłość.

Przyzwyczajają się powoli do obecności czarnego kamienia, który co noc zmienia położenie. Akceptuje to jako coś naturalnego. Przestaje się dziwić, że kamień nocą się przesuwają. Po przyjeździe do szpitala znajduje go gdzieś w gabinecie, podnosi i kładzie z powrotem na biurko. Staje się to jej codziennym nawykiem, zupełnie naturalnym. Gdy lekarka jest w gabinecie, kamień się nie porusza. Tkwi grzecznie w tym samym miejscu, jak kot drzemiący smacznie w słońcu. Ale kiedy tylko lekarka wychodzi i zamyka drzwi na klucz, kamień budzi się i zaczyna poruszać.

Gdy lekarka ma czas, wyciąga rękę i gładzi jego gładką czarną powierzchnię. Wkrótce nie może już oderwać od niego wzroku. Jak zahipnotyzowana. Stopniowo traci zainteresowanie wszystkim innym. Przestaje czytać książki. Przestaje chodzić na siłownię. Jakoś z trudem skupia się podczas badania pacjentów, a jej myśli są tylko rezultatem przyzwyczajania, są prowizoryczne. Przestają ją interesować rozmowy z kolegami. Nie przywiązuje wagi do swego wyglądu. Ma coraz mniejszy apetyt. Nawet seks z kochankiem zaczyna jej się wydawać męczący. Kiedy nikogo nie ma w pobliżu,

mówi cicho do kamienia i wyteższa słuch na jego niebędące słowami słowa. Tak jak samotni ludzie rozmawiają z psami czy kotami. Ten czarny kamień w kształcie nerki zawładnął już dużą częścią jej życia.

Kamień nie przyszedł chyba z zewnątrz – Jumpey zaczyna to rozumieć podczas pisania. Chodzi tu o coś, co jest w niej samej. To coś w niej ożywia czarny kamień w kształcie nerki. I oczekuje od niej jakiegoś konkretnego działania. Dlatego wysyła jej sygnały. W postaci poruszeń każdej nocy.

Pisząc to opowiadanie, Jumpey myśli o Kirie. Czuje, że ona, albo coś w niej, popycha tę historię naprzód. A to dlatego, że nie miał zamiaru pisać czegoś tak oddalonego od rzeczywistości. W myślach niejasno tworzył sobie coś bardziej spokojnego, w rodzaju powieści psychologicznej. W której nie ruszałby się swobodnie żaden kamień.

Prawdopodobnie oddali się od żonatego i dzieciatego kochanka chirurga, przewiduje Jumpey. A może zacznie go nienawidzić. Być może nieświadomie pragnęła, by do tego doszło.

Gdy ujrzał obraz całości, napisanie reszty było stosunkowo proste. Słuchając na okrągło cicho nastawionych pieśni Mahlera, siedział przy komputerze i kończył opowiadanie z wielką – jak na niego – szybkością. Lekarka podejmuje decyzję i rozstaje się z chirurgiem. Nie mogę się z tobą więcej spotykać, mówi mu. On pyta, czy nie mogą o tym porozmawiać. Nie ma o czym mówić, odpowiada ona zdecydowanie. W wolny dzień wsiada na prom w Zatoce Tokijskiej i wrzuca kamień w kształcie nerki do morza. Kamień tonie, spada prosto w dół ku ciemnej głębi, ku dnu morza, ku osi ziemi. Lekarka postanawia zacząć życie od nowa. Po wyrzuceniu kamienia ma wrażenie, że zrobiło jej się dużo lżej.

Lecz kiedy następnego dnia przychodzi do szpitala, kamień czeka na nią na biurku. Dokładnie tam, gdzie powinien być. Czarny, ciężki, w kształcie nerki.

Gdy tylko skończył pisać, zadzwonił do Kirie. Pewnie będzie chciała przeczytać gotowe opowiadanie. Bo przecież w pewnym

sensie to ona zmusiła go do pisania. Ale nie dodzwonił się. „Nie ma takiego numeru” – powiedział głos z taśmy. Jumpey dzwonił wiele razy, ale z tym samym skutkiem. Nie mógł się połączyć. Może coś jest nie tak z jej komórką, pomyślał.

Jumpey starał się w miarę możliwości nie wychodzić z domu i czekał, aż Kirie zadzwoni. Lecz nie dzwoniła. W ten sposób minął miesiąc. Potem miesiąc zmienił się w dwa, potem w trzy miesiące. Przyszła zima, wkrótce zaczął się nowy rok. Jego opowiadanie zamieszczono w lutowym numerze czasopisma literackiego. W gazetowej reklamie czasopisma wydrukowano spis treści, a w nim obok nazwiska Jumpeya tytuł: *Kamień w kształcie nerki, który co dzień jest gdzie indziej*. Być może Kirie zauważy reklamę, kupi pismo, przeczyta opowiadanie i skontaktuje się z Jumpeyem, żeby mu powiedzieć, co o sądzi o tym nowym utworze. Bardzo liczył na taką możliwość. Ale powstały wokół niego jedynie nowe warstwy milczenia.

Po zniknięciu Kirie z jego życia Jumpey czuł znacznie gwałtowniejszy ból, niż się tego wcześniej spodziewał. Wstrząsnęło nim to, jak bardzo mu jej brakowało. Wiele razy w ciągu dnia myślał: Gdyby tylko tu była. Tęsknił za jej uśmiechem, za jej słowami, za dotykiem jej skóry, kiedy się kochali. Nie pocieszała go ani ulubiona muzyka, ani nowe książki pisarzy, którzy mu przypadli do gustu. Wszystko wydawało mu się dalekie i obce.

– Być może Kirie była tą drugą kobietą – pomyślał.

Ponownie zetknął się z nią pewnego popołudnia na początku wiosny. A właściwie ściśle mówiąc, nie zetknął się z nią, tylko usłyszał jej głos.

Jumpey siedział w taksówce. Na drodze był korek. Młody kierowca miał nastawioną stację FM. I tam Jumpey usłyszał jej głos. Najpierw nie był pewien. Pomyślał tylko, że to kobieta o trochę podobnym głosie. Ale im dłużej słuchał, tym bardziej był pewien, że to głos Kirie, jej sposób mówienia. Gładko modulowany, swobodny. Z charakterystycznymi przerwami.

- Czy mógłby pan zrobić trochę głośniej? – zapytał Jumpey.
- Proszę bardzo – odpowiedział kierowca.

Był to wywiad przeprowadzany w studiu radiowym. Redaktorka zadawała Kirie pytanie.

- ... no i od dzieciństwa lubiła pani być wysoko?

– Tak – odpowiedziała Kirie albo jakaś kobieta o identycznym głosie. – Od kiedy pamiętam, zawsze lubiałam wchodzić gdzieś wysoko. Im wyżej, tym swobodniej się czułam. I dlatego zawsze męczyłam rodziców, żeby mnie zabierali do wysokich budynków. Byłam dziwnym dzieckiem (śmieje się).

- I przez to w końcu zajęła się pani taką pracą?

– Najpierw pracowałam w firmie maklerskiej, robiłam analizy rynku. Ale uświadomiłam sobie, że taka praca mi nie odpowiada. Dlatego po trzech latach odeszłam z firmy i najpierw zajmowałam się myciem okien w wysokich budynkach. Naprawdę chciałam pracować na przykład przy budowie na rusztowaniach, ale to świat prawdziwych macho, a oni kobiety tak łatwo nie zaakceptują. Dlatego zaczęłam od mycia szyb.

- To dopiero przemiana, od analizy rynku do mycia szyb!

– Szczerze mówiąc, dla mnie to było łatwiejsze. W odróżnieniu od akcji, tutaj tylko samemu można spaść (śmieje się).

– Mycie szyb, to znaczy, wsiada się na taką platformę i zjeżdża się po trochu z dachu, tak?

– Tak. Oczywiście jest lina asekuracyjna, ale zawsze są miejsca, gdzie trzeba ją odczepić. Mnie to w ogóle nie przeszkadzało. Nigdy się nie boję, choćby było nie wiem jak wysoko. Dlatego bardzo mnie cenili.

- A nie uprawia pani wspinaczki górskiej?

– Góry mnie prawie wcale nie interesują. Zachęcano mnie i parę razy próbowałam, ale nic z tego. Nawet wysokie góry nie wydają mi się ciekawe. Mnie interesują wznoszące się prosto do góry, zbudowane przez człowieka budynki. Nie wiem dlaczego.

– Teraz prowadzi pani w Tokio firmę specjalizującą się w myciu szyb wieżowców, prawda?

– Zgadza się. Pracując na zlecenia, oszczędzałam, sześć lat temu uniezależniłam się i stworzyłam niewielką firmę. Oczywiście sama też pracuję przy myciu szyb, ale zasadniczo wszystkim zarządzam. W ten sposób nikt mi nie rozkazuje, mogę sama ustalać zasady – to wygodne.

– Bo można odzepić linę asekuracyjną, kiedy się chce?

– Krótko mówiąc (śmieje się).

– Nie lubi pani lin asekuracyjnych?

– Nie, wydaje mi się, że nie jestem wtedy sobą. Zupełnie jakbym miała na sobie ciasny gorset (śmieje się).

– Naprawdę lubi pani być na wysokości, prawda?

– Lubię. Przebywanie na wysokości to moje powołanie. Nie przychodzi mi do głowy żadne inne możliwe zajęcie. Praca powinna być aktem miłości. A nie czymś w rodzaju małżeństwa z rozsądku.

– Posłuchamy teraz utworu *Up on the Roof* Jamesa Taylora – powiedziała redaktorka. – Później będziemy dalej rozmawiać o chodzeniu po linie.

Podczas piosenki Jumpey pochylił się do kierowcy i zapytał: – Czym ta pani się zajmuje?

– Podobno rozpina linę między dwoma wieżowcami i przechodzi po niej – wyjaśnił kierowca. – Z długim drągiem, żeby utrzymać równowagę. Chyba mówi się na to *performance*. Ja mam lęk wysokości, więc boję się nawet wsiąść do przeszklonej windy. Ale są różne gusty. Chyba jest trochę szurnięta. Zdaje się już nie taka młoda.

– I to jest jej praca? – zapytał Jumpey. Zauważył, że jego głos jest suchy, stracił ciężar. Brzmiał jak głos innej osoby dochodzący z jakiejś szpary na suficie.

– Tak, zdaje się, że ma różnych sponsorów. Niedawno zrobiła to na jakiejś słynnej katedrze w Niemczech. Naprawdę chciała na jakimś wyższym wieżowcu, ale miasto nie dało jej zgody. Bo w

przypadku takiego wysokiego budynku siatka asekuracyjna na nic się nie zda. Dlatego chce po trochu bić te rekordy i próbować coraz wyższych budynków. Ale nie można się utrzymać z chodzenia po linie, więc, tak jak mówiła przed chwilą, zwykle prowadzi firmę mycia szyb. Podobno nie chciałyby chodzić po linie w cyrku czy tego typu miejscu. Interesują ją tylko wieżowce. Naprawdę jest szurnięta.

– Najwspanialsze jest to, że kiedy się tam jest, człowiek może się zmienić – powiedziała redaktorce. – Czy raczej, jeśli się człowiek nie zmieni, nie ujdzie z życiem. Gdy znajduję się tak wysoko, jestem tam tylko ja i wiatr. Nie ma nic innego. Wiatr mnie spowija, wstrząsa mną. Wiatr mnie rozumie. Jednocześnie ja rozumiem wiatr. Wzajemnie się akceptujemy i postanawiamy razem żyć. Tylko ja i wiatr – nie ma miejsca na nic innego. Lubię właśnie takie chwile. Nie, nie czuję strachu. Kiedy znajdzie się człowiek tak wysoko, kiedy zrobi pierwszy krok, całkowicie pochłania go koncentracja i strach znika. Jesteśmy w intymnej pustce. Najbardziej lubię takie chwile.

Jumpey nie wie, czy redaktorka zrozumiała, o czym mówi Kirie, która obojętnie opowiadała dalej. Kiedy wywiad dobiegł końca, Jumpey poprosił taksówkarza, żeby się zatrzymał. Wysiadł i przeszedł resztę drogi piechotą. Czasami podnosił wzrok na wieżowce, patrzył na płynące chmury. Zrozumiał, że nikt nie może wejść pomiędzy nią a wiatr. Poczuł gwałtowną zazdrość. Ale właściwie o co był zazdrosny? O wiatr? Kto jest zazdrosny o wiatr?

Potem przez kilka miesięcy czekał na wiadomość od Kirie. Chciał się z nią zobaczyć i porozmawiać o różnych rzeczach. Pomówić o kamieniu w kształcie nerki. Ale nie zadzwoniła. Gdy dzwonił na jej komórkę, nadal słyszał, że „nie ma takiego numeru”. Z nadejściem lata w końcu porzucił nadzieję. Kirie nie miała zamiaru więcej się z nim widzieć. Tak, ich związek skończył się bezkonfliktowo, bez niezgody, bez kłótni. Przecież on sam przez długi czas tak właśnie

kończył związki z innymi kobietami. Pewnego dnia przestaje dzwonić telefon. I tak wszystko naturalnie, spokojnie dobiega końca.

Czy powinien ją uwzględnić przy odliczaniu? Czy była jedną z trzech ważnych kobiet? Jumpey długo się tym gryzł. Ale nie doszedł do żadnych wniosków. Postanowił poczekać jeszcze pół roku. Zdecyduje za pół roku.

Przez te pół roku intensywnie pisał i stworzył wiele opowiadań. I kiedy siedząc przy biurku, cyzelował zdania, myślał o tym, że pewnie teraz Kirie jest gdzieś na wysokości wraz z wiatrem. Podczas gdy on siedzi tak przy biurku i pisze opowiadania, ona jest sama, wyżej niż wszyscy inni. Bez liny asekuracyjnej. Kiedy pochłonie ją koncentracja, strach znika. Zostaje tylko ona i wiatr. Często przypominał sobie te słowa. I zauważył, że żywi do niej szczególne uczucie, którego nigdy nie odczuwał w stosunku do innych kobiet. Głębokie namacalne uczucie o wyraźnym konturze i prawdziwej głębi. Jumpey jeszcze nie wiedział, jak je nazwać. Ale wiedział przynajmniej, że nie można go zamienić na nic innego. Nawet jeżeli miał jej nigdy więcej nie zobaczyć, to wrażenie na zawsze pozostanie w jego sercu albo na przykład w szpiku kości. Gdzieś w sobie będzie ciągle czuł brak Kirie.

Gdy rok zbliżał się do końca, Jumpey podjął decyzję. Policzy ją jako drugą. Kirie była dla niego „naprawdę ważną kobietą”. Drugi prawidłowy rzut. To znaczy, że została mu jeszcze jedna. Ale już nie czuł w sobie strachu. Nie liczba jest ważna. Odliczanie nie ma sensu. Rozumie, że ważna jest chęć całkowitego zaakceptowania drugiej osoby. Jakby to zawsze był pierwszy i ostatni raz.

Mniej więcej w tym czasie z biurka lekarki znika czarny kamień w kształcie nerki. Pewnego ranka kobieta zauważa, że go nie ma. Już pewnie nie wróci. Ona to wie.



Małpa z Shinagawy

品川猿

Shinagawa-zaru

Czasami nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa. W większości przypadków zdarzało się to, kiedy ktoś niespodziewanie zapytał ją o nazwisko. Na przykład kupowała w butiku sukienkę, okazywało się, że trzeba poprawić długość rękawów, i sprzedawczyni mówiła: „Przepraszam, jak pani godność?”. Albo w pracy rozmawiała normalnie przez telefon i na koniec ktoś dodawał: „Przepraszam, czy mogę prosić o powtórzenie nazwiska?” – wtedy nagle doznawała zaniku pamięci. Nie wiedziała, kim jest. Żeby przypomnieć sobie nazwisko, musiała wyciągnąć z portfela prawo jazdy, a wtedy rozmówca oczywiście patrzył na nią zaskoczony albo – jeżeli robiła nagle dziwną przerwę w rozmowie telefonicznej – zaczynał być podejrzliwy.

Kiedy sama musiała się przedstawić, nie doznawała tej „amnezji nazwiska”. Gdy miała czas, żeby się odpowiednio nastawić, potrafiła bez problemu zapanować nad swoją pamięcią. Ale gdy się spieszyła albo ktoś bez ostrzeżenia nagle pytał ją o nazwisko, w jej głowie zapadała ciemność, zupełnie jakby przepalił się korek. Nazwisko za nic nie chciało się przypomnieć. Im bardziej szukała jakiejś wskazówki, tym bardziej pochłaniała ją ta pozbawiona konturów pustka.

Własne nazwisko było jedyną rzeczą, jakiej czasem nie mogła sobie przypomnieć. Nigdy nie zapomniała nazwisk osób ze swojego otoczenia. Nie zapomniała własnego adresu, telefonu, daty urodzenia, nawet numeru paszportu. Potrafiła z pamięci wyrecytować telefony bliskich przyjaciół i ważne numery kontaktów zawodowych. Zawsze miała niezłą pamięć. Nie mogła sobie tylko przypomnieć własnego nazwiska. To zapominanie zaczęło się jakiś rok temu, choć nigdy przedtem nic takiego jej się nie zdarzało.

Nazywała się Mizuki Andō. Przed zamążpójściem Mizuki Ōzawa. Ani jeden zestaw, ani drugi nie brzmiał zbyt oryginalnie ani dramatycznie. Ale oczywiście to nie był powód, żeby w pośpiechu

codzienności całkowicie umykał jej z pamięci. Przecież w końcu to było jej własne nazwisko.

Została „Mizuki Andō” wiosną trzy lata temu. Wyszła za mąż za „Takashiego Andō” i w rezultacie zaczęła się nazywać Mizuki Andō. Na początku nie mogła przywyknąć do nowego nazwiska. Zdawało jej się, że coś jest nie tak z tym, jak wygląda napisane, jak brzmi. Ale kiedy je wiele razy powtarzała i podpisywała się nim, stopniowo doszła do wniosku, że Mizuki Andō też jest niezłe. Przecież mogło się tak zdarzyć, że nazywałaby się „Mizuki Mizuki” albo „Mizuki Miki” (przez pewien – co prawda krótki – czas naprawdę chodziła z mężczyzną nazwiskiem Miki). Uznała, że w porównaniu z tym „Mizuki Andō” należy raczej do udanych. I po trochu zaakceptowała to nowe nazwisko jako własne.

Jednak rok temu nagle zaczęła je zapominać. Na początku zdarzało się to mniej więcej raz w miesiącu, ale z upływem czasu częstotliwość wzrastała. Teraz spotykało ją to przynajmniej raz w tygodniu. Kiedy uciekało jej nazwisko i imię „Mizuki Andō”, zostawała sama na świecie jako będąca nikim „beziemienna kobieta”. Wszystko było w porządku, dopóki miała przy sobie portfel. Wyciągała go i sprawdzała w prawie jazdy, jak się nazywa. Ale gdyby go zgubiła, być może nie wiedziałaby już zupełnie, kim jest. Oczywiście gdyby nawet na pewien czas utraciła nazwisko, dalej byłaby tą samą osobą, poza tym pamiętała swój adres i telefon, więc nie znaczyłoby to, że jej egzystencja sprowadza się do zera. To nie była całkowita amnezja, jaką pokazywali w filmach. Ale zapominanie własnego nazwiska stało się strasznie niewygodne i niepokojące. Czuła wtedy, że jej życie z utraconym nazwiskiem jest zupełnie jak sen, z którego nie można się obudzić.

Poszła do sklepu jubilerskiego, kupiła cienką srebrną bransoletkę i poprosiła o wygrawerowanie na niej imienia i nazwiska. „Mizuki Andō (Ōzawa)”. Bez adresu i telefonu, tylko imię i nazwisko. Teraz jestem zupełnie jak pies albo kot, śmiała się sama z siebie. Wychodząc z domu, zawsze nakładała tę bransoletkę. Jeżeli zapomni, jak się nazywa, wystarczy zerknąć na rękę. Teraz nie

będzie już musiała za każdym razem wyciągać portfela. I nikt nie będzie jej się dziwnie przyglądał.

Nie wyznała mężowi, że często nie może sobie przypomnieć własnego nazwiska. Na pewno powiedziała by coś w rodzaju: „Dzieje się tak dlatego, że małżeństwo podświadomie nie daje ci satysfakcji, że czujesz do niego niechęć”. Lubił występować z takimi logicznymi wywodami. Nie miał złych intencji, ale bez względu na temat, wszystko zmieniał w dyskusję. Ona raczej nie przepadała za takim wyciąganiem wniosków na siłę. Do tego mąż był elokwentny, łatwo nie ustępował. Dlatego postanowiła nic mu o tej sprawie nie mówić.

Ale tak czy inaczej (hipotetycznie) mąż nie ma racji, pomyślała. Wcale nie czuję żadnej niechęci ani braku satysfakcji w stosunku do małżeństwa. Ani zasadniczo w stosunku do męża – choć czasem mam serdecznie dosyć jego zamięłowania do dyskusji. Nie mam też negatywnych odczuć w stosunku do jego rodziny. Jego ojciec był prywatnym lekarzem w mieście Sakata w prefekturze Yamagata. Teściowie nie byli źli. Mieli trochę staroświecki sposób myślenia, ale mąż był młodszym synem, więc mało się do ich małżeństwa wtrącali. Ona urodziła się i wychowała w Nagoi, mroźna zima i silne wiatry położonej na północy Sakaty były ponad jej siły, ale lubiła pojechać tam na krótko raz czy dwa razy do roku. W dwa lata po ślubie wzięli pożyczkę i kupili nowe mieszkanie w dzielnicy Shinagawa. Jej mąż miał teraz trzydzieści lat i był zatrudniony w laboratorium badawczym firmy farmaceutycznej. Ona miała dwadzieścia sześć i pracowała w salonie sprzedaży Hondy w dzielnicy Ōta. Odbierała telefony, kiedy przychodził klient, wskazywała mu kanapę i podawała kawę lub herbatę, robiła kopie dokumentów, gdy były potrzebne, segregowała je i prowadziła komputerową listę nabywców.

Po skończeniu dwuletniej żeńskiej szkoły pomaturalnej w Tokio, z polecenia wujka, który był dyrektorem w Hondzie, zatrudniono ją w tym salonie. Nie można było tej pracy nazwać pasjonującą, ale zlecano jej pewne zadania i znajdowała w niej trochę satysfakcji. Bezpośrednie sprzedawanie samochodów nie należało do jej obowiązków, lecz kiedy nie było żadnego sprzedawcy, potrafiła

wyczerpująco odpowiedzieć na pytania klientów. Obserwując sprzedawców z boku, mimowolnie nauczyła się ich metod, przyswoiła też sobie odpowiednią wiedzę specjalistyczną. Umiała także z zapałem zachwalać doskonałą łatwość prowadzenia hondy odissey – wprost trudno było uwierzyć, że kieruje się minivanem. Mogła z pamięci wyrecytować zużycie paliwa wszystkich modeli. Zręcznie prowadziła rozmowy, a jej czarujący uśmiech zniewalał ostrożnych klientów. Potrafiła też przejrzeć na wylot charakter i osobowość klienta i odpowiednio elastycznie dostosować taktykę sprzedaży. Kilka razy doprowadziła do tego, że klient był gotów podpisać umowę, ale niestety na tym ostatnim etapie musiała przekazać dalsze negocjacje wyspecjalizowanemu sprzedawcy. Nie była upoważniona do oferowania zniżek, ustalania cen odkupienia starego samochodu klienta i dorzucania dodatkowych opcji. Choć to ona odbyła większą część negocjacji, na koniec wkraczał upoważniony sprzedawca i pobierał swój procent. Jej nagrodą była najwyżej kolacja postawiona prywatnie przez dealera, któremu załatwiła przyływ gotówki.

Przecież gdyby pozwolili mi to robić, sprzedałoby się więcej samochodów, podniosłyby się zyski całego salonu, myślała czasami. Gdybym się postarała, byłabym dwa razy bardziej skuteczna od kogoś zaraz po studiach. Ale nikt jej nie mówił: „Jesteś urodzonym sprzedawcą. Szkoda cię do porządkowania dokumentów i odbierania telefonów. Czy mogłabyś zacząć sprzedawać?”. Firma była tak zorganizowana. Sprzedaż to sprzedaż, a biuro to biuro. Raz ustalony zakres obowiązków danego pracownika nie zmieniał się z wyjątkiem naprawdę szczególnych przypadków. A ona też nie pragnęła robić kariery i poszerzać zakresu swoich obowiązków. Bardziej odpowiadało jej wykonywanie ustalonych zadań między dziewiątą a piątą, wykorzystywanie całego przysługującego jej urlopu i cieszenie się życiem prywatnym.

W pracy nadal posługiwała się panińskim nazwiskiem. Najważniejszy powód był taki, że nie chciało jej się wyjaśniać wszystkim znanym z widzenia klientom i partnerom firmy, dlaczego zmieniła nazwisko. Na wizytówce, na identyfikatorze, na karcie

zegarowej wpisane było „Mizuki Ōzawa”. Wszyscy zwracali się do niej per „pani Ōzawa” albo „Mizuki”. Kiedy odbierała telefon, sama mówiła: „Dzień dobry. Jestem Ōzawa z salonu X hondy primo”. Ale to nie znaczyło, że odrzuca nazwisko „Mizuki Andō”. Po prostu nie chciało jej się wszystkim tłumaczyć, więc używała dalej panińskiego nazwiska.

Mąż wiedział, że posługuje się w pracy pierwszym nazwiskiem (bo czasem do niej tam dzwonił), ale nie robił z tego specjalnego problemu. Chyba myślał, że używa w pracy tamtego nazwiska, bo tak jest jej wygodniej. Jeżeli coś wydawało mu się logiczne, nie robił z tego afery. To była z jej punktu widzenia pozytywna cecha.

A może przypadkiem zapominanie własnego nazwiska to objaw jakiejś poważnej choroby? Kiedy jej to przyszło do głowy, nie mogła się uspokoić. Przecież to może być na przykład choroba Alzheimera. Poza tym na świecie istnieją niewyobrażalne, skomplikowane, śmiertelne choroby. Na przykład do niedawna nie wiedziała o istnieniu chorób takich jak miastenia czy płasawica Huntingtona. Na świecie jest pewnie mnóstwo innych charakterystycznych chorób, o których nigdy nie słyszała. I w większości przypadków pierwsze objawy zdają się zupełnie niegroźne. Dziwne, lecz niegroźne – na przykład za nic nie można sobie przypomnieć własnego nazwiska... Kiedy zaczynała tak myśleć, wyobrażała sobie, że być może gdzieś w jej ciele cicho, ale nieubłaganie rozwija się ognisko nie wiadomo jakiej choroby, i prawie wariowała ze zmartwienia.

Zgłosiła się do szpitala ogólnego i opowiedziała o swoich objawach, ale młody lekarz, który ją badał (miał tak bladą i wyczerpaną twarz, że sprawiał wrażenie chorego, nie lekarza), nie potraktował jej poważnie. – Czy tylko nazwiska nie może pani sobie przypomnieć? – zapytał. – Tak, w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć tylko nazwiska – odparła. – To prawdopodobnie sprawa dla psychiatry – powiedział głosem pozbawionym zainteresowania i współczucia. – Jeżeli zacznie pani na co dzień zapominać inne rzeczy prócz nazwiska, proszę przyjść. Wtedy

zrobimy specjalistyczne badania – zakończył. Jakby chciał powiedzieć, że my codziennie uwijamy się jak w ukropie, bo przychodzi tu mnóstwo ludzi cierpiących na dużo poważniejsze dolegliwości. Zapominanie czasem własnego nazwiska to nic wielkiego.

Pewnego dnia czytała biuletyn informacyjny dzielnicy Shinagawa dostarczony razem z pocztą i zauważyła artykuł o tym, że w urzędzie dzielnicowym otwarto „Kącik porad”. Artykuł był tak krótki, że w normalnych warunkach by go nie zauważyła. Napisano, że raz w tygodniu za niewielką opłatą wykwalifikowany terapeuta udziela prywatnych porad. Każdy mieszkaniec dzielnicy Shinagawa, mający powyżej osiemnastu lat, może z nich skorzystać. Klienci nie muszą się niepokoić, gdyż zapewniona jest całkowita dyskrecja. Nie umiała ocenić, na ile przyda jej się porada udzielona pod auspicjami urzędu dzielnicowego, ale warto było spróbować. Nie zaszkodzi pójść, pomyślała Mizuki. Salon sprzedaży samochodów był otwarty w weekendy, za to mogła dość swobodnie zwolnić się w dni powszednie i dopasować do godzin porad wyznaczonych przez urząd, niemożliwych do zaakceptowania dla kogoś pracującego w normalnych godzinach. Wymagano wcześniejszego zamówienia wizyty, więc zadzwoniła pod wskazany numer. Wizyta kosztowała dwa tysiące jenów za pół godziny. Tyle mogła bez problemu zapłacić. Zapisano ją na środę o pierwszej.

Kiedy o wyznaczonej godzinie poszła na drugie piętro urzędu do „Kącika porad”, okazało się, że tego dnia nikt inny nie szukał porady. – Rozpoczęli tę akcję w wielkim pośpiechu, więc ludzie jeszcze o niej nie wiedzą – powiedziała rejestratorka. – Kiedy się dowiedzą, pewnie zrobi się tłok. Ma pani szczęście, bo na razie jest pusto.

Terapeutką była Tetsuko Sakaki, sympatyczna, pulchna, drobna kobieta dobiegająca pięćdziesiątki. Krótkie włosy ufarbowała na jasny brąz, na szerokiej twarzy gościł bardzo przyjazny uśmiech. Ubrana była w pastelowy letni kostium, lśniąca jedwabną bluzkę, do tego miała naszyjnik ze sztucznych pereł i buty na płaskim obcasie.

Nie wyglądała na terapeutkę, a raczej na jakąś pomocną, szczerą i wesołą gospodynię z sąsiedztwa.

– Prawdę mówiąc, mąż pracuje tu w urzędzie, jest kierownikiem Działu Robót Publicznych – powiedziała szczerze. – No i między innymi dzięki temu udało się załatwić oficjalne poparcie i stworzyć ten kącik porad dla ludności. Pani jest pierwszą klientką. Bardzo mi miło. Na dzisiaj jeszcze nikt się nie umówił, mam czas, więc możemy rozmawiać bez pośpiechu. – Mówiła bardzo spokojnie. Rzeczywiście, nie spieszyło się jej.

– Dziękuję bardzo – odrzekła Mizuki, choć w głębi serca miała wątpliwości, czy ta kobieta naprawdę potrafi jej pomóc.

– Mam oficjalne uprawnienia terapeuty, mam też bogate doświadczenie, więc pod tym względem proszę się nie niepokoić. Proszę zdać się na mnie – dodała z uśmiechem, Tetsuko Sakaki, jakby dosłyszała wewnętrzne wątpliwości Mizuki.

Usiadła przy metalowym biurku, a Mizuki na dwuosobowej kanapie. Była to stara kanapa, jakby właśnie wyciągnięta z jakiegoś magazynu. Sprężyny miała zużyte, od kurzu i zapachu stęchlizny Mizuki poczuła łaskotanie w nosie.

– Żeby to wyglądało na biuro terapeuty, powinna tu być porządna kozetka, ale w tej chwili tylko to udało nam się znaleźć. To przecież urząd dzielnicy, więc wszystko wymaga wielu formalności, nie są zbyt elastyczni. Nie lubię takich miejsc. Do następnego razu załatwię coś porządniejszego, ale dziś proszę jakoś wytrzymać.

Mizuki zapadła się w tę przedpotopową kanapę i kiedy po kolei wyjaśniała, jak na co dzień zapomina swoje nazwisko, Tetsuko Sakaki tylko w milczeniu kiwała głową. Nie zadawała pytań, nie okazywała zdziwienia. Nawet porządnie nie przytakiwała. Uważnie słuchała opowiadania Mizuki i na jej ustach przez cały czas błąkał się wątyły uśmieszek, który przypominał księżyc na wiosnę o zmierzchu. Czasem jakby w zamyśleniu marszczyła brwi.

– Zamówienie bransoletki z wygrawerowanym nazwiskiem to był świetny pomysł – powiedziała na początek, gdy Mizuki skończyła

opowiadać. – Bardzo słusznie pani zareagowała. Trzeba najpierw choć trochę zmniejszyć realną niewygodę – to najważniejsza sprawa. Zamiast mieć nieuzasadnione poczucie winy, rozważać to w nieskończoność, denerwować się, pani praktycznie poradziła sobie z problemem. Jest pani bardzo mądra. A poza tym to śliczna bransoletka. Pasuje do pani.

– Czy zna pani przypadki, że ktoś zaczął zapominać swoje nazwisko, a potem zapadł na jakąś ciężką chorobę? – zapytała Mizuki.

– Hm, sądzę, że nie ma choroby, która miałaby takie właśnie wczesne objawy – odparła terapeutka. – Ale trochę mnie martwi, że w ciągu roku objawy nieco się nasiliły. Rzeczywiście mogą się stać czynnikiem wywołującym inne objawy albo może się poszerzyć zakres zaniku pamięci... być może jest taka możliwość. Dlatego uważam, że dobrze będzie, jeśli sobie spokojnie porozmawiamy i znajdziemy coś w rodzaju źródła tego problemu. Do tego przecież pani pracuje, więc zapominanie własnego nazwiska na pewno często przysparza praktycznych problemów.

Terapeutka najpierw zadała Mizuki kilka podstawowych pytań na temat życia, jakie obecnie wiezie. Od ilu lat jest zamężna? Jaką pracę wykonuje? Jaki jest stan jej zdrowia? Zapytała też o różne rzeczy z dzieciństwa. O rodzinę, lata szkolne. Co jej sprawiało przyjemność, co nie. W czym celowała, z czym miała problemy. Na wszystkie pytania Mizuki odpowiedziała tak szczerze, zwięźle i ściśle, jak potrafiła.

Wychowała się w bardzo zwyczajnej rodzinie. Ojciec pracował w wielkiej firmie ubezpieczeniowej. Nie byli szczególnie zamożni, ale nie przypomina sobie żadnych kłopotów finansowych. Miała starszą siostrę. Ojciec był poważny, matka raczej drobiazgowa i czepiająca się. Siostra – typowa prymuska, ale (zdaniem Mizuki) trochę powierzchowna i bardzo sprytna. Mizuki dotąd nie miała z rodziną żadnych szczególnych problemów i myśli, że była z nimi zawsze w dość dobrych stosunkach. Nigdy nie wywołała żadnej wielkiej kłótni. Ona sama jako dziecko raczej się nie wyróżniała. Była zdrowa, nigdy nie chorowała, ale też nie była wybitna w sportach.

Nie miała kompleksów na punkcie swojego wyglądu, choć nikt nie mówił jej, że jest ładna. Sama uważa, że jest dosyć bystra, ale to nie znaczy, że w jakiejś dziedzinie się wyróżniała. Stopnie w szkole też miała przeciętne. Pewnie znalazłaby się raczej w górnej, a nie dolnej połowie listy uczniów sporządzonej w kolejności wyników w nauce. W latach szkolnych miała kilka bliskich koleżanek, ale wszystkie powychodziły za mąż i każda mieszka gdzie indziej, więc teraz już się nie przyjaźnią.

Nie ma specjalnych obiekcji co do swojego życia małżeńskiego. Na początku, jak można się było spodziewać, przeżyli okres prób i błędów, ale stworzyli jakoś harmonijne wspólne życie. Mąż oczywiście nie był ideałem (na przykład za bardzo lubił logiczne wywody i nie miał pojęcia o modzie), lecz miał też dużo zalet (był życzliwy, odpowiedzialny, czysty, niewybredny w jedzeniu, nie narzekał). Nie miał też szczególnych problemów w stosunkach z kolegami w pracy. Pozostawał w dobrych układach z kolegami i zwierzchnikami, nie przeżywał stresów z ich powodu. Oczywiście czasami zdarzały się jakieś nieprzyjemności, no, ale na to nie ma rady, jeśli ludzie pracują codziennie razem na niewielkiej przestrzeni.

Co za nudne życie, nie mogła się nadziwić Mizuki, odpowiadając na pytania o swoją przeszłość i dzień dzisiejszy. Na dobrą sprawę w jej życiu nie było żadnych dramatycznych momentów. Gdyby je porównać do filmu, byłoby jak niskobudżetowa produkcja dokumentalna o przyrodzie, mająca na celu uspić człowieka. W nieskończoność ciągną się wyprane z barw krajobrazy, sceny się nie zmieniają, nie ma zbliżeń. Nic wesołego ani nic przygnębiającego, żadnych sytuacji, które by człowieka wciągnęły. Nic złowieszczonego ani sugestywnego. Czasami tylko nieznacznie zmienia się ustawienie kamery, jakby ktoś oprzytomniał. Wiem, że na tym polega jej praca, ale czy nie nudzi jej takie przysłuchiwanie się ludziom opowiadającym o sobie? Ogarnęło ją nieomal współczucie dla terapeutki. Pewnie czasami nie może powstrzymać ziewania. Gdybym ja musiała tak codziennie w nieskończoność słuchać opowieści innych, na pewno umarłabym z nudów.

Tetsuko Sakaki uważnie przysłuchiwała się opowiadaniu Mizuki i długopisem robiła zwięzłe notatki. Tu i tam, kiedy było trzeba, zadawała dodatkowe pytania, ale poza tym powstrzymywała się od komentarzy i skupiała na słuchaniu. Kiedy czasami się odzywała, w jej pogodnym głosie brzmiało prawdziwe głębokie zainteresowanie. Nie było w nim śladu znudzenia. Słuchając tego charakterystycznego, powolnego sposobu mówienia, Mizuki czuła zadziwiająco ulgę. Zdaje mi się, że chyba nikt mnie nigdy z taką uwagą nie słuchał, pomyślała. Kiedy skończyło się ponadgodzinne spotkanie, miała wrażenie, że znacznie zelżał ciężar, jaki dźwigała na barkach.

– Czy może pani przyjść w przyszłą środę o tej samej porze? – zapytała z uśmiechem Tetsuko Sakaki.

– Tak, mogę – odparła Mizuki. – Nie ma pani nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. Jeżeli tylko pani ma ochotę. W takich sprawach nie posuwa się człowiek do przodu, jeżeli wiele razy o nich nie mówi. To nie jest jakiś program radiowy z poradami, gdzie udzielają byle jakiej odpowiedzi i mówią: „No, to wszystko. Proszę się nie poddawać”. To może potrwać. Ale obie mieszkamy w Shinagawa, porozmawiajmy sobie spokojnie, jak sąsiadki.

– Czy pamięta pani jakieś wydarzenie związane z nazwiskiem? – zapytała Tetsuko Sakaki na początku drugiego spotkania. – Z własnym albo z nazwiskiem innej osoby, imieniem jakiegoś zwierzątka, które pani chowała, nazwą jakiejś miejscowości, w której pani była, jakimś przezwiskiem, cokolwiek związanego z imieniem, nazwiskiem, nazwą. Jeżeli ma pani jakieś wspomnienie z tym związane, proszę mi powiedzieć.

– O czymś dotyczącym nazwiska?

– Uhm. Nazwiska, nadawania imienia, podpisu, odczytywania listy... to nie musi być nic ważnego. Jeżeli ma związek z jakąś nazwą czy nazwiskiem, może być nawet drobna rzecz. Proszę spróbować sobie przypomnieć.

Mizuki długo rozmyślała.

– Nie ma nic związanego z nazwiskiem, co mi szczególnie utkwiło w pamięci – powiedziała. – Przynajmniej w tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy. Tylko... no tak, pamiętam coś w związku z tabliczką z nazwiskiem.

– Może być. Proszę mi opowiedzieć o tabliczce z nazwiskiem.

– Ale to nie była moja tabliczka. Tabliczka innej osoby.

– Nie szkodzi. Niech pani opowie.

– Jak mówiłam w zeszłym tygodniu, chodziłam do prywatnej szkoły średniej składającej się z gimnazjum i liceum – zaczęła Mizuki. – Szkoła znajdowała się w Jokohamie, a ja byłam z Nagoi, więc mieszkalam w internacie. Co tydzień wracałam na weekend do domu. W piątek wieczorem wsiadałam do superekspresu, wracałam do domu, a w niedzielę wieczorem z powrotem do internatu. Z Jokohamy do Nagoi można dojechać w dwie godziny, więc nie tęskniłam szczególnie za domem.

Terapeutka przytaknęła. – Ale przecież w Nagoi jest dużo dobrych prywatnych szkół. Prawda? Skoro tak, to dlaczego musiała pani iść do szkoły aż w Jokohamie, z dala od rodziców?

– Bo mama tam chodziła. Bardzo lubiła tę szkołę i chciała posłać tam jedną z córek. A ja też pomyślałam, że chciałabym spróbować zamieszkać samodzielnie. Szkołę prowadziły zakonnice, ale była dość liberalna i zaprzyjaźniłam się tam z kilkoma dziewczynami. Wszystkie pochodziły z prowincji. Tak samo jak ja, wiele dziewczyn przyjechało do tej szkoły, bo ich matki ją kiedyś skończyły. W sumie udało mi się tam przyjemnie spędzić sześć lat. Tylko codzienne posiłki pozostawiały wiele do życzenia.

Terapeutka się uśmiechnęła. – Mówiła pani, o ile pamiętam, że ma starszą siostrę.

– Tak. O dwa lata starszą. Jest nas dwie.

– A pani siostra nie poszła do tej szkoły w Jokohamie?

– Siostra poszła do szkoły w naszym mieście. Przez ten czas oczywiście mieszkała z rodzicami. Siostra nie należy do osób, które

pragną wyrwać się z domu. Od dzieciństwa była wątpia... Dlatego mama chciała, żebym to ja, młodsza, poszła do tej szkoły. Bo byłam zasadniczo zdrowa i bardziej niezależna. Kiedy skończyłam podstawówkę i rodzice zapytali, czy nie chciałabym iść do szkoły w Jokohamie, odpowiedziałam, że mogę. Wtedy wydawało mi się, że fajnie będzie co tydzień wracać do domu superekspresem.

– Przepraszam, że pani przerwałam – powiedziała terapeutka z uśmiechem. – Proszę mówić dalej.

– W internacie z zasady pokoje były dwuosobowe, ale w ostatniej klasie liceum jako specjalny przywilej dostawało się pokój dla siebie. To, o czym opowiem, zdarzyło się, kiedy mieszkałam w jednoosobowym pokoju. Byłam w najstarszej klasie i zostałam czymś w rodzaju przewodniczącej samorządu uczennic z internatu. Przy wejściu do budynku wisiała tablica, na której umieszczano się tabliczki z nazwiskami. Każda uczennica miała swoją tabliczkę. Na wierzchu nazwisko napisane było czarnymi literami, a na odwrocie czerwonymi. Wychodząc z akademika, trzeba było tę tabliczkę odwrócić. Po powrocie znów się odwracało. To znaczy, jeżeli widać było stronę z czarnymi literami, dana uczennica była w internacie, a jeżeli z czerwonymi, znaczyło to, że jest nieobecna. A kiedy spało się poza internatem albo wyjeżdżało na dłużej, trzeba było tabliczkę wyjąć. Uczennice z internatu na zmianę pełniły dyżury w recepcji i na przykład kiedy ktoś z zewnątrz dzwonił, wystarczyło rzucić okiem na tablicę, żeby zobaczyć, czy dana osoba jest w pokoju. Bardzo wygodny system.

Terapeutka przytaknęła, jakby chciała jej dodać odwagi.

– To się stało w październiku. Po kolacji przygotowywałam się do lekcji na następny dzień, kiedy przyszła Yūko Matsunaka, drugoklasistka. Wszyscy nazywali ją Yukko. Była niewątpliwie najładniejszą dziewczyną w internacie. Miała jasną cerę, długie włosy, rysy zupełnie jak laleczka. Jej rodzice prowadzili zdaje się tradycyjny zajazd w Kanazawie. Dobrze im się powodziło. Była o klasę niżej ode mnie, więc dokładnie nie wiem, ale słyszałam, że miała bardzo dobre stopnie. Innymi słowy, wyróżniała się. Wiele młodszych dziewczyn przepadało za nią. Ale Yukko nigdy nie

zadzierała nosa, nie była afektowana. Była raczej poważna, skrywała swoje uczucia. Czasami miałam wrażenie, że jest sympatyczna, choć nie wiadomo, co myśli. Dziewczyny za nią przepadały, ale chyba nie miała naprawdę bliskich przyjaciółek.

Mizuki siedziała przy biurku w swoim pokoju i słuchała radia, gdy ktoś cicho zapukał do drzwi. Otworzyła i zobaczyła Yūko Matsunakę. Dziewczyna ubrana była w obcisły cienki sweterek z golfem i džinsy. Zapytała, czy nie przeszkadza, bo chciałaby chwilę z Mizuki porozmawiać. Mizuki zdziwiła się nieco, ale powiedziała: „Proszę. Nie robię nic ważnego, więc nie przeszkadzasz”. Nigdy przedtem nie rozmawiała tak od serca z Yūko Matsunaką i zupełnie nie spodziewała się, że ta przyjdzie do jej pokoju rozmawiać o prywatnych sprawach. Podała jej krzesło i zaparzyła herbatę z torebek, zalewając je wodą z termosu.

– Czy doświadczyłaś kiedyś uczucia zazdrości? – zapytała bez wstępów Yūko Matsunaka.

To nagłe pytanie jeszcze bardziej zdziwiło Mizuki, ale zastanowiła się na odpowiedzią. – Myślę, że nie – odparła.

– Ani razu?

Mizuki potrząsnęła głową. – Przynajmniej teraz tak znienacka nie mogę sobie przypomnieć. Uczucia zazdrości... na przykład o co?

– Na przykład ktoś, w kim jesteś zakochana, pokochał kogoś innego, albo na przykład bardzo czegoś pragniesz, a ktoś inny to łatwo dostaje, albo chciałabyś coś umieć, a komuś innemu przychodzi to bez żadnej trudności... o tego typu rzeczy.

– Mam wrażenie, że nic takiego mnie nie spotkało. A tobie się to zdarza?

– Bez przerwy.

Mizuki zaniemówiła. Czego ta dziewczyna może jeszcze chcieć? Jest wyjątkowo ładna, z bogatej rodziny, ma dobre stopnie, jest lubiana. Oczko w głowie rodziców. Mizuki słyszała, że czasem w

weekendy chodzi na randki z przystojnym studentem. Mizuki nie potrafiła sobie wyobrazić, czego może brakować jej do szczęścia.

– Na przykład z jakiego powodu? – zapytała.

– Wolałabym konkretnie nie mówić. W miarę możliwości – powiedziała Yūko Matsunaka, ostrożnie dobierając słowa. – Poza tym zdaje mi się, że nie ma sensu tu konkretnie wszystkiego wyliczać. Tylko od dawna chciałam cię zapytać, czy ty kiedyś doświadczyłaś uczucia zazdrości.

– Od dawna chciałaś mnie o to zapytać?

– Tak.

Mizuki nie miała pojęcia, o co chodzi, ale postanowiła w każdym razie szczerze odpowiedzieć na pytanie. – Myślę, że chyba nigdy go nie doświadczyłam – rzekła. – Nie wiem, dlaczego tak jest, to rzeczywiście dosyć dziwne. Nie jestem przecież zbyt pewna siebie ani nie dostaję wszystkiego, czego zapragnę, raczej jestem z wielu rzeczy niezadowolona, ale zdaje mi się, że nigdy nikomu z tego powodu nie zazdrościłam. Ciekawe dlaczego?

Na ustach Yūko Matsunaki błąkał się uśmiezek. – Zdaje mi się, że zazdrość nie ma często nic wspólnego z rzeczywistymi, obiektywnymi warunkami. To znaczy, to nie jest tak, że jak kogoś los hojnie obdarzył, to nie zazdrości innym, a jak nie obdarzył, to zazdrości. Zazdrość rodzi się w nas nie wiadomo gdzie, jak nowotwór, i bez żadnej logiki swobodnie się rozrasta. Choć się o nim wie, nie da się powstrzymać. Nie jest przecież tak, że szczęśliwi ludzie nie chorują na nowotwory, a nieszczęśliwi chorują. Z tym jest tak samo.

Mizuki w milczeniu słuchała. Yūko Matsunaka zwykle nigdy nie wypowiadała takich długich zdań.

– Bardzo trudno to wytłumaczyć komuś, kto nie doświadczył uczucia zazdrości. Mogę tylko powiedzieć, że niełatwo jest żyć z czymś takim. Jakby naprawdę nosiło się w sobie własne małe piekło. Powinnaś się cieszyć, jeżeli nigdy cię to nie spotkało.

Yūko Matsunaka przerwała i spojrzała prosto na Mizuki z czymś w rodzaju uśmiechu. To naprawdę ładna dziewczyna, pomyślała znowu Mizuki. Ma dobrą figurę, wspaniały biust. Ciekawe, jak to jest być taką piękną, za którą wszyscy się oglądają. Nie potrafię sobie wyobrazić. Czy jest człowiek po prostu dumny i zadowolony? Czy też może przysparza to jakichś zmartwień?

Ale o dziwo Mizuki nigdy nie zazdrościła Yūko Matsunace.

– Wracam teraz do domu – powiedziała Yūko Matsunaka, patrząc na swoje dłonie leżące na kolanach. – Jeden z krewnych umarł i muszę jechać na pogrzeb. Przed chwilą dostałam pozwolenie od nauczycielki. Powinnam wrócić tu do poniedziałku rano. Chciałam cię prosić, żebyś do tego czasu przechowała tabliczkę z moim nazwiskiem.

Mówiąc to, wyjęła z kieszeni tabliczkę i podała Mizuki, która nie całkiem rozumiała, o co chodzi.

– Oczywiście, ale po co mi ją specjalnie dajesz na przechowanie? Przecież mogłabyś na przykład schować do szuflady biurka?

Yūko Matsunaka jeszcze głębiej zajrzała w oczy Mizuki, która poczuła się trochę niezręcznie.

– Tym razem chciałam cię prosić o przechowanie jej – powiedziała zdecydowanie. – Coś mi nie daje spokoju i nie chcę tej tabliczki zostawiać u siebie.

– Dobrze.

– Nie chcę, żeby pod moją nieobecność mała ją zabrała.

– Myślę, że w tym pokoju nie ma mała – powiedziała wesoło Mizuki. Takie żarty też nie były w stylu Yūko Matsunaki.

Potem dziewczyna wyszła. Została po niej tabliczka z nazwiskiem, nieruszona herbata i dziwna pustka.

– W poniedziałek Yūko Matsunaka nie wróciła do internatu – mówiła Mizuki terapeutce. – Zmartwiona wychowawczyni zadzwoniła do jej rodziców i dowiedziała się, że Yūko wcale tam nie

dojechała. Nie umarł nikt z krewnych, oczywiście nie było też pogrzebu. Skłamała i gdzieś zniknęła. Zwłoki znaleziono w weekend pod koniec następnego tygodnia. Dowiedziałam się o tym, kiedy w niedzielę wieczorem wróciłam z Nagoi. Popełniła samobójstwo. Gdzieś w lesie podcięła sobie brzytwą żyły i zmarła z upływu krwi. Nikt nie wie, dlaczego popełniła samobójstwo. Nie znaleziono żadnego listu, nikomu nie przychodził do głowy żaden motyw. Jej koleżanka z pokoju też mówiła, że Yūko Matsunaka zachowywała się tak samo jak zazwyczaj. Nie wydawało się, że coś ją martwi, była zupełnie taka sama jak zawsze. Umarła, niczego nie wyjaśniając.

– Ale przynajmniej pani próbowała coś przekazać, prawda? – zapytała terapeutka. – Dlatego na koniec przyszła do pani pokoju i poprosiła o przechowanie tabliczki z nazwiskiem.

– Tak, ma pani rację. Mówiła mi o zazdrości. Potem sobie pomyślałam, że pewnie przed śmiercią chciała komuś o tym powiedzieć. Wtedy nie wiedziałam, że to taka ważna rozmowa.

– Czy mówiła pani komuś o tym, że Yūko Matsunaka przed śmiercią przyszła do pani pokoju?

– Nie, nikomu nie powiedziałam.

– Dlaczego?

Mizuki przechyliła głowę. – Bo myślałam, że jak wyskoczę z czymś takim, zrobi się jeszcze większe zamieszanie. Nikt by pewnie nie zrozumiał i nic by to nie pomogło.

– Chodzi o to, że to głębokie uczucie zazdrości, którego doznawała, mogło być przyczyną jej samobójstwa?

– Gdybym powiedziała coś takiego, na pewno ludzie pomyśleliby, że zwariowałam. Komu miałyby zazdrościć taka dziewczyna jak Yūko Matsunaka? Wszyscy byli skołowani, zdenerwowani, więc uznałam, że najlepiej trzymać język za zębami. Wie pani mniej więcej, jaka atmosfera panuje w żeńskich internatach? To byłoby jak zapalenie zapałki w pomieszczeniu wypełnionym gazem.

– A co się stało z tą tabliczką?

– Jeszcze ją mam. Leży w głębi szafy, w pudełku. Razem z moją.

– A dlaczego pani ciągle ją przechowuje?

– Wtedy w szkole panował straszny zamęt i jakoś zapomniałam ją zwrócić. A im więcej czasu mijało, tym trudniej było mi ją zwrócić jak gdyby nigdy nic. Nie mogłam jej też gdzieś wyrzucić. Myślałam, że może Yūko Matsunaka chciała, żebym ją zatrzymała. Że może dlatego specjalnie przyszła do mojego pokoju i poprosiła o jej przechowanie. Nie bardzo wiem, z jakiej przyczyny wybrała właśnie mnie.

– To rzeczywiście przedziwne. Przecież nie była pani z nią w bliskich stosunkach?

– Ponieważ mieszkaliśmy w niewielkim internacie, oczywiście znaliśmy się z widzenia, mówiłyśmy sobie „cześć”, czasami nawet zamieniałyśmy kilka słów. Ale byłyśmy w różnych klasach, nigdy nie rozmawiałyśmy o sprawach osobistych. Może przyszła do mnie po prostu dlatego, że byłam przewodniczącą samorządu? Nie przychodzi mi do głowy żadna inna przyczyna.

– A może z jakiegoś powodu Yūko Matsunaka się panią zainteresowała? Może coś ją do pani ciągnęło. Może coś w pani dostrzegła?

– Tego nie wiem.

Tetsuko Sakaki w milczeniu przyglądała się Mizuki, jakby chciała się w czymś upewnić. Potem powiedziała: – Mniejsza o to. Ale czy naprawdę nigdy nie doświadczyła pani uczucia zazdrości? Nigdy w życiu?

Mizuki milczała chwilę, potem odrzekła: – Myślę, że nie. Chyba nigdy.

– To by znaczyło, że nie rozumie pani, czym jest zazdrość?

– Myślę, że z grubsza rozumiem. To znaczy, rozumiem, skąd się bierze. Tylko nie wiem, jakie to uczucie. Na ile jest silne, jak długo trwa, w jaki sposób wywołuje cierpienie.

– No tak – powiedziała terapeutka. – Zazdrość może mieć wiele stopni. Tak samo jak wszystkie inne ludzkie uczucia. Bywa lekka, nieszkodliwa. Takiej w mniejszym lub większym stopniu doświadcza

na co dzień większość ludzi. Na przykład kolega z firmy awansuje przed nami albo nauczyciel faworyzuje kogoś innego, albo sąsiad wygrał wielką sumę na loterii... Wtedy po prostu jest się trochę zazdrosnym. Złości się człowiek, że to niesprawiedliwość. To jest naturalne z punktu widzenia psychologii. Nawet czegoś takiego pani nigdy nie czuła? Nigdy nie pomyślała pani, że komuś trochę zazdrości?

Mizuki zastanowiła się. – Mam wrażenie, że nigdy mi się to nie zdarzyło. Oczywiście jest wielu ludzi, dla których los był bardziej łaskawy. Ale nigdy nie myślałam, że im z tego powodu zazdroścę. Bo każdy człowiek jest inny...

– Chodzi o to, że każdy człowiek jest inny, więc nie można ludzi tak łatwo porównać?

– Tak, myślę, że o to mi chodzi.

– No, no. Bardzo ciekawe – powiedziała terapeutka jak zawsze powoli, ale z wielkim zainteresowaniem, i splotła dłonie na biurku. – No, w każdym razie na tym polega lekka zazdrość. Ale kiedy zazdrość jest poważna, sprawa przestaje być taka prosta. Zazdrość zagnieżdża się w sercu jak pasożyt. A w niektórych przypadkach – tak jak powiedziała ta pani koleżanka – przeżera duszę do głębi jak nowotwór. Może nawet doprowadzić do śmierci. Nie można jej opanować, więc człowiek strasznie cierpi.

Po powrocie do domu Mizuki wyciągnęła z głębi szafy kartonowe pudło oklejone taśmą. Powinna w nim być koperta z tabliczką Yūko Matsunaki i własną tabliczką Mizuki. Do pudła powpychane były byle jak stare listy z czasów podstawówki, pamiętniki, albumy ze zdjęciami, świadectwa i różne inne pamiątki. Myślała zawsze, że kiedyś będzie trzeba to uporządkować, ale była zbyt zajęta i przy każdej przeprowadzce po prostu przewoziła to pudło, niczego z niego nie wyjmując. Ale teraz za nic nie mogła znaleźć koperty z tabliczkami. Wyjęła wszystko i dokładnie sprawdziła, ale koperty nigdzie nie było. Mizuki nie wiedziała, jak to się mogło stać. W czasie przeprowadzki do tego mieszkania przejrzała pobieżnie

zawartość pudełka i widziała tę kopertę. I poruszona pomyślała: „Och, jeszcze to mam!”. Potem zakleiła pudło, żeby nikt nie mógł zobaczyć, co jest w środku, i teraz po raz pierwszy je otworzyła. Więc ta koperta musiała w nim być. Niewątpliwie. Gdzie mogła się podziać?

Od kiedy zaczęła raz w tygodniu chodzić do „Kącika porad” w urzędzie dzielnicowym i spotykać się z terapeutką, przestało jej tak przeszkadzać, że zapomina swoje nazwisko. Nadal jej się to zdarzało z taką samą częstotliwością, ale postęp choroby zasadniczo się zatrzymał, i nic prócz własnego nazwiska nie umykało jej z pamięci. Dzięki bransoletce ostatnio nie musiała się więcej wstydić. Czasami uważała nawet, że zapominanie własnego nazwiska to naturalna kolej rzeczy.

Nie powiedziała mężowi, że chodzi do terapeutki. Nie miała zamiaru tego specjalnie ukrywać, ale na myśl, że musiałaby mu wszystko tłumaczyć, odechciało się jej. Mąż na pewno domagałby się szczegółowych wyjaśnień, chociaż nie sprawiała mu żadnego kłopotu tym, że zapominała czasem własne nazwisko i raz w tygodniu chodziła na terapię sponsorowaną przez urząd dzielnicowy. Opłata była tak niska, że prawie żadna. Nie powiedziała też terapeutce, że mimo usilnych poszukiwań, nie może znaleźć tabliczek z internatu z nazwiskiem Yūko Matsunaki i swoim, ponieważ sądziła, że nie ma to specjalnego znaczenia.

Tak upłynęły dwa miesiące. W każdą środę szła na drugie piętro urzędu dzielnicowego na terapię. Przybyło chyba ludzi korzystających z tej usługi, ponieważ czas wizyty został skrócony do przepisowych trzydziestu minut, choć na początku terapeutka poświęcała jej całą godzinę. W tym czasie rozmowy przebiegały już zupełnie gładko i kobiety potrafiły wszystko efektywnie omówić w krótkim czasie. Czasami Mizuki chciałyby dłużej porozmawiać, ale w końcu opłata była tak niska, że nie mogła narzekać.

– To było nasze dziewiąte spotkanie... – oznajmiła terapeutka pięć minut przed zakończeniem sesji. – Częstotliwość, z jaką

zapomina pani nazwisko, nie zmaląła, ale w tej chwili także nie rośnie, prawda?

– Nie rośnie – odparła Mizuki. – Myślę, że utrzymuje się na tym samym poziomie.

– To świetnie, to świetnie – powiedziała terapeutka. Wsunęła trzymany w ręce czarny długopis do kieszeni żakietu i ciasno spłotła dłonie na biurku. Milczała przez chwilę. – Możliwe – oczywiście to tylko możliwość – że kiedy przyjdzie pani w przyszłym tygodniu, zrobimy wielki postęp w kierunku rozwiązania problemu, o którym tu mówimy.

– Rozwiązania problemu zapominania nazwiska?

– Tak. Jak dobrze pójdzie, uda nam się konkretnie określić jego źródło i być może będę mogła je pani w rzeczywistości pokazać.

– Pokazać mi źródło problemu zapominania nazwiska?

– Owszem.

Mizuki nie bardzo rozumiała, o czym kobieta mówi. – Konkretnie źródło, to znaczy... że będzie można je zobaczyć?

– Oczywiście, że będzie można je zobaczyć. Oczywiście – powiedziała terapeutka i z satysfakcją zatarła ręce. – Być może uda mi się podać je pani na talerzu. Ale, niestety, dopiero w przyszłym tygodniu będę mogła coś dokładniej powiedzieć. W tej chwili naprawdę nie wiem, czy się uda, czy nie. Mam nadzieję, że się uda. Jeśli się uda, wszystko pani dokładnie wytłumaczę.

Mizuki skinęła głową.

– Tak czy inaczej chciałabym pani powiedzieć – ciągnęła terapeutka – że choć trochę się posuwamy, trochę cofamy, sprawa niewątpliwie zmierza do rozwiązania. Przecież mówi się, że życie to trzy kroki naprzód i dwa w tył. Nie ma się czym martwić. Wszystko będzie dobrze, proszę zaufać cioci Sakaki. No to do przyszłego tygodnia. Proszę nie zapomnieć się umówić na wizytę w rejestracji – powiedziała i puściła do Mizuki oko.

Kiedy tydzień później Mizuki pojawiła się o pierwszej w „Kąciku porad”, Tetsuko Sakaki czekała na nią, siedząc przy biurku uśmiechnięta jeszcze bardziej niż zwykle.

– Sądzę, że znalazłam przyczynę zapomnienia przez panią nazwiska – powiedziała z dumą. – I myślę, że rozwiązałam ten problem.

– Czy to znaczy, że nie będę więcej zapominała swojego nazwiska? – zapytała Mizuki.

– Właśnie. Nie będzie pani już zapominała własnego nazwiska. Bo przyczyna została wykryta i odpowiednio sobie z nią poradzono.

– A jaka właściwie była ta przyczyna? – zapytała Mizuki z powątpiewaniem.

Tetsuko Sakaki wyjęła coś z leżącej obok czarnej lakierowanej torebki i położyła na biurku. – Myślę, że to należy do pani – powiedziała.

Mizuki wstała z kanapy i podeszła do biurka. Leżały na nim dwie tabliczki z nazwiskami. Na jednej napisano „Mizuki Ōzawa”, na drugiej „Yūko Matsunaka”. Mizuki pobladła. Wróciła na kanapę i opadła na nią. Przez pewien czas nie mogła wykrztusić słowa. Przycisnęła dłonie do ust. Zupełnie jakby chciała powstrzymać wyrazy, które mogły stamtąd wypłynąć.

– To normalne, że jest pani zaskoczona – powiedziała Tetsuko Sakaki. – Ale wszystko w porządku, po kolei pani wyjaśnię. Nie ma się czego bać.

– Ale jak...?

– Jak weszłam w posiadanie pani tabliczek z czasów internatu?

– Tak. Ja tego...

– Nie rozumie pani tego, prawda?

Mizuki przytaknęła.

– Odzyskałam je dla pani – powiedziała Tetsuko Sakaki. – Bo pani zaczęła zapominać własne nazwisko przez to, że te tabliczki zostały

ukradzione. Dlatego trzeba było odzyskać tabliczki, żeby mogła pani odzyskać własne nazwisko.

– Ale kto mógł...?

– Kto mógł ukraść z pani domu te tabliczki? I właściwie w jakim celu? – pomogła jej Tetsuko Sakaki. – Mam wrażenie, że lepiej będzie, jeśli pani bezpośrednio zapyta przestępcę, który je ukradł, niż żebym ja miała to pani tłumaczyć.

– A ten przestępca tu jest? – zapytała Mizuki kompletnie zaskoczona.

– Tak, oczywiście. Został schwytany i odebrano mu tabliczki. Oczywiście sama nie mogłam go złapać, więc poprosiłam męża i jego podwładnego. Mówiłam pani przedtem, że mąż jest kierownikiem Działu Robót Publicznych w Urzędzie Dzielnicy Shinagawa, prawda?

Mizuki przytaknęła, nie wiedząc, o co chodzi.

– No to chodźmy. Spotkajmy się z przestępcą. W takiej sytuacji lepiej się spotkać twarzą w twarz i powiedzieć mu, co pani o nim myśli.

Idąc za Tetsuko Sakaki, Mizuki wyszła z pokoju, w którym odbywały się sesje terapeutyczne. Obie poszły korytarzem i wsiadły do windy. Zjechały do piwnicy, następnie udały się nieuczęszczanym korytarzem, zatrzymały przed najdalszymi drzwiami i Tetsuko Sakaki zapukała. „Proszę” – odezwał się męski głos. Tetsuko Sakaki otworzyła drzwi.

Wewnątrz był wysoki szczupły mężczyzna koło pięćdziesiątki i potężnie zbudowany dwudziestoparoletni, obaj ubrani w kombinezony w kolorze kawy z mlekiem. Ten w średnim wieku miał na piersi tabliczkę z nazwiskiem „Sakaki”, a młody – „Sakurada”. Sakurada trzymał czarną pałkę policyjną.

– Pani Mizuki Andō, prawda? – zapytał mężczyzna nazwiskiem Sakaki. – Jestem mężem Tetsuko Sakaki. Nazywam się Yoshirō Sakaki. Jestem kierownikiem Działu Robót Publicznych w tym urzędzie dzielnicowym. A to pan Sakurada. Pracuje w moim dziale.

– Bardzo mi miło – powiedziała Mizuki.
– No i jak, greczny jest? – zapytała męża Tetsuko Sakaki.
– Tak, kompletnie poddał się losowi i zrobił się greczny – odparł Yoshirō Sakaki. – Sakurada pilnuje go tu od rana, ale zdaje się, że nie sprawiał mu większych kłopotów.
– Tak. Jest greczny – powiedział Sakurada z nutką żalu. – Gdyby się stawiał, miałem zamiar dać mu nauczkę, ale nic takiego nie robił.

– Sakurada w czasie studiów na Uniwersytecie Meiji był kapitanem drużyny karate. To bardzo obiecujący młody człowiek – dodał kierownik Sakaki.

– No i... kto i po co ukradł z mojego mieszkania te tabliczki? – zapytała Mizuki.

– To może spotka się pani bezpośrednio z przestępcą? – zaproponowała Tetsuko Sakaki.

W głębi pokoju były jeszcze jedne drzwi. Sakurada je otworzył. Nacisnął przycisk na ścianie i zapalił światło. Rozejrzał się badawczo po pomieszczeniu, a potem odwrócił się do innych i skinął głową. – Wszystko w porządku. Proszę, można wejść.

Najpierw wszedł kierownik Sakaki, potem Tetsuko Sakaki, a na końcu Mizuki. Był to niewielki magazyn. Bez mebli. Stało tam tylko jedno małe krzesło, siedziała na nim małpa. Jak na małpę była dość duża. Mniejsza od dorosłego człowieka, ale większa od ucznia podstawówki. Jej sierść była odrobinę dłuższa niż sierść zwykłej japońskiej małpy, tu i tam błyskały w niej szare nitki. Nie wiadomo, ile miała lat, ale chyba nie była już młoda. Przednie i tylne nogi miała mocno przywiązane cienkim sznurkiem do drewnianego krzesła. Koniec długiego ogona leżał bezsilnie na podłodze. Kiedy Mizuki weszła do pokoju, małpa zerknęła na nią, a potem spuściła wzrok.

– Małpa?! – zapytała Mizuki.
– Zgadza się – odparła Tetsuko Sakaki. – To małpa ukradła z pani mieszkania tabliczki.

Nie chcę, żeby pod moją nieobecność małpa ją zabrała, powiedziała Yūko Matsunaka. To nie były żarty, pomyślała Mizuki. Yūko Matsunaka o tym wiedziała. Mizuki poczuła dreszcz na plecach.

– Ale jak pani...?

– Jak do tego doszłam? – dokończyła Tetsuko Sakaki. – Bo jestem profesjonalistką. Tak jak pani na początku powiedziałam. Mam odpowiednie kwalifikacje i bogate doświadczenie. Pozory mylą. To, że ktoś pracuje na ochotnika praktycznie za grosze w urzędzie dzielnicowym, nie znaczy, że jest gorszym terapeutą od kogoś, kto ma wspaniały gabinet.

– Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę. Ale ja tak bardzo się zdziwiłam i...

– Nie, nie, ja żartuję – roześmiała się Tetsuko Sakaki. – Szczerze mówiąc, jestem dość niekonwencjonalna jak na terapeutkę. Nie przepadam za organizacjami i konferencjami naukowymi. Swobodna praca w takim miejscu jak to bardziej do mnie pasuje. Jak pani widzi, moje podejście jest dość szczególne.

– Ale jest niezwykle uzdolniona – wtrącił poważnie jej mąż, Yoshirō Sakaki.

– I ta małpa ukradła tabliczki, tak? – zapytała Mizuki.

– Tak, wślizgnęła się po cichu do pani mieszkania i ukradła tabliczki z pudła w szafie. Jakiś roku temu. Pewnie mniej więcej wtedy zaczęła pani zapominać nazwisko, prawda?

– Tak, tak, rzeczywiście to było akurat wtedy.

– Bardzo przepraszam – odezwała się małpa po raz pierwszy. Miała niski dźwięczny głos. Można w nim nawet było dosłyszeć coś melodyjnego.

– Ona umie mówić! – zawołała Mizuki w osłupieniu.

– Owszem, umiem mówić – powiedziała małpa, prawie nie zmieniając wyrazu twarzy. – Muszę panią jeszcze za coś przeprosić. Kiedy wszedłem do mieszkania, żeby ukraść tabliczki, pozwoliłem sobie zjeść dwa banany. Nie zamierzałem zabierać nic prócz

tabliczek, ale byłem bardzo głodny, i choć wiedziałem, że nie powinienem, odruchowo wziąłem ze stołu dwa banany i zjadłem. Bo bardzo smacznie wyglądały.

– Bezczelny – powiedział Sakurada, uderzając pałką policyjną o dłoń. – Mógł też zabrać coś innego. Może go trochę przyciśniemy?

– Spokojnie, spokojnie – odparł kierownik Sakaki. – Sam się szczerze przyznał do bananów, nie wygląda na taką złą małpę. Powstrzymajmy się od brutalności, aż sprawa trochę lepiej się wyjaśni. Mielibyśmy kłopoty, gdyby się wydało, że w urzędzie dzielnicowym okrutnie traktujemy zwierzęta.

– Dlaczego zabrałeś tabliczki? – zapytała Mizuki małpę.

– Jestem małpą, która zabiera ludziom nazwiska. To choroba. Kiedy widzę gdzieś nazwisko, nie mogę się powstrzymać, muszę je zabrać. Oczywiście nie może być byle jakiej osoby. Są nazwiska, które mnie pociągają. Nazwiska niektórych ludzi są dla mnie wyjątkowo atrakcyjne. Kiedy na takie trafiam, muszę je mieć. Zakradam się do domów i kradnę te nazwiska. Wiem, że tego nie wolno robić, ale nie mogę się powstrzymać.

– To ty próbowałeś ukraść tabliczkę z nazwiskiem Yūko Matsunaki z naszego internatu?

– Tak, ja. Byłem do szaleństwa zakochany w pannie Matsunaka. Nigdy przedtem ani potem nikt mnie do tego stopnia nie pociągał. Ale nie mogłem jej zdobyć. Jestem przecież małpą, więc to było niemożliwe. Dlatego chciałem za wszelką cenę zdobyć jej nazwisko. Chciałem mieć przynajmniej nazwisko. Gdybym je dostał, moje serce zaznałoby ukojenia. Czego więcej mogłaby żądać małpa? Ale zanim udało mi się spełnić to pragnienie, ona odebrała sobie życie.

– Czy przypadkiem miałeś coś wspólnego z jej samobójstwem?

– Nie – powiedziała małpa, gwałtownie potrząsając głową. – Ona nosiła w sercu nieprzeniknioną ciemność. Prawdopodobnie nikt nie mógł jej uratować.

– A jak się po tylu latach dowiedziałeś, że ja mam tabliczkę z jej nazwiskiem?

– Zajęło mi to bardzo dużo czasu. Zaraz po jej śmierci próbowałem zdobyć tę tabliczkę. Zdobyć ją jakoś, zanim ktoś zabierze. Ale tabliczka gdzieś zniknęła. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Próbowałem wszystkiego. Szukałem jej wszędzie, ze wszystkich sił. Zupełnie nie mogłem się dowiedzieć, gdzie jest. Nawet mi nie przyszło do głowy, że Yūko Matsunaka mogła ją pani dać na przechowanie, ponieważ nie byliście szczególnie zaprzyjaźnione.

– To prawda – powiedziała Mizuki.

– Ale doznałem jakby małego olśnienia i pomyślałem, że może przypadkiem tabliczka panny Matsunaka trafiła w ręce pani Mizuki Ōzawy. To było wiosną zeszłego roku. Dość dużo czasu zajęło mi dowiedzenie się, że pani Mizuki Ōzawa wyszła za mąż, zmieniła nazwisko na Andō i mieszka w Shinagawie. Przy prowadzeniu tego rodzaju dochodzenia bardzo niewygodnie jest być małpą. No, ale w każdym razie doszło do tego, że poszedłem do pani mieszkania ukraść tabliczkę.

– Ale dlaczego zabrałeś przy okazji także moją tabliczkę, a nie tylko tabliczkę Yūko Matsunaki? Wiele przez to wycierpiałam. Nie wiedziałam, jak się nazywam.

– Naprawdę bardzo przepraszam – powiedziała małpa zawstydzona, opuszczając głowę. Kiedy widzę nazwisko, które mnie pociąga, mimowolnie zachciewa mi się je ukraść. Wstyd mi to przyznać, ale na widok pani tabliczki też silniej zabiło moje biedne serce. Jak wcześniej wspomniałem, to choroba. Nie mogę opanować tych impulsów. Wiem, że nie wolno, ale ręka sama mi się wyciąga. Z całego serca przepraszam, że sprawiłem pani kłopot.

– Ta małpa ukrywała się w kanałach w dzielnicy Shinagawa – powiedziała Tetsuko Sakaki. – Dlatego poprosiłam męża, żeby jego młodzi pracownicy ją złapali. Jest kierownikiem Działu Robót Publicznych, a kanały są w gestii tego działu, więc akurat dobrze się złożyło.

– Obecny tu pan Sakurada odegrał ważną rolę przy łapaniu tej małpy – powiedział kierownik Sakaki.

– Jako Dział Robót Publicznych nie możemy pod żadnym pozorem pozwolić na to, żeby w kanałach dzielnicy ukrywało się takie podejrzane stworzenie – powiedział Sakurada dumnie. – Miała kryjówkę, jakby bazę, gdzieś pod ziemią w okolicy Takanawy i stamtąd wypuszczała się kanałami w miasto.

– W mieście nie mamy gdzie żyć. Jest mało drzew, w ciągu dnia trudno znaleźć cień. Kiedy wychodzę na powierzchnię, ludzie skrzykują się i próbują mnie schwytać. Dzieci strzelają metalowymi kulkami do pachinko albo z wiatrówek, wielki pies z bandaną na szyi uparcie mnie goni. Kiedy chcę odpocząć na drzewie, przyjeżdża kamera z telewizji i świecą na mnie reflektorem. Nie mam chwili spokoju. Z tej przyczyny muszę się ukrywać pod ziemią. Proszę mi wybaczyć – powiedziała mała.

– Ale skąd pani się dowiedziała, że ta mała ukrywa się w kanałach? – zapytała Mizuki.

– Kiedy przez dwa miesiące uważnie słuchałam pani opowieści, różne rzeczy zaczęły stawać się jasne. Zupełnie jakby mgła się rozwiewała. Że musi istnieć coś, co ma zwyczaj kraść nazwiska, i to coś ukrywa się gdzieś pod ziemią w tej okolicy. No, a zakres podziemnych obszarów w mieście jest naturalnie dość ograniczony. Albo metro, albo kanały, to chyba wszystko. Więc poprosiłam męża. Myślę, że gdzieś tu w okolicy w kanałach zamieszkało jakieś stworzenie – nie człowiek, powiedziałam i poprosiłam, żeby sprawdził. I trafiłam w dziesiątkę. Znaleźli tę małą.

Mizuki zaniemówiła na pewien czas. – Ale... jak pani mogła to wiedzieć tylko na podstawie tego, co ja mówiłam?

– Może jako rodzina nie powinienem tego mówić, ale moja żona posiada jakieś niezwykle umiejętności, których nie mają normalni ludzie – powiedział z szacunkiem kierownik Sakaki. – Przez dwadzieścia dwa lat małżeństwa wiele razy widziałem takie niepojęte, tajemnicze rzeczy. Dlatego też bardzo się starałem, żeby w tym urzędzie dzielnicowym utworzyć „Kącik porad”. Byłem pewien, że jeżeli zapewni jej się miejsce, gdzie będzie mogła zaprezentować te umiejętności, na pewno przyniesie pożytek

mieszkańcom dzielnicy. Bardzo się cieszę, że na razie udało się rozwiązać tę sprawę kradzieży nazwisk. Naprawdę się cieszę. Ja też się uspokoilem.

– A właśnie, co się stanie z tą schwytaną małpą? – zapytała Mizuki.

– Nie ma sensu jej zostawiać przy życiu – powiedział Sakurada bez ogródek. – Trudno się oduczyć złych nawyków. Bez względu na to, co mówi, na pewno gdzieś znowu nabroi. Załatwmy ją. Tak będzie najlepiej. Zastrzyk stężonych środków dezynfekujących od razu ją wykończy.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział kierownik Sakaki. – Jak się wyda, że zabiliśmy zwierzę, bez względu na powód, na pewno ktoś złoży skargę i zrobi się wielka afera. Przecież jak ostatnio zlikwidowaliśmy te schwyte wrony, było niezłe zamieszanie, co? Chciałbym w miarę możliwości uniknąć takich problemów.

– Proszę mnie nie zabijać. Bardzo proszę – powiedziała związana małpa, nisko opuszczając głowę. – Nie wszystko, co robię, jest złe. Rzeczywiście nie powinienem był tak postępować. W pełni zdaję sobie z tego sprawę. Sprawiam ludziom kłopot. Jednak choć nie chcę obstawać przy swoim, uważam, że miało to też pewną pozytywną stronę.

– Jaka może być pozytywna strona kradzieży czyjegoś nazwiska? Wytlumacz nam! – powiedział kierownik Sakaki ostro.

– Dobrze, już mówię. Rzeczywiście kradnę ludziom nazwiska. Ale jednocześnie zabieram nieco negatywnych elementów, które do tych nazwisk przywarły. To nie są czcze przechwałki. Gdyby udało mi się wtedy ukraść nazwisko Yūko Matsunaki, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że panna Matsunaka nie odebrałaby sobie życia.

– Dlaczego nie? – zapytała Mizuki.

– Gdyby udało mi się ukraść nazwisko Yūko Matsunaki, być może zabrałbym też część ciemności, którą kryła w sercu. Myślę, że może mógłbym jej ciemność zabrać do podziemnego świata wraz z jej nazwiskiem.

– Gada, co mu pasuje – powiedział Sakurada. – Nie można tego traktować poważnie. Ponieważ chce ująć z życiem, z małpią chytrą za wszelką cenę się usprawiedliwia.

Tetsuko Sakaki rozmyślała chwilę, siedząc z założonymi rękami, a wkrótce powiedziała: – Niekoniecznie. W tym, co mówi, może być trochę prawdy. A potem zwróciła się z pytaniem do małpy: – Mówisz, że kiedy kradniesz nazwisko, wraz z tym, co jest w nim dobre, kradniesz też zło?

– Tak, tak jest – odparła małpa. – Nie wybieram sobie. Jeżeli zawiera się w nim zło, my, małpy, musimy je przyjąć. Musimy wszystko przyjąć w całości. Bardzo proszę. Proszę mnie nie zabijać. Jestem tylko głupią małpą o złych nawykach, ale mimo to jestem też trochę przydatny.

– To jakie złe rzeczy były w moim nazwisku? – zapytała Mizuki.

– Nie chcę tego mówić osobie, której to dotyczy – odparła małpa.

– Proszę, powiedz. Jeżeli mi powiesz, wybaczę ci. I poproszę wszystkich tutaj, żeby ci wybaczyli.

– Naprawdę?

– Czy wybaczą państwo tej małpie, jeżeli szczerze mi odpowie? – zapytała Mizuki kierownika Sakakiego. – Zdaje mi się, że nie jest z natury zła. Poniosła już karę, można jej porządnie nagadać do słuchu, a potem zabrać na przykład na górę Takao i tam wypuścić. Pewnie już nie będzie więcej robiła nic złego. Jak pan uważa?

– Jeżeli pani by to nie przeszkadzało, to ja nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział kierownik. A potem zwrócił się do małpy: – Słuchaj no, jeżeli tak zrobimy, przysięgniesz, że nie wrócisz już do Tokio?

– Tak, panie kierowniku. Już nie wrócę do Tokio. Nie sprawię nikomu więcej kłopotu. Nie będę też włóczyć się po kanałach. Nie jestem już młody i może to jest dobra okazja, żeby zmienić swoje życie – przyrzekła małpa potulnie.

– Na wszelki wypadek oznakujmy go na tyłku, żeby w razie czego można było go poznać – zaproponował Sakurada. – Chyba gdzieś tu

był elektryczny przyrząd do wypalania znaku dzielnicy Shinagawa na mieniu publicznym.

– Bardzo proszę tego nie robić – powiedziała mała ze łzami w oczach. – Jeżeli będę miał jakiś dziwny znak na tyłku, inne małe będą mnie unikać i nie uznają mnie za swojego. Wyznam wszystko, niczego nie ukrywając, ale bardzo proszę o litość i niewypalanie piętna.

– Dobrze, daj spokój z tym piętnem – włączył się kierownik. – Jak będzie miał na tyłku znak dzielnicy, potem może się okazać, że jesteśmy za niego odpowiedzialni.

– Skoro pan tak uważa, panie kierowniku – powiedział z żalem Sakurada.

– Więc jakie złe rzeczy łączyły się z moim nazwiskiem? – zapytała Mizuki, wpatrując się w małe czerwone oczka mały.

– Być może będzie pani przykro, kiedy to powiem.

– Nie szkodzi, powiedz.

Mała zamyśliła się na chwilę, jakby zakłopotana. Pogłębiły się zmarszczki na jej twarzy. – Może lepiej, żeby pani nie pytała.

– Nie, ja naprawdę chcę wiedzieć.

– Dobrze. Więc powiem szczerze, jak jest. Matka pani nie kocha. Od dzieciństwa do chwili obecnej nigdy pani nie kochała. Nie wiem dlaczego. Ale tak jest. Pani siostra też. Siostra także pani nie kocha. Matka posłała panią do tej szkoły w Jokohamie, żeby się pani pozbyć. Matka i siostra chciały panią odesłać jak najdalej. Pani ojciec nie jest złym człowiekiem, ale niestety ma słaby charakter. Dlatego nie mógł pani obronić. Z tego powodu od dzieciństwa nikt pani wystarczająco nie kochał. Pani też to trochę wyczuwała. Ale celowo udawała pani, że tego nie widzi. Zamykała pani oczy na ten fakt, zepchnęła go pani w najciemniejszy zakamarek serca, zapieczerowała i żyła pani, starając się nie myśleć o bolesnych sprawach, nie widzieć nieprzyjemnych rzeczy. Żyła pani, tłumiąc w sobie wszystkie negatywne uczucia. I taka obronna postawa stała się

częścią pani osobowości. Prawda? Ale z tego powodu nie była pani w stanie nikogo naprawdę, bezwarunkowo, całym sercem pokochać.

Mizuki milczała.

– Teraz wydaje się, że pędzi pani bezproblemowe, szczęśliwe życie małżeńskie. Być może naprawdę jest pani szczęśliwa. Ale nie może pani głęboko pokochać męża. Prawda? Kiedy urodzi pani dziecko, z nim będzie tak samo, o ile pani się nie zmieni.

Mizuki milczała. Przykucnęła na podłodze i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że jej ciało się rozkleja. Że skóra, wnętrzności, kości, różne jego części zaraz rozpadną się na kawałki. W uszach miała tylko dźwięk własnego oddechu.

– Ta małpa za dużo sobie pozwala – powiedział Sakurada, kręcąc głową. – Panie kierowniku, ja już nie mogę. Dajmy mu niezłą nauczkę.

– Niech pan poczeka – powiedziała Mizuki. – To prawda. Ta małpa ma rację. Ja też o tym przez cały czas wiedziałam. Ale do dziś żyłam, starając się niczego nie widzieć. Niczego nie widzieć ani niczego nie słyszeć. Małpa mówi tylko całą prawdę. Dlatego proszę jej wybaczyć. Proszę ją po prostu zabrać w góry i wypuścić.

Tetsuko Sakaki lekko dotknęła ramienia Mizuki. – Na pewno nie ma pani nic przeciwko temu?

– Tak, mnie to nie przeszkadza. Wystarczy, że odzyskałam nazwisko. Dlatego proszę jej wybaczyć. Ja będę teraz żyła z tym wszystkim. To jest moje nazwisko i moje życie.

Tetsuko Sakaki zwróciła się do męża: – Słuchaj, w ten weekend pojedźmy naszym samochodem w okolice góry Takao i wypuśćmy tę małpę w jakimś dogodnym miejscu. Dobrze?

– Oczywiście, nie ma sprawy – zgodził się kierownik Sakaki. – Dopiero co zmieniliśmy samochód i to akurat dobra odległość, żeby go przetestować.

– Dziękuję bardzo. Nie wiem, jak państwu dziękować – powiedziała małpa.

– Nie masz choroby lokomocyjnej? – zapytała Tetsuko Sakaki.

– Nie, nie mam. Na pewno nie zwymiotuję państwu ani nie załatwię się na nowe siedzenia. Będę grzecznie siedział. Nie sprawię państwu kłopotu.

Żegnając się z małpą, Mizuki podała jej tabliczkę z nazwiskiem Yūko Matsunaki.

– Może lepiej, żebyś ty to miał niż ja – powiedziała. – Bo przecież kochałeś Yūko Matsunakę.

– Tak. Kochałem ją.

– To dbaj o to nazwisko. I nie kradnij już nazwisk innym ludziom.

– Będę bardzo dbał o tę tabliczkę. I wcale nie będę kraść – obiecała małpa z poważnym wyrazem twarzy.

– Dlaczego Yūko Matsunaka przed śmiercią mi ją powierzyła? Dlaczego wybrała właśnie mnie?

– Tego ja też nie wiem – odparła małpa. – Ale w każdym razie dzięki temu mogłem panią poznać i porozmawiać. Może to jest pewien dar losu.

– Rzeczywiście masz rację.

– Moje słowa zraniły panią, prawda?

– Tak, myślę, że mnie zraniły. Bardzo głęboko.

– Bardzo mi przykro. Ja naprawdę nie chciałem tego mówić.

– Nie szkodzi. Pewnie w głębi serca o tym wiedziałam. Kiedyś musiałam stanąć z prawdą twarzą w twarz.

– Dużo lżej mi na sercu dzięki temu, że pani tak mówi.

– Do widzenia. Pewnie się już nie spotkamy.

– Życzę pani wszystkiego najlepszego. Dziękuję, że uratowała pani życie komuś takiemu jak ja.

– Nie pokazuj się więcej w Shinagawie – powiedział Sakurada, uderzając pałką o dłoń. – Dzisiaj wyjątkowo ci daruję ze względu na pana kierownika, ale jak cię jeszcze raz tu zobaczę, nie ujdiesz z życiem, daję słowo.

Małpa chyba dobrze wiedziała, że to nie są czcze pogrózki.

– No to co z przyszłym tygodniem? – zapytała Tetsuko Sakaki, gdy wróciły do pokoju. – Chciałaby pani jeszcze się mnie w jakiejś sprawie poradzić?

Mizuki potrząsnęła głową. – Nie, myślę, że to pani zasługa, że problem został całkowicie rozwiązany. Dziękuję pani za wszystko. Jestem bardzo wdzięczna.

– Nie czuje pani specjalnej potrzeby, żeby ze mną rozmawiać o tym, co ta małpa przed chwilą mówiła?

– Nie, sądzę, że sama dam sobie jakoś z tym radę. Chyba najpierw muszę sama się nad tym zastanowić.

Tetsuko Sakaki skinęła głową. – Tak, myślę, że pani sobie z tym poradzi. Jeżeli tak pani postanowi, na pewno stanie się pani silniejsza.

– Ale jeżeli nie będę mogła sobie poradzić, mogę znowu przyjść?

– Oczywiście – powiedziała Tetsuko Sakaki z szerokim uśmiechem na swojej wyrazistej twarzy. – Wtedy znowu coś we dwie złapiemy.

Pożegnały się uściskiem dłoni.

Po powrocie do domu Mizuki włożyła do brązowej koperty na dokumenty starą tabliczkę z napisem „Mizuki Ōzawa” oraz srebrną bransoletkę z wygrawerowanym nazwiskiem, zakleiła i schowała do kartonowego pudła w szafie. W końcu wróciło do niej własne nazwisko. Teraz będzie znów z nim żyła. Może wszystko dobrze się ułoży, a może nie. Ale w każdym razie było to jej własne nazwisko, nie miała innego.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Shinko Sasaki-Haściłowicz za cierpliwość i pomoc.

Anna Zielińska-Elliott

- [1] W rzeczywistości jest to podpułkownik (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Dwudzieste urodziny to w Japonii tradycyjny próg dorosłości, jak osiemnaste w Polsce.
- [3] Roppongi – tokijska dzielnica rozrywkowa, gdzie znajduje się wiele klubów, restauracji i barów.
- [4] W Japonii płaci się w restauracjach w kasie przy wyjściu.
- [5] W Japonii zawsze zdejmuje się buty zaraz po wejściu do mieszkania.
- [6] W Japonii rok akademicki rozpoczyna się w kwietniu i kończy w lutym.
- [7] Okres Heian – lata 794–1185.
- [8] Zanim komputery, a raczej word-processory weszły do powszechnego użytku w Japonii pod koniec lat osiemdziesiątych, wszelkie teksty pisane były ręcznie, gdyż maszyny do pisania z powodu wielkiej liczby znaków używanych w japońskim były ogromne i niepraktyczne.
- [9] Rok szkolny oraz akademicki rozpoczynają się w Japonii w kwietniu, więc marzec jest miesiącem przeprowadzek.
- [10] Akademia Wojskowa Nakano – istniejąca od 1938 roku szkoła, która kształciła przyszłych pracowników wywiadu.
- [11] Najbardziej prestiżowa japońska nagroda literacka w dziedzinie literatury pięknej.
- [12] Analogia do zasad baseballu, gdzie należy wykonać trzy prawidłowe rzuty, by zdyskwalifikować pałkarza przeciwnej drużyny.

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz